

michał
witkowski

Ile jeszcze kobiet
przytłaci życiem tango
z pięknym żigolo?



TANGO

W serii Proza PL ukazały się:

Sylwia Chutnik, *Jolanta*

Sylwia Chutnik, *W krainie czarów*

Sylwia Chutnik, *Cwaniary*

Anna Cieplak, *Lata powyżej zera*

Jacek Dehnel, *Krivoklat*

Zośka Papużanka, *On*

Zośka Papużanka, *Świat dla ciebie zrobiłem*

Zofia Posmysz, *Wakacje nad Adriatykiem*

Żanna Słoniowska, *Dom z witrażem*

Magdalena Tulli, *Szum*

Magdalena Tulli, *Włoskie szpilki*

Michał Witkowski, *Fynf und cfancyś*

Michał Witkowski, *Margot*

Michał Witkowski, *Wymazane*

Więcej na:

www.seriaproza.pl

Michał Witkowski

Tango

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2022

*Konradowi Baumanowi,
właścicielowi delikatesów
Davidoff und Schwarz*

1

Ostrość brzytwy to sprawa honoru.

Codziennie ostrzył ją na specjalnym, ręcznie robionym skórzanym pasie z bydlęcej skóry. Stał przed wielkim trzyskrzydłowym tremo i omijając starannie wąsy, z których właśnie zdjął bindę, powoli, „artystycznie” wodził brzytwą po namydlonej pędzlem z włosia borsuka twarzy. Jak najdokładniej. Tak długo, aż ostra stal damasceńska, ocierając się o cerę, przestanie wydawać ten chropawy odgłos – znak, że choćby ćwierć milimetra zarostu pozostało nad skórą. Wdychał wspañały zapach mydła do golenia Pixin. W najwyższym skupieniu patrzył prosto w swoje błękitne, przekrwione od kokainy oczy. W Skandynawii tak piją wódkę pod raki. Patrząc sobie prosto w oczy. Nie śmiejąc się. Na poważnie. Bo życie jest poważne.

Mimo że całą swoją istotą tego nie chciał, wiedział, że dziś wieczór znowu się to stanie. Bo to po prostu się stawało. Jakby poza nim. Bronił się, ale był już na z góry przegranej pozycji. Nie chcąc, jednocześnie odczuwał dreszcz najbardziej wyuzdanej rozkoszy.

Opłukał twarz wodą z miski i dokładnie wytarł czystym białym ręcznikiem. Tak jak przypuszczał, nie było ani jednego zacięcia. Nie musiał przejeżdżać po skórze zimnym kryształem ałunu. Chirurgiczna precyzja.

Trzeba cały czas patrzeć sobie prosto w oczy.

Trzydziestoletni zadbany mężczyzna z wąsikami, w siatkowym podkoszulku i szelkach nabrał w zagłębienie dłoni wody kolońskiej. Nie żadnej tam przemysławki, tylko najprawdziwszej, z Kolonii. Mimo braku zacięć będzie piekło. Ale tylko przez sekundę. Potem zagrzeje i rozniesie się gorącą chmurką, jak po

wypiciu wódki. Długo, z maniackim uporem szorował zęby proszkiem Kloromint o posmaku kredy i cementu. Teraz puder Tokalon nada twarzy uwodzicielską, dekadencją bladość. Dwie chmurki pachnącego talku pod pachy. Następnie nałożył pomadę na włosy i kościanym grzebykiem starannie wyznaczył przedziałek pośrodku głowy. Tak starannie, jakby od tego zależał los świata. Bo zależy. Jeszcze odrobina pomady między dwa palce, aby podkreślić czarne wąsiki.

Zamyślił się. Wciąż za wcześnie. Wciąż jasno. Ómy jeszcze się nie obudziły i nie lgną do światła latarni. Do ognia.

Do niego.

W listopadzie ómy w ogóle znikają ze świata, ale budzą się nietoperze. W listopadzie on nie jest ómą, tylko latającym nocnym szcurem. Za to słońce w listopadzie zachodzi wcześnie.

Starannie zapiął perłowe guziki wykrochmalonej białej koszuli, zawiązał białą muszkę, włożył czarną kamizelkę, a potem, unosząc wysoko głowę, przypiął kołnierzyk. Wyprostował się, obciągnął na sobie materiał. Nalał kieliszek wódki Baczewski, zapalił egipskiego, wyjrzał przez okno. Dzień tlił się jeszcze, ale był już na straconej pozycji. Z każdego załomu obszczanych przez psy i koty liszajowatych murów wylaniał się mrok. W tym mroku kupiły się wyrostki w kaszkietach i podejrzone elementy.

Ludzkie ómy.

Odszedł od okna, stanął przy gramofonie i nastawił płytę. Była na niej tylko jedna piosenka.

Tango *Morfina*. Odłożył papierosa do ciężkiej porcelanowej popielniczki w kształcie muszli. Wyprostował się przed lustrem, objął przed sobą wyimaginowaną partnerkę, wygiął się do tyłu. Wyjął z szafki talerzyk z białym proszkiem i szklaną lufką wciągnął go do nosa. Z całej siły. Serce zaczęło mu bić gdzieś w uszach, w szyi. Jeszcze drugą dziurką. Coś tak dobrego nie może zabić. Czegoś tak dobrego nie może być za dużo. Czuje się po tym tak dobrze, czuje, że żyje, ómy zaraz się obudzą i wylecą w poszukiwaniu płomieni. A tym ogniem

będzie on. Wyprostował się. Serce szalało, pulsowało w szyi, w uszach, w skroniach. Znowu spojrzął sobie w oczy w lustrze. Jasnoblękitne. Jakby mokre.

Włożył melonik, płaszcz Burberry...

Choć jak morfina zatrułaś moją duszę...

Lecz niech wiecznie trwa zgubna miłość ta...

– zawodziła zdarta, tysiące razy słuchana płyta. Tak. Mocniej. Poczł napięcie i ból.

Mimo że jest listopad, ćmy i tak zaraz się obudzą.

Dopiero po chwili się zorientował, że z całej siły zaciska w ręku brzytwę.

Opłukał ją z krwi, obandażował dłoń, na drugą naciągnął wytworną białą rękawiczkę pod kolor szala. Brzytwę włożył do specjalnego etui i zabrał ze sobą. Bez tego nie byłoby po co wychodzić na nocny zer... A jego brzytwa zawsze była najostrzejsza.

To sprawa honoru.

Siódmego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, o godzinie piętnastej, Antoni Florczak, stróż kamienicy przy ulicy Piaskowej piętnaście, działając w towarzystwie i za poduszczeniem swej wścibskiej małżonki, Florczak Genowefy, udał się do mieszkania numer trzydzieści trzy, od pięciu lat zajmowanego przez czterdziestoletniego podrzędnego śpiewaka naszej miejskiej operetki, pana Mieczysława Cieślaka. Stara Florczakowa od paru dni utrzymywała bowiem, że lokator się nie pokazuje, a ona ma złe przecucia i pies piętro niżej wyje jak najęty. Poza tym czuje nieznaną dotąd obecność astralną i tajemnicze swędzenie w piersiach, które nigdy się nie myli.

– Pójdę sam – zaproponował nieśmiało Florczak bez wiary w zwycięstwo.

– Gównu tam pójdziesz. Idziemy! – Florczakowa narzuciła na siebie wyszmelcowaną podomkę, nie wiadomo dlaczego wzięła z kuchni największy nóż i tak uzbrojona, podzwaniając wielkim pękiem zapasowych kluczy do wszystkich mieszkań, pierwsza weszła na schody. Musieli wdrapać się aż na czwarte piętro. On był małym i wysuszonym człowieczkiem, jakby dolepionym do wielkiego węża, ona za to osobą słusznej postury i wagi. Nic jednak nie było w stanie jej zatrzymać, gdy wyczuła „nową, nieznaną obecność astralną”. Zadzwonili do drzwi, ale bez rezultatu. Kiedy zasapana Genowefa Florczak szukała właściwego klucza na wielkim kółku, jej mąż nacisnął klamkę. Drzwi okazały się otwarte. Małżonkowie spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Oho... – mruknęła pani Florczak wcale nie zdziwiona. – Brzydko mi tu pachnie...

Istotnie, z mieszkania buchnął straszliwy fetor.

– Halo! Jest tam kto?! – zawołał stróż.

Zatykając nosy, weszli nieśmiało do przedpokoju gęsto obwieszonego zdjęciami Cieślaka w białych i pozłacanych ramkach. Na stoliczku stał biały łąbędź i bukiet sztucznych konwalii. „Artyści” – pomyślała pani Florczak z typową dla kobiet z ludu mieszaniną podziwu i pogardy wobec czegoś, co wykracza poza ich szare życie. Wiedziała, że za chwilę wydarzy się coś, o czym do końca swych dni z rozkoszą będzie mogła opowiadać w maglu gazowym, pralni, farbiarni, na podwórzu, w ogonku i raz na rok na imieninach w aptece Pod Trzema Murzynami. Niestety, ten rejestr wyczerpywał już wszystkie miejsca, w których bywała. Wyostrzyła zmysły, aby nie przegapić żadnego szczegółu. Ten Cieślak, oczywiście pederasta, od dawna stanowił dla niej niewyczerpane źródło plotek. Najciekawsza postać w kamienicy. „Doigra się. Już on się doigra!” – mawiała pani Genowefa. No i proszę – doigrał się! Gotowa na wyjątkowe doznania, przeżegnała się i weszła do pierwszego pokoju. Wszystko porozrzuć. Oj, widać, że ktoś tu czegoś szuka! Ktoś węszył! Szuflady wywalone, białe porcelanowe i fajansowe durnostojki potłuczone, wszechobecne w tym mieszkaniu zdjęcia Cieślaka w kiczowatych ramkach strącone z toaletek i szafek, szafa wybebeszona, a na środku pokoju usypana góra z fikuśnych szlafroczków, białych, obszytych białym futerkiem... „Artyści, kurwa ich mać”. Pomimo przemożnej chęci, aby skorzystać z okazji i pogrzebać trochę w tych skarbach jak z operetki, powstrzymała się, ponieważ czuła, że o niebo ciekawsze przeżycia czekają na nią tuż-tuż... Nagle drgnęła. Na stosie szlafroczków i innych ciuszków, jakich jej mąż nie tylko nigdy by nie włożył, ale nawet mógłby umrzeć od samego ich przymierzania, leżała biała peruka. Podeszła do niej w celu przywłaszczenia jej sobie. Wzięła ją w ręce i natychmiast zamarła: to nie była żadna peruka, tylko maleńki biały pieseczek Cieślaka, zwany Pizdeczka, z którym zwykle wychodził na spacer, oganiając się od innych psów i w razie ich zalotów biorąc suczkę na ręce. Jej mąż uważał, że to nie jest pies, ale co najwyżej żarcie dla prawdziwego psa. Zwierzątko miało poderżnięte gardło i było zupełnie sztywne. Florczakowa upuściła psie zwłoki na podłogę i odskoczyła. Zrobiło jej się bardzo żal Pizdeczki, o wiele bardziej niż

właściciela mieszkania, co do którego losu nie miała już żadnych wątpliwości. Piersi swędziały ją coraz bardziej.

Jej mąż również spodziewał się mocnych przeżyć, ale bynajmniej nie cieszył się na nie. Uważał śmierć za coś obrzydliwego, a śmierć nagłą – po prostu za chamstwo, którego żaden solidny, niezalegający z czynszem lokator nie robi stróżowi kamienicy. Małżonkowie spojrzeli po sobie i weszli do kuchni. Smród zaatakował ich jednocześnie z muchami. Fatalnym zrzędzeniem losu trup leżał jakoś tak niefortunnie, od razu w drzwiach, że stara Florczakowa go nie zauważyła i w niego, jak potem opowiadała w maglu i aptece, „wdepła”.

„Wdepłam w niego, tą nogą wdepłam! – miała powtarzać do końca życia z dumą. – Miętki. Za miętki. Już jak nie człowiek, tylko istna galareta”.

Tu tango, tam menuet... Co za umuzykalniony naród!

Starszy przodownik Adolf Piątek mrużył oczy krótkowidza pod ostrzałem błyskającej magnezji. Był to czterdziestoosmioletni wymoczek, chudy, zgarbiony, z zapadniętą klatką piersiową, na wpół ślepy bez okularów. Na szczęście teraz miał je na nosie. Resztki czarnych włosów farbował preparatem L'Oréal Henne (wskutek czego robiły się miejscami granatowe) i zaczesywał na pożyczkę. Jego współpracownikom wydawało się, że całe życie przechodził w jednym ciemnobrązowym garniturze w delikatne prążki w kolorze kawy z mlekiem, w rzeczywistości jednak garnitury były aż trzy, za to identyczne, ale o tym wiedziała tylko jego żona, Stefcia, z którą mieszkali na Stawowej pod piętnastym i poza wspólnym adresem właściwie już od lat nic ich nie łączyło. Dzieci nie mieli.

Piątek był solidnym człowiekiem, uczciwym w granicach normy, nieco leniwym i tylko kilka razy w roku zdarzały mu się wielkie pijatyki, w których zawsze gubił okulary, binokle czy co tam akurat miał. Najbardziej w życiu lubił spotykać się ze swoim policyjnym kolegą Kazikiem Mazankiem w restauracji Gastronomia przy Kamiennej, pić z nim piwo marcowe i kosztować specjalności zakładu, czyli po prostu mięsa pod każdą postacią, od kaszanki, przez golonkę, po kaczkę, które to plony polowań i świniobić przywoził zawsze świeże ze wsi fornal Michałko. Piątek żył więc po to, aby jeść mięso i popijać je piwem marcowym. W imię tego mógł znosić rozliczne niewygody, takie jak praca, wstawanie rano, upierdliwość „góry”, brak awansu ze względu na rzekome żydowskie pochodzenie, bezczelnych bandytów i alfonsów, równie bezczelne prostytutki, nielojalnych i podwójnych agentów, smród podłych spelunek, żydowskich grabarzy, tępotę niektórych swoich kolegów (Staśka Kawczaka, potężnej postury draba i idiota,

którego nigdy nie chciał mieć w swoim zespole, doprowadzających go do szachu posterunkowych Adama Pierozka i Walentego Kostańskiego itede).

Na miejscu zdarzenia panował nieprawdopodobny bałagan i czuć było ozonem. Za aparatem stał jak zwykle Karol, w ogóle lepszego składu ekipy nie mógł sobie wymarzyć: Jędrzek, Kazio, patolog Zbigniew Ziemkiewicz... Sami swoi. No, może poza mrukliwym posterunkowym z dzielnicy. Posterunkowi w ogóle mają coś z opryskliwych fiaków. Ale on zaraz zostanie przesłuchany i odprawiony. Wszyscy są ożywieni, żartują, jak zwykle na miejscu zdarzenia. Weselej jest tylko na sekcji. Inaczej te sprawy byłyby nie do przejścia.

– Nie no, tego się słuchać nie da!

Okno kuchni wychodziło na wewnętrzne podwórze kamienicy i właśnie z któregoś z mieszkań dobiegały te denerwujące odgłosy menueta. Mentorski, przemądrzały ton nauczycielki, wybijanie taktu: raz – dwa – trzy – cztery – raz – dwa – trzy – cztery, wciąż od nowa grana ta sama melodia, nie garb się, panna, postawa, i raz, i dwa... Potem coś po francusku i znowu odliczanie: *une – deux – trois – quatre... La posture, la demoiselle!*

Piątek wychylił się z okna i spojrzał w dół. Wśród stada gruchoczących gołębi siedział z nogami na pedale swojej maszyny ponury jak Charon ostrzyciel noży – do przepytania. Na podwórko wychodziły tylko kuchenne schody, za to ze wszystkich klatek, co niestety było czuć aż nazbyt dobrze. Opatulone w chusty kuchty wylewały z nich wprost na bruk podwórka wrzątek z kartofli, wyrzucały obierki i obgryzione kości, natychmiast porywane przez wyleniałe psy. Każda z nich mogła coś widzieć lub słyszeć. Chuda jak patyk służąca z zapamiętaniem trzepała dywan. Jakie na nim były kiedyś wzory, to mógł pamiętać co najwyżej najstarszy członek rodziny jej państwa. W głębi turkotał monotonnie magiel, a przed nim trajkotały dwie dziewczki w chustach. Buchało parą z pralni, mydliny płynęły po kocich łbach podwórka. Z przejścia między bramami wyszedł facet z zakrytym czarną opaską jak u pirata okiem i z akordeonem, na którym zaczął grać, śpiewając zdartym głosem żydowskie tango *Papirosen*. Przy żeliwnej umywalce w ścianie taplało się wokół kranu z zimną wodą jak wróble przy

fontannie kilku chłopców, mimo wczesnej jesieni ubranych wciąż w krótkie spodniki i w za dużych kaszkietach na głowach. W rogu trzech Żydów w czarnych chałatach, w kapeluszach z szerokimi rondami i z czarnymi księgami w rękach dyskutowało o czymś zapamiętałe. Piątek wiedział, że nie rozmawiają o niczym praktycznym, od rzeczy praktycznych były ich zahukane żony w perukach. Oni byli od rozważań o Bogu. Nie z tego świata.

„Cholerne ortodoksy, do roboty by się lepiej wzięli!” – pomyślał Piątek, który nie cierpiał Żydów, nazywał ich „parchami” i nigdy u nich nie kupował.

Czasami wydawało mu się, że nie rozpoznaje własnego miasta, że to jakieś dalekie, wschodnie podwórko, może w Indiach (najdalej i tak był z małżonką Stefanią w sanatorium w Truskawcu i była to wyprawa, do której szykowali się i pakowali przez miesiąc). Niemal w każdym oknie wietrzyły się ciężkie pierzyny. Na nich, jak kury na grzędach, tkwiły baby, dłubały pestki dyni, pluły nimi na podwórko i gapiły się cały boży dzień. Jezu, ile tego będzie do przepytywania... Te wszystkie głupie babska. Głuche i ślepe, kiedy raz mogłyby się przydać.

Odwrócił się do kuchni i spojrzał na leżący na stole bochenek chleba. Był spleśniały, zielony. Ci ludzie, którzy teraz są na dole, niczego ciekawego im nie powiedzą. Ewentualnie dowiedziałyby się czegoś od tych, którzy mogli tu być... z tydzień temu?

– Zbyszek, ile on ma tak na oko? – zapytał krzątającego się przy zwłokach lekarza.

– Na oko to chłop w szpitalu umarł.

– Zbysiu, ja ciebie baaardzo proszę!

– No wiem, wiem, o co ci chodzi. Od dwóch tygodni do tygodnia. Strzelam: dziesięć dni. A zobacz tu. – Wskazał piórem na czarną plamę na karku ciała, które do niedawna służyło podrzędnemu tenorowi z miejscowej operetki do czerpania radości z życia.

– Już czarna. Stara krew.

– Steżenie?

– A gdzie tam, jakie stężenie... Po takim czasie? Giętki jak rozgotowany makaron. Widzisz, że już pływa.

Ciało leżało na podłodze kuchni ułożone w sztucznej, teatralnej pozie. W kałuży cieczy.

– Ktoś go pobił?

– Nie, czemu?

– No a co to jest tu, takie czerwone?

– To wybroczyny... Posikał się już z nosa, z uszu, nawet z oczu... Ciało się uwadnia, to i cieknie. Rozkład jest to przejście ciał stałych w gazy i ciecze. Gazy się ulatniają, ciecze podlegają grawitacji, a więc wyciekają i wsiąkają w podłoże i koniec końców zostają kości. – Zbigniew Ziemkiewicz, stary patolog, recytował tę definicję przy każdej okazji. – Z powodu gazów trup śmierdzi, a z powodu cieczy cieknie. No ale niejeden już pomylił to z pobiciem, ponieważ te płyny mają kolor rozwodnionej krwi. To sine to też pośmiertna zmiana, a nie podbite oko. O, a tu nawet smugi dyfuzyjne. – Pokazał piórem marmurkowe zielonawe i fioletowe żyłki na opuchniętej ręce denata. – Jaki tydzień, dwa co najmniej! W mieszkaniu były zamknięte okna, co trzymało ciepło.

– Mieczysław Cieślak. Lat czterdzieści. Akurat miał zaśpiewać swoją rolę zycia, arię Boniego w tej nowej *Księżniczce czardasza*. Wiem, bom się wybierał. Wszyscy uważali, że dyrektor Malinowski dał mu wielką szansę. Ciekawe, co będzie z premierą... – Karol pstryknął ostatnie zdjęcie i zagwizdał pod nosem znaną arię operetkową *Jakże mam ci wytłumaczyć, ile tylko serce wie...*

– No to mamy motyw – zażartował Mazanek. – Zabił go konkurent do głównej roli. Teraz go zastąpi i zrobi karierę.

– Ciało – dyktował Piątek Kaziowi – leży na podłodze w wejściu do kuchni, ułożone w sztucznej pozie, w nawiasie pisz: „odgina się do tyłu, jakby tańczyło tango”, zamknąć nawias, ubrane tylko w czerwony japoński szlafrok dzienny, tak zwaną bonzurkę. Na rękach nie ma śladów walki, w kuchni także. Przyczyną śmierci jest podejrzenie gardła ostrym narzędziem, nożem lub brzytwą, jednak

nigdzie nie ma krwi. Mieszkanie otwarte, klucza w drzwiach brak. Służącej nie ma i nie wiadomo, gdzie jest, rozpytać. Co? Co ci powtórzyć?

– Po „krwi”...

– Mieszkanie otwarte, ech, ty... Kaziu... Sam bym szybciej to zapisał. Zdaje mi się, że tylko nasza panna Wanda potrafi szybko pisać. A czy to nie dziwne, że taki gwiazdor, i to jeszcze przed premierą, leży sobie całymi dniami niezauważony i nikt się nim nie interesuje? Ktoś powinien czegoś od niego chcieć praktycznie bezustannie, a ten sobie tu leży i gnije tygodniami... A co z próbami, co z kręgiem znajomych, przyjaciół, rodziną? O, jest nawet telefon. – Piątek z szacunkiem uniósł czarną ciężką słuchawkę. – Sygnał jest. Numer osiemdziesiąt dwa trzydzieści. Kwiaty w wazonie zwiędłe, woda śmierdzi. Czy on nie powinien dostawać bukietów, bilecików, nie wiem...? Być rozrywany? Co ty o tym myślisz, Kaziu?

Ruchliwy dwudziestosiedmioletni tajniak, Kazimierz Mazanek, węszył wszędzie swoim zadartym nosem, grzebał w szufladach, oglądał fotografie na fortepianie, ale na wszystkich bez wyjątku widniał Mieczysław Cieślak, dumny, upozowany i blady, sam ze sobą w związku małżeńskim, sam swój największy ukochany. Cieślak zadumany na tle kolumny i Cieślak w roli kamerdynera w słynnej roli „Panie, powóz zajechał”. Cieślak z różami i Cieślak w stroju pazia. I jeszcze z Zakopanego, z misiem na Krupówkach. I jeszcze z głową włożoną w otwór w planszy przedstawiającej atlasa z cyrku.

Mazanek wachał zwiędłe chryzantemy w wazonie, zaglądał pod łożko. Wyglądał jak piesek na tropie. Jego jak zawsze wypomadowane czarne włosy z przedziałkiem na środku opadły na oczy dwoma kosmykami.

– Melduję posłusznie: śladów kobity brak. Jest za to mnóstwo kiczowatych gówierek, plastikowych łabędzi udających kryształowe, sztucznych kwiatków i motylków. Facet miał pedalski gust.

– Szefie, ale tu płyt! – Jędrzek Klimuszko, starszy przodownik, z rumianymi policzkami i burzą jasnych loków wyglądający jak duże dziecko, zagwizdał z uznaniem. Za bordową kotarą stał piękny gramofon z tubą i leżało mnóstwo płyt

wytwórni Syrena-Electro. – Same najmodniejsze szlagiery! – Jędrak nałożył pierwszą z brzegu płytę na talerz i zakręcił korbą. Zabrzmiały rzewne tony skrzypiec.

– Panie Zieliński – Piątek zwrócił się do posterunkowego – co pan możesz powiedzieć o tym domu? A ty ścisz mi to! – krzyknął do Klimuszki. – Tu tango, tam menuet, a jeszcze te żydowskie miazmaty na dole... Zwariować można. – Piątek splunął na podwórko i wyrzucił na zewnątrz niedopałek papierosa Mewa, który na pewno wpadł komuś do mieszkania. No, to zaraz będziemy tu jeszcze mieli pożar. Zamknął okno. Natychmiast zaczęło znowu śmierdzieć trupem.

Istotnie, mieszkanie urządzone było kiczowato. Śpiewak operetkowy wyraźnie miał słabość do sztucznych kwiatków, szczególnie białych róż, białych i kryształowych łabędzi, maskotek, zdjęć piesków i kotków, złotych wstążeczek, szklanych kul ze sztucznym śniegiem w środku...

– Pisz: w garderobie, na stercie ubrań wywalonych z szaf leżały zwłoki psa Cieślaka rasy pekińczyk, ubarwienia białego, rzucone na podłogę przez Genowefę Florczak, która go znalazła i pomyliła z peruką.

Mazanek stał przed zamkniętą szafą. Klucza nie mógł nigdzie znaleźć. Swoim kompletem wytrychów potrafił otworzyć niemal każde drzwi, ale wobec szafy poczuł się bezradny. Żał mu było zniszczyć piękną robotę gdańskich stolarzy, w końcu jednak postanowił wyważyć drzwi. I stanął jak wryty.

– A nie, jest i kobieta!

Pierwsze, co przyszło mu na myśl, to atmosfera przebieralni girls w kabarecie Podbipięta, do której pełnić obowiązki służbowe wobec Ojczyzny, musiał raz wejść akurat w momencie, kiedy dziewczęta się przebierały. Zapach kobiecego potu, pudru, kosmetyków, lakierów do włosów, zmywaczy do paznokci, niezbyt czystych peruk. Wszędzie walały się baletki, pończoszki kabaretki, podwiązki, białe i czarne tekturowe cylindry, czerwone boa z piór, laseczki, pantofle na bardzo wysokich obcasach. Panienki przylepiały sobie pieprzyki na dekoltach... Ech, co to było! Jedna wyciągnęła papierosa zza podwiązki i dała mu takiego jeszcze

ciepłego. Bałagan panował tam nie z tej ziemi. Lustra obwiedzione mlecznymi żarówkami, a do tych lusterek i w ogóle wszędzie do ścian przyklejane były zdjęcia amantów: Dymyzy, Bodo, Brodzisza, Igo Szyma... Na lustrach, pośród okrągłych jak serduszka odcisków ust i kartek z rozpisany programem, nabazgrołone szminką różne „Jadzia, kurwo, oddaj mi te dwadzieścia złotych!”.

Teraz patrzył na pięć drewnianych „główek”, na których tkwiło pięć różnych peruk: rude loki, czarne krótkie, przystrzyżone z równą grzywką na czole jak hełm, według ostatniej mody, z zaczepioną już opaską, z umocowanym z boku kwiatem... Przed Mazankiem leżały puder Śnieg Tatrzański, słoiczek kremu Tokalon, sztuczne rzęsy i tubka tuszu, pomadka, flakon perfum Guerlain Shalimar, zalotka, czarne boa z piór, perły, paczka prezerwatyw OLLA, które reklamowano między innymi hasłem „Prędeż serce ci pęknie!”. Leżała tam też puszczone pomady na porost włosów Anny Csillag. Poza tym w szafie wisały sukienki, wytworzone czarne rękawiczki sięgające pach, mufki, a na samym dole leżała duża porcelanowa, dziwacznie ustrojona lalka. Podczas gdy wszyscy zgromadzili się przed szafą, Karol znowu narzucił sobie na głowę czarny materiał chroniący go przed magnezją i zaczął robić zdjęcia.

– Peruka to jeszcze nie kobita, Kaziu. To jest gust albo bogatej kurtyzany, albo mężczyzny przebierającego się za kogoś takiego. Ho, ho, jeśli on wychodził w tym z domu, to nasz obszar poszukiwań bardzo się poszerza...

– Męska kokota – potwierdził od razu Mazanek, który lubił niektóre „przeięte” wyrazy i rozkoszował się nimi. Azaliż nie był on męską kokotą? Jaja *de cocotte*?

– Panie Zieliński, pan tu jest posterunkowym, może pan coś wie o Cieślaku i w ogóle o tym domu?

– Co ja mogę powiedzieć? Zgłoszeń żadnych ani awantur nie było, pan Mieczysław mieszkał sam. Sąsiadów popytać, stróża. No i w teatrze.

Piątek nie cierpiał, kiedy ktoś o tyle niższy rangą udzielał mu rad, na dodatek zupełnie oczywistych. Właśnie miał iść do stróża, którego żona po odnalezieniu zwłok pielęgnowała teraz w oficynie, ale w tym momencie się wstrzymał, żeby nie

wyglądało na to, że idzie, bo mu kazał ten posterunkowy! Patrzył, jak Zieliński odruchowo bierze do ręki znaną w szafie porcelanową lalkę, która teraz leżała na stole.

– Gdzie mi pan dotykasz, nie były jeszcze ściągane odciski palców! – huknął na niego. Wcale nie zamierzał ich ściągać, ale skoro się rzekło, to teraz już musiał posypać główkę lalki rdzawym proszkiem. Bez żadnej dbałości o te odciski wyrwał posterunkowemu zabawkę i rzucił z powrotem na stół. Przyjrzał się jej. Jak większość pięknych, drogich porcelanowych lalek niemieckich z końca dziewiętnastego wieku miała minę psychopatki i seryjnej morderczyni wtopioną w niewinną i puciołowatą twarzyczkę dorodnego niemowlaka. Niestety dziecko to miało też usta czerwone jak ulicznica, wypieki niczym gruzliczka, ponadto długie rzęsy, perukę i kapelusz z woalką. Głowę można było odkręcić. Coś było w środku.

– Panu już dziękujemy, panie Zieliński – powiedział złośliwie Piątek.

Po wyjściu posterunkowego wszyscy zgromadzili się wokół odkręconej głowy lalki. Piątek potrząsnął nią. Na stół posypały się małe zwiłki papieru. Jak więzienne grypsy. Rozwinął jeden z nich i zdębiał. Ta sprawa nabierała nieoczekiwanej głębi.

– Szefie, to...

– Przecież to!

– Tak! To...

– Tylko nie to!

– Jasna cholera!

Z głowy lalki zsunęła się peruka, odsłaniając sinobiałą porcelanową łysinę dziecka. Ze środka wysypało się około dwudziestu zwiłków papieru. Na każdym wykaligrafowano damskie imię, nazwisko i adres. Wszystkie te dane były doskonale znane policjantom. Piątek potrafiłby je wyrecytować obudzony o trzeciej nad ranem nawet po jednej z tych swoich parszywych pijackich nocy, kiedy to „taka noc październikowa niewierna”, że tylko „upić się warto”. Nawet lepiej od nazwisk pamiętał adresy. Pod każdym z nich musiał się stawić o jakiejś podłej porze. O czwartej nad ranem. Każdy z tych adresów oznaczał dla niego kupę

roboty. Każda z tych spelun została dokładnie obfotografowana przez Karola Maślankę, ich wesołego fotografa. Każda z nich była wrzodem na dupie, wyrzutem sumienia. Każda była stacją policyjnej męki i poniżenia.

– Nie dotykać! Nie rozprostowywać reszty zwitków! Odciski palców!

Krowia osiem w suterenie. Marianna Cisek. Tak, od tego wszystko się zaczęło... Sprawa Kucharza... Przeklęta, paskudna, zła, zła, chora i perwersyjna, nigdy nierozwiązana sprawa Kucharza! Dziesięć lat wstydu!

Dziesięć lat wcześniej. Listopad 1920, niedziela, godzina jedenasta w nocy

Za oknami zacinał deszcz ze śniegiem. Nieliczni przechodnie przemykali pod ścianami kamienic, wiatr wyrywał im parasole i strącał z głów meloniki. Ich twarze, ledwo oświetlone sinym światłem gazowych latarni, miały trupiofioletowy odcień. Świeżo upieczony młodszy przodownik policji Adolf Piątek bardzo się cieszył, że nie musi nigdzie wychodzić. Siedział w szlafroku i pił wiśnióweczkę. Właśnie chciał położyć się do łóżka z książką Kadena-Bandrowskiego *Łuk*, nowością sprzed roku. Nie miał jeszcze żony, nie mieszkał jeszcze na Stawowej, tylko gnieździł się na Wodnej w naprawdę kiepskich warunkach. Musiał się myć w misce i chodzić do wychodka na podwórko. Nikt w okolicy nie miał telefonu i Piątek mógł liczyć na to, że nic nie zakłóci mu wieczoru. Ba, telefonu nie było wtedy nawet na jego komendzie, ponieważ wciąż panowała nędza po odzyskaniu niepodległości i z oszczędności władze ustaliły, że urzędy takie nie potrzebują tego pięknego wynalazku. Jeśli ktoś zauważy naruszenie prawa, może przecież zadzwonić do pobliskiego sklepu. Akurat tak się złożyło, że był to mięsny o wszystko mówiącej nazwie Mięso. Morderstwo komunikowano zatem, dzwoniąc do sklepu mięsnego, a jeśli to była noc, wtedy zaspany rzeźnik w szlafmocy, przeklinając swój obowiązek, musiał udać się z tą wiadomością do pobliskiej komendy i ją przekazać. Piątek niezbyt wierzył w skuteczność takiego przepływu informacji i dlatego miał poczucie niezmaconego niczym spokoju. Zastanawiał się, czyby nie ufarbować wąsów. Uznał to za dobry pomysł, zaczął więc rozrabiać w miseczce stosowne czarnogranatowe mazidło i nakładać je na wąsy starą szczoteczką do zębów.

Wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi. Zignorował je. Powtórzyło się. Natarczywie. Stróż. Stróż Antoni z posterunkowym. Była wiadomość od rzeźnika. Trup. Krowia osiem. Podły adres. Gorszy nawet od Wodnej. I już rozpaloną od wiśniówki twarz młodego przodownika biczował lodowaty deszczyk ze śniegiem, już wiatr wyrywał parasol, lakierki tonęły w kałużach i w błocie ulicy Krowiej, pozbawionej kanalizacji, pozbawionej prądu, telefonów, pozbawionej wszystkiego. Już deszcz podstępnie rozmazywał granatową farbę z wąsów, o której Piątek zapomniał, kapiała mu na usta, brodę, szal i koszulę. Nic o tym nie wiedział. Obskurne robotnicze baraki, zbutwiałe sławojki na podwórkach, wszechobecne gruchotanie gołębi dochodzące z obsranych białym łajnem gołębników, gruźlica, szkorbut, anemia, próchnica zębów, zadymka... Kałuże, błoto, furmanki, baby w chustach. Pani Pieniążkowa, zaaferowana kobiecina z kłębkami waty w uchu i w papilotach, nie miała oczywiście telefonu, pobiegła więc do apteki Pod Trzema Murzynami zadzwonić do rzeźnika, zakręciła korbą aparatu i krzyknęła: „Trup!”, rzeźnik zaś westchnął, narzucił na nocną koszulę futro i popędził na komendę, a z komendy zaraz posłano po Piątka.

– Pani Pieniążek, a może to coś z kanalizacją, może szambo wybiło i śmierdzi?

Kobiecina aż się nadeła z oburzenia i siąpnęła nosem. Miała straszliwy katar i jęczmień na jednym oku.

– Panie władza, u nas nie ma żadnej kanalizacji! Kanalia to może niejedna by się znalazła, ale nie kanalizacja! – zachrypiała gruźliczym śmiechem, który nikomu się nie udzielił. – U nas jest sławojka, jak pan hrabia chce zobaczyć, to zapraszam... A ja z wielkiej wojny dobrze pamiętam, co tak śmierdzi, i powiem panu, że jeszcze potrafię odróżnić ten specyficzny zapach od kanalizacji... Żadna mi antrakcja! W czasie wielkiej wojny, dwa lata temu, w tysiąc dziewięćset osiemnastym, kiedy nastąpiła hiszpanka, upały były straszne. Co ktoś zachorował, zaraz sam zostawał w mieszkaniu, nikt mu nie chciał pomóc, nikt! Ja też zachorowałam i byłam pewna, że już po mnie. Przez tydzień nikogo na oczy nie widziałam, tylko leżałam w piwniczce i się pociłam, a kijem, kijem mi przez piwniczne okienko podawali chleb i wrzątek! Kijem. Jak jakiemu zwierzątku.

I zaraz ten kij zabierali, uciekali, żeby się nie zarazić, nawet nie wiedziałam, że wojna się skończyła i wolność dla Polski nastąpiła. Byłam taka osłabiona, że nie mogłam się doczołgać do tego chleba. Ale ten smrodek pamiętam, bo w sąsiedniej piwnicy Karolkowa nie miała tyle szczęścia co ja, ja to jednak jestem mocna! I się ześmierdła. Szczęła. A ja musiałam to wachać cały tydzień w tym upale. Leżałam i tylko słuchałam brzęczenia roju much. Potem, jak ją zobaczyłam, to była cała czarna na pysku. No to przecież czuję, że ta też się wzięła i ześmierdła, myślę sobie, nic tylko do apteki lecieć, no to poleciałam w środku nocy! A panu stójkowemu to coś granatowego cieknie z wąsów...

Zaaferowany stróż, człowiek krągły jak beczka, z podkreśnionym wąsem i w szelkach, walił w drzwi mieszkania w oficynie, jakby ktoś mógł mu otworzyć, jakby smród – tak dobrze znany Pieniążkowej i Piątkowi – nie mówił: „Nikogo nie ma w domu!”.

– Pani Marianno! Proszę natychmiast otworzyć!

Pieniążkowa i Piątek spojrzeli na siebie z powątpiewaniem.

– Równie dobrze możesz pan kocioł namawiać, żeby zatańczył – zachrypiała z satysfakcją Pieniążkowa swoim gruzliczym, niezaraźliwym śmiechem, w którym pokazywała metalowe zęby. Potem splunęła i dodała: – Takie tak kończą. Jest kara na szczęście.

– Nie wal pan tak! Lepiej powiedz, kto tam mieszka!

Pieniążkowa załamała rękę.

– Jak to kto mieszka?! To ja panu władzy nie powiedziałam? Kokota, lafirynda mieszka, Mańka, co gruzlicę ma, a jeszcze się puszcza pod latarnią na Krawieckiej! A raczej mieszkała. Tu, w oficynie, wynajmowała pokój umeblowany bez wygod. – Skrzywiła się.

– A numerowy gdzie?

– A idzie.

Ignacy Zawadzki, numerowy pokoiów umeblowanych przy ulicy Krowiej osiem, szedł, kulejąc, ponieważ jedną nogę odcięli mu bez znieczulenia podczas

wielkiej wojny i teraz miał drewnianą. Jego mordą można by spokojnie straszyć niegrzeczne dzieci. Była blada, chuda i szewska, zła jak osa i chciwa jak kwit za pralnię. Niósł pęk kluczy, znalazł jeden i podał przodownikowi.

– Sam pan otwieraj – powiedział Piątek.

– A nie, nie, ja się tego nie tykam. Potem będzie na mnie. Ja za wrażliwy jestem! Pan stójkowy niech otwiera komisyjnie! – wykręcał się Zawadzki. Najwyraźniej z całego towarzystwa tylko stróż nie znał jeszcze dobywającego się zza drzwi smrodu i nie miał świadomości, że „panna Mania nie gra już na mandolinie”.

W końcu Piątek otworzył. Smród buchnął im w twarze. Weszli do najnędzniejszego mieszkanka, czyli pokoju trzy metry na trzy. Na owo słynne „umeblowanie” składały się wąskie żelazne łóżko z nogami stojącymi w puszkach po konserwach napełnionych wodą (która już prawie cała zdążyła wyparować), aby nie wchodziły do niego pluskwy, stół z poobtłukiwaną miską (na dnie resztką wody również pełną utopionych pluskiew) i z kawałatką szarego mydła, nocnik, dywanik, parawanik i święty obrazek przedstawiający małe dzieci chronione błękitnym płaszczem Matki Boskiej. Na stoliku niedojedzona bułeczka, której zęby Pieniążkowej nie dałyby już rady. Na łóżku leżała najemczyni pokoju umeblowanego, uduszona własną pończochą, nareszcie wolna, nareszcie bez zobowiązań finansowych. Wytrzeszczała na swoich gości jak gdyby wypchnięte z głowy oczy, wywalą z ust czarny język. Twarz była granatowa. Do zapachu rozkładu dołączył fetor uryny i kału. Na trupie dziewczyny, mimo puszek, roило się od pluskiew i innego robactwa.

– Jak to? – przeraził się stróż. – Toż ona z komornem zalega! Panie Ignac – zwrócił się do numerowego – ona zalega?

– Ano zalega – westchnął numerowy. – Ze wszystkim zalega.

– He, he, i już zaległa na amen! – zachrumkała Pieniążkowa.

Nagie ciało przykryte było brązową chustą z frędzlami. Piątek zsunął ją. Pieniążkowa jęknęła. Brzuch dziewczyny był otwarty, wszędzie walały się

bebechy, a następnego dnia doktor Ziemkiewicz długo i starannie mył ręce mydłem Jeleń Schicht pod kranem nad blaszaną umywalką. Nawet on był blady.

– To kucharz. Wykroił sobie... Ona była w ciąży. On sobie ten płód zabrał.

– Ale czemu akurat zaraz, żeby zjeść?

– Czemu? – Obrócił ciało, pokazując pocięte pośladki. – Bo on sobie wyciął tak... Nie wiem, jak to powiedzieć... Tak jakby kulinarnie... Cholernie to jest kulinarnie... Jak dwa befsztyki. I grasica.

Od tego czasu zaczął się tur po nędznych mieszkaniach, przypominający Piątkowi dziwnie nierealny koszmar senny, z którego nie potrafi się obudzić. Kolejne klitki w suterdach lub na strychach, bez wygod, pokoje umeblowane, w których latem panuje potworny upał, a w zimie mróz, pokoje z piecykami typu koza grożącymi zaczadzeniem, z rurą wyprowadzoną na zewnątrz przez okno. Bez prądu, bez wody. Kolejne wytrzeszczone oczy patrzyły z wyrzutem w obiektyw. Kolejne wycięte

grasice

połędwiczki

kotleciki

płody

sznycle

serca

nerki

wątróbki

języki

sutki

mózgi

policzki

szyneczki

karkówki

rostbefy

słoninki

żeberka

golonki

schabiki

a wszystko tak bardzo kulinarne, że mózgi w mózdzki, serca w podroby, a kawałki mięsa w krwiste steki się zamieniały...

Kolejne grube sąsiadki opatulone podomkami robiły dwuznaczne miny i z pogardą, ale i z wścibską ciekawością rozglądały się od progu po wnętrzu, do którego nigdy za życia najemczyni nie zostały wpuszczone. Kolejni właściciele mieli nie dostać zaległego czynszu...

Siódmy listopada 1930

Wszystkie te nędzne adresy w podłych dzielnicach z czasów sprawy Kucharza leżały teraz przed policjantami elegancko wykaligrafowane na zwitkach papieru, jak ubogie wizytówki śmierci. Błyskała magnezja – Karol Maślanka uwijał się przy aparacie. W pokoju pachniało ozonem, burzą, deszczem, słońcem, choć za oknem nie było żadnego z tych żywiołów.

Piątek poszedł przepytac stróża. Andrzej ściągał odciski palców, sypiąc wokoło rdzawym proszkiem. Zbigniew Ziemkiewicz telefonował po ekipę, która mogła już przyjechać i zabrać zwłoki. Chciał jak najszybciej ruszyć z sekcją. Nie należał do lekarzy, którzy pracują w wyznaczonych godzinach, i nie zamierzał czekać do rana. To będzie noc w prosektorium. Bez duchów, bez strachów, pełna beznadziejnie trzeźwej, racjonalnej śmierci pod postacią czerwonego mięsa w ostrym świetle lamp. Gdzie serce wygląda jak przerośnięty tłuszczem krwawy ochłap, a nie piękne serduszko z pocztówki z rumianymi amorkami. Ta sekcja obejdzie się bez młodego pomocnika – Stefana Janickiego, który bardzo precyzyjnie przestrzega czasu pracy i o tej porze pewnie baluje gdzieś w kawiarni dla bohemy, żeby jutro pojawić się w robocie blady i słaby.

Kazimierz Mazanek rozmawiał z sąsiadami.

Stróż Antoni Florczak był po odnalezieniu zwłok wciąż w szoku, w przeciwieństwie do jego żony, której Piątek za nic nie mógł się pozbyć z pokoju. W końcu mu się udało, ale musiał naprawdę podnieść głos.

- Pan Mieczysław bardzo porzownie się prowadził.
- Co to znaczy, że się porządnie prowadził?

– No, żadnych pijaństw nie było, nikogo sobie nie sprowadzał... Tylko czasem z tym drugim, panem Wojciechem, śpiewali operę na dwa głosy. To to się somsiadom nie podobało, ludzie już chcieli spać, a ja tam nawet lubiałem posłuchać, zaczynałem się z miotłą przy drzwiach. Ja się zaraz wzruszam, takie bardziej delikatne ustrojstwo psychiczne mam. Jeszcze jak sobie łyknąłem bimberku, to regularnie jakby mi kto szmalec na duszę rozmazywał. A oni tam ze środka: że „nie ma dziewcząt w naszej chacie”. Albo jeden damskim głosem śpiewał, że kocha, że tęskni, że jest nieboga, olaboga, a drugi męskim basem jakby cynicznie, jakby go gasił. Znaczy ją. Tą Halkę. A wtedy ona, panie, zamiast się zamknąć (widać jej w łeb dał), to w takie tryle, w takie krzyki uderzała: Jaaaaaaanusz, że aż się szyby trzęsły. A znowu on jak nie huknie na nią: paszła won, suka pasljedniaja! Gdzie do pałacu się pcha bez butów?! Won! Ja ci na psucie się nie dam, kto wie, czy to moje w ogóle? Sama się psuj. Gdzie mi z tym bębniem pod pałac, jak to nie mój bękart?! A ona, że jak nie da, to ona będzie się truła jodyną. Albo sublimatem. I chyba musiał jej w końcu czymś cięższym przyłożyć, bo zaczęła już ciszej, cienie śpiewać, jakby do siebie. Tak kwilić. Jak moja, kiedy się jej przyłoży. Idzie do garów, coś tam pichci na blasze i pod nosem se łka. To on też już tak jakby z większą delikatnością i ciszej: nu, haraszo, nu, cichaj już, bładz syberyjska!

– Z jakim panem Wojciechem?

I tu się zaczęły schody. Stróż zaczął się drapać w głowę, robić miny...

– No wie pan...

– Nie wiem.

– No, jak to... artyści...

– Panie Florczak! Jak pan mi się będziesz tu głupio uśmiechał, to pojedziemy na policję i przymkniemy na dwadzieścia cztery godziny! Potrzebne to panu?

– No tacy artyści. – Antoni Florczak wykonał odwieczny ruch biodrami.

– No. I tak ma pan odpowiadać. Nie artyści, tylko sodomici. Pederaści, tak? Konkrety. Co to za pan Wojciech? Ma jakieś nazwisko?!

– No, na pewno ma. Ale na nim to już moja żona się lepiej zna. Ona żyje tymi sprawami.

– Kto ich odwiedzał?

– Raz wieczorem wychodzę na schody, a tu do Cieślaka idą dwie wysokie lale. Wyrośnięte takie. Idą se z papierosami w czarnych lufkach, chyba na pół metra, ubrane, jakby z rewii szły. Jak manekiny ze sklepu. Twarzy nie widziałem, bo one wchodziły już na piętro, kiedy ja na nie z parteru przyfilowałem.

– I co pana w tym tak zdziwiło?

– No że tacy jak oni, po co im takie lale? Poza tym za wysokie były, bardzo wysokie, nieludzka to rzecz... A te lufki niby na pół metra, a nie rzucały cienia... Wie pan, tu... w tej kamienicy niedawno zabili taką jedną.

– Rany boskie! Kazik! Chodź, posłuchaj! Kiedy to było, panie Florczak?

– A z dziesięć dni temu. Mogłaby już dać nam spokój.

– Ale jak ją zabili?

– A udusili. Gach udusił, co z nim żyła.

– Znaleźli go?

– A nie...

– To skąd wiadomo, że gach?

– A kto? Sprowadzała sobie byle kogo. Też i specjalnie nie szukali chyba, ot, takie zawsze tak kończą. Tylko dałaby już nam spokój.

– Czyli pan uważa, że to był duch tej zabitej? A tamta druga? Co? Koleżankę sobie przyprowadziła?

– A tamtej drugiej to ja twarz dojrzałem przez chwilę. Ale wolę nie mówić, bo to doprawdy niepodobne.

– A dołek podobny do prawdy? Na dołku chce pan dziś wylądować? Z zabójcami, złodziejami, alfonsami? Którzy w malutkiej celi słoczeni bekają, pierdzą, rzygają i dobierają się innym do tyłka?

– Kiedy mi nijak mówić o tym. Bo mi pan władza nie uwierzy. Po twarzy to był sam pan Cieślak. Musiał już nie żyć, to i jako duch się z nią spiknął. Może i śmierć

go wyleczyła i za babami się na tamtym świecie zaczął oglądać. Albo właśnie umarł i ona go na drugą stronę do siebie zabierała.

– Jak to? Kiedy to było? Cieślak żył jeszcze?

– A ja wiem, ile leżał? Z dziesięć dni temu. Musiał już nie żyć. Jakby inaczej jego lufka nie rzucała cienia?

– Panie Florczak, jakbyś pan wkręcił tu kiedy nową żarówkę na miejsce tej ukradzonej, toby może wszystko zaczęło rzucać cień! No, to pan sobie pójdzie teraz do siebie i pan sobie przypomni, panie Florczak, co do minuty, kiedy to było. To teraz najważniejsze! I żonę nam przyprowadzi! A tę kobietę pod którym zabili?

– W suterenie mieszkała. – Mazanek z Piątkiem spojrzeli po sobie zgnębieni. Wyglądało na to, że za wcześnie wygnali rewirowego.

– Idź pan po żonę i zastanów się pan, kiedy widziałeś te dwie postacie.

– No i mamy jeszcze jedną sprawę Kucharza. Sprawa w sprawie.

Kazik podrapał się w głowę i jęknął. A mieli dzisiaj iść do restauracji Gastronomii na swoją cotygodniową ucztę.

Żona Antoniego Florczaka, stara Florczakowa, baba wścibska i rubaszna, rzeczywiście „żyła tymi sprawami”. Rozpierała ją duma, że to ona odnalazła zwłoki, była ożywiona i bardzo, bardzo ciekawa.

– Jak oni to robią, skubani, niech mi pan władza powie. Pan to się na tym brudzie zna, oj, zna... Że w kiszkę? Jeden się ponoć wypina, a drugi mu w jelito wjeżdża, olejem, smalcem posmaruje i wjeżdża – odpowiedziała sama sobie. – Wjeżdża, co? Hę?

– Dokładnie tak, moja dobrodziejko.

– Oj, to tam brązowo szybko się robi, szybko... Brązowo, hę?

– Czasem i brązowo, a jak lepsze towarzystwo, to lewatywę sobie robią. Zaspokoiliśmy już pani ciekawość?

Piątek z Mazankiem z trudem utrzymywali poważne miny. Mazanek jednak szybko posmutniał, bo kiszka i „brązowo” zaraz skojarzyły mu się z pyszną i słynną kaszanką, która ich dzisiaj ominie...

Ciekawość Florczakowej jednak nie została jeszcze w pełni zaspokojona.

– Ostatnie pytanie, panie władza. Ale to chyba musi nieźle boleć, co? Tak tylnym wejściem? Jakby się, z przeproszeniem uszu, kupę za twardą robiło, wielką, co to się przeciska...

– Może boli, może nie boli. My tego nie próbowaliśmy.

– A podobno u trupa to można poznać po dupie, czy dawał. Mo... można? Że rozszerzony, porozciągany...

– Niech pani porozmawia z naszym patologiem, doktorem Zbigniewem Ziemkiewiczem, on pani wszystko wyjaśni bardzo dokładnie, może panią nawet na swoją asystentkę weźmie, bo ten jego asystent Janicki to głównie pomadą do włosów się interesuje.

– Pomadą! To może on też taki!

– Na pewno taki, na pewno, ale teraz pozwoli pani, że my zaczniemy panią wypytywać.

Usta baby ułożyły się z ciekawości niemal w trąbkę. Cała była znakiem zapytania.

– Proszę mi powiedzieć: czy Cieślak miał służącą?

– No właśnie nie miał! Skąpy był strasznie. Ja mu sprzątałam raz na tydzień.

– Grzebała mu pani w rzeczach? Tylko, proszę, szczerze.

– Tro... Trochę.

– Znalazła pani u niego coś dziwnego?

– No, lalkę miał, peruki. Myśli pan, że za babę się przebierał? A kosmetyki jakie!

– Kiedy pani u niego sprzątała po raz ostatni?

– Dwa tygodnie temu. Zawsze miałam zabronione przychodzić, dopóki mnie nie wezwał. Zachodziłam w głowę: wezwie mnie, nie wezwie? Myślałam, że wyjechał. Wyjeżdżał czasem na koncerty gościnne z tym swoim teatrem.

– Był w domu, kiedy pani sprzątała?

– Był, ale zaraz wyszedł, bo nie lubił kurzu.

– W mieszkaniu wszystko wyglądało normalnie?

– Najnormalniej w świecie i on też był normalny, chociaż czy to można powiedzieć o kimś takim, że normalny? Ale był jak zawsze, znudzony. Pani Florczakowa, kwiaty proszę mocniej podlać niż ostatnio, bo pozdychają. Nawet mu się nie chciało samemu kwiatów podlać... A może i dobrze, bo jak podlewał, to przelewał. A miał aloesy, one nie lubią dużo wody... O, kaktusy na oknie, sam pan widzi. Zasadniczo delikatny był, hrabia, co nie zarabia. Jak chciałam się go pozbyć z mieszkania, żeby sobie trochę odsapnąć, bo dopóki mi tu siedział, to musiałam robić bez przerwy, ale wystarczyło, że tylko szmatą mocniej trzepnęłam, to on już był w przedpokoju, że idzie do kawiarni, bo kurz mu szkodzi. Tego pieseczka swojego, co mu też gardło poderżnęli, to znaczy tą Pizdeczkę, brał i już go nie było. Ale coś wam pokażę. Myślał, że przede mną się coś ukryje, ha, ha! – Pani Florczakowa podeszła do półek na książki i z jednej z nich wyjęła zdjęcie. Przedstawiało zakneblowanego nagiego mężczyznę leżącego na podłodze w czymś, co przypominało lochy czy piwnice. Leżał, a nad nim stał inny goły facet, ale w masce kata, i kapał na niego woskiem ze świecy. Oglądając fotografię, Florczakowa znowu zaczęła się śmiać.

– Nie widzę w tym niczego śmiesznego – powiedział Piątek grobowym głosem.

– Ani ja – dodał Mazanek.

– A bo śmieszne jest dopiero, jak się wie, kto to leży, ha, ha!

– Pani wie, kto to jest?

– Tu się kryje tajemnica jego nagłej głównej roli! Ano sam dyrektor miejskiej operetki, Malinowski, ha, ha! I on należy do sanacji. I tacy ludzie mają nas uleczyć, ha, ha!

6

Zacinał wstrętny jesienny deszczyk. Nina Stukonis, pseudonim „Ninel”, siedemnastoletnia girlsa kabaretowa, stała na ulicy Dobrej. Marzła, zacierała dłonie bez rękawiczek i patrzyła jak głodny pies na najedzonych mężczyzn z laseczkami i w melonikach wychodzących z restauracji Gastronomia. Puszczali bomby wonnego dymu z fajek i wielkich cygar. Z otwierających się raz po raz drzwi lokalu wydobywały się ciepło i gastronomiczne zapachy. Odbijało jej się próżnią, ostatni raz jadła wczoraj rano, ze swoją przyjaciółką Karolą Martyniuk, wątrobiankę prosto z kieszki, z gazety, i zagryzła ją połową obwarzanka. Już od miesiąca szanowna dyrekcja kabaretu To i Owo tak dba o ich linię. Żeby tego cholernego parcha Goldbauma szlag trafił! Ale dobrze mu tak, kabaret mu padnie lada miesiąc. Tylko że znowu trzeba będzie szukać czegoś nowego i kto wie, czy nie na prowincji. One z Karolą trzymały się razem, jakoś to rażniej w tych niepewnych czasach. Żeby tylko coś zjeść, bo wieczór będzie ciężki, nowy program mający uratować kabaret był piekielnie skomplikowany, wymagający fizycznie, z bardzo krótkimi przerwami na przebiórkę i papierosa. Którego zresztą i tak nie ma i trzeba będzie go wydebić od Mędrzeckiego, a łatwiej wycisnąć z kamienia oliwę... Boże, jak jej się chce palić! Woli nie jeść niż nie palić! Oczywiście mogłaby zgodzić się na tę propozycję, którą dostała od Babińskiego i tego całego Władymyra. Tak... To zmieniłoby jej sytuację materialną. Mogłaby się wyprowadzić ze wstrętnej wspólnej kwatery u złośliwej Raszpli, Frau Dorothe Hensel na Krawieckiej dziesięć, mogłaby jeść jak człowiek. Tyle że gdyby na to przystała, już nie byłaby człowiekiem... Na razie jeszcze się wstrzyma. Pakt z diabłem zostawi na koniec. Babiński i ta jego banda to prawdziwe piekło.

Nagle na rogu Dobrej zatrzymał się automobil, jakiś facet zawołał na nią ze środka afektowanym, pretensjonalnym tonem:

– A co też panienka sama robi tak na rogu? Zapraszam, podwiozę panienkę...

Twarzy Nina nie widziała, ale głos był wyjątkowo obleśny. Sądząc po nim, trudno było spodziewać się po facecie czegokolwiek dobrego. Ale z automobilu doszedł ją zapach doskonałych papierosów jej ulubionej marki Egipskie... Nina przełknęła ślinę.

– Jeżeli poczęstuje mnie pan papierosem...

Weszła do samochodu, który natychmiast ruszył w nieznanym kierunku.

Posępny Olle, stary alfons i złodziej, obecnie pucybut i złodziej, był zadowolony ze swojego stanowiska naprzeciwko kabaretu To i Owo, wywalzonego tylko dzięki wsparciu mafii Limoniadowego. Pucybuci mieli swoje rewiry, dokładnie tak samo jak kieszonkowcy, kurwy, żebracy i cała reszta ciemnych sił miasta. Walczyli o nie często krwawo. Bo takie miejsce to nie byle co! Idzie sobie facet do eleganckiego tingla i nagle, przed wejściem, stwierdza, że ma brudne buty. Albo ma czyste, ale chce się poczuć „odświeżony”. A jak jest błoto, to już w ogóle raj. I wchodzi se w bucikach jak nowych na czerwone dywany, usłużny boy, ubrany na szaro, otwiera przed nim drzwi. No, lekko już może spłowiały te czerwone dywany i z dziurami powypalanymi od papierosów, ale jednak dywany. Mija migający czerwonymi i białymi żarówkami napis:

DZIŚ PREMIERA! SARA BERG! MIŁOŚĆ, RAZ! DZIŚ PREMIERA! SARA BERG!
MIŁOŚĆ, RAZ! DZIŚ PREMIERA! SARA BERG! MIŁOŚĆ, RAZ!

I wkracza czystą nogą do eleganckiego lokalu.

But to wizytówka. Buta i zębów nie podrobisz. Jeśli jesteś bida, to zawsze coś z nimi będzie nie tak! Posępny Olle od dawna nie patrzył na twarze, przez cały dzień przewijały mu się przed oczami stopy. Świadczyły niestety o pogłębiającym się kryzysie. Całe zastępy tanich zniszczonych butów, butów nieszczęśliwych, butów rozepchanych odciskami na palcach, butów, które nigdy nie były w teatrze. Dobrych znajomych szewców, wiele razy łatanych, flekowanych, zelowanych... Złe, wykoślawione buty wypełniały złe stopy, zmęczone, opuchnięte, koślawe, ze zgrubiałymi piętami, nogi w brudnych skarpetach, w łatanych pończochach. Najgorsze były damskie pończochy z posklejanymi lakierem do paznokci dziurami,

pocerowane, szare, zakurzone, wykwit ulicy. Ale oczywiście zdarzało się też, że przed nosem Posepnego Olle pojawiały się czarno-białe dziurkowane gangsterskie półbuty.

Jego pseudo wzięło się stąd, że był kiedyś, w latach tysiąc dziewięćset – tysiąc dziewięćset piętnaście, alfonsem i zawsze zmuszał swoje dziewczyny, aby oddawały się klientom w kondomach, ale tylko firmy OLLA. A one, te idiotki, za byle dopłatą zgadzały się bez. Pracował nawet z samą Anielą Gołowąs, najstarszą panienką w mieście. Teraz jednak częściej miewał do czynienia z pastami do butów Murzynek, Negro, Dobrolin, Czarnolin, Kiwi, Skóroblask, szczotkami oraz pachnącymi terpentyną szmatkami w kolorach brązowym i czarnym. Jego stanowisko składało się z czarnej drewnianej skrzynki, na której klient opierał stopę w bucie, z drugiej z przyborami i z tak zwanego tronu, na którym co bardziej leniwi siadali, aby nie musieć stać podczas czyszczenia. W starym, sfatygowanym meloniku, cały na czarno, Posepny Olle wyglądał raczej jak kominiarz i niektórzy przechodnie odruchowo łapali się za guzik. A przecież on jeszcze nigdy nie przyniósł nikomu szczęścia...

Nieważne. Wszystkie te kurwy na pewno już dawno nie żyją. Poza nieśmiertelną Anielą Gołowąs. Z samej tylko stajni Posepnego Olle trzy straciły życie dziesięć lat temu z rąk Kucharza. Akurat dwie z nich nawet lubił, mogły wyjść na ludzi. Halina – drobna, niedożywiona, wiecznie obgryzająca paznokcie blondyneczka, nieprotestująca, gdy chciał za darmo i od tyłu, oddawała mu się pogodnie i naturalnie, jakby rozwieszała pranie, jakby prasowała, podśpiewując pod nosem. Nie rozpoznał jej, kiedy gliny zaprowadziły go do taniej mansardy, gdzie leżała goła, zmasakrowana... Ale mimo wszystko nie przekazał im wtedy pewnej kluczowej informacji, która mogłaby pomóc złapać tego bydlaka. Nie, są pewne granice. Z burymi się nie rozmawia.

Stopa w trzewiku, którego właściciel najwyraźniej wdepnął w końskie gówno, podstawiona pod samą twarz przerwała mu te niewesołe wspomnienia. Chętnie by

odmówił obsłużenia, ale wtedy musiałby stracić pięćdziesiąt procent klientów, bo mniej więcej właśnie połowa przychodziła do niego z powodu takiej przykrej przygody. Oni se będą wdeptywali w gówna końskie czy ludzkie, a potem przyjdą z tym gównem, przyniosą je do ciebie i ty się tym martw! Pucuj, pucuj! Czarne, czyli trzeba wziąć czarną pastę Negro i gąbkę do czarnego. Najpierw jednak w ruch pójdą skrobaczka i mokra szmata.

Rozejrzał się po ulicy. Ani śladu faceta, który miał mu przekazać gryps. Zresztą nie wiedział, jak on wygląda. Może to właśnie ten? But jak raz był drogi, elegancki, ze skóry krokodyla. Może zaraz razem z pieniędzmi dostanie małą karteczkę? Wbrew swoim zwyczajom spojrzał ciekawie w górę. Najpierw dojrzał elegancką skarpetę. Ciemnogramatowe, zaprasowane w kant spodnie od garnituru. Na samym szczycie głowa w meloniku. Błady jak ściana, gładko ogolony, z wąsem, wyelegantowany, na pewno zaraz zniknie za drzwiami kabaretu To i Owo. Kiedy rzucił za usługę jakieś grosze do puszki, Posepny Olle zauważył, że facet ma obandażowaną jedną rękę. No tak, pomyślał. Tonący brzytwy się chwyta. A on był taki blady. Jak topielec. Wtedy go rozpoznał.

Wojciech Babiński, pseudonim „Baby”, dwudziestośmioletni żigolo zatrudniony w kabarecie z dancinżem To i Owo, prywatnie kochanek drugorzędnego śpiewaka operetkowego Mieczysława Cieślaka, czterdziestoletniego tenora (i wszystkich innych), cieszył się opinią najpiękniejszego mężczyzny w mieście i przykro byłoby mu się z nią rozstać. Dlatego także jego poznajemy podczas przedwieczornej toalety, w chmurce niepokojących apteczno-fryzjersko-drogeryjnych zapachów, w mgłę talku, w dymie perfumowanego, opiumowanego papierosa. Nic dziwnego, że ledwo go widać. Miejsce akcji: mansarda, ulica Wodna. Stoi przed dużym lustrem w samych pantalonach i pręży bicepsy. Nie są duże, ponieważ pan Wojciech to bardziej Apollo niż Ares. A właściwie Eros. Na bladej twarzy o wyjątkowo regularnych rysach podkręca się zabójczy wąsik wzmocniony niemiecką Zwirbel-Paste. Jest to twarz zblazowanej madonny. Babiński bardzo lubi swoją pracę, którą załatwił mu jego przyjaciel z operetki, ponieważ dzięki niej co wieczór musi być zadbany, trzeźwy, ogolony, pięknie ubrany, a wcześniej co noc był pijany i zarzygany. Teraz zresztą też codziennie jest zaprawiony, tylko później, od trzeciej nad ranem. Potem zażywa kokainę i od razu jest trzeźwy jak niemowlę. Żeby zasnąć, ma morfinę, choć nie daje ona prawdziwego snu, tylko rodzaj błógiego odrętwienia. W tej chwili jednak nikt nie poznałby w nim owego abnegata jeszcze dwa lata temu kręcącego się za zarobkiem w okolicy Dworca Petersburskiego. On sam, gdyby spotkał samego siebie, też by się nie rozpoznał i nie odpowiedziałby na „dzień dobry”, zawstydzony taką znajomością. Teraz miał aż trzy źródła dochodów: jedno oficjalne, czyli tańczenie jako żigolo w To i Owo, oraz dwa nieoficjalne, o wiele lepsze. Wszystkie były ze sobą synergicznie powiązane. Gdyby nie mógł poznawać samotnych kobiet w tangu i przekazywać

ich potem dalej wiadomej osobie, nie byłby w stanie także działać na pozostałych dwóch polach. Potrzebował kobiet na tyle zamożnych, że stać je było na spędzenie wieczoru na drogim dancingu, ale na tyle samotnych, że musiały brać do tańca żigolo. A zatem też i niezbyt pięknych...

Westchnął. Według Platona ludzie piękni nie poszukują piękna u innych, bo mają je w sobie. Nieprawda! On, Babiński, już się pocił na samą myśl o dzisiejszym spotkaniu z grubą wdową po właścicielu jatki miejskiej, którą odziedziczyła po mężu. Kiedy wdowa śmieje się głupekowato, prycha jak świnka opakowana w czarne koronki i brylanty. Z ust niezmiennie czuć jej barszczem z domieszką czosnku. Idiotyczna fryzura, polegająca na spiętrzeniu jakiejś niebywałej ilości loczków, wskutek czego mała główka z niewielkim mózdzkiem wydaje się jeszcze mniejsza, szpeci ją, zamiast ozdabiać. Są osoby, które nigdy nie będą wyglądały z klasą, choć mogłyby przynajmniej wyglądać poważnie. Ale nie potrafią. A biust podnosi sobie tak wysoko, że ma go już gdzieś pod samą brodą. „Panie Wojtusi, jedno tango, tylko niech mnie pan nie przyciska, bo ja mam baldzio wlaźliwe pielsi, ja jestem taka słaba, taka mała... Lala... Jestem lala...

„To idź do przedszkola” – myśli młody bóg i uśmiecha się nieszczercze.

Przypinając białą muszkę, Wojciech Babiński, wyprostowany, z wciągniętym brzuchem, Wojciech Babiński popatrzył na siebie w lustrze. Która z tych starych nieszczęśliwych raszpli oprze się urokowi najpiękniejszego mężczyzny w mieście? Oczywiście: żadna.

Alfred, stary jak grzech śmiertelny szatniarz w kabarecie To i Owo, przypominał z twarzy wężącego szympana. Twarz ta, równie czerwona jak szympani tyłek, naznaczona była ową gorzką wiedzą na temat nocnych sprawek gatunku ludzkiego, która przydaje powagi bezmyślnym ryjom starych kelnerów, szatniarzy, numerowych pokojów na godziny, stójkowych, burdelmam, wykidajłów, cieciców i babć klozetowych. Jest w tej twarzy wszystko to, czego możecie się domyślać, plus jeszcze wiele innych brudów, o których będzie mowa niebawem, plus jeden sekretny składnik i coś jak smród szaletu miejskiego. Większość z tych grzechów jest banalna aż do mdłości, inne nieco mniej, a najciekawszy z nich i tak znał tylko Alfred – polegał on na tym, że siedząc za kontuarem, rozpinał rozporek i wyciągał swojego, po czym brandzlował się niemal na oczach przechodzących półnagich dam. Dopóki nie wiedziały, że brudnymi od spienionego konika rękami podaje im numerki na drewnianych klockach, papierosy Egipskie, bierze ich futra i wieszka na wieszakach, nie przeszkadzało im to wcale.

Pensja szatniarza była kiepska, ale doskonale uzupełniały ją profity z własnych przekrętów Alfreda, chronionych znowu tym, że jest się tajnym agentem policji. Każdy płaszcz, każde futro czy palto miało natychmiast sprawdzone wszystkie kieszenie, także wewnętrzne. Kipisz. ZA RZECZY POZOSTAWIONE W UBIORACH SZATNIA NIE PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚCI – było jak byk napisane na tabliczce stojącej na ladzie. W oszklonej szafce leżały prezerwatywy OLLA, papierosy Egipskie, Płaskie Extra, Juno, Mewa, zwijki i gilzy Morwitan Herbewo... Wszystko trzy razy droższe niż w trafikach. Razem z Heleną Kierbedź, babcią klozetową, oraz z Ninel, girlsą pracującą na sali, Alfred stanowił poważną mafijną siłę... Pierwszej selekcji dokonywał on, wprawnym okiem oceniając

jakość oddawanego do szatni płaszcza i kapelusza. Wąchał je, oglądał od podszewki i już potrafił rozróżnić zwykłego urzędasia od grubej ryby. Niektóre okrycia pachniały lepiej: wiśniowo-waniliowym tytoniem, perfumami, wnętrzami samochodów. Co jakieś dwadzieścia minut wpadała do niego z sali Nina i udając, że kupuje papierosy, zbierała polecenia.

– Wszedł sam, łysy i czerwony na gębie, ale niski, poznasz?

– Wiem który.

– Dasz radę?

– Się zobaczy... Idę.

– Czekaj. Włoski se popraw.

I Nina Stukonis szła do damskiej toalety, stała przy lustrze, poprawiała sobie włosy, jednocześnie rozmawiając z Heleną Kierbedź:

– Będzie mała robota, jak dobrze pójdzie...

– Niech Bóg da, dziecko... Niech Bóg da...

Kierbedź Helena, zatrudniona na odcinku higieny i estetyki toalet damskiej oraz męskiej w klubie nocnym To i Owo, istota bez wieku ani płci, gruba, uczesana w wielki kok, miała łeb do interesów i pociąg do literatury. Posadę swoją, z pozoru dość skromną, szybko przemieniła w rzekę złota. Przede wszystkim podniosła niebotycznie cenę za wizytę w jej przybytku, bo – jak mówiła do szatniarza – „powiedz mi, Alfred, kto ci zrezygnuje i będzie szukał kibla na mieście, skoro tylko wstał od stolika i zostawił tam wesołe towarzystwo?”. Woli już przepłacić, byle jak najszybciej znaleźć się z powrotem na sali. Po drugie, została podwójną agentką – z jednej strony oficjalnej władzy, z drugiej – bandyckiego podziemia zbierającego się także tutaj, jak w każdym droższym lokalu w mieście. Obyczajówce donosiła na tych samych homoseksualistów, którym wynajmowała kabinę i pozwalała łaskawie wejść do niej we dwóch. Każda nowa panienska, która chciała zarabiać na sali, musiała opłacić się jej oraz szatniarzowi, i to nie raz, a co miesiąc. Inaczej ciekawe, ile by wytrzymała bez możliwości skorzystania z toalety? A co najważniejsze, Helena Kierbedź sprzedawała spod lady pewien środek w małej buteleczce, śmierdzący jak zmywacz do paznokci, o nazwie Pocałunek Erosa, do wdychania w czasie stosunku oraz różne bardzo podejrzane tabletki na potencję (wyciąg z hiszpańskiej muchy), powodujące taką masę skutków ubocznych, że ona nawet by ich nie dotknęła gołymi palcami. Na szczęście miała gumowe rękawice potrzebne do cięższych prac przy kiblach, bo ludzie to chamy i zafajdają wszystko.

Jednak główną namiętnością Heleny Kierbedź było czytanie powieści kryminalnych i dlatego praca siedząca, w której przez dłuższy czas nikt niczego od niej nie chciał, bardzo jej odpowiadała. Nowa powieść Agathy Christie, kawka sypana, zaparzona z grubym kozuchem fusów w słoiku po musztardzie – tak,

Helena Kierbedź była szczęśliwa w swojej robocie. W jej toalecie morderstwa zdarzały się codziennie, w jej toalecie prowadzono dochodzenia, zbierano odciski palców, a ona pogryzała słodkie landrynki, śliniła palec i przewracała kolejną stronę, na której główny podejrzany mógł nagle okazać się najniewinniejszy w świecie, podczas gdy biedna sierotka Marysia jednak wsypała cyjanek do kawy ciotki, po której dziedziczyła fortunę. Szmery wody i pokapywanie z kranów wydawały się Helenie Kierbedź nader odpowiednim tłem dźwiękowym do tych kryminalnych emocji. Czytając, paliła, popijała z piersiówki, a czasem odkładała książkę okładką do góry i nasłuchiwała. Żeby tak i u niej choć raz wydarzyła się jakaś zbrodnia! Niestety, jedynymi zbrodniami, z jakimi zresztą walczyła z całą stanowczością, były próby przemknięcia mimo jej stanowiska bez uiszczenia opłaty za skorzystanie z toalety. Potem w życiu Heleny Kierbedź nastał czas miłości i na stoliku obok prostokątnej popielniczki z wielkiego luksfera, solidnej bryły rżniętego zielonego szkła, do którego klienci wrzucali swoje dziesięciogroszówki, zagościła *Trędowata*.

Samuel Goldbaum, właściciel lokalu To i Owo, stał na scenie i z niepokojem podglądał salę przez specjalną dziurkę w zaciągniętej kurtynie. Za nim pracownicy rozstawiali scenografię do pierwszego numeru nowego programu. Serce biło mu jak młotem. Za mało! Na Boga, za mało! O tej porze zwykle wszystkie stoliki były już zajęte, a co dopiero w dniu premiery! I to z samą Sarą Berg! *Miłość, raz!* Program tak drogi, tak trudny! Na sali jest co prawda sporo ludzi, panuje gwar, ale w żadnym razie nie można tego nazwać tłumem walącym drzwiami i oknami! Na parkiecie pusto, w tej chwili goście dopiero jedzą kolację roznoszoną przez wysokich, smukłych kelnerów, zgrabnie lawirujących pomiędzy stolikami. Każdy z nich dźwigał nad głową w jednej ręce po trzy olbrzymie talerze z wielkimi sznycelami wiedeńskimi przykrytymi jajkiem sadzonym, z cytryną i sałatką ziemniaczaną. Inni roznoszą zroszone kufle złocistego piwa i malutkie kieliszki z setkami czystej monopolki. Idzie też golonka, szczególnie lubiana przez panów do piwa, idą kaszanka, schab, flaki na ostro. Dewolaje w ogóle nie schodzą, trzeba będzie wycofać z karty... Najlepiej idą zagrychy pod wódkę.

Panienki jeszcze nie zeszły z pięterka, na scenie, pod osłoną kurtyny, trwają gorączkowe prace scenografów, a girlsy są wciąż w proszku! Z ich garderoby dobiegają ustawiczne piski, choć mają surowo zabronione robić hałas, żeby nie przedostał się na salę, gdzie obecnie tylko pan Adam cicho gra na fortepianie w kącie jakieś smętne improwizacje. Wszędzie unosi się ciężki jak kotara dym z papierosów. Palą wszyscy. Samuelowi, który sam nie pali, trudno wytrzymać ten smród. Mężczyźni zjedli już kolację i teraz zamawiają tylko zakąski pod wódkę: gzik, tataro, galaretkę z nóżek, śledzika w oleju, gotowaną białą kielbasę z chrzanem i musztardą, pasztecik, kaszankę, awanturkę. Kobiety malują usta

w lusterkach puderniczek. Żigolo się nudzą, bisurmanią pod ścianą z wielkim lustrem. Więcej z nich pożytku, kiedy jakiś starszy pan szuka chłopca, aby pójść z nim na pięterko, niż z tego ich tańczenia. Baba, czyli ten cholerny, cholernie piękny Babiński, nawet nie raczył jeszcze zejść. Poza naszymi panienkami na sali prawie nigdy nie ma samotnych pań. Na szczęście zawsze żigolo mogą zatańczyć z jakąś wystrojoną małpą, grubą żoną bogacza. W końcu nasze miasto N*** jest nieduże, ale „naftowe”! A nie – jedna jest! Siedzi sierota w kącie. I jakieś dwie siusiary, przebrane za dorosłe. Kto je tu wpuścił? Wiadomo, pan Henio wpuści wszystko, co nosi spódniczki. Wykidajło za chwilę wyleci.

Samuel Goldbaum mylił się, sądząc, że na widowni siedzi tylko jedna samotna kobieta. Przez dziurkę w kurtynie nie mógł dokładnie przyjrzeć się oświetlonej skąpymi lampkami sali. W nocnym klubie To i Owo nigdy nie brakowało samotnych kobiet, nawet gdyby żadna prostytutka nie zeszła do gości z pięterka. Powodem ich obecności był „najpiękniejszy żigolo w mieście”: Wojciech Babiński, zwany „Baba”. Było w nim coś lepkiego, ciepłego i miękkiego, jakby był z leguminy. Ciepło jego pełnych różowych ust skrzywionych w zblazowanym, nieco ironicznym uśmiechu damy wyczuwały w tańcu mimo przepisowej dziesięciocentymetrowej odległości. Długie rzęsy zakrywały zielone oczy, a w tych oczach było wszystko! Dwie ciepławe sadzawki z zielonym kisiem, w których chciałoby się kąpać nago, w żadnym wypadku nie samotnie! Baba był zmysłowy, wilgotny, ciepły, różowy, blady, każdy! Jego nos, z lekkim garbkiem, wydawał się stworzony do zagłębiania się w najintymniejsze zakamarki ciała, tak jak on wilgotnego, ciepłego i drżącego. Jego wąsiki musiały przy tym muskać skórę do szaleństwa. Niektórzy po prostu to mają. On miał.

Dlatego na sali poza zauważoną przez Goldbauma blondynką siedziało jeszcze kilka innych samotnych kobiet. Paliły nerwowo papierosy w długich szklanych lufkach, nic nie jadły, piły wino i wlepiły mocno umalowane oczy w schody, z których miał do nich zejść on. Symptomatyczne, że z tego samego pięterka co kurwy, tylko trochę wcześniej. Właściwie miało pojawić się kilku fordanserów, ale... Jedna z czekających spuściła powieki i spojrzała na stolik przed sobą nakryty czerwonym obrusem, na którym leżała paczka przywiezionych z Gdańska papierosów Regata i stał kieliszek wódki Baczewski. Jej narysowane cienką linią na czole brwi ściągnęły się w zamyśleniu. Inna – gruba i brzydka, ubrana bogato,

ale bez gustu, obwieszona biżuterią jak choinka – była właśnie ową wdową po właścicielu jatki miejskiej wraz z przylegającym do niej wielkim sklepem mięsnym. Od miesiąca obsypywała Babińskiego kosztownymi prezentami, które ten przyjmował łaskawie niczym bóstwo należne sobie hołdy. Wygrzebując z zęba wykałaczką skrawki wyśmienitej kiełbasy ze swoich rzeźni, zastanawiała się, co powinna mu dać, aby sprawę nieco przyspieszyć. Babiński bowiem od miesiąca utrzymywał ją w stanie wzmożonego (i niezaspokojonego!) podniecenia seksualnego. Czy dać mu automobil? Czy będzie potrafił go prowadzić i czy się nie rozbije? Czy zabierze ją nim na upojną wycieczkę za miasto, czy raczej będzie jeździł z innymi? Po namyśle uznała, że tym razem trzeba być twardą. Ona automobil da, a on ją wykołuje. Najpierw łóżko, potem garaż.

Trzecia kobieta wypła kawę i teraz nerwowo poprawiała w lusterku umalowane od szablonu usta. Miała udawać bogatą hrabinę, choć jej zarobki w policji były więcej niż skromne. Pani przodownik Stanisława Woźniak chciała zbliżyć się do Babińskiego z powodu jego licznych przekrętów. Cmoknęła ustami, aby szminka rozłożyła się równomiernie na wargach. Ma konkurencję, ale da sobie radę. Przodownik Woźniak z wydziału obyczajowego zawsze dawała sobie radę...

Goldbaum usiadł z kawą przy swoim dyżurnym stoliku i zaczął się zastanawiać, czy nie zatrudnić Baby w charakterze gwiazdy w kabarecie. Miał to coś, magnetyzm, panie, magnetyzm... Gdyby nie jego przeszłość, delikatnie mówiąc, wątpliwa... Ale te spojrzenia, panie... Gdyby tak sprawdzić, jak on śpiewa? A nuż nie fałszuje? Właściciel To i Owo wyobraził sobie Babińskiego w białym fraku na tle baletu girls, z zarzuconym na ramiona białym szalem, z laseczką, śpiewającego jakieś rzewne tango. Tak, trzeba koniecznie pokazać go na scenie! On ma ten lep, który muszą posiadać gwiazdy, a często nie mają go wcale! Jak się nie da ze śpiewem, może mówić kuplety i szmoncesy. Chyba narkotyki, wódka i kiła nie wyżarły mu jeszcze mózgu do tego stopnia, żeby nie dał rady nauczyć się pięciominutowego dialogu na pamięć?

Około dwunastej w nocy Samuel Goldbaum z radości zatarł ręce: sala nareszcie wypełniła się tak, że nie było gdzie wetknąć szpilki, a mimo to przez tłum

wystrojonych gości zgrabnie przeciskali się wysocy młodzi kelnerzy, żonglując piramidami naczyń na trzymany nad głowami klientów tacach. Niechby który coś upuścił na podłogę! Goldbaum od razu wywaliłby go na zbity pysk! A za straty w naczyniach, daniach i na honorze lokalu potrąciłby z pensji, z której zapewne po takiej operacji nic by nie zostało! Mores wśród personelu musi być! Niechby zobaczył, że ktoś kradnie albo wynosi jedzenie czy sztucce z kuchni! Niechby mu która dziwka zaszła w ciążę. Na zbity pysk! Za mordę! Goldbaum wiedział, że w interesie, a już szczególnie w rozrywce, kurestwie i gastronomii, trzeba ludzi trzymać krótko, „za mordę”, bo inaczej „wejdą na głowę” i „wszystko rozkradną”. Wiedział też, że „pańskie oko konia tuczy”, i dlatego od rana do nocy plątał się po lokalu, pesząc wszystkich, przyglądał się bacznie niczym inżynier na budowie. Wszędzie było go pełno.

Z przyjemnością zauważył, że Babiński bajeruje jakąś samotną, niezbyt ładną tęgawą blondynę w zbyt spektakularnej jak na nią sukni i z falującymi włosami przylizanymi na bok, a ona wpatruje się w niego jak w wystawę magazynu mód Bogusława Hersego. Aha, to ta wdowa po właścicielu jatki miejskiej. Poza nią pożerają go wzrokiem także owe dwie gówniary, które weszły tu najwyraźniej za pozwoleniem pana Henia, ryhtik nieletnie dupy, pan Henio usłyszy za to jutro to i owo.

Goldbaum nie potrzebował notesika, wszystko zapamiętywał. Ninel, czyli Nina Stukonis, nie pojawiła się dzisiaj w pracy i w numerze z pociągiem będzie brakowało z tego powodu jednego wagonika. Może się już jutro nie pokazywać. Nawet nie uprzedziła, że jej nie będzie, choć mogła przecież posłać wiadomość przez Karolę Martyniuk – w końcu mieszkają razem. Stanowczym krokiem ruszył do przebieralni girls. Lubił tam wpadać bez ostrzeżenia. Zwykle jak na komendę podnosił się pisk, jakby knur wtargnął do kurnika. Potem któraś, najbardziej bezczelna, zaczynała delikatnie: „Panie dyrektorze, co będzie z pensją za dwa ostatnie tygodnie?”. I już podnosił się jazgot! Głupie. W piórach na głowach, w samych majtkach sięgających aż do pępka. Wszystkie po uszy zakochane albo w Babińskim, albo w Mędrzeckim. Jak zwykle wparadował do nich bez pukania.

Natychmiast podniósł się niewyobrażalny jazgot i pisk. Zasłaniały się nie tam, gdzie trzeba, przytulały do siebie, jakby już nadeszła ich ostatnia chwila, jakby wraz z dyrektorem wpadł do garderoby lodowaty wiatr z północy.

– Proszę o spokój! Pro-szę o spo-kój! – starał się je przekrzyczeć, ale nie dawał rady. – Martyniuk! – wywołał Lux Torpedę. Wiedział, że musi je rozbić, bo dopóki stanowią grupę, są nie do zwyciężenia. Postanowił więc zrobić wyłom, wywołując Karolę. Grupa od razu ją wypluła: bladą, nagą, bez cycków, niedożywioną i niedomytą, a mimo to kto wie czy nie zapłodnioną. Na pewno jednak nie przez bogatego fabrykanta, prędzej przez roznoszącego komunistyczną bibułę pracownika fabryki telefonów, którą szczyciło się miasteczko N***, ewentualnie przez kogoś od szybów naftowych. Ale raczej nie właściciela. Ci bardzo uważali, aby ich kutasy trafiały w odpowiednio prestiżowe dziury.

Podał jej skąpy szlafroczek.

– Panna to na siebie narzuci i proszę na korytarz.

Natychmiast podniósł się jazgot:

– Ale, ale! Hola!

– Zaraz!

– A dlaczego ona?

– A dlaczego nie ja? Ja ładniejsza!

– Co ona panu zrobiła?

– A czemu ona?

– Ja jestem zgrabniejsza, pokazać?

– Ty zgrabniejsza?! Ciekawe, w którym miejscu!

– A Bronka wczoraj pomyliła się w lokomotywie!

– Ja się pomyliłam?

I już się chcą brać za kudły.

Tylko Karola milczała i gapiała się jak cielę w wysypaną trocinami podłogę. Z trzaskiem zamykając drzwi, dyrektor usłyszał jeszcze nieuniknione: „Miesiąc już

nie płaci, wielki mi hrabia, co nie zarabia”. Goldbaum natychmiast wpisał tę pyskatą na czarną listę. Nie potrzebował notesika.

Ponieważ w garderobie zapadła nagle podejrzana cisza, było pewne, że wszystkie stoją teraz przy drzwiach i podsłuchują. Dlatego cofnął się z Karolą na bezpieczną odległość. Gdy uparcie patrzyła w podłogę, chwycił ją pod brodę, tak aby spojrzała mu w oczy.

– To niepodobne do pani Stukonis, żeby tak nie przychodzić bez uprzedzenia, może jej się co stało?

Wiedział, że Karola i Nina wynajmują razem pokój „u klempy”.

– Nie kazała nic przekazać?

– Na pewno coś jej się stało, panie dyrektorze, ona by... dla niej teatr, dyscyplina to wszystko... Nie widziałam jej od popołudnia. – Rozpląkała się.

– No już dobrze, w porządku... Uspokój się. Zaraz po ostatnim numerze panna popędzi do domu, zobaczy, czy koleżanka nie wróciła. Ale proszę nie pomylić kroku w tym miejscu co wczoraj i przedwczoraj na próbie. Panna wie, że to jej słaby punkt. Panna ma specjalnie skupić się w tym miejscu.

Karola, widząc, że dyrektor jest dla niej przychylniejszy, właśnie układała sobie w myślach, jak naciągnąć go na papierosa, jak płynnie przejść od tematu „dom” i „wróciła” do „czy nie ma pan może papierosa?”. Przejście to musiało nastąpić bardzo zgrabnie, płynnie, wymagało nie lada wirtuozerii. Ale tak jej się chciało palić, że westchnęła tylko:

– Tak się tą Ninką zdenerwowałam. Aż bym zapaliła.

Oczywiście w tej formie nie odniosło to oczekiwanego skutku.

– To sobie panna zapal. Jest dorosła – powiedział Goldbaum chytrze. – Byle nie tu. Są przepisy przeciwpożarowe. Chociaż pana Mędrzeckiego najwyraźniej nie obowiązują. – Spojrzał za przechodzącym właśnie z zapalonym papierosem amantem.

– Mi strażak pozwolił... – odparł Mędrzecki modulowanym głosem i szedł dalej, gwizdząc przebój nowego programu *Miłość, raz!*

– Kiedy nie mam...

– No, no. Ja nie palę, więc panny nie poczęstuję. I nie życzę sobie zebrania na sali! Potem, po programie, jak pójdziecie zbierać korki, to jeść, pić i palić, ile wlezie, byle kupili jak najwięcej.

„Pewnie – pomyślała Karola. – Teraz na sali pełno kurew. Te zawsze mają najlepsze egipskie ekstra płaskie i w srebrnych papierośnicach! Chyba już przyjdzie zbierać pety po rynsztokach!”

Goldbaum minął Mędrzeckiego i zapukał do garderoby głównej gwiazdy kabaretu, Sary Berg. To była ich najważniejsza solistka, najnowszy i najdroższy nabytek z samej Warszawy. Usłyszał ciche „proszę” i wszedł. Owionął go zapach dobywający się z wielkiego kosza róż, zmieszany z wonią perfum, pudru i ze słodkim waniliowym dymem cygaretek. Sara dobiegała już czterdziestki, ale trzymała się bardzo dobrze. Szczupła, wysoka, o pięknych popielatych włosach, starannie wyszczypanych brwiach, długich, wypielęgnowanych palcach. Siedziała przed toaletką zapatrzona w swoje odbicie w lustrze otoczonym mlecznymi żarówkami. Na głowie miała spięty z przodu brylantową broszą czarny turban, wykonany dokładnie z tego samego materiału co suknia. Poza tym żadnej innej biżuterii. Na tym właśnie polegała jej słynna klasa. Nie zrobiła jeszcze w ogóle ust i namalowała tylko jedną brew – dopiero zaczynała makijaż, bo występowała na końcu, w finale. „Jeśli ona nie uratuje tej budy, to już nic jej nie uratuje” – pomyślał Goldbaum.

– Jak frekwencja? – zapytała gwiazda z niepokojem.

– Kiedyś by się mówiło o kłapie, teraz trzeba się cieszyć i z tego. Nic. Będzie trzeba podwyższyć ceny biletów do dwóch złotych.

Spojrzała na niego przestraszona.

– Nie jest tak źle. Sala pełna. Ale wiesz dobrze, że jest różnica między salą pełną a nabitą po brzegi.

Uznał, że nie powinien jej denerwować przed nowym, premierowym programem, i powtórzył:

– Nie jest źle. Stoliki zajęte. Na pewno będziesz wspaniała.

Gwiazda przykleiła sobie pęsetą sztuczną rzęsę. Nagle wstała, patrząc na Goldbauma z powagą.

– Samuel. Ja... Ja się boję.

Z sali dobiegały aż tu rzewne tony skrzypiec.

– Na razie jeszcze wytrzymamy. Zawsze możesz przyjąć tamto zaproszenie z Morskiego Oka.

– Ja nie tego się boję. Widziałam go. Słyszysz? Widziałam go na sali! On znowu się pojawił. Boże...

– Kto się pojawił? Co ty opowiadasz, Sara?

– Nikt – westchnęła i zabrała się za drugie oko. – Jeśli padniemy, wyjadę do Niemiec. Do Berlina. Tam nie będę musiała siedzieć w tym... Czy naprawdę muszę siedzieć w tym idiotycznym wielkim kieliszku? To infantylne!

Posterunkowy Adam Pierożek szedł obok swojego kolegi Walentego Kostańskiego kiepsko oświetloną gazowymi latarniami ulicą i zastanawiał się, jak to możliwe, że świat może być aż tak nieprzyjazny. Zacinał lodowaty deszcz. Młody posterunkowy zawsze był chory, teraz jednak naprawdę miał atak zatok. Wydzielina „ściekała mu z mózgu wnętrzem głowy i spadała gardłem”.

– Spada mi gardłem z mózgu wnętrzem głowy, wytarcie nosa nic nie da, rozumiesz? – Walenty Kostański, który nigdy nie chorował, nie rozumiał tego diabelskiego mechanizmu. – Połykam to, ale tego nie ubywa. To ścieka mój mózg. Za chwilę nic nie zostanie.

– Najpierw trzeba mieć jakiś mózg, Adam.

Kostański wesoło pogwizdywał coś pod nosem. Do końca dyżuru pozostało im tyle, co do końca nocy. Dwie godziny. Szczerze liczyli na to, że już nic się nie wydarzy. Pierożek miał gotowy cały arsenał leków do zażycia, gdy tylko skończy robotę. Jednak faszerował się nim dziś już parę razy z bardziej niż skromnym skutkiem. Chwilowo ssał miętową pastylkę na kaszel Salosant. Kostański chciał zdążyć do domu „na ciepłe nóżki”, to znaczy wsunąć się pod kołdrę rozgrzaną słusznych rozmiarów ciałem jego żony Stanisławy i ogrzać się o nie jak o najlepszy piec. Madame Kostańska nie wstawiała przed dziewiątą.

Charakterystycznym zwyczajem tych dwóch było – mimo braku odgórnej instrukcji – codzienne wymyślanie hasła i odzewu. Jednak dzięki nim czuli się ważniejsi. Zaraz po wyjściu na obchód swojego rewiru ustalali obowiązujące w danym dniu hasło oraz odzew i potem raz po raz się z nich przepytawali, w razie gdyby jednego z nich ktoś podmienił i zastąpił sobowtórem. Ponieważ Kostański

właśnie nabrał takich podejrzeń co do swojego kolegi, przystanął i konspiracyjnym szeptem zapytał:

– Hasło?

Pierozek stropił się bardzo, ponieważ przez chwilę miał mętlik w obolałej od zapalenia zatok głowie.

– Haaaasło! – przynaglił go ostro Kostański.

– Nie krzycz, głowa mi pęka!

– Hasło!

– E... Jak to było? Pranie... A, Radion sam pierze!

– Odzew? – Kostański zmarszczył groźnie brwi.

– Nie męcz mnie. I tak jestem chory. Głowa mi pęka.

– Odzew! – wykrzyknął Kostański już mocno zaniepokojony.

– Morwitan to nasz znak!

– No.

Szli wąską, skąpo oświetloną ulicą gotowi przymknąć oczy na niejedno, byle tylko w nic się już nie wplątać. Świata o piątej rano i tak się nie naprawi. Ostatnie z najwytrwalszych lub może po prostu już martwych prostytutek kwitły jeszcze w bramach blade jak krętki, ćmiąc setnego tej nocy papierosa. Nawet najbardziej zdesperowany klient nie wziąłby już takiej widmowej panny młodej z obawy, że okaże się zrobiona z samej mgły, zwietrzałego zapachu perfum i papierosowego dymu. Zwykle witały się z posterunkowymi, ale dziś patrzyły już tylko przed siebie niewidzącym wzrokiem – ślepe latarnie morskie na morzu alkoholowego pożądania, manekiny na wystawach bram i rogów ulic. Pociągały nosami i trzęsły się z zimna w skąpych sukienkach. Niewiele widziały ze świata spod swoich kapeluszy w kształcie hełmów nałożonych tak, że zasłaniały im linię brwi. Nie rozmawiały, ponieważ powiedziały już sobie wszystko jakieś dziesięć godzin temu i teraz bramy zamieniły się w gabinety figur woskowych. Spokojnie można by pomachać jednej czy drugiej ręką przed twarzą, a ona nawet by nie zauważyła, nie

zamrugła. Każda z nich dawno już zjadła z ust szminkę, co często stanowiło jej jedyną kolację, i nie zamierzała inwestować w nowe pociągnięcie warg. Każdej rozpaczliwie chciało się siku. Kucaly więc i sikaly na klatkach schodowych, co bardzo ułatwiał im brak majtek. Ich ciała odbijały się w mokrym bruku krzywymi, karykaturalnymi kreskami. Choć jeszcze nie nadszedł ranek, przed żydowski sklepik zajechał z hałasem mleczarz i zaczął wystukiwać swój rytm cynowymi bańkami toczonymi po kocich łbach. Zaraz przejdzie smutny wąsaty jegomość w sfatygowanym meloniku, wyglądający jak przedsiębiorca pogrzebowy, ubogi komiwojażer lub poborca podatkowy, nazywany przez prostytutki „Charonem”, i pogasi latarnie, jakby gasił życie kolejnych ludzi. Wtedy zrobi się zupełnie ciemno i... czasem coś w tej ciemności się wydarzy. To ostatnie pół godziny. Potem już dzień rozgości się na dobre. Okres od wygaszenia latarni do pierwszych oznak świtu nazywały „Hadesem”. Był to czas powracania pijaków do domów. A że pijak wcale nie chce tak szybko wrócić do siebie, a ponadto alkohol sprawia, że byle bladą marę chętnie bierze za księżną nocy, budowały się zatem jakieś nędzne nadzieje. W ruch szły – już po raz ostatni – szminki. Pół godziny, czterdzieści minut Hadesu. Ponury Charon pojawiał się jako jego zwiastun. Gasił latarnie, zapalał nadzieje. Śpiące lale wyciągały z zakamarków ubrań piersiówki z ostatnimi kroplami likieru, zaoszczędzonymi właśnie na Hades. Najstarsze z nich, zwane „wilczycami”, których kierowniczką była Aniela Gołowas, ledwo stojąc na obolałych, opuchniętych i często zabandażowanych nogach, wyciągały z za uszu ostatnie papierosy, w pudełkach długo szukały niespalonej jeszcze zapalniczki, zapalały i popijały samogonem z meliny u Nikkiego. Potem otwierały pomadki i końcem zapalniczki usiłowały wyskrobać z niej jeszcze cokolwiek, brały te grudki na palec i smarowały sobie usta. Wiedziały, że Hades jest mocno przereklamowany, ale nawet one ulegały jego magii. Wszystkie pamiętały te zasłyszane historie: „Całą noc stałam i miałam już wszystkiego dosyć. Myślę sobie: idę do domu. Ale coś mnie tknęło, żeby zostać jeszcze na Hades. I co? Pomocnik aptekarza! Dwadzieścia dwa lata. Zapłacił z uszperanych pieniążków, ze swojego kieszonkowego od rodziców! A wracał pijany z baru do domu”.

Na razie panował martwy czas przed przyjściem Charona zwany czyścem: latarni jeszcze nie wygaszono. Z ulicy znikli nawet pijacy. Nie przejeżdżała żadna dorożka. Świat umarł na anemię, grypę, szkorbut i gruźlicę.

– Mam anemię, grypę, szkorbut i podejrzenie gruźlicy – skarżył się posterunkowy Pierożek nieczułemu na jego dolegliwości Kostańskiemu. Na dowód splunął rzęście na mokry bruk. Przyjrzał się uważnie plwocinie, jednak w ciemności nie dało się w niej dojrzeć nawet śladu czerwonych żyłek. – A do tego hemoroidy, rozumiesz? Choroba hemoroidalna...

Skręcili w kierunku parku miejskiego. Chwała Bogu, znowu udało się zgubić kolejne pół godziny. Deszcz rozpadał się na dobre, otworzyli więc wielkie czarne parasole i ruszyli jeszcze gorzej oświetloną niebieskimi, syczącymi językami gazu parkową aleją. Pachniało błotem, grzybami i gnijącym drewnem. Nagle stanęli jak wryci i odruchowo chwycili się za ręce. Oto, choć zdawało się to nierzeczywiste, ktoś siedział na oddalonej od nich o sto metrów ławce! Wyglądało to tak surrealnie, że musiało być przywidzeniem. Kwadrans na szóstą rano, leje, ciemno, zimno, a ktoś siedzi na ławce? A jednak siedział. Białe ubranie jaśniało w mroku wyraźną plamą.

Niepewnie podeszli bliżej.

Posterunkowi Pierożek i Kostański byli jeszcze młodzi i niewiele w życiu widzieli, ale nawet najstarsi medycy sądowi mogliby się na ich miejscu wystraszyć. Widok był tak koszmarny, że poczuli, jak serca biją im gdzieś w szyjach. Nocną ciszę parku przeciął przeraźliwy krzyk. Policjanci nie wiedzieli, kto tak krzyczy. Potem okazało się, że to oni.

Na ławce usadzono ciało młodej dziewczyny ubrane na biało, każde jednak z tych określeń wymagało zastrzeżenia. Biała suknia, podobna raczej do koszuli nocnej, była niemiłosiernie upačkana krwią i błotem. Jedno oko wisiało wydłubane aż na wysokości ust, drugie otwarte – patrzyło prosto przed siebie jak do fotografii. Na głowie „maszkary” niczym kapelusz czy czarna aureola leżała ebonitowa płyta. Trzymała się na niej, ponieważ przez dziurkę pośrodku przewleczono długie pasmo

włosów i po prostu przywiązano nim płytę. W usta ktoś wcisnął zbitą „w tulipanka” butelkę po piwie, czyniąc z nich jedną wielką ranę jak w *Krzyku* Muncha. Z tą butelką w ustach wyglądała jak bałwan.

Ciało się nie osunęło, ponieważ było przywiązane do oparcia parkowej ławki kablem od jakiegoś urządzenia elektrycznego, a teraz jeszcze zeszywniało.

– Ja leczę do apteki Pod Trzema Murzynami zadzwonić po posiłki, a ty tu zostań.

– O, jeszcze czego! Niby czemu akurat ja mam zostać z tą maskarą? Ja pójdę do apteki, a ty zostań. Bo jak ty wylądujesz w aptece, to już tam zamieszkasz. Tam są leki na wszystkie twoje choroby. Stary Karl spod Murzynów to twój najlepszy przyjaciel!

Ale Pierożka już nie było. Wiedział, że za nic w świecie nie zostałby przy tej strasznej postaci, natomiast w aptece czuł się jak w domu – bywał tam codziennie po rozliczne lekarstwa na swoje różne dolegliwości. Najbardziej lubił wyroby własne Karla, sprzedawane spod lady, podejrzanie skuteczne, może zawierające niedozwolone substancje. Jego kropelki uspokajające, których tak teraz potrzebował, nie miały sobie równych!

Szedł sam przez park i zadawał sobie pytanie, czy jak wróci (ale już nie sam, o, na pewno nie sam!), zastanie jeszcze swojego druha przy życiu, czy może morderca zaczął się gdzieś w krzakach i też jego wykończy. Przyspieszył kroku. Do apteki był kawałek. Kiedy do niej dotarł, oczywiście pocałował klamkę, wiedział jednak, że aptekarz, stary Niemiec Karl, mieszka wraz z żoną na piętrze. Zaczął więc walić w bramę, aby obudzić stróża, który otworzył dopiero po dłuższym czasie. W końcu w drzwiach mieszkania ukazał się rozespany aptekarz w koszuli nocnej i szlafmocy, z lampą naftową w ręku. Zeszli do apteki. Posterunkowy od razu poczuł się pewniej. Karl był jego przyjacielem, znał wszystkie jego choroby, od lat byli na ty. Zakręcił korbą telefonu i zadzwonił z za aptecznej lady na trzeci komisariat, a przy okazji zaopatrzył się w tabletki Nerwomigren-Motor. Nie uśmiechał mu się powrót do parku. Karl, słynny w mieście N*** ze swoich autorskich mikstur, poczęstował roztrzęsionego Pierożka pewnymi kropelkami, na

których już zbił fortunę. Musiały zawierać jakiś narkotyk, bo działały natychmiast i czyniły cuda. Po ich zażyciu Pierożkowi cała sytuacja wydała się zgoła inna – oto on, słynny policjant, odkrył sam, no, ze swoją drugą połówką, najprawdziwsze miejsce zdarzenia. I to jakiego zdarzenia! Najstraszniejszego! To była noc, o której będzie opowiadał wszystkim do końca życia. Doskonała alternatywa dla opowieści o chorobach. Kto wie, może nawet napiszą o nim w gazecie. Oto szedł sam przez mroczny park i czarną jak smoła ciemność, w której na pewno czaił się morderca – czyż to nie jest mroząca krew w żyłach opowieść?

Tak się tym wszystkim podniecił, że postanowił nie czekać na wezwanych telefonicznie policjantów, tylko sam wrócić do parku, do pozostawionego w nim na pastwę mordercy Kostańskiego, i tym samym dodać sobie jeszcze tytułów do chwały. Niech zobaczy ten Kostański, niech teraz on wyrecytuje hasło i odzew! Niestety, jego kolega nie zażył owych zbawczych kropelek starego Karla i właśnie wymiotował, zanieczyszczając miejsce zdarzenia.

– Hasło! – wrzasnął Pierożek.

W czasie gdy jego kolega był w aptece, Walenty Kostański w stanie bliskim hysterii stał zupełnie sam przy maszkarze i jej pilnował. Bał się, że morderca nagle wybiegnie z krzaków, których wokół nie brakowało, i zamaluje go czymś ciężkim, a mimo to nie mógł oderwać oczu od zwłok. Ten widok miał zostać w nim na zawsze. W myślach już układał sobie, jak opowie o tym swojej żonie Stanisławie – to ją dopiero nastraszy!

Potem najechało się wielu, wielu ludzi, pojawił się ten cały Piątek, który tak ich nie lubił (lecz dziś Pierożkowi niestraszny!), lekarz od sztywnych Zbigniew Ziemkiewicz, wszyscy o wszystko pytali, a posterunkowy dzielnie odpowiadał. Nareszcie można było zabrać ciało do Zakładu Medycyny Sądowej na Kaczę. Nie dało się go jednak wyprostować i kilku funkcjonariuszy musiało nieść je w takiej pozycji, w jakiej zastygło, mianowicie siedzącej.

Posterunkowy Pierożek spojrział na niosących w porannej mgle maszkare jak jakieś białe bóstwo w lektyce. Wyglądało to surrealistycznie.

Kostański też patrzył na „lektykę” i nagle z przerażeniem stwierdził, że się śmieje. Śmieje się do łez, zatyka go, nie może oddychać. Przez ten śmiech usłyszał jeszcze, jak posterunkowy Pierożek go uspokaja i szturcha, wciska mu jakieś tabletki, jak doktor, pewnie policyjny medyk sądowy, siłuje się z rękawem jego munduru, wbija w ciało lodowatą igłę, mrużąc pod nosem diagnozę „histeria”, jak Pierożek patrzy zazdrośnie na strzykawkę i też nadstawia rękę, jak zawsze gotów na przyjęcie każdego leku.

Karola Martyniuk, zwana Lux Torpedą, stała na trzęsących się nogach w obskurnej toalecie Zakładu Medycyny Sądowej i patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Sine worki pod oczami, brudne ślady po zaschniętych łzach, rozmazany tusz do rzęs, napuchnięta twarz, zaciek ze szminki jak u klauna, smak wymiocin w ustach, spieczona warga. Wymiotowała samymi sokami, bo od wczoraj nic nie jadła. Żrącymi jak kwas solny. Takie jest to nasze życie przeklęte. Tak to jest być dziewczyną w tym dzikim dwudziestym wieku! Jej usta znowu zaczęły drżeć i pozwoliła sobie na płacz, który nagle eksplodował i zamienił się w wycie. Nawet nie zauważyła, że gryzie własne palce. Nie płakała już nad Ninel, tylko nad sobą.

A kiedy przed chwilą na sali odsłonili Ninę, bardzo chciała się rozpłakać, ale w jej mózgu nastąpił jakiś defekt, coś nie tak styknęło i wybuchła histerycznym śmiechem. Jak wiedźma. Wiedziała, że to nie jest sytuacja do śmiechu, zdawała sobie sprawę, jak na nią patrzą ci policjanci i lekarz, a Nina z nosem z szyjki butelki po piwie leżała tam jak bałwan. Jak bałwan! Tymczasem Karola, zamiast płakać, śmiała się jak idiotka i myślała tylko o tym, że teraz będzie musiała płacić Frau Dorothe Hensel za wynajem sama, a nie z Niną na pół.

Jeden z policjantów wyprowadził ją stamtąd, taką chichoczącą. O dziwo jej śmiech, tak histeryczny, że aż nie mogła złapać tchu, nikogo na tej wstrętnej sali nie dziwił. Chyba tutaj już nic nikogo nie dziwi. Okazało się, że Ninel była w ciąży, miała obydwie choroby weneryczne, a jej oko... Karola nawet nie wiedziała, że oko jest takie duże, że to, co zwykła za nie uważać, to za ledwie wierzchołek góry lodowej... Wielka kula wisiała na jakimś krwawym flaku. Straszne, uczyć się anatomii na zwłokach przyjaciółki. I ta pozycja! Jakby siedziała na nocniku... Tak dziwnie wykręcona... Policjanci wytłumaczyli jej, że stężenie pośmiertne nie

pozwoili nadać Ninie pozycji leżącej, siedziała więc cały czas tak, jak ją znaleźli na tamtej koszmarnej ławce, zupełnie samą, gdzieś w parku, w deszczu... Brrr.

Jej ciało, białe, pokurczone, pokryte gęsią skórą, jak oskubany kurczak. Ale najgorsze było to drugie, niewydłubane oko. Patrzyło w dal, jakby jego właścicielka pozowała do fotografii. Z wyrazem zadumy. Bez cienia niepokoju. W zaciśniętej ręce Ninel tkwił połamany wytworny papieros, trochę zakrwawiony, jeszcze niezapalony... Karola myślała teraz tylko o nim. Potwornie chciało jej się palić, ale przecież nie zabierze... No i skąd on się wziął? Ninka dla papierosa potrafiła zrobić wszystko... Zaczęła palić jako trzynastolatka... Ktoś musiał zwabić ją na papierosa. A gdyby tak ich zapytać, czy mogłaby odziedziczyć po Nince tego papierosa, może by dali? Nie, nie wypada.

Posępny Olle nie wierzył własnym oczom. Ale będzie jatka! Jakiś nowy ośmiela się żebrać zaledwie pięć metrów od niego, w jednym z najlepszych punktów w mieście! I myśli, że Limoniadowy da mu żyć? Skąd on się urwał, taki cacany?

Szczególnie nieprzyjemnie obecność Nowego uderzała w niego, w Posępnego Olle. Raz, że ludzie, przechodząc, najpierw rzucali grosz żebrakowi i widząc po kilku metrach pucybuta, mogli przez to zrezygnować z jego usługi. Dwa – żebrak obok niego! W jednym rzędzie! Tak jakby tu siedzieli żebracy!

Twarzy Nowego nie widział, bo gość niemal na niej leżał, wyciągając podejrzenie młodą i zadbaną rękę w mitence. Coś było z nim nie w porządku. Kiedy Olle przykuśtykał ze swoim kramem, tamten już był. Rozstawił, cwaniak, cały teatrzyk: zawszony kundel, szklanka na monety, różaniec, pogięty kartonik z nabazgrolonym: NA JEDZENIE BŁAGAM POBŁOGOSŁAW! A obok kartonika święty obrazek przedstawiający ikonę. Na nowego ludzie zwykle reagują lepiej, niż kiedy już się opatrzy, i żebrak musiał od rana kilka razy opróżniać szklankę, aby nie była pełna. Wszystko to wyglądałoby bardzo przekonująco, gdyby nie ta zbyt zadbana ręka. Jak dłoń pianisty, którą ktoś na siłę próbował ucharakteryzować na łapę żebraka. Ale te piękne, wysmukłe paluszki pianisty szybko zostaną połamane. Limoniadowy jest jak ulica. Bezlitosny. Olle spojrzał jeszcze raz w stronę żebraka i zamarł: zobaczył twarz. Mimo charakterystyki poznał go! O Boże. To już się posuwa za daleko!

Wytworna i tylko udająca wytworną publiczność kabaretu To i Owo powoli zaczynała się schodzić na premierowy program pod tytułem *Miłość, raz!* Rewia była szumnie reklamowana na słupach ogłoszeniowych oraz w gazetach z powodu głównej gwiazdy, Sary Berg – nabytku Goldbauma z samej Warszawy. To podobno tylko pseudonim, w rzeczywistości artystka nosiła żydowskie imię i nazwisko, Dora Brylant. Znała ją cała Polska! Pięknie śpiewała tanga, jedno z nich wyszło nawet na płycie Syreny-Electro, ale z jakiegoś powodu Sara Berg nie znalazła stałego zatrudnienia w stolicy. A tu nasi miejscowi naftowi potentaci rozpieszczali ją kwiatami, bombonierkami, a nawet brylantami. Szczególnie jeden, Adam Nowicki, wyjątkowo bogaty baron naftowy, szalał na jej punkcie i dzielnie znosił niskie temperatury nieodłącznie towarzyszące gwieździe.

Czego to się o niej nie mówiło! Że jest córką handlarza złomem i prostytutką z Ciepłej, mimo że podawała się za córkę rosyjskiego księcia i primabaleriny z carskiego baletu. Że żyła z pilotem, który zginął w wypadku samolotowym. Że po jego śmierci otwierała gaz. Że potem była kochanką samego Bodo, który jednak nie wytrzymał niskich temperatur i nie będąc tak zahartowany jak ona, dostał najpierw kataru, a następnie zapalenia oskrzeli. Bo sypiała podobno w kryształowej trumnie obłożonej lodem jak butelka szampana, mieszkała w nieogrzewanym pokoju otoczona srebrnymi wiadrkami wypełnionymi kostkami lodu. Ponoć uważała, że życie w chłodzie przedłuża młodość. Wszędzie, dokądkolwiek się udawała, musiano sztucznie obniżyć temperaturę. Rzekomo żywiła się płatkami róż oraz wodą z roztopionego lodu z Dolomitów i norweskich fiordów. Nigdy nie pokazywała się na scenie z profilu, uznawała tylko swoją en face. Choć zapewne wszystko to sama zmyśliła, nie dawało się jednak podważyć faktu, że naftowi

baronowie z miasteczka szaleli za nią i na wyścigi wietrzyli mieszkania, wygaszali piece, kruszyli lód. Na dłuższą metę związek z taką babą to piekło. „Wyruchać raz – czemu nie (żeby tylko nie miała lodu w cipce), ale żyć z taką – nigdy!” – pomyślał Posepny Olle.

Osobne plotki krążyły o jej zafałszowanym niskimi temperaturami wieku. Podobno żywiła się energią mężczyzn, wysysając z nich jak modliszka całą radość życia. A tymczasem była stara jak świat. Do jej poczęcia doszło na tyłach sklepiu żelaznego na wiadomej uliczce w połowie lub – tu wersje nie są zgodne – pod koniec dziewiętnastego wieku. Niejaki Szyja Brylant posiadał Rebeke Fajgles na kanapie, z której wyglądała ciekawie na świat zardzewiała sprężyna, choć Posepny Olle nie wierzył, aby ktoś mógł znać aż takie szczegóły aktu. Dziewczynka, która poczęła się wśród wszelkiego żelaza, kręciła się w czarnym bereciku z antenką po Ciepłej, Żelaznej, Krochmalnej, sprzedawała bajgle, a przede wszystkim śpiewała po bramach przy akompaniamencie starego kataryniarza, właściciela również śpiewającej papugi. Przejmujący, niski, chrapliwy głos Dory Brylant na zawsze zapisał się w pamięci mieszkańców kamienic na Żelaznej, Krochmalnej, Ciepłej, Bagno i Leszno. Śpiewała w jidisz i po niemiecku. Ludzie rzucali jej z okien pieniądze, choć taka moneta, gdyby trafiła w głowę, mogłaby zabić. Dlatego owijali każdą w papier. A kiedy śpiewała *Tango Notturmo*, z nieba sypał się ich cały grad! Wykonywała też po polsku miejskie ballady apaszowskie i to właśnie wtedy jej piękna, szczupła twarz nabrała tego charakterystycznego wyrazu ulicznego sprytu doprawionego ironią. Potem zakochała się bez pamięci w bandycie, jakimś Staśku, który usiłował zrobić z niej prostytutkę i zostać jej alfonsiem, rzuciła mu więc w twarz jego tombakowy pierścionek ze szkiełkiem udającym rubin i uciekła z kataryniarzem aż na Pragę. Papuga tego ostatniego wyciągała karteczki z wróżbami i jej zawsze wychodziła wielka kariera. Uzbierała więc pieniądze na frak, czarne lakierki i biały szal. Przebrana za mężczyznę, z fryzurą przylizaną na bok na pomadę udała się do Adrii zobaczyć, jak też ta wielka kariera miałaby wyglądać. Jej pojawienie się wywołało w warszawskim mondzie wielką sensację. Już pierwszego dnia w Adrii ustawiały się do niej kolejki, ludzie koniecznie chcieli

ją poznać, usłyszeć jej chrapliwy głos. Męskie ubranie i brak jakiegokolwiek pretensjonalności stanowiły połączenie oryginalne i działające na publiczność jak dynamit. Szybko więc wniknęła w eleganckie towarzystwo i zdobyła liczne kontakty, utrzymując się z płatnej miłości, ale tylko z jednym mężczyzną. Był to pewien energiczny milioner z Łodzi, producent guzików, kokardek, zamków błyskawicznych i haftek, którego stać było na utrzymanie w Warszawie. Obsypywał ją biżuterią, ona jednak nigdy jej nie nosiła, ponieważ zawsze ubierała się po męsku. I tak się zaczęła jej kariera.

Starszy przodownik Adolf Piątek lubił wyglądający jak trup w stanie rozkładu Zakład Medycyny Sądowej na ulicy Kaczej. Lubiał tu przychodzić, lubiał Zbigniewa Ziemkiewicza – pozbawionego dwóch palców, wiekowego i doświadczonego jak ręce praczki patomorfologa, lubiał, co prawda umiarkowanie, jego pomocnika o urodzie żigolaka, Stefana Janickiego, lubiał nade wszystko zimnych, dumnych i sztywnych pacjentów, którzy w przeciwieństwie do ciepłych nie histeryzowali, nie bali się śmierci ani nie zamęczali personelu pytaniami, kiedy wreszcie zostaną wypisani do domu. Można było im robić zastrzyki prosto w oczy – nawet nie mrugnęli. Nie usiłowali zasłaniać swoich genitaliów, obcy im był wstyd, wręcz przeciwnie! Czasem tak się rozkraczyli, wypięli, rozwalili nogi, że bardziej obscenicznej pozy nie potrafiłaby przyjąć nawet najstarsza działająca ulicznica w mieście, „wilczyca” Aniela Gołowąs, której obyczajówka już nie spisywała, ponieważ przez niemal sześćdziesiąt lat jej działalności zdążyła ją spisać wystarczająco wiele razy. Leżeli dumni i bladzi, bezwstydni, pewni siebie, jak nigdy za życia. Zastygłe rysy ich twarzy układały się w pomnikowe, pełne godności miny.

Ta pewność siebie wydawała się wyjątkowo nie na miejscu w przypadku denatki znalezionej nad ranem w parku przez tych dwóch idiotów, którzy zdeptali, zamacali i zarzygali dokładnie wszystkie ślady: genialny duet Pierożek & Kostański na tropie! Ta dwójeczka – jeden zawsze chory, drugi gadający o swojej żonie Stanisławie Kostańskiej – już niejedną raz napsuła krwi Piątkowi. Że też zawsze los podsuwa mu w ważnym momencie akurat tych dwóch debili! Gdyby to było w jego gestii, ci dwaj plus Stasiek Kawczak już dawno zostaliby wywaleni na zbity pysk!

– Powiedz mi, Zbyszku, jak ty to widzisz.

Piątek stał zamyślony, wpatrując się w szarugę za zakratowanym oknem, z którego ramy odpadała warstwami żółtawa farba olejna.

Przy małej blaszanej umywalce w rogu sali Zbigniew Ziemkiewicz dokładnie mył ręce szarym mydłem Jeleń Schicht, następnie zadumany długo, długo wycierał je w ręcznik z fioletowymi znakami ewidencyjnymi Zakładu Medycyny Sądowej na Kaczej. Te ręce nie miały aż dwóch palców, o czym Piątek zawsze zapominał, kiedy witał się ze starym patologiem. Noże sekcyjne są bardzo ostre.

Ziemkiewicz podszedł do ciała dziewczyny i czymś, co przypominało zalotkę do rzęs znalezioną w szafie u tenora Mieczysława Cieślaka, rozwarł jej usta, w które wcześniej wciśnięta była zbita butelka po piwie.

– Patrz. – Zaświecił w głąb jamy ustnej latarką. Piątek zbliżył się niepewnie. W środku ziała jedna wielka rana. – On ją zmusił do jedzenia i przełykania kruszonego szkła. Kawałki różnej wielkości, od prawie proszku do dwóch centymetrów, utkwily w przełyku i tchawicy. Wskutek tego doszło do krwawienia wewnętrznego. Krew dostała się do tchawicy i układu oddechowego. Adolf, ona się utopiła we własnej krwi.

Ziemkiewicz zapalił swoje ulubione cygaro, zaciągnął się i zamyślił.

– W palcach zaciskała papierosa. – Pokazał pognieciony egipski w małym woreczku. – Nigdy nie został zapalony. Żołądek był pusty. Adolf, ona musiała być wygłodzona. Nie jadła nic od co najmniej doby. W jakich my czasach żyjemy?

– W ciężkich, Zbysiu, w ciężkich. Co jeszcze?

– Miała siedemnaście lat i była w ciąży. Zapewne jeszcze o tym nie wiedziała. Dodatkowo złapała też kiłę i rzeżączkę. Cięża trzeci tydzień, choroby już zadawnione, zdążyły poczynić znaczne szkody. Tu zobacz. – Ziemkiewicz wskazał ołówkiem jakieś białe zrosty w mózgu, jakieś jemu tylko znane i dla niego zrozumiałe guzy i blizny.

– Mówisz o ciąży tak, jakby to była trzecia choroba weneryczna, której nie wolno złapać, a jak już, to trzeba natychmiast wyleczyć.

– Wszyscy teraz tak o niej mówią. W środowisku girls kabaretowych ciąża to najgorszy wyrok, jaki można usłyszeć. Kiłę od biedy zaleczysz salwarsanem, choć zawiera arszenik, jest cholernie drogi i w sumie mało skuteczny, a ciąża to co najmniej sto złotych na „fabrykantkę aniołków”. Albo złotówka na sublimat, żeby się otruć w bramie. I musisz następnego dnia być na próbie, aby w dyrekcji niczego nie zauważyli. Robić szpagaty, tańczyć kankana.

Piątek westchnął. Kryzys, który rok temu wybuchł w Stanach Zjednoczonych, dotarł już do ich miasta N***, które dotąd doskonale sobie radziło z powodu bijącej tu nafty i spowodowanego nią wielkiego ożywienia oraz dzikiego, nieokiełznanego rozwoju dotąd sennej prowincjonalnej miejsciny na południowym wschodzie kraju. Podobnie jak w pobliskim Drohobyczu i Borysławiu z dnia na dzień powstawały najdziwniejsze, najbardziej nierealne wille, pałace przypominające sen szalonego cukiernika, otoczone białymi schodami, gipsowymi posągami, podjazdami, murami... Pełne biednej żydowskiej ludności, martwe, senne, szare i deszczowe miasteczko nagle ożyło, jakby pod postacią brunatnej cieczy wciągnęło potężną dawkę kokainy. Na pełnych błota jesienią i wiosną oraz kurzu latem ulicach pojawiły się wielkie lśniące czarne automobile, a w nich brzuchaci przedsiębiorcy i piękne damy. Nowe ulice, wyrosłe ni stąd, ni zowąd w miejscach, w których jeszcze rok wcześniej było pole, epatowały tandetnym, zupełnie nieznanym, ekscentrycznym i aroganckim blichtrzem. Drogie składy najbardziej wyszukanych materiałów bławatnych sąsiadowały z lichwiarskimi lombardami i podejrzanymi oddziałami zupełnie nieznanymi dotąd u nas banków z całego świata. Nielegalne kasyna i na wpół legalne burdele, dla lepszej publiczności urządzone z najdziwniejszym przepychem, wyrastały jak grzyby po deszczu. Madame Visoansky ze Zlewu Centralnego wprowadziła nową usługę pod nazwą „wspólna kąpiel w szampanie”. W mieście zainstalowały się delikatesy Davidoff und Schwarz, nieprowadzone ani przez żadnego Rosjanina, ani przez Niemca, tylko przez Żyda Konrada Baumana. W pierwszorzędnej tej placówce sprzedawano francuskiego szampana, kubańskie cygara, rosyjski kawior z białugi, trufle, angielską herbatę, kawę z Etiopii, świeże ostrygi nie wiadomo skąd,

wędzone jesiotry, stare wina, austriackie marcepany, belgijską i szwajcarską czekoladę we wszystkich kolorach, likiery, szafran, a także mnóstwo rzeczy, których Piątek w ogóle nie znał, choć bardzo chciał poznać. Oferowano tam też banany, pomarańcze, kiwi i zupełnie nieznane owoce z krajów, których istnienia u nas nikt dotąd nawet nie przeczuwał. Na wystawie leżała między innymi tykwa – zagadkowy gość z samej Afryki.

Wraz z bogactwem we wszystkich najbardziej ordynarnych odmianach pojawiła się w naszym cichym dotąd miasteczku nędza o nieznanym dotychczas nasileniu i szybko przyćmiła owe splendory. Wyrosły robotnicze dzielnice, w których niebo i słońce nigdy nie były widoczne z za ciężkiej kotary fabrycznego smogu. Węglowy pył i jakiś tłusty, metaliczny osad pokrywały w nich wszystko, a karłowaci, jakby skurczeni ludzie chodzili zgarbieni i pluli na opalizującą ziemię. Wysmukłe drewniane żurawie ciągnęły z niej brunatną naftę jak wielkie martwe drzewa. Nigdy nie było u nas tyle gruźlicy, nędzy, smrodu, kopciuchów i nieszczęścia. Noclegownie pękały w szwach. Na tym grząskim, opalizującym od chemikaliów gruncie bujnie wyrastały nielegalne partie komunistyczne, których członkowie palili tanie papierosy, tłocząc się na zebraniach w śmierdzących zgnilizną i praniem oficynach.

Mimo rzucającego się w oczy bogactwa nielicznych Piątek musiał przyznać, że nędza było o wiele więcej i najbardziej dotykała młode dziewczyny. Niemal codziennie znajdowano samobójczynie, które zabijały się jodyną, sublimatem, rtęcią, „wysokością” lub zwykłym nożem. Najlepszy wgląd w liczbę ofiar miał doktor Ziemkiewicz, na którego stole lądowała każda z nich. To on był prawdziwym Charonem. Odtwarzał historię ich życia ze zrostów, blizn, śladów po „popsutych” ciążach, a przystojny Janicki złośliwie komentował źle wykonany manicure i spalone trwałą ondulacją włosy.

Kawiarnia Wykwintna przy ulicy Żabiej pod numerem sześć, należąca do niejkiej Myszki Katz (pseudonim „Szwarc Alibi”), nie była ani kawiarnią, ani tym bardziej wykwintną. Oficjalnie była to tak zwana sala tańca, chociaż nikt tu nigdy nie tańczył. Zbierali się w niej bandyci, kurwy i alfonsi z całego Zarzecza, wymieniali trefne fanty z włamu, handlowali wszystkim, własną matkę sprzedaliby do burdelu w Argentynie, choćby nikt jej tam nie chciał. Tak, własną mamunię. Bywały tu też tak zwane dobre cioteczki – burdelmamy oferujące niewinne dzieci, sieroty porzucone na śmietniku i odchowane w burdelu, nieznające innego ciepła jak ciepło języka dobrego wujka w uchu. Nieznające innych pieszczot niż minety i innego mleka jak tylko bimber gorzki jak zajzajer. Językiem panującym był tu jidisz, ponieważ w Wykwintnej spotykali się wyłącznie bandyci żydowscy, Limoniadowy i reszta bandy.

Zanim wszedłeś do lokalu, natykałeś się na dwóch opartych od niechcenia o mur po obu stronach bramy bandytów, którzy stali na świecy i filowali, czy nie idą arbuzy, czyli gliny. Jeśli szły, bynajmniej ich nie powstrzymywali, tylko natychmiast dawali znać reszcie i już szła iskrówka spod drzwi: chować trefne fanty, rozmowy tylko o pogodzie!

Poza bandytami Wykwintną upatrzyli sobie jeszcze żydowscy grabarze, często także po wyrokach, których ponure jak zbita butelka samogonu ryje Myszka Katz musiała oglądać i obsługiwać piątek, świątek i sobota. Grabarze też mieli swoje interesy, ale jakoś nikt nie był ich ciekawy, a najmniej sama Myszka Katz, niewiasta niezwykle zabobonna i religijna, jak wszystkie Mamuśki Mafii.

Za to czasami ktoś z bandyckiej klienteli mógł w razie kłopotów wynająć sobie grabarza albo nawet dwóch, łopaty własne, zaliczką setka wódki i pyszna

paróweczka. Cóż za wygoda! Pochowają nieboszczyka niewiadomego pochodzenia, niekoniecznie na cmentarzu, częściej na działkach, i sprawa załatwiona.

Muzyki żadnej nie było, ani z gramofonu, ani z radia, ani tym bardziej granej na żywo. W ponurej ciszy szemrały jidisz i rosyjski. Do jedzenia Szwarz Alibi oferowała pod wódkę kotlety na zimno, śledzie w stanie rozkładu czekające na talerzykach w szklanej szafce, galaretkę z nóżek z octem i bułką, zamawianą zwykle jako „lorneta z meduzą” z dwiema stopkami wódki. I to wszystko. Byle się nie porzygać od picia na czczo, a jak już, to żeby było czym. Oprócz tych kotletów i galartu Myszka Katz, jakby z przywiązania do określenia „kawiarnia”, wystawiała za szkłem także ciepłe lody i jakieś kremówki (jadowicie zielony prastary krem skutecznie zniechęcał do ich kupowania), dla „wykwintu” upychała gdzie się dało smutne, zakurzone sztuczne kwiatki, wyglądające na kradzione z cmentarza, a także podawała wstrętną kawę z fusami lub herbatę w szklankach w koszyczkach.

Ktoś kiedyś najwyraźniej poczynił też desperacką próbę ozdobienia tego zadymionego miejsca – na ścianach namalowano kilka koślawych palm, zachodzące raz na zawsze słońce i coś, co prawdopodobnie miało być papugą. Te malarskie wprawki od lat czerniały jak stare freski pod wpływem dymu papierosowego.

Kogoś, kto wchodził do Wykwintnej po raz pierwszy, uderzały przede wszystkim właśnie ów szczypiący w oczy dym (grabarze palili jakieś straszne byle co, może cmentarne liście zbierane jesienią z grobów) i niepojęty dla normalnej jednostki smród. Trudno opisać jego poszczególne składniki, ponieważ składały się na ten fetor zapachy tak różne jak obszczana brama, zgniła piwnica, przepalone kable elektryczne, gówno, rzygi, wóda, kac, stary pokój na godziny, zimny, zastarzały dym tytoniowy, trupi odór zawleczony tu zapewne przez towarzyszy grabarzy, najtańsze, ale wcale z tego powodu nie najbardziej dyskretne perfumy kilku starych grubych bab, które lubiły tu przesiadywać w nadziei, że ktoś im postawi kielicha lub upije się na tyle, że pójdzie z nimi do łóżka, co, o dziwo, ciągle się zdarzało. Najstarsza działająca kurwa w naszym mieście, Aniela

Gołowąs, siadywała w kącie pod zakopconą sztuczną palmą i zjadała postawione przed nią z litości resztki serdelków z musztardą, popijając je zlewkami z niedopitych piw.

Jednak tego wieczoru był tu obecny akcent muzyczny: w innym kącie, pod piecem, siedział obskurnie ubrany młody człowiek wyglądający na żebraka i grał na grzebieniu tango *Zapomnisz o mnie*. Nawet grabarze rozdziawili gęby, a na ich tępych ryjach widać było coś jakby może nie wzruszenie, może jeszcze nie uczucie, ale jednak pewną dezorientację. Za barem Myszka Katz, która bardzo wrażliwej konstytucji psychicznej była niewiastą, przerwała na chwilę grzebanie w zepsutym zębie i podśpiewywała pod nosem:

Choć cię kochałem bezprzytomnie,
Zapomnisz o mnie
Na zawsze już...

Anieli Gołowąs zaszkliły się oczy.

– Ech, zamawiał go tu kto jak na wesele? Będzie mi tu teraz szmalec na duszy rozmazywał... Piękny, młody i brudny... Z takimi same kłopoty.

Ów młody człowiek grający tango na grzebieniu właściwie mógłby spokojnie być studentem czy byłym studentem, bo twarz miał niewinną i aż nazbyt ładną, a włosy jak len, tyle że było w całej jego postaci coś niechlujnego, jakieś rozwałęsanie, jak gdyby nie dbał o to, czy śpi w łóżku czy na sianie w stodole. Jakby sam siebie nie szanował, nie celebrował! Kiedy grał, przymykał oczy, zasłaniając je długimi blond rzęsami. Przed nim na stole stało piwo w ciężkim kuflu.

Trzy dyżurne stare grube baby w beretach lub chustkach na głowach na jego widok poczuły ogromny przyływ uczuć macierzyńskich i jednocześnie bolesne ukłucie gdzieś w szeroko pojętej duszy (ukrytej pod zwisającymi do pępka wielkimi piersiami) na myśl o tym, że raczej nie zostaną one zaspokojone. Wychudzone prostytutki w sukienkach do kolan i z opalizującymi opaskami na krótko obciętych

czarnych włosach, z równymi grzywkami nad oczami, paliły nerwowo, mrużąc sztuczne rzęsy, które tak miały się do jego rzęs, jak butelka duszących perfum do kwitnącej, mokrej od deszczu gałęzi bzu po majowej burzy. One też poczuły ukłucie, ale już nie rozróżniały z jakiego powodu, a na łyzy nie mogły sobie pozwolić, bo te rozpuszczały klej, którym przytwierdzone były rzęsy. Czy że chciałoby się tak raz z kimś młodym i pięknym, a nie wiecznie z tymi przeklętymi dziadami, po prostu dla przyjemności, a taki na pewno nie płaci, i wrażliwy, na grzebieniu tango gra... Nie, to już nie dla nich ten bez majowy, mokry od deszczu, dla nich tylko tanie perfumy.

Nagle brudna bordowa kotara zawieszona na drągu przed drzwiami, aby nie dopuszczać chłodu z ulicy, niepokojąco się wybrzuszyła i po chwili spośród jej ciężkich, przesyconych papierosowym dymem fałd wyłonił się przodownik Adolf Piątek, ubrany w zniszczony kaszkiet i robotnicze łachy, który to strój kompletnie nie pasował do jego bladej, pomiętoszonej, wymoczkowatej twarzy zdychającego na jakąś wymyślną chorobę arystokraty. Piątek był chudy, chorowity, z zapadniętą klatką piersiową, garbił się i nosił druciane okulary. W niczym nie przypominał robotnika.

Wszystkie rozmowy natychmiast umilkły. Bandyci wyczuwali glinę na kilometr, a Myszka Katz szybko schowała zwitek pieniędzy za czarny koronkowy biustonosz. Nie, nie bała się, bo on nie z tych, co przychodzą w sprawie nielegalnego bimbru i innych gastronomicznych przekrętów. To ten z kryminalnych, Poniedziałek chyba się nazywa. Kurwy też uznały, że z takiej armaty jak ten Wtorek to nikt do nich, komarów, strzelał nie będzie, szkoda zachodu. Od nich jest ta przeklęta i brutalna jak chłop przodownik Stanisława Woźniak z obyczajówki.

Grabarze z kolei robili przekręty na tamtym świecie i podlegali już pod boską jurysdykcję, tak więc ten cały Czwartek mógł ich w dupę pocałować.

Poczuwszy na sobie nieprzychylnie spojrzenia, Piątek zrozumiał, że zrobił błąd, przychodząc do Wykwintnej na Zarzeczcu. Chociaż wielu z tych bandytów donosiło policji kryminalnej, trudno wymagać, aby tu, przy wszystkich, dosiedli się do niego i zaczęli rozmowę. W tej knajpie nic się nie ukryje. Chciał zamówić za barem u Myszki Katz stopkę wódki, ale zanim zdążył otworzyć usta, ta syknęła na niego jak oparzona kotka i jednocześnie mrugnęła.

– Idź stąd, Adolf, potem. Zwariowałeś? Nie tu!

Wycofał się więc odprowadzany syknięciami i splunięciami na podłogę, a właściwie – na udeptaną ziemię posypaną słomą i trocinami. Zaplątał się w kotarze, nie mogąc nijak znaleźć tej cholernejszary, i kiedy tak miotał się w fałdach śmierdzącego papierosami materiału, usłyszał za plecami na sali złośliwy śmiech. Najpierw pojedynczy, ale po chwili już wszyscy rechotali, a on wciąż nie mógł wymotać się z tej wstrętnej szmaty. W końcu z ulgą wypadł na ulicę, taksowany drwiącymi uśmiechami dwóch pokrętów stojących tego wieczoru przed wejściem na świecy. Jeden był gruby jak beczka, drugi – chudy jak śledź. W mętym świetle gazowej latarni błysnęły złote zęby. Po ciężkim smrodzie Wykwintnej rześkie powietrze wraz z zacinającym lodowatym deszczykiem podziałało jak lekarstwo. Piątek powoli szedł pustą ulicą wzdłuż parkanu. Ktoś wywiesił na nim nielegalne komunistyczne plakaty, ale on miał to gdzieś. Zerwał jeden, spojrzął na czerwoną siekierę, którą ozdobiona była u góry odezwa, i przeczytał:

Na ulicę, Towarzysze!

Kto chce wyzwolenia klasy robotniczej!

**Kto chce Polskiej Republiki Rad Robotniczych, ten niechaj staje w szeregach
pochodu komunistycznego!**

Niech żyje strajk powszechny!

Piątek zmiął plakat i rzucił w błoto. Bardziej od Żydów nienawidził tylko komuchów, a najczęściej utożsamiał jednych z drugimi.

Zaczął padać mocniej, otworzył więc czarny parasol. Doszedł do rogu i przystanął. Wyjął ze srebrnej papierośnicy egipskiego, przypalił i rzucił zapalniczkę w błoto na chodniku. Czekał. Po dwudziestu minutach przed knajpą wyszedł ów młodzieniec grający tango na grzebieniu. Rozejrzał się dyskretnie, bo był obserwowany przez stojących na świecy bandytów, i leniwie ruszył wzdłuż parkanu. Piątek, pewny, że został zauważony, wycofał się do pierwszej z brzozy mrocznej bramy. Po paru minutach w ciemności zamajaczyły blond włosy grajaka. Obaj przeszli na wewnętrzne podwórze i wcisnęli się między rozwalającą się drewnianą sławojką a klatki z gruchoczącymi gołębiami.

Deszcz przestał padać, ale w powietrzu unosiła się lodowata wilgoć. Stali bardzo blisko siebie i rozmawiali szeptem.

– Ile razy mówiłem, żeby pan nigdy nie przychodził do Wykwintnej i w ogóle nie wyciągał mnie z żadnej knajpy, bo to się kiedyś źle skończy, jak się wiara pokapuje. I na mnie wtedy będzie dintojra, nie na pana!

– Dobra, Bosy, co mówią?

– A mówią. Że idzie na niepogodę.

– Co mówią? – Piątek przydepnął butem odzianą w jakieś szmaty stopę młodego. Od tych łachów wziął się właśnie jego pseudonim.

– Względem czego?

Piątek wyjął papierośnicę, poczęstował chłopaka, zapalili. Jakiś pijany dziadyga zataczał się do ustępu, wyśpiewując coś bełkotliwie. W mroku musiał potknąć się o miskę czy blaszane kanki na mleko, narobił rabanu, przewrócił się jak długi i dalej zawodził, leżąc. Potem chyba zaczął wymiotować. Piątek z chłopakiem odsunęli się dalej pod parkan z desek.

– Mamy zabójstwo Cieślaka z operetki.

– A, tej cioty...

– Ano, cioty, cioty... Masz coś?

– Dziwne by było, gdyby go nie zaciukali... Ale będziemy tak tu stać? Głodny jestem! Zaproś mnie pan do jakiejś restauracji, gdzie nie ma wiary!

– Z twoim wyglądem? To chyba tylko do...

Kanka na mleko zaczęła znowu chrobotać, najwyraźniej pijak mozolnie gramolił się na nogi.

Przypłynęli raz do portu marynarze...

Wszyscy słońcem opalone mieli twaaaaaaaarze...

Zawodził pijak.

– A miałbym coś na niego. No, dobrodzieju, na śledzika, na serdelka, na wódeczkę! Tylko gdzieś, gdzie wiara nie bywa.

– Znam takie miejsce.

Posępny Olle wsadził rękę do kieszeni i wyczuł w niej metal. Gładził ten przedmiot czule już od paru godzin, aż zrobił się ciepły. Nagle wstał, wyszedł przed Wykwintną i spojrzał na bandytów tkwiących na świecy jak dwa osinowe kołki wbite w trupa – jeden zezowaty, drugi kaprawy, jeden za gruby, drugi za chudy, jeden beczka, drugi śledź. Obaj bez słowa pokazali mu kierunek, a „śledź” owionął jego twarz chmurką zepsutego powietrza, mówiąc:

– Wzdłuż parkanu i na rogu w bramę.

Stała tam stara kamienica o kilku bramach, wszedł w najbliższą. Teraz tkwił przyczajony we wgłębieniu w ścianie. „Stercę tu jak święta figura w kościele” – pomyślał. Posępny Olle, święty patron od ukradzionych fantów, które nigdy się nie odnajdą. Nagle wcisnął się głębiej w ciemną niszę i zastygł w błogosławiącym geście. Dwóch budrysów wychodziło z podwórka na ulicę. Odczekał dwadzieścia sekund i wyjrzał ostrożnie z bramy. Młody i glina. Byli na widoku, policzył więc do pięćdziesięciu, splunął i pokuśtykał za nimi. Cały czas dotykał metalu w kieszeni. Czasami wkładał go sobie na palec, czasem nim obracał. Złoty sygnet. Ale wyjątkowo trefny fant. Gorący. Z zabójstwa. Tego gościa z operetki, co się zaraził tryprem od Babińskiego. Do upłynnienia najwcześniej za pół roku, pewnie u Fajgi Gutnajer. Teraz stara Żydówka nawet słyszeć by o nim nie chciała.

Tymczasem glina i młody weszli w końcu do knajpy pod wiaduktem. Wyszynk Wódek i Alkoholi – to musiało starczyć za całą nazwę. Lokal był na tyle mały, że Posępny Olle nie mógłby do niego wejść niezauważony. Na tym więc kończyła się jego rola. Splunął i pokuśtykał dalej. Złoto w jego kieszeni było już całkiem gorące.

Wyszynk Wódek i Alkoholi pod wiaduktem kolejowym liczył dosłownie trzy metry kwadratowe: barek, dwa barowe stołki i jeszcze dwa pod ścianą z lustrem, nad którym wisiała reklama wódki Baczewskiego. Zamówili u znudzonej barmanki Róży po lornecie z meduzą, przycupnęli w kącie, zapalili i czekali. Za chwilę przed każdym z nich pojawił się talerzyk z trzęsącą się, polaną octem główizną z bułką i dwiema stopkami wódki. Młody pochłonął wszystko w ciągu trzech sekund i natychmiast zamówił stopkę wódki z inwalidą, czyli tatarem z jednym jajkiem. Na koniec poprosił o piwo i już spokojnie, powoli popijał je, pałac egipskiego.

– No więc, prawdę mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby tego Cieślaka z operetki nikt nie wysprzątał na mokro. Zadawał się z kryminałem, i to tym najgorszym, zapraszał kryminalistów na pekin, dawał im cekiny w zamian za to, że go mieli piłować jak starą lampucere... Im bardziej mordziasty, tym mu się bardziej podobał, a ksywę miał wśród wiary „Spluwa”, bo to tylko splunąć na takiego... Ten jego Babiński też nie lepszy, też się doczeka drewnianej jesionki. Często miewa do sprzedania damską złotą biżuterię. Za często. Potrzebuje pieniędzy na karty i biały proszek, który kupuje u babci klozetowej w To i Owo, no i u Władymyra. I jeszcze hrabia taki był z nimi. Zawsze najlepiej wystrojony i z ochroną jakichś swoich osiłków. Myślę, że Babiński jako żigolo wyszukuje w To i Owo samotne bogate kobiety, które z nim tańczą, i nadaje je dalej, potem już ich niczyje oczy nie oglądają, a biżuteria idzie do podziału. Komu nadaje, nie wiem, ale na pana miejscu bym się dowiedział. To ciekawe, bardzo ciekawe... Babiński idzie z nimi do łóżka i ślad po nich przepada. Zatańczyć tango z pięknym żigolo i umrzeć!

Młody zamówił kolejną stopkę wódki i popił nią piwo. „Zaraz się całkiem ubzdryngoli” – pomyślał Piątek.

Jakby czytając w jego myślach, Bosy zamówił jeszcze jedno piwo i jeszcze jedną stopkę wódki, zapalił jeszcze jednego egipskiego, zaciągnął się, wypuścił dym i wyraził nadzieję na porcję serdelków na gorąco z chrzanem i musztardą. Był jedną wielką jamą chłono-trawiającą. Ale to żarcie, picie i papierosy stanowiły

jedyną zapłatę za jego informacje. Poza tym Piątek zapewniał mu nietykalność w sprawach o wadze mniejszej niż zabójstwo, z czego młody o niewinnej twarzy rumianego dziecka korzystał na całego.

Kiedy piwo i wódka zostały wypite do połowy, ostatni serdelek zniknął, a resztki chrzanu i musztardy wyczyściła bułka, Piątek zapytał:

– Których brał na pekin?

Bosy stropił się.

– No, tych najgorszych, że bez noża nie podchodź. Albo takich, co się urwali z kryminału i bujali się luzem po mieście. Albo z poprawczaka. Czasem też któregoś z młodszych grabarzy. Też przy koszarach się kręcili, żołnierzy zaczepiali.

– Potrafisz ich rozpoznać?

– Panie... Okularów nie mam... Przecież nie pójde z panem do Wykwintnej i nie pokażę palcem. Już i tak kłopot pan mi dzisiaj zrobił, że tam przyszedł. Zresztą ci, co się urwali z kryminału, to ciągle w locie, dziś tu, jutro tam, ot, bujają się po kraju. A z naszych kryminalistów, co by pan szanowny ich znał, to chyba najwięcej panu powie Smutny Mundek...

– Naprawdę? Smutny Mundek? Jego też zabierał na pekin? – Piątek aż się zakrztusił. Nie mógł dopatrzeć się niczego atrakcyjnego w tym brzuchaczu o przekrwionych oczkach świni. Ale kto zrozumie pederastów?

– Nie, on mu narajał chłopaków, bo u niego na melinie zawsze pełno bujących się aktualnie kątem pomieszkuje na melinie i chleje do upadłego. Ale z nim najwięcej się zadawał. I z tym jego byłym sutenerem, Posępnym Olle. Co to niby buty czyści przed To i Owo.

Piątek westchnął. Nie był w nastroju do odwiedzin meliny Smutnego Mundka na Koziej, zawsze szczelnie wypełnionej smrodem smażonej cebuli. Tam już było takie zdziczenie, że kiedyś przez cały miesiąc nie zauważyli, że im baba umarła. Myśleli, że jest pijana. O ile w ogóle cokolwiek myśleli. Małpi gaj. I oni ją tam przez miesiąc martwą posuwali. Dopiero sąsiedzi się zbuntowali, bo już waliło na całą kamienicę. Wchodzą tam, ech... Piątek też miał wątpliwą przyjemność

obejrzenia tej sceny. To było zło w stanie czystym. Tak śmierdzi zło. Tak jedzie w piekle. Zwłoki kobiety leżały kompletnie napuchnięte, gołe, fioletowe, z pękającymi bąblami. A taki prymityw będzie ci wciskał kit: „Myślałem, że ona śpi”. Na głowę nałożyli jej wiadro. Jak je potem zdjęli, to się okazało dlaczego. Śmierć wykrzywiła twarz kobiety w potworny szyderczy uśmiech. Poza tym nic im nie przeszkadzało.

– A ten hrabia?

Młody spojrzał na niego bezczelnie.

– A o hrabim to ciekawe, bardzo ciekawe... To by się panu spodobało... Bardzo by się spodobało... To jak z powieści *Tryndowata* jest...

Piątek westchnął i złożył kolejne zamówienie.

Hrabia Aleksander Drucki-Lubecki w stroju żebraka wjechał na dziedziniec swojego oddalonego o piętnaście kilometrów od miasta pałacu w majątku Korzany. Kamerdyner usłużnie otworzył drzwi czarnego samochodu. Jego służby nic już nie dziwiło.

– Żona w domu?

– Pani hrabina raczy pić herbatę w chińskim salonie.

Hrabia uśmiechnął się pod wąsem. Uwielbiał chiński pokój ozdobiony przepięknymi jedwabiami, wachlarzami, dywanami, które sam przywiózł ze swoich wojaży. Tak naprawdę gabinet powinien się nazywać po prostu „azjatycki”, bo wszystkie te przedmioty pochodziły nie tylko z Chin, lecz także z wypraw do Indii, Arabii i innych wschodnich podróży hrabiego. Nikt się jednak tym nie przejmował. Chiński salon ze specyficznym zapachem laki, papieru, zielonej herbaty i szafranu, zapewne przywleczonym tu jeszcze ze statku, był ulubionym miejscem hrabiny Aliki. Pachniało w nim ostro i przedziwnie, jakby bardzo starym drewnem i starą biblioteką z domieszką czegoś nieokreślonego, ale niewątpliwie na wskroś chińskiego...

– Jakby załagł się tu jakiś egzotyczny grzyb... – mawiała hrabina.

Lubiła pić w chińskim salonie zieloną herbatę genmaicha o delikatnym posmaku ryżu. Porcelanowe ścianki chińskiej filiżanki z osiemnastego wieku były tak cienkie, że prześwitywał przez nie palec. Herbata zresztą była japońska, a często pita w rosyjskiej, jeszcze carskiej porcelanie Łomonosow. Nikt nie przejmował się eklektyzmem wnętrza o ścianach ozdobionych wyblakłymi freskami przedstawiającymi pawie i smoki.

Kiedy Drucki wszedł do środka, ujrzał żonę pólżącą na szezlongu i bawiącą się chińskimi ciężkimi metalowymi kulami malowanymi w smoki. Na antycznym niskim stoliczku stała tacka z ceremonią parzenia herbaty i leżała porzucona książka – przyszłościówka, *Rok 1975. Powieść z czasów przyszłych* Bolesława Żarnowieckiego. U jej nóg bawił się mały czarny pudełek Lulu. Jak na portrecie żony wiszącym w gabinecie Druckiego.

Emaliowane kule w rękach Alik z Szeremietiewów Druckiej wydawały cichy, tajemniczy dźwięk, jakby w środku każdej z nich pływała w wodzie kolejna kulka. Hrabina podniosła na męża znudzony wzrok i odłożyła kule na stół do specjalnego czerwonego pudełeczka z dwoma wgłębieniami wyściełanymi aksamitem.

– Alik... Przebieraj się z tego stroju żebraka, bo za godzinę mamy na kolacji gości.

– Kogo?

– Z Michałówki.

– A, Komorowskich...

Hrabina Alik na powrót wyjęła z ozdobnego pudełka japońskie kule i zaczęła masować się nimi po dekolcie, turlając je powoli z przymkniętymi oczami. Z kul zaczął dobywać się tajemniczy odgłos. Hrabia podszedł do żony i patrzył, jak jej pierś faluje z podniecenia. Nagle zaśmiał się szyderczo, odwrócił na pięcie i pogwizdując, wyszedł z salonu kitajskiego. Lulu podreptał za panem.

Drucka nie lubiła wizyt zaprzyjaźnionego ziemiaństwa. Wolałaby ubrać się teraz w strój do golfa i oddać swojej ulubionej rozrywce lub pograć w tenisa. Niestety, nie pozwalały na to jesienne niepogody. Najlepiej czuła się na polowaniu, na motorze lub jeżdżąc swoim kabrioletem w samochodowych goglach z zawrotną szybkością osiemdziesięciu, a nawet dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, tak aby czuć ostry jesienny wiatr na swojej wciąż opalanej twarzy. Westchnęła. Trzeba rzucić japoński krótki czerwony szlafroczek z wachlarzem na plecach, włożyć

suknię i iść zabawiać gości. Nuda. Znowu to obrzydłe gadanie o zbożach ozimych, cenach żywca, Towarzystwie Strzeleckim i dobroczynności.

Poniedziałkowa odprawa: puste spojrzenia utkwione w chmurach dymu i puste filiżanki z resztką kawy pitej na puste żołądki.

Siąkający czerwonym nosem Adolf Piątek, pogwizdujący rumiany blondyn Andrzej Klimuszko, wypomadowany i uczesany z przedziałkiem na środku Kazio Mazanek, kopcący jak komin Karol Maślanka, stary patolog Zbigniew Ziemkiewicz, naburmuszony i wydymający usta jego młody asystent Stefek Janicki. Humory pod psem, także pogoda za oknem. Żadnych szans na przerwę w czasie najbliższych godzin.

Tylko ich sekretarka, panna Wanda, siedząca skromnie w kącie przy swojej maszynie do pisania Orzeł, wyglądała jak zwykle idealnie. Była trzydziestoletnią kobietą z cudownie grubymi blond warkoczami, ciasno i z jakąś maniacką, niemiecką dokładnością ułożonymi w koronę lub inne, niewiarygodnie precyzyjne konstrukcje. Z przodu przedziałek, po obu stronach perfekcyjnie przyklepione do głowy warkocze. W porównaniu z głową reszta, zawsze obleczona w nienaganny szary kostium, wypadła blado. Normalnie panna Wanda urzędowała w innym pokoju przy maszynie do pisania, a także robiła całe morze wody gazowej z syfonu i niezbyt dobrej policyjnej kawy Pluton, pitej przez zespół z fusami, w szklankach z koszyczkiem. Na jej biurku stały trzy aparaty telefoniczne, z których potrafiła robić użytek, i była najlepsza w ustalaniu adresów i innych danych podejrzanych czy świadków. Nawet przy najwymyślniejszych konstrukcjach z warkoczy uszy zawsze zostawiała odsłonięte, tak aby mogła do nich szczelnie przylegać słuchawka. Zdejmowała tylko po jednej stronie klipsa, którego po rozmowie natychmiast zakładała z powrotem na ucho, choćby za minutę czekał ją kolejny telefon.

Panna Wanda miała też swoje na pozór niewinne, lecz wzbudzające powszechny strach, hobby: uwielbiała po pracy robić równie wymyślne jak jej fryzury tableau ze zdjęciami całego zespołu, od „naczalstwa” po rewirowych. Te tablice pozwalały jej zaspokoić potrzebę precyzyjnego i wielce skomplikowanego komponowania różnych rzeczy. Tworzyła rocznie jedną, uwzględniając zaistniałe w ciągu roku przesunięcia kadrowe, awanse i degradacje. Ta za rok ubiegły, tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty (tegoroczna wciąż owiana była największą tajemnicą), przedstawiała kulę ziemską opartą na trzech czaszkach wśród jakichś biblijnych rzek. Na globusie zaznaczone było nasze miasto N***, tak aby znajdowało się w samym centrum Ziemi. W lewym górnym rogu widniała mapka miasta, a w prawym – dzielnicy. U góry pysznił się budynek policji. Zdjęcia wkomponowane były w kulę ziemską, obwiedzione węzami pośród mórz i oceanów, rzek, lasów i tak dalej. Na samym dole rosło Drzewo Wiadomości Złego i Dobrego, Ewa podsuwała Adamowi wściekle czerwone jabłko, a gestem tym zapewniała pracę policji po wsze czasy, wokół konarów wił się wąż. Można było patrzeć na takie arcydzieło latami i wciąż odkrywało się nowe szczegóły. Po premierze zawieszano je w głównym hallu budynku, tak aby widział ją każdy wchodzący. Tegoroczna miała zostać oficjalnie odsłonięta jak zwykle w ostatni roboczy dzień roku i wszyscy czuli, że będzie to coś na miarę nowego jaja Fabergé... Już poszeptywano na korytarzach, że znajdzie się w niej nawiązanie do spraw Kucharza i Tancerza. Jednak Mazanek, który podobno coś podpatrzył, przebąkiwał, że na pierwszym planie jest Temida z zawiązanymi oczami. Dlaczego wszyscy tak się bali tableau panny Wandy? Ponieważ sekretarka miała przedziwny dar jasnowidzenia i często wyprzedzała mające nadejść wypadki: awans, degradację, a raz nawet swoją tablicą przepowiedziała śmierć. Kiedy jeden z ich kolegów był jeszcze całkiem żwawy, okazało się, że jego zdjęcie nie zmieściło się w tableau na nowy rok i rzeczywiście – policjant nie dożył sylwestra, zginął podczas akcji. Z lękiem więc oczekiwano nowego arcydzieła, podobnie jak z lękiem patrzy się w karty wróżki, której wizje zawsze się sprawdzają...

– Podsumowując, mamy dwa trupy: Mieczysława Cieślaka (pseudonim „Spluwa”), tenora z operetki, i siedemnastoletniej girlsy kabaretowej zatrudnionej w To i Owo, Niny Stukonis (pseudonim „Ninel”). Ponieważ kochanek Cieślaka, Wojciech Babiński (pseudonim „Baba”), jest zatrudniony w charakterze żigolo i męskiej kurwy w tym samym kabarecie, w którym tańczyła Stukonis, obie sprawy mogą być powiązane. Dodatkowo w mieszkaniu Cieślaka odkryliśmy w głowie lalki materiały, które mogą powiązać jego osobę z serią zabójstw z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku zwanych „sprawą Kucharza” i nigdy nierozwiązanych. Morderca wyrzucił całe mieszkanie do góry nogami, bo prawdopodobnie miał świadomość, że Cieślak prowadzi własne dochodzenie, i chciał się dowiedzieć, ile już ustalił, ale lalki nie udało mu się znaleźć. Być może więc Cieślaka zabił sam Kucharz. A zatem mamy coś, co można by nazwać sprawą w sprawie.

– Jak baba w babie – zaśmiał się Klimuszek.

Piątek zmarszczył brwi.

– Mówiłeś coś?

– Nie, nie, mów dalej, to bardzo ciekawe – spieszył się Jędrak.

– Na razie pomijam informację od informatora znanego wam jako Bosy, że Babiński wyszukiwał w To i Owo bogate samotne panie, które po zatańczeniu z nim tanga zniknęły. Nie mamy takich zgłoszeń i oby się nie pojawiły. Przystępuję do zapisywania pytań. – Piątek podszedł do czarnej tablicy wiszącej na ścianie, chwycił gąbkę i starł z niej żydowską gwiazdę. Gąbka była sucha, proszek z kredy pobrudził mu ręce i marynarkę.

Starszy przodownik Andrzej Klimuszek uśmiechnął się po sztubacku i mrugnął do Kazia Mazanka. Obaj dobrze znali przygody Piątka z kredą oraz jego wybitnie ozdobne, kaligraficzne pochyłe pismo. Aż żal było potem je ścierać.

Karol Maślanka poczuł, że nie może już zapalić ani jednego papierosa, bo po prostu umrze. Był na czczo i bardzo źle znosił pusty żołądek zalany kawą i te papierosy, zwłaszcza że miał początki gruźlicy i powinien o sobie dbać. Pić mleko.

Wyjechać do Zakopanego albo do Worochty. Przeprosił i ruszył do wyjścia, ale w drzwiach zawahał się i wziął przy okazji gąbkę. Musiał umyć twarz zimną wodą, napić się, wyjść z tego dymu.

– A zatem, moi panowie, notuję pytania – powiedział Piątek i napisał na tablicy:

Czy Mieczysław Cieślak jest Kucharzem?

a) Jest Kucharzem.

b) Prowadził samodzielne śledztwo w sprawie Kucharza, ponieważ ona w jakiś sposób go dotyczyła. Może był spokrewniony czy w inny sposób związany z którąś z ofiar? Może nabrał podejrzeń co do kogoś znajomego, że jest Kucharzem, ale bał się przyjść z tym do nas, bo nie miał wystarczających dowodów?

– Kaziu – zwrócił się do Mazanka – przejrzyj listę ofiar Kucharza. Czterdzieści dziewięć dziwek. Szukaj powiązań z Cieślakiem, z Babińskim, z operetką, z kabaretem To i Owo, z lalkami, nie wiem, ze wszystkim, co się pojawiło w śledztwie...

– Z tangiem może – podpowiedział nieśmiało Mazanek. – Ta „maszkara” z parku miała we włosach...

– Wiemy, co miała! – przerwał mu brutalnie Piątek. – Tango tańczy Babiński, tango jest tu wszędzie. Z tangiem szukajcie powiązań. Przecież Cieślak też leżał ułożony na podłodze, jakby tańczył. Teraz:

c) Cieślak ani nie jest Kucharzem, ani nie prowadził własnego śledztwa, a adresy ofiar trafiły do głowy lalki w jakiś jeszcze inny sposób. Na przykład włożył je tam Babiński, aby obciążyć Cieślaka.

– Albo krasnoludki – wtrącił Maślanka, który zdążył już wrócić odświeżony z toalety.

– Mówiłeś coś, Maślanka?

Karol Maślanka zrobił głupią minę, odłożył zwilżoną gąbkę na rynienkę pod tablicą i usiadł na swoim miejscu.

– Zbyszku?

– Ja tylko jeszcze chciałem powiedzieć, tak à propos tego tanga... Bo znalazłem to w kieszeni szlafroka Cieślaka... – Zbigniew Ziemkiewicz delikatnie wyjął szczypcami kartkę z koperty. – I nie podoba mi się to, bardzo mi się nie podoba... Brzydko mi to pachnie i zapowiada tylko kupę kłopotów...

To była zwykła kartka wyrwana z zeszytu w szeroką linię. Ktoś, wyraźnie lewą ręką, napisał na niej trzy wyrazy i znak zapytania. Za chwilę wszyscy zobaczyli ten tekst na tablicy pięknie wykaligrafowany przez Piątka:

GDZIE TWOJE SERCE?

W kącie z szybkością karabinu stukały klawisze maszyny do pisania naciskane wymanikiurowanymi palcami panny Wandy. Czerwone jak krew paznokcie na czarnych klawiszach.

– Gdzie twoje serce? – Mazanek, stały bywalec dancingów, jako pierwszy rozpoznał tekst nowego tanga śpiewanego przez Faliszewskiego na płytach Syreny-Electro. – Czyżby morderca chciał nam coś powiedzieć?

Młody Janicki z pogardą wyduł usta. On też natychmiast rozpoznał przebój, ale nie zdążył się tym pochwalić.

– I teraz druga wiadomość: po rozebraniu denata – doktor Ziemkiewicz włożył okulary i zaczął czytać swój raport – okazało się, że poza raną zadaną brzytwą w celu przecięcia tętnicy szyjnej, czyli poderżnięcia gardła, już po śmierci ofiary wykonano od strony pleców precyzyjne nacięcie ostrym nożem chirurgicznym, skalpelem lub tą samą brzytwą. Musiałaby być idealnie naostrzona. Przez to nacięcie o szerokości dwudziestu centymetrów...

– Nie... – wyrwało się Mazankowi.

– Tak! – szepnął tryumfalnie Janicki, który nareszcie mógł poczuć się ważny, bo asystował przy sekcji i wiedział o wszystkim od początku zebrania.

– Panowie, cisza! Otóż przez to nacięcie z chirurgiczną precyzją usunięto z ciała denata serce. Metodą „przez plecy”. Morderca zabrał je ze sobą. Jak

Kucharz, niestety... Wyciął i zabrał. Krwawienie nie mogło być duże, ponieważ denat nie żył, ale moim zdaniem sprawca i tak musiał go rozebrać i prawdopodobnie dokonać tego zabiegu w wannie. Ciało robi wrażenie wypłukanego i – że tak powiem – „odkrwawionego”. Czyli zabójca położył je na plecach w wannie i poczekał, aż krew spłynie, chociaż po poderżnięciu gardła większość krwi i tak się wylała... Zresztą poderznąć mu gardło musiał także w wannie, bo nie mieliśmy nigdzie kałuży krwi. Potem umył ciało, następnie wytarł je (powinniście, panowie, dokładnie zlustrować wannę i ręczniki), ubrał i dopiero wtedy ułożył w pozycji tańczącego tango. Czyli kolejność była taka: najpierw – na przykład związawszy ofiarę lub obezwładniwszy chloroformem – podrzyna jej gardło w wannie i czeka, aż wyleje się cała krew. Prawdopodobnie wtedy wypłukuje ciało po raz pierwszy, przewraca na brzuch i przez plecy na wysokości serca robi nacięcie wielkości dłoni. Poszerza je, rozciągając palcami, wycina brzytwą mięsień sercowy i zapewne opłukuje. Po czym opłukuje ciało i ubiera tylko w dzienny szlafrok, układa w wejściu do kuchni w pozycji sugerującej figurę tanga, serce pakuje do jakiegoś worka i wsio...

W pokoju panowała cisza przesywana jedynie odgłosami naciskanych klawiszy maszyny do pisania. Panna Wanda pilnie protokołowała w kącie. Tylko ona sprawiała wrażenie zupełnie nieporuszonej.

W tej ciszy nagle rozległ się jak bomba komentarz Mazanka:

– A serducho w gazetę, w teczkę i do domu!

Młody Janicki zachichotał.

Raptem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Spokój, panowie! – krzyknął Piątek. – Mamy więc przynajmniej potwierdzenie. Najprawdopodobniej nasz morderca jest Kucharzem lub próbuje się pod niego podszyć! Cieślak znał Kucharza, ale Kucharz w jakiś sposób się domyślił, że Cieślak go podejrzewa, i go odwiedził. Śpiewak mu otworzył, bo to był jego dobry znajomy. Po zabiciu tenora Kucharz zrobił kipisz w mieszkaniu, aby znaleźć jakieś ślady owego śledztwa i sprawdzić, czy przewija się w nich jego

nazwisko, ale nic nie znalazł. Gdyby dotarł do lalki, pewnie by mu ulżyło. Nic na niego nie było.

– Zaraz, zaraz, jak to idzie? – Mazanek podrapał się w głowę.

– Leć, załatw ten tekst!

– Nie trzeba, znam go doskonale. To wspaniały tekst! Zaraz go sobie przypomnę... – zapewnił, ale niestety mu się nie udało.

Po półgodzinie na stole przed tablicą stał dostojny patefon na korbę z wielką tubą. Na talerzu obracała się płyta. Wszyscy poczuli się tak, jakby była dziesiąta wieczór, a nie ósma rano.

Faliszewski śpiewał:

Te noce wśród pijanych gości obcych lic
To moja młodość, me życie i mój los...
W nieznośnym gwarze, który wciąż mi w uszach brzmi,
Od dawna ucichł już serca mego głos.

A gdy orkiestra zagra smętne jakieś tango,
Już fordanserkę biedną prosi ten i ów...
I muszę tańczyć z głupców tych falangą,
I muszę słuchać ich natarczywych słów:

Gdzie twoje serce? Czemuś smutna i zła?
Gdzie twoje serce? I gdzie młodość jest twa?
Noc szybko mija, jesteś wszystkich i niczyja...
Gdzie twoje serce? Szczęście tak krótko trwa...
Na malowanych wargach senne słowa drżą,
Manekin tańczy, manekin szczęście gra,
Banknoty mi wciskają gwałtem w rękę mą,
I tak co noc jest aż do białego dnia.

Raz ktoś pokochał mnie, lecz wśród tej poniewierki

Cóż w zamian dać mu mogłam, pustkę, przecież nic...

Biedak zastrzelił się dla fordanserki,

W dancingu Lajf i z owalem chłodnych lic...

Gdzie twoje serce? Czemuś smutna i zła?

Gdzie twoje serce? I gdzie młodość jest twa?

Noc szybko mija, jesteś wszystkich i niczyja...

Gdzie twoje serce? Szczęście tak krótko trwa...

– Masz, babo, placek – westchnął starszy przodownik Jędrzek Klimuszko.

– No. – Mazanek podrapał się w głowę. – Mamy co analizować...

– On śpiewa w rodzaju żeńskim? – zainteresował się Karol Maślanka, który nie przepadał za pederastami.

– Panowie, spokojnie. Zanim zaczniemy analizować ten tekst na wszystkie możliwe sposoby, warto zadać pytanie: dlaczego morderca napisał tę kartkę? Bo raczej jest to jego robota?

Nikt się nie odzywał, ponieważ każdy znał Piątka na tyle, żeby wiedzieć, że za chwilę sam sobie odpowie. Niech ma tę satysfakcję.

Piątek połknął haczyk. Z rozkoszą i nieskrywanym tryumfem powiódł wzrokiem po zapatrzonych w resztki swoich kaw współpracownikach.

Stary patolog Zbigniew Ziemkiewicz z uwagą oglądał swoje zniszczone odczynnikami i pozbawione dwóch palców dłonie.

Policyjny fotograf Karol Maślanka, znów ledwo żywy od dymu i kawy, usiłował nie puścić pawia.

Tajniak Kazio Mazanek mozolnie notował coś w zeszytach straszliwymi, wysiłonymi kulfonami godnymi pierwszaka. Wypomadowane kosmyki czarnych włosów rozdzielonych przedziałkiem na środku spadły mu na oczy.

Stefek Janicki wyrwał sobie włos z nosa i uważnie go oglądał.

Andrzej Klimuszko miał minę kiepskiego ucznia, który usiłuje nie rzucać się w oczy, aby przypadkiem nie zauważył go nauczyciel i nie wyrwał do odpowiedzi.

Panna Wanda zastygła z palcami nad klawiaturą gotowymi do uderzenia.

Piątek wyjął kościany grzebyk i przeciągnął nim po resztkach włosów zaczesanych na pożyczkę. Chrząknął, spojrzał na wszystkich tryumfalnie i powiedział:

– Rozmawiałem telefonicznie z Warszawą. Mają tam wybitnego specjalistę od zabójców wielokrotnych, takich, którzy popełniają całe serie morderstw. To psychiatra doktor Krzysztof Pawełczyk. U nas to jeszcze wiedza raczkująca, ale w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii mieli już trochę takich przypadków, dość wymienić Kubę Rozpruwacza, no i był oczywiście Fritz Haarmann w Niemczech. To bardzo dziwne jednostki, najczęściej potrafią być mili, sympatyczni, weseli, uprzejmi wobec kobiet, prowadzić normalne życie... Nikt, kto zna takiego typka, nie potrafi wyobrazić go sobie z drągiem mordującego ludzi po nocach. Tymczasem ci czarujący faceci nagle wymykają się z domu, zabijają, gwałcą, często uprawiają nekrofilie i kanibalizm. A po powrocie mówią żonie, że byli na wieczornym spacerku, bo ich głowa bolała! I całują na dobranoc śpiącą w kołysce córeczkę. Dlatego tak trudno ich złapać. Są normalni aż do banalności. Weseli, sympatyczni faceci. Doktor Pawełczyk był za oceanem na specjalnym kongresie na temat morderstw wielokrotnych i dużo mi opowiedział o typach takich morderców.

Piątek podszedł do tablicy i napisał:

1. Morderca typu „player” (ang. gracz) – lubi zabawiać się z policją, wie dokładnie, kto prowadzi dochodzenie, wie dużo o sprawach osobistych każdego z nas, niebezpieczny, może zacząć uderzać w nasz zespół i nasze rodziny, odczuwa potrzebę drażnienia się i przekomarzania z zespołem dochodzeniowym dla wzmocnienia poczucia własnej władzy nad sprawą i nad policją (ogólnie nad światem, bo zabija, aby zyskać poczucie, że obejmuje władzę). Łatwo wpada, ponieważ nie potrafi zachować umiaru, zbyt zapatrzony w siebie i ufny we własną nieomyślność, popełnia w końcu błąd, na który czekamy, ale zanim go popełni, gotów jest wymordować pół miasta. Czasem pałęta się pod nogami prowadzących dochodzenie, co sprawia mu dodatkową

rozkosz. Efekciarz! Lubi wyciąć komuś serce i zostawić kartkę z tytułem tanga *Gdzie twoje serce?* Nie musi to mieć żadnego sensu, po prostu ma robić wrażenie.

2. Morderca typu „dezinformator”. Wytwarza wokół morderstwa mnóstwo literatury, fałszywych znaków wiodących donikąd, abyśmy analizowali to w nieskończoność i nie zajmowali się tym, co najważniejsze: motywem i sposobnością. Cała ta literatura, tropy, listy, pozy, w jakich znajdujemy ciała, teatralne aranżacje nie mają nic wspólnego ze sprawą. Zwykle śledztwo grzęźnie w tym i tonie. A najczęściej za wszystkim kryje się banalny motyw ekonomiczny – spadek. W serii morderstw zazwyczaj jest tylko jedno jedyne, które mu przynosi zysk. Potem popełnia jeszcze kilka dla niepoznaki i znika, bo osiągnął swój cel.
3. Morderca typu „informator” – najrzadszy niestety. To człowiek głęboko nieszczęśliwy, który świadomie lub podświadomie pragnie zostać złapany i wykonuje straceńcze gesty, aby naprowadzić nas na właściwy trop. Chce nam powiedzieć, dlaczego zabija, i jest przekonany, że gdy go zrozumiemy, wybaczymy mu i pogłaszczemy po główce. Wpada prawie zawsze, ale czyniąc dookoła straszliwą rzeź. Często – jak pijak – mówi sobie: „już nigdy nie zabiję”, „rzucam zabijanie”, ale któregoś razu znowu „samo się zrobiło”. Zauważa to dopiero po fakcie. Budzi się rano skacowany i konstatuje: „Boże, znowu zabiłem! Jak to możliwe? Przecież miałem już nie zabijać!”. Czasem nic nie pamięta, tylko po zakrwawionych ubraniach, nożach i tak dalej domyśla się, że znowu zamordował.
4. Morderca typu „gwiazda”. Komplikuje śledztwo, aby było bardziej spektakularne, a co za tym idzie – słynne, wycina o sobie wszystkie artykuły z gazet, chce być jak najbardziej znany, ale w pewnym momencie – i tu wpada – zaczyna mu nie wystarczać sława anonimowa, chce, aby setki fleszy oświetlały właśnie jego twarz. To pełen kompleksów, często niespełniony artysta, aktor, śpiewak i tak dalej, nierzadko ma za sobą dzieciństwo spędzone w sierocińcu, brak uwagi rodziców lub był niedopieszczonym dzieckiem

z robotniczej rodziny wielodzietnej, na przykład siódmym z dziesięciorga. Oczywiście w jego projekt jest wkalkulowane to, że zostanie złapany, inaczej nici ze sławy. Najłatwiej go podejść, oskarżając kogoś innego. Wścieka się wtedy, że cały „splendor” przypada innemu, a on się tyle napracował, i zaczyna wykonywać kompletnie idiotyczne ruchy, byleśmy tylko go złapali. Niestety, ostatnie dwa typy są dość rzadkie, a ten ostatni przed wpadnięciem w ręce policji robi jeszcze większą rzeź niż poprzedni. Na dodatek wszystkie te modele jakoś pasują do naszego zabójcy. A co jeszcze gorsze, najbardziej czytelnymi stają się dla nas dopiero po wielu, wielu ofiarach...

– Czemu się śmiejesz, Zbyszku? – zapytał Piątek podejrzliwie, zapalając nila.

– A od kiedy to ty, Adolfie, zrobiłeś się taki matematyk? Tabelki, wykresy, klasyfikacje...

– Zbyszku, co chcesz powiedzieć? Nie ma czasu, a zagadek mamy dosyć – westchnął Piątek.

– Nic, śmieję się po prostu, bo sam dobrze wiesz, że tabelki tabelkami, a w życiu wszystko się miesza. Ot, jak w człowieku. Na wykresie układ nerwowy czy krwionośny wygląda, ech – cmoknął – czysta logika, wszystko od linijki, kreseczki zielone, kreseczki czerwone, nic tylko pokazywać eleganckim wskaźnikiem... A otwierasz delikwenta i okazuje się, że tam żadnego wykresu w środku nie ma, jedynie zupa, krew, gówno, rzygi, a ten wykres pływa w tym jak flaki z Kercelaka...

W sali zapanowało poruszenie, jak w akwarium pełnym wygłodniałych rybek, którym właśnie wrzucono tłustych robaków. Gorące, pikantne flaki z bułką, a nie trzecia kawa i piętnasty papieros na pusty żołądek, tego im było teraz trzeba!

– I widzisz, Adolfie, grzebiesz w tej zupie swoim wskaźnikiem, a tu się okazuje, że coś, co jest organem moczowym, okazuje się nagle organem płciowym chociażby. Pan Bóg tak to ironicznie (bo ironistą jest!) urządził, że pociągają nas miejsca nieczyste... Zarówno odbyty, jak pochwa i penis... Zależy, jak spojrzeć. I to coś pływa w innych układach, czasem jest zrosnięte, że skalpelkiem musisz

najpierw poodcinać, na przykład jelito, niby sznur, wąż, a przyrośnięty do mięsa, nie rozwiniesz...

– Protokołować to o penisie? – zapytała z niepokojem panna Wanda ze swojego kącika.

Wszyscy wybuchli śmiechem.

– I teraz, przechodząc do meritum... – Piątek zaczynał się już trochę denerwować.

– I teraz, przechodząc do meritum. – Ziemkiewicz uwielbiał się z nim drażnić, wiedząc, że jest niezastąpiony i nikt go z roboty nie wyrzuci. – Namalowałeś nam, za doktorem Krzysztofem Pawełczykiem, kilka układów, schematów, a w życiu dostajemy kotłowaną bebeczów, kompleksów, urazów z dzieciństwa, zahamowań, snów, wszystko pływa w psychice jednego faceta, a to, że mu nie staje, a to, że mamusia zmuszała do jedzenia owsianki... Nie musi pani notować o tym niestawianiu, panno Wando. I będziesz grzebać w tym swoim kijkiem, który tak dobrze się nadaje do wskazywania na tablicy. A nie wiesz, że w wielokrotnym mordercy często wszystkie te typy kotłują się naraz, tyle tylko, że jeden przeważa? Każdy morderca jest samotny, Adolfie. Powtórzę: każdy morderca jest samotny z morderstwem swoim. I każdy chce o nim w końcu komuś opowiedzieć. Każdego podnieca, gdy czyta o sobie w gazetach, gdy słucha w radio (choć nie do końca o sobie, bo nikt nie wie, że to on!). Gawrosze w kaszkietach wykrzykują na ulicy tytuły o nim, a on stoi, kupuje gazetę, ludzie go popychają, nie mają pojęcia, że to o nim. Ten typ jest w każdym i wchodzi w związki z innymi typami, tyle że może jeden z nich przeważa i przez to jest bardziej widoczny, ale najlepiej dla nas, jak się krzyżują wzajemnie wykluczające się typy! Skromny chce być złapany, ale jednocześnie jako megaloman nie chce być złapany! I wtedy dopiero popełnia błędy! Niby lubi grać, dezinformować nas, a więc jedyńka, dwójka, a jednocześnie chce zostać złapany, i tym dezinformowaniem w rzeczy samej nas informuje! Niby jest przekonany, że go zrozumiemy, pogłaszczemy po główce, nawet pochwalimy, chce się przed nami wypowiedzieć, marzy o wielogodzinnych przesłuchaniach, o opowiedzeniu z dumą calutkiej swojej historii od początku do końca, od

dzieciństwa do dnia dzisiejszego. Pierwszy raz w życiu zostanie wysłuchany z najwyższą uwagą, ba, każde jego słowo będzie spijane mu z ust, będzie sensacją! Wreszcie pochwali się, jak nam przez cały czas grał na nosie. Bo przecież nie może się nikomu zwierzyć. A więc niby trójka, he? Trójka czy nie trójka?

– Trójka – przyznał Piątek bez przekonania, bo już wiedział, że przegrał.

– A tu jednocześnie, widzisz, gdzieś na samym dnie jego biednej, zakompleksionej duszyczki ot, taki malutki groszek, tycki... Jak to było z tą księżniczką, że ją przez dziesięć materaców i dziesięć puchowych kołder maleńkie, tyckie ziarnko grochu jednak uwierało, bo taka była wydelikaccona. I gdzieś tam na dnie duszyczki ta twoja „trójka” hoduje takie ziarenko niepokoju, że jak go złapią, to go jednak po główce nie pogłaszczą i może wcale nie zrozumieją. I niby chce wpaść w nasze ręce, ale jednocześnie się pilnuje. Ziarenko się rozrasta i w nim samym rozrasta się świadomość, że w gruncie rzeczy zabawa trwa tylko do złapania, potem koniec. I chociaż na początku swojej działalności chciał wpaść w nasze ręce, to teraz już nie chce. To jaki to numerek by był?

Nikt nie odpowiadał. W końcu Mazanek wymamrotał cicho, ale i tak wszyscy usłyszeli:

– Inny.

Na sali rozległ się tłumiony śmiech.

– A jeszcze są Raskolnikowowie, co chcą po prostu sobie udowodnić, że potrafią zabić i nie wpaść, bo im wolno, bo są ponadprzeciętni. A taki Fritz Haarmann to niby do którego typu należał? Nie wiadomo, czy zabijał, aby sprzedawać mięso i ubrania swoich ofiar na targu, czyli mordował z pobudek ekonomicznych czy z pobudek seksualnych. Bo zobacz, z jednej strony faktycznie sprzedawał te ubrania i mięso, twierdząc, że to wieprzowina, czerpał z tych zabójstw korzyści materialne, a z drugiej – dlaczego wybierał tylko młodych mężczyzn i chłopców w wieku od dziesięciu do dwudziestu dwóch lat, którzy mu się podobali w sensie erotycznym? A na dodatek nie działał sam, tylko ze swoim kochankiem! I gdzie tu twoje tabelki?

– W dupie – rzucił Piątek i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

„Kawiarni! Królestwo za kawę!” – wyło w nim wszystko.

Była piąta rano, ale świt nie miał nadejść jeszcze długo. Adolf Piątek wracał dryndą do domu po całonocnym pijaństwie. Takie eskapady zdarzały mu się rzadko, ze dwa razy do roku, ale wtedy to już „po mnie choćby potop”. Później wypacał i odchorowywał te libacje za każdym razem dłużej i boleśniej, obiecując sobie i swojej żonie Stefci, że już nigdy, za żadne skarby, że jest już za stary.

W uszach cały czas brzmiało mu tango *Gdzie twoje serce?*, które kazał grać knajpianym grajkom na mandolinie, sowicie ich wynagradzając. W jego skołatanej głowie dźwięki melodii mieszały się z klapaniem końskich podków o mokre kocie łby ulicy, dryndą trzęsło, w bramach przed piekarniami już pobrzękiwały cynowe bańki z mlekiem. Niestety, nie z kawą.

Czuł silny zapach koni. Furman był opryskliwy, jak to furmani o piątej rano, same plecy, na których na skórzanym pasku wisiał w kółku numer 18, nędzna ciemna kapota zwieńczona czarną czapką z daszkiem, jakby wiozło go samo ubranie, odór końskiego nawozu i taniej machorki.

W dryndzie było brudno, siedzenie lepiło się od czegoś o słodkawym zapachu: ni to bardzo złych perfum, ni to czegoś o wiele obrzydliwszego. Piątek strzepywał popiół wprost na siedzenie. Jechał z gołą głową, bo gdzieś na szlaku zgubił swój ulubiony melonik. Może zostawił go w którejś z knajp, a może zapomniał w norze jednej z wyleniałych księżniczek nocy – sporo się działo przez ostatnie dwanaście godzin.

Odprawa ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy się skończyła, poszli z Mazankiem do Gastronomii, gdzie pękła pierwsza butelka, ale potem jego

przyjaciół wycofał się po angielsku do domu – nigdy nie doprowadzał się do stanu ostatecznego upodlenia. Znający go od lat Piątek nie był wcale zdziwiony i kontynuował swoją marszrutę samotnie. „Jestem samotnym myśliwym...” Jeszcze w Gastronomii zauważył, że znowu ten sam inteligent je kostkę węgierską, pije pół czarnej, pali cygaro i czyta wielkie płachty gazet na kijach.

Kiedy stamtąd wyszedł, melonik jeszcze był, to pewne. Podobnie jak binokle w złotych oprawkach, które też zgubił, bo żaden pijak nie potrafi utrzymać ich długo w oczodołach samym napinaniem mięśni. Odbijało mu się śledziem w oleju z cebulką, odbijało mu się tatarem, gzikiem, awanturką i wszystkimi zakąskami pod wódkę skonsumowanymi tej nocy.

Kawiarni! Kawy!...

W jakiejś powieści była gdzieś taka scena, że bohater wraca nad ranem pijany i błaga puste, wymarłe ulice o kawę... To się chyba działo w Monachium. Nad ranem wspomina swoje życie... Co to było? Ach, Boże, przecież *Próchno* Wacława Berenta! Piątek poczuł się jak bohater literacki.

Całe to dwunastogodzinne pijaństwo miało służyć analizowaniu tekstu tanga i teraz Piątek mógł już podsumować całonocne przemyślenia. Swoją interpretację zapisał skrupulatnie kopiającym ołówkiem w czarnym notesie zamykanym elastyczną czarną gumką.

Na początku zapisków jego pismo było jak zwykle przepięknie kaligrafowane, pochyłe, z zawijasami. Im dalej w tekst i w noc, tym wyraźniejszej ulegało degrengoladzie, zawijasy jednak nie znikwały, stawały się tylko bardziej ostentacyjne, pijane i desperackie. Na końcu to był już prawdziwy sztorm z ozdobną pianą na grzbietach atramentowych fal.

Tekst tanga stanowi monolog fordanserki, w którym ta narzeka na swój los, a szczególnie na to, że „zatraciła serce” (wrażliwość) wśród zgiełku i ogólnie z powodu charakteru swojej pracy. Niby jest jeszcze młoda („To moja młodość”), ale już cyniczna i zepsuta. Przyrównuje swój los do losu prostytutki, ponieważ nie może wybierać tancerzy, musi tańczyć z każdym z „głupców tych falangi”, a oni kierują do niej natarczywe słowa (i zapewne nie tylko słowa): „Gdzie twoje serce?”. W ich pytaniach też czai się wyrzut,

bardzo współgrający z tym, co sama o sobie myśli – „jesteś wszystkich i niczyja”. Czyli ona swoje myśli transponuje na tancerzy, którzy w żadnym wypadku ich na głos nie mówią, ona po prostu czyta w ich minach to, co sama myśli. A zatem: gdzie twoje serce? Co zrobiłaś ze swoją młodością? Jesteś wszystkich i niczyja, a szczęście tak krótko trwa. Doczytać się tu można pewnej paniki, że wszystko mija, a nic się właściwie nie wydarza, przede wszystkim żaden z tych gachów nie okaże się „tym jednym jedynym księciem na białym koniu” i nie zabierze jej z tego nocnego lokalu. Obawia się, że „noc szybko mija” i jej życie też szybko minie, a ona postarzeje się tutaj i nie wydarzy się nic.

Ale – tu przechodzimy do drugiej zwrotki – nawet gdy coś się jednak wydarza („raz ktoś pokochał mnie”), ona nie jest zdolna do uczuć, ponieważ jest pusta, więc nie ma co mu dać w zamian. Porównuje się do pałuby, do manekina – „manekin tańczy, manekin szczęście gra” – podobieństwo to szczególnie podkreśla zbyt mocny, zbyt sztuczny makijaż. Na malowanych wargach senne słowa drżą. Ona jest jak w transie, jak w hipnozie, nie pamięta po minucie, co mówiła i któremu z nich, przytakuje odruchowo zamyślona... No więc biedak, który się w niej zakochał, widzi, że zakochał się w sennym manekinie, w pałubie... Że nic od niej nie dostanie, bo ona jest pusta w środku, obliczona na chwilę, na taniec, przy dziennym świetle widać, że właściwie jest martwa. Ot, jak ten woźnica – strzelisz, a okaże się, że sama kapota, u niej też – wybuchnie zapach perfum, trochę piórek, trochę tuszu do rzęs...

„Kawiarni!” – wyło w nim wszystko. „Kawy! Królestwo za kawę! Kawę podaną w białej filizance, na spodeczku, na srebrnej tacy, z kostką cukru, kawę czarną, spienioną, z pianką pływającą po powierzchni! Ech...”

Ale wszystkie kawiarnie były pozamykane, w środku krzesła stały na stolikach, nowe gazety dopiero się drukowały, dzień miał się rozpocząć za cztery straszne, pozbawione zbawczej kofeiny godziny. Kawa była tylko w domu.

– Paaanie staszy, jeś pan szysiej! Stawowa!

„Biedak zastrzelił się dla fordanserki...” – no to już brzmi jak z kiepskiego melodramatu i ona sama czuje niesmak tej frazy, Faliszewski też kpi, że tylko takie „melodramatyczne dramaty” mogą się wydarzyć na dancingu, jej nie stać nawet na dramat z prawdziwego zdarzenia, bo kto, kto zabija się dla fordanserki?

– A fordanserką jest Babiński... Babiński! Ten żigolo, co tańczy z każdą starą babą, bo mu za to płacą!

No a jeszcze jakby było mało, monologu fordanserki nie śpiewa żadna Ordonka, tylko Tadeusz Faliszewski. Śpiewa w rodzaju żeńskim. Czy to ma znaczenie? Kiedy w tej sprawie wszędzie wokół same pedały? Facet śpiewa, że jest fordanserką, śpiewa o swoich „malowanych wargach”. Tfu! Piątkowi nie uśmiechało się wcale zgłębianie tego środowiska. Tam wystarczało tknąć jedną sprawę, a od razu natrafiało się na pięć innych, gorszych. Ale Władimir będzie wiedział. Zaprosi go na kawę, na kawusię... Kawy!

Alles ist hin!

Mme Aniela Gołowas, najstarsza urzędująca kurwa w mieście, zaczynała przygotowanie zawodowe sześćdziesiąt lat temu, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym. Wraz z całym obozem innych pań kulała i grzęzła po kostki w błocie, mimo to dzielnie szła za trzecią armią pruską walczącą z Francją. Po jej miejskich bucikach na wysokich obcasach szybko pozostało tylko wspomnienie, teraz za buty musiały wystarczyć onuce i szmaty posklejane błotem. Niejedna z nich oberwała rykoszetem, a wszystkie musiały dźwigać ciężkie plecaki i menażki, walczyć z wszami i karaluchami podczas podłych noclegów w porzuconych szopach, więc ich los (a pod koniec i wygląd) niewiele się różnił od losu dzielnych wojaków. Żołnierze armii pruskiej, czując bliski powiew śmierci, zachowywali się jak zwierzęta, jak własne konie. Czternastoletnia wówczas Aniela, kiepsko umalowana, źle ubrana i wybitnie brzydka, ale jednak czternastoletnia, rozstawiała wraz ze swoimi koleżankami namioty i nogi na tyłach frontu. Przed jej kwaterą, jakakolwiek by ona była, zawsze stała krótka kolejka, a każdy dzierżył w ręku ręcznik, tyci kawałek szarego mydła oraz monetę z wrytym na niej Franciszkiem Józefem w wieńcu laurowym zawiązanym z tyłu na kokardkę. „Franz Josef Austrian Imperator”. Mój Boże, gdzie te czasy? Franciszek Józef – nie żyje. Ci chłopcy poginęli, nawet kawałki mydła się wymydliły...

Już w Karlsruhe Aniela Gołowas złapała wszystkie choroby, które miała złapać, ale nikomu to wtedy nie przeszkadzało, mięsa armatniego się nie bada, żołnierz jest jednorazowy, po co dbać o jego zdrowie, skoro zaraz zginie?

Tym bardziej jej smakowali.

Najbardziej wzruszało ją, gdy któryś z żołnierzy ginął, a inni, jego koledzy, nieśli go i płakali. Płaczący żołnierze. Żołnierze oplakujący umarłego kolegę i swój los w jego osobie.

Nie byli zresztą wcale tacy dzielni. Na dzielnych wyglądali podczas musztr i defilad z orkiestrą, kiedy maszerowali w Karlsruhe przed swoim dowódcą, samym następcą tronu, księciem Fryderykiem Pruskim. W kupie. Ale kiedy Aniela miała przed sobą pojedynczego żołnierza, jakiegoś tam piegowatego Fryca z odstającymi uszami, widziała tylko przerażonego osiemnastolatka, któremu trzęsły się ręce, który miał nerwowe tiki, biegunkę i nie potrafił płynnie wypowiedzieć swojego imienia, tak się jąkał. Gdyby im pozwolono wrócić do domu, żaden nie zostałby na placu boju.

Aniela uważała, że za swój wysiłek umożliwiający rozładowanie napięcia w młodych żołnierzach trzeciej armii pruskiej powinna także dostać medal, przynajmniej blaszany. Obiło się jej kiedyś o uszy, że istnieje medal podwiązki, i uznała, że to by było coś akurat dla niej.

– Ach, to były inne czasy, tak bardzo inne... – popadała w nostalgiczne tęsknoty, stojąc pod gazową latarnią na ulicy Krowiej. Świat był wtedy pewny. Bryła. Świat zamknięty Franciszkiem Józefem i carem Aleksandrem Drugim jak solidnymi stalowymi obręczami. Właściwie nic się nie działo i każdy znał swoje miejsce, a w ogródkach piwnych Karlsruhe orkiestra grała *O, du lieber Augustin, Augustin, Augustin...*

O, du lieber Augustin, alles ist hin...

O, żebyście wiedzieli, alles, alles ist hin...

Mme Aniela Gołowas była już głucha jak pień, ale wciąż miała w uszach tego *Augustina*, a przed oczami tamte dwulitrowe piwne kufle w kształcie kłody drzewa, z blaszaną przykrywką otwieraną jednym naciśnięciem palca, facetów w bardzo wysokich cylindrach, śmierzących tanim tytoniem żołnierzy o pięknych i pustych

twarzach. „O tak, kształtuje nas pierwsze dwadzieścia lat życia, potem już tylko żyje się jak cudzoziemiec we własnym kraju” – pomyślała filozoficznie.

*...alles ist hin, meine lieber Augustin,
Geld ist weg, Mensch ist weg,
Alles hin, Augustin.
O, du lieber Augustin,
Alles ist hin...*

Co w wolnym przekładzie Anieli Gołowas brzmiało:

„Nie ma chłopów, nie ma szmalu, wszystko przesrane!”.

Przechodzący obok niej – ewidentnie w poszukiwaniu kobiety – starszy pan (który mógłby być jej synem) zerknął na nią i się uśmiechnął. Nie był to jednak uśmiech zachęcający, tylko współczujący. Jednocześnie zaczął padać wstrętny listopadowy deszczyk. Otworzyła parasol i zapaliła papierosa, nucąc *Augustina*. Teraz była tylko „wilczyca” – starą kurwą, którą starość, wyniszczenie, ślady wszystkich chorób wszystkich armii świata, papierosów i wypitej wódki pozbawiły klientów. Jej sztuczne zęby były mało przekonujące nawet dla pijanych mężczyzn i przypominały właśnie zęby wilcze – ktoś coś sknocił i było ich za dużo, poza tym były za długie, jakby Aniela miała nie usta, a paszczę. Jej sztuczne rzęsy nie pasowały do zniszczonej, nikotynowej cery z powodu zbytnej obfitości. Jej peruka przekrzywiała się na lewo. Jej zbyt słodkie perfumy ostrzegały przed nią przechodniów już na parę metrów, zanim delikwent zbliżył się na rzut monetą. A ona wciąż czuła się czternastoletnią dziewczyną! Gdyby miała pieniądze, dużo pieniędzy, skończyłaby z tym i wyjechała do wód, do końca życia leczyć wszystkie swoje choroby zbawczymi minerałami, ale zanim by wyjechała, jeszcze po raz ostatni poszłaby w noc...

I pachniałaby wtedy nie tanimi, tylko najlepszymi paryskimi perfumami, jej ciało, niczym jakąś Sarę Berg, opinałaby opalizująca czarna, nabijana kryształami i cekinami suknia balowa, nie musiałaby oszukiwać klientów erzacami,

oszukiwałyby ich w najlepszym stylu, zamiast śmierdzącego taniego papierosa pachniałyby w mroku i mrozie waniliowa brązowa cygaretką z delikatesów Davidoff und Schwarz Konrada Baumana, tkwiąca w długiej szklanej lufce, wszystko by pachniało, makijaż byłby dyskretny, w uszach prawdziwe brylanty, na szyi perły... Poszłaby ten ostatni raz, byle z dżentelmenem, z dżokejem z wyścigów konnych! Udaliby się nie do Koryntu – podłego hotelu oferującego najtańsze pokoje na godziny, ale do hotelu Angleterre przy ulicy Długiej! Z szampanem z Szampanii również od Davidoffa! Już ona by sama zapłaciła dżokejowi albo chociaż Babińskiemu, żeby się przebrał za dżokeja! I żeby jej mufka leżała porzucona na włochatym dywanie w apartamencie w hotelu Angleterre, a on żeby ściągał obcisłe bryczesy... Tak, ale Babiński... Czy on aby ostatnio nie ma kłopotów? Jakaś śmierdząca sprawa, karty nie są pewne, ale brzydko to pachnie... No, szalał, szalał, nic dziwnego, że w końcu się doigrał...

Mme Aniela Gołowąs wyciągnęła piersiówkę i jednym haustem wypła z niej wszystko, co jeszcze zostało. Miała to zaoszczędzone na Hades, który właśnie się zaczął. Teraz albo nigdy! Ponury zwiastun Hadesu, Charon latarnik, właśnie pojawił się w jej zaułku i zaczął gasić uliczne latarnie. Wyglądał jak zakłopotany przedsiębiorca pogrzebowy o mocno wybindowanych wąsach, gdy podszedł do tej, pod którą stała Aniela Gołowąs. Z przeproszącą miną zgasił jej latarnię.

– Dobry wieczór... – zachrypiała do niego Aniela w absolutnej ciszy i od razu wystraszyła się swojego skrzeku.

– Już raczej dzień dobry... – powiedział Charon. – Idźcie wreszcie do domu, babciu... Tu już nic nie będzie...

Wypity alkohol zaczął działać. Może z tego powodu cała ta scena z latarnikiem wydała jej się niezwykle piękna i teatralna. Na bladej twarzy Anieli wykwitły ceglaste gruźlicze wypieki. Ciepło rozeszło się po całym ciele. Żeby tak teraz – pomyślała – tu, zaraz, nad ranem, w tę plugawą listopadową noc zajechała pod jej latarnię czarna dorożka, żeby z niej wysiadł piękny, młody i bogaty facet w cylindrze. Podszedł do niej i poprosił ją o rękę. Tak po prostu: „Szanowna pani,

nie zwykłem zawierać znajomości na ulicy, lecz konwenanse me ugiąć się musiały przed pani wielką urodą i oto łamię je, aby teraz, natychmiast oświadczyć się szanownej pani. Jestem bogaty i piękny, lecz samotny i nieszczęśliwy”. Tak, taki to na pewno by chciał mnie okraść.

Kiedy tak długo było się kobietą, trudno uwierzyć, że nagle stało się wilczycą.

Wtem, po kocich łbach oświetlonych niebieskawym gazowym światłem niezgaszonych jeszcze dalszych latarni, nadjechała drynda. Minęła ją, ale zaraz się zatrzymała. Wsiadł z niej facet.

Najpierw Aniela pomyślała:

„Czyżby?”.

Potem:

„Ślepy czy kompletnie napity?”.

Na wszelki wypadek ułożyła swoje starcze, pomarszczone usta w coś, co miało być sztucznym uśmiechem. Ukazującym niestety mało przekonującą sztuczną szczękę wilczycy. Skierowała ku nadchodzącemu pytające, dość srogie i harde spojrzenie. Ciężko jej było ukryć niedowierzanie, że ktoś tej nocy jeszcze połasi się na nią. Zresztą wcale nie chciało jej się pracować, ale potrzebowała pieniędzy na jutrzejszy, a właściwie już dzisiejszy obiad i alkohol, od którego była uzależniona. Szybko jednak sprawa się wyjaśniła, kiedy facet podszedł bliżej. To ten Wtorek z zabójstw. Czyli małe przesłuchanko o piątej nad ranem...

Ale jak on się zaprawił, matko jedyna! Ani „dzień dobry”, ani „dobry wieczór”, ani „dokumenty”, tylko od razu objął ją ramieniem i zaczął tańczyć jakby tango! Glinianych pieniędzy to już w ogóle się nie spodziewała hojnie nacht! To mi dopiero aligant bez melonika! Wielki parasol utrudniał jej taniec, jednak gdyby go złożyła, deszcz w pięć sekund poradziłby sobie z jej makijażem i sztucznymi rzęsami. Może peruka by ocalała. Aniela nie była nieprzemakalna. Głina tańczył z nią, parasol objął się po bokach, deszcz atakował chemiczny pokost starej prostytutki. A ten cały Wtorek, tańcząc z nią, śpiewał bełkotliwie:

– Na malowanych wargach senne słowa drżą... Manekin tańczy, manekin szczęście gra!

Banknoty mi wciskają gwałtem w rękę mą i tak co noc jest aż do białego dnia...

– No, tego bym raczej nie powiedziała... – Aniela zaśmiała się chrapliwym śmiechem, który od razu przypłaciła kaszlem. – Ale nie mam nic naprzeciwno... – Beknęła.

– Gdzie twoje serce? I gdzie młodość jest twa? – pytał śpiewnie Wtorek.

– *Alles ist hin, Augustin...* – zachichotała Aniela w odpowiedzi. – Masz pan jeszcze coś do popicia, panie władza?

Wtorek wyciągnął flaszkę monopolki, podał ją mme Gołowąs, namiętnie całując ją w policzek i szepcząc:

– Wszystko mija, wszystko przemija, tylko ty jesteś tu zawsze na swoim posterunku... Odpowiadasz za nieprzemijalność świata... Gdyby ciebie zabrakło w tym zaułku, wszystko by się zawaliło...

– Czekałam tu na ciebie całe życie, Adolfie!

Piątek musiał być już naprawdę bardzo pijany, skoro najstarsza kurwa w mieście, Aniela Gołowąs, wydała mu się atrakcyjna. Ot, meandry alkoholizmu. I teraz kamera robi zbliżenie na całującą się parę...

Po chwili siedzieli w dorożce i jechali do jednej z tych podłych, psich melin bez nazwy, bez szyldu, w mieszkaniu prywatnym na drugim piętrze, gdzie alkoholowych uniesień nie przerywał żaden blady świt, gdzie nie dochodził żaden stukot baniek na mleko wyladowywanych przed żydowskim sklepikiem, bo okna od lat są na głucho zabite dechami i szczelnie zasłonięte czarnymi kotarami. Do tych nielegalnych mordowni nigdy nie miał dostępu kac, ich właściciele, grubasy o przekrwionych oczkach rzeźników, wiedzieli, że po dwunastu godzinach ciężkiego picia i palenia nie wolno już przestać, że można już tylko pić i palić dalej, aż do śmierci.

Mapa tych strasznych miejsc wryła się już na zawsze w mózg Piątka, ponieważ pokrywała się idealnie z mapą jego konfidentów, kanalii donoszących wszystko wszystkim za jednego kielicha i uproszonego papierosa, potrójnych i poczwórnych agentów. Jednym z nich był Władimir.

Piątek i Anieli wspinali się po drewnianych trzeszczących schodach na drugie piętro starej kamienicy przy Koziej. Dwoje ciężko doświadczonych himalaistów walczących o zdobycie śmiertelnie niebezpiecznego szczytu.

Czuć było stęchlizną i kotami. Przodownik wspinał się szybciej, ale co rusz musiał zatrzymywać się na półpiętrze, aby poczekać na zasapaną staruszkę.

„Starucha. Raskolnikow zabił staruchę w takiej właśnie kamienicy z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku... Ciekawe, czy ta speluna będzie otwarta. Kto tam bywa z moich ludzi? Chyba ten... a, Władimir. No, chodź już, paniusia, bo zaczynam trzeźwieć. Trzeba się napić”.

Po wystukaniu umówionego sygnału (trzy szybkie puknięcia i za chwilę trzy z długimi odstępami) drzwi się otworzyły i buchnął im w twarz smród smażonej cebuli, dym i zapach małego gaju, terrarium, po prostu zapach zoo. W drzwiach stał Smutny Mundek, który narajał – według Bosego – bandytów zabitemu Mieczysławowi Cieślakowi. Był to grubas w brudnym, niegdyś białym siatkowym podkoszulku na ramiączkach, a na to nałożone miał szelki. Spojrzał na nich przekrwionymi świńskimi oczkami.

– Czego?

„To tu ruchali te zwłoki z wiadrem na głowie” – pomyślał Piątek i rażno wszedł do środka. Pierwszy duży pokój wypełniały kanapy i ławy, przy których dogorywało paru nieszczęśników. Smutny Mundek zręcznie ominął wyciągniętą ku niemu na powitanie rękę policjanta i przeszedł do drugiego pokoju. Usiedli z Anielą na kanapie. U Mundka nie było prądu, na ławach stały świece osadzone w ciemnozielonych butelkach po winie.

– Władimir jest? – zapytał Piątek Smutnego Mundka, kiedy ten przyniósł im dwie literatki, butelkę wódki i pokrojoną w plasterki kiełbasę na zagrychę.

Mundek rozejrzał się po sali.

– Jak widać na załączonym obrazku, panie władza: był i poszedł, znowu przyjdzie... Poderwał jakąś dziunię i wyfrunął. Ale wróci...

Co charakterystyczne dla tej meliny, Smutny Mundek nie powiedział, o jakiej porze dnia lub nocy Władimir był lub poszedł, ponieważ tutaj pory dnia i nocy nie istniały, zatopione jak owad w bursztynie gęstego alkoholowego bezczasu.

– Masz gramofon? Puść jakieś tango. Masz *Gdzie twoje serce?*

Smutny Mundek zakręcił korbą stojącego w kącie pięknego patefonu i z tuby dobył się śpiew.

Aniela Gołowąs zachichotała pod nosem, beknęła i natychmiast spoważniała.

– Co pan władza z tym sercem, tylko szmalec mi na sercu rozmazują takie rzewne melodie, ale spełnić tych uniesień już nie spełnię. *Augustina* lepiej puść! *O, du lieber Augustin!*

– Noc szybko mija, jesteś wszystkich i niczyja... – śpiewał niezmordowanie Faliszewski.

„Ale się zaprawili” – pomyślał Smutny Mundek.

Nagle Aniela stęknęła, schowała twarz w dłonie i rozplakała się. Wyła, dusiła się, nie mogła złapać powietrza. Tak płacze ktoś, kto już nie wstydzi się przed innymi. Aniela szlochała. Jej usta wykrzywiały się w straszliwym grymasie.

Piątek chciał ją pogłaskać, ale jej peruka zsunęła się z głowy tak bardzo, że zrezygnował. Zostawił więc płaczącą starą kurwę i podszedł do siedzącego samotnie przy innym stole i układającego pasjansa Smutnego Mundka.

– Po co pan babcię rozdrażniasz, panie władza? Po co tangiem w niej jeszcze budzisz jakieś tęsknoty? Co ona już nie jest w stanie ich spełnić. Po co te tanga?

– Powiedz mi pan coś o Mieczysławie Cieślaku z operetki.

– Kiepski ze mnie meloman.

– Narajałeś mu różnych facetów, bandytów?

- Nikogo nie narajałem. Prowadzę lokal, a nie urząd pracy.
- Ach tak... Że też ci się jeszcze chce bawić w tą grę wstępną...

Smutny Mundek uparcie gapił się w zatłuszczone karty.

Milczeli.

Z podwórka dobiegł stanowczy głos:

„Z ustępu wybierać się będzie, zamykać okna!”.

Tu okna były zamknięte od lat.

– Wiesz dobrze, że wielu chojraków nie podawało mi ręki, a teraz już podają, nawet całują. I dużo innych nabierało wody w usta, a teraz zrobili się gadatliwi jak Halka na scenie. Więc oszczędź sobie i mnie czasu i fatygi, rozwalania tej knajpy w drobny mak, polewania cię lodowatą wodą ze szlauchu u nas w podziemiach. Dobrze wiesz, że jak cię oddam w ręce pani przodownik Stasi Woźniak, to inaczej zaśpiewasz. Pomińmy to i po prostu mów. Bo wcześniej czy później i tak powiesz, tylko już nie ze wszystkimi zębami. Żadna dziunia cię nie zechce. Nawet taka wilczyca jak ona. – Wskazał na pijącą z literatki wódkę za wódką Anielę, która znalazła gdzieś sztuczną gardenię i włożyła sobie za ucho.

Smutny Mundek myślał. To było widać. Tryby się zagrzewały, aż smalec, z którego zrobiony był jego mózg, się przypalał. Dymiło uszami i dziurkami w nosie. Tęczówki wirowały szybko jak rzucona na stół ciężka moneta. Aniela Gołowąs tańczyła. Płyta z tangiem się zacięła i powtarzała cały czas:

– Noc szybko mija. Noc szybko mija. Noc szybko mija. Noc szybko mija....

Ale noc nie mijała. Może gdzieś, za szczelnie zaciemnionymi oknami, było już przedpołudnie. Jednak nie w melinie Smutnego Mundka. Choćby Faliszewski powtórzył to jeszcze milion razy, naturalne pory dnia nie miały szansy się przedrzeć do tego akwarium z mętną wodą i osowiałymi rybami. Piątek zdjął czarnego lakierka, na którym zaschły smugi błota, i z całej siły rzucił nim w gramofon. Trafiał.

Smutny Mundek uznał to za początek pasma nieszczęść, o których mówił w swojej przepowiedni Piątek. Mimo szczelnie zamkniętych okien powietrze w melinie, o ile to możliwe, jeszcze bardziej się popsuło. Z podwórka dochodził smród wybieranego ze sławojki szamba.

– To cud, że on w ogóle tak długo przeżył – zaczął Smutny Mundek konfidencyjnym szeptem, a Piątek miał wrażenie, że gdzieś to już słyszał. Aha, tak samo wyraził się Bosy: „Dziwne, że dopiero teraz”.

– Dlaczego?

– On i ta jego lala...

– Mówiąc „lala”, masz pan na myśli Babińskiego?

– Tego jego pedałka frymuśnego, nie wiem, może i Babińskiego, bo „Baba” na niego wołają. Oni nie byli normalni. Przebierali się za baby, ale tak, wiesz pan, nie do poznania, bardzo starannie, nie jak pierwszy lepszy popapraniec, tylko piękne suknie, staranne makijaże, droga biżuteria, jak dziunie z lepszego towarzystwa. I szli pod koszary, stawali z ćmami, które ich tolerowały, bo wiedziały, że ich zabawa może się toczyć tylko do pewnego momentu. Pijany żołnierz czy inny łyczek taką lewą lalę obsłiniał, obcałowywał, za dupę macał, a im w to graj! A im gorszy bandyta ze złamanym nosem, tym ich to bardziej podniecało. Nie raz i nie dwa, że w ogóle nic się nie wydało, tylko dmuchnął facetowi balonika i już go nie ma, jeszcze go skasował. Ale im było mało i kiedy jeszcze do domu zaczęli ich sobie sprowadzać, to już wiedziałem, że za chwilę będę im musiał *Dobry Jezu, a nasz panie* zaśpiewać.

– Razem takiego brali?

– Czasem razem, czasem on sam, ten Cieślak, a jak już po dwóch bandytów zaczął brać do siebie, to tylko drewnianej jesionki wyglądałem. To i nic dziwnego, że se kojfnął.

– Teraz wymienisz pan wszystkich, których mu kiedykolwiek naraiłeś.

Smutny Mundek zamrugał przestraszony. Aby odsunąć ten straszny moment, powiedział:

– Nie podpiszę na siebie wyroku śmierci. Pytaj pan tego Babińskiego. Ale powiem za to coś innego. Oni nie byli sami. Nie chodzili we dwóch, tylko we trzech. Był tam z nimi taki hrabia, nie wiem, jak się nazywał, ale ten Baba panu władzy powie. Hrabia. Prawdziwy. Miał zawsze prawdziwe perły na szyi. Kompletnie zdegenerowany. On w ogóle lubi się przebierać, czasem przechodzę obok To i Owo, a on siedzi z psem, jako żebrak. Ikonę sobie wystawił i głową do ziemi leży. Posępny Olle nie raz go widział.

Piątek czuł się zbyt zmęczony na myślenie. Gdyby to była pojedyncza sprawa morderstwa Cieślaka, można by do niej podejść standardowo i szukać mordercy wśród bandytów – kochanków. Słowem: sprawa na bank zostałaby niewyjaśniona i byłby spokój. Ale miał jeszcze zabójstwo Niny Stukonis – nie wiadomo, powiązane czy nie, oraz związki ze sprawą Kucharza poprzez adresy jego ofiar znalezione w głowie porcelanowej lalki i poprzez wycięcie serca. Tekst tanga włożony ofierze do marynarki sugerowałby mordercę wielokrotnego, wyrafinowanego, nie bandytę kochanka, co by zabił pod wpływem impulsu, przesuwając zbitą butelką po tętnicy szyjnej. Który oprych będzie się bawił w tanga i w wycinanie serca przez plecy? Nina Stukonis miała wplecioną we włosy płytę z tangiem, co bardzo brzydko pachniało. Piątek czuł, że musi podejść do tej sprawy niestandardowo. A może jednak Cieślak prowadził własne dochodzenie w sprawie Kucharza i za bardzo zbliżył się do mordercy? Teorię o zemście kochanka bandyty należało odrzucić. Wyciął mu serce, jakby chciał powiedzieć: „Co? Myślałeś, że mnie złapiesz? Myślałeś, że złapiesz Kucharza? To teraz Kucharz zje sobie twoje serce!”.

Postanowił, że na dziś ma dość. Smutny Mundek, widząc, że glina ustąpił, podał mu jeszcze podejrzanej proveniencji zwłoki śledzia pokrojonego w dzwonka, dolał ciepłego jak woda z kranu bimbru i nastawił nową płytę. Bardzo starannie wybrał fokstrota.

Piątek przez całe życie brzydził się grzybów o nazwie sromotnik smrodliwy – tych fallusów obżeranych przez muchy i cuchnących jak gnijące zwłoki. Teraz szedł lasem, potknął się i upadł twarzą wprost na to gówno. Leżał przerażony. Muchy ze sromotnika poderwały się i zaczęły gilgotać go po twarzy. Smród się wzmagął. Z obrzydzenia aż się obudził.

Chciał otworzyć oczy, ale nie mógł ich rozkleić. Pomógł sobie ręką. Zabolały wyrywane rzęsy. Mucha się spłoszyła, ale tylko na chwilę.

Leżał na brudnym materacu, a nad sobą miał straszną jak dzik, nieumalowaną prastarą twarz Anieli Gołowąs. Lekko już nadgryzioną przez syfilis pięćdziesiąt lat temu. To ona całowała go raz po raz w nos, w oczy, w usta, w uszy. Odór wydobywał się z jej podłużnej i pełnej zepsutych zębów paszczy wilczycy. Piątek zwymiotował wprost na podłogę. Spojrzał na Anielę. Wstała goła, w samych pończochach na podwiązkach i butach na wysokich obcasach. Chuda jak szkielet.

– Gdzie twój humorek, co z tobą, Wtorek? – zanuciła modną ostatnio piosenkę.

„To ona, to jest ta śmierć, która szaleje w mieście! Tu masz mordercę wszystkich!” – pomyślał. Jej żyłki widoczne pod frymuśną koronką. Jej bujne siwe włosy łonowe. Jej piersi jak dwie puste skarpetki.

„To już nie na moje lata te pijaństwa. To ja już dziękuję. Pokryłem Anielę Gołowąs, która pieściła mnie, kiedy spałem, niczym dobrodzieja, niczym najczulszego kochanka”.

Usiłował rozpoznać porę dnia lub nocy, ale u Smutnego Mundka czas nie istniał, nie było zegara, a zaciemnione okna nie pozwalały sprawdzić stopnia jasności na dworze. Można było jednak założyć, że zamiast iść teraz umierać do domu, powinien lecieć do roboty. Nieogolony i śmierdzący. W obłoconych lakierkach.

Jego nowa miłość przyniosła niedopitą butelkę ciepłego bimbrowa, pociągnęła z niej i podała mu wraz z zapalonym papierosem. Oślinionym i ciepłym.

Piątek rozejrzał się bezradnie.

Smutny Mundek chrapał na kanapie z różowym brzuchem wylewającym się spod brudnego siatkowego podkoszulka. W pokoju było duszno i gorąco, w piecu buzowało. W powietrzu stał gęsty papierosowy dym, z popielniczek i puszek po konserwach wysypywały się kipy. Śmierdziało jedzeniem, śmierdziało ruchaniem, śmierdziało rzygami. Piątek chciał wstać, ale osunął się i padł.

Goła Aniela zaległa koło niego z głową na jego zapadniętej, bladej i pozbawionej włosów klatce piersiowej. Rozmarzona.

– Chcesz cycuszka? Ale mleczka już nie mam, moja maszynka już nie działa...
Pocałowała go w sutek. Potem mucha znowu zaczęła łaskotać go w twarz.

Kochanka miałam, zwykła rzecz.
Rzemiosłem jego – apasza nóż.
Kochałam, chociaż bił,
Całował, potem lżył,
Co dnia mi pęk dostarczał róż...

Była druga w nocy. W poczekalni Dworca Petersburskiego spali wyłącznie żebracy i kloszardzi. A w kącie dziewczyna w chustce na głowie, zgięta wpół, jakby zasnęła i nie mogła dłużej utrzymać się w pionie. Zwykła, biedna bezrobotna, co to przyjechała ze wsi do miasta za pracą i nie miała gdzie przenocować. Z tobołkiem. Dopiero kiedy całkiem się osunęła i runęła na brudną dworcową posadzkę, zainteresował się nią nocny patrol.

Niestety, był to znany nam już nocny patrol.

Hasło na ten wieczór brzmiało: „SOS Tytanik”, a odzew: „Góra lodowa”, i Pirożek za żadne skarby nie mógł tego zapamiętać, dlatego z jego identyfikacją Kostański miał same problemy.

– Leżała taka zgięta wpół, sztywna, od razu było wiadomo, że coś jest nie tak! – tłumaczył Piątkowi osobnik podający się za posterunkowego Pirożka, pociągając nosem i zażywając syrop Biotonin-Gąsecki na uspokojenie.

Powiedzieć, że Piątek nie przepadał za tym tandemem, to nic nie powiedzieć.

– Kogóż my tu mamy? Kazik, trzymaj mnie, bo nie ręczę za siebie! Znowu te dwa patałachy: Adam Pirożek i Walenty Kostański? Ta dwójeczka! Od kiedy to jest wasz rewir?! Kto wam pozwolił się tu zapuszczać?

Pierożek i Kostański milczeli pełni godności, patrząc w dworcową podłogę, pomazaną teraz kredą w różne linie i pola.

– Bo on... Bo on jest przeziębiony i ciągle sika... Znaczy znowu zachciało mu się siku i... No, nie wypada, żeby władza szedł do bramy odcedzić kartof...

– Debil. Won stąd! Paszli won!

Ale tu w posterunkowym Pierożku, od lat ponizanym przez Piątka, nagle obudziła się duma. Wyjął kraciatą chustkę, wytarł nos, zażył miętową tabletkę do ssania, lodowato spojrzął Piątkowi „w same oczy”, po czym powiedział do kolegi:

– Chodź, Walek, nic tu po nas.

Walenty Kostański w chwilach wyjątkowego wzburzenia zaczynał się jąkać, ale nawet spod tego jękania wyzierała również wielka urażona godność osobista.

– Wła... wła... wła... wła... właśnie!

Piątek spojrzął z niedowierzaniem najpierw na Kostańskiego, potem na Mazanka, a na koniec na doktora Ziemkiewicza. Jego asystent, młody Janicki, o tej porze nie poświęcał swojego cennego czasu czynnościom służbowym, choćby zamordowano samego marszałka Piłsudskiego.

– Stać! Stać natychmiast! Bo strzelam!

Ale obudzona duma na dobre rozgościła się w Kostańskim i jego chorym koledze.

– Chodź, Walek, nie zwracaj uwagi na tego szczekającego psa. – Pierożek siorbnął nosem i nie odwracając się, szedł dalej do wyjścia, natomiast Kostański odwrócił się, rzucił pogardliwe spojrzenie i jeszcze przyspieszył kroku. Piątek nie wierzył własnym oczom.

– A... a... a... a...

– No, wykrztuś wreszcie! – rzucił Pierożek do Kostańskiego, kiedy znaleźli się na brudnym i pospolitym placu przed dworcem. O tej porze, w ciemnościach rozświetlanych jedynie mętnym światłem nielicznych latarni stało tylko parę dorożek bez szans na kurs, kilka prostytutek bez szans na klienta i snuł się jakiś pijany żołnierz.

– A... aleś mu po... powiedział!

– Hasło na dzisiejszą noc? – zapytał nagle Pirożek podejrzliwie, jakby pochwała ze strony kolegi świadczyła o tym, że ktoś go podmienił.

– Es... Es o es Tytanik. O-odzew!

– Góra lodowa!

Po czym dwaj młodzi posterunkowi rozplłynęli się w gęstej mgłę jesiennej nocy.

Rozpytywanie świadków o dziewczynę to była czysta komedia. O tej porze w hali Dworca Petersburskiego okienka biletowe i kiosk już dawno zamknięto.

W poczekalni oblepionej wyblakłymi reklamami tabletek od bólu głowy Kowalskina na ławkach kimał niechętny władzy kwiat nocy bezdomnej. Mimo to ekipa Piątka w stałym składzie zgarnęła na komisariat wszystkich, którzy tam się znajdowali, a nawet siedzącego w kącie inwalidę z wielkiej wojny, stanowiącego narzędzie pracy dwóch cwaniaków zabierających mu codzienny utarg w zamian za to, że go nie zabiją. Z inwalidy został tylko korpus z głową bez rąk i nóg, biedaczek był więc całkowicie od nich zależny. Nikt nic nie widział.

– A przecież – dowodził Klimuszko – morderca musiał dość długo znajdować się na widoku. Zakładamy, że nie przyniósł jej do tej dworcowej hali martwej i nie posadził na ławce. Ona musiała już tam wcześniej być lub przyszedł z nią żywą. To co by musiał zrobić?

Mazanek, który lubił odpowiadać na łatwe pytania i puszyć się tym, nie zauważając wcale, że są łatwe, od razu się ożywił.

– No, musiał wejść do hali. Przyglądnąć się wszystkim... Musiał ją sobie upatrzeć. Podejść. Usiąść obok i chwilę posiedzieć, że niby czeka na pociąg albo nie ma gdzie spać. Musiał ją zamordować na oczach wszystkich tak, żeby nawet nie pisnęła. Wsadzić jej kartkę z tekstem piosenki. Usadowić tak, żeby przez jakiś czas się nie osunęła. No i odejść, zanimby to nastąpiło.

– Jak zginęła? Nożem raczej by jej nie zadźgał tak na oczach całej sali. Zbyszku?

– Zaraz idę ją kroić, ale podejrzewam zatrucie. Mógł ją czymś poczęstować, niby jakimś cukierkiem, jeśli tak, to reszta powinna być w ustach lub utknąć w przełyku. To chyba najczystsza i najcichsza robota...

– Czyli zupełnie inny *modus operandi* niż przy Cieślaku i tej biednej Stukonis...

– No i niepokoi mnie, że ta piosenka *Kochanka miałam...* to właściwie nie jest tango. – Ziemkiewicz rozumiał psychikę wielokrotnych morderców i wiedział, że kierują się własną logiką i trzymają się jej bardzo konsekwentnie. – Ten twój doktor Krzysztof Pawełczyk z Warszawy na pewno też kręciłby nosem na to odstępstwo, Adolfie.

Zbigniew Ziemkiewicz szedł skąpo oświetlonym korytarzem Zakładu Medycyny Sądowej na Kaczej. Ściany z surowego betonu, gołe żarówki, tabliczki z przepisami przeciwpożarowymi, gaśnice – oto wszystkie ozdoby korytarza. Panującą w nim ciszę przecinało tylko brzęczenie prądu dobywające się z metalowych szafek opatrzonych namalowanymi od szablonu czerwonymi trupimi czaszkami i błyskawicami. W tej ciszy odgłosy jego białych ortopedycznych chodaków rozlegały się niczym stukot klawiszy maszyny do pisania naciskanych wymanikiurowanymi palcami panny Wandy. Były szybkie i równomierne. Szedł ubrany w biały fartuch z zielonym gumowym ochraniaczem z przodu. Kroki Ziemkiewicza wystukiwały opowieść o doktorze, który pracuje po nocach, dla którego nowy trup jest ważniejszy i ciekawszy od nowego snu. Gdy miał nowego, ważnego pacjenta, nie istniały dla niego pory dnia ani nocy, skończy, to pójdzie spać choćby o dziesiątej rano. Potrzebował tylko morza kawy i cygara. Uzupełnianie kofeiny i nikotyny to jedyne potrzeby życiowe Ziemkiewicza, które jeszcze nie zanikły. Snu wystarczały mu dwie, trzy godzinki na dobę, jeść – prawie nie jadł, co najwyżej jeden posiłek dziennie, a i to niechętnie i połowę zostawiał na talerzu. Jego zaimpregnowane odczynnikami chemicznymi i formaliną oraz kawą i nikotyną stare, pomarszczone ciało zółwia trzymało się równie doskonale jak mumia także bez tych wszystkich drobiazgów. Dziwny to był człowiek! Kroił trupy w największym skupieniu, jakby przeprowadzał operację na żywym pacjencie. Najczęściej robił to zupełnie sam, ponieważ jego młody pomocnik Stefan Janicki jadł za trzech, spał, ile wlezie, chędożył, co mu w ręce wpadło, i przychodził do pracy tylko w godzinach, kiedy było to jego obowiązkiem, a i wtedy spóźniał się

haniebnie. Niestety, jako praktykanta Ziemkiewicz nie mógł go wyrzucić czy zastąpić kimś o nieco mniej rozbuchanych funkcjach życiowych.

Ziemkiewicz nie miał zbyt wygórowanego zdania o Piątku i Mazanku. Nie liczył na nich. „Gdyby tak Warszawa przysłała porządnego dochodzeniowca, najlepiej tego Leona Przygodę, sprawa od razu ruszyłaby pełną parą!” – myślał, idąc korytarzem w żółtym świetle żarówek. Im bliżej sali sekcyjnej, tym wyraźniejszy stawał się zaduch, którego jednak doktor już prawie nie wyczuwał. Była to mieszanina przeróżnych smrodów i zapachów: gówna, rzygów, tataru, moczu, lizolu, octu, sklepu mięsnego z dodatkiem jednego sekretnego składnika – odoru rozkładających się zwłok, którego nie da się opisać, ponieważ nie jest podobny do niczego innego. Wszedł do sali i – jakby zaczynał operację na żywym organizmie – najpierw podszedł do umywalki i z maniacką dokładnością umył ręce swoim ulubionym mydłem Jeleń Schicht. Wytarł je starannie ręcznikiem poznaczonym fioletowymi pieczęciami ewidencyjnymi ZMS. Nad leżącym na metalowym stelażu trupem zapalił ostre lampy elektryczne. Zsunął prześcieradło, również całe w fioletowych stemplach. Z białej metalowej nerki wyjął ostry skalpel medyczny. Rozciął nim nędzne brudne szmatki, w które ubrane były zwłoki, mrużąc na głos tekst podwórkowej piosenki:

Kochanka miałam, zwykła rzecz.
Rzemiosłem jego – apasza nóż.
Kochałam, chociaż bił,
Całował, potem lżył,
Co dnia mi pęk dostarczał róż...

– Od kiedy to jest tango? – mruknął do siebie niezadowolony Ziemkiewicz, ponieważ bardzo nie lubił, kiedy coś się nie zgadza. „To piosenka warszawska, podwórkowa, typowo bandycka” – pomyślał. Ziemkiewicz skalpelem rozciął łachmany na zwłokach zbyt sztywnych, aby dało się je rozebrać, zdjął je, po raz ostatni obszukał, a potem wyrzucił do kosza na śmieci. Teraz leżało przed nim gołe

ciało. Ziemkiewicz zniżył wielką lampę i przyjrzał się uważnie dziewczynie: była skrajnie wychudzona, niedożywiona, zabiedzona. Znał te objawy, widywał ich coraz więcej. Owoce wielkiego kryzysu... Sztywność ciała oznaczała tylko tyle, że od śmierci minęły jakieś cztery godziny, a ponieważ od trzech godzin zwłoki znajdowały się już w rękach policji, denatka musiała więc sobie posiedzieć z godzinkę w tej poczekalni, choć właściwie znane są przypadki, kiedy stężenie przychodzi już po dwóch godzinach od śmierci.

Wpatrywał się w ciało: było blade i zdrętwiałe, wyglądało jak oskubany kurczak, pokrywała je gęsia skórka, typowa dla stężenia pośmiertnego. Choć żywym zwykle się zdawało, że ta gęsia skórka wynika z leżenia nago na lodowatym metalowym stole sekcyjnym. To ciało bezwstydnie zdradzało niewesołą historię życia, które do niedawna w nim mieszkało. Skrajne wychudzenie z głodu, liczne nieleczone dawne złamania i urazy, opuchnięte i mocno poobcierane od niewygodnych butów stopy, anemia, zepsute zęby, cienkie, łamiące się włosy, wszy. Oprócz tego szponowate paznokcie, obrzęk na twarzy w okolicy powiek, obrzęk nóg. Po nakłuciu z tkanki podskórnej wydobywał się płyn. Mimo że był dopiero listopad, odmrożone palce stóp i dłoni. Na całym ciele obfity meszek oraz długie rzęsy. Ziemkiewicz palcem uniósł jedną powiekę denatki. Mruknął coś niezadowolony i zmarszczył brwi – coraz mniej mu się to podobało.

Otworzył ją, wyciął mostek i odłożył na pomocniczą szafkę. No tak! Organy wewnętrzne w zaniku. Zważył wątrobę: 51 gramów, zamiast dwóch kilogramów jak u zdrowych ludzi. Waga serca: 110 gramów! „Kości gąbczaste i miękkie. Głód. Organizm od dawna pozbawiony kalorii, a więc i glukozy, zaczyna ją wytwarzać z kwasów tłuszczowych własnej tkanki tłuszczowej. To nie było tango! Oczywiście! I to nie jest element ich serii! W przelyku – już sprawdzam – nie ma żadnego zatrutego cukierka. Krew i mocz pójdą jeszcze do analizy, ale już tylko pro forma”.

Doktor Ziemkiewicz podszedł do umywalki i zamyślony długo mył ręce szarym mydłem Jeleń Schicht. Ostatnio widywał aż za dużo podobnych objawów śmierci głodowej. Takie żniwo zbierał wielki kryzys. Spojrzał na stojącą na

umywalce puszeczkę i przybliżył ją do oczu. „Shiner Gold” – przeczytał. Powąchał. Była to brylantyna do włosów. Jego młody asystent Stefan Janicki nawet w tym imperium śmierci zasiał swój mały młody świat.

„Dlaczego akurat mnie zawsze wysyłają do tych sodomitów?” – zastanawiał się Kazik Mazanek, idąc pod parasolem ulicą Krowią. A przecież wiedział dlaczego. Miał dwadzieścia siedem lat. Wypomadowane, uczesane z przedziałkiem na środku piękne czarne włosy. Tym opadającym co rusz na prześliczną twarz kosmykom żaden pedał się nie oprze. Wyróżniały go też wydatne usta i nos z lekkim garbkiem, którym węszył jak szczeniak. Do tego ubierał się jak dandys. Był ruchliwy, wszędzie było go pełno. Umiał otworzyć każde drzwi i większość serc. Miał w sobie mnóstwo jeszcze chłopięcego wdzięku i piękne wypieki na bladej twarzy jak zawstydzona dziewczica. Na kobiety nie zawsze to działało, za to „ci” wariowali. Był agentem erotycznym zespołu Piątka.

Cóż, służba nie družba. Mazanek czuł, że rozkłada go grypa, miał katar i zapalenie zatok, bolały go gardło i głowa, ściekało mu wszystko gdzieś do gardła, najchętniej położyłby się do łóżka z herbatą i książką.

Bez przekonania zażył całą garść tabletek Nerwomigren-Motor, które kiedyś polecił mu posterunkowy Pierożek, popił wodą, następnie wypomadował i podkreślił wąs, oblał się przemysławką, nałożył lakierki, po czym roztaczając wokół apteczne i perfumeryjne zapachy, ruszył w noc. Podśpiewywał sobie dla kurażu:

Ty jak morfina zatrułaś serce moje...
Odurzyłaś mnie, jak w rozkosznym śnie...
I jak morfiny miłości twej się boję,
Lecz nie mógłbym już
Ciebie wyrzec się...

Noc była anginą, nie morfiną. Była to noc delirycznych dreszczy, gorączki, grypy, kataru, mokrych chusteczek do nosa – zgniła noc listopadowa. W kałużach odbijały się niemrawe światła latarni. Ulica wyłożona była drewnianymi klockami, z których wiele już zgniło. Wszystkie kurwy rozmazywały makijaż, siąkając nosami. Mazanek poczuł, że przecenił swoje siły. Aż się zatoczył, tak zakręciło mu się w głowie, a kiedy zakaszłał, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Ulica pachniała koksem, węglem, dymem z kominów, czymś przypalonym, piwnicą.

Szczeły za nim jak wściekłe wszystkie psy w mieście.

„Załatwiam szybko sprawę i wracam przed jedenastą do domu, bo mi cieć bramę zamknie, a nie zamierzam jeszcze dopłacać do tego interesu” – postanowił.

Celem Mazanka był bar Pod Ptaszylem, miejsce spotkań pederastów i lesbijek, a także grubych starszych panius. Oba te typy klientów łączyło zamiłowanie do plotecek, słodkich likierów, słodkich kremówek, przesłodzonej kawki i jeszcze słodszej gorącej czekolady. Można tu też było zażądać do przejrzania zagraniczne pisma, jak „Elegante Welt” czy „Die Dame”.

Mazanek otworzył drzwi i uderzył spoconym czołem w przesiąkniętą słodkawym zapachem bordową kotarę, mającą za zadanie nie wpuszczać do środka wilgoci listopadowej nocy. Złożył parasol i zaczął szukać szpary w ciężkim materiale, starając się nie doprowadzać do tworzenia się widocznych z sali tajemniczych wybrzuszeń. Nie był tu po raz pierwszy i wiedział, że wszyscy goście, śmiertelnie sobą znudzeni, wciąż wpatrują się w tę portierę i pilnie śledzą, czy nie tworzą się na niej wypukłości – znak, że ktoś NOWY, ktoś, kto jeszcze nie wie, gdzie jest szpara, usiłuje dostać się do nich, i teraz kto pierwszy, ten lepszy – każdy przyjmuje pozycję pantery gotowej w każdej sekundzie do skoku.

„Jakie to obleśne i plugawe miejsce i jak pasuje do niego, że chcąc tu wejść, trzeba zacząć od szukania szpary...” – przemknęło przez myśl Mazankowi. Znalazłszy ją wreszcie, wkroczył w obłok gęstego dymu papierosowego i słodkawego zaduchu, starając się sprawiać jak najmniej atrakcyjne wrażenie. Nie powinien jednak zachowywać się zbyt odpychająco, aby nie domyślono się w nim

tajniaka. Najlepiej będzie grać kogoś, kto owszem, przyszedł tu w wiadomym celu, ale zna swoją wartość i nie widzi na razie godnego siebie kandydata, a z byle kim, z byle hołotą nie zamierza iść do łóżka.

Hołota siedziała na wysokich stołkach wokół baru w kształcie litery U oraz po kątach, obserwując go w lustrach i z napięciem godnym wyścigów konnych śledząc ukradkiem, gdzie usiądzie. Patrzył na te zakazane ryje. Wśród nich jeden „nasz” tajniak, Władimir – krótko obcięta siwa lesbijka, stara recydywistka, złodziejka i gorliwa donosicielka. Trzeba przyznać, że zachowała się profesjonalnie i jej poorana i wielokrotnie zszywana czerwona twarz, zwieńczona połamanym parę razy w bójkach w okolicach Dworca Petersburskiego nosem, na widok Mazanka pozostała idealnie obojętna. Władimir skubała sobie skórkę przy palcu, paznokcie bowiem od dawna miała obgryzione. Paliła taniego papierosa bez filtra, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym jak robotnik po szychcie. Raz po raz spluwała tytoniem i śliną na podłogę. Była najbardziej męską osobą w całej kawiarni.

Obok niej, odwrócona tyłem do wchodzącego Mazanka, siedziała jej dziewczyna – Władimir uwielbiała cygate, rumiane młode blondyny z bujnymi włosami za pas. Zwykle nie odzywały się, kiedy ich „pan i władca” chlał ze swoimi kumpelkami, bo one miały tylko leżeć i pachnieć. Bez najmniejszej szkody dla poziomu dyskusji, ponieważ zazwyczaj były to idiotki. Ta blondyna też siedziała cicho i znudzona dłubała łyżeczką w pretensjonalnym deserze przybranym wymyślnymi rurkami, polewami i posypkami.

– Ech... – nie wytrzymała i stęknęła siedząca pod ścianą z lustrem jakaś wychudzona stara ciota z wielkimi wąsiskami – tu jest wolne koło mnie, proszę młodzieży...

„Tak właśnie będę stał w piekle, nowy, przyprowadzony przez diabła, a z kotła w kącie odezwie się lubieżne stęknięcie i ciche: «Tu, tu jeszcze jest trochę miejsca, proszę... razem będzie cieplej...»” – pomyślał Mazanek.

Ktoś zachichotał.

Ktoś inny, najwyraźniej pijany, nieco za głośno zaseplenił z kąta:

– Ja jestem taka mała, mała, pieść... Bzidalu...

Któryś z gości go uciszył. Parsknięcie śmiechu. Cisza. Pijackie:

– Ja bede mdlala... Jaka jestem niedostępna...

Dwie stare baby w futrach, kapelusikach z czarnymi woalkami i w lisach na szyjach wcinały pączki, piły kawę i plotkowały, aż się kurzyło. Teraz i one wybuchły śmiechem.

Mazanek spojrzał na nie i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jak dziwne i surrealistyczne jest noszenie na szyi zwłok lisów ze wszystkimi detalami – noskiem, pyszczkiem, sztucznymi oczami... Jakie to straszne!

Zamówił kawę i koniak. Usiadł przy barze. Chciało mu się siku, nie był jednak aż tak naiwny, aby w tej knajpie iść do toalety – raz już kiedyś spróbował. Natychmiast pisuary po jego obu stronach zostały zajęte, gorączkowe spojrzenia biegały od podnieconych kutasów do jego rozporka i z powrotem. Musiał wytrzymać. Niestety, nie udało mu się uniknąć kichnięcia. Rozległo się jak wybuch bomby i natychmiast spowodowało różne komentarze mówione niby to do siebie, niby do innych.

– Zimno mu...

– Zaziębił się...

– Za często się lozbielala lala...

– A ja to bym takiemu nóżki ogziała...

„To tylko majaki. Po prostu mam gorączkę...” – pocieszał się Mazanek, gdy nagle zrozumiał, że rzeczywiście ma silną gorączkę. W lokalu było straszliwie duszno, każdy poza dwiema korpulentnymi jejmościami w lisach palił, okna były szczelnie pozamykane. Ból głowy przeszedł aż w dotkliwe łupanie. Połknął kolejne dwie tabletki Nerwomigrenu i popił zbyt gorącą jeszcze kawą.

– Bzidal... Na katar najlepsza jest wódeczka...

Dopiero po dwudziestu minutach goście barku Pod Ptaszylem ochłonęli i na powrót zajęli się własnymi sprawami. Dwie stare baby grzebały widelczykami w swoich torcikach. Władymyr nie spuszczał z nich wzroku.

Mazanek zgłodniał i zamówił flaki. Kiedy je dostał, zrozumiał, że popełnił błąd. W konsumowaniu flaków tutaj było bowiem coś dwuznacznego i obleśnego, podobnie jak w szukaniu szpary w kotarze. Wszyscy znowu patrzyli tylko na niego. Po zjedzeniu dosiadł się do Władymyra i jego blondyny. Usiedli w kącie pod lustrem, aby móc w spokoju rozmawiać (sala zareagowała, nazywając go „wstrętną lesbiją”). Władymyr dostał wódkę i serdelki na ciepło z bułką i musztardą, bo nienawidził słodkiego i uważał, że to dobre dla pedałów, a pedałów nie cierpiał ponad wszystko i często ich bił.

– Co jest? – zapytał obojętnie.

– Gówno. I jeszcze się rozlało.

Mazanek przedstawił z grubsza „wątek obyczajowy” sprawy, pomijając jej związki ze sprawą Kucharza.

– Ten hrabia to Aleksander Drucki-Lubecki – powiedział zamyślony Władymyr, przeżuując jednocześnie z pasją serdelki. „Nie uczyła cię matka, żeby nie gadać z pełnymi ustami?” – wściekał się na niego w myślach Mazanek, który nie lubił prostaczek.

– Nazywają go Czarna Mańka. Mieszka w wielkim majątku Korzany, kilkanaście kilometrów od miasta. Niby ma żonę, tę Alikę z Szeremietiewów, a nawet przez jakiś czas woził się po Warszawie z Sarą Berg, że niby kochanka, popołudniówki szalały, ale to wszystko dla picu. Zboczona kanalia. Ciągnie go do

marginesu jak świnie do gnojówki, z najgorszym błotem się zadaje, nawet z Córką Papieża. Tak że sam widzisz. Babiński to wiesz, że kurwa męska, jak oni wszyscy w To i Owo. Roznosi tylko kiłę, bo ma już późniejsze stadium i po nim nie widać. Tylko czekać, jak mu odbije. Tu w ogóle nie ma wstępu. Dziwię się, że go dotąd nie przesłuchaliście. Wiesz, że Mundek załatwia im towar?

– Jaki towar?

Wyraz pobłażliwego zdziwienia zagościł na zmasakrowanej twarzy Władymyra.

– Jaki towar... Chuje. Bandytów do łóżka. Od razu mnie mógł załatwić, tanio bym wzięła. – Zarechotał, plując wokoło kawałeczkami jedzenia.

Mazanek tak bardzo nie cierpiał Władymyra! Patrzył z obrzydzeniem, jak „ten skurwiel” pożera, głośno mlaszcząc, tony żarcia kupione za jego prywatne pieniądze. Oblizwał palce, na koniec wyczyścił bułką resztki musztardy na talerzu, beknął solidnie i zapalił papierosa, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym jak prosty robotnik po szychcie. Bujna blondyna wciąż milczała i jadła krem. Nie miała głosu.

Władymyr. Jego więzienne tatuaże: krzywo wydziarane gołe baby, trupie czaszki, kotwice. Jego obgryzione pazury. Jego połamany nos. Szedł kiedyś z nim ulicą – co chwilę oglądał się za jakąś babą, brzydka, ładna – każda była dobra, sapiąc: „Ożeż ty! Patrz, jaki tyłek! Laluniu, jesteś boska, chodź do cioci!”. Jego – Mazanek nie potrafił myśleć o Władymyrze w rodzaju żeńskim. Myślał o nim wyłącznie per „ten skurwysyn”.

Musiał jednak przyznać, że Władymyr pomagał im dużo i chętnie. Rzecz jasna, nie za darmo, tylko w zamian za pieniądze, papierosy, wódkę, kawki, flaki, serdelki, kotlety, a nawet raz za seks z pewną osadzoną... (sposoby przodownik Woźniak!) oraz za przymyknięcie oczu na jego ciemne sprawy. A jeśli idzie o rynsztok, to kąpał się w nim codziennie niczym rusalka błotna i wszystko wiedział. Na pewno zresztą więcej, niż mówił. Omijał te wątki, gdzie przy okazji

wyszłyby na jaw grzechy jego i jego „kumpli”, szczególnie Czystej Wyborowej – takiej samej jak on lesby i złodziejki.

– A tak pod chajrem – Władimir gołnął stugramową stopkę wódki – całą tą bandę dawno powinniście rozgonić, a jeszcze lepiej – zamknąć. Czekał, kto tam jeszcze był? Cieślak nie żyje. Czarna Mania... Baba... Kto tam jeszcze? A z Córka Papieża już pan gadałeś? Ja nie wiem, czy to nie jest dopiero wierzchołek góry lodowej, niby czarna plamka, a tam całe szambo wam jeszcze wypłynie...

Mazanek, choć nie cierpiał Władymira, musiał przyznać, że ten miał niezwykle trafne podsumowania.

– Ale powiedz mi, co tu robi ta dziewczyna zabita w parku? Po co dziewczyna? To jest ściśle męskie towarzystwo. Gdyby dziewczyna była przebrany facetem, ale tak? To już jak dwa grzyby w barszcz.

– Dziewczini są baldzo mile... – zasepleniła nieśmiało długowłosa blondyna, po czym się zaczerwieniła i natychmiast ucichła pod piorunującym wzrokiem Władymira.

– Zamknij się, idiotko! Kończ jeść i wychodzimy! Niezły burdel wam się zrobił. Zobaczysz pan, że jeszcze parę osób pojedzie na Kaczę. I to zupełnie od czapy. Tang nie brakuje. A wy z Piątkiem tylko byście się obżerali frykasami. Na miejscu mordercy byłabym raczej spokojna. Jeśli Warszawa kogoś wam nie przyśle, to będziecie te zabójstwa obserwować w nieskończoność... W Gastronomii.

Tak, Mazanek musiał przyznać, że Władimir ma trafne podsumowania.

Mały Stefek Sarna, syn stróża kamienicy przy ulicy Beczkowej 8, krążył nerwowo po podwórku. Czas mijał nieubłaganie, a wraz z nim nieuchronnie malały szanse na zdobycie niezbędnych mu pięćdziesięciu groszy. Stefek zaś koniecznie chciał dostać się na „jeden jedyny” występ niejakiego Władzia Zwirlicza. Kiedy rano jechał na rowerze po chleb do piekarni Paula Hoppego, zobaczył na słupie ogłoszeniowym wielki afisz:

Cyrk RIVIERA Wdowy von Rumpfeld!

na pl. p. Kozłowskiego

DZIŚ, w sobotę, o godz. 8.30 TYLKO JEDEN SPEKTAKL!

Wielkie widowisko!

18 atrakcji światowej sławy!

Udział bierze wszechświatowej sławy KRÓL ŻELAZA!

Gustaw Breitbart

(brat b. p. Zygmunta Breitbarta),

który wykona najnowsze atrakcje cyrkowe po dziś dzień niewidziane.

Niebywała atrakcja!

Tylko jeden jedyny występ w naszym mieście!

WŁADZIO ZWIRLICZ w drodze z Wilna do Paryża!

Fenomenalny Jasnowidz i Brzuchomówca!

Cud mnemotechniki!

Zgadywa myśli na odległość!

Ceny kryzysowe od 49 groszy!

Od tej chwili Stefek nie mógł znaleźć sobie miejsca. Ach, dowiedzieć się, dowiedzieć nareszcie, ostatecznie i na pewno, co z tą Hanką, która mieszka na poddaszu, czy jego zabójcze spojrzenia zrobiły na niej wrażenie? Poznać człowieka nieprzeciętnego, nie takiego jak ci, co ciągle człapią po podwórku z gazetą w drodze do wychodka, tylko niemal czarodzieja! Skąd by tu wytrzasnąć te pięćdziesiąt groszy?! Boże, chyba przyjdzie już kogo obrabować czy co?

Wokół toczyło się jednak beczelnie banalne, rozpaczliwie nudne i śmierdzące przypalonym obiadem życie, w którym nie istnieli jasnowidze i nie znajdowało się na ulicy pięćdziesięciu groszy. Matka wysłała go po krochmal, bo znowu jej spuchły nogi.

„Jeśli będę ciągle gdzieś latał na posyłki, to nie wiem, kiedy wyczaruję te pieniądze” – myślał. Potem miał iść po sól. I po co jeszcze? Po ług do mycia podłóg, po naftę, po zapałki, po węgiel. Wreszcie matka wzięła go ze sobą do pralni. W czasie kiedy rajcowała z chorobliwie chudą praczką („Moja pani, ten radion to drogi, przereklamowany i wcale sam nie pierze, człowiek się musi uharować jak wół, tylko płatki z szarego mydła!”), Stefek przeskakiwał przez białawe mętne kałuże z mydlin. Cwane gołębie też omijały te zatrute jeziora.

Gdyby tak ten jasnowidz w swoim jasnowidzeniu zobaczył, jak bardzo mu zależy na tych pieniądzach, na pewno by się nad nim zlitował i oto mały znalazłby raptem w kałuży pięćdziesięciogroszową monetę. Wystarczyłoby opłukać ją z mydlin i już można by biec w podskokach do cyrku, jeszcze by zdążył! Co gorsza, Stefek nie miał zegarka i czas określał po złudnych symptomach, takich jak bicie dzwonów w niedalekim kościele Zwiastowania, pozycja cieni rzuconych przez trzepak, który robił za zegar słoneczny, i tak dalej. Wszystko jednak mu mówiło, że zbliża się wieczór! Władzio Zwirlicz nie będzie na niego czekał!

Kiedy już Stefek ostatecznie stracił jakąkolwiek nadzieję i siedząc na trzepaku, kiwał smętnie nogami, nagle na podwórku pojawił się jego wysłannik! Goguś – tak nazwał go od razu w myślach. Miał około trzydziestu lat. Był elegancki, jakby właśnie wybierał się na dancing, w lakierkach, we fraku, w palcie, z białym szalem, z blond wąsikami. Podszedł prosto do siedzącego na trzepaku z rozdziawioną gębą

Stefka. Wysłannik. Wysłannik z listem. Bo w obleczonej białą rękawiczką dłoni trzymał kopertę. „To list do mnie, z biletem, od Władzia Zwirlicza!” – pomyślał natychmiast Stefek. Nie może być inaczej! Białe rękawiczki, biała koperta, biały szal, błyszczący czarny cylinder... Zdawało mu się, że za chwilę z cylindra wyfruną białe gołębie... Ale kiedy nieznajomy odezwał się do niego, wyszła na jaw dość poważna wada: jąkał się.

– Od, od, od, od, oddasz tten llllist pod adr... ad... adres... Do mmme... mmme... meecenasa K... Karwowskiego... Nnnn... nic mu nn... nnn... nie mów! Nnnn... nie t... t... t... tłumacz. W... wrzuc mmmmu do do skrzynki w d... drzwiach i uuu... uciekaj...

Stefek zaczął się zastanawiać, czy ktoś, kto się tak rozpaczliwie jąka, może być wysłannikiem samego Władzia Zwirlicza. Ale wtedy poczuł w dłoni monetę. Pięćdziesiąt groszy. I wszystko stało się jasne!

Wymoczek znikł jak prawdziwy czarodziej. Gdyby nie koperta, Stefek pomyślałby, że to było przywidzenie. Przyjrzał się jej uważnie. Ktoś ją zakleił specjalną brązową taśmą, nie dałoby się jej otworzyć i potem na powrót zamknąć. Na kopercie jednak wcale nie widniało nazwisko szanownego lokatora z pierwszego piętra, mecenasa Karwowskiego, a tylko wykaligrafowane z zawijasami zielonym atramentem jedno słowo:

PIĄTEK

A był poniedziałek! Zresztą mały nie miał czasu. Poleciał w te pędy do mecenasa, ale zamiast wrzucić list do krzynki, zadzwonił do mieszkania. Nie było go. No cóż. Schował list do kieszeni i natychmiast pobiegł do cyrku Riviera.

Tu kończyła się nudna, banalna rzeczywistość zalatująca wyziewami z kuchni, garbarni, pralni i zakładu szewskiego. Na widowni wśród kłębow siwego papierosowego dymu, w którym elektryczne reflektory żłobiły korytarze, siedzieli spoceni faceci w kaszkietach w kratę palący papierosy i pogryzający kiełbasę. Na ubitą ziemię posypaną trocinami co rusz spadały niedopałki, łupiny ze słonecznika, kości i plwociny. Pachniało intensywnie ludźmi i zwierzętami. Faceci na widowni dogadywali na głos, śmiali się, poklepywali się nawzajem po plecach, a nawet rzucali różne rzeczy na scenę. Ale przede wszystkim palili i się pocili. Było tam też sporo dziewczyn – służących, modystek, sprzedawczyń z piekarni, robotnic z magła, z pralni, z farbiarni i tak dalej, które pachniały obficie najtańszymi perfumami, były za mocno wymalowane i z udawanym oburzeniem przyjmowały robotnicze zaloty.

Światła zgasły, rozległ się gong, na estradę wyszedł konferansjer i zapowiedział jakąś madame de Gę Gę de Cilici de Montevideo, prosto z Buenos Aires w drodze do Nowego Jorku przez Paris, London i Grodno. Po chwili pojawiła się blada jak prześcieradło wychudzona dama po czterdziestce w czarnej prostej sukni do ziemi, w czarnych rękawicach po pachy i w narzutce z futra mały. Wszyscy zamilkli. Przy pianinie usiadł równie blady i chudy wymoczek we fraku, przylizany na brylantynę. Stefek musiał przyznać, że kobieta umiała skupić na sobie uwagę. Na sali pogasły wszystkie światła i zapalił się punktowy reflektor, wycinając z ciemności białe koło, w którym stała artystka. Nagle zrobiła oczy w słupek i zaczęła nie śpiewać, lecz rytmicznie deklamować z jakimś przedziwnym cudzoziemskim akcentem:

– Mahhhhhhhynasz jest na moszu... Mahynasz jest na moszu, a mosze jest oghomne... Jest spokojne, nie ma kajne fal, nie ma kajne andren szife. Słońce ćwieci rot. Abend. Jest spokój. Psze... pciepelnia was oghhhhomny spokój... Nagle...

Kobieta rozejrzała się dookoła, mrugając gorączkowo, jakby świeżo z cudnego snu obudzona...

– Nagle pohhhhhhywa się wiathhhhr! Wihhhhehhh!

Spojrzała znacząco na pianistę, ten zaczął walić w klawisze, dobywając coraz niższe i niższe dźwięki, niczym czarodziej czy Zeus ów gromowładny.

– Nagle lośpocina się taniec dziwiołów!

Pianista grał coraz szybciej, kobieta wyginała się na wszystkie strony. Stefek wyjął zza pazuchy jabłko, które biegnąc do cyrku, zwędził ze straganu. Przez to całodzienne poszukiwanie pięćdziesięciu groszy nic jeszcze nie miał dziś w ustach.

Wyginanie się kobiety przeszło w jakiś obłąkańczy taniec. Artystka raz po raz przekrzykiwała szalejące pianino, do którego dołączyły też bębny. Walili w nie przemalowani na czarno pastą do butów majtkowie ze statku.

– Majtek wypad za buhhhhta!

– Mahhhhynarze klną: cholehhhhha!

– Na hohysont widać ogień Ćwientego Elma!

Kobieta gięła się coraz bardziej i coraz niżej w lewo, w prawo, w przód i w tył, tylko same stopy pozostawały jakby przyklejone do desek estrady. Potrafiła pochylić się na dziesięć centymetrów od podłogi i nie poruszyć stopami. Stefkowi wydała się jakimś czarnym smokiem wielogłowym. Muzyka nie milkła, wymoczek grał coraz szybciej i szybciej, wymazani pastą do butów i ubrani tylko w jakieś zasuszone liście, może baobabu, może bananowca, czarni majtkowie walili coraz szybciej w bębny, kobieta niemal lizała podłogę... Nagle z jej gardła dobył się szaleńczy krzyk, zupełnie nieartykułowany, zdławiony, i wszystko ucichło, a ona zatrzymała się przy samej podłodze i w tej urągającej prawom fizyki pozycji zastygła, niczym ośmiornica. Reflektor zgasł. Na sali panowała absolutna cisza.

Stefek ugryzł jabłko. Zabrzmiało to jak wystrzał z armaty i wszyscy nagle spojrzeli na niego.

Kobieta odwróciła się i obrażona zeszła ze sceny. Teraz dopiero ozwały się brawa, potężne, entuzjastyczne, a na estradę wpadł konferansjer, piejąc:

– To była madame de Gę Gę de Cilici de Montevideo, prosto z Buenos Aires w drodze do Nowego Jorku... Fenomen gimnastyczno-artystyczny!

Korzystając z hałasu, Stefek szybko spałaszował jabłko.

– A teraz w drodze z Wilna do Paryżu i Nowego Jorku – Władzio Zwiiiiiiiiirrrliiiiiicz!!!

Zagrzmiały talerze. Widocznie w tym cyrku, stojącym od niepamiętnych lat w naszym mieście N*** na placu Kozłowskiego, wszyscy byli w drodze.

Ale zamiast Władzia na scenie pojawił się niski, gruby i łysy jak kolano dyrektor cyrku Riviera – wyfrakowana beczka z zegarkiem z dewizką i w lśniącem cylindrze.

– Otóż, proszę państwa, Władzio, Władzio Zwirlicz! Na co dzień mieszka i przyjmuje interesantów chcących poznać swą przyszłość w Wilnie, oczywiście tylko tych szczęśliwców, którym uda się do niego dostać, bo zapisać trzeba się z rocznym wyprzedzeniem. Teraz jednak, w drodze do Paryżu, i dalej, do Londyna i Newjorku, raczył nas uszczęśliwić i dał się uprosić... Jeden, jedyny seans... U nas! Słynny telepata i odgadywacz myśli... Brzuchomówca! Zakres objawianych przez niego eksperymentów jest nadzwyczaj rozległy i wprawia w zdumienie każde audytorium. W ciągu zaledwie kilku sekund odgadywa myśli ludzkie, przedmioty, cyfry, przewiduje przyszłość, odczuwa terażniejszość, odnajduje miejsca osób zaginionych, numery banknotów, wykonywa tajne polecenia osób trzecich itepe. Był wielokrotnie badany przez lekarzy psychiatrów, między innymi przez profesora Władyczkę z Uniwersytetu Wileńskiego, a także przez Polskie Towarzystwo Metapsychiczne w Warszawie, które dokonało z nim aż dziewięćdziesięciu doświadczeń. Profesor A. Majer z Lipska w artykule *Die Eingriffe grosser Geister auf Wladzio* (Wpływy wielkich duchów na Władzia) potwierdza, że medium

posiada fenomenalne zdolności telepatyczne i psychometryczne. W zeszłym roku, w Warszawie, jak pisał „Ekspres Poranny”, Władzio Zwirlicz przepowiedział śmierć bosonogiej tancerki Eugenji Bajon-Bryszewskiej, która rzeczywiście nazajutrz po przepowiedni popełniła w niezwykle tajemniczych okolicznościach samobójstwo. Podczas jego występu w cyrku Modern w Mościskach powiedział jednej z pań prawdę tak gorzką, iż ta opuścić salę natychmiast zmuszoną była. Władzio bowiem nigdy nie oszczędza ludzi, którzy o swój los go zapytają, zastanowić się zatem należy, czy na pewno chcemy znać prawdę. A oto on, ósmy cud świata, Władysław Zwirlicz!

Talerze szalały!

Władzio Zwirlicz okazał się ponurym jegomościem koło czterdziestki, ze zmęczoną, wymiętą jak zużyta chusteczka twarzą i podkrążonymi oczami. Zupełnie nie pasował do niego lśniący cylinder, który widocznie kazano mu nałożyć, aby owemu przedsiębiorcy pogrzebowemu dodać nieco cyrkowego poloru. Był tu jak ciało obce, jakby ktoś chciał zmęczonego i chorego człowieka zmusić do tańczenia kankana. Facet wyraźnie nie był gwiazdorem. Stefek nie potrafił ukryć przed sobą rozczarowania.

Władzio nie kroił dziewic zamkniętych w skrzyniach, nie wypuszczał gołębi z cylindra, nie wydobywał dolarów z pustej walizeczki, nie asystowała mu ubrana jak wschodnia księżniczka karlica z pawimi piórami wetkniętymi za opaskę na głowie. Wniesiono dla niego zwykły fotel o mocno wytartej tapicerce, a on usiadł czy wręcz klapnął na nim z ulgą. Klapnął, sapnął i zagapił się nieobecny wzrokiem w publiczność. Ona zaś patrzyła na niego z dziką, histeryczną ciekawością. Szczególnie kobiety ogromnie to wszystko przeżywały. I tak widownia i on gapili się na siebie nawzajem jak dwa wrogie wojska. Niezręczna sytuacja się przedłużała. Ludzie zaczęli chrząkać i pohukiwać.

Wreszcie na scenie pojawił się konferansjer, bez którego ta patowa sytuacja zapewne nigdy by się nie skończyła, a słynny Władzio zasnąłby w końcu w swoim wytartym fotelu i chrapałby donośnie przez najbliższe godziny. Konferansjer stanowił przeciwieństwo Władzia: to była wysmukłość długich nóg, to było konfetti, to był ostry makijaż i cięty humor, przystojna, aż kiczowata twarz o urodzie ormiańskiej.

I oto już od dwóch godzin Władzio odgadywał, wróżył, zgadywał numery, zawstydział panny, ujawniając ich panieńskie tajemnice. Przez pierwszą godzinę

Stefek dałby sobie głowę uciąć, że każda osoba zadająca pytanie z widowni jest podstawiona i „w znowie”. Postanowił zatem sam się zgłosić i „zawstydzić go”. Dość już tych głupich tajemnic służących i banalnych zdrad małżeńskich! Nie było to jednak łatwe. Ludzi z publiczności zgłaszało się dużo więcej, niż jasnowidz był w stanie obsłużyć. Ugrzeczniiony konferansjer wybierał same osoby wyglądające na zamożne, ponieważ tacy po usłyszeniu wróżby często zostawiali na małym stoliku kilka złotych. „Nie wybierze mnie...” – westchnął Stefek.

Władzio najpierw pytał, czy ma mówić, jeśli przyszłość jest zła, a gdy ktoś się zgodził, był bezlitosny. Niejeden dowiedział się, że hoduje już w sobie zalążki śmiertelnej choroby, która zabije go w przyszłym roku. Wszystko to wyglądało bardzo wiarygodnie i poważnie. Stefek po raz kolejny nieśmiało zgłosił się z pytaniem, konferansjer przejechał po nim wzrokiem, jakby ten był powietrzem, i już wypatrywał na widowni jakiejś bogatej mieszczałki, kiedy sam Władzio szepnął coś do niego i wskazał na małego syna stróża. Namalowane węglem na kredowobiałej zblazowanej twarzy brwi konferansjera uniosły się lekko, ale zaraz pojawił się na niej ugrzeczniiony i słodki jak zapach perfumerii wyraz. Pretensjonalną „czarodziejską różdżką” wskazał na Stefka. Ten wolał się upewnić i z niedowierzaniem pokazał brudną ręką na siebie. Tak, ty. Zapraszamy. Za każdym razem gdy ktoś nowy wchodził na scenę, orkiestra grała tusz, a ludzie bili brawo, wyrostki gwizdały, panny chichotały. Stefek, czerwony jak burak, żałując z całego swojego szesnastoletniego serca, że się zgłosił, przedzierał się przez tłum na arenę. Potknął się o jakiś kabel i wszyscy wybuchli śmiechem. Konferansjer, chcąc mu pomóc, objął go jakoś tak obleśnie, ale Stefek natychmiast mu się wyrwał i już stał na arenie. Na jego twarzy błądził buńczuczny, wyzywający uśmiech. Z tego miejsca widownia wydawała się groźną czarną masą. Stał płowy, nieostrzyżony, z rumieńcami na policzkach, w kaszkiecie i dziurawych butach, a na nim wisiał za duży szary garnitur po tacie stróżu. Pod żadnym względem nie był przygotowany do bycia oglądanym przez tylu ludzi.

Tymczasem konferansjer zdjął cylinder i wtedy się okazało, że pod spodem miał na głowie małe, czerwone, zawinięte do przodu różki. Stefek patrzył na jego

zbyt mocny makijaż, na brwi namalowane węglem za wysoko, na zbyt wyraźnie obrysowane oczy, na sypiącą się z twarzy kredę, na widoczne mimo tego wszystkiego dziury po ospie. Węgiel i kreda. Na arenie śmierdziało czymś słodkawym, obrzydliwym, jak bardzo złe perfumy pomieszane ze środkiem dezynfekującym w podłym kiblu. Jakiś dzieciak z pierwszego rzędu zagrał Stefkowi na nosie, na co ten pogroził mu pięścią.

Ale oto konferansjer już zawiesił dłoń nad jego głową, co mu się bardzo nie spodobało, i przesłodzonym, sztucznie modulowanym głosem powiedział:

– Podejź tu, młodzieńcze.

Stefek ani drgnął. Jeszcze czego! Ten facet nie będzie mu rozkazywał.

– No! Śmiało, mały! – doszły go okrzyki wałkoni z widowni. Ktoś gwizdnął, ktoś zarechotał, ktoś czymś w niego trafił. Te typki siedziały i żarły pestki, orzeszki, zżarłyby wszystko, własne palce, własne jaja ugotowane na twardo.

Stefek wyrwał się z rąk konferansjera. Dlaczego on sugeruje, że go hipnotyzuje czy czaruje? Po co trzyma te swoje łapy w białych rękawiczkach nad jego rozczochraną głową? Przecież to Władzio, on tu do Władzia i tylko do Władzia! Uciekł mu więc, stanął pod papierową palmą w jaszczurczozielonym kolorze i wlepił oczy w swojego Władzia Zwirlicza.

– Ja... ja tylko z nim... Tylko on! Tylko z nim będę gadał...

– Zuch, mały! Zuch! – rozległy się śmiechy na widowni.

– Te, mały, koszula ci wystaje z portek!

Władzio patrzył na niego badawczo i od razu było wiadomo, że wie o wszystkim: o całodniowej krzątaniu za pięćdziesięciogroszówką, o mydlinach w pralni, o ługu, węglu, karbidzie, świecach, o jękającym się Wysłanniku i niewrzuconym do skrzynki mecenasa Karwowskiego liście, o jego beznadziejnym wzdychaniu do Hanki z poddasza... Nawet o tym, że to właśnie on ugryzł jabłko tak głośno, że zepsuł tej gęsi Gę Gę cały występ! Stał więc pod papierową palmą, jak przy tablicy w szkole, „zaraz – myślał – opieprzy mnie na czym świat stoi”.

Postanowił więc zaatakować pierwszy. Buńczucznie spojrzął na słynnego jasnowidza i powiedział:

– Mam w kieszeni list.

Na widowni zaległa cisza. Słyszeć było tylko drganie rozgrzanego metalu przygasających reflektorów. Pozostał jeden jedyny promyczek światła, który położył się w ciemności jak wąziutka ścieżka czy srebrny strumyczek między Władziem a Stefkiem. Hipnotyzer wlepił w chłopca oczy, aż małego przeszedł lodowaty dreszcz. Gdzieś w tle ktoś zaczął rzewnie zawodzić na pile. Łu-łu-łuuuuu-łuuuuuuu... Piła – najbardziej demoniczny instrument muzyczny. Piła, pijana piła. Ta piła piła dziś...

Nagle powiał zimny wiatr i Stefkiem wstrząsnął kolejny dreszcz. Jakaś magiczna moc, o wiele silniejsza od niego, kazała mu nagle iść tiptopkami, bardzo, bardzo powoli ku Władziowi, po tej srebrnej niteczce światła jak po linie. Jak lunatyk nad przepaścią! Pod sobą widział całe miasto, ale jakby z bardzo wysoka, jakby leciał balonem czy zeppelinem, a może nawet aeroplanem! Nad domami zapadł już zmierzch i wszystko spowijała zimna listopadowa mgła. Szedł jak na smyczy tego przykutego do niego wzroku Władzia Zwirlicza. Potem nie pamiętał już nic, aż dopiero burzę braw, gwizdów, chóralny śmiech, rechot publiczności, tupanie, trąby orkiestry. Na arenę wpadło kilku klaunów i zaczęło obcałowywać chłopca, ale on wyrwał się im, obsypał ich kuksańcami i uciekł. Zaszył się w najciemniejszym kącie widowni, przy kotarach wejściowych.

Czuł się upokorzony i oszukany. Nie miał pojęcia, co wyjawiał w czasie swojego „występu”, którego nie pamiętał, a nie zapytałby o to nikogo na widowni za żadne skarby świata. Teraz wszyscy już poszli, a on stał przed cyrkiem Riviera. Pomiędzy namiotami cyrkowcy palili ogniska, grzali się, pili i śpiewali po rosyjsku i francusku do wtóru akordeonu i mandoliny. Ale Władzio Zwirlicz jeszcze nie opuścił głównego namiotu. Stefek chodził pomiędzy barakami i potykał się w ciemności o brudne wiadra. Tak, to jest właśnie cyrk: z przodu świeci, migoce i błyszczący, a podszyte to wszystko jest alkoholizmem, szaleństwem, brudnymi wiadrami. Cała ta magia. Splunął i ruszył przed siebie.

Nie uszedł jednak jeszcze nawet dwustu kroków, gdy nagle zawrócił. Jakiś magnes nie pozwalał mu opuścić terenu cyrku. Musiał porozmawiać z tym cholernym magiem! A on jakby się zdematerializował. Stefek sterczał tam do rana, obserwując nocne życie. Gotowanie w wielkich kotłach żarcia dla zwierząt. Pijackie śpiewy. Jadowicie śmierdzący dym z ognisk, beczek z płonącą smołą, piecyków, w których palono jakimś świństwem. Jak obóz cygański. Przekleństwa, śpiewy, ryki lwów. Wygłupy.

Jeden żartowniś bardzo udatnie przedrzeźniał występ kobiety od „Mahhhhynarz jest na moszu, a mosze jest oghhhhhomne...”. Tej gęsi Gę Gę. Mówili, że ta cała de Cilici wcale nie jest w drodze z Buenos Aires do Nowego Jorku, bo to całkiem nie po drodze, tylko jak oni wszyscy – w drodze z Łucka do Stanisławowa przez Tarnopol. Nawet wspomnieli coś o jego ugryzieniu jabłka, że „zuch mały”!

– A czy to nie ten sam mały, co potem wyskoczył z tym listem?

– Cholera, nie wiem. Co to ja przyglądam się gówniarzom?

– Gówniarz jak gówniarz, ale messer jak się skrzywił na widok tego listu! Jeszcze go nie widziałem w takim stanie!

– No... Skrzywił się, jakby był prawdziwym Władziem Zwirliczem. Ma on też trochę talentu ten nasz Zenek, ma!

Stefek zdębiał. Oszukali go! Cały dzień latał za pięćdziesięciogroszówką na występ jakiegoś Zenka, co „też ma trochę talentu”! Jakiś podstawiony cwaniak. To się po prostu w głowie nie mieści!

– Powiedział, że to ma strasznie złą energię, w ogóle nie chciał dotknąć tej koperty! Jakby się brzydził.

– I wciąż tylko pytał: Skąd to masz?! Kto ci to dał?!

Stefek poczuł nagle pieczenie na piersi, gdzie za pazuchą tkwił list. Wsunął rękę za marynarkę. Nic tam nie znalazł.

„No, teraz to już na pewno nigdy się nie dowiem, co było w tamtym liście!” Zmarznięty, głodny i zły wracał do domu. Czuł się oszukany i poniżony.

Przed bramą przy Beczkowej 8 zatrzymał się stropiony. Zapomniał, że brama o tej porze jest jeszcze zamknięta i aby dostać się do domu, będzie musiał obudzić stróża, czyli własnego ojca. Tego jednak wolał uniknąć. Na drzwiach przybita była tabliczka z napisem: „W godzinach 22–5 rano bramę zamyka się. Budzić stróża. Szpera: 20 groszy”. Stefek rozpoznawał czas po symptomach. Ulica jeszcze pusta, nie zaczyna nawet świtać, ale jest listopad, więc to wcale nie znaczy, że nie zbliża się już piąta rano. Trzeba czekać na bicie dzwonów w kościele. Robiło się coraz zimniej – znak, że nadchodzi ranek. Stefek kucnął i skulił się. Zasnął.

Miał straszny sen, w którym kobieta od „Mahhhynasz jest na moszu, a mosze jest okhhhhomne” stawiała się ośmiornicą wyciągającą wszystkie macki w jego kierunku. W każdej trzymała list. Stefek otwierał kolejne koperty i z każdej wyciągał własny nekrolog. Trochę był przerażony, a trochę dumny, że nagle jest taki ważny, że w gazecie publikują jego imię i nazwisko. *Żył lat szesnaście, niech spoczywa w pokoju.* W końcu jedna z macek z całej siły zacisnęła się na jego ucho. Z bólu się obudził. Stał nad nim ojciec, stary Włodzimierz Sarna, i ciągnął go za ucho.

– Gdzieś ty był przez całą noc?! Co to za spanie pod bramą, wstyd na całą ulicę!

Mały Stefek zrozumiał, że jeszcze nie skończył płacić rachunku za tę jedną chwilę ucieczki od szarej rzeczywistości.

– Bierz szmatę, wiadro – umyj pawia.

„Umyj pawia”. Posadzka w bramie. Wielka duma kamienicy. Z różnokolorowych kafelków ułożony wspaniały paw. Co prawda Hanka z poddasza i inne baby uważały, że paw przynosi nieszczęście...

Stefek czuł się obolały od spania na bruku, głodny i parszywie zmęczony.

Chwycił wiadro, wstawił je pod metalowy kran, z którego leciała wyłącznie lodowata woda. Zawsze pachniała żelazem i – podobnie jak woda z cmentarnej pompy – była „niezdatna do picia”, o czym informowała przybita nad zlewem tabliczka. Stefek umył pawia i resztę posadzki w bramie, a potem szybko pobiegł

do domu. Był głodny. W kuchni na blasze stał jakiś garnek, ale ze zbyt gorącą pokrywką, aby mógł do niego zajrzeć. Wziął więc szmacianą łapkę wiszącą na wbitym w ścianę gwoździку i uchylił pokrywkę. Nic ciekawego, jakaś szara breja. Potem zasnął, a gdy się obudził, była już piąta po południu. Wiedział to, bo w mieszkaniu stał zegar. Przegryzł suchara i napił się kawy. Coś go gnało, żeby pogadać z mecenasem Karwowskim.

Ale znowu go nie było! Gdzie on się podziewa? Zawsze siedzi w domu, a teraz nagle zachciewa mu się spacerów! Stefek tak walił w drzwi, że aż rozboleły go pięści. Szarpnął za klamkę. O dziwo drzwi okazały się otwarte! Stary zwariował! Wszedł do dusznego przedpokoju i zawołał:

– Panie mecenasie? Jest pan tam? Halo! Panie Karwowski?

Starszy przodownik Adolf Piątek z przerażeniem i niedowierzaniem patrzył na zainscenizowane miejsce zbrodni w kamienicy przy Beczkowej 8. Westchnął. To się robi coraz paskudniejsze! Radca Witalis Karwowski był mężczyzną po sześćdziesiątce, całkiem łysym, z brzuszkiem. Zwłoki wisały zupełnie gołe, zaczepione o żyrandol głową w dół, gardło było poderżnięte i na podłodze zebrała się cała krew z ciała radcy, obecnie o konsystencji galarety. Twarz była potwornie zmasakrowana, tak że wyglądała jak jeden wielki strup. Ktoś związał tego człowieka, a potem pastwił się nad nim. Na miejscu sutków czerwieniły się dwa krwawe koła, równe, jakby wycięte cyrklem! Skóra z brodawkami leżała w kałuży krwi. Prawdopodobnie wszystkie rany posypano solą, której wszędzie było pełno.

Ale co najgorsze: w tego człowieka żywcem wbijano rozzarzone papierosy! Kipowano na nim pety! Było ich z pięćdziesiąt, na oko nile, ale także ogryzki cygar. Niektóre niedopałki tkwiły wbite w tłuszcz pod skórą, inne, po zakipowaniu na brzuchu, udach, między nogami, na ramionach, szyi, twarzy, w pępku, poodpadały i leżały w kałuży krwi! Nawet w jego oczach zgaszono dwa ogryzki cygar, i Piątek był pewien, że zrobiono to za życia radcy. Znał już trochę tego mordercę.

W pokoju śmierdziało odchodami, wymiocinami, kilkudniowym trupem i najbardziej dymem oraz przypalonym tłuszczem, jakby smażonym smalcem. Wszystkich bardzo denerwował ten zapach, bo robili się od niego głodni.

Genitalia poharatano jakimś ostrym narzędziem. Oprawca wyjął z ust mecenasa sztuczną szczękę i nałożył na członka. Doktor Ziemkiewicz pokazywał zainteresowanym swoim piórem:

– Patrzcie. Przeciął mu jądra. Nie prezentuje się to za ciekawie, prawda? A jest ciekawe, bardzo ciekawe! Większość mężczyzn nie wie, jak wyglądają w środku ich własne, za przeproszeniem, jaja. No więc, jak widzicie, wszystko, co człowiek ma w środku, nie jest zbyt ładne. Twórca jest efekciarzem, ale oszczędnym! Pozłotko dał tylko z zewnątrz, nie chciało mu się zajmować tym, czego nie widać... Ot, różowa glajdra, ot, dwa jaja obciążone perłową powłoczką, byle jak, nic szczególnego... Natomiast jakby się takie jajo przecięło...

– Zbyszek, przestań wreszcie, do jasnej cholery! – nie wytrzymał Mazanek, który już od jakiegoś czasu czuł narastający dyskomfort w okolicach krocza.

– On ma rację, to bardzo ciekawe, ale to nie czas ani miejsce na lekcje anatomii, Zbyszku – mruknął Piątek.

Mazanek swoim zwyczajem zaczął węszyć jak piesek na tropie. Jego lekko zadarty nos wysuwał się do przodu, jakby go prowadził.

Na stole pozostały resztki uczyty: dwa kieliszki, niedopita butelka czerwonego wina, gęś na zimno, winogrona, sery, różowe ciasteczka i wielka, okrągła kryształowa popielnica (pusta, jej zawartość również wysypano na kałużę krwi). Wszędzie poniewierały się popiół, sól, zapałki i kipy. Na gramofonie nastawiono płytę, a że był to model podłączany do prądu, a nie nakręcany na korbę, głos z płyty Syreny-Electro wciąż powtarzał:

– W daleki po... W daleki po... W daleki po...

Brzmiało to ponuro i złowróźnie. Piątek nastawił płytę od początku i policjanci zastygli w zaciekawieniu. Tym razem tango było popularną reklamą gilz, tutek i zwijek papierosowych marki Morwitan Herbewo. Firma ta wydała na płytach Syreny-Electro parę wcale udanych piosenek reklamowych, w tym jedno tango. Pełen smutku, rzewny męski głos zawodził, że:

Był raz... Tak się ta bajka zaczyna...

Był raz... Młodzian i piękna dziewczyna...

Czar jej pobudzał krew niby wino,

Kraj dla niej rzucił, niepomny mądrych rad...

Zgubą mu była cudna Nikotina, w daleki poszli, nieznany świat...
O Nikotino, wonne marzenie, ty koisz smutek, ból i cierpienie,
Czy w dzień, czy w noc twa moc, twe tchnienie
Daje nam szczęście, zapomnienie...
O Nikotino, któż cię ominie, kogo opętasz, niechybnie zginie,
Pogromcą twoim tylko ten jedynie, którego imię Morwitan...
O Nikotino, wonne marzenie, ty koisz smutek, ból i cierpienie,
Czy w dzień, czy w noc twa moc, twe tchnienie
Daje nam szczęście, zapomnienie...
O Nikotino, któż cię ominie, kogo opętasz, niechybnie zginie,
Pogromcą twoim tylko ten jedynie,
Którego imię Morwitan.

– Ta... No to mamy niezłą kabałę... – odezwał się pierwszy Mazanek.

– Zostawmy na razie te tanga i zajmijmy się zabezpieczeniem miejsca zdarzenia. Lepiej, żeby zostawił odciski palców, a nie tango. Jędrak! – Piątek zwrócił się do Klimuszki. – Pisz waść, bo z Kazikiem to będzie trwało latami.

– Dlategoż gdyż albowiem ponieważ ja piszę powoli, aczkolwiek kaligraficznie – obraził się natychmiast Mazanek, po czym wydał swoje pełne wargi i zaczął poprawiać przed wielkim tremo radcy Karwowskiego wybrylantynowaną czuprynę.

W czasie gdy Piątek dyktował Klimuszce, Mazanek węszył, grzebał w szufladach, szafach, zniknął w innych pokojach, a Karol Maślanka kaszłał i robił zdjęcia. Patolog Ziemkiewicz wraz ze swoim młodym asystentem Stefanem Janickim – podobnie jak Mazanek dandysem o wyglądzie artystycznej bohemy (ta bladeść lic i lekko podkrążone oczy!) – badali zwłoki, które uprzednio nie bez problemów odcięli z żyrandola. Ziemkiewicz robił to beznamiętnie, Janicki – z kiepsko graną swobodą i nonszalancją. Piątek dyktował Klimuszce, a jednocześnie, ciszej, Ziemkiewicz – Janickiemu, który także miał tendencje do kaligrafii. Niestety, nawet w tym byli do siebie podobni. Doktor raz po raz pokazywał Maślance jakiś

szczegół zmasakrowanych zwłok i prosił o wykonanie dodatkowych fotografii, które potem zostaną powiększone. Błyskała magnezja, wszystkich ogarniał zapach ozonu. Złudny, bo obiecywał burzę, słońce, cudowny letni deszcz, a tymczasem za oknem straszyla jesienna szaruga.

Kazio Mazanek zwiedzał wielkie, ośmiopokojowe mieszkanie radcy Karwowskiego. Portrety Piłsudskiego na Kasztance na tle łąk i lasów jesiennych, orły w koronie, skrzyżowane szable, poroża wyrastające z białych, suchych jak pieprz czaszek jeleni, olbrzymia reprodukcja *Stańczyka* Matejki, regały z czarnego drewna pełne książek prawniczych. Kominki aż w trzech pokojach, a w każdym starannie ułożona kompozycja z drewnienek. Gabinet z ciężkim biurkiem, ciężkim kałamarzem, ciężkim suszem, ciężkim przyciskiem i ciężkim marmurowym odsączaczem... Maszyna do pisania marki Mercedes. Czarno-zielone wieczne pióro Pelikana. Mieszkanie na pierwszy rzut oka bez tajemnic, w każdej chwili gotowe na przyjęcie gości. Ciemne ciężkie kotary, solidne mieszczańskie meble, których projektantom nie przyszło do głowy, że ktoś solidny może się kiedykolwiek przeprowadzać, ciemnobordowe dywany... Tam gdzie nie dotarł smród papierosów z pokoju, w którym znaleziono ciało, panował zapach, określony przez Mazanka jako „dostojnoprawniczy”, starych książek, starego drewna, dobrych cygar... „Co tu robić?” – pomyślał. „Jak zedrzyć z tego mieszkania tę dostojną pozłotę, dokopać się głębiej? Do łazienki! Jeżeli gdziekolwiek wystaje tu jakaś prywatność, jakiś jej koniuszek, za który będzie można pociągnąć, to tylko w łazience!”

Ale łazienka była jeszcze bardziej wzorowa. Mazanek patrzył z zazdrością na dużą wannę, wielką umywalkę, kran z ciepłą i zimną wodą, solidny junkers, półeczkę z kapsułkami Vichy, ze szczoteczką do zębów, pastą Kalodont... Radca miał dużo dobrych kosmetyków i wód kolońskich. „A przecież jeśli mecenas Karwowskiego łączy coś z Mieczysławem Cieślakiem... A prędzej łączy go coś z nim niż z Niną Stukonis... To w tym mieszkaniu powinniśmy – dedukował – znaleźć albo coś związanego ze «sprawą Kucharza», albo jakieś sekretne szafki z... z czymś takim

jak damskie fatałaszki u Cieślaka. Cholera, ta Stukonis kompletnie nie pasuje do wzoru...”

Mazanek usiadł za godnym prezydenta biurkiem w gabinecie mecenasa, zapalił piękną lampkę z zielonym kloszem w kształcie kielicha tulipana, wyciągnął z kieszeni swój pomiętoszony zeszynek i pelikanem radcy zapisał:

ofiara	wiek	płeć	pseudonim	zawód	pozycja społ.
Mieczysław Cieślak	40	M (pedzio)	Spluwa	trzeciorzędny tenor, operetka	bohema
Nina Stukonis	17	D	Ninel	girlsa, kurwiszcze	„artystki”
Witalis Karwowski	62	M	Brak/Nieznany	mecenas	burżuazja

Albo nie pasował tu Karwowski, albo Nina Stukonis. O wiele bardziej Mazankowi pasowałyby przebierający się za kobietę i za żebraka hrabia, co nie zarabia, ten cały Aleksander Drucki-Lubecki (porozmawiać z Jego Wysokością), właściciel majątku Korzany, pseudonim „Czarna Mańka” (byłoby co wpisać w rubrykę!), albo Wojciech Babiński, pseudonim „Baba” (porozmawiać z nim!).

Mazanek przeraził się nie na żarty, kiedy dotarło do niego, jak wiele podstawowych przesłuchań w tej sprawie nie zostało jeszcze przeprowadzonych. Jak można było do tego dopuścić? Po wielu godzinach przeszukania nie udało mu się znaleźć w mieszkaniu nic niezwykłego poza jedną lalką – Murzynką, wydającą przy poruszeniu płaczliwe odgłosy z brzucha i jedną wyjściówką na premierę do operetki, co mogło znaczyć, że denat znał Malinowskiego. Jutro na odprawie trzeba będzie wszystko porządnie podsumować, dość tego bałaganu!

Korek był ciepły i suchy jak kapelusz pieczarki zerwanej w sierpniowy wieczór po upalnym dniu. Karola Martyniuk, zwana też Lux Torpedą, podniosła go do ust i z rozkoszą powąchała. Pachniał pieniędzmi i szampanem. To już dziesiąty tej szalonej nocy! Gdyby Ninel żyła, ale by wyrolowały tych wszystkich facetów! Zauważyła, że nie ma z kim podzielić się swoją radością. Że oto po okresach Wielkiej Smuty nareszcie trafiła się Noc Wielkiego Sezonu. To działo się może raz na rok i wtedy uwijały się z Ninel jak w ukropie, aby jak najwięcej dla siebie wyciągnąć.

Karola siedziała w swojej ulubionej, kończącej się na wysokości kolan sukni „ze złotej łuski”. Na głowie miała turban z takiegoż złotego łuskowanego materiału, a na stole leżała złota torebka. Wszystkie te rzeczy przejęła po Ninel, nie czekając na postępowanie spadkowe, które niechybnie przeprowadzi Klempa, ta cała Dorothe Hensel, i niezawodnie capnie całą spuściznę Ninki na poczet niezapłaconego czynszu. Dlatego walizka spod łóżka zmarłej koleżanki powędrowała po prostu pod łóżko Karoli.

Trzech podstarzałych urzędasów z ministerstwa gapiło się na nią już w czasie występu, miała ich jak w szwajcarskim banku, myślałby kto, że Bóg wie jakie skarby! Ech, gdyby żyła Ninel! Razem by ich bajerowały! I śmiały się z nich za ich plecami, kopały się pod stołem, chichotały, naciągały na papierosy, szampany i żarcie, a tak – nudno. Faceci nie mieli z nią żadnych wspólnych tematów, interesowało ich wyłącznie jej ciało, spokojnie mogłaby nie żyć, nic by nie stracili, dostaliby dokładnie to, czego chcą, bez zbędnych dodatków w postaci mieszkającej w jej ciele żywej dziewczyny. Czasami zapominali, że jest z nimi, i zagłębiali się w nudne dla niej dyskusje o różnych przetasowaniach personalnych

w Ministerstwie Poczt i Telegrafów, o układach, układzikach. Jakiś Żymowski, „wielka swołocz”, knuł nieustannie intrygi, bawił się w donosy, anonimy, głuche telefony. Wynikało z tego, że Ministerstwo Poczt i Telegrafów to gniazdo żmij! Na pocieszenie Karola bawiła się pod stołem korkiem i jadła, ile wlezie, choć naciąganie gości na jedzenie nie było mile widziane przez dyrektora Goldbauma (w przeciwieństwie do naciągania na alkohol). Zresztą naciągać było można, ale tyć od tłustego jedzenia – nie.

Była już trzecia w nocy, ale w To i Owo panował dziki ruch, orkiestra wciąż grała tanga, slowfoxy, fokstroty, charlestony, a nawet jazz... Mężczyźni pocili się, wyskakiwały im na karkach purpurowe plamy, wszędzie snuł się dym z cygar, cygaretek i papierosów, pachniało jedzeniem, wódką, perfumami, obrusy były już poplamione czerwonym winem. Na parkiecie szalał Wojciech Babiński z jakąś ponoć najprawdziwszą hrabiną.

tańczą dziś w dansingu i n d r a
mister she an ze swoją panią
on pół diabła ona anioł
w równych frakach i cylindrach

twardzi jak rzeźbione drzewo
łżejsi niż łabędzie puchy
z jakąś pasją obłąkańczą
wykonują wspólne ruchy
idą razem w prawo w lewo

papierosy z ust wyjęli
równocześnie się potknęli
przewrócili wstali tańczą
brzmi najnowszy fokstrot l o n a h
murzyn w śmiech a jazz-band ryczy

w wiecznej zgodzie mąż i żona

excentrycy excentrycy
on pochwycił się za serce
ona także
z twarzą białą

i serce mu bić przestało
równocześnie i tancerce
murzyn w śmiech a jazz-band ryczy
excentrycy excentrycy

Blade jak manekiny fordanserki siedziały samotnie przy stolikach zastygłe w sztucznych pozach. Obleczone w czarny brokat, z pieprzykami przyklejonymi do twarzy, z brwiami namalowanymi cienką kreską wysoko na czole, w cylindrach... W ich rękach, obciągniętych aż po wydepilowane pachy atlasowymi czarnymi rękawiczkami, w bardzo długich lakowych lufkach dymiły papierosy. Przed każdą stał kieliszek najtańszego likieru, którego nie piły w nadziei, że za chwilę wyrwą dzianego gacha, który zastąpi likier szampanem. Siedziały, jakby zamarzły albo skamieniały na widok tej Sodomy i Gomory. Były tak nieruchome, że gdyby im się przyjrzeć, można by zauważyć, że nie oddychają. Tylko dym snuł się z ich ust, nosa, a nawet z uszu i oczu. Wypływał z nich i błąkał się po parkiecie, na którym Babiński giął się z podstarzałą arystokratką.

Karola z trudem tolerowała prostackie zaloty pijanych facetów z Ministerstwa Poczt i Telegrafów.

Nagle orkiestra zagrała tusz, światła przygasły, gwar ucichł na sali i punktowy reflektor namalował na zaciemnionej kurtynie białe koło. Karola знаła do znudzenia nowy program z prób, żarty, które miały zaraz nastąpić, już jej nie śmieszyły, ale widownia chłonęła wszystko po raz pierwszy. Oto w jasnym kole światła pojawiają się dwie starannie wybrane dziewczyny, obie brzydkie jak noc. Jedna bardzo wysoka i chorobliwie chuda, druga – niska i nieopisanie gruba. Obie ubrane tylko w czerwone kabaretki, skąpe kubraczki z cekinów, spódniczki do tańczenia *Jeziora łabędziego* i czerwone cylindry przekrzywione na głowie. Jedna

gra na pile, druga – na grzebieniu. Zgodnie z elementarnymi zasadami psychologii tłumy sala wybucha śmiechem. Brzydule fałszują niemiłosiernie. Publiczność aż bolą od tego zęby. Kiedy widzowie już prawie pękają ze śmiechu, kurtyna się rozsuwa i ukazuje się dekoracja przedstawiająca łąkę. Wielkie źdźbła traw z pomalowanego na zielono drewna, drewniane mlecze, drewniane dwumetrowe muchomorki, stokrotki, drewniane maki, a każdy wносиło po dwóch facetów, tak były ciężkie. Ludzie mają poczucie, jakby zamienili się w liliputów. Wtedy z góry, na przezroczystych linkach, zjeżdżają wielkie puchowe pszczołki i papierowe motylki. Wszystko to jest strasznie infantylne. Karola zauważyła, że nawet jej Telegrafy na chwilę zaprzestały swoich nudnych rozmów o przetasowaniach kadrowych na górze. Zaraz na scenę wyjdzie przebrana za motylka, specjalnie wypożyczona z cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld, karlica Zyta Liebisch wraz z jeszcze jednym karłem – Karola nie pamiętała, jak się nazywa – i będą śpiewać w duecie piosenkę o miłości na łonie natury. Ona – z przyczepionymi skrzydełkami i dwoma czułkami na czubku głowy, on – w żółtym kostiumie w poprzeczne czarne pasy i z wąsiskami. Chuda i Gruba tańczą jakby *Jeziro łabędzie*, co publika oczywiście nagradza brawami i śmiechem. Ale Karoli ciężko się śmiać. Bez Ninel nie da się śmiać. Ninel zabiła śmiech.

Torpeda postanowiła wykorzystać fakt, że jej Telegrafy zaabsorbowane są nowym programem na scenie. „Niech sobie oglądają, a ja nie zamierzam zasypiać gruszek w popiele”. I siup – wódeczka, cyk – papierosek Nil, serdelek z musztardą, jaja *de cocotte* (w wolnym tłumaczeniu Karoli Martyniuk: „jaja, które o trzeciej w nocy jedzą kokoty”), ogóreczek, sery, kiełbasy i – co najbardziej zakazane – serniczek. „Nie utyję, bo od trzech dni nic nie jadłam poza pasztetówką z papieru. Ech, w tym miesiącu będę musiała zapłacić całe komorne sama, bo Ninel...”

Żegnany gromkimi brawami duet karłów wraca raz po raz na scenę, przesyłając widowni całusy, przewracając oczami i wygłupiając się, aż wreszcie – jak było od początku w scenariuszu – zza kulis wychodzi gigantyczny atlas, także z cyrku Riviera, chyba nazywa się Klaus Ordon. Ubrany w jednoczęściowy obcisły

kostium z krótkimi rękawkami i krótkimi nogawkami, biały w niebieskie paski, w którym wygląda jak więzień (zresztą ten typ zawsze tak wygląda). Chwyta karlicę i sadza sobie na ramieniu, karła kładzie na drugim, oboje się wyrywają, jeszcze chcą przesyłać całusy, chcą bisować, chcą śpiewać, ale łysy bandyta ze złamanym wielokrotnie nosem i bicepsami jak bochny chleba wynosi ich ze sceny wśród dzikiej radości publiki...

Kurtyna się zasuwa i Karola wie doskonale, że panują za nią teraz wielki tłok i pośpiech, aby szybko zlikwidować łąkę; puchowe pszczołki i motylki płyną na linkach w górę, pracownicy techniczni dźwigają ciężkie maki i szybko przygotowują nową odsłonę. Od tego, co teraz nastąpi, zależy powodzenie lub klęska całej rewii, a nawet dalsze istnienie kabaretu To i Owo i – *last but not least* – jej, Karoli, robota w tej spelunie. Nie są to może kokosy, ale gdyby ta buda padła, pozostałaby jej chyba tylko ulica lub Zlew Centralny, brrr.

Po piętnastu minutach orkiestra zaczęła grać przygrywkę do tanga, a na scenę wbiegł wyfraczony konferansjer z laseczką, w meloniku, z przyklejonymi czterokrotnie zakręconymi sztucznymi wąsami, blady jak ściana od pudru, umalowany, cyniczny, dziwny i zawsze robiący najśmieszniejsze miny. Tym razem jednak był poważny. Muzyka grała wciąż tę samą przygrywkę. Tu – ta ta – tu ta, tu – ta ta – tu ta! Punktowy reflektor śledził konferansjera, aż zatrzymał się wraz z nim pośrodku kurtyny. „Teraz zacznie się Wielkie Bicie Piany” – pomyślała Karola i ziewnęła ukradkiem. Wielkie Bicie Piany, czyli ile to wydaliśmy pieniędzy na sprowadzenie z Warszawy jednej z największych polskich gwiazd kina i kabaretu, Sary Berg, aby ta speluna nie upadła... Po wypowiedzeniu swojej roli niemal omdlały z wrażenia i strzelający teraz głupie miny konferansjer został na noszach wyniesiony ze sceny przez dwóch sanitariuszy, a widownia zaczęła bić dzikie brawo. Kurtyniarze pozwolili sobie na pewną zwłokę, aby napięcie wzrosło jeszcze bardziej, a gdy było oczywiste, że widzowie nie wytrzymają już ani sekundy dłużej, bardzo wolno rozsunęli kurtynę. Mimo woli Torpeda zacisnęła

kciuki, aż długie, polakierowane na krwistoczerwono paznokcie wbiły się jej w dłoń.

Pijanym oczom gości ukazał się smętny krajobraz, po którym snuły się fioletowe światło i dym z dymiarek. Sala umilkła, ten i ów zaczął bić brawo. Zastygła w geście podawania kwiatka cwana kwiaciarka, korek zatrzymał się w drodze pomiędzy ręką fordanserki a otwartą dłonią madame. Czerwone światła prześliznęły się po snującym się nisko po ziemi dymie i wydobyły z mroku sceny czarną postać. Sara Berg stała bokiem do widowni w dziwnej pozie, nieco odchylona, jakby tańczyła tango, z długą czarną lufką zakończoną papierosem, w czarnym cylindrze na głowie. Przez ramię przewieszona miała coś czarnego, lśniącego, ni to futro, ni to boa z piór. Za cały makijaż robiły jej sztuczne rzęsy i usta umalowane pomadką tak bordową, że aż wyglądała jak czarna.

„Ta baba ma jednak cholerną klasę – pomyślała Karola. – Która gwiazda obyła się bez pełnego makijażu, biżuterii, bez niczego i na dodatek wyglądałaby jak Marlena Dietrich?”

Rzewna, duszostipatielna muzyka piły rozdzierała pijane serca i dusze mężczyzn stłoczonych na sali i sprawiała, że każda kobieta wydawała im się tą jedną jedyną... Niski, chropawy jak stara płyta, ale przejmujący głos Sary Berg przenikał ich do głębi. Byli wobec niego bezradni. Dawała w pysk ich duszy, lała po niej biczem, kopała ich w metafizyczne jaja. Była to oczywiście metafizyka pijacko-knajpiana, lecz jakże bolały te razy.

Twych przenajśłodszych pieścizot nigdy, przenigdy nie zapomnę

Ani twych ust gorących

Ni słów miłością tchnących.

Pamiętam twoje oczy dzikie, z rozkoszy nieprzytomne...

Rozwarte i ogromne,

Tak jakby to było dziś...

Karolę przebiegł dreszcz, jakby wraz z pojawieniem się Sary Berg temperatura na sali faktycznie obniżyła się o dziesięć stopni... Niski i szorstki, ale śmiertelnie

poważny i wymowny głos gwiazdy gasił wszystkie rozmowy. Tak jak gasi się świecę po męsku, palcami, nawet bez syknięcia z bólu. Ludzie zastygali zapatrzeni, popiół gromadził się na końcach papierosów i opadał pod własnym ciężarem na obrus obok popielniczki. Sara Berg nie kokietowała publiczności, spoglądała na nią zawsze z pewną pogardą, nie trzepotała tymi swoimi wielkimi sztucznymi rzęsami, gapiła się w pustkę jak w lufę pistoletu! „Ach, ona się gapi w pustkę jak w lufę!” – pomyślała Torpeda.

Podczas refrenu gwiazda powoli ruszyła między stoliki, śpiewała, chodząc między nimi i zatrzymując się na dłużej przy co przystojniejszych mężczyznach, ale nie uśmiechnęła się do żadnego. Jeden z nich, młody i piękny baron naftowy, milioner z naszego miasta N***, Adam Nowicki, był jej kochankiem i obsypywał ją prezentami. Chwilę stała przy jego stoliku i śpiewała tylko dla niego, co widownia nagrodziła brawami. Potem przystanęła przy stoliku, przy którym siedział Wojtek Babiński z tą niby-hrabiną. Przez moment myśli Karoli powędrowały ku Raszpli, u której wraz ze zmarłą Ninel wynajmowała podły pokój na poddaszu, i ku czynszowi, który w tym miesiącu będzie musiała zapłacić cała sama. Skąd niby ona ma na niego wziąć? Kiedy cała jej gaża z To i Owo, uzupełniona jeszcze finansowo puszczaniem się z tymi wszystkimi pijakami i cyrkowcami, nie starcza nawet na jedzenie? Ten wstrętny Alfred, alfons raczej, zabiera dla siebie siedemdziesiąt procent!

Z tych niewesołych i przyziemnych myśli wyrwała ją największa cisza, jaką kiedykolwiek pamiętała w To i Owo. Sara Berg skończyła swój występ i zastygła w sztucznej pozie, przymknąwszy oczy, aż sztuczne rzęsy opadły ciężko jak podcięte skrzydła. Było tak cicho, że trzeszczenie rozgrzanych reflektorów i syk dymiarek wydawały się niezwykle głośne. Wraz z kurtyną na salę runęła burza braw, które nie miały końca. Kurtyna raz po raz się podnosiła i ukazywała Sarę wciąż zastygłą w tej samej pozie. Gwiazda nigdy nie kłaniała się, nie przesyłała całusów, nie bisowała, nic. Ukłoniła się tylko raz jeden, krótko i po męsku, jakby chciała powiedzieć: „Nic w tym wielkiego, za to mi płacą, po prostu staram się

solidnie wykonywać swoją robotę”. A gdy kurtyna się podniosła, już jej nie było. Znikła.

„Ta kobieta chyba nigdy w życiu się nie uśmiechnęła – pomyślała Karola z podziwem. – I słusznie. Albo to są na tym świecie jakieś powody do radości? No ale jeśli ktoś w ogóle mógłby je mieć, to właśnie ona. Ten Nowicki...”

Sala szalała. „Ufff – odetchnęła Torpeda. – To znaczy, że jeszcze przez jakiś czas starczy mi na moją kiosk pasztetową z bułą i kefir. A ona zostanie obsypana brylantami przez baronów naftowych. Ach, zdobyć wreszcie jakąś solówkę i zacząć karierę solową”. Wszystko by od niej odgapiła. Byłaby bardziej Sarą niż sama Sara!

Coraz bardziej pijane Telegrafy stawały się natrętne. Jedenasty i dwunasty korek to były łatwe zdobycze. Karola pobawiła się nimi trochę, nacieszyła, chuchnęła w nie i przekazała czujnej madame, która dziś pełniła dyżur na sali. Była to dojrzała kobieta z przylizanymi do góry, jakby przyklejonymi do czaszki włosami, z brwiami namalowanymi cieniutką kreską i w garniturze, biała jak ściana, bo chyba nigdy nie wystawiła nosa poza To i Owo. Oddając korki, Karola wyczytała w jej mocno umalowanych pięćdziesięcioletnich oczach uznanie. Tak należy z nimi postępować! Dowody rozrzutności klientów znikły w wypielegnowanych dłoniach madame, a w zeszycie pod nazwiskiem Torpedy pojawiły się kolejne dwie kreski. Teraz zaczęła nudzić się niemiłosiernie. Obserwowała salę. Jej wzrok spoczął na Babie. O tej porze nie był już ani taki piękny, ani młody, lecz pijana podstarzała hrabina, którą naciągał na szampana (oj, nie pierwszy to już jego korek tej nocy!), tego nie dostrzegła. Widocznie wdowa po właścicielu jatki miejskiej została już spławiona lub zamawiała za mało szampana... Baba, gdy wchodził na salę, miał góra dwadzieścia dwa lata. Teraz był grubo po trzydziestce. Jakby czas od ósmej do trzeciej w nocy płynął szybciej. Podobno tego jego tenora z operetki, co tak często tu bywał, zabił ten sam morderca co Ninel. Karola wiedziała, że Nina miała z Babińskim jakieś podejrzanе interesy, ale nie powiedziała o tym na policji. Chłopaki z baletu oczywiście jak zwykle wiedzą wszystko, co się dzieje na mieście! Są lepsi od radia. Gdyby była

policją, Karola przede wszystkim zawsze na początek przesłuchiwałyby chłopców z baletu. Dziś właśnie wybrała się na salę gimnastyczną, na której ćwiczy męski balet (półnaczy mężczyźni paradujący z woreczkami wypełnionymi grochem na głowie) i dzięki temu wszystko już wie. Ponoć mordercy jeszcze nie złapali i na razie się na to nie zanosi, a Ninka podobno brała udział w bardzo skomplikowanej erotycznej grze tych pedałów. Może warto by było pogadać z Babą? Tylko teraz to ani ja nie wypuszczę moich Telegrafów, ani on swojej hrabinki. Pewnie, że jest trzeźwy, tak samo jak ja, pije tylko co któryś kieliszek, a właściwie podlewa nimi palmę w wielkiej donicy przy stoliku. Te palmy żywią się wyłącznie szampanem. Raczej im to im to nie służyło. A kiedy zniknie hrabina, to on pewnie z nią. A ja będę musiała iść na pięterko z tymi nieszczęsnymi Telegrafami. Taki los. Trzeba ich tak schlać, żeby dali mi potem spokój i zasnęli, zanim zaczną się dobierać.

Nie mogła jednak przy nich usiedzieć. Poszła więc na chwilę do Alfreda z szatni. Poczęstował ją droгим brązowym papierosem z paczki znalezionej w kieszeni któregoś z wytwornych futer. Na pytanie o Cieślaka szatniarz mruknął tylko:

– Dziwne, że dopiero teraz, a Ninel sama sobie winna.

– Dlaczego?

– Płacili jej za to, że podrywała faceta upatrzonego przez Cieślaka, Babińskiego i tego hrabiego, upijała go w trupa, szła z nim na pięterko i zasłaniała mu oczy przepaską, że niby taka erotyczna gra. A potem oni wkraczali do akcji... Nawet gdyby udało się takiemu delikwentowi zerwać z oczu opaskę, był już zbyt pijany, aby dać radę trzem trzeźwym facetom. Ale nigdy jej nie zrywał. Po numerku oni znikali, a Ninel odbierała dwie wypłaty: jedną od zachwyconego klienta i drugą – o wiele wyższą – od nich. Tak, igrali z ogniem. Raz ponoć obsłużyli w taki sposób samego Limoniadowego.

– Limoniadowego!

– A tak, tak... Ich kręciły wyłącznie „trudne przypadki”.

Aby nie wracać jeszcze do coraz bardziej pijanych Telegrafów, Karola poszła z szatni do toalety pogawędzić z babcią klozetową Heleną Kierbedź. Z malutkiej, wykonanej ze złotej łuski torebki wyjęła szminkę (jak sama torebka, również spadek po Ninel) i podmalowała usta. Nagle przy lustrze stanęła obok niej podstarzała hrabina, którą bajerował Baby. Teraz wyglądała na zupełnie trzeźwą, choć na sali miała solidnie w czubie. Karola nie była już pewna, czy Babie udało się zdobyć dziś więcej niż jeden korek. Kiedy ich spojrzenia spotkały się w lustrze, Torpeda się zaniepokoiła. Skąd ją znam? Hrabina miała czarne, proste i lśniące jak hełm włosy przewiązane szarfą z wielkim kwiatem po lewej stronie. Czarne rękawiczki po same pachy. Doklejony mały pieprzyk nad prawym kącikiem ust. Paliła papierosa w długiej czarnej lufce i patrzyła na Karolę podejrzliwie.

Nagle ją olśniło: przecież to jest przodownik Stanisława Woźniak, ta suka z obyczajówki! Karola zastygła jak posąg ze szminką gotową do muśnięcia warg. Policjantka zauważyła, że została rozpoznana, i położyła na umalowanych od szablonu ustach palec obleczony czarnym, lśniącym materiałem. Mrugnęła do Karoli wesoło i powiedziała:

– My też sobie pogadamy, Torpeda, ale to jutro. Teraz siedź cicho i nie przeszkadzaj.

I wyszła.

Czyżby policja podejrzewała Babę o morderstwo tenora? Przecież on by go nie zabił! Nie zabija się kury znoszącej złote jaja. Nie podcina się gałęzi, na której się tak wygodnie siedzi. Toż Babiński doił tego śpiewaka ile wlezie! Dlaczego nie wezwą go po prostu na przesłuchanie?

Po powrocie na salę okazało się, że w czasie gdy jej nie było, Telegrafy bynajmniej nie wylewały za kołnierz i w tej chwili faceci zrobili się już nie do zniesienia. Jeden z nich chwycił z talerza parówkę, umaczał koniec w musztardzie i uparł się, że nakarmi nią Karolę, robiąc przy tym lubieżne miny.

– No, jedz, mała! Przecież lubisz takie paróweczki...

Karola jadła posłusznie z miną opatrzoną dewizą „wytrzymam”. „Od jutra idę na kwiaciarkę albo lepiej pójdę do Czerwonego Krzyża na pielęgniarkę, oddam się pracy społecznej, nikt nie będzie mnie obmacywał ani karmił przy całej sali parówką! – obiecywała sobie solennie w duchu. – Tak! Pójdę! Boso, ale pójdę!”

Kiedy zjadła już parówkę, facet włożył jej do ust palec. Słony i twardy. Ozwał się dziki rechot wszystkich Telegrafów. Torpeda zauważyła, że odlepia jej się jedna sztuczna rzęsa i łaskawie spuszcza zasłonę na tę poniżającą scenę.

Tymczasem na prawdziwej scenie znowu coś się działo. Na szczęście już bez udziału Karoli, która w tym programie występowała jedynie w pierwszych pięciu numerach. Ale wiedziała, że teraz będą tańczyły inne girlsy, i dlatego zainteresowała się, jak im pójdzie. Kiedy kurtyna się podniosła, oczom widzów ukazał się typowy amerykański bar. Tak przynajmniej wyobrażano sobie takie miejsce w naszym mieście. W centrum sceny ustawiona była lada, przed nią wysokie barowe stołki, za nią – ściana kolorowych alkoholi, nalewaki do piwa i barman „Murzyn” (niestety nie prawdziwy, tylko pomalowany czarną farbą do butów i w peruce afro, w której Karola wraz ze świętej pamięci Ninel latały na próbach ku uciechu chłopców z baletu i innych girls). „Murzyn” ubrany był w czarną koszulę, biały garnitur i żółtą muszkę. Stał za barem i ściereczką pucował kieliszek. Pomiedzy butelkami świeciły neony z reklamami Campari i papierosów Lucky Strike. Nad barem rozpościerała się panorama nocnego Nowego Jorku z rozgwieżdżonym niebem i cieniutkim księżycem w tle. Prawdziwe neony, gwiazdy z żarówek... Goldbaum płakał, biadolił, ale się szarpnął. Z boku sceny kolejny „Murzyn” grał jazz na wielkiej złotej trąbie. Przy barze, na wysokich stołkach, siedzieli tyłem do widowni mężczyzna i kobieta. On w czarnym garniturze i białym kapeluszu, ona w złotej sukni do ziemi. Torpeda wiedziała, że to Mędrzecki i Sara Berg. Za chwilę zaczną śpiewać w duecie znany standard *Ramona*. Boże, jaki ten Mędrzecki jest przystojny! Cały żeński personel artystyczny się w nim kocha! Ale papierosa od niego wyciągnąć to była nie lada sztuka. Kutwa! Karola szybko zapaliła „na zapas”, korzystając z nieograniczonych zasobów Telegrafów...

Kątem oka zerknęła na pewnego mężczyznę, chyba zupełnie trzeźwego, pięknego i młodego, we fraku i idealnie białej koszuli z czarną muszką. Siedział w kącie i spod gniewnie ściągniętych brwi obserwował scenę karmienia Karoli parówką. Pił kawę, o trzeciej w nocy! Ech, od takiego to się korka nie wyciągnie! Z takim to się idzie nie dla korków, nie dla pieniędzy, tylko dla *love story*... Na jednym ręku miał bandaż. Sprawiał wrażenie, jakby chciał podejść i dać tym Telegrafom w ryj. Karola zauważyła, że w pewnym momencie, kiedy przodownik Woźniak się odwróciła, elegant mrugnął porozumiewawczo do Babińskiego. Aha, to też jakiś niezły ptaszek i szuka tu czegoś do dziobnięcia dla siebie!

Sara Berg i Mędrzecki skończyli śpiewać *Ramonę* i już było wiadomo, że pasztetówka z gazety jest zapewniona na co najmniej parę miesięcy. Kilka razy wychodzili na scenę przy wtórze dzikich braw i wołań o bis. Mędrzecki – sceniczna małpa – pewnie by bisował bez końca, ale że jeszcze nie urodził się na tym łez padole nikt, kto zmusiłby Sarę Berg do bisu, więc musiał obejść się smakiem.

Nagle orkiestra zagrała tango i jeden z Telegrafów poprosił ją do tańca. Na parkiet wszedł także Baba z „hrabiną”. Zaczęli szaleć, ona się wyginała do tyłu, on ją przytrzymywał za biodra, wszyscy patrzyli tylko na nich. Karola też nieźle tańczyła, w końcu pracowała między innymi jako fordanserka, ale Telegraf był tak pijany, że czuła się, jakby miała za partnera zwłoki.

Kiedy ten koszmarny taniec wreszcie się skończył, Torpeda usiadła przy zabałaganionym stole Telegrafów i zaczęła liczyć godziny do zamknięcia dancingu. Na szczęście została tylko jedna! Gapiła się tępo w poplamiony, jeszcze niedawno biały obrus, na popiół, porozlewana wódkę, rozmazaną musztardę, jakiś przywiedły kwiat kupiony jej przez jednego z ministerialnych adoratorów od kwiaciarki Wandy, która zawsze pojawiała się w lokalu, gdy czuła, że alkohol poszerzył już klientom gest i wprowadził ich w rzewny nastrój. Trzeba było dobrze utrafić, bo rzewny nastrój łatwo się obracał w całkowitą utratę przytomności i wtedy nici ze sprzedaży zwiędłych kwiatków! Telegrafy jakby osowiały i najwyraźniej wchodziły już w fazę podsypiania na stole. Cudownie! Nie będzie musiała iść z nimi na pięterko! Tego byłoby już doprawdy za dużo jak na jedną noc. Tylko

najbardziej ożywionego, który ją karmił parówką, trzeba było zgasić jeszcze jedną butelką szampana. Skinęła na kelnera. Korek na pewno się nie zmarnuje.

Siedziała przy stoliku i pustym wzrokiem gapiała się przed siebie. Zimna złota łuska sukni po Ninel wrzynała jej się pod pachami i ocierała. Poza owym, jak go nazwała, „gogusiem” z zabandażowaną ręką (och, jakże ona by mu ją opatrzyła, gdyby pracowała w Czerwonym Krzyżu!) jeszcze jeden facet gapił się na nią lubieżnie. Stanowił idealne przeciwieństwo gogusia. Był brzydki. Był tak brzydki, że aż fascynujący. Miał złamany nos i krótkie siwe włosy, a w twarzy coś z szaletu miejskiego, coś z pisuaru. Frak najwyższej jakości, lakierki, biały szal – nic nie pomagały... Skąd ona знаła ten ryj?

Z nudów znowu poszła do toalety, pocieszyła madame Kierbedź, że już tylko czterdzieści minut, na co ta odłożyła kryminał i zaczęła się skarżyć:

– Patrz pani. Zamknie się taki dyletant w kabinie i zaśnie! – Mme Kierbedź często myliła wyrazy, teraz też pomieszała „delikwenta” z „dyletantem”. – Pukam najszczerzej kulturalnie, nie ma rezultatu. Mówię, że tu nie noclegownia – nic. Drzwi zamknięte. Idę po swoją zapasową klamkę. Otwieram. I co? No, niech pani spojrz, śmiało! – Zaprowadziła ją do męskiej toalety, otworzyła na oścież drzwi jednej z kabin. – Pani patrzy. Zasrał wszystko, zaszczął, zarzygał i zadowolony. Śpi. I nie ma na takiego lekarstwa. I nie da się namówić Starego (Goldbauma), żeby takiego obciążył dodatkową opłatą, która mogłaby być w części na przykład dla mnie. Ej, panie! – Kopnęła leżącego na podłodze faceta i dała mu przez łeb mokrą szmatą. – Wstawaj pan, do cholery, bo dzwonię na policję! Słyszysz, człowieku? Świnia! Pić to trzeba umieć!

Karola wyłącznie przez uprzejmość zajrzała do kabiny. Leżał tam na kafelkach jeden z Telegrafów. Ten, z którym tańczyła jak ze zwłokami. Faktycznie śmierdziało strasznie, bo facet rozebrany był do naga, leżał w kałuży moczu, a w okolicy tyłka poniewierało się gównno.

– No, zobacz pani, jak nieżywy. Tak się schlać i zasrać mi tu wszystko! Tu jest lokal klasy pierwszej! – biadoliła Helena Kierbedź i bezlitośnie kopała go butem. – Wstawaj pan, do cholery! Tu nie noclegownia! I po co tak chlać? To wy – Helena

Kierbedź skierowała nagle całą złość na Torpedę – to wy ich tak rozpijacie! Dla tych korków przeklętych! Że też nie ma na was kary! A ja to potem muszę sprzątać. Ej, panie ładny! Wstawaj pan! Pobudka!

– On... – wyszeptała Karola – on już nie wstanie. Już nigdy... – Po czym zaczęła wymiotować tym wszystkim tak droгим i dobrym, co jadła i piła przez całą noc.

Helenie Kierbedź na ten widok opadły ręce. Potem nagle z nową uwagą przyjrzała się leżącemu na podłodze gościowi. Następnie zdębiała, zamknęła kabinę na swoją klamkę i poleciała do szatniarza.

– Alfred! Chowaj wszystko i zaraz do męskiej! Mamy trupa w kiblu! Zwijamy interes!

Dopiero kiedy poczuła na twarzy lodowate krople deszczu, którymi zimny nocny wiatr zaatakował ją na ulicy, Karola Martyniuk zrozumiała, że głupio zrobiła, uciekając. Przecież wszyscy widzieli, że siedziała z Telegrafami! Nawet przodownik Woźniak! A w końcu zabito jednego z nich, „jej” Telegrafa! Psiakrew! Kiedy zobaczyła trupa na zaszczanej posadzce, od razu zauważyła zasinienia na szyi, a wiedziała z lektury kryminałów, że od duszenia człowiek, no... popuszcza w spodnie. Karola zrobiła jeszcze jeden poważny błąd: na trupie leżała jakaś kartka i ona bezmyślnie ją zabrała. Teraz powinna wrócić na salę, wszystko wyjaśnić policji, oddać kartkę, ale... tak bardzo była z tym wszystkim powiązana... I tak zmęczona! Głowa pękała jej od dymu, wódka błyskawicznie wyparowywała, pracowicie przygotowując początki gigantycznego kaca! Gdyby tam wróciła, maglowaliby ją w tym stanie z dziesięć godzin...

Czyli morderca najpierw zakatrupił Ninel – jej przyjaciółkę wspólnie z nią wynajmującą mieszkanie u Raszpli, Frau Dorothe Hensel, na strychu, potem Cieślaka – kochanka Babińskiego, a więc jej kolegi z pracy, który ciągle przesiadywał w To i Owo z tym złośliwym hrabią Druckim, a teraz uduszono jednego z jej Telegrafów, ciągle ona i To i Owo... Będzie główną podejrzaną. Lepiej już uciec, ukryć się gdzieś przed całym światem, tak! Do końca życia uciekać i się ukrywać, a tej kartki nie pokazywać nikomu, są na niej jej odciski palców, zresztą to chyba normalne, skoro ją zabrała? „Jezu, już wariuję!” I Karola Martyniuk zaczęła pędem biec gdzieś w noc, przed siebie, nie wiadomo dokąd, w listopadowy deszcz.

Biegła tak w pantoflach na wysokich obcasach, ubrana tylko w wieczorową sukienkę ze złotej łuski, aż potknęła się o wystającą kostkę kocich łbów, śliską

i mokrą. Upadła jakoś tak niefortunnie, że rozharatała sobie całą twarz. Płakała i nie miała siły już na nic. „Nie wstanę! Niech tak leżę, niech tak zdechnę!” W kałuży przed nią odbijało się mdłe światło gazowej latarni.

Nagle w nocnej ciszy usłyszała kłapanie końskich kopyt. Zajechała czarna dorożka, ktoś wysiadł, wziął ją na ręce i wsadził do środka. Karola zdążyła jeszcze pomyśleć, że pięknie pachnie doskonałym cygarem i elegancką wodą kolońską, ale miłe zapachy szybko się skończyły, bo zaraz ten ktoś przytknął jej do twarzy śmierdzącą eterem czy innym paskudztwem szmatkę. W ostatniej chwili spojrzała i rozpoznała go: był to jeden z facetów gapiących się na nią na sali. Niestety ten straszny, ten brzydki, mający w sobie coś z szaletu miejskiego. Teraz już wiedziała, skąd go zna! Straciła przytomność. Już nie usłyszała, jak ten ktoś mruczy pod nosem:

– Mam cię, księżniczko... Mam cię wreszcie... Długo czekałem na to, aby cię zerznąć...

Odjechali. Na oświetlonym latarnią uliczną bruku mokła kartka papieru z jakimś tekstem. Po chwili przejechał po niej automobil i wcisnął ją w błoto.

Helena Kierbedź mocno się myliła, kiedy myślała, że za pół godziny wreszcie pójdzie do domu spać. W jej skołatanej głowie zwieńczonej wielkim kokiem szumiało, miała w końcu siedemdziesiąt lat. Wydawało jej się, że już chyba pół miasta przewinęło się tego ranka przez jej toaletowe imperium. Zanim wszczęła alarm, szybko pochowała dowody swoich licznych przekrętów.

– No dobrze, leżał w gównie. I co? Skąd miałam wiedzieć, że nie żyje! Myślałam, że tylko sztywny od schłania. Nie wiem, gdzie jest ta dziewczyna, skąd mam wiedzieć, myślałam, że poszła rzygać, ale najwyraźniej uciekła gdzieś, schowała się, moja wina? Dobrze zrobiła, też bym wam uciekła, bo na pewno nie pozwolilibyście jej się wyspać po robocie. Nie wiem, co to za kartka, ja poezji nie czytuję, ja w gównie robię! Skąd wiem, że poezja? Bo takie krótkie zdania i każde od nowej linijki. Z lewej równo, z prawej – poszarpane. Co mnie zaniepokoiło? Jak

to co? Facet nie wychodzi pół godziny, na moje walenie nie odpowiada i to ma mnie nie zaniepokoić? Nie odpowiada, ale to nie znaczy, że nie zanieczyszcza! Bynajmniej! Więc mówię mu przez drzwi, że za zanieczyszczanie nalicza się. Czy kto inny wchodził... – Tu Helena Kierbedź zaczynała w swoich zeznaniach stąpać po grząskim gruncie. Rzecz w tym, że pewne, powiedzmy, interesy, do których nic policji, spowodowały, że opuściła na jakiś czas swoje toaletowe dominium, aby rozmówić się z Alfredem, starym szatniarzem. Alfred poczęstował ją dobrym papieroskiem znalezionym w srebrnej papierošnicy w kieszeni eleganckiego futra (tym samym brązowym co Karolę) i tak zeszło im trochę... – No, nie mogę powiedzieć na pewno, bo na chwilę musiałam wyjść, a co? Jest obowiązek tu siedzieć? Mogłam wiedzieć, że ktoś przyjdzie i zakatrupi? No to wyszłam, wyszłam na chwilę na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza, w gównie siedzę cały czas, też mam prawo pooddychać świeżym! To widocznie wtedy zbrodzień wszedł i ukatrupił. Ale nie ja! Kto zabija kurę znoszącą złote jaja? Toż ja z nich żyję, z tych facetów, Karola z nich żyje, całe To i Owo z nich żyje, ich doi! Popielniczka, do której wrzucają monety, aż cała się trzęsie każdego wieczoru! Ja jeszcze bym takiemu życie uratowała, żeby tylko dalej korzystał i uiszczał... Byle nie zanieczyszczał! Nie, to nie ja. Kierbedź Helena, skreślić.

Poranna odprawa: głód i dym. Kawa na pusty żołądek. Niewyspanie zapraszające do złożenia głowy jak wielka chłodna poduszka. Na tablicy ktoś, najpewniej Mazanek lub Klimuszko, narysował kredą parę w tangu: mężczyzna w eleganckim fraku tańczy ze szkieletem wyginającym się do tyłu w sposób charakterystyczny dla tego tańca. Szkielet ubrany jest w krótką sukienkę, czaszkę ma przewiazaną opaską z kwiatem. Nagle wszedł Piątek i spojrzał niechętnie na malunek. Od razu ucichło, jak w szkole po pojawieniu się nauczyciela – wszyscy widzieli, że tancerz jest do niego podobny: przygarbiony, z zapadniętą klatką piersiową, błądy wymoczek z wąsikiem jak szczoteczka do zębów i z resztkami włosów zaczesanymi „na pożyczkę”, mdławy mydłek. Andrzej Klimuszko na widok jego miny parsknął śmiechem, co ściągnęło podejrzenie na niego. Zbigniew Ziemkiewicz, wchodząc, spojrzał na rysunek nieobecny wzrokiem, podrapał się za uchem i mruknął:

– Taa...

Było jak zawsze: Karol Maślanka kaszłał i zasłaniał usta ręką, prawdopodobnie rozsiewając dookoła prątki gruźlicy. Wszyscy woleliby jednak poczęstunek z gorących jeszcze croissantów z ciepłą grudką czekolady w środku. Mazanek poprawiał fryzurę na pomadę i węszył, jakby był na miejscu zdarzenia. Rumiany Jędrzek Klimuszko gwizdał pod nosem. Piątek czuł się – jak zawsze do wczesnego popołudnia – jakby spał, a wszystko to działo się w jego śnie. Zbigniew Ziemkiewicz raz po raz drapał się za uchem, a jego młody dandysowaty pomocnik Stefan Janicki, którego dziś zabrał na odprawę, bawił się laseczką zakończoną srebrną czaszką i sprawiał wrażenie najbardziej niewyspanego i skacowanego ze wszystkich. Biedny mały chłopiec, który wpadł do komina i ma kaca. Panna Wanda

siedziała w kącie schludna i elegancka, z jakąś nieprawdopodobnie skomplikowaną konstrukcją z warkoczy na przylizanych włosach z przedziałkiem na środku równym jak od linijki. „Tu też musiała być w robocie pomada” – pomyślał Janicki.

Jako ostatnia przyszła, z oczywistych względów zaproszona na odprawę i włączona tymczasowo do śledztwa, pani przodownik Stanisława Woźniak z obyczajówki. „Tymczasowo” – wyjaśniał ze skruchą Piątek, bo nikt jej tu nie lubił z powodu co najmniej osobliwych sposobów prowadzenia śledztwa przez tę panią. Musieli jednak przyznać, że owe sposoby bywały nierzadko skuteczne. Teraz wpadła spóźniona, bez makijażu i ktoś, kto widziałby ją poprzedniej nocy, na pewno nie rozpoznałby w niej „hrabiny”. Podkrążone oczy i żółtawa cera mówiły jednoznacznie: pani przodownik wróciła do domu nad ranem i nie spała ani sekundy.

Piątek wykaligrował na tablicy:

Mieczysław Cieślak „Spluwa” (l. 40, starzejący się trzeciorzędny śpiewak operetkowy, pedzio, bohema) – śmierć między 1 a 7 listopada.

Nina Stukonis „Ninel” (l. 17, tancerka, modelka i dziwka, zatrudniona w To i Owo, bohema) – śmierć około 14 listopada.

Witalis Karwowski (l. 62, mecenas, wdowiec) – śmierć około 23 listopada.

Stanisław Legutko (l. 45, pracownik Ministerstwa Poczt i Telegrafów, zabity w kiblu w To i Owo) – śmierć 30 listopada.

– Przepraszam bardzo – odezwał się doktor Ziemkiewicz. – Czy w naszym mieście znajduje się Ministerstwo Poczt i Telegrafów?

– Nie! – dał się skusić Mazanek, który uwielbiał odpowiadać na łatwe pytania.

– No właśnie. Ministerstwo Poczt i Telegrafów znajduje się w naszej pięknej stolicy zwanej Paryżem Północy, czyli w Warszawie. Skąd więc ci faceci tutaj? Czy zostali przesłuchani?

– Owszem, zostali przesłuchani jeszcze w nocy i okazało się, że byli tu w delegacji w związku z zakładaniem u nas pomienionych poczt i telegrafów,

a także telefonów, i może nawet nam jakiś jeden skapnie. Wiem, co chcesz powiedzieć: mamy pierwszą ofiarę spoza naszego miasta. Tak, to spora różnica. A jednak był w To i Owo i to go łączy ze sprawą... Ta idiotka Karola wzięła jakąś kartkę z „wierszem”, zapewne z tekstem tanga. I pewnie wystraszyła się nas, bo uciekła i zaszyła się tak, że szukaj jej teraz. Cieślak też bywał w To i Owo, no i łączy go z tą speluną związek z Babińskim. Jedyne, o którym prawie nic nie wiemy, to ten prawnik. Zajmie się nim... Jędrak. – Piątek spojrzał na Klimuszkę, który wyglądał w tym momencie jak wielkie dziecko z reklamy czekolady Wedel. – Ale dokładnie, prześwietl faceta, przepytaj w pracy, sąsiadów, znajdź kochankę, nie wiem... kogokolwiek. Ten mały, co znalazł ciało, jak mu tam...

– Stefan Sarna – mruknął Mazanek.

– Otóż ów Sarna mówił coś o jakimś liście, który miał oddać temu mecenasowi Karwowskiemu, sprawdź to wszystko dokładnie. Znajdź kogoś, kto go dobrze znał. Witalisa, nie Sarne. Zobacz, jakie sprawy prowadził. Co z tą nikotyną? Jakiś toksyczny związek? Jakaś baba, modliszka, *femme fatale*? Czy w tym liście był tekst tanga, czy coś innego? Gdzie jest teraz ten list? Jeśli tango, to po co jeszcze puścił płytę, skoro wiedział, że znajdziemy list z tekstem? Coś mi się nie wydaje, aby w tym liście było tango. Ale to nie znaczy, że on nie jest dla nas interesujący. Ciekawie był zaadresowany: PIĄTEK. Mówi wam to coś? Gdzie ten mały Sarna go zgubił? Mówił coś o jakimś cyrku? Sprawdź to wszystko, Jędrus, cały ten galimatias. A przede wszystkim szukaj baby, Nikotyny, i najlepiej znajdź ją w To i Owo. Z tym burdelem koniecznie musisz znaleźć jakiś związek. Nie zajmuj się resztą spraw. Rozdzielamy te przypadki.

– Muszę tu zgłosić pewną dywagację – pretensjonalnie odezwała się przodownik Woźniak. Wszyscy spojrzeli na Piątka, bo dobrze wiedzieli, co czeka kogoś, kto mu przerywa.

– Pani sobie zachowaj te dywagacje na koniec. Kaziu, teraz ty – zwrócił się do Mazanka. – Bierzesz tego z Telegrafów, tego Legutkę. Związki z To i Owo już znamy, ale nie wiemy o nim nic więcej, a tekst z tangiem zabrała nam ta dziewczyna. Swoją drogą, trzeba ją znaleźć. Ona jest uwikłana w to po same uszy.

Ta – poprzekładał chwilę papiery w poszukiwaniu nazwiska – Karola Martyniuk. Wynajmowała pokój na strychu wspólnie z zamordowaną Niną Stukonis u niejakiej Dorothe Hesel, zwanej przez dziewczęta Raszplą. Dobrze się zna z Babińskim. I cały wieczór spędziła przy tym samym stoliku, przy którym siedział Legutko ze swoimi ziomkami z Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Znikła. Na stacji się nie pokazała. Właścicielka, ta Dorothe Hensel (swoją drogą, okropny babsztyl), jest zaniepokojona o komorne, a zresztą pies z nią. Nie wiadomo, co gorsze: baba czy ta zapluskwiona stacja na strychu. A ta babcia klozetowa, jak jej tam? – Piątek zaczął przerzucać luźne kartki leżące przed nim w otwartej teczce.

– Kierbedź Helena – podpowiedział mu rozbawiony nie wiadomo czym Mazanek.

– Dziękuję, Kaziu... Babsztyl ma bez wątpienia ciemne interesy z szatniarzem, niejakim...

– Alfredem Kawczakiem – mruknął Mazanek.

– Ale te ich interesy nas na razie nie obchodzą. Jak będzie trzeba babę przycisnąć, to się sprawdzi. To zwykle przekręty. A może i nie zwykle? – Naraz spojrzał na nich bezradnym wzrokiem. – Może i nie zwykle... – Nagle ukrył twarz w dłoniach. – Sam już nie wiem. Galimatias.

– Korzystając z okazji, chciałabym tu złożyć pewne zastrzeżenie! – starała się wykorzystać słabość w okopach wroga przodownik Woźniak, wszyscy jednak popatrzyli na nią jak na kopiającą leżącego, szybko więc umilkła.

Spojrzeli po sobie. Ciszę przerywał tylko stukot palców panny Wandy uderzających w maszynę do pisania Orzeł.

– No załamał się nam chłopak – wyrwało się Mazankowi. Ale inni, zamiast się roześmiać, spojrzeli na niego nieprzyjaźnie, a od początku jakoś mu pokrewny elegancją i urodą młody asystent Ziemkiewicza, który z tego powodu uważał Mazanka za konkurencję, burknął złośliwie:

– Aleś pan wyskoczył.

Oni jednak znali te chwile załamania, gdy nawał faktów kompletnie do siebie niepasujących w końcu gasił Piątka jak piasek tłumi ogień. Wiedzieli, że trzeba mu na chwilę dać spokój. Piątek oparł głowę na biurku. Wszyscy milczeli.

– Co tu tak wali trupem? – zapytał raptem Mazanek. – Formalinę ktoś rozlał?

Janicki poruszył się niespokojnie i spojrzał czujnie na Mazanka, który trafił w jego czuły punkt, bo ten choćby nie wiadomo jak się wystroił, wypomadował, podwinął wąsik, uperfumował, zawsze ciągnął za sobą ponury smrodek, co jest typowe dla ludzi stale przebywających w prosektorium.

– Formalinę, powiadasz pan? – zaczął asystent, ale Ziemkiewicz natychmiast go uspokoił:

– Panowie, do cholery, niepoważni jesteście?

Nagle Piątek – jakby po krótkim śnie – odzyskał całą energię.

– Słuchajcie, trzeba przesłuchać Babińskiego. Dziś. Teraz. Zaraz. Kto to zrobi? A zresztą, sam to zrobię.

– I Raszplę! – zarechotał Mazanek. – Chętnie do niej pójde. Chcę wreszcie zobaczyć tę „madame”!

Dorothe Hensel, zwana Raszplą, kobieta, u której Ninel i Torpeda wynajmowały najędźniejszy pokój na poddaszu, była Niemką, z tych Niemców, co to od zawsze zamieszkują nasze piękne miasto, wykonując takie solidne mieszczańskie zawody jak aptekarz, lekarz, piekarz czy młynarz. Dziewiętnastowieczna pięciopiętrowa kamienica przy ulicy Krawieckiej 10, przed którą zatrzymał się Mazanek, była pod każdym względem porządna. Takie jak ona mają zwyczaj stać już do końca świata, co sto lat pieczołowicie remontowane. Na bramie wisiał nekrolog – jeden z mieszkańców, niejaki Józef Dron, przeniósł się do wieczności, o czym informuje pogrążona w smutku konkubina.

Frau Hensel zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze. Mazanek zadzwonił. Natychmiast otworzyła mu półprzytomna, czerwona na twarzy i spocona gruba służąca, po czym w panice uciekła. Z głębin mieszkania dobiegały odgłosy straszliwej awantury, prawdopodobnie połączonej z rzucaniem garnkami. Dochodził też paskudny swąd przypalonego mleka, kojarzący się Mazankowi z przedszkolem.

Przodownik wszedł do mieszkania i swoim zwyczajem zaczął węszyć po kątach. Przeszkodził mu w tym jednak straszliwy krzyk. Domostwo – bo takie określenie przyszło mu na myśl – mimo sporych rozmiarów było ponure i przytłaczające. Mogłoby być jasne, nowoczesne, wesołe i sympatyczne, gdyby nie zrobiono wszystkiego, aby sprawiało wręcz odwrotne wrażenie. Ciężkie, ciemnobordowe story od sufitu aż do podłogi zasłaniały wszystkie źródła światła dziennego. Ciężkie staroświeckie meble, stłoczone w olbrzymich ilościach, podobnie jak żyrandole, obleczone były ciemnozielonymi skórzanymi pokrowcami, aby się nie kurzyły. „Po co mieć drogi mebel, skoro ogląda się tylko futerał?” –

pomyślał Mazanek. Coś straszliwie solidnego, wstrętne mieszczańskie i po prostu niesamowicie nudnego zalegało w powietrzu tego wielkiego mieszkania. Ciężkie dywany tłumiły jakiegokolwiek kroki i były tak ciemnobordowe, że aż prawie czarne. Na ścianach – o dziwo, nie w futerałach – wisiały ciężkie smutne portrety różnych po protestancku surowych mężczyzn i kobiet, tak poczerniałe, że srogie miny postaci zdawały się zanikać w popękanych czarnych tłach. Kobiety na tych portretach, nieumalowane, siwe, z kokami, patrzyły na oglądającego je Mazanka z wyrzutem i surowością przełożonej pensji dla dziewcząt, która nakryła je na zabawie i śmiechu. Na ścianie, na gwoździu, wisiała też skórzana dyscyplina i przodownik dałby sobie rękę uciąć, że była w ciągłym użyciu. Składała się z pejcza zakończonego wieloma rzemieniami opatrzonymi na końcu metalowymi kulkami, aby bardziej bolało. Obok stał duży drewniany zegar z wahadłem. Mazanek nie wiedział czemu, ale on właśnie wyglądał z tego wszystkiego najgroźniej. Na stole znajdowały się wielki samowar, talerz z nieświeżymi owocami i popielniczka z muszli. Krzesła robiły wrażenie tak ciężkich i niewygodnych, że przesunięcie ich o centymetr wymagałoby chyba najpierw wyrwania ich z dywanu, w który wryły się całym swoim ciężarem. Kominek w pewnym sensie też był zakryty pokrowcem – sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia o ogniu, fortepian zaś zapewne nigdy nie dostąpił zaszczytu zaprezentowania swoich możliwości w tym salonie, w którym jedynymi dźwiękami były świst dyscypliny lądującej na ciele służącej oraz odgłosy awantury.

– Aaaaaaaa! Tehhhaz to już cię zabijam, *du Hure*, słyszysz? Zabijam cię, szmata!

– Nie, to ja panią zabiję! Pijaczka! – darła się służąca, po czym chyba natychmiast zaczęła wprowadzać w czyn swoją groźbę, bo „pani” zawyła z bólu.

– Czekaj, *du Hure*, na mnie ręka podnosisz? Phhhecz z kfatehhha! *Raus!* Na ulica!

Ale *Hure* nie czekała, aż pani ją wyrzuci, i najwyraźniej zadała cios. I to z tych mocniejszych, nagle bowiem wszystko ucichło.

Mazanek z ociąganiem wszedł do kolejnego salonu, z którego niedawno jeszcze dobiegały odgłosy awantury. To był pogrzebacz. Raszpla leżała na dywanie w szlafroku i w turbanie z ręcznika na głowie, ale żyła: czołgała się po podłodze, charcząc jak wielki zepsuty ekspres do kawy, a zaryczana służąca pakowała tekturową walizeczkę ze swoim skromnym dobytkiem. Tajniak podszedł do leżącej na podłodze kobiety, aby „udzielić jej pierwszej pomocy”.

– *Raus... Alle raus...* – Nagle przestała charczeć, spojrzała na Mazanka nieprzytomnie i zapytała: – A kto pan jesteś?

– Policaj! – wrzasnął na cały pokój tajniak. – Papiren byte! Wszyscy, pani też! – zwrócił się do służącej.

Ta ostatnia, siąpiąc nosem, naskoczyła na Raszplę:

– To ty, suko, na mnie? Na mnie pulicaja zawołałaś? Czekał, teraz się pan pulicaj dowie tego i owego o tobie i twoich sprawkach! Tfu! Pewnie, proszę, niech mnie pan stójkowy zaraz wiezie do cyrkułu! Opowiem! Oj, opowiem! – Siłą domknęła walizkę. – Odchodzę! Słyszysz pani? – krzyknęła do Raszpli. – Odjeżdżam i nie będzie mnie! Nie wrócę już do tego piekła! I nie będzie miał kto grzać wody do termoforu na noc. Bo nikt z panią nie wytrzyma! Tfu! – Splunęła na dywan.

– Pani się uspokoi i usiądzie, bo w tej chwili nigdzie pani nie może jechać.

– Nie mogę?! – wrzasnęła, po czym rzuciła w Mazanka tekturową walizką, z której wysypały się jakieś szmaty, i po prostu uciekła z mieszkania. W oddali trzasnęły drzwi.

Dorothe Hensel jakby odżyła.

– Widzisz pan? Teraz polezie do tej Jagode z *Bäckerei* i będą razem psioczyć – oznajmiła Raszpla z satysfakcją osoby ewidentnie poszkodowanej, po czym zaczęła z trudem zbierać się z podłogi. Dopiero w tej chwili przyjrzała się Mazankowi, a on jej.

Była to kobieta chuda, po pięćdziesiątce, niezwykle nerwowa. Po zdjęciu turbanu okazało się, że włosy miała krótkie i siwe. Wstała i zapaliła papierosa Nil, częstując też Mazanka, który odmówił i wyciągnął własnego, dokładnie takiego

samego. Gospodyni przysunęła mu wielką kryształową popielnicę, usiadła przed lustrem i zaczęła oglądać sporego sińca nabitego jej przez służącą.

– Jak rozumiem, pani Hensel, tak?

– Co? Jak? Ja? A tak... – syknęła. – Ona popamiętasz!

– Proszę chwilowo odwrócić się do mnie przodem, usiąść przy stole i odpowiadać na moje pytania. Wynajmowały u pani stancję na poddaszu dwie dziewczyny: Nina Stukonis i Karola Martyniuk, tak?

– Co? U mnie? A tak... – Było widać, że nie mieści jej się w głowie, aby policja mogła interesować się czymś tak błahym jak jakieś tam jej lokatorki ze strychu. Sama nie poświęciła im nigdy pięciu minut.

– Proszę panią, ja nie jestem z izby skarbowej. Nie interesuje mnie, czy zgłaszała pani ten dochód i czy dziewczyny miały meldunek. Ale proszę zrozumieć, że jedna z nich nie żyje, a druga zaginęła, a jest ważnym świadkiem w sprawie o wielokrotne morderstwo. Czy to do pani dociera?

Raszpla była kompletnie rozkojarzona. Paliła nerwowo, powtarzała ostatnie słowa lub sylaby Mazanka, oglądała sobie paznokcie i co najbardziej irytowało przodownika – nie patrzyła mu w oczy.

– *Aber! Meldonek, recht! Natürlich! Ordnung muss sein!*

Mazankowi opadły ręce.

– Jak długo u pani wynajmowały to poddasze? – nie dawał za wygraną.

– Jak długo? Długo! Za długo! – I zaczęła się histerycznie śmiać. Z braku wody czy stosowanych w podobnych przypadkach chemikaliów Mazanek dał jej w twarz, a potem ją zostawił na jakiś czas, aby się uspokoiła. Dorothe Hensel leżała z głową opartą na stole. Obok, w popielniczce wykonanej z płaskiej muszli, dymił papieros. Łkała to cicho, to głośno, aż nagle wyciągnęła kieliszek i butelkę monopolki i nie poczęstowawszy Mazanka, zaczęła pić i mówić przez łyżę.

– Przyjechały nie wiadomo skąd. Niby że pracują jako fordanserka w To i Owo. Na pewno było tam cosz więcej, ale płaciły w termin i taki *Geld*, czydzieści złotych miesiąc na głowa, za taki nędzna *Zimmer*... Nie miała ja z nim prawie szaden

kontakt, wchodziły kuchenny schod, miały swoją *Schlüssel* na to poddasze. Nie wiem, jak ktoś może tam zamieszkać... Zniknęła? To kto teraz popłaci?

Mazanek słuchał piąte przez dziesiąte, czekając, aż Raszpla skończy swój monolog. Dochodziły do niego tylko strzępy: ...brudne, niedomyte, a w futro! To wiadomo co! (...) chorobę przyniesie (...) kurestwo nie będę tolerowała we własnym (...) perfumy (...) I za co to? Mój mąż był uszędnik na kolej, był ktosz (...) siedem lat (...) nic tylko prasowanie, użeranie się... (...) wszystkie takie same... (...) bezczelnie do mnie z pysk... Butelki ja znalazła za łóżko. Mówię: precz z kwatery! A ona mi na to... pluskiew że była... sama pacz, żebyś mi wesz w dom nie wniosła... Kurestwo tolerować nie będę...

Mówiąc to wszystko, Raszpla raz po raz nalewała sobie wódki i wychylała kielicha, Mazanek zaś dochodził do wniosku, że jest coraz bardziej pijana. Czekając, aż wreszcie się wygada i uspokoi, policjant swoim zwyczajem szperał po pokoju, co prawda na razie tylko wzrokiem. Duży salon urządzone był pretensjonalnie, dokładnie jak poprzedni, pełen tanich bibelotów, zakurzonych sztucznych kwiatów, solidnych, ciężkich mieszczańskich mebli w pokrowcach. Ściany pomalowane były wałkiem w ohydne zielone wzory. Także tu nie docierał nawet najmniejszy promyczek światła z zewnątrz.

Mazanekowi udało się wyciągnąć z Raszpli tylko tyle, że dziewczyny wynajęły u niej – jak mówiła – „amplę na poddasze” rok temu, mężczyźni nie sprowadzały (ale to jeszcze nic nie znaczy!), finansowo stały bardzo różnie, najczęściej raczej panowała u nich bieda, co ona miała głęboko gdzieś.

Ale jak naprawdę musiało wyglądać życie tych biednych męczennic, Mazanek zrozumiał dopiero, kiedy Dorothe Hensel pokazała mu kwaterę. Strych – nigdy niedograny zimą, z mnóstwem szpar, z których wiało, a zamieniający się w upalne piekło pełne brzęczących much i komarów w lecie, urządzone był tak spartańsko, jakby nie dziewczyny, a żołdacy tam mieszkali. Dwa wąskie metalowe łóżka z nogami w puszkach po konserwach z wodą do ochrony przed pluskwami. Odrapany taborecik z miską, z której poodpadała żółtawa emalia, i obok kawałek szarego mydła. Parawan. Pod każdym łóżkiem tekturowa walizka

odgrywająca rolę szafy (obecnie obie pod łóżkiem Karoli). Widok z okna na odrapaną ścianę i szyb wentylacyjny śmierdzący kuchennymi wyziewami dochodzącymi ze wszystkich pięter. Przez cały pokój dziewczyny rozpięły żyłkę, na której suszyły pranie, głównie bieliznę. Raszpla patrzyła na to wszystko oczyma właścicielki, która tu dawno nie była i właśnie szacuje ewentualne zniszczenia. Mazanek nie potrafił się przy niej skupić na przeszukaniu, odesłał ją więc do diabła. Wzruszyła ramionami i poszła. Wtedy dopiero został – jak to nazwał w myśli – „sam na sam z pokojem”. Otworzył jedną z walizek. Tu już nie było tak ubogo. Sporo wieczorowych sukienek, bucików, biżuterii, choć trzeba przyznać, że raczej krzykliwych niż eleganckich. Pomadka do ust. Nic niezwykłego. Zawartość drugiej bliźniaczo podobna. Proszki od bólu głowy „z kogutkiem”. Rurki do karbowania włosów. Mazanek obejrzał dokładnie całą podłogę w poszukiwaniu skrytki, luźnej deski, czegokolwiek. Nic. Żadnych oszczędności. Żadnych tajemnic. Tylko majtki suszące się na żyłce. Na ścianach powycinane z tygodnika „Kino” zdjęcia Bodo i innych amantów. Jeżeli mieszkanki tego pokoju prowadziły jakąkolwiek działalność przestępczą, nie była zbyt intratna. Za oknem wisiała na chłodzie siatka z nieśmiertelną pasztetówką, kawałkiem osełki masła i twardym jak kamień chlebem...

Kiedy wrócił do Raszpli, okazało się, że ta nie wylewała w tym czasie za kołnierz. Była wyraźnie rozanielona i diametralnie zmieniła swój stosunek do Mazanka.

– Ale dlaczego pan tak stoi, proszę, proszę siadać! Na pewno się pan napije wódka. Taki młody, taki przystojny, męska, rzutka męczna! Ci mogę zadawać pan jedno niedyskrecje pytanie? Idziesz pan sam przez życie, panie policmajster?

Kiedy Karola Martyniuk, zwana Lux Torpedą, się obudziła, pomyślała, że jak na zapluskwioną, twardą jak deska pryczę na strychu u Raszpli jest jej podejrzenie za wygodnie. Nic jej nie gryzie. Pod głową, zamiast zwiniętego w kulę swetra, miała białą, czystą i sztywną od krochmalu poszewki poduszkę. Ktoś o nią zadbał. Nagle zerwała się jak rażona piorunem. Co jest grane? Czyżby jednak jeden z Telegrafów zawlókł ją do hotelu? Rozejrzała się. Wokoło ciemno, pusto, tylko to łóżko i wątłe światło lampki elektrycznej na stoliku nocnym. Pokój bez okien... Piwniczka? Ale to łóżko takie świeże, zadbane, czyste... Karola aż usiadła, gdy nagle przypomniało jej się wszystko, co było „wczoraj” (o ile nie minęły od tamtego czasu całe lata). W ustach miała sucho i czuła kaca, możliwe więc, że wypadki te wydarzyły się wcale niedawno. Mnóstwo korków. Była w robocie i bawiła brzuchatych tatuśków z Ministerstwa Poczty i Telegrafów... Panów bez szyi. Jowialnych – chyba tak określa się ten typ w jej ulubionych powieściach kryminalnych. „Był to jowialny starszy jegomość z brzuszkiem i w meloniku o wyglądzie komiwojażera...”. (Nie wiadomo, dlaczego w owych książkach najgorsi mordercy zawsze okazywali się właśnie jowialnymi tatuśkami o wyglądzie komiwojażera). Nic dodać, nic ująć. I potem poszła pogadać... Tak, poszła do Kierbedź na papierosa, a ona jej się skarżyła na faceta, który nabrudził w kabinie... I tam leżał on, i ta kartka na nim... Co ona z nią zrobiła? Rozejrzała się. Nie, ktoś ją rozebrał i przebrał w czystą nową koszulę nocną. Nie znajdzie jej teraz, może jest w torebce, ale gdzie torebka? Bo przecież wybiegła stamtąd jak idiotka w noc, padał śnieg, był mróz, a ona gnała w pantoflach na wysokich obcasach, na pewno je uszkodziła, zgubiła, połamała... Pędziła jak głupia, aż się przewróciła i upadła... Aż starła sobie skórę na twarzy... Boże! Jak ona pójdzie do pracy? Ktoś wciągnął ją do powozu czy bryczki...

przyłożył śmierdzącą straszną chemią szmatę do ust... I tu film się urywał. Znowu się rozejrzała. Na stoliku nocnym poza lampką stał wazonik ze świeżymi kwiatami, Karola nie wiedziała, jak się nazywają, ale późną jesienią na pewno są drogie... Teraz przecież nic nie kwitnie tak samo z siebie... Te kwiatki czemuś bardzo jej się nie spodobały. I to, że czuła piwnicę. Nie było okien, to raz, ale piwnicę się po prostu wyczuwa. Były za to drzwi. Zaczęła w nie walić pięściami i krzyczeć:

– Proszę pana! Proszę otworzyć! Haaaalo! Ja muszę na próbę! Jak nie pojawię się na próbie, to mnie wyleją! Boże!

Potem nasłuchiwała. Z daleka jakby echo kroków na korytarzu... Przestraszyła się. Ktoś tu idzie. Po co waliła? No przecież właśnie po to, aby ktoś przyszedł! Drzwi się otworzyły i stanęła w niej... Ni to baba, ni to chłop, złamany nos, do twarzy przyklejony słodki uśmiech, w rękach taca z rogalikami i kawą... Poczwała, jak uginają się pod nią kolana...

Matko Boska! Władymyr!

Dwudziestoósmioletni nosiciel kiły w stadium trzecim, utajonym, Wojciech Babiński, pseudonim „Baba”, zatrudnienie: żigolo, mały żigolo, śliczny żigolo, obudził się o piętnastej i spojrzął w lustro. Bardzo źle znosił kaca, a im był starszy, tym znosił go gorzej. Jednym pociągnięciem ręki starł szminkę z ust, oderwał jedyną sztuczną rzęsę – druga musiała się zgubić w czasie długiego i zagmatwanego wieczoru z tą jakąś hrabiną brzyduliną, którego rekonstrukcja go nie ominie. Ale jeszcze nie teraz. Co to było? Coś go zbudziło... Jednak odpowiedź na pytanie, co konkretnie, była chwilowo – jak jego kiła – utajona.

Kiła utajona to najpiękniejszy okres choroby – wszystkie objawy usłudnie znikają, sam właściciel krętków bladych jest już spokojny o swoje zdrowie, wygląda świeżo i z ochotą zaraża dookoła cały świat. Nie wie lub nie chce wiedzieć, że podstępne krętki kręcą się już po całym jego ciele, sadowią się w mózgu i za parę lat... Cóż to będzie za niespodzianka, gdy nagle ten król życia zwariuje! Po prostu coś go opęta. Na przykład wpadnie w szal, weźmie nóż i pozabija wszystkich dookoła. A to już będą wspaniałe kilaki wielkości małych jabłek, tak, małych rajskich jabłuszek w jego mózgu. Od razu odleci mu nos, a na leczenie salwarsanem będzie o wiele za późno (zresztą już jest!)... Niech więc cieszy się życiem, póki trwa najpiękniejsze stadium kiły!

Wtem ozwało się ponowne walenie w drzwi. To ono musiało go obudzić. Babiński narzucił na siebie krótki japoński szlafroczek, w którym jego nogi wydawały się jeszcze prostsze i dłuższe, i poszedł otworzyć. Nie spodziewał się po tej wizycie niczego dobrego i miał rację. Do jego mansardy wpadł ponury facet, od którego z daleka smętnie wiało gliną. Przedstawił się jako starszy przodownik Adolf Piątek. Ze swoim wąsikiem niczym czarna szczoteczka do zębów

przylepionym do bladej twarzy wyglądał trochę jak Charlie Chaplin. „Wymoczek” – tak nazwał go w myślach Babiński. „Lalunia” – pomyślał o fordanserze Piątek.

Fordanser wprowadził go do pokoju z mocnym postanowieniem, że nie da się wziąć żywcem, jeśli by glina odkrył kokainę i morfinę w szafce w kuchni albo, co gorsza, TAMTO. Tymczasem policmajster niczego nie szukał. Babiński wskazał mu fotel. Glina usiadł, zapalił i zaczął się rozglądać za popielniczką. Baba przesunął w jego stronę mały talerzyk, który stał na stole.

– Pan Wojciech Babiński, pseudonim „Baba”, lat dwadzieścia osiem? Urodzony w Grodnie w roku tysiąc dziewięćset drugim? Zamieszkały w mieście N***, ulica Wodna trzynaście mieszkania osiem?

Wojciech Babiński nagle dostał lęków z powodu tej ulicy Wodnej. „Tylko glina może pytać o to, gdzie mieszkam, mimo że znajduje się właśnie pod adresem Wodna trzynaście”. Poza tym tak podsumowane jego życie wydało mu się nagle czymś bardzo, bardzo niewiele wartym.

– Oczywiście wie pan już, że pański przyjaciel, pan Mieczysław Cieślak, został zamordowany w swoim mieszkaniu. Czy ma pan coś do powiedzenia na ten temat?

Piątek patrzył na Babińskiego, choć udawał, że spogląda w stronę okna. Wiedział, że ludzie na ogół nie są dobrymi aktorami i jeśli wiedzieli o czyjejś śmierci, nie potrafią zdziwić się przekonująco. W każdym razie Babiński zupełnie nie potrafił. Było oczywiste, że nie jest to dla niego żadna nowina. Wytrzeszczył nienaturalnie oczy, zasłonił rękami twarz. Aktorstwo epoki kina niemego.

Na razie Piątek udał, że mu wierzy.

– Więc wiedział pan czy nie? Proszę odpowiadać na pytania słownie.

– Pierwsze słyszę. Byliśmy pokłóceni i nie spotykaliśmy się od miesiąca. O Boże...

To „o Boże” to już był skok od kina niemego do dźwiękowego.

– Kiedy ostatni raz widział pan swojego przyjaciela Cieślaka Mieczysława?

– Boże, dawno! Byliśmy pok... znaczy pokłóciliśmy się! On myślał i mówił już tylko o tej swojej głównej roli w *Księżniczce czardasza*, w ogóle nie dostrzegał świata poza sobą. Ciągłe tylko śpiewał tą arię Boniego. – Babiński przymknął oczy w wyrazie największego cierpienia. – Straszna chała... To „Dosyć, basta, nigdy więcej, finisz, kropka, szlus...”, Boże, co za dno! Nie wiem, czemu Malinowski dał mu tę rolę, przecież pasowała do niego jak but na szpilce do końskiego kopyta! Ale on miał pociąg do szmiry, on kochał szmirę! Widzieliście te jego sztuczne kwiatki? Łabędzie? Tego małego białego pieseczka? Pizdeczka! Jak można tak nazwać psa? Nawet jeśli taki wypierdek to raczej żarcie dla prawdziwych psów.

Nagle przypomniał sobie, że jego przyjaciel nie żyje, podobnie jak pieseczek, powinien więc okazać smutek – postanowił wyrazić go, chowając swoją urodziwą twarz w białych dłoniach o długich, zadbanych palcach arystokraty, pianisty onanisty.

– Czyli kiedy ostatni raz go pan widział?

Babiński myślał. Kiedy? Im dawniej, tym lepiej, tak, chyba tak!

– Jakiś miesiąc temu. Byłem u niego, a on, cóż... śpiewał to „Dosyć, basta” i... farbował wąs. Parodia. Karykatura. Rzecz niesmaczna. Kolor wychodził mu nie czarny, tylko jakiś granatowy. Tak to jest, jak się kupuje szuwaks na bazarze u Fajgi Gutnajer. Jego wąsy śmierdziały apteką.

Nagle zamilkł. Przed nim siedział człowiek, który również farbował resztki grzywki i wąs z podobnym efektem. Piątek patrzył na niego uważnie.

– No... w każdym razie nie polecam tej farby od Fajgi... Daje granatowy odcień...

– Czy wychodząc, widział pan kogoś na podwórku? Stróża? Ostrzyciela noży? Kataryniarza? Baby przy maglu gazowym?

Na pięknej twarzy Babińskiego odmalował się wyraz jeszcze większego cierpienia. Ostatnie zapasy energii wydobył z siebie wczoraj przy pomocy kokainy z jakichś najciemniejszych zakątków organizmu, gdzie magazynował je na naprawdę czarną godzinę, i zużył na szaleństwa z tą fałszywą hrabiną, która

okazała się, jak chyba wszyscy dookoła – gliną. Gdy tylko znaleziono w kiblu martwego faceta, którego całą noc bajerowała Lux Torpeda, hrabina natychmiast się zdemaskowała i zaczęła prowadzić energiczne dochodzenie. Okazało się, że była trzeźwa jak świnia. Wylewała szampana do donicy z palmą, dokładnie tak jak on. Tańczenie na trzeźwo przez sześć godzin też wymaga nie lada energii. Kokaina odnalazłaby zmagazynowane zapasy sił nawet u trupa, ale gdy i te resztki się wytraci, to już naprawdę nie ma z czego czerpać.

A tu by się przydało wyłuskać choćby kropelkę energii, aby skupić się i zastanowić. Gdy wtedy wychodził, co się działo na podwórku? Chyba nic takiego... A, nie, był... Stał tam ktoś... Tak zwana chodząca reklama. Najtańsza praca, chodzenie jako stojak na poster reklamowy... Zdaje się, że „Radion sam pierze” albo może gilzy i zwijki Morwitan Herbewo? W każdym razie po tym nie da się zidentyfikować, jaki to był dzień...

– Nie wiem, nie patrzyłem. Pokłóciliśmy się. Byłem wściekły i szedłem bardzo szybko. Nie zwracam uwagi na baby z magła, proszę mi wybaczyć. Nie miałem też żadnego noża do naostrzenia. Kataryniarza nie było, to na bank.

– I więcej pan u niego się już nie pojawił?

– Nie. Proszę mi wybaczyć, ale źle się czuję.

Już od dłuższego czasu w Piątku narastała dobrze mu znana złośliwa przekora i chęć męczenia tego człowieka nawet dłużej, niż potrzeba. Nie pozbędzie się go tak łatwo! Facet tkwi w samym środku tego gówna! Musi mieć z tym wszystkim coś wspólnego!

Przodownik wziął krzesło, postawił je przed samym Babińskim, usiadł okrakiem, spojrzął przymilnie i słodko na trzęsącego się, bladego jak ściana narkomana, przyoblekł przymilny wyraz twarzy i nagle huknął:

– Dość tego pieprzenia, panie Babiński! Kto kogo ruchał, pan jego czy on pana? Co pana łączy z hrabią Aleksandrem Druckim-Lubeckim? Lubi się pan z nim za baby przebierać? Co to za bandytów załatwiał wam Smutny Mundek?! Dlaczego

pan zabił Cieślaka? Co on miał wspólnego ze sprawą Kucharza? Dlaczego pan zamordował Ninel?

Babiński aż zamrugał swoimi długimi rzęsami na tę nawałnicę wiedzy tajemnej na jego temat. Ale też szybko oszacował, że to, co wie glina, stanowi zaledwie wierzchołek góry lodowej.

– Nie Mundek, tylko Władymyr. No, załatwiał nam różnych i z cyrku, ale co to ma niby do rzeczy? To chyba nie jest jeszcze karalne? Można jeszcze spać, z kim się chce?

– Co to ma do rzeczy, to nie twoja zaszracona sprawa. Z jakiego cyrku?

Babiński pobladł.

– A... a... a ja powiedziałem „z cyrku”?

– Nie udawaj mi teraz głupiego.

Blady, jakby wszystkie jego krętki powędrowały wprost do twarzy i skupiły się w niej, Babiński wyśliznął się zgrabnie sprzed siedzącego okrakiem na krześle przodownika i opadł na otomanę. Patrzył na Piątka, który też nie spuszczał z niego wzroku.

Milczeli.

– Słyszałeś pan o „sprawie Kucharza”?

– Nie... Lubię dobrze zjeść...

Za szybka odpowiedź. Nawet sekundy się nie zastanawiał, nie próbował sobie przypomnieć...

– Nie? To chyba jesteś pan jedyny w tym kraju, pisał o tym „Tajny Detektyw”! Ze wszystkimi szczegółami! Seria morderstw z motywem kanibalizmu z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego. Potem, jak w dwudziestym piątym w Niemczech ucięli łeb Fritzowi Haarmannowi, nagle sprawa Kucharza stała się na powrót modna.

Mordercę z roku dwudziestego nazywa się obecnie „polskim Fritzem Haarmannem” lub „Rzeźnikiem z miasta N****”. Sprawy nigdy nie rozwiązano.

Innymi słowy, facet albo nie żyje, albo siedzi, albo znudziło mu się ludzkie mięso. No to jak, nie słyszałeś pan nigdy o tej sprawie? Co panu jest? Co to za komedia?

Ale to już nie była komedia. Babiński zemdlął. Piątek cucił go długo i w końcu kazał mu przyjść następnego dnia na przesłuchanie na policję. Niech teraz pomęczy się z nim pani przodownik Woźniak. Już pora na użycie jej tajnej broni. Nie chciałeś, Baba, dobrego policjanta, to dostaniesz złą policjantkę...

– Kaziu, w dochodzeniu pojawił się cyrk. Dwa razy. Ten mały... jak mu tam?

– Stefan Sarna – podsunął Piątkowi Mazanek.

Siedzieli w restauracji Gastronomia przy ulicy Kamiennej. Niby było już po szychcie, ale po pierwszych łykach piwa i kęsach białej kiełbasy na gorąco z chrzanem rozmowa oczywiście zeszła na sprawę. Biała kiełbasa tryskała sokiem po nakłuciu widelcem, chrzan cudownie się z nim mieszał, kapusta na gęsto z zasmażką i świeża bułka dopełniały reszty. Gdy człowiek jest głodny po całym dniu, najlepiej smakują proste dania, byle były wysokiej jakości. Policjanci wiedzieli, że właściciel Gastronomii ma posiadłość na wsi, gdzie sam bije świnie i wyrabia kiełbasy, a potem – jeszcze ciepłe – podaje u siebie w knajpie. Do tego piwo skierniewickie z browaru Władysława Strakacza, ich ulubione, marcowe, mocne, ale lekkie w picciu, mroczne i zdradliwe jak marcowa wezbrana rzeka, produkowane w pierwszych tygodniach wiosny, z ostatnich zapasów zmagazynowanego zeszłorocznego słodu... Po raz kolejny ktoś chciał zaoszczędzić i przypadkowo odkrył delikates!

– No więc ten mały coś tam marudził o cyrku, ale kto by go słuchał, jak tu wisi trup, cały w „nikotynie”, w daleki poszli nieznany kraj i w ogóle...

– Któż cię pominie!

– Kogo opętasz, niechybnie zginie!

Po czym zaśpiewali chórem:

– Pogromcą twojem tylko ten jedynie, którego imię Morwitan!

– Oj, powodzi im się w tym Herbewie...

– Wiesz, z czego się cieszę, Kaziu?

– Wiem... – Mazanek i Piątek nie po raz pierwszy siedzieli po pracy na piwie, do którego na koniec, aby się dobić, zamawiali po pięćdziesiątce wódki jak po naboju pistoletu. Mazanek wiedział więc, że nie uniknie wysłuchania pełnej wersji odpowiedzi.

Obok nich usiadł przystojny blondyn w okularkach okrągłych jak dwa koła bicykla, które nadawały mu wygląd inteligenta. Kelner podał mu pół czarnej, „kostkę węgierską” i gazetę. Za chwilę gość zaczął rozcinać nożem wielkie płachty dziennika zaczepionego na ciężkim drewnianym kiju.

– Cieszę się, że to tylko robota. Że się nie angażuję. Odtąd dotąd. Rozwiąże się, to się rozwiąże, nie, to nie, siedemnasta – fajrant, niedziela wolna, dodatki... Jakbym pracował w kiosku. Są tacy jak ten Leon Przygoda w Warszawie...

– O tak, Przygoda potrafi zapaskudzić sobie sprawą całą dobę! Gwiazda warszawska... Ale my? Na prowincji? Co się będziemy przejmować? Tyle brudów na świecie, a od naszej krzątany jak nawet co ubędzie, to jakby kropla w morzu... No, cyk, zdrowie pięknych pań! Pod marynowanego grzybka z polskich lasów i pól. Zbierane tej jesieni. Michaś Jędrzejko, zwany Michałko, fernal pana Czerwińskiego, sam zbierał!

Stuknęli się ciężkimi kuflami w kształcie kłód drzew.

– Zjemy coś jeszcze, nie? Biała kiełbasa na gorąco z chrzanem i ciepłą kapustą z kminkiem to było arcydzieło, ale spróbujemy może innych dzieł mistrza? Panie Czerwiński! Co nam pan jeszcze polecisz?

Gruby ober już przy nich stał. Był jak kulka: niski, tak samo szeroki co wysoki... W brązowym fartuchu, usłużny, z tych, co to mawiają „ścielę się do nóżek szanownego pana” i „całuję rączki szanownej paniusi dobrodziejce!”.

– Wszystko, ależ wszystko jest świeżutkie, właśnie rano małżonka ma przyjechała wprost ze wsi polskiej, czystej, wraz z Michasiem, przywiozła pyszności. Goloneczka! Wątróbeczka! Grasic! Salcesonik doskonały z octem! Kaszaneczka jak modlitwa! A kaczka z buraczkami, z modrą kapustką, z jabłuszkiem na gorąco i żurawinką słodko-kwaśną, popita czerwonym winem

włoskim primitivo... A bulionik, do którego wedle starożytnych przepisów jesienią należy wrzucić nieco mięsa wrony, bo wrony ony jesienią wzmiankowaną żywić się zwykły owocami głogu, co nadaje im taki specyficzny posmacek... – Panu Czerwińskiemu też udzielała się maniera językowa policjantów. Ci czuli napływającą ślinę. Spojrzeli po sobie.

– No to, panie Czerwiński, prosimy wszystkiego po trochu! Ze szczególnym uwzględnieniem owej kaszaneczki, tylko żeby była opiekana w cebulce!

– Jakżeby miała nie być? Chybabym zamknął tę budę, gdybym podał kaszaneczkę bez cebulki i skwarków. Wszak to, co od kaszanki odpadnie i się przypiecze, to w daniu tym najszlachetniejsze, ony ogigle, i bułeczką można z talerza wyczyścić wraz z sosikiem, a ogóreczkiem konserwowym czy małosolnym zagryźć, coby się posmak w ustach zrobił adekwatny! Bulionik z wronią wkładką też będzie?

– Bulionik dla mnie też, a jakże... – powiedział Piątek.

– Ja podziękuję – zastrzegł szybko Mazanek.

I ober pospieszył do kuchni wydawać polecenia. Siedzący przy sąsiednim stoliku przystojny inteligent smutnym wzrokiem obrzucił swoją kawę i ślad po kostce węgierskiej na talerzyku. W gazecie pisali, że prezydent Ignacy Mościcki na wniosek Józefa Piłsudskiego rozwiązał parlament drugiej kadencji i ogłosił przedterminowe wybory. Aresztowano przywódców Centrolewu i na czas wyborów osadzono ich w więzieniu wojskowym w Brześciu. Te wiadomości wcale nie pasowały do pysznej kawki i słodkiego torciku.

– Dobroć kaszaneczkowa, uważasz pan, panie Piątek, zależy od dobroci onego ogigla i jego się od onej kaszaneczki oderwania... – wygłupiał się Mazanek. – Myślisz, że nasz ober strzela do tych wron z procy? No ale wracając do cyrku...

– No właśnie chciałem cię tam posłać... Jutro Stacha przyciśnie tego obleśnego przystojniaczka Babińskiego, to przy okazji wyciśnie z niego i o cyrku... Swoją drogą, niezłe rzeczy odchodzą w tym mieście...

– A z cyrkiem to dopiero się zacznie... Toż to gniazdo zepsucia...

Choć przy jedzeniu i piciu mówili wciąż o sprawie, stopniowo wdzierał się już jakiś inny ton. Z dystansu, ironiczny... To tylko praca, odtąd dotąd, nikt nas nie zabije, jak nie rozwiążemy... A niech się tam przebierają po nocach za baby, niech się mordują, a tu zaraz miły nasz przyjaciel pan Czerwiński przyniesie gąskę smacznie przyrumienioną z jabłuszkiem w środku zaszytym, z gruszką, z żurawinką, z winkiem czerwonym primitivo...

Zniecierpliwiony ponurymi doniesieniami z kraju smutny inteligent zamówił kolejne „pół czarnej” i przeszedł do części doniesień ze świata, licząc na lepsze nowiny. Oto Hajle Syllasje I został koronowany na cesarza Etiopii. Gdziekolwiek to było. Trzęsienie ziemi w Japonii... Zrozpaczony sięgnął po wiadomości lokalne. O, proszę! Od razu znajomi... Sara Berg „dała się przebłagać” i mimo propozycji z Paryża i Nowego Jorku zgodziła się występować u nas, na prowincji, w rewii *Miłość, raz!* kabaretu To i Owo. Na pewno nie było żadnych innych propozycji, skoro baba występuje na prowincji. Chyba że macza w tym palce któryś z naftowych baronów! Tak hojnego wielbiciela niełatwo będzie znaleźć w Paryżu. A jeszcze ta niejasna sprawa romansu Sary z hrabią Aleksandrem Druckim-Lubeckim, który mieszka pod naszym miastem w magnackim majątku Korzany... Sprawa zakończona przecież skandalem, natychmiast wyciszonym. Czyżby przyjechała tu dla niego?

Od kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku dowiercono się w naszej okolicy do głębokich złóż ropy i zaczęto jej eksploatację na skalę przemysłową, nasze miasto N***, podobnie jak sąsiadujące z nim o wiele mniejsze Drohobycz i Borysław, zmieniło się nagle i nieodwracalnie. Z jednej strony doszło do degradacji pięknych dotychczas okolicznych terenów. Tam, gdzie jeszcze kilka lat wcześniej ciągnęły się pagórkowate wrzosowiska, torfowiska, kretowiska i tajemnicze wzgórki porośnięte mchem, teraz powyrastały koszmarnie robotnicze dzielnice, w których powietrze przez cały rok miało kolor i ciężar ołowiu, kałuże opalizowały wszystkimi barwami tęczy, a gruźlica i atrofia była powszechnym stanem fizycznym i psychicznym. Powstały drewniane budy i górujące nad nimi konstrukcje przypominające potwory z dziobami. Wokół tych terenów natychmiast przestawało rosnąć cokolwiek, wszędzie pojawiało się błoto, nędza i smutek. Ale, jak to w życiu, na owej nędzy i owym smutku, na wychudzonych robotnikach i ich bosych, brudnych dzieciach, jak grzyby na próchnie powyrastały przedziwne pałace „szejków naftowych” – najdzikszy konglomerat wybujałej wystawności, złego gustu, bardzo drogich materiałów budowlanych i setek kolumnienek, balkoników, wykuszów, antycznych rzeźb, sztucznych stawów, białych marmurowych schodów... Podobnie jak w Drohobyczu i Borysławiu, także tu bliskie sąsiedowanie najczarniejszej nędzy z najbardziej wymyślnym bogactwem skutkowało wzmożeniem żądz i marzeń. Przybyło latarni ulicznych, ponieważ zaczęła oświetlać nas własna ropa. Hotel Angleterre zaczął urządzać wystawne przyjęcia i sylwestry, a madame Visoansky z burdelu Zlew Centralny podniosła ceny (aby pozbyć się furmanów i żołnierzy) i „nastawiła się na krajowych szejków”. Na głównych ulicach powyrastały, zupełnie niepasujące do

provincialnego miasta, składy kolonialne (kawior, szampan, marcepany, ostrygi, cygara) i składy paryskich mód. Najbardziej wystawne z nich wszystkich były delikatesy Davidoff und Schwarz. Za pieniędzmi pojawiły się piękne kobiety jeżdżące otwartymi automobilami i wyglądające jak z portretów Tamary Łempickiej. Nikt tak bowiem nie napędza luksusowej konsumpcji jak piękna pani posiadająca naftowego opiekuna. Gdyby nie one, nie sprzedawałyby się najdroższe toalety, buty, kosmetyki, perfumy, futra, etole, zegarki, torebki, biżuteria...

Słowem, miasto, dotąd senne, szare i pełne żydowskiej nędzy, dzięki nowemu napływowi nędzy i szarości w pewnych miejscach (szczególnie na Zarzeczcu) nabrało kolorów i mafijnego sznytu na wzór odeski. Limoniadowy i inni bandyci, alfonsi, kurwy i wszelkiego rodzaju „królowe życia” poczuli potężne uderzenie wiatru w plecy. Dopiero teraz Goldbaum, właściciel dotąd małego i zapyziałego prowincjonalnego teatrzyku, mógł pomyśleć o zatrudnieniu gwiazdy formatu Sary Berg. W teatrach, a już szczególnie w operetce, w której Cieślak miał zagrać główną rolę Boniego w *Księżniczce czardasza*, na premierach zaczęła się pojawiać bogata i strojna publiczność, często ukradkiem grzebiąca w zębach lub podsypiająca, lecz obwieszona brylantami i w sukniach od madame Chanel. Girlsy w kabaretach i śpiewaczki na scenie zaczęły znajdować w swoich garderobach nie tylko największe kosze róż, ale i biżuterię, butelki szampana, rękawiczki z delikatnej cielęcej skórki i inne luksusowe dodatki. Do miasteczka zjechało zewsząd mnóstwo Żydów, lecz innych od naszej biedoty, którzy pożyczali olbrzymie sumy na lichwiarski procent, a także małe kwoty robotnikom pod zastaw. Niewielką sumkę można było wyciągnąć nawet z zegara z kukułką. Wokół nielegalnych kasyn jak spod ziemi powyrastały czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę lombardy. Przybyło połączeń kolejowych z Warszawą, Lublinem, Lwowem, Grodnem, Wilnem... Na ulicach pojawiły się ciężkie i czarne jak lśniące żuki samochody. Ale wszyscy oniemieli dopiero, kiedy za barem w hotelu Angletterre stanął najprawdziwszy czarny barman – pierwszy prawdziwy Murzyn w naszym mieście! Zaraz potem przyszła moda na czarnych i żaden drink-bar, który uważał się za luksusowy, nie chciał już zatrudniać białych barmanów...

– No, to coś dla ciebie, Kaziu. Zbadasz ten wątek cyrku. Taki ładny, niewinny chłopczyzna, akurat do rzucenia cyrkowym lwom (i lwicom!) na pożarcie!

– Romans przodownika Mazanka z kobietą gumą!

– Z kobietą z brodą!

– Azaliż jednakże... Aczkołwiek... Dlategoż... Czyż waćpan nie wysłał mnie już do rozpracowania niejakiego dobrodzieja Legutki Stanisława Stanisławowicza, Poczty oraz Telegrafów przodownika i ministra? – Mazanek lubił się tak wygłupiać, szczególnie po głębszym, a Piątek z rozkoszą czekał na ten moment, aby podjąć ton i zacząć, jak mawiali, „babrać się w języku jak w sosie”.

– Mistrz nasz telegraficzny nie wymaga waćpana zdolności, które cenimy sobie jakże wysoko. Cyrk to delikatna sprawa, bo jak wspomniałeś, dobrodzieju, każdy ma tam coś do ukrycia, niczym owi Cyganie, co konie i dzieci kradną... Będą kłamać i kluczyć, a wtedy urok osobisty asan okaż, a uśmiechem czarownem okraś, nim omotaj, by z onej białogłowy gumy informacje wycisnąć...

Stuknęli się piwką marcową i zaczęli z zapalem jeść przyniesione przez pana Czerwińskiego specjały, gdy nagle do Gastronomii wpadł chłopak. Zziajany. Był to typowy nastolatek uliczny „do zgodzenia”, których wielu się kręci na rogach ulic, czekając, aby się do czegoś nadać. Lat na oko piętnaście, lecz twarz – jak to bywa u dzieci ulicy – o wiele dojrzała, wyświechtany kaszkiet, chłopak obdarty, ruchliwy i sprytny. Płowa czupryna i masa piegów na zadartym nosie. Był zgrzany, widać pilną jakąś wiadomość niósł, niczym Hermes o stopach uskrzydionych, a że miał charakter w nogach, to biegł. Byстрыm spojrzeniem obrzucił salę i bezbłędnie podszedł prosto do stołu policjantów. Spojrzał łakomie niczym głodny piesek na

zgromadzone frykasy. Ober już stał za nim i zamierzał się szmata, ale Piątek powstrzymał go.

– Ci panowie chcą mieć spokój przy kolacji! – syknął pan Czerwiński, myśląc, że mały chce żebrać albo coś sprzedawać. Chwycił go za ucho. – Niech asan poczeka... Znaczy, tfu, proszę poczekać. Co słychać, chłopcze?

– Po japońsku, jako tako...

Ober wzruszył ramionami i poszedł do kuchni.

– A tak w szczególe?

– A w szczególe to list pilny przynoszę. – Wsadził swoje niemiłosiernie brudne ręce do kieszeni i z miną kamerdynera podał Piątkowi kopertę. Ten ją wziął, ale chłopak stał nadal.

– No i na co jeszcze czekasz, młody?

– Za przeproszeniem, za przyniesienie należy się musowo gratyfikacja...

– To już ci nie zapłacili?

– Nie – skłamał mały jak z nut, patrząc niewinnie Piątkowi prosto w oczy. – Płatne przy odbiorze.

– Patrz, Kaziu. Patrz i ucz się. Tak właśnie należy kłamać. Lekko, bez teatru. Po prostu niewinnie.

Piątek wyciągnął dziesięć groszy, dał chłopakowi i był to ostatni raz, kiedy monetę oglądał na oczy, gdyż ta od razu znikła w łachmanach ulicznika. Ten był już przy drzwiach.

– Poczekaj! – krzyknął za nim Mazanek.

Chłopak zawrócił zdziwiony. Niechętnie, bo bał się, że tamten się rozmyślił i chce mu zabrać dziesiątaka.

– Jak masz na imię?

– W waszych kartotekach jeszcze nienotowanym, aczkolwiek zapewne ta sytuacja niebawem się zmieni, gdyż żywot pełen przygód prowadzę, niby marynarz jaki na korablu, na morzu...

– Ty patrz, Kaziu: mały babrze się w języku!

Jednocześnie pomyśleli o tym samym. Urągało to co prawda wszelkim możliwym zasadom, ale ich zasady zostały właśnie rozluźnione przez doskonałe mięsiwa i alkohole.

– Więc jak się nazywasz?

– Felek jestem, Felicjan – poprawił się zaraz chłopak z dumą i zrobił dorosłą minę.

– Głodny jesteś?

– Ale przecież... – Ober, który wrócił z tatarem, już chciał zaprotestować.

– No, nie powiem... Przekąśliłoby się to i owo... Widząc tu suto zastawiony, że się tak wyrażę, stół...

– Panie Czerwiński, proszę przynieść dodatkowe nakrycie. A ty, Felek, idź umyj ręce.

Kiedy już wysłali każdego w swoją stronę, Piątek powiedział:

– Mówię ci, taki mały cwaniak uliczny wszędzie się wciśnie, nada się na pomocnika i agenta, zobaczysz.

– Wiem, tacy się wypożyczają złodziejom, kiedy trzeba się przecisnąć przez malutki lufcik do mieszkania, a nasze potrzeby zawsze były podobne...

– Pogadać można. Sympatyczny mały.

Piątek otworzył kopertę nożem stołowym. Rzucił okiem na treść i podał list Mazankowi. Ten spojrzał tylko i zaklął. Potem z żalem obrzucił wzrokiem stygnące na stole specjały.

„Babiński zabity, przyjeżdżajcie, Błotna 8 w suterenie”.

Kto jednak pomyślałby, że nasi panowie, niczym obowiązkowi protestanczy pruscy żołnierze, rzucają wszystko jak rażeni prądem i pobiegną w te pędy na miejsce zbrodni, pomyliłby się sromotnie.

– No i widzisz, już go Stacha o ten cyrk nie przyciśnie... Selavi. Szkoda. Ale co tam, siup, panie Kaziu, siup w ten głupi dziób! Za tą ciotę obleśną, za cały ten kram!

– Ano na zdrowie, przodowniku Piątek.

– Starszy!

– Panie starszy przodowniku Piątek.

– A na zdrowie, panie młodszy przodowniku Mazanek. Wiesz, co mówią o tegorocznym tableau ze zdjęciami autorstwa panny Wandy?

– No?

– Że motywem przewodnim będzie wielka figa. Pięść zaciśnięta w symbol figi. Tak skwituje pracę naszego zespołu.

Wrócił Felek.

– Babińskiemu już nic nie pomoże, a kaszaneczka zmarnować się nie może...

– Lepsza zimna ciota niż zimna kaczką!

– Zajadaj, Felek.

Felek – owszem – zajadał, aż mu się uszy trzęsły. Jako wyrostek uliczny, bramowy, rogowo-zaułkowy, wiedział jednak, że nic nie jest za darmo, i narastało w nim podejrzenie, czy aby cena tej przepysznej kaszanki nie okaże się po złodziejsku zawyżona. Ludzie zawsze chcą dostać odrobinę więcej, niż dali, na tym polega interes. Spoglądał więc na nich podejrzliwie, pałaszując, i myślał: „Też coś, a od czego mam charakter w nogach? Jeśli cena okaże się za wysoka, to po prostu najem się i w nogi. Tylko czego oni mogą ode mnie chcieć?”. To, że miał przed sobą policjantów, nie ulegało dla niego wątpliwości. Ulicznicy wyczuwają na odległość smętny zapach gliny. „Głupiś, przecież gliny zawsze chcą jednego: skaptować na kapusia i agenta. A miałbym co opowiadać, oj, miałbym, ale jeszcze nie zwariowałem, żeby glinom kapować. Długo na dzielnicy bym nie pożył”.

O wszystkich tych myślach krążących pod czaszką chłopaka okrytą płową czupryną Piątek doskonale wiedział i rozumiał, że musi zainteresować go przygodą.

– No a jak cię znajdziemy, jakby co?

– No, kręcę się w okolicy rogu Kurkowej i Kranowej. Ale...

– Nie martw się, nie chodzi o to, żebyś donosił.

- A o czym ty, Feluś, najbardziej na świecie marzysz?
- Chciałbym mieć marynarkę. A najlepiej garnitur. I w nim paradować.
- Dostaniesz dwie. Jedną ode mnie, drugą od kolegi.

I tak Felek po raz pierwszy w życiu odczuł uroki bycia konfidentem, czyli – jak piszą w regulaminach policji – „osobowym źródłem informacji”.

Siedzący nieopodal „inteligent” odwiesił na specjalny haczyk przy drzwiach kij z gazetą i skinął na kelnera zabandażowaną ręką. Wysłuchał już całej interesującej go rozmowy i uznał, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Błotna osiem w suterenie! Nie chcielibyście tam mieszkać! Nie chcielibyście się tam urodzić, żyć ani umierać! Błotna to ulica na robotniczych przedmieściach naszego miasta, położona w groźnym, ponurym jak lekarz sprowadzony do umierającego, zadymionym, pokrytym węglowym pyłem, smutnym i szarym fabrycznym krajobrazie zdemolowanym przez wydobywanie ropy. Jedyne kolorem, jaki znają mieszkańcy, jest opalizująca tęczą na powierzchni kałuż. O piątej rano syreny wzywają robotników do roboty, bez względu na to, czy jest jasno, czy panuje ciemna noc. Wstają więc, klnąc, powłócząc nogami, potem przegryzają czerstwy chleb, popijają wodą nabraną poobijanym kubkiem z wiadra i wloką się prowadzeni na smyczy fabrycznej syreny. Po robocie gromadzą się w tajemnicy przy piwie i roją o nowym, lepszym świecie. Padają słowa takie jak „ucisk”, „burżuizja”, „wrogowie mas”, „lud”, „rewolucja”, „strajk generalny”, „pierwszy maja”, „rady robotnicze”... Potem jednak muszą szybko iść spać, bo o piątej znowu zabrzmie lodowata fabryczna syrena.

Z okien CWS-a Piątek obserwował ołowiane niebo, wynędzniałego wozaka ciągnącego węgiel, nosiwodę z dwoma wiadrami na koromyśle, najtańsze wyszynki, w których za brudnym szynkwasem sprzedawano wyłącznie wódkę i kiszzone ogórki na zagrychę, ludzi, którzy lada chwila mieli odejść z tego łez padołu na tyfus, szkarlatynę albo gruźlicę, anemiczne dzieci całe w węglowym pyłe, bosa mimo listopada... Na tej ulicy śmierdziało przypalonym jedzeniem i bardzo kiepskim opałem. Na tej ulicy zawsze panowała piąta rano. Była to ulica agresywnych bezpańskich psów, chorych wyleniałych kotów, chorych wyleniałych dzieci, wiecznie zepsutych zębów, bab z watą w uchu, jęczmienia na powiekach...

Piątek wiedział, że takiego eleganta jak Babiński mogła zaciągnąć w podobne miejsce tylko jedna siła: chuć. Błotna osiem w suterenie. Nie chcielibyście tam umierać. Ktoś jednak umarł tam właśnie teraz.

Pod numerem osiem stał jednopiętrowy robotniczy budynek z czerwonej cegły mocno okopconej węglowym pyłem. Z komina leciał czarny dym. Od słupów elektrycznych mieszkańcy na dziko przeciągnęli przez okna kable. Przed domem wały się ziejące sprężynami zwłoki jakiejś kanapy, której już nikt nie chciał nawet w tej dzielnicy nędzy, a na niej leżała wypatroszona lalka Murzynka.

Niewielkie zbiegowisko składało się głównie z umorusanych dzieci i chorowicie bladych, wychudzonych kobiet. „Ci ludzie palą w piecach chyba włosami” – pomyślał Piątek, kiedy poczuł straszny smród po wyjściu z auta.

Wiedział, że to, co zobaczy w mieszkaniu w suterenie, już zawsze będzie powracało w jego najgorszych snach, wraz ze zgwałconą i powieszoną w sławojce dwuletnią dziewczynką i paroma innymi żelaznymi punktami repertuaru jego sennych koszmarów, z których najczęściej czerpało ze sprawy Kucharza. Otworzył drzwi. Zapach smażonych włosów i skóry wzmógł się i zdominował naturalny dla sutereny zaduch piwnicznej stęchlizny. Był to ubogi robotniczy pokój. Nad żelaznym łóżkiem wisiał koloryzowany oleodruk z Chrystusem w łodzi. Obok stał nocnik, dalej poobijana balia na taborecie. Na łóżku leżały zwłoki. Piękne ciało ubrane było tylko w jeden element garderoby – długie, zgrabne nogi trupa ciasno opinały damskie czarne pończochy kabaretki trzymające się na gumkach ściskających uda. Na stopach miał czarne szpilki. Poza tym nic. Wszystko wskazywało na to, że człowiek ten popełnił samobójstwo przez włożenie sobie do ust pistoletu, ponieważ pół głowy było odstrzelone, pistolet leżał tam, gdzie potencjalnie mógłby upaść po takim ruchu. To musiał być Babiński. Twarzy nie dawało się rozpoznać, ale z dwóch ciał znajdujących się w pokoju tylko to idealne, o apollińskich kształtach mogło należeć do niego.

Z góry patrzył na to niewzruszenie podkoloryzowany Chrystus z łodzi, otoczony wianuszkami rumianych aniołków i pań jedzących winogrona. Te

rumieńce, winogrona i obnażona jedna pierś sprawiały wrażenie, jakby scena działa się nie w łodzi, a w lupanarze.

Obok łóżka, na podłodze, leżał zakrwawiony list.

Drugie ciało należało najwyraźniej do młodego robotnika (mieszkańca suterenu?) i było koszmarnie okaleczone, a przede wszystkim jego głowa smażyła się w piecu, wydając kulinarny zapach pieczonego mięsa i absolutnie niekulinarny – palących się włosów i smażącej się skóry. Nie było dobrze. Piątek miał nadzieję, że w liście na podłodze znajdzie przyznanie się do winy, że to wszystko zrobił Babiński, i jeszcze dziś zakończą sprawę. W każdym razie o ile nie można było po twarzy zidentyfikować Baby, o tyle identyfikacja jego robotniczego kochanka mogła być jeszcze mniej przyjemna.

– Skąd w ogóle pomysł, że to jest Babiński? – zapytał posterunkowego, którego wezwano po znalezieniu zwłok. – Miał przy sobie dowód osobisty?

Młody policjant tylko wskazał głową na list.

Piątek chwycił go szczypcami i położył na niewielkim stoliku obok niedopitej butelki samogonu i dwóch słoików po musztardzie służących za szklanki. Nałożył okulary i zaczął czytać list pisany pochyłym, stylizowanym pismem przez kogoś, kto wprawdzie liznął kaligrafii Stefana Tatuca, ale się tym za bardzo nie przejął.

Ja, Wojciech Babiński, licząc sobie lat dwadzieścia i osiem, nędzne swe i puste próżne życie pragnę przedwcześnie zakończyć... Ciało me, pod pozorami piękna, było domem choroby, której dzisiejsza nauka w tym stadium ujarzmić by już nie zdołała... Z błota i samego dna upadku przez Dobrodzieja mego i Przyjaciela podźwignięty, takim mu się odwdzieczył, zem mu w pierś strzelił, gdyż zaczął On podejrzewać, iż byłem słynnym zabójcą zwanym Kucharzem. Byłem nim w rzeczy samej i nikogo jak tylko mnie za one zabójstwa świat winić powinien. Przyjaciel mój, Mieczysław Cieślak, za moimi plecami prowadził w tej sprawie własne śledztwo, uciszyć więc go musiałem. Wcześniej, wraz z nim, nazywanym przez bandytów Spluwą, bo tylko splunąć, oraz wraz z Czarną Manią (hrabią Aleksandrem Druckim-Lubeckim) wiodłem życie podłe i przestępcze. Bandytom w strojach kobiecych się oddawaliśmy, których nam Władimir narajał. Sam zaś się z Niną Stukonis (Ninel) zabawiał, która o wszystkim wiedziała i dlatego zginąć

musiała... Zabiłem też Piotra Legutkę w toalecie kabaretu To i Owo oraz mecenasa Witalisa Karwowskiego. Dlaczego? Nigdy się tego nie dowiedzie... Pragnę już tylko spokoju, śmierć będzie mi wybawieniem. Ogarnięty szaleńcem zabijania i zadawania bólu, nawet w dniu śmierci oprzeć się owej pokusie ~~nie mogłem~~ nie potrafiłem i ostatniego kochanka, co ze mną w tej podłej suterenie zatańczył tango, zabiłem, czego mi Bóg nie wybaczy ani ja na jego czy wasze wybaczenie nie liczę... Śmierć ma niech będzie nauką przestroga, że życie puste i piękno próżne szczęścia nie dają, lecz tylko praca i ~~uczciwość~~ poczciwość takowe zapewnić są w stanie.

Wojciech Babiński
człowiek zgubiony

„Chciałeś, to masz” – westchnął Piątek zawiedziony, że gdy właśnie dostaje zamknięcie sprawy jak na talerzu, natychmiast przestaje w nie wierzyć.

Nagle do ubogiego pokoju w suterenie wpadli jednocześnie Karol Maślanka, Jędrzek Klimuszko, Mazanek, doktor Ziemkiewicz i Janicki.

– Co tu jest? – zapytał Klimuszko.

– No jest trochę, jest... literatury, znowu tylko kiepska literatura...

Maślanka dokładnie obfotografował pomieszczenie, po czym medyk sądowy wraz ze swoim zniesmaczonym pomocnikiem zaczęli wyciągać głowę robotnika z pieca. Widząc niewyraźną minę Mazanka, który – podobnie jak Piątek – pełen był jeszcze spałaszowanych minionego wieczoru darów polskich lasów i pól, Janicki uśmiechnął się złośliwie. Niestety, specjałów tych nie udało im się utrzymać w żołądku. Zapach pieczonej głowy zbyt przypominał rozkoszne wonie kaczek i innych pyszności, które jedli tak długo, podlewając marcowym piwem. Sama głowa wyglądała dokładnie jak owe frykasy. Dwóch wymiotujących obficie facetów, dwa trupy, znajdująca się w stanie hysterii sąsiadka, której udało się przy użyciu łokci przebić do nory w suterenie – całe to zamieszanie sprawiło, że część śladów została bezpowrotnie zatarta. Jędrzek Klimuszko uratował jednak przed zabrudzeniem list Babińskiego, a doktor Ziemkiewicz szybko wypędził wszystkich z mieszkania.

Piątek, szczęśliwy, że może wyjść na świeże powietrze (smród z kominów, zapach smoły i węglowy smog wydawały mu się balsamem), zaczął wypytywać sąsiadów, kto mieszkał w suterenie. Okazało się, że był to młody robotnik, który kilka miesięcy temu stracił pracę w fabryce wód gazowych Szpilmana. Nazywał się Piotr Gancarz. Miał dwadzieścia trzy lata. „Od czasu jak go wywalili, zaczął się staczać. Pił i w ogóle”.

Starszy przodownik bardzo chciał, aby list Babińskiego zawierał przyznanie się do winy, ale kiedy je dostał, od razu przestał w nie wierzyć. Gdyby to od niego zależało, z rozkoszą zamknąłby sprawę nawet na podstawie tak niewiarygodnego wyznania („I niech się oni wszyscy nawzajem pozabijają!”), ewidentnie pisanego z pistoletem przyłożonym do skroni, wiedział jednak, że taki na przykład doktor Ziemkiewicz nigdy by mu tego nie wybaczył.

– Nie wychodził! Babiński nie wychodził przez cały wieczór do toalety, daję za to głowę – zarzekała się przodownik Stanisława Woźniak. – Byłam przy nim przez cały czas, sama zapewniam mu najlepsze alibi! A nie przepadam za tym bydlakiem. Owszem, przyznaję, myślał, że jestem pijana, i ukradł mi złotą zapalniczkę, ale siedział cały czas na sali!

– Boże, Stacha, ja bym się bał ukraść ci cokolwiek... – powiedział Piątek.

– Toteż szybko oddał! – zaśmiała się przodownik Woźniak

– Jak żyję, nie widziałem nic bardziej szytego grubymi nićmi. – Mazanek skrzywił się i spojrzał tęsknie na Piątka. On też z rozkoszą zamknąłby sprawę, gdyby tylko morderca wykazał choć odrobinę więcej daru przekonywania i talentu literackiego oraz wiedzy psychologicznej. Jego mina jasno mówiła: nie sposób potraktować tego poważnie, żegnaj, Gastronomio!

– A dużo pan w ogóle w życiu widziałeś? – zaatakował go natychmiast drugi przystojniak, młody pomocnik doktora Ziemkiewicza, Stefan Janicki.

– A pan tu właściwie z jakiej racji siedzisz? – nastroszył się Mazanek. – Pan nie powinien aby myć teraz szlauchem trupów?

– Zamknij się – syknął do Janickiego jego szef.

– Ależ ucisz pan tych kretynów! – Przodownik Woźniak bywała subtelna i kobieca, jedynie kiedy udawała hrabiny, a i to wychodziło jej tak sobie.

– Za przeproszeniem szanownej pani – nastroszyli się jednocześnie Mazanek i Janicki, co trochę ich do siebie zbliżyło.

– Cicho! – krzyknął Piątek. – Zaraz obaj wyjdziecie! – Wstał i przeszedł się po sali. – Poniekąd nam to pasuje. Niech morderca myśli, że daliśmy się przekonać co

do winy Babińskiego. Przynajmniej przestanie zabijać. Na jakiś czas.

– A dlaczego? – zapytał Stasiek Kawczak.

Wszyscy spojrzeli po sobie i westchnęli. Przodownik Woźniak mruknęła pod nosem: „Jeszcze tego kretyna tu brakowało!”. Wielki jak piec i głupi jak stodoła Kawczak został niestety oddelegowany do ich zespołu w charakterze „posiłków”.

– Przynajmniej więc będzie spokój i przestanie zabijać. Wyjaśnienie dla kolegi Kawczaka: jeśli ktoś zwał już winę za serię zabójstw na kogoś innego i zmusił go do samobójstwa oraz udało mu się przekonać policję, że to nie on, nie powinien dalej zabijać, bo jeżeli kogoś zabije, to się domyślimy, że to nie Babiński. Babiński nie żyje, czyli morderstwa muszą ustać.

Śmiech na sali. Najgłośniej śmiał się Janicki. Kawczak przyjął wyjaśnienie z godnością i zaczął coś notować w zeszyciku. Piątek odczekał, aż w pokoju zapanuje spokój.

– Kontynuuję. Moja koncepcja jest taka, że Babiński musiał zginąć, ponieważ zbliżyliśmy się do jakiegoś tropu, który dla mordercy jest niewygodny. Chciał jak najszybciej uciszyć dochodzenie. Babiński podczas ostatniej naszej rozmowy bardzo się przeraził w dwóch miejscach. Szczególnie zaś, gdy wyrwało mu się o cyrku. Moi panowie!

– I panie... – mruknęła pod nosem przodownik Woźniak, pierwsza sufrażystka Drugiej Rzeczypospolitej.

– Moi panowie i panie! Pora sprawdzić trop cyrkowy. Mamy na jakiś czas spokój z zabójstwami, dopóki morderca nie zrozumie, że nic nie wskórał, zrzucając winę na Babińskiego. Powinniśmy ogłosić w prasie, że morderca został odnaleziony i okazał się nim Babiński – degenerat, pederasta i złodziej. A my tymczasem po cichu... Panowie! Czas na cyrk. Pozyskaliśmy wczoraj z kolegą Mazankiem młodego współpracownika...

– Hm, tak... Młodego współpracownika... – mruknął niewyraźnie Mazanek.

Zbigniew Ziemkiewicz podrapał się za uchem i poprosił o głos.

„Czyli on już wie o Młodym – pomyślał Piątek i spojrzął na Mazanka. – Przed nim się nic nie ukryje”.

– Pozwól, Adolfie, że powiem dwa słowa o dotychczasowej pracy zespołu nad sprawą. Obserwuję uważnie jego poczynania i muszę przyznać, że przeraża mnie nasza nieudolność. O mały włos, a w ogóle nie zdążyłbyś przesłuchać Babińskiego, tak z tym zwlekałeś.

– A jakieś propozycje konstruktywne, Zbyszku?

– Przy sprawach morderców wielokrotnych, o których głośno w Stanach Zjednoczonych, kiedy mamy do czynienia z zabójcą więcej niż jednej osoby, należy znaleźć słabe ogniwo w łańcuchu. Nie mówił ci tego ten twój guru z Warszawy, ów Krzysztof Pawełczyk? Jeżeli udowodnimy, że w jednym przypadku mordercą jest konkretna osoba, będziemy mogli łatwiej znaleźć dowody na jego udział w innych zabójstwach. Poszukajmy więc najprostszej z naszych spraw. Taką wydaje mi się sprawa zabójstwa Stanisława Legutki. Nawet jeśli ta babcia klozetowa opuściła w tym czasie swoje stanowisko ze znanych tylko sobie powodów, spójrzcie... – Stary patolog podszedł do tablicy i zaczął rysować kredą schemat holu w To i Owo. Brak dwóch palców w ogóle mu w tym nie przeszkadzał. – Spójrzcie, panowie: tu się wychodzi z sali, w holu mamy drzwi do dwóch toalet, naprzeciwko nich siedzi i dosłownie wlepia w nie oczy szatniarz Alfred Kawczak. On też gdzieś wyszedł? Zaraz obok, przy wyjściu, stoi wykidajło Henryk... – doktor zaczął szukać w papierach – ...Ostoja, często kręci się tu też właściciel lokalu, Samuel Goldbaum, aby witać i żegnać co znacniejszych gości. Ponadto ustaliliśmy, że w krytycznej chwili zbierała się już do domu i stała przy kontuarze szatni – Ziemkiewicz oznaczył miejsce krzyżykiem – niejaka Lodzia Magnum, dziwka i „królowa życia”. Na dodatek nie sama, ale z klientem. Kto ich przesłuchał?

Na sali panowała cisza, wszyscy skrywali się za gęstym dymem.

– Chyba... Nikt? – odezwał się nagle Staszek Kawczak z dumą odkrywcy Ameryki.

Kiedy przebrzmiał śmiech, przodownik Stanisława Woźniak mruknęła tylko:

– Właśnie. Za dużo tych spraw. Skaczemy z jednej na drugą i żadnej nie badamy porządnie. Choć ta cała Lodzia Magnum to ciężki świadek i z glinami nie gada z zasady, a „w krytycznym momencie” ledwo trzymała się na nogach, tak miała w czubie. Dajcie ją mnie. Bynajmniej nie palę się do rozmowy z tym kurwiszczem, ale wy sobie z nią nie poradzicie.

– W tych warunkach – kontynuował Ziemkiewicz – wejść do męskiej toalety niezauważonym powinno być niemożliwe. A ty, Adolfie, latasz od sprawy do sprawy jak kot z pęcherzem: tu skubniesz, tam podfruniesz jak gołąb, któremu za dużo nasypali, zamiast każdą z nich rozwiązywać zupełnie technicznie. O ileż łatwiej ustalić, kto zabił Legutkę, od tego, kto zabił Cieślaka. Tam nie znamy terminu śmierci nawet z dokładnością co do dnia, ponieważ natleniona hemoglobina i smugi dyfuzyjne... Zresztą nieważne. Wszystko jest w raporcie. Nie możemy, i już.

– Dalej: zawierasz podejrzane znajomości z, nie obraż się, gówniarzami i wprowadzasz ich do śledztwa!

Gdy doktor Ziemkiewicz umilkł, w sali odpraw nastąpiła wielka cisza. Tylko Mazanek z upojeniem powtórzył pod nosem:

– To kurwiszcze Lodzia Magnum.

Janicki zachichotał. Słysząc było kłapanie końskich kopyt na bruku za oknem.

Piątek wstał.

– Już odpowiadam. Kwestia cyrku wypłynęła dwa razy: raz podczas przesłuchania Babińskiemu nieopatrznie się wymknęło (co go bardzo przeraziło), że Władimir załatwiał im bandytów z cyrku. Kiedy go o to zapytałem, mocno się zmieszał i próbował się wycofać. Drugi raz: niejaki Sarna Stefan, syn stróża, w dniu zabójstwa Witalisa Karwowskiego otrzymał od nieznanego osobnika list do przekazania mecenasowi Karwowskiemu. Na kopercie ponoć było napisane słowo PIĄTEK. Listu tego mały nie dostarczył, bo Karwowski już nie żył, więc mu nie otworzył. A chłopak miał co innego w głowie. Ponieważ dostał od faceta

właśnie brakującą mu na bilet sumę pięćdziesięciu groszy, zatem od razu poleciał do cyrku. Tam zaś stał się ofiarą eksperymentu hipnotycznego niejakiego oszusta z Wilna podającego się za jasnowiedza Władzia Zwirlicza. Po wizycie w cyrku mały już nigdy listu nie zobaczył, najprawdopodobniej został mu skradziony w czasie seansu. To jedna rzecz. Druga to nagłe wypłynięcie Władymyra. Dotąd był tylko naszym agentem, wcześniej pracował dla carskiej ochrony, teraz nagle się okazuje, że tkwi w tej sprawie po same uszy. A przynajmniej tak wynika z „listu pożegnalnego” Babińskiego. Że bandytów narajał im Władymyr. Zresztą sam mi to powiedział podczas przesłuchania. Ponieważ musimy brać pod uwagę zemstę któregoś z tych „bandytów” narajanych Babińskiemu, temu hrabiemu i innym przez Władymyra, musimy dotrzeć do ich „chłopaków”. A coś mi mówi, że trafimy na nich w cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld. Czy to jasne?

– Czy ktoś przesłuchał hrabiego Aleksandra Druckiego-Lubeckiego?

Nikt nie odpowiedział. Hrabia był ważną figurą w mieście, zasiadał w radzie miejskiej, prezesował towarzystwu dobroczynności i działał w Związku Strzeleckim. Pójść do takiego ważniaka i pytać go o jego stosunki z bandytami?

– Ja mogę go przesłuchać... – odezwał się nagle Stasiek Kawczak. – Już ja z niego wy...

– Nie! – krzyknęli wszyscy jak oparzeni.

– Ja do niego pojedę do Korzan – oznajmił Piątek, po czym wyjął z tylnej kieszeni grzebień i się przeczesał. Reszta parsknęła śmiechem.

„Czarna seria krwawych zbrodni w mieście N*** rozwiązana!”

„Kurjer Czerwony”!

„Kuurr Czeeeeer!”

„Taniec śmierci! Kto z nim zatańczył tango, ten ginął!”

„Piękny jak Apollo morderca znaleziony upieczony w piecu!”

„Tancerz zatańczył ostatnie tango!”

„Kurrr Czeeeeer! Czarna seria...”

Mały Ignac zachrypnął zupełnie i energicznie zatarł ręce w czarnych rękawiczkach bez palców, zrobionych szydełkiem przez jego mamę. Niby tak było wygodniej, ale w palce zimno. Jak jednak by wyczuwał, gdzie kończy się jedna gazeta, a zaczyna druga ze stosu, który dźwigał już od paru godzin? Dziś schodzą przynajmniej jak świeże bułeczki, które – jeszcze ciepłe – kupił sobie w piekarni u Hoppego i szybko spałaszował w bramie. Na jakiś czas to go rozgrzało, ale teraz znowu marzł, a na dodatek całkiem stracił głos! Najpierw zaczął chrypieć i może gdyby wtedy przestał na siłę wywrzaskiwać te tytuły o schwytaniu maniaka, nie doszłoby do katastrofy. Bo głos u gazeciarza jest najważniejszy, jak, nie przymierzając, u operowego śpiewaka. Nagle Ignac poczuł w gardle ostre ukłucie, jednocześnie łzy napłynęły mu do oczu i koniec. W jego rewirze natychmiast pojawili się inni gazeciarze, krzyczący głośniejszy od niego. Chociaż też było słyhać, że ciągną już ostatkiem sił. Niektórzy wyglądali na dziesięć lat i pewnie rzeczywiście więcej nie mieli. Ignac prawie skończył czternaście, a wyglądał na piętnaście i czuł wobec nich głęboką pogardę. Często byli boso, ale nigdy bez kaszkietu lub czarnego beretu. Starsi mieli solidne ubrania i nawet rowery. Niektórzy, co sprytniejsi,

wypisali sobie wiadomość dnia (WIELOKROTNY RZEŹNIK Z N*** NIE ŻYJE!!!) na olbrzymich planszach. Ignac nie mógł sobie darować, że też na to nie wpadł. Teraz plansza krzyczałaby za niego.

– Straszny zboczeniec w samych damskich podwiązkiach upiekł i zjadł młodego robotnika! – wrzeszczeli ci z chłopców, którzy jeszcze mieli głos. Czasem podawali wersję odwrotną: że młody robotnik upiekł i zjadł strasznego zboczeńca, po czym wypluł damskie pończochy i buciki na wysokich obcasach. Kiedy obok przechodziły panie, podkreślali urodę mordercy i niszczące działanie płomieni, któremu owo piękno musiało się w końcu oprzeć. Pismaki z gazet mylili w swoich artykułach sprawę Kucharza ze sprawą Tancerza. Wychodziło na to, że to Tancerz zjadał swoje ofiary, ale ostatnia z nich upiekła go sobie jak tłustą gąskę i schrupała ze smakiem. Trudno się dziwić, że mały Ignac miał w głowie kompletny zamęt i wykrzykiwał najrozmaitsze wersje wypadków, zgodnie z własnym natchnieniem.

Październik 1930

Dyrektor miejskiej operetki, Zenon Malinowski, siedział w trzecim rzędzie na pustej widowni i z przerażeniem słuchał, jak Spluwa katuje arię Boniego:

Dosyć, basta, nigdy więcej, finisz, kropka, szlus...

Proszę wszelką damską płęć wziąć ode mnie precz!

Malinowski jak nikt zdawał sobie sprawę, że operetka jest miejscem ze wszech miar nieszczerym. Miejscem, w którym starzy, grubi homoseksualiści grają role młodych, dziarskich żołnierzy i śpiewają: „Cóż bez dziewczątek wart jest świat?”. Jest miejscem, w którym ci panowie wyznają swą nieszczera miłość „niewinnym dziewczątkom” granym przez podstarzałe, dobrze odżywione golonką z musztardą i piwem primadonny oraz przez uprawiające niemal jawną prostytutkę pośledniejsze aktorki. Światem zaludnionym przez hrabiny i baronów na co dzień mieszkających w oficynach bez bieżącej wody i biegających do wychodka w brudnym podwórku. Światem, który z bliska, na scenie, ukazywał cały swój fałsz: makijaże z brwiami namalowanymi gdzieś na czole i ustami zachodzącymi na nos, z dorysowanymi na powiekach rzęsami, z pierścionkami o plastikowych „brylantowych” oczkach. Lecz nawet dyrektor miejskiej operetki, Zenon Malinowski, człowiek od lat otrząskany z fałszem, nie potrafił znieść na scenie Cieślaka w roli Boniego. Po prostu bolały go zęby, gdy na to patrzył. Oto na krótkich nóżkach osadzony był wydatny brzuszek, a nalana twarz układała się w zalotne minki. Wyskubane brwi żyły własnym życiem...

Za stary i za gruby na Boniego! Co powie na to publiczność na premierze? Za bardzo przegrywa, robi miny, zbyt się wczuwa! To powinien być chłodny drań! O piętnaście lat młodszy i o co najmniej trzydzieści kilo lżejszy! Ktoś taki jak mój Staszek, piękny i młody Stanisław Miłoszycki. A na dodatek... Przecież to nie jest w ogóle aria na tenor, tylko na baryton... Oczywiście przepisaliśmy ją na tenor, lecz to nie brzmi! Ale co robić? Co robić? Nie dam mu tej roli, to mnie zniszczy! A jak pozwolę mu wystąpić, to zniszczę tylko reputację teatru. Krzywoszewski nie pominie w recenzji najmniejszego uchybienia, toż on już dziś się cieszy na tę masakrę, już prasuje biały gors do fraka na premierę! Dobrze, niech zniszczą teatr! Od jednej złej premiery mury nie runą. Ale potem problem Cieślaka będzie trzeba rozwiązać definitywnie! A właściwie dlaczego potem? Nie lepiej przedtem? Staszek musi w tym pomóc. Przecież czeka na tę rolę od lat!

Malinowski zaklaskał w ręce. Orkiestra natychmiast umilkła.

– Panie Mieczysławie, czy musi pan tak wywracać oczami na wszystkie strony, kiedy pan śpiewa? Osa panu lata wokół głowy? Co pan jesteś? Primabalerina, która ma focha? Halka pan jesteś czy Boni? Panie Cieślak, jeszcze raz, od początku, i szybciej, na Boga, tempo! Pan mi z tego robisz operę... I tylko proszę: bez łez! Pan masz być młodym amantem, który buńczucznie droczy się z paniami... No i chyba nie na sto procent rzucasz pan te baby, nie na sto procent, ja chcę tam usłyszeć osiemdziesiąt dziewięć procent.

Nawet orkiestra się zaśmiała na wiadomość, że Cieślak „rzuca baby”. „Ludzie na widowni będą chichotać” – pomyślał przerażony Malinowski.

– No nie no, kurwa, Jontek!

„Mój Boże... – Dyrektor operetki zamyślił się. – Każdy, kto widziałby, co on wyprawiał tej nocy z atletami z cyrku, od razu by pojął, że on po prostu nie może zagrać Boniego!”

Krowa nigdy nie przemieni się w młodego wilczka, to przeczy prawom biologii. Nie, on nie może zaśpiewać tej arii, trzeba coś zrobić, żeby temu zapobiec! Ale mnie szantażuje, co robić?

Zabić go, oczywiście, to jedyne wyjście. Zlecić zabójstwo tym samym atletom, którzy wczoraj... Zresztą z tym już koniec, koniec! Popłuczyny, margines społeczny, męty! O tak, to nie jest miejsce dla niego, dyrektora miejskiej operetki. Co on wyprawia?

– Panie Cieślak, mucha panu lata koło twarzy, że pan tak wywracasz oczami na wszystkie strony?

Nie, jego trzeba zabić. Jak on mnie nie zniszczy, to zniszczy mnie Krzywoszewski! W operze pewnie to by przeszło, tam jest taki burdel, wszystko tylko przez łóżko, ale u mnie pilnuje się poziomu!

– Stop! Stop! Piętnaście minut przerwy. Panie Cieślak, będzie pan to śpiewał z woreczkiem grochu na głowie. Żebyś mi pan nie obracał tak tą głową na wszystkie strony jak batyskaf!

Tak. Jego trzeba zabić.

W tym momencie na widowni pojawił się około trzydziestoletni przepiękny blondyn w garniturze. Malinowski czuł, że już od jakiegoś czasu przysłuchuje się strofowaniu Cieślaka, który zresztą nic sobie z tego nie robił. Blondyn miał łzy w oczach, widząc, jak katuje się tu jego rolę. Bo to właśnie on miał śpiewać Boniego, zanim Cieślak chwycił się szantażu. Mężczyzna ten nazywał się Stanisław Miłoszycki. Malinowski oddałby wszystko, aby móc powierzyć mu rolę Boniego.

Kiedy usiedli w rzędach w czasie przerwy, Malinowski rozluźnił krawat, a Miłoszycki popatrzył na niego ze współczuciem. Potem przekazali sobie oczami jakiś dla siebie tylko zrozumiały znak.

Dwudziestego dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego roku wypadały czterdzieste dziewiąte urodziny starszego przodownika Adolfa Piątka. Tego dnia jubilat obudził się bardzo wcześnie w swoim mieszkaniu na Stawowej i długo leżał w łóżku obok pochrapującej żony Stefcia, która zażywała weronal i dzięki temu spała jak niemowlę. Leżał i gapił się w pełen zacieków sufit, zastanawiając się, czy warto go odmalować. Doszedł do wniosku, że spokojnie można z tym poczekać. W końcu wstała i Stefcia, przypomniała sobie, co to za dzień, pocałowała męża w nieogolony policzek i poszła do kuchni nastawić prymus. Do młynka wrzuciła garść ziaren arabiki, zamknęła szufladkę i zmeła, kręcąc korbką. Nie za drobno. Zawartość szufladki wsypała do kawiarki i postawiła ją na blasze. Następnie Stefania Piątek przystąpiła do wyrobu ulubionego deseru swojego męża. Rozbiła sześć jaj nabytych na bazarze u jednej baby ze wsi, która miała zawsze najświeższe i najlepsze, starannie oddzieliła żółtka, odlewając białka do osobnej salaterki (u pani Stefanii nic się nie marnowało), po czym małe i blade jak sześć zimowych słońc żółtka wylądowały w filiżance z Ćmielowa. Teraz wsypała cukier waniliowy, dużo, bo dobrze znała smak swojego męża, i pełne pięć minut „merdała” łyżeczką. Inne rzeczy się mieszało, ale kogel-mogel należało merdać. Różnica nie do pojęcia dla kogoś, kto nie zna się na prawdziwej domowej kuchni.

Tymczasem z piekarni Paula Hoppego wróciła zarumieniona od mrozu służąca Mańka i przyniosła świeże, pachnące rogaliki. Jeszcze ciepłe. Wraz z kawą i osełką masła wylądowały na tacy i zostały zaniesione jubilatowi do łóżka. Obok nich czerwieniła się różana konfitura kupowana u sióstr zakonnych. Piątkowi chciało się palić, ale papieros przed śniadaniem był w jego domu rzeczą absolutnie

zabronioną. Popijał więc świeżo zmieloną i zaparzoną kawą ciepłe rogaliki, na które nakładał nożykiem masło. Tymczasem Stefcia wniosła wielki kogel-mogel. Potem w kuchni nastąpiła podejrzana cisza przerywana szeptami jak gdyby potajemnej narady. W końcu do sypialni z uroczystymi minami wparadowały żona wraz ze służącą, stanęły w drzwiach i zaintonowały *Sto lat*, wręczając mu jednocześnie niewielki, ale starannie opakowany pakiecik. Piątka deprymowało, że tak się na niego gapiły, kiedy go rozpakowywał, ale tradycji musiało stać się zadość. Paczka zawierała – jak co roku – krawat i skarpety, ściśle dobrane do siebie kolorystycznie (kremowe) i z tego powodu doskonale pasujące do trzech nieśmiertelnych brązowych garniturów Piątka. Jubilat wydał z siebie coroczny rytualny okrzyk zachwyty, a Stefcia jak co roku zapytała: „Na pewno ci się podobają? Przydadzą się? Praktyczne, prawda? Pomyślałam sobie: to się zawsze przyda”. Kiedy gorliwie przytakiwał, panie zrobiły jeszcze bardziej tajemniczą minę i posapując, z trudem wniosły do pokoju duże pudło, bardzo dokładnie opakowane. To już było coś nowego. Postawiły je na stoliku, z którego wcześniej Mańka zdjęła doniczkę z odwiecznym geranium i szydełkową serwetę. Stefcia znikła w kuchni i wróciła z nożem, który tryumfalnie wręczyła Piątkowi. Ten już zaczynał mieć nadzieję... Łakomie rozdzierał papier, pod którym ukazało się fabryczne pudło.

– No nie! – Rzucił się w ramiona żony. – Telefunken! Wreszcie! Radio! Świat w naszym domu! Nie trzeba było...

– Żeby tylko gadało! – powiedziała Mańka z powątpiewaniem, bo nie wierzyła tak do końca w te cuda techniki i jak na jej gust to musiałyby się ktoś ukryć w takim pudle, żeby ono mogło gadać.

Radości nie było końca. Piątek podłączył wielką, ciężką skrzynię do kontaktu, żeby jak najszybciej sprawdzić, czy „gada”. Od razu trafili na koncert fortepianowy (Stefcia z Mańką zaczęły tańczyć ze sobą) i przy jego wtórze jubilat ubrał się w jeden ze swoich brązowych garniturów, do którego nałożył świeżą koszulę, nowy krawat i skarpety. Postanowił, że – jak zwykle w wielkie święta – idąc do pracy,

ogoli się u golarza na Dworcu Petersburskim, który przy okazji przytnie mu też włosy. Dworzec miał po drodze do komendy.

Golarz pan Wincenty przywitał Piątka bardzo uniżenie, „ścielił się do nóżek szanownego pana pulicaja”, „poczytywał sobie za zaszczyt”, wypytywał o zdrówko „szanownej połowicy” i zapraszał ją najserdeczniej na najnowszą parową ondulację systemem Vapopul, manicure i „masaż elektryczny”. Pokazał nawet zdjęcia podłączonej do prądu kobiety z mnóstwem przewodów przyczepionych do włosów, na których sam widok Piątka przeszedł elektryczny dreszcz.

Golarz Wincenty był jegomościem koło sześćdziesiątki, całkiem łysym, z – jak to nazywał Piątek – „błyszczącą gładką”, w wielkich rogowych okularach, w których wyglądał jak zdziwiona czy przestraszona czymś sowa, i w białym, nieco przybrudzonym fartuchu nałożonym na garnitur i sięgającym mu aż do wypastowanych na połysk butów. Nowy krawat Piątka został zdjęty, koszula mocno poluźniona, głowa odchyłona na regulowany zagłówek, grdyka i większość wymoczkowatego oblicza namydlone pędzlem z włosia borsuka. W ręku mistrza golarskiego błysnęła brzytwa, którą ten ostrzył teraz na skórzanym pasie z bydlęcej skóry.

W lustrze Piątek widział ludzi spieszących na pociągi za przeszklonymi drzwiami, bagażowych, damy, które nawet nie dotykały swoich waliz i pudeł na kapelusze. Zwykle nie słuchał wartkiego potoku słów wydobywających się z ust pana Wincentego. Wolał patrzeć na leżącą na stoliku pod lustrem przypominającą nieoszlifowany diament kostkę ałunu, mydło do golenia z Aleppo, brzytwy równo ułożone na szmatce, wykonane z doskonałej stali damasceńskiej, słoiczek z różową pomadą, która mogłaby zainteresować Mazanka i Janickiego. Jednak golarz Wincenty miał pewną zadziwiającą cechę: zwykle wiedział o prowadzonych przez Piątka sprawach tyle samo, jeśli nie więcej, co cały policyjny zespół. Jak to się działo – próżno zastanawiał się nad tym wiele razy z Mazankiem. Golarz był ich odwiecznym informatorem i sam musiał mieć swojego informatora w policji.

Najpierw zachwalał brzytwę, którą golił Piątek. Że, panie szanowny, nie z żadnej damasceńskiej, tylko ze stali lotniczej. Co najmniej dwa oczka wyżej. Tak jak statek „idzie na żyletki”, tak samoloty powinny „iść na brzytwy”. Ale nie idą, więc trzeba mieć znajomości. Albo czekać, aż taki samolot sam spadnie, wtedy można sobie oderwać kawałek, otrzeć o marynarkę, oskrobać z resztek trupa pilota, no i wtedy, panie kochany... Pełen luksus. Brzytew ręcznie robiona!

Piątek spojrział z pewnym powątpiewaniem na tak zareklamowane narzędzie. Pomyślał, że Cieślak mógł zostać zabity brzytwą. Bardzo ostrą i bardzo dobrą, może ze stali lotniczej...

Balwierz zmoczył twarz policjanta i mydło leżące w miseczce.

– Główkę upraszam się bardziej w lewo odchylić. Siwe już widzę, mieliście tam teraz trochę nerwów ostatnio, co? Ale chyba już wszystko dobrze się skończyło? Gazety nie mogą się nachwalić naszej dzielnej policji. Wąsik i włosy pozwolę sobie podczernić, jeśli szanowny pan policmajster sobie winszuje. Pan nie przytakuje głową, bo zatnę. Ja wszystko wiem, jak pytam, to tylko tak sam do siebie. Oj, i znowu pan szanowny raczył farbować włosy osobiście, a tak odradzałem! Efektik jest taki, że pan szanowny raczy mieć włosy z odcieniem granatu, co w naturze nie występuje... Proszę nie kupować czernidła u Fajgi Gutnajer bo to zwykły, z przeproszeniem uszu, szuwaks do butów!

Piątek bardzo chciał potaknąć, ale zrezygnował w obawie o swoje życie. Ale golarz był samowystarczalny jak radio.

– Powiedz mi pan, panie Piątek, co to za czasy są? Czy to za cara bywało? No, różnie bywało, oczywiście, nie można powiedzieć, że nie, była ta sprawa markizy de... Jak jej tam było? Tej oszustki? Nie mów pan, bo gardło poderżnę, he, he. Nieistotne w tym momencie. Czy choćby ta sprawa Kucharza. Co to będzie za dziesięć, za dwadzieścia lat, jak te zbrodnie będą tak potworniały? Baczki zostawiam według najnowszych wzorów z żurnali mód paryskich, do wglądu na stoliku przy fotelu w poczekalni, „Die Dame”, „Elegante Welt”. Jakby pan czegoś potrzebował, to walić do mnie jak w dym, pan wie, panie Piątek, że ja policji zawsze dono... znaczy pomagałem, i za cara, i teraz. Fryzjer niejedno wie. Ponoć

te przeżycia ludzkie we włosach się odkładają, wszystko w nich zostaje i łąduje u mnie, a ja zamiatam i ot, wywalam. Chyba bym zwariował, gdybym całą tą gorzką wiedzę jeszcze kolekcjonował, jak niektórzy, co żadnemu włoskowi nie przepuszczą, wszystko zmiatają do wora i na peruki. Oj, to jest koszula Dejaniry, znaczy puszka Pandory, taki wór. Wszystkie te nerwy z siwych włosów, wszystkie pretensje z farbowanych, wszystko by się na pana wylało. Apropost! Będziemy czernić wąs i ośmielam się nałożyć nieco brylantyny szanownemu panu, tudzież szanowne oblicze z lekka przypudruję tokalonem. Brwi troszeczkę skrócę, bo brwi rosna całe życie i w pewnym momencie po prostu są już za długie, co wiek znamionuje, po co? Oczy proszę zamknąć. I po bólu, od razu dziesięć lat mniej! Z uszu włosy wytniemy elegancko.

Panie Piątek, kochany, ja tylko jedno panu szepnę do uszka: zajrzyj pan do burdelu obok hotelu Angletterre. Zapytaj pan tam madame Visoansky o tego z Poczty i Telegrafów i tego mecenasa. Zdjęcia pan pokaż madame, od razu panu powie, z kim, co, za ile. O, madame to chodząca kartoteka, ponoć ma swoją szafę pancerną i każdemu klientowi od trzydziestu lat, choćby tylko raz się pojawił i nigdy nie wrócił, zakłada teczkę... Z przedziałeczkiem na środku czeszę, zgodnie z najnowszym tryndem de Pari. A tu niech pan spojrzy: oryginalna woda kolońska prosto z prawdziwej Kolonii, nie żadna przemysławka. Skrapiam szanowne oblicze, uwaga – może zapiec. No i ta madame Visoansky wszystko tam ma zapisane: wiek, gdzie pracuje, jakie pali papierosy, preferencje, proszę pana, seksualne, ile płaci, co opowiada dziewczynkom w łóżku... Też powinienem tak robić: co klient, toteczka. Tylko że ja mam teczki tu! – Postukał się w „łysą głacę”. – A brzytew taką, jakiej dziś używałem, ze stali lotniczej, może pan szanowny u mnie nabyć za dziesięć złotych, groszy pięćdziesiąt. Czeka się około dziesięciu dni, bo to robiona na zamówienie, a te samoloty, zanim który spadnie... no ale dopiero pozna pan, co to znaczy mieć prawdziwą brzytew.

Wypomadowany niczym Mazanek czy Janicki opuścił Piątek gnącego się w ukłonach golarza, któremu wsunął do kieszeni fartucha spory napiwek, i dalej szedł do pracy, zatrzymując się czasem przy wystawach i oglądając skórzane rękawiczki oraz inne ewentualne prezenty, które mógłby sobie kupić „sam od siebie”. Nie spieszył się. Usiadł na piętnaście minut w małej żydowskiej kawiarence należącej do Ester Szrajer, spałaszował trzy bajgle, wypił dwie pyszne kawy w białej filizance – dokładne przeciwieństwo wstrętnej policyjnej lury z odpraw – a na koniec schrupał jeszcze jednego ciepłego bajgla. Rozkoszując się kawą, przeglądał „Gazetę Polską” na wielkim drewnianym kiju. Zgodnie z jego dyrektywą we wszystkich gazetach wychwalano pod niebiosa policję z miasta N*** za złapanie wielokrotnego mordercy, Kucharza i Tancerza. Niezasłużone pochwały, adresowane głównie do pozostającego na wolności zabójcy, oczywiście nie napawały Piątka dumą. Wszędzie na pierwszych stronach widniały zdjęcia Babińskiego, na których wyglądał jak gwiazda filmowa. Przystojny, cholera, był, oj, przystojny! Lalunia. Dziennikarze powyciągali spod ziemi jakieś zupełnie nieznane Piątkowi historie z życia Baby. Ponoć zanim „zaopiekował się” nim Cieślak, Babiński po prostu włóczył się w okolicach Dworca Petersburskiego jako zwykła męska prostytutka, pił i ćpał, a często nie miał gdzie spać. Jeden z artykułów nosił tytuł *Zatańczyć tango i zginąć...* Zamieszczono też zdjęcia wszystkich ofiar, przy czym za jedną z nich uznano także Karolę Martyniuk, mimo że nie znaleziono jej ciała, więc oficjalnie była tylko „zaginiona”. Niezły bajzel. Wiele gazet postanowiło podkreślić jeszcze tą historię. Ponieważ Babińskiemu przypadła rola zarówno Kucharza, jak i Tancerza, zwęglenie zwłok robotnika

przedstawiono jako początek uczty. Że niby już miał je sobie upiec i zjeść, ale obudziło się w nim sumienie i sam się zastrzelił.

Wzmocniony cukrem, kofeiną i niezasłużonymi pochwałami Piątek poszedł dalej. Przechodził właśnie koło hotelu Angletterre i spojrzął w szczelnie zasłonięte bordowymi storami okna burdelu, zwanego w mieście Zlewem Centralnym. Na pewno nie był to elegancki puff dla wytwornej publiki. Obsługiwał wszystkich: robotników, chłopów, którzy przyjechali do miasta w interesach, zarządców majątków, żołnierzy na przepustkach, zwykłą miejską hołotę, rozlicznych facetów żyjących nie wiadomo z czego, których namnożyło się ostatnio w naszym mieście bez liku i którzy wystawali po bramach oraz w okolicach Dworca Petersburskiego, paląc tanie papierosy. Przychodzili tu skąpi i nieczuli w łóżku dorożkarze, którzy nigdy nie zostawiali dziewczynie napiwku, ludzie szorstcy w obyciu, gburowaci i z przyzwyczajenia plujący na podłogę, zalatujący końskim potem i machorką. Przychodzili Żydzi, których tak nie lubił Piątek. Przychodzili pracownicy kolei żelaznej. Ale i lepsza klientela. Zlew obsługiwał wszystkich. Stara madame każdego, kto pojawiał się tu z dwudziestozłotówką i z płonąącą zawartością swojego rozporka, witała uśmiechem rozmytym jak rozwodniony koniak podawany w lokalu i sztucznym jak kwiat w jej butonierce. Madame witała serdecznie i zakładała teczkę. Potem prostytutka, z którą był delikwent, wypełniała znajdującą się w niej ankietę. Imię, nazwisko, wiek, światopogląd (na przykład: komunista), zawód, upodobania seksualne, inne wiadomości przekazane przez klienta. Po kilku dniach dochodziło do tego parę zdjęć zrobionych ukrytym aparatem i – do następnej wizyty –teczka lądowała w archiwum.

Zamiast zacząć odprawę, Piątek przyjął od wszystkich po kolei życzenia i potrójne pocałunki, a następnie zabrał Mazanka (z którym wieczorem zamierzał ucztować) i poszli do cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld na plac Kozłowskiego. O dziewiątej rano wszystko tam wyglądało jak wymarłe. Zapukali do pierwszego lepszego wozu z wystającym kominem, z którego snuł się siwy dym. Na jego ścianach widniały wymalowane lwy, tygrysy i gwiazdki. Do wejścia wiodły trzy dostawiane drewniane schodki. Długo nikt im nie otwierał i kiedy mieli już odejść, drzwi się otworzyły i stanęła w nich wkurzona człekokształtna małpka w krótkich spodenkach i czerwonej czapeczce. Spojrzała na nich z zakłopotaną miną, jakby miała akurat nieposprzątane, podrapała się dwoma palcami w głowę pod czapeczką i znikła we wnętrzu, a na jej miejscu pojawiła się rozespana karlica w papilotach na głowie, dziecięcej koszulce nocnej i z petem w ustach. Jedno jej oko całe zasłonięte było bielmem, drugie spoglądało na nich krzywo.

– Bongo, mówiłam ci, żebyś nie otwierał byle patałachom! – Pogroziła małpce palcem i napiła się wina wprost z butelki.

– Policja kryminalna! – Piątek z Mazankiem okazali odznaki i nie czekając na zaproszenie, weszli do wozu. Musieli się schylić, aby nie uderzyć głowami w sufit. W środku było nagrzane jak w piecu i zalatywało jak w zoo. Wszędzie wisiły zdjęcia z występów oraz inne, z autografami różnych clownów i – jak pomyślał Piątek – „innych pokrętów”. W rozbebeszonym łóżku spał karzeł w czarnej siatce chroniącej fryzurę i w bindzie formującej wąsy. Bongo także wlaźł do ciepłej pościeli i szturchnął go, aby zrobił mu trochę miejsca pod kołdrą uszytą z kolorowych gałganków.

We wnętrzu było niewiele miejsca dla dwóch normalnych rozmiarów mężczyzn. Chcąc nie chcąc, obaj musieli usiąść na łóżku. Małpka spojrzała na nich z wyrzutem, zasłoniła oczy i zaczęła kręcić głową, jakby chciała powiedzieć „nie, nie, nie!”. Karlica przysiadła przy toaletce na czymś, co wyglądało jak odwrócony nocnik. Karzeł zaś uparcie udawał, że śpi, i nawet zaczął nieudolnie chrapać.

Nagle Bongo przysunęła się do Mazanka i czule objęła go od tyłu. Policjant siedział jak skamieniały, bojąc się zrzucić jej łapki. Cierpiał, ale żeby to się skończyło, należałoby najpierw zacząć przesłuchanie. Spojrzał więc błagalnie na Piątka, lecz ten, rozbawiony, udawał, że nie widzi uwieszanej na plecach kolegi i przytulonej do jego szyi małpy.

Starszy przodownik zrobił wreszcie groźną minę i powiedział:

– Co to ma być? Burdel czy przesłuchanie?! Panie kolego, do pana też mówię – zwrócił się do karła, ściągając z niego pościel. – Proszę natychmiast wstać, ubrać się i usiąść jak człowiek. Policja!!!

– Właśnie! I proszę zabrać tą małpę! – dodał Mazanek.

Jednak Piątek celowo udał, że nie dosłyszał jego prośby.

W tym momencie spod kołdry doszło głośne pierdnięcie. Karlica przy toaletce zaczęła się śmiać ochryłym i jakimś niezdrowym śmiechem starej kobiety. To był rechot ropuchy. Tak śmieją się grube stare przekupki w jatkach.

– Proszę o imię i nazwisko – zwrócił się Piątek do karlicy.

– Carmen Dolores de Santiago, a on – wskazała na ubierającego się w miniaturowe spodnie współlokatora – Diego Morro di Cassablanca.

– To jakieś pseudonimy cyrkowe, tak? Proszę o dowód osobisty.

Karlica pogrzebała w kolorowym kufierku i wyjęła tekturową książeczkę zgniętym koloru. To był ten droższy dowód, uprawniający także do podróżowania jak paszport, którego wyrobienie kosztowało sto jeden złotych. Tu już nie było śladu po cyrkowych Cassablankach i innych wodotryskach. Zyta Liebisch, Żydówka, urodzona w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku w Truskawcu koło Drohobycza, wyznania mojżeszowego, zawód: artystka

cyrkowa, włada językiem: niemieckim, jidisz, rosyjskim, czeskim i polskim...
Wzrost: dziewięćdziesiąt pięć centymetrów. Ta...

– Paszport kolegi! Proszę wstać, ubrać się i na razie opuścić barak!

– Razem z tą małpą – dodał szybko Mazanek, bo zwierzę znowu czule go obejmowało i psuło mu misterną fryzurę.

Małpka spojrzała na niego z wyrzutem. Jej nowa miłość siedziała jednak na łóżku nachmurzona jak gradowa chmura. Pomachała mu więc, przesłała pocałunek i pozwoliła się wyprowadzić karłowi, dając znaki ukochanemu, że czeka na niego na zewnątrz i tęskni.

Kiedy już zostali sami, nareszcie mogli przystąpić do przesłuchania. Spisali z dowodu dane Zyty Liebisch i zaczęli.

Przede wszystkim pokazali jej zdjęcia Babińskiego, Cieślaka i innych ofiar. Natychmiast zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek ich widziała, aż jej długie kolczyki w kształcie papug zakołysały się zalotnie. „Trochę za szybko” – pomyślał Piątek. Nawet nie przyjrzała się dobrze fotografiom.

– Proszę się dokładnie przypatrzeć! – polecił. Karlica wzięła ponownie zdjęcia i gapiła się na nie tępo swoim jedynym okiem, jak nieprzygotowany do lekcji uczeń wpatruje się w zadanie na tablicy. Piątek z Mazankiem zrozumieli od razu, że nie będzie łatwo przebić się przez milczenie cyrkowców.

Po paru godzinach byli już tego pewni. Cały cyrk nabrał wody w usta. Po południu zniechęceni przodownicy postanowili przerwać przesłuchania i udać się na tradycyjną ucztę do Gastronomii przy ulicy Kamiennej, tym razem wyjątkowo odświętną z okazji urodzin starszego przodownika. Potem chcieli jeszcze – syci i rozochoceni piwkiem marcowym – zajrzeć do Zlewu Centralnego, aby za radą golarza Wincentego pokazać madame Visoansky parę zdjęć panów: jednego pięknego jak podszewka nieba i paru grubawych, bardziej przeciętnych.

Czerwony na szerokiej twarzy pan Czerwiński witał ich w unizonych ukłonach.

– Michałko właśnie wrócił ze wsi, przywiózł świeżutką dziczyznę z tamtejszych lasów i pól, ach, ta prowincja, palce lizać, tereny nieskażone industrią, polowanie za polowaniem, dziki, kuropatwy, głuszce, obecnie już w formie przetworzonej ręką artysty kulinarnego, ze szczególnym uwzględnieniem kaszaneczki pysznej, a z zająca trzy razy przez maszynkę przemielonego pasztecik cudny, w ustach się rozplływający, a kaczka, a gaska, z winkiem czerwonym primitivo, z buraczkami czerwonymi, z jabłuszkiem we wnętrzu upieczonym, a wątróbeczka drobiowa także z jabłuszkiem, z cebulką...

Zamówili jak zwykle wszystkiego po trochu plus wino czerwone, pasujące do dziczyzny, a kiedy pan Czerwiński się odturlał, spoważnieli.

– Słuchaj, Kaziu, trzeba odnaleźć tą Karolę Martyniuk. Wszczęć jakieś poszukiwania. Dziewczyna znikła już parę dni temu, jest świadkiem nie tylko w sprawie Legutki, prasa już ją uśmierciła, dziś w kawiarni widziałem w gazecie jej zdjęcie wśród ofiar...

– No, przydałoby się... – Mazanek leniwie zapalił brązową cygaretkę.

– A z tego cyrku to my nic nie wyciśniemy. Same niewiniątka.

– Nie przesłuchaliśmy wdowy von Rumpfeld!

– A bo ona dawno nie żyje, nazwa tylko po niej została: cyrk Riviera wdowy von Rumpfeld. To była wdowa po połykaczu ogni, razem ten cyrk założyli pod koniec ubiegłego wieku. A ona zginęła w najdziwniejszy sposób: brała udział w numerze, wchodziła do szafy i na gong magik szafę otwierał, nie ma baby, wszystko zgodnie z planem, a na drugi gong miała wyjść na scenę od strony

widowni... Ale jak raz weszła do tej szafy, tak już jej niczyje oczy więcej nie widziały. Nigdy. Przeszukali cały cyrk, całą dzielnicę, ani śladu po wdowie von Rumpfeld. Wlazła do szafy i znikła... To ci śmierć godna właścicielki cyrku. Może kłamią, może ją zabili i zjedli, bo sam wiesz, co to za towarzystwo ci cyrkowcy. Mają coś z Cyganów, ale przede wszystkim, mój drogi, mają coś, i to dużo, ze światka przestępczego. Sam dziś widziałeś, jak u nich funkcjonuje zasada „nie gadam z glinami”.

– Ten atlas, jak mu tam... – Mazanek spojrzął do notatek – Klaus Ordon. Azaliż nie miał waćpan wrażenia, iż indywiduum owo coś ukrywa?

– Ba! I to jak! Niejeden raz pewnie gościł u Cieślaka!

– A też dzisiaj pomyślałem sobie, tak à propos Cieślaka, dlaczego ten dyrektor operetki, ów cały Malinowski, dał mu nagle główną rolę w *Księżniczce czardasza*? I to Boniego?

– No a co w tym dziwnego? – zapytał Piątek, który nie był melomanem i we wszelkiego rodzaju teatrach natychmiast zapadał w sen tak głęboki, że nie było w stanie go zakłócić nawet poszturchiwanie raz po raz przez żonę Stefcie.

– Rola Boniego nie nadaje się dla podstarzałej, grubawej cioty z tenorem. To jest rola dla młodego, pięknego amanta, i to rola na baryton! Musieli chyba specjalnie dla niego przepisać wszystko na tenor. Dziwne. Warto by pogadać z tym Malinowskim.

– A ty wiesz, że to jest dobry pomysł? – Piątek zanotował sobie w kajeciku. – A co tam u Raszpli?

– Jakiej Raszpli?

– No, tej, co u nich wynajmowały Karola i Ninel? No, tej... Beate Hensel.

– Dorothe... Ojej, nie na czczo, błagam. Ale otóż i nasze specjały! Najemy się, napijemy, potem znowu się najemy i znowu napijemy, potem jeszcze trochę słodkości, potem sobie zapalimy, wypijemy kawę i likier i akurat będzie na tyle późno, żeby się wybrać do Zlewu!

– Żona mnie zabije.

- No, ja myślę. A co dostałeś na urodziny?
- Wyobraź sobie: radio Telefunkena! Nieźle, nie?
- Wspaniale! I co? Gada?

– Gra, Kaziu, gra. Jak wychodziłem z domu, to grało muzykę poważną. Dobrze, że nie tango. Oczywiście Stefcia kupiła je dla siebie. To ona siedzi całymi dniami w domu.

Tymczasem pan Czerwiński podawał już pierwsze mięsiwa. Pięknie zarumienioną kaczkę z buraczkami i pieczonym jabłkiem. Smalec z kromkami chleba tak świeżego, że jeszcze ciepłego, ogórki małosolne, kabanosy z dzika, tatar, zdradliwe jak wiosenne wezbrane rzeki piwo marcowe... Dwa porcelanowe kapsle na drucie odskoczyły z szyjek pękatych butelek z brązowego szkła, wydając cudowny odgłos, na którego dźwięk dwóch policjantów natychmiast zapomniało o dochodzeniu.

- Smacznego, panowie!

Potem przez jakiś czas było słycać tylko mlaskanie i przeżuwanie.

– Wiem, kogo tam trzeba posłać. Małego. Tego Felka. Tylko jak go teraz znaleźć?

– Z tego, co wiem, to on kręci się w okolicach skrzyżowania Kranowej i Kurkowej.

– Niech on tam się do czegoś w tym cyrku zgodzi. Niech wniknie, niech podsłuchuje, bo oni sami z siebie nic nie powiedzą.

- Ano to się go tam pośle... Pyszna kaczka! A ta przyrumieniona skórka!

– Jakże niezwykle doznanie smakowe powoduje przecieranie się w ustach smaku owej kaczki, buraczków z cebulką, pieczonego jabłka i wina primitivo!

– Gdy ziemniaczki piure nieco już czerwone od owych buraczków, a chrupiąca skórka kaczki ostra od przypraw, ja czuję ten las, to pole listopadowe, posępne, o piątej rano, właściwie jeszcze po ciemku, kiedy polowali... Jak z jakiegoś rozmytego obrazu akwarelą szarą, smutną...

– Azaliż po czymś takim cygaretką brązowa, waniliowa, nie przegryzie się dobrze z owymi smakami, a już osobliwe wina?

– Przegryzie, przegryzie, stary zboczeńcu! Jedzenie to taka sama rozpusta jak chędożenie! Tylko syfa się nie złapie i mniej latania!

– Jedzmy więc... Na desery mam ochotę.

– Ale zanim desery, zupki rakowej trzeba by skosztować koniecznie, ko-niecz-nie!

Ober właśnie zbierał ze stołu puste talerze. Zupka rakowa – specjalite delamezą! Czasem też żółwiowa, ale dziś akurat raki świeże, rano łowione w rzeczce czystej jak łąza! A także mule w winie, kawior, a dopiero potem cukry! A na cukry mamy krem mrożony w kandyzowanych w likierze owocach, marcepanowe figurki, smażony w likierze ananas...

– Maestro, nie będziemy się z panem spierali! Prosimy o zupkę rakową, mule i kawior!

– Do muli koniecznie białe wino polecam!

Raki smakowały rzeką.

– Prawdziwe jedzenie – wtrącił zarumieniony Mazanek z pełnymi ustami – musi smakować przyrodą, wśród której je zdobywano. Jesienną, polską, lekko zmrożoną, dziką przyrodą. Lasem, rzeką, powietrzem, polem, łąką... Ja czuję te grzyby, te jesienne ogniska, te kraczące wrony, ten lekko zmarznięty głóg...

– Pan szanowny raczył wypowiedzieć wielkie słowa! – przymilił się Czerwiński. – Wielkie słowa! Nasz renomowany zakład gastronomiczny pozwoli sobie zapisać je na dole karty dań!

Do Zlewu Centralnego wchodziło się z ulicy Długiej, nieopodal hotelu Angleterre. Był to osobno stojący pałacyk z mnóstwem kolumnienek, posągów, zresztą – dość już zniszczony i wołający o remont. Jeśli ten fałszywy splendor zdołał zrobić wrażenie na przybyszu z zapadłej prowincji, to i tak pryskało ono od razu po wejściu do środka.

Przez dławiący zaduch ciężkich jak grzech śmiertelny perfum przebijał tu niestety smrodek szaletu miejskiego – środków dezynfekcji, moczu, spermy i wżartego w liczne dywany i zasłony, zadawnionego jak gruźlica, dymu papierosowego. Ten specyficzny zapaszek czuli tylko ci, co tu przychodzili. Madame i dziewczęta tak nim przesiąkły, że nie zauważały go już wcale. Smrodek ten brał się stąd, że przerób dzienny, a właściwie nocny Zlewu był bardzo duży. Burdel ten stanowił maszynę do odsysania nadmiaru spermy z całego regionu. Szczególnie upodobali go sobie żołnierze z pobliskich koszar, ponieważ było tu najtaniej. Pięćdziesiąt bardzo różnej jakości dziewczyn, kobiet i starszych pań pracowało codziennie od osiemnastej do rana. Madame Visoansky na zamówienie załatwiała też klientom dowolny inny „materiał ludzki”, bez względu na płeć czy wiek. Specjalistą od jego pozyskiwania był cwaniak Alfred. Madame już od dawna kompletnie nie wnikała, co na przykład młody facet widzi w garbatym staruszk, karlicy czy wielkiej jak wieloryb babie obficie owłosionej na całym ciele. Towar po prostu ma być załatwiony za specjalną dopłatą (dopiero przy takich zamówieniach Zlew robił się nagle drogi), a następnie zwrócony żywy i w miarę nieuszkodzony. Zresztą jeśli towar nie wnosił skarg, to jak dla niej, madame, może sobie być nawet cały zakrwawiony. Ponieważ jej wiedza była wielka i poparta pięćdziesięcioletnimi doświadczeniami, rozumiała, że seksualność to nie tylko chędożenie, ale też bicie

towaru deską z gwoździami po głowie, smarowanie się miodem, kopanie, leżenie w szczytach na brudnych kafelkach w ubikacji i tysiące innych dziwnych czynności, jakie tylko klient jest w stanie sobie wymyślić. Dopiero kiedy życiu delikwenta (lub towaru) zaczynało grozić niebezpieczeństwo (jak temu, co chciał zostać przybity do ściany w pozie Chrystusa na krzyżu i żeby go onanizować!), kurwy alarmowały panią Visoansky i gość wylatywał z wilczym biletem. Jego teczka zostawała w archiwum. Wszystkie inne burdele w mieście, dokładnie tak samo jak Zlew Centralny, należały do żydowskiej mafii, którą rządził Limoniadowy, odwieczny kochanek i współnik burdelmamy. Dlatego niech nikogo nie zmyli taniość Zlewu: madame należała do ludzi bardzo bogatych. Wiedziała, że najwięcej warta ze wszystkiego jest nie ta pięcio- czy dziesięciozłotówka klienta, tylko informacja od niego zdobyta. Burdel odwiedzali także politycy, władze miejskie i wszelkiego rodzaju ważne osobistości, ponieważ gwarantował „najwyższą dyskrecję”, był więc naszpikowany podsłuchami i weneckimi lustrami, ale teczkę u madame miał każdy: czy to nic nieznaczący robotnik, czy „panowie z Warszawy”.

Madame Visoansky była chudą i wysoką kobietą bez wieku, mogła mieć lat pięćdziesiąt, ale i osiemdziesiąt, a nawet sto osiemdziesiąt. Chodziła po głównej „wspólnej” sali Zlewu Centralnego ubrana w czarny męski garnitur, białą koszulę, muszkę, z gardenią w butonierce. Jej półdługie włosy były idealnie przylizane i tak dokładnie przyklepione do głowy, że ze wszystkimi detalami uwydatniały kształt czaszki. Ani jeden loczek nie miał prawa się wymknąć, ponieważ w madame Visoansky nic nie kokietowało, wszystko mówiło: ja tu nie jestem od seksu, ja jestem solidną osobą, mojej dyskrecji możesz powierzyć swoje najgłębiej utopione w bagnie seksualności tajemnice, których sam przed sobą się wstydzisz. Oschła, opanowana, zawsze z papierosem bez żadnej lufki, bardzo dyskretnie umalowana, robiła tu wrażenie osoby nie na miejscu – jej wyraźna klasa była godna bardziej luksusowego przybytku. Ale mimo że burdel należał do tanich i miał olbrzymi przerób – a może właśnie dlatego – nigdzie nie zarobiłaby więcej. Jej znajomości (Limoniadowy, Władymyr, Myszka Katz, Posępny Olle, Lodzia Magnum, Córka

Papieża, Czysta Wyborowa and company) predysponowały ją do roli agentki policji, którą to funkcję rzeczywiście pełniła za cara, za wielkiej wojny oraz obecnie, za wolności. Była jednak na tyle cwana, że potrafiła tak dozować przekazywane informacje, aby uzyskiwać zamierzone cele, a sobie nie szkodzić. Zaraz po wielkiej wojnie wraz z Limoniadowym rozprawiła się z konkurencyjnymi przybytkami nienależącymi do ich mafii (było w mieście wtedy trochę pożarów i trupów), po czym przejęła je i zapełniła swoimi dziewczynami (a czasem też chłopcami). Do jej gabinetu przylegało archiwum, a w nim stały wielkie szafy pancerne z teczkami klientów. Każdy pokój miał podsłuch i weneckie lustro, ale policja nigdy nie dostała do wglądu całego zgromadzonego materiału. Kiedy w Zlewie zjawiał się ktoś naprawdę ważny, madame osobiście siadała przy weneckim lustrze i włączała głośnik podsłuchu, a jedna z dziewczyn przynosiła jej kawę, popielniczkę, kartki i artykuły piśmienne. Madame zapalała papierosa i wyganiała dziewczynę gestem ręki.

Gdy Piątek z Mazankiem, najedzeni i napici, rozmarzeni i rozochoceni winem, bekający i popierdujący, zadzwonili do drzwi Zlewu Centralnego, ubrany w szary uniform cieć od razu ich rozpoznał i wpuścił, lecz gdyby byli mu nieznani, spotkaliby się z lodowatym przyjęciem wyrażonym w pytaniu: „Słucham, panowie do kogo?”. Wtedy musieliby powiedzieć hasło, że „przyszli na imieniny do cioci Jadwigi, ale nie mają kwiatów, bo to nie sezon na sasanki”. Dopiero wówczas z twarzy ciecia znikłaby lodowata, odpychająca powaga, zastąpiona szerokim, rubasznym uśmiechem i zapraszającym gestem.

Wjechali staroświecką okratowaną windą na pierwsze piętro. Wypełniał ją ciężki zapach perfum i papierosów. Kiedy jej drzwi się otworzyły, buchnął im w twarz smród Zlewu Centralnego. Dziś główną nutę stanowiło coś smażonego oraz silne perfumy, jakby ktoś chciał szybko pozbyć się odoru spalizny przed nadejściem ważnych gości. Ano byli i ważni goście: dziś burdel madame Visoansky zaszczylicili swoją obecnością wojskowi i politycy z Ratusza spod znaku sanacji. „Jak oni mają nas z czegokolwiek uleczyć?” – mruknął Piątek.

Nagie dziewczyny z dyndającymi wielkimi piersiami chodziły na czworakach, wożąc na swoich grzbietach pijanych i ryczących wyższych wojskowych, ubranych tylko w naszyjniki z serpentyn i rogatywki. Panowie ryczeli: „O mój rozmarynie, rozwijaj się”, salutowali i polewali wszystko dookoła szampanem. Niektóre kurwy także miały na głowach rogatywki, spod których wystawały włosy i kolczyki.

Madame Visoansky siedziała w kantorku przy wejściu z grobową miną i jak zwykle paliła. Była w fatalnym humorze, ponieważ po raz kolejny pojawiła się u niej w zakładzie kiła. A tak z nią walczyła! Ta walka jednak nigdy nie mogła być w pełni wygrana, bo nie sposób badać każdego nowego klienta. Choć gdyby to zależało od niej, klientom także zaprowadziłaby osławione czarne książeczki i zmusiła – podobnie jak zalegalizowane prostytutki – do badań dwa razy w tygodniu!

Ponieważ jednak nie zależało to od niej, dlatego co się ugasiło ten ogień, po jakimś czasie pojawiała się nowe ognisko zarazy. Tym razem Walentyna. Madame była bezlitosna w egzekwowaniu okresowych badań do czarnych książeczek, a jak która z podopiecznych próbowała się od nich wymigać, natychmiast ściągła na siebie podejrzenie. A właśnie tak się działo ostatnio z Walentyną i oto proszę – mamy znowu kiłę w zakładzie, witamy! Oczywiście prostytutka wyleciała natychmiast na zbity pysk, a jej klienci zostali dyskretnie poinformowani, że są zagrożeni i mają nie pokazywać się w zakładzie bez wyników badań.

Madame Visoansky poważnie spojrzała Piątkowi prosto w oczy. Ten jak zawsze się dziwił, że ta kobieta nigdy się nie uśmiecha. Teraz patrzyła na nich jak lekarz, który ma wyjawić choremu straszną diagnozę. Jej twarz była zmęczona, oczy przekrwione, zmarszczki ostre i głębokie.

– Lepiej późno niż wcale. Oczekuję panów od miesiąca... Panowie zechcecie spocząć. Mamy tu dziś trochę problemów, ale zaraz do panów przyjdę. Proszę do gabinetu. Kazia, nastaw prymus i zrób panom mocnej czarnej kawy. – Nie zapytała ich, czy słodzą albo używają cukru. Nie byli klientami. Byli tak jak ona: w pracy. Kofeina miała ich pobudzić, nic więcej.

„Jaka ona jest w sumie protestancka z tymi swoimi przylizanymi włosami i czarną kawą...” – pomyślał Mazanek.

Gabinet madame Visoansky przypominał swoją właścicielkę: był schludny, porządkowy i bez cienia kokieterii. Czarne drewniane obicia ścian mocno kontrastowały z wszechobecnymi w burdelu wstrętnymi różowymi tapetami. Ciężkie hebanowe biurko było godne męża stanu i podpisywania międzynarodowych paktów. Prosta geometryczna srebrna lampka w stylu Bauhausu mogłaby równie dobrze pochodzić z mieszkania mecenasa Karwowskiego. Podobnie geometryczna popielniczka z ciemnozielonego szkła była ciężka, poważna i solidna, jak cały salon. Na ścianie wisiał nowoczesny obraz, który Mazanek natychmiast zakwalifikował w myślach do kategorii „drogie współczesne bohomyzy”.

Madame usiadła za biurkiem, wskazując interesantom dwa ciężkie fotele obite bordową skórą. Skinęła w kierunku stojącego na niskim stoliku zestawu: cygara, gilotynka i stołowa zapalniczka w kształcie idealnej kuli. Znowu Bauhaus. Kazia wniosła kawę w porcelanie też nie z Ćmielowa, ale od Hutschenreuthera w wiadomym geometrycznym stylu, zamkniętym w idealnie matematycznych formułach kul i sześciątów. Pod wzrokiem swojej szefowej spłoszyła się, dygnęła i uciekła.

Kiedy zostali sami, madame Visoansky zapaliła papierosa stołową zapalniczką i zaciągnęła się głęboko.

– No, co tam? – zapytał Mazanek.

– Jedna z naszych dziewczyn... znikła... Mercedes...

– Jaki znowu mercedes? Wasze dziewczyny już mercedesami się rozbijają po mieście?

– To pseudo. – Madame z zatroskaną miną wypuściła nosem malowniczą smugę dymu.

– Dlaczego... – zaczął Piątek, ale mu przerwała.

– Dlaczego tego nie zgłosiliśmy? Pan chyba żartuje. Kogo obchodzi kurwa? Takich się nie zgłasza. Co to my, jej rodzina? Ryzyko zawodowe. Ale ja ją lu... może nie tyle lubiłam, ile ceniłam. Była obowiązkowa i to nie w jej stylu. Tyle że...

– Tyle że to nie wszystko? – spytał Piątek, notując w swoim czarnym kajeciku.

– Nie. Nie wszystko. – Kolejna smuga dymu i chwila ciszy szatowanej jedynie tykaniem ciężkiego zegara. – Na mieście dzieją się dziwne rzeczy. Wiecie, że nasze dziewczyny pracują też na ulicy. Coś jest nie tak. Dwie z nich ledwo uszły z życiem. Facet usiłował je udusić. I to za każdym razem ten sam. Opis się zgadza. Dlatego boję się o Mercedes. Myślę, że może leżeć teraz gdzieś i... – Madame Visoansky spuściła rzęsy, strzepnęła popiół, zakipowała papierosa i zamyśliła się. – I gnić – dokończyła brutalnie, patrząc Piątkowi prosto w oczy. Pionowa zmarszczka pomiędzy oczami jeszcze się pogłębiła, a jej głos przeszedł w chrypienie. – I po prostu gnić. Oczywiście nie angażuję się emocjonalnie w los moich pracowników, bobym musiała zwariować, wyrobiłam sobie dystans, nazywam go „szklaną ścianą”. Ale jest to obiektywnie niepokojące.

– Czy to już wszystko? – zapytał Mazanek.

– Nie, jeszcze jedno. – Madame Visoansky wstała. Była wysoka, prosta. Podeszła do okna zaciągniętego kotarą w kolorze butelkowej zieleni. Odwróciła się do nich plecami i wyjrzała na zewnątrz. Wszyscy milczeli.

– Lola, którą ten typ uderzył, postanowiła udawać, że zemdląca. Miała nadzieję, że facet się odczepi. Padła więc na łóżko i odgrywała nieżywą, a spod sztucznych rzęs podglądała, co gość robi. A on wyciągnął brzytwę, przewrócił Lolę na brzuch i po prostu wsunął jej tą brzytwę w pośladek. Oczywiście wtedy wyrwała mu ją i uciekła. – Madame Visoansky zamilkła na chwilę, wciąż patrząc w okno. – Obawiam się najgorszego. Niestety. Był spokój przez dziesięć lat, jakby siedział w więzieniu czy gdzieś wyjechał... Ale on wrócił.

– Tak. Znaczy: kto?

Madame Visoansky wypuściła dym nosem, odwróciła się od okna do obu mężczyzn i z ogromną powagą popatrzyła na Piątka. Jej obrysowane czarną kredką oczy były pełne zatroskania.

– Kucharz – zachrypiała.

Piątek z Mazankiem spojrzeli po sobie i jednocześnie poczuli dreszcz, jakby przez gabinet przeszedł lodowaty przeciąg. Po urodzinowym dobrym humorze nie pozostał choćby ślad.

– Tak... – Madame stała przy oknie jak posąg. – Obawiam się, że mamy poważny problem.

– Mam nadzieję, że to już naprawdę wszystko – westchnął Mazanek.

– Prawie. Ale to nie ma nic wspólnego ze sprawą, więc nie będę zwracała tym panom głowy. Zapewne będziecie chcieli teraz przesłuchać pracownice? Proszę tylko w miarę możliwości poczekać, aż która skończy robotę. Zaczynjcie panowie od tych wolnych. Możecie przesłuchiwać je w moim gabinecie. – Zerknęła na srebrną szkatułkę na papierosy i odruchowo schowała ją do szuflady biurka.

– Proszę powiedzieć, o co chodzi, i nie oceniać z góry przydatności informacji ani niczego nie odrzucać.

Madame Visoansky westchnęła, znów wysunęła szufladę i wyjęła płytę Syreny-Electro.

– Nic wielkiego, głupstwo. Po prostu ktoś przysłał mi to pocztą. Bez nadawcy. Nawet ładne. Puszczam sobie czasem... Mamy to zresztą w naszej kolekcji płyt, tylko w innym wykonaniu. To jest w wykonaniu chóru Dana, bardziej rzewne i melancholijne. Ale mimo wszystko... Dziwne...

– Pani była adresatką tej przesyłki?

– Przysłała na moje imię i nazwisko. Tu, na Zlew.

Mazanek stwierdził, że jeszcze nigdy nie słyszał imienia madame Visoansky. Ona przecież nie ma imienia. Nachylił się nad Piątkiem.

Widząc panikę w oczach przodowników, madame z nowym zainteresowaniem spojrzała na płytę.

– Widzę, że coś jest na rzeczy... Panom ta przesyłka coś mówi...

– Może pani nam to puścić? – zapytał Piątek, modląc się, aby to był walc lub fokstrot. Ale już dojrzał napis na okładce.

– Proszę bardzo. – Madame zrobiła minę osoby, której już absolutnie nic nie zdziwi. – Wstała, podeszła do nowoczesnego gramofonu i nastawiła płytę. Przez chwilę było słycać tylko trzaski. Potem zaczęła się przez nie przedzierać piękna melodia i głęboki, tęskny chóralny głos kilku mężczyzn:

Choć nas rozdziela świat
W każdą noc złą i chmurną
Słyszę *Tango Notturmo*
Tango sprzed tylu lat

Ty wciąż je dla mnie grasz

Co noc sercem je słyszę
Widzę białe klawisze
Widzę bladą twą twarz

Gdybym Cię ujrzyć mógł

Życie dać bym był gotów
Ale nie ma powrotu
Dla nas nie ma już dróg

Ten jeden został ślad

W każdą noc złą i chmurną
Smutne *Tango Notturmo*
Za oknami gra wiatr...

– No to... No to, Kaziu, czas skończyć żreć i zacząć pracować...

– To od czego zaczynamy?

– Chyba wypadałoby przesłuchać te kur... znaczy panienki. A w pierwszym rzędzie chyba Lolę? Jest dzisiaj?

– Tak, zaraz zobaczę, czy nie jest z klientem. – Madame Visoansky wyszła z gabinetu.

W żaden sposób nie dała do zrozumienia, że jest ciekawa, co z całą sprawą ma wspólnego płyta przysłana pocztą bez nadawcy na jej imię i nazwisko... Wiedziała, że policjanci nie odpowiedzą na jej pytanie.

– Pozwalasz jej tak? Żeby policja czekała, aż dziunia obciągnie do końca druta? Trochę dziwne, nie?

– No, właściwie to nie powinienem. Niech przerwie. Ale widzisz: madame wykazuje naprawdę dobrą wolę współpracy z policją od czasów carskich, a może i od czasów kamienia łupanego. Kto wie, ile ona ma lat. Trzeba z nią łagodnie. Choć ona dobrze wie, że znaleźlibyśmy na nią niejedno. W końcu jest kobietą Limoniadowego...

– Ona jest kobietą Limoniadowego?!

– Źle się wyraziłem. Jeśli ona w ogóle jest kobietą i jeśli w ogóle jest czyjaś, to wyłącznie swoja. Ale są współnikami. Razem wykosili całą konkurencję. Tak naprawdę to ona pierwsza kwalifikowałaby się do zamknięcia. Na szczęście wojna z Limoniadowym to nie nasza sprawa. Poza tym po wykoszeniu konkurencji ustały walki między gangami i zapanował spokój typowy dla monopolii. No i... cóż... ona na nas też ma niejedno...

– Słuchaj, jeśli Tancerz – tak zaczęli już od jakiegoś czasu nazywać mordercę od tang – ucichł po tym, jak zwałił wszystkie swoje dotychczasowe czyny na Babińskiego, to teraz najwyraźniej już zrozumiał, że w to nie uwierzyliśmy... Bo wznowił działalność.

– Niekoniecznie. Nie zapytaliśmy, kiedy madame dostała to tango i kiedy nastąpił atak na Władzię oraz kiedy znikła ta Mercedes. Może wszystko to stało się jeszcze przed tym, jak zrzucił winę na Babińskiego? Trzeba to zaraz ustalić i umieścić na osi czasu. Obecnie mamy taką kolejność:

1. Cieślak
2. Ninel
3. mecenas Karwowski
4. „Telegraf” Legutko

5. Babiński

6. Piotr Gancarz – młody robotnik, którego niby to zabił Babiński (a może zabił?)

7. Karola Martyniuk Torpeda (zaginiona)

No i ta Mercedes...

– Czyli oficjalnie po śmierci Babińskiego nie mieliśmy trupa, a Karola zaginęła w noc, kiedy zginął Legutko, a więc przed Babińskim... Na razie Tancerz siedział cicho, trzymał się wersji, że zabójcą był Baba. Decydujące będzie, kiedy dokładnie działy się wypadki w Zlewie.

Zapukano do gabinetu. Gdy drzwi się otworzyły, z sali głównej dobiegły dźwięki muzyki, gwar dzikiej zabawy i pijackie zawrozczenia wojskowych:

A jak mi odpowie: nie kocham cię,

A jak mi odpowie: nie kocham cię...

Ułani wędrują, strzelcy maszerują, zaciągnę się...

Ułani wędrują, strzelcy maszerują, zaciągnę się...

Wchodząca zamknęła drzwi i wszystko natychmiast ucichło. Madame Visoansky chyba musiała wyciszyć swój gabinet. Przed nimi stanęła około trzydziestoletnia kobieta. Jej speszona mina dziwnie kontrastowała z bardzo odważnym strojem z fioletowego tiulu. Fryzurkę miała według ostatniej mody: czarny hełm z krótkich wyprostowanych włosów, z grzywką przyciętą wysoko, jak od linijki. Jej ręce oblekały rękawiczki aż po pachy. W dłoniach nerwowo ścisnęła złożony wachlarz ze strusich piór. Jej zbyt krzykliwy makijaż uwieńczony gigantycznymi sztucznymi rzęsami wyostrzał rysy i je podkreślał; teraz twarz zastygła w wyrazie, na który składały się strach, niepewność i histeryczne niemal zaciekawienie. Sztywno przysiadła na wskazanym krześle. Wyglądała jak manekin. Biała, wymalowana wielka lalka.

„Manekin tańczy, manekin szczęście gra” – przypomniał się Piątkowi tekst jednego z tang. Kto je dostał? Cieślak. A równie dobrze pasowałoby tutaj. Nawet lepiej.

Zauważyli, że dziewczyna bardzo się pilnuje, by nie poznali, że jest wstawiona i przez to siedzi tak sztywno.

– Pani Lola, tak?

– Tak – odpowiedziała cicho zachrypniętym głosem.

– Proszę podać imię, nazwisko, adres zamieszkania, datę urodzenia.

– Natalia Tarchała, urodzona w tysiąc dziewięćset dwunastym roku, ulica Garbarska siedem mieszkania pięć, to znaczy... mieszkam na stacji... Ale oczywiście zameldowano mnie. – Natalii nie udało się opanować i beknęła, po czym spieszyła się i wyprostowała jeszcze bardziej.

– Co panią skłoniło do podjęcia tego zawodu?

Lola zacięła się. Siedziała ze spuszczoną głową i gapiała się głupio w podłogę wyściełaną dywanem w nowoczesny geometryczny wzór. – Ja... Ja po prostu chyba to lubię. Finansowo też lepiej mi to wychodzi, niż gdybym na przykład poszła na pannę do sklepu bławatnego. Dzieci i tak mieć nie mogę, bo już raz się psułam i od tego coś mi się tam uszkodziło. Zresztą nie wiem. To jest jak hazard: nigdy nie wiesz, ile tego wieczoru zarobisz. Jednego dnia masz same dziadki, a innego ląduje w twoim łóżku facet twojego życia, że na ulicy by się człowiek obejrzał, i jeszcze płaci jak milioner. To daje taki rajc, który uzależnia. Madame nie zdziera z nas tak strasznie jak w innych burdelach, gdzie dziewczyna, żeby zarobić pięćdziesiąt groszy dziennie, musi obsłużyć dwudziestu facetów.

– Dobrze, proszę opowiedzieć o pani wypadku, ale dokładnie. Kiedy to było?

– Nie zapisywałam sobie, nie pamiętam. Jakoś z miesiąc temu... Mogłabym to ustalić, ale musiałabym się dłużej zastanowić. Posprawdzać, popytać.

Piątek z Mazankiem spojrzeli po sobie: bez względu na ostateczny wynik – zdecydowanie przed śmiercią Babińskiego.

– Jak go pani poznała?

– Tego dnia nie przyszedłam do pracy tu, tylko stałam na ulicy, razem z „chustkowymi”[1].

– Dlaczego?

– Potrzebowałam pieniędzy, a tu – ściszyła głos, jakby się bała podsłuchu – ponad połowę zabiera nam madame. Jak się chce całą sumę, to niestety trzeba marznąć na ulicy.

– Na co pani potrzebowała pieniędzy?

– Na płaszcz zimowy. Widzi pan, wtedy się akurat bardzo ochłodziło, zaczął lodowaty deszczyk, pomyślałam, że trzeba kupić wreszcie solidny nowy płaszcz, porządne kozaki, kapelusz, torebkę, ciepły szal i rękawiczki z cielej skóry... Bo te, co mam, używam od dziesięciu lat...

– Gdzie pani stała?

– Na rogu Kociej i Mysiej. Przy latarni.

– O której go pani zobaczyła?

– Prawie nad ranem. Musiała być już czwarta, wpół do piątej. Jakoś tak zaraz miał się zacząć Hades. To taki okres od wygaszenia latarni do świtu, ostatni dzwonek, wtedy zdarzają się...

– Wiemy, co to jest Hades.

Lola spojrzała na nich zdziwiona.

– Teraz proszę się skupić i dokładnie sobie przypomnieć, jak wyglądał.

– Koło trzydziestki, przystojny, elegant, palto w pepitkę szyte na miarę, na głowie cylinder, biały szal, ręka obandażowana. Gładko ogolony, blady, jakby upudrowany. Palił brązową waniliową cygaretkę. Pięknie pachniała. Chciał, żebym poszła do niego, ale się nie zgodziłam, i chwała Bogu najwyższemu! Co jeszcze? Aha! Jąkał się. Bardzo się jąkał. Taki przystojny, miły, jąka się, elegancki, pachnący... Kto by pomyślał, że nagle wstąpi w niego diabeł!

Na wspomnienie o brązowej cygaretkie obu przesłuchującym natychmiast zachciało się palić, co też uczynili, korzystając ze skromniejszego materiału palnego. Trzasnęły zapalki wyjęte z pudełka z czerwoną winietą i napisem „Polski

Monopol Zapalczany”. Jakoś im nie pasowała ta dziwna zapalniczka w kształcie kuli madame. Po zaciągnięciu się jednocześnie pomyśleli to samo: po wizycie w Zlewie trzeba pójść na czystą z balsamem i dokładnie wszystko obgadać!

– To ubranie, ale prosimy o jakieś konkrety cielesne.

– No, dużo to tam nie było...

– No wie pani! Nie to mieliśmy na myśli... Kolor oczu, włosów. I tak będzie pani jutro proszona do nas na Kadrową, aby pomóc sporządzić portret pamięciowy.

– Ach, o to chodzi! – Lola zaśmiała się pijackim, rubasznym śmiechem. – Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Pan powiedział: „konkrety cielesne”, to pomyślałam, że chodzi o to na dole...

– Właściwie to też może pani powiedzieć, jak również o wszelkich bliznach, znamionach... Musimy zidentyfikować tego człowieka za wszelką cenę, nawet po rozmiarze przyrodzenia! Chcemy wiedzieć o nim wszystko, co tylko się da!

– Jąkał się. To chyba najważniejsze. „Pro... pro... pro... pro... proszę pa... pa... pa... panny...”. Problem w tym, że do czasu aż mnie zaatakował, nic mnie nie interesował, a nie zapamiętujemy koloru oczu osób, które mamy gdzieś... Facet jak facet, kto by się tam przyglądał, ot, widzę go pierwszy i ostatni raz w życiu! A jak już mnie zaatakował, to naprawdę byłam skupiona tylko na walce o przeżycie, miałam zamknięte oczy, udawałam, że zemdlalam, i dopiero jak mi brzytwą po dupie przejechał, mam bliznę, pokazać? Blizna będzie już zawsze, zaczynam przemyśliwać rezygnację z zawodu... Klienci mnie biorą, rozbierają, a tu towar wybrakowany... Więc dopiero jak mi brzytwą po dupie przejechał, to mogłabym zacząć na niego zwracać uwagę, ale wtedy musiałam walczyć o życie, choć to życie gównie warte.

Roześmiała się ochryple, pijacko. Była jeszcze młoda, ale w jej wyglądzie już zaznaczyło się to specyficzne podniszczenie typowe dla prostytutek, spowodowane codziennym kontaktem z wieloma obcymi bakteriami i wirusami. U madame Visoansky dziewczyny obrabiały nawet dwudziestu klientów dziennie. Przerób był olbrzymi. Łapały nie tylko ich choroby weneryczne, ale i żółtaczkę, grypę,

grzybicę stóp, wszy, gnidy, zajady, opryszczki, egzemy – wszystko. Każdy klient był dla nich bombą biologiczną pełną nieznanymi jeszcze atrakcjami. Dlatego nawet młode dziewczyny szybko się niszczyły. Codzienne picie wódki, po jakimś czasie przechodzące w uzależnienie, codzienne wypalanie dwóch paczek papierosów, z nudów, na ulicy – to wszystko plus obce bakterie sprawiały, że jako pierwszy wyniszczeniu ulegał głos. Stawał się niski i ochrypły.

– Brzytwą? Nie nożem? Miała pani czas się przyjrzeć? – zapytał Mazanek.

– Właśnie nie miałam, ale jak kwiknęłam i rzuciłam się na niego, to mu ta brzytwa upadła na podłogę. A on, zamiast mnie zaatakować, rzucił się ją podnieść, jakby... ja wiem? Jakby był do niej bardzo przywiązany? Była bardzo dobra, bardzo ostra...

Piątek z Mazankiem spojrzeli po sobie.

– Może to golarz? Kto inny byłby tak przywiązany do swojej brzytwy?

– Trzeba będzie poszukać wśród golarzy...

– Czy rozpoznaje pani kogoś na którymś z tych zdjęć? – Mazanek pokazał jej fotografie wszystkich dotychczas odkrytych ofiar Tancerza przemieszane z bliższymi i dalszymi krewnymi Piątka. Wlepili w nią oczy z nadzieją.

Ujęła fotografie w palce zakończone długimi bordowymi paznokciami.

– Ojeju, to ten! Ten, co lubi się przebierać!

Piątek spojrział jej przez ramię i zrozumiał, że dowiedział się czegoś o bracie własnej żony, znanym w rodzinie jako „wujek Staszek”. Mazanek też parsknął śmiechem.

Zdjęcie Babińskiego skomentowała:

– Baba. Znam go z widzenia. Jest fordanserem w To i Owo. Kradnie i się puszcza. Ciągłe potrzebuje pieniędzy, bo jest uzależniony od kokainy i morfiny. Lubi też opium i eter. Mówią, że na śniadanie jada płatki róż umaczone w mieszaninie chloroformu i eteru... Wyjątkowa gnida. Ale jest w nim coś takiego, co doprowadza ludzi do szaleństwa. Ma to coś w oczach, skubany, oj ma...

– Ludzi?

– No, kobiety, ale facetów też. To znaczy... – zachichotała – pederastów...

Zdjęcie Cieślaka:

– Tego chyba gdzieś widziałam, ale nie pamiętam gdzie... A, bywał z Babą w To i Owo. Spasiona świnią. Za kobietami nigdy się nie oglądał, nawet żadnej nie wziął do tańca.

Ninel:

– O, i ta, Królowna Śnieżka... Fordanserka z To i Owo. Jak Babiński: ćpa, kradnie, puszcza się. Ninel na nią mówią. Zadaje się z taką drugą, Torpeda na nią wołają.

Stanisław Legutko:

– O, proszę, sami znajomi! To taki facet z ministerstwa, nie pamiętam już którego... Zarabia mnóstwo pieniędzy i przychodzi ze swoimi kolesiami na dziwki. Stary nudziarz. Ostatnio godzinę gadał mi o jakichś ustawach... Boże, co my musimy znosić! – Najwyraźniej gadanie o ustawach było dla Loli bardziej uciążliwe od dwudziestu stosunków seksualnych dziennie. – Żadna to antrakcja słuchać takiego nudzenia o ustawach! Na szczęście on nie jest z naszego miasta, tylko oczywiście z Warszawy...

Witalis Karwowski:

– O! I ten się tu znalazł!

– Zna go pani? – Piątek z Mazankiem jak dotąd uważali, że mecenas Karwowski nie zadawał się z prostytutkami ani nie chodził do To i Owo, gdzie nikt go nie rozpoznał.

– Przychodzi, ale tak się czai, tak się wstydzi!

– Do której pani przychodzi?

– Do żadnej, ha, ha, ha! Na szczęście.

Piątek uniósł brwi, co stanowiło jego popisowy numer.

– Ha, ha, ha! – Lola nie mogła nacieszyć się zdjęciem mecenasa. – Kto by pomyślał! Pewnie teraz zdycha ze strachu, że policja chodzi po mieście i pokazuje

jego zdjęcie! Jego, takiego nobliwego starszego pana! Ha, ha, ha! Palacz! Palacz!
Z kim chodził i czego chciał, to ja zaraz panu wyjaśnię. Nie no, Palacz, nie mogę!

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła madame Visoansky, a wraz z nią wdarł się ryk pijackich śpiewów i chmury czerwonego światła oraz papierosowego dymu:

Rozkwitały pąki białych róż,
Wróć, Jasieńku, z tej wojeeeeeeeeenki już...
Wróć, ucałuj jak za dawnych laaaaaat,
Dam ci za to dupy najpiękniejszy kwiaaaaaat.

Dziki rechot, strzał korka szampana, demoniczne rzenie „koni”, na których siedzieli podtatusiali ułani. Madame tak bardzo nie pasowała do tego podkładu muzycznego ze swoją zimną i konkretną trzeźwością księgowej!

– Czy panowie będziecie chcieli rozmawiać ze wszystkimi dziewczynami po kolei? Bo mam tu jeszcze kogoś, kto miałby coś do powiedzenia.

– Na razie nie wiemy, za chwilę się zgłosimy. Że też pani głowa nie pęka od tego. – Piątek pokazał w kierunku drzwi.

Coś jakby nikły, umęczony uśmiech w formie pary drobnych zmarszczek pojawił się wokół ust madame i nie doszedł do oczu. Westchnęła:

– Owszem, pęka. – Zrobiła minę zmęczonej przełożonej pensji dla dziewcząt. Chciała coś dodać, może coś osobistego, ale w końcu zrezygnowała. – Nie przeszkadzam panom. Czekaam w kantorku.

Kantorek. Tak, to było miejsce, które idealnie do niej pasowało.

Kiedy drzwi za nią się zamknęły i pijackie ryki ucichły, Piątek z Mazankiem zwrócili się do Loli:

– Do rzeczy więc. Z kim spotykał się mecenas Karwowski i dlaczego nazywa go pani Palaczem?

Lola zrobiła poważną minę.

– Proszę zapytać madame. To były specjalne zamówienia, z miasta.

– Co to znaczy: „z miasta”?

– To znaczy, że to nie były żadne zawodowe prostytutki. To o wiele droższa usługa, ale nasz burdel reklamuje się tak, że spełni każdą niezagrażającą życiu zachciankę. No i oczywiście niewchodzącą w konflikt z prawem... – dodała szybko.

[1] „Chustkowe” – w dwudziestoleciu międzywojennym tak nazywano najtańsze prostytutki uliczne; nazwa pochodzi od chust, którymi były okryte.

– Panowie, to jest Alfred.

Madame Visoansky przedstawiła im około trzydziestoletniego mężczyznę o twarzy cwaniaka, twarzy wielokrotnie bitej, twarzy, która zahartowała się już na tyle, że nic nie mogło jej zaszkodzić. Co najmniej dwa razy złamany nos dodawał jej dziwnego uroku. Alfred ubrany był jak Cygan, nosił złote sygnety i buty z wężowej skóry. Palił cygaro. Oczy miał utkwione w jednym punkcie, jakby był niewidomy.

– Alfred, proszę panów, pracował jako ujarzmiacz lwów w cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld. Pewnego razu cyrk potrzebował pięciu wyjątkowo pięknych dziewcząt i przysłano go do mnie. Powiedziałam mu, żeby sobie popatrzył, co tam mamy, może którąś wypożyczymy. Ale żadna nie była dość niewinna. Chodziło o dziewczęta o twarzach niewiniątek, zatem... sami panowie rozumieją... Nasze dziewczyny są ładne, ale często już lekko zniszczone, a przede wszystkim każda bez wyjątku bezczelna i pyskata. – Westchnęła. – Gdyby się ich nie trzymało krótko, na głowę by powłaziły! Na to Alfred powiedział, że idzie na ulicę „łowić dziewice”. W końcu był ujarzmiaczem lwów, więc z dziewicami powinien też dać sobie radę. „A złowiłbyś dla nas jakąś, u nas to towar chodliwy a deficytowy? Ałunem się smarują tam na dole, żeby błonę dziewiczą symulować, ale po pysku każdy widzi, że to Królowna Śnieżka po siedmiu skrobankach”. Powiem szczerze: nie wierzyłam, że uda mu się jakąś „zławić”, a jeśli nawet, to byłam pewna, że za chwilę przybiegną rodzice i wybuchnie nieziemski awantura oraz skandal. Doprawdy, ujarzmić dziewicę jest niekiedy trudniej niż lwa. Ale po dwóch godzinach przyprowadził trzy, jedna bardziej naiwna od drugiej, wszystkie zapłakane, zasmarkane. „I co my teraz z nimi zrobimy? Trzeba będzie je

uświadomić, do czego są potrzebne, a wtedy podniosą krzyk jak stąd do Lwowa. No a jak je uświadomimy, to przestaną być takie niewinne!” Odpowiedział, że towar jest już uświadomiony. A co z rodzicami? Sieroty – zarechotał i cóż... Został już u nas na stałe, początkowo w charakterze „poławiacza dziewic”. Swoją drogą, wciąż musiał poławiać nowe, bo tu żadna przecież się nie uchowa... Potem potrzebowaliśmy chłopca. I to rudego, piegowatego, z odstającymi uszami. Urwisa. Alfred poszedł na połów i przyprowadził klientce trzech do wyboru, jeden bardziej rudy i piegowaty od drugiego. Potem znowu ktoś zażądał karlicy – przyprowadził nam dwie z cyrku, dawały od przodu, od tyłu i jeszcze same się ze sobą zabawiały. Tylko strasznie puszczały bąki, i to obie, nie wiem, czy to u nich wynika z tego skarlenia, czy kapusty kiszzonej za dużo jadły? Za każdy połów Alfred miał duży zarobek, to i został. Człowiek ten jest niezastąpiony. Idzie na miasto, nocą, czy nawet w dzień, długo śledzi i obserwuje „towar”, wie, gdzie mieszka, rozmawia ze znajomymi, rodzicami, osacza ofiarę, wie, na co się skusi, o czym marzy... Czy staruszkę, czy kobietę grubą jak słoń, czy dzieciaka, czy nosorożca – wszystko załatwi. Alfredzie – zwróciła się do mężczyzny – opowiedz panom o specjalnych zamówieniach dla mecenasa Witalisa Karwowskiego. – Znowu jakby cień zmęczonego uśmiechu przebiegł wokół jej ust.

Za to mężczyzna zarechotał zupełnie bez skrępowania. Zawtórowała mu Lola, ale tym samym przypomniała madame Visoansky o swoim cichym istnieniu w rogu gabinetu.

– A ty czego tu jeszcze szukasz, Lola? Rozumiem, że przesłuchanie Loli już się skończyło?

– Tak, ale przyślemy jutro kogoś, aby zrobił portret pamięciowy. I jeszcze jedno. Nie poszliście do niego, to znaczy do domu mężczyzny, który panią zaatakował brzytwą, więc dokąd poszliście?

– Do hotelu na godziny.

– Pewnie do Koryntu?

– Tak, do Koryntu.

Piątek zanotował sobie „Korynt” w swoim czarnym kajecie zamykanym na gumkę.

– To wszystko.

– W takim razie pożegnaj panów, z tego, co wiem, jesteś tu w pracy, prawda?

– Do widzenia, do zobaczenia – mruknęła Lola i wyszła wyraźnie zła, że nie może zostać na opowieść Alfreda. Drzwi się otworzyły i do gabinetu wdarły się hałas, dym oraz pijackie śpiewy przy wtórze chichotów „koni”:

Na stos

Rzuciliśmy

Nasz życia los

Na stos

Na stooooooooos...

– To mó... Mówić? – zawahał się Alfred i spojrzał pytająco na madame.

– Mów... – westchnęła. Było widać, że jeśli miał coś zataić, to już wcześniej z nim to ustaliła poza gabinetem.

– No więc to było zlecenie na chłopca, co wrzuca szuflą węgiel do lokomotywy. – Alfred nie wytrzymał i znowu zarechotał. – No, palacza – dodał, widząc rozdziawione gęby przodowników.

– Doskonale zrozumieliśmy – powiedział Mazanek wyniośle z miną osoby, której nic nie dziwi (chciał poczuć się jak madame Visoansky), i szepnął coś na ucho Piątkowi. Ten przytaknął.

– Madame, głupio nam tak panią wypraszać, bo w końcu jesteśmy gośćmi w pani gabinecie, ale czy moglibyśmy zostać na chwilę sami z panem Alfonsem?

– Alfredem – poprawił go poławiacz dziewic i ujarzmiacz lwów, po czym znów zarechotał.

– W razie czego jestem w kantorku – oznajmiła madame i wyszła, zamykając drzwi tak szybko, że nie dało się określić, jaka pieśń legionowa była aktualnie wałkowana. Policjanci dalej szeptali między sobą, a Alfred patrzył na nich

z niedowierzaniem. Wyrzucili madame z jej własnego gabinetu! Gdyby on coś takiego zaproponował, po dwóch godzinach wylądowałby w Tworkach!

– Panie Alfredzie, to, co teraz powiemy, jest bardzo ważne. Musi pan sobie dokładnie przypomnieć absolutnie wszystkie nieoczywiste zlecenia, czyli właściwie wszystkie zlecenia, jakie kiedykolwiek pan miał. Pojedzie pan z nami do komendy, dostanie pan papier, pióro i nam je po kolei spisze. Kiedy, dla kogo...

– No wiecie, panowie, obowiązuje mnie dyskrecja...

Piątek zazwyczaj się nie unosił, nie rzucał krzesłem, nie rozwalał niczego, był na to zbyt flegmatyczny. Kiedy się zdenerwował, gniew wprawdzie kipiał w jego wnętrzu, ale on nie pozwalał mu się wylądować. Niczym para z czajnika wydobywał się więc tylko w formie syku ustami. W takich sytuacjach starszy przodownik mówił dwa razy wolniej, dwa razy ciszej i dwa razy uprzejmiej niż zwykle. Brzmiało to jednak złowrogo.

– Drogi panie Alfredzie. Prowadzimy dwie połączone sprawy wielokrotnych morderców. Być może jest to ten sam sprawca. Jeśli tak, to zabił już ponad pięćdziesiąt kobiet. Choćbyś pan był samym Józefem Piłsudskim, i tak odwieźlibyśmy pana do komendy i zmusili do zeznań. Co dopiero mówić o takim małym śliskim alfonsie jak pan. Nie będę panu groził, jeżeli od tej chwili nie zaprotestuje pan już ani razu i będzie grzecznie wykonywał nasze rozkazy. Więc jak będzie, dobrodzieju?

– Kobiety też?

– Co „kobiety też”, słodziutki?

– No, jak babki u mnie zamawiają nietypowe zlecenia? Je też mam wymieniać?

– Też. Musowo. Wszystkie zlecenia. Nawet gdyby zleceniodawczynią była moja żona Stefcia i zamówiła sobie słonia z wielką trąbą.

Po minie Alfreda było widać, że to już koniec tego miasta, przynajmniej w takim wydaniu i z takimi władzami miejskimi, jakie dotąd znano. Po jego zeznaniach posypią się głowy.

– Kaziu, przyprowadź madame, jest w kantorku...

Po chwili madame Visoansky po raz kolejny stanęła przed obliczem policjantów. Za drzwiami panowała zastanawiająca cisza.

– Poszli do pokojów.

– Ostatnia prośba. Czy może pani skorzystać ze swoich... archiwów i poszukać teczek tych osób? – Piątek wręczył jej kartkę z listą ofiar. – A szczególnie mecenasa Karwowskiego?

Burdelmama posłusznie podeszła do regału wypełnionego nigdy nietkniętymi ludzką dłonią eleganckimi „dziełami wszystkimi” Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Orzeszkowej i innych narodowych literackich potęg. Skórzane bordowe grzbiety i złote wyryte tytuły mogłyby równie dobrze skrywać puste kartki lub spisy chorób roznoszonych w Zlewie. Nacisnąwszy zgrabnie sobie tylko wiadome miejsce, madame Visoansky odsunęła osadzony na szynach regał, który odsłonił pomalowaną jak w szpitalu do połowy zwykłą żółtą olejną farbą ścianę i żelazne drzwi zamykane na klucz. Madame otworzyła je i weszła do pokoju oświetlonego gołymi żarówkami.

Wszystkie ściany aż po sam sufit wypełnione były metalowymi regałami z teczkami. Panował tu straszny zaduch, jakby z teczek wydobywały się opisane w nich grzechy, zbrodnie i niezdrowe miazmaty. „Śmierdzi jak w sklepie zoologicznym” – pomyślał Piątek. „Terrarium” – zdecydował w duchu Mazanek, który jako brzdąc hodował jaszczurkę.

Madame Visoansky chodziła po archiwum z listą i wyciągała odpowiednieteczki. Zwykle, tekturowe, nieco pożółkłe, zawiązywane na tasiemki. Szybko się z tym uwinęła, następnie wyprosiła policjantów, zgasła światło i zamknęła drzwi.

Usiadła za biurkiem i położyła teczki przed sobą. Zapaliła papierosa i spojrzała na nich poważnie.

– Nie muszę panom mówić, że materiały zawarte w tych teczkach są wyłącznie do panów wiadomości... Znajdują się w nich też zdjęcia. Ale nigdy nie były wykorzystywane do szantażu. Proszę zwrócić teczki, gdy tylko przepisiecie

panowie zawartość. Jeśli to wszystko, to panowie pozwolą, że ich pożegnam. Miałam dzisiaj ciężki dzień.

Madame Visoansky wstała i podała każdemu z policjantów rękę, nie pozwalając jej pocałować. Westchnęła i otworzyła drzwi. Buchnął burdelowy różowy zaduch, paru nagich facetów podsypiało po kątach. Madame podeszła do swojego kantorku, szepnęła coś do ciecia z sumiastymi wąsami, po czym powiedziała do mikrofonu, który niósł jej słowa głośnikami do każdego pokoju, korytarza, wszędzie. Był to głos ostry, przeszywający jak pożarowa syrena:

– Proszę państwa, zamykamy! Ostatnie dwadzieścia minut. Powtarzam: zamykamy. Ostatnie dwadzieścia minut! – Mikrofon straszliwie zniekształcał głos madame. Mazanek pomyślał, że za żadne skarby nie chciałby być teraz pijanym golasem, który właśnie otworzył oczy i bezradnie rozglądał się z przerażeniem dookoła, nic nie rozumiejąc. Wydawało się, że jeśli natychmiast nie wstanie i nie zacznie szukać swojego ubrania, wąsaty cieć weźmie ogrodowy wąż i zacznie wymywać podsypiającego klienta wodą. Lodowaty rwący strumień wypłucze śpiących pijaków, zużyte podpaski, zwiędłe kwiatki, potłuczone kieliszki, poodrywane sztuczne błony dziewicze, majtki...

Po wyjściu z burdelu Piątek powiedział do Mazanka:

– Brzytwa. Fryzjer. Może on nie jest Tancerzem, tylko Golarzem... Twoja fryzura będzie miała jak w raj. Musimy przepytać wszystkich fryzjerów. Czy nie sądzisz, że i Janicki byłby nam przydatny? Wy tak kochacie tę pomadę...

Przodownik Stanisława Woźniak westchnęła ciężko. Że też na odprawie zgodziła się przesłuchać Lodzie Magnum! Dlaczego zawsze musi brać na siebie najbardziej niewdzięczne zadania? Czy ona jest jakąś ujarzmiaczką dzikich lwów, jak ten cały Alfred, co już trzeci dzień spisuje na komendzie swoje osobliwe zlecenia? Lodzia nic nie powie, przesłuchiwanie jej zawsze przypomina przesłuchiwanie kamienia. No ale nic, słowo się rzekło, trzeba iść do To i Owo poszukać tej dziwki.

„Nie będę się z nią cackać, nie mam na to ani siły, ani czasu!” – myślała, jadąc do nocnego lokalu „dorożką samochodową”, za którą zapłaci Bóg wie ile. Zabrała ze sobą dwóch młodych policjantów. Wszyscy troje siedzieli z tyłu. Jeden pachniał mocno przemysławką, drugi capił kozłem i niemytym ciałem. Czuła ich mocno umięśnione uda przylegające do jej ud. Kiedy dojechali do To i Owo, kazała szoferowi czekać, a policjantom iść za nią. Czerwony dywan z powypalanymi od papierosów dziurami smętnie mókł na deszczu. To zapalały się, to gasły czerwone żarówki układające się w neon reklamujący nowy program z Sarą Berg *Miłość, raz!* Ich barwne światło odbijało się w kałużach. Policjanci w cywilu, gestem wszystkich tajniaków świata, nasunęli na czoła kapelusze borsalino.

Na widok zatrzymującej się dorożki samochodowej dwóch śmiertelnie znudzonych boyów w szarych uniformach przestało dłubać w nosach i rzuciło się do otwierania drzwi. Ponieważ ani przodownik Woźniak, ani policjanci nie zadali sobie trudu, aby ubrać się w stroje wieczorowe, na twarzach pikolaków pojawił się wyraz dezorientacji. Niepewnie patrzyli to na biednie ubrane towarzystwo (przodownik była w spodniach!), to na pana Henia Ostoję, wykidajkę, który wiedziony instynktem wyłonił się z lokalu i profesjonalnym wzrokiem otaksował

przybyłych. Naraz pojawił się na jego twarzy wyraz rozpoznania. Przodownik zrezygnowała więc z podtykania mu swojej odznaki.

Weszli do holu, minęli go i wpadli na duszną i zadymioną salę. Przodownik Woźniak w akcji! Na jej widok Lodzia Magnum, która była już dość pijana i zabawiała się z dwoma panami, pogardliwie wydeła ukarminowane usta, ale dziś przodownik nie zamierzała bawić się z nią w kotka i myszkę. Zbliżyła się do Lodzi, a ta natychmiast wybuchła perlistym śmiechem:

– Śmierdzi! Śmierdzi mi tu gliną... Wynoś się stąd, dziwko! Wynocha! Won! Nie stać cię na taki lokal!

Przodownik podeszła do niej z policjantami, dała jej na odlew w twarz, tak że dziewczyna wpadła na bar, z którego pospadały kufle i rozlało się piwo, po czym z całej siły chwyciła ją za ucho i przy wielkiej konsternacji klientów oraz ku uciesze innych pracowników po prostu wyprowadziła. Pijana Lodzia wykrzykiwała na całą salę:

– Puść mnie, kurwo, bo cię ugryzę! – Kopała, wiła się, ale jeden z pomocników zgrabnie spiął się z nią kajdankami, czego właściwie nie powinien robić, bo zatrzymana była tylko świadkiem. Kiedy jednak zdołała ugryźć przodownik Woźniak, ta znowu dała jej z całej siły w pysk, aż Lodzi puściła się krew z nosa. Wtedy zaczęła się tak drzeć, że przyleciał sam szef To i Owo, Samuel Goldbaum. Dziewczyna pokładała się na ziemi, zmuszając skutego z nią policjanta do zejścia do parteru, Goldbaum syczał do niej, aby się natychmiast zamknęła, Woźniak zaś, nie wypuszczając ze stalowego uścisku jej ucha, nagle jednym okrutnym ruchem poderwała ją do góry. Lodzia wyje, pluje, wierzga, ale idzie już w stronę drzwi, a raczej jest ciągnięta po podłodze. Dziewczyny są zachwycone. Nikt nie lubi tej kurwy Lodzi Magnum. Bo kradnie papierosy i pieniądze. Bo podstawia nogę na scenie. Robi donosy, zmieniając głos w telefonie przez chusteczkę. Intryguje, podbiera najlepszych klientów, zadaje się z Władymyrem i Czystą Wyborową, kłamie i nade wszystko kradnie, kradnie... Nie wiadomo, czy ona kiedykolwiek kupiła coś w sklepie, czy w ogóle w całym swoim dwudziestoletnim życiu była w jakimś sklepie.

– Na komendę! – rzucił taksówkarzowi skuty z Lodzią policjant.

– Nie! Nie na komendę! Zakład Medycyny Sądowej na Kaczej – poprawiła go przodownik Woźniak.

– Jaki zakład medycyny? Ja nie chcę do żadnego zakładu! Ja nie potrzebuję żadnej medycyny! – wrzasnęła przerażona Lodzia i na nowo zaczęła się szarpać. Najpierw dostała w pysk, a potem przodownik Woźniak zwinęła rękawiczki i wcisnęła jej w usta. Jednak Lodzia szybko się zorientowała, że ma jedną rękę wciąż wolną, i natychmiast wyjęła nią knebel. Doszło do szarpaniny, którą wygrał policjant, skuwając się z nią także drugą ręką. Knebel został ponownie wciśnięty.

– Albo zamkniesz ryj, albo nie ręczę za siebie! Przesadziłaś.

– Szybciej, panie!

– To jest dorożka samochodowa, a nie awionetka do przewozu więźniów. Żeby ona mi nie zanieczyściła wozu... Kosztował kilka tysięcy... CWS T-1... Krajowego wyrobu... – dodał dumnie.

– Jak zanieczyści, to to wyliże, swołocz.

– I potem chcecie, żeby społeczeństwo was lubiło.

– Nie macie nas lubić, tylko macie, kurwa, jechać szybko!

Zakład Medycyny Sądowej na Kaczej! Ponure gmaszysko bez ani jednego ornamentu! Wielka betonowa buda z przybudówkami, szare ściany osmalone jakby dymem piekielnym, szare okna zasłonięte w trzech czwartych dyktą i okratowane, gołe żarówki. CWS zatrzymał się przed łańcuchem zagradzającym wjazd na teren. Przodownik Woźniak szybko wyskoczyła z samochodu, poszła do dyżurki przy bramie, pogadała z cieciem i łańcuch został opuszczony, a auto wjechało po nim na smętny plac z jednym zakurzonym i pozbawionym liści drzewkiem. Nawet ono było martwe w tym królestwie umarłych. Podjechali pod obite blachą drzwi do jednego z mniejszych budynków. Dwóch smutnych pracowników zakładu pogrzebowego w melonikach i z zakręconymi wąsami wносиło właśnie trumnę.

Na ten widok Lodzia Magnum zaczęła się trzepotać jak złapany w siatkę motyl.

Po policjantach było widać, że nie po raz pierwszy pomagają przodownik Woźniak w jej niekonwencjonalnych metodach przesłuchiwania najbardziej narowistych świadków. Zresztą – wyglądali na pozbawionych ludzkich uczuć bydlaków. Taksówkarz zainkasował osiemdziesiąt pięć groszy i pospiesznie odjechał.

Lodzi bardzo nie spodobało się to malownicze miejsce.

– Co to za smród?! – zapytała podejrzliwie.

– To trupy – odparła niewinnie przodownik Woźniak. – Pooglądamy sobie trochę – mruknęła, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu klucza. – O, pali się światło na piętrze. Doktor Ziemkiewicz jeszcze siedzi. Kiedy ten człowiek sypia?

Pot perlił się na ładnej, ale nieco zbyt lalkowatej twarzyczce Lodzi; sztuczne rzęsy przestały wciąż kursować w górę i w dół – ich właścicielka patrzyła szeroko otwartymi oczami na panów z zakładu pogrzebowego.

Zgrzytnęły otwierane drzwi.

– Prowadźcie ją na salę numer jeden i przywieźcie ofiary! Po kolei lodówki numer – zerknęła na zwitek z zapiskami – sto trzy, osiemdziesiąt, czternaście, dwieście pięć, trzydzieści osiem i osiem. Wózki stoją w przedsionku przy lodówkach.

Szli ciemnym korytarzem po nierówno wylanym betonie. Pod sufitem szumiąły rury z wodą. W końcu otworzyli kolejne blaszane drzwi z trupa czaszką i napisem „Zakaz wstępu”. Weszli na salę. Buchnął im w twarz gęsty jak galareta śwąd. Kilka szczurów natychmiast rozbiegło się po kątach. W obszernym pomieszczeniu znajdowały się lodowate metalowe stoły, zlewy i szlauchy. Podłoga była pochyła i zniżala się ku środkowi, aby brudna woda i inne w najwyższym stopniu nieciekawe płyny spływały do umieszczonej w najniższej części zakratowanej studzienki. Smród był koszmarny. Lodia miała wrażenie, że powietrze jest ciałem stałym, przy każdym wdechu przez usta wypełnia je jak galareta, a ona musi je jeść, musi je gryźć!

Stała jak ukrzyżowana, bo policjanci przykuli jej obie ręce do ściany i poszli do lodówek. Na jednym stole leżało coś, co wyglądało jak resztki po uczcie. Jakieś żebra, niedojedzone czerwone mięso, białe połacie tłuszczu, jakby obgryzione kości. Wśród tych pozostałości obiadu buszował olbrzymi, spasiony szczur. Przodownik Woźniak czuła, że Lodzia jest już prawie gotowa na poważną rozmowę. Zdawała sobie sprawę, że brutalność, z której jest znana, nie powinna być stosowana w przesłuchaniu zwykłego świadka, tylko raczej podejrzanego, ale z drugiej strony była pewna, że jeśli ktokolwiek wie naprawdę wszystko, co się dzieje w To i Owo, to właśnie jest to Lodzia.

Przysunęła w jej stronę stół z celującymi w sufit żebarami „resztkami uczy”. Lodzia nie wyglądała już tak atrakcyjnie jak w kabarecie. Po drodze zgubiła perukę, odpadły jej sztuczne rzęsy, wszystko w niej było sztuczne i stopniowo odpadało, została zupełnie łysa głowa (jak u manekina), pozbawiona brwi i rzęs. Przodownik Woźniak patrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Teraz powinni cię zobaczyć twoi klienci! Wszystko w tobie jest zakłamanie, doklejone, nieszczerze. Twój mózg wypchany szmatami, pakułami. Twój śmiech jak konfetti. Wszystkie twoje dolepione klejem piórka. Twoje sztuczne kudły. Popatrz na to, dziwko: to jest twoja koleżanka, Karola Martyniuk. A raczej to, co z niej zostało. Tak, Lux Torpeda. Dawno jej nie widziałeś w pracy? No to już jej nie podstawisz nogi na scenie. Już jej nie ukradniesz papierosów. Już nie musisz oddawać jej tych pięciu złotych. Poczęstuj się. – Wzięła ze stołu pizze i zaczęła zbliżać się z nią do rozmazanych ust Lodzi. – Widzisz, nie chcesz, a jednak komuś to bardzo smakuje. I ty zrobisz wszystko, powtarzam, wszystko, co w twojej mocy, aby pomóc nam odnaleźć tego kogoś. Rzygaj. Obiecuję ci, że jeśli nie zaczniesz współpracować, wylądujesz na tym stole, w takiej samej wersji, a wtedy ja nakarmię tobą nasze podwórkowe psy.

Lodzcia rzygała na stojąco i ze skutymi rękami. Wymioty bryzgały z niej i ściekały po mokrej, przylegającej do ciała i poszarpanej srebrnej wieczorowej sukience.

Przodownik Woźniak, nie wyciągając pęta z ust, wzięła szlauch, puściła lodowatą wodę i wycelowała silny bicz wodny w głowę Lodzi jak strażak w płomienie. Wodziła po niej tym biczem, aż zmyła i z niej, i z podłogi całe wymiociny, papierosa, resztki makijażu.

Tymczasem jeden z policjantów, ten pachnący przemysłówką, wjechał na salę wózkiem z ciałem okrytym białą ceratą. Uniósł ją i wtedy oczom obu kobiet ukazała się upieczona w piecyku głowa dwudziestotrzyletniego bezrobotnego Piotra Gancarza, znalezionej razem ze zwłokami Babińskiego na Błotnej w suterenie.

– No to jak? Będziesz gadać?

Ale Lodzia tylko zagryzła usta, a kiedy przodownik Woźniak podeszła do niej, plunęła jej z całej siły w twarz. Echo sali odbiło jej ostry, nieco histeryczny śmiech.

– Panowie, połóżcie ją na podłodze i skujcie w kształt litery X, tak aby ręce miała nad sobą, a nogi rozwarne. Przykujcie ją do czterech stołów.

Policjanci przysunęli cztery stoły sekcyjne na kółkach i przykuli wyrywając się Lodzie Magnum zgodnie z instrukcją.

– Rozszerzcie te stoły tak, aby ręce i nogi miała naciągnięte, i zablokujcie kółka. Następnie przodownik Woźniak rozpruła Lodzi suknię wyjętym z metalowej nerki chirurgicznym skalpelem i ściągnęła ją z niej, z czym było trochę zachodu. Pod spodem dziewczyna nie miała ani stanika, ani majtek. Została w samych czarnych pończochach kabaretkach. Włożywszy gumowe rękawiczki, policjantka zaczęła przenosić zawartość „odpadki po ucicie” prosto na goły brzuch Lodzi. Podniosła też tacę i zlała z niej krew, kierując ją na jej twarz i szyję.

– No to my teraz pójdziemy na kawkę, a ty pobawisz się trochę ze szczurami. Zatkaj jej tą niewyparzoną gębę, bo zaraz będziemy tu mieli na głowie doktora Ziemkiewicza!

Jeden z policjantów wziął ze stołu pizczel obrosniętą mięsem i wcisnął Lodzi w rozwrzeszczane usta. Po czym wszyscy wyszli.

W chwili gdy zgasili światło i zatrzasnęli drzwi, Lodzia poczuła wstrętny smak zgniłego ludzkiego mięsa. Było śmiertelnie cicho, dlatego pierwsze popiskiwanie zabrzmiały jak wystrzał z armaty. W ciemności dały się słyszeć jakieś dalekie ruchy, coś łąziło, tupotało małymi nóżkami. Tup, tup, tup... Jeszcze nie obierało kierunku na nią, ale już myszkowało gorączkowo i ciekawie w odwiecznym poszukiwaniu żarcia.

Usiłowała uciec myślami do normalnego świata. Ten wieczór miał wyglądać zgoła inaczej. Była umówiona z dobrym, stałym klientem, nawet młodym i przystojnym, który co prawda nie zabrałby jej do parku na spacer ani do kina, ale dałby się naciągnąć na wytworną kolację w Gastronomii, podarowałby kwiaty, czekoladę z delikatesów Davidoff und Schwarz Konrada Baumana, a potem poszliby do hotelu Angleterre przy ulicy Długiej... Teraz byłoby już po wszystkim i wylegiwałaby się w białej jak śnieg puchowej pościeli, pachniałaby perfumami, paliła długie papierosy, jadłaby podarowane czekoladki z bombonierki... Piłiby zamówionego – aua! – zamówionego – au! – do pokoju szampana! – Nie!

Coś łaskotało ją w szyję. Coś usiłowało dostać się ostrymi ząbkami do pieszczeli wciśniętej w jej usta. Ciężki i gorący bicz ogona szczurzego uderzył ją w twarz... „Czy one na tych ogonach nie mają przypadkiem strychniny?” – pomyślała w panice. Poczowała na twarzy małe łapki, spiczaste pazurki zadrapały wydelikacaną kremem Śnieg Tatrzański skórę, a piski rozlegały się tuż nad uchem. Potem mały nosek zaczął nerwowo wachać jej nos, a języczek – lizać go. Inne szczury buszowały wśród kości pokrytych nieświeżym mięsem na jej piersiach. Trwało to całą wieczność i nie dawało się wytrzymać, a jednak wytrzymać musiała! To, że coś nie powinno się dziać już ani chwili dłużej, nie sprawia, że dziać się przestaje. Jeżeli teraz nie powie tej kurwie wszystkiego, co wie, ta psychopatka jest zdolna wziąć nóż i zeszpecić ją na zawsze, uciąć sutki, to jest wielokrotna morderczyni, to jest Pani Śmierć! Lola Magnum usiłowała przywołać swoich oprawców krzykiem, ale kość w jej gardle, kość jej koleżanki Lux Torpedy, której zwędziła dziesięć złotych i już najwyraźniej nie musi oddawać, ten kawał gnijącej kości obrośniętej mięsem tylko jeszcze głębiej wchodził jej do gardła. Zaczęła się rzucać i szarpać

rękami, nogami, aż stoły, mimo że tak ciężkie, poruszały się o parę centymetrów na zardzewiałych kółkach. Jeden za szczurów zaczął majstrować pyszczkiem przy jej cipce. Drapał pazurkami, lizał, gryzł. Miała szczerą nadzieję, że złapie od niej wszystkie jej choroby weneryczne. Potem Lola poczuła, że już dłużej nie zdzierży. Oddała mocz i kał. Po godzinie udało jej się przybliżyć stoły na tyle do siebie, że zyskała nieco luzu, aby się unieść. Usiłowała wypluć kość, ale bezskutecznie. Uznała, że musi spróbować zmiażdżyć ją zębami na papkę, wtedy to świństwo stanie się łatwiejsze do wyplucia. Ugryzła i mięso puściło śmierdzący jad. Zakrztusiła się.

W tym czasie przodownik Woźniak stała przed Zakładem Medycyny Sądowej i spokojnie paliła papierosa Wawel. To znaczy na pozór spokojnie, bo jednak gdzieś tam, w głębi swojej przodowniczej duszy, zastanawiała się, czy szczury już dobrały się do tej dziwki, której szczerze nienawidziła za jej miny nieszczerze, za fałsz, za łganie w najprostszycich sprawach... Ale czy nie przeszarżowała jak na zwykłego świadka, który mógł lub nie mógł widzieć, kto wchodzi do toalety, kiedy był w niej Telegraf, jak mu tam? Nie zapamiętała nazwiska. Nie, ta suka musi wiedzieć o wiele więcej, ona musi wiedzieć prawie wszystko. Przodownik Woźniak od jakiegoś czasu miała nieodparte wrażenie, że o tej sprawie wszędzie, a szczególnie w To i Owo wszyscy wiedzą dużo więcej od policji. To jest tak gruba sprawa, tyle osób jest w nią tak czy inaczej zamieszanych, i Cieślak, i Babiński, i przede wszystkim „dziewczyny z baletu” (a co ukryje jedna dziewczyna z baletu przed innymi?), przecież i Ninel, i Torpeda, która nie wiadomo gdzie się podziała (Woźniak oczywiście okłamała Lolę co do mięsa na stole), ale na pewno nieprędko ją zobaczymy na scenie, jednym słowem: coś musiało wypłynąć. A jeśli ktoś jako pierwszy wyniuchał, co się dzieje po kątach, to tym kimś była właśnie Lodzia Magnum. Dlatego przodownik Woźniak od razu sięgnęła po artylerię największego kalibru. Jeżeli szczury nie przekonają tej dziwki do działania, to trzeba będzie zacząć niszczyć jej narzędzie pracy, mianowicie: urodę. Po pierwszym przeciągnięciu brzytwą po twarzy skończy się to struganie księżnej pani.

Przodownik Woźniak, chociaż pracowała w policji, bardzo łatwo potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby być wielokrotną morderczynią. Czasami naprawdę czuła, że jeszcze jedna bezczelna gęba niewinnie uśmiechniętej kurwy, która nic nie wie, nic nie widziała, przyszła tu z mamą i się zgubiła, jeszcze jeden obwieszony złotem lub tombakiem alfons w przeciwsłonecznych okularach, jeszcze jedna rozmowa z madame Visoansky, która traktowała ją zawsze wprost nieopisanie z góry, niemal jak swoją pomywaczkę, i zwracała się do niej per „dobra kobieto”, jeszcze jedna weneryczna nora z kiełbasą leżącą na stoliku nocnym, a po prostu zacznie nocami wychodzić z siekierą. Codziennie. Codziennie będzie ginęła jedna osoba. W ostatniej chwili ofiara ujrzy przed sobą skupioną, pogodną, przygotowaną do zadania precyzyjnego ciosu twarz pani przodownik, tej samej, która prowadzi dochodzenie w sprawie grasującego w mieście wielokrotnego mordercy. I pani przodownik nie czułaby najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie przeżyłby tego ani Limoniadowy, ani madame Visoansky, ani Posępny Olle, ani Smutny Mundek, ani ta najstarsza wilczyca Aniela Gołowas, ani Czysta Wyborowa, ani żaden z bandytów z cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld, a już na pewno nie Władymyr. Przodownik Stanisława Woźniak – jednoosobowy zakład oczyszczania miasta. Chyba właśnie o coś takiego chodziło temu Tancerzowi. Przecież usuwał tylko śmieci. Policjantka zadumała się. Właściwie to on jest jej sprzymierzeńcem. Tak... Należałoby go chronić...

Po wejściu na salę i zapaleniu światła z przerażeniem stwierdziła, że jeszcze minuta i nie miałyby kogo przesłuchiwać. Lola krztusiła się spływającymi jej do gardła sokami, własną śliną i wymiocinami. Woźniak próbowała ją odwrócić na brzuch, ale wtedy się zorientowała, że nie ma kluczyków do kajdanek. Usiłowała podnieść nóżki stołów, były jednak za ciężkie. Lodzia konała, przodownik miotała się i krzyczała, nie mogła teraz iść szukać swoich pomocników, którzy pewnie pili kawę w kanciapie u doktora Ziemkiewicza! Nie, nie może ich teraz szukać! Wyteżyła wszystkie siły, aby maksymalnie przybliżyć stoły do dziewczyny i uzyskać dla niej trochę swobody ruchu. Wyrwała jej gołymi rękami nadgryziony

kawał kości z ust i usiłowała nachylić jej głowę maksymalnie w stronę klatki piersiowej, ale niewiele dało się zrobić. Wtedy przodownik Woźniak poczuła w sobie nadludzką moc typową dla furiatów w chwili napadu szału, moc dalece przekraczającą jej fizyczne możliwości i zaparłszy się, uniosła na centymetr jeden ze stołów, aż zahaczone o jego kółka kajdanki spadły na posadzkę. Przodownik nadepnęła je i nogą wysunęła spod kółek ciężkiego stołu. Walka o życie Łodzi trwała dobre piętnaście minut. Po zwycięstwie z jednym stołem z pozostałymi poszło już łatwiej, ale w tym czasie dziewczyna straciła przytomność.

Przerażona przodownik Woźniak w panice usiłowała sobie przypomnieć wszystkie wskazówki z kursu pierwszej pomocy dla skautów, ale prawdę mówiąc, nie uważała na nim, zajęta miłością do pewnego umundurowanego czternastolatka, Juliana, zastępowego drużyny harcerskiej, który zresztą miał ją za nic, a poza tym był sztywny, nadęty i palnął jej mowę, że „takie zachowanie złe świadectwo świadomości koleżanki przynosi. Koleżanka swoim zachowaniem obraża całe polskie harcerstwo. Druhna Woźniak powinna poszerzyć swoją świadomość, albowiem do młodej, czystej i jasnej duszy skauta nie mają dostępu takie nieczyste sprawy jak miłość, seks, palenie papierosów, picie alkoholu, złe myśli, a tylko rzeczy jasne, takie jak Honor, Ojczyzna, przyjaźń braterska i siostrzeńska, czystość cielesna, dyscyplina oraz umiłowanie przygody i przyrody ojczystej”. Co począć, kiedy właśnie taki niewinny, rumiany i z płowymi włoskami najbardziej jej się podobał!

Gdy w końcu udało się Łodzi uratować, sama Woźniak wymagała reanimacji. Dwie śmiertelnie wycieńczone istoty siedziały na zarzyganej podłodze, dyszały i kiwały się, jakby miały chorobę sierocą – dwóch ocalałych z tonącego statku rozbitków na bezludnej wyspie.

– Widzisz? – pytała Woźniak. – Widzisz? Czy naprawdę nie możesz po prostu porzucić na chwilę tych swoich idiotycznych gier i raz zacząć gadać? Nie rozumiesz, że to już nie są żarty? Będziesz mówić?

Łodzia wykazywała otumanienie typowe dla osób, które wróciły z dalekiej i męczącej podróży i wciąż nie bardzo rozumieją, gdzie się znajdują.

– Chodź. Możesz iść?

Nie zareagowała. Wobec tego przodownik uznała, że teraz czas przeobrazić się w „dobrego policjanta”. Przykuła ją za rękę do jednego ze stołów i poszła po wodę, kawę oraz swoich dwóch pomocników. Znalazła ich w kanciapie doktora Ziemkiewicza. Kanciapa ta była równie osobliwa jak jej użytkownik. Mały pokój ze ścianami obwieszonymi od sufitu po podłogę przyczepionymi gwoździami zdjęciami najrozmaitszych twarzy. Łączyło je to, że wszystkie były martwe. Niektóre przybrały ów znany nam z oficjalnych pogrzebów z otwartą trumną wyraz dostojnego, posągowego spokoju białego alabastru, ponieważ jednak doktor Ziemkiewicz nie był fotografem okolicznościowym, częściej więc na zdjęciach uwiecznione zostały najwymyślniejsze miny. Oto głowa, która miesiąc leżała na dnie rzeki i na której doświadczenie to wyrzeźbiło szyderczy uśmiech. Tam znów znalezione w lesie zwłoki, których skóra twarzy znacznie się przesunęła, wskutek czego usta znajdowały się gdzieś pod szyją. Ten znowu tłusty, jowialny pan za życia nigdy, nawet po pijaku, nie wyglądał tak głupio jak na zdjęciu. Zdziwienie, osłupienie, przerażenie i bezdenna bezmyślność oraz miny typowe tylko dla rozkładających się zwłok atakowały gościa kanciapy ze wszystkich ścian. Na podłodze stały rzędy białych chodaków umazanych krwią, na stojącym wieszaku wisiały białe, poplamione tą samą substancją fartuchy. Przy czym doktor Ziemkiewicz nie wyobrażał sobie, aby pić kawę inaczej niż w wytwornych filiżankach z Ćmielowa, i taka właśnie zastawa królowała na zwykłym, tanim biurczku ostemplowanym znakami ewidencyjnymi Zakładu Medycyny Sądowej.

Przodownik Woźniak musiała być bardzo blada, bo na jej widok wszyscy trzej panowie siedzący w kanciapie wyraźnie się zaniepokoiли, a doktor Ziemkiewicz nawet wstał.

– Stacha, czy ty już nie przesadzasz z tymi swoimi przesłuchaniami? Ja nie chcę mieć problemów! Żyje?

– Żyje, żyje... Wody, kawy i chodźcie ze mną! – zwróciła się do policjantów. – Bez obaw. Wszystko w porządku.

Przyprowadzili Lodzię do kanciapy i posadzili w wygodnym bordowym fotelu. O trzeciej w nocy przystąpiono do przesłuchania. Na wszelki wypadek przodownik bawiła się skalpelem.

– Zaczęło się od tego – mówiła Lodzia – że kilka lat temu powstał ten cały ich klub. Nie wiem, kto go założył, ale należeli do niego hrabia Drucki, co go nazywają Czarna Mańka, Cieślak, Baba, to znaczy Babiński, Władymyr, sami faceci. Bo Władymyr uważa się za faceta. – Cień uśmiechu przebiegł przez jej wymęczoną twarz.

– Kto jeszcze?

– Malinowski, też pedzio, dyrektor teatru, co załatwił Cieślakowi tą rolę w operetce.

– Mecenas Witalis Karwowski należał?

– Nie znam go, ale mógł należeć.

– Stanisław Legutko? Ten z Ministerstwa Poczty i Telegrafów?

– Tak. I atlas z cyrku Riviera, Klaus Ordon. Ale była jedna kobieta...

– Mówiłaś, że nie było kobiet.

– Ona była! Ta suka! Sara Berg! Myśli pani, że dlaczego przeprowadziła się z wielkiej Warszawy na prowincję, choćby i do nafty? Toż ona mogła sobie w teatrach przebierać!

– No to dlaczego się przeniosła?

– Bo ona żyje z jednym baronem naftowym i ten baron też należał do klubu.

– Imię i nazwisko barona?

– Nie pamiętam, Adam... Nowacki czy Nowicki, jakoś tak. Tam były niesamowite pieniądze, no i ta ich główna zasada: „Spełnij się!”. Że człowiek zawsze jest w jakimś sensie niespełniony. Nigdy nie jest tym, kim naprawdę chciałby być. Szczególnie w seksie. Zawsze społeczeństwo i te kon... konsenanse...

– Konwenanse.

– Konwenanse mu przeszkadzają tak całkiem się spełnić. Władimir był ich wzorem, bo ona urodziła się w bardzo dobrej szlacheckiej rodzinie, a powiedziała sobie: nie chcę być panienką z dworku, tylko bandytą. I... i została bandytą. A hrabia Drucki to na przykład przebierał się za żebraka i siedział przed To i Owo, sama widziałam, z psem, ze świętym obrazkiem, z puszką na drobniaki, nieogolony, brudny, poczochrany, bo chciał, żeby ludzie na niego patrzyli tak poniżająco. Żeby spluwali. Ale wiedział, że oni, ci, co na niego tak patrzą z góry, nie są aż tak bogaci jak on, a często to zwykłe, za przeproszeniem, drobnomieszczactwo i dlatego to ich spluwanie tylko go cieszyło.

– Kto zabija? Kto ich wszystkich zabił? Stałaś w holu, kiedy ten od Telegrafów, ten Legutko, umierał w męskiej toalecie. Babcia klozetowa wyszła wtedy w jakichś swoich interesach do szatniarza i przed budynek. Widziałaś, kto wchodził do toalety?

– Widziałam. Ale przysięgam, że nie znam go! Przysięgam na wszystkie świętości! To znaczy znam go tylko z widzenia i raz go widziałam w To i Owo z Malinowskim, tym dyrem z operetki. Ale nic o nim nie wiem.

– Jak wyglądał?

– Już mówię! Przyjrzałam mu się bardzo uważnie na sali, bo chciałam go uwieść, ale on na mnie w ogóle nie patrzył. Miał około trzydziestu lat. Zadbany, goguś. Jedna ręka zabandażowana. Elegancki garnitur. Oczy zimne, szare. Podkręcony wąsik. Rzuciłam mu znaczące spojrzenie, jak szedł do tej toalety, ale nawet nie zauważył.

– A gdzieby taki goguś dał się nabrać na twoje spojrzenia! Wiem, który to, widziałam go – powiedziała zadowolona z przesłuchania przodownik Woźniak.

Alfred czuł, że nie może już wypić ani kropli kawy, bo po prostu zaraz rozsadzi mu czaszkę. Od sześciu godzin ślęczał na policji nad kartkami, na których miał wypisać wszystkie swoje „zlecenia specjalne”. Już ani jednej kropli kawy, ani jednego papierosa! A przecież to była benzyna, na której dotąd jechał! Czas kończyć. Nikt mu przecież za to nie płaci. Powie, że więcej zleceń nie było, choć to nieprawda. Owszem, wielu nie pamięta, ale niejedno też musiał ukryć, aby ochronić dotychczasowy porządek społeczny. Nikt chyba nie chce, aby skończyła się rewia *Miłość, raz!* i nasza piękna Sara Berg odjechała tam, skąd przybyła, czyli do Warszawy. Nikt nie chce, aby upadła operetka. A przede wszystkim nikt – a już szczególnie on, Alfred – nie zamierza zadzierać z hrabią Druckim ani z jego wszechpotężną sektą. Oddał więc swoje zapiski pełne żalonych i plugawych zachcianek erotycznych zwykłych mieszczan i wyszedł z komendy. O Cieślaku i reszcie powiedział im tylko tyle, ile sami już wiedzieli, że wypożyczali z cyrku atletów, z Klausem Ordonem na czele, i że łazili poprzebierani za dziwki pod koszary.

Ociepliło się i ludzie wylegli na ulice. Dorożki samochodowe i konne, przekupki na targu, Żydzi, Cyganie, kataryniarze, podwórkowi cyrkowcy, którym z okien ludzie rzucali pieniądze, ostrzycciele noży, żebracy, chłopcy sprzedający na rogu gazety i papierosy na sztuki... Szedł i łapał się na tym, że odruchowo patrzy na wszystkich jak na towar do złowienia. Oto podchodzi do niego ślepy kataryniarz z kolorową papugą ciągnącą losy i „złote pierścionki” na szczęście. Czy ktoś nie życzył sobie ślepego kataryniarza z przyległościami? Na razie jeszcze nie, lecz może się to zdarzyć, należy więc zapamiętać, że taki osobnik grasuje właśnie tu, u zbiegu ulic Kurkowej i Kranowej! Starzec o twarzy zapatrzonej w pustkę,

w czarnym berecie z antenką, szary, jakby cały kolor użyty przez stwórcę wyczerpał się w malowanym pudle katarynki i papudze, a dla niego nie tylko nie starczyło kolorów, ale te resztki, co jeszcze w nim były, zostały wysane przez papugę. Miał losy w formie papierkowych zwitków, które ciągnęło ptaszysko, pomrukując coś po francusku. Niezmordowanie obracał korbą, aż cała ulica żyła w rytm *O, du lieber Augustin...*

„Dlaczego oni zawsze zaczynają grać nie od początku tylko od tego momentu, w którym skończyli dnia poprzedniego? – zastanawiał się Alfred. – Widocznie jest to jakoś związane z budową samej katarynki”. W tłumie błysnęła mu złotym zębem Cyganka ze sztuczną ręką na temblaku. Żywa, ukryta ręka właśnie wykonywała swoją robotę. Znał ją od lat, nazywała się Roma Netra Heng i czasem pracowali razem. Mrugnęli do siebie porozumiewawczo.

Alfred lubił takie smętne jesienne wieczory, kiedy świat pachnie jak jedno wielkie ognisko, lubił odgłosy katarynki, nawoływania przekupniów, gwar dochodzący z bram, przegniłe, trupie światło gazowych latarni, tanią alkoholową melancholię, tanią miłość, której jednak nie kupował, bo alfonsi i naganiacze nie kupują miłości, a poza tym w takie podłe wieczory zakochiwał się natychmiast w każdej słabo widocznej w mroku księżniczce nocy, a w nim nie zakochiwała się żadna. A jednak każde skrzyżowane z kobietą spojrzenie działało na niego jak bicz.

Wstąpił do baru na rogu Kurkowej i Kranowej. Lokal nie miał nawet nazwy – szyld to droga rzecz. Był to szynk z bilardem, w który grali podchmieleni żołnierze. Na ladzie stały za szkłem talerzyki ze smętną zawartością. Głowa karpia patrzyła na niego z miną pełną wyrzutu. Kiedy wszedł, starsza pani – Alfred wiedział, że jest to najdłużej działająca prostytutka w mieście, Aniela Gołowas – przeniosła się ze swoim prawie pustym kuflem piwa, tak aby znajdować się na linii jego wzroku. Uśmiechnęła się do niego. Ale on nie miał dziś zlecenia na starą babę. Mimo to zapytał ją:

– Czy lubi pani takie podłe listopadowe wieczory, kiedy kataryniarze grają *Augustina*?

– *Alles ist hin, Augustin!* – Staruszka wytarła nos i zaczęła się śmiać. – Skąd pan wiedziałeś, panie Alfred, że właśnie o tym myślałam?

– Sam o tym myślałem. Grał to przed chwilą stary kataryniarz... – Alfred zamówił pierwszą wódkę. „Trzeba iść do Zlewu, zameldować się starej i ją uspokoić, że nie będzie rewolucji w tym mieście, nie przeze mnie... Trzeba się dowiedzieć, jakie są teraz dla mnie nowe zlecenia...” Jedno jeszcze „wisiało” niezrealizowane, chodziło o młodego ulicznika, ale to zaraz się załatwi, tyle tego się tu kręci. Tymczasem zaczął się już upijać. Pił, palił, nie jadł. Jego myśli się wyostrzyły, a ta podła dziura wydała mu się wspaniałym miejscem. Gdybyż tak było zlecenie na głowę karpia, od razu: mówisz i masz!

Aniela Gołowąs potraktowała pytanie o *Augustina* jako zaproszenie i przysiadła się wraz ze swoim pustym kuflem do Alfreda. Zarówno ona, jak i kufel mieli w tym swój interes. Od tamtej nocy, kiedy po pijaku wraz z Piątkiem wylądowała w melinie u Smutnego Mundka, na powrót uwierzyła w siebie. Co prawda jej ukochany zaniedbywał ją haniebnie i „kochał tylko godzinę”.

Od kiedy Alfred wyszedł z komendy i zaczął włóczyć się po mieście, wyczuwał pewien niejasny niepokój i teraz zaczął poszukiwać jego źródła. Co mu się nie podobało? Oznajmił Anieli, że kupi jej drinka „kota z długą szyją”, ale chce być sam i pomyśleć. Znikła zatem w swoim kącie, z kieliszkiem i pięcioma wyproszonymi papierosami. Jej zajęcza wargą i dwa ostre, ocalałe ze wszystkich bitew długie zęby upodabniały ją do wiewiórki, która zdobyła orzech i ucieka z nim do bezpiecznej kryjówki na drzewo, rozglądając się nerwowo, czy nikt się nie czai, aby jej go zabrać. Chciała dzikiego seksu, obiadu i pieniędzy, a dostała parę papierosów i „kota z długą szyją”. Mogło być gorzej.

„Co jest nie tak?” – uparcie zadawał sobie pytanie Alfred. Wychodzi z komendy. Stwierdza, że się ociepliło. Czuje ulgę. Oszukał policję. Nie będzie rewolucji. Ocalił klub – swoich najbogatszych, najbardziej wpływowych i najwierniejszych klientów. Ujawnił tylko tych już nieżyjących, jak mecenas, i tych, o których i tak wiedzieli, jak Czarna Mańka. Odbija mu się kawa, ale świeże powietrze sprawia, że zaczyna czuć się lepiej. Idzie ulicą, stwierdza, że ludzie

wylegli, że w bramach jest pełno... Zaraz, zaraz... Widzi bramę, w niej akrobatów. Tu pojawia się niepokój. Ale dlaczego? Zastanawia się, czy jest jakieś zlecenie na akrobatę, ale stwierdza, że obecnie nie ma. Akrobatów nie zna, ale kojarzą mu się z cyrkiem... Ogarnia go silny niepokój. „Skąd wiedziałem, że w podwórzu – studni są akrobaci? Bo wszedłem na chwilę w bramę, i ruszyłem korytarzem prowadzącym do studni... Dochodzę do podwórza studni, lęk słabnie. Czyli trzeba się cofnąć”. Epicentrum lęku ulokowane jest w drodze korytarzem, z ulicy do studni... Stop! Ktoś mignął mu w ciemności korytarza... Tam jest źródło niepokoju. Potem uczucie to przygasa, a nasila się znowu, gdy widzi kataryniarza z papugą i Romę Netrę Heng. Ktoś go śledził... Zobaczył w tłumie tę samą twarz. I potem znowu musiała mu gdzieś mignąć, kiedy wchodził do knajpy. Zdecydowanym ruchem odstawił drinka, uśmiechnął się szeroko do Anieli i skinął na nią. Rozpromieniła się.

– No, chodź, Anielka, przejdziemy się do hotelu... – Potrzebował asysty. Uradowana Aniela jednym haustem dopiła swojego „kota z długą szyją”. Czyżby piosenka kłamała? Czyżby nie *alles ist hin*?

Kiedy jednak na ulicy wpięła się w niego czule i zaczęła szeptać mu swoje miłosne zaklęcia, owiewając jego twarz straszliwym odorem, stwierdził, że popełnił poważny błąd. Jakikolwiek skupienie się na osobie, którą widział w bramie, i na sposobie wyprowadzenia jej w pole okazały się niemożliwe. Aniela gilgotała go zalotnie, oglądała się za kwiaciarkami w nadziei, że on kupi jej bukiet... Trzeba się jej pozbyć. Wysłał ją – niby przodem – pod wymyślony adres, niby to do małego hotelu na godziny, tam miała wziąć pokój i czekać na niego, on przyjdzie „z niespodzianką”. Miał nadzieję, że żadnego hotelu tam nie ma, inaczej Aniela weźmie pokój i będzie w nim siedzieć przez całą dobę, czekając na swojego ukochanego, a na koniec będzie jeszcze musiała za niego zapłacić!

A teraz – do dzieła! Skoro ma zlecenie na urwisa, a tu, na rogu Kranowej i Kurkowej, sporo się tego kręci do zgody, luźnych, bezprizornych, to zaczniemy sprawę załatwiać, mając jednocześnie oko na osobnika śledzącego mnie. Spojrzał posępnie na wesołych, ruchliwych i cwanych chłopaków w zbyt szerokich

pumpach i kaszkietach w pepitkę. Westchnął. Zamawiającym jest inny pośrednik, Klaus Ordon, atlas z cyrku, a to nie wróży biednemu chłopakowi niczego dobrego, bo cyrkowiec specjalizuje się w zamówieniach, z których chłopak wyjdzie okaleczony lub nie wyjdzie wcale! Ech, starzeję się, jeśli zaczyna mi się robić żal towaru. Nic, trzeba zagadać.

Alfred wsadził w usta dwa palce i gwizdnął na upatrzonego smyka, który właśnie zwędził jabłko z ulicznego straganu i oddalił się na bezpieczną odległość od grubej przekupki okutanej w co najmniej pięć chust i siedem spódnic. Chłopak odwrócił się i chcąc się upewnić, pokazał na siebie. Tak, ty. Alfred podszedł do niego. Cwaniak nazywał się Felek i miał góra piętnaście lat. Na propozycję niejasnego, ale dobrze płatnego zlecenia od razu się nachmurzył i odmówił, czym wykazał się głęboką i zadziwiającą w tak młodym wieku znajomością życia. Potem jednak pomyślał chwilę, ugryzł jabłko, wrócił i się zgodził. Zażądał dziesięciu złotych zaliczki i powiedział, że stawi się wieczorem w cyrku u atlasa Klause Ordona. Po długich targach dostał osiem (mniej nie dało się mu wcisnąć), a na pytanie Alfreda, jaką ma gwarancję, że nie ucieknie z pieniędzmi, usłyszał wesołą odpowiedź: „Żadnej poza tą, że lubię się tu kręcić”. Szeroka szpara między jedynekami, którą chłopak ukazał w szyderyczym uśmiechu, świadczyła o wielkim sprycie i znajomości życia. Chcąc nie chcąc, Alfred zgodził się i kazał Felkowi wieczorem przyjść do cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld. Westchnął. Szkoda chłopaka!

Były pogromca dzikich zwierząt włóczył się po mieście, dyskretnie zerkając dookoła, czy nie pojawi się znajoma twarz. W żydowskiej knajpce Bajgele u Ester Szrajer zjadł bajgla, gęsi pipek i gefilte fish z macą, popił kwasem chlebowym i koszerną wódką. Kiedy był zdenerwowany – jadł. Żydowskie specjały tylko jeszcze bardziej zaostriły mu apetyt. Wstąpił więc do podłej knajpki w piwnicy, do której schodziło się po schodkach. Owionął go piwno-kielbasiany zapach. Tylko trzech gości dogorywało na wysokich barowych stołkach. Nie usiadł jednak przy barze, a przy stoliku, kazał sobie dać dwa duże pęta gorącej białej kiełbasy

z chrzanem, ziemniakami i ćwikłą, a do tego trzy stopki zmrożonej wódki, Monopolki. Czuł się jak w *Zbrodni i karze* Dostojewskiego, ale nie przysiadł się do niego żaden Marmieladow i nie opowiedział mu długiej i skomplikowanej historii swojego życia. „Tak dzieje się tylko w dobrych, opasłych rosyjskich powieściach sprzed rewolucji” – tłumaczył sobie, pijąc wódkę i pałaszując gorącą kiełbasę. Rewolucja ukręciła ludziom pyski. Teraz w Rosji obywatele utracili ochotę do zwierzeń. U nas, jak widać, też.

Ciekawe, co w tej chwili robi ten, co mnie śledzi? Pewnie się nieźle wkurza, że ja sobie jem pyszną kiełbasę i piję wódkę, siedzę w ciepłym, a on musi krążyć gdzieś, aby zauważyć, kiedy będę wychodził. Jak zastawić na niego pułapkę? Przede wszystkim nie pić już, bo pijany dam się łatwo wykołować. Odsunął od siebie ostatnią, trzecią stopkę monopolki, ale po namyśle zrobiło mu się jej żal. Wychylił z mocnym postanowieniem, że to była ostatnia tego wieczoru. Po wyjściu z knajpy musi udawać bardzo wstawionego. Jeśli śledząca go osoba chce mu zrobić krzywdę, co jest więcej niż prawdopodobne, do pijanego odważy się podejść. Trzeba wywabić gościa w jakąś bramę czy ślepy zaułek, gdzie zostaną tylko we dwóch. Posiedzi tu jeszcze trochę, niech tamten myśli, że się upija. Mina obera, kiedy zamawiał herbatę, była bezcenna. Pijacy przy barze też rozdziawili gęby. Po trzech stopkach wódki nabrać ochoty na herbatę?

Alfred ruszył do wychodka na tyłach knajpy. Musiał najpierw wejść schodami na górę, wyjść na podwórko i wleźć do wstrętnej, chwiejącej się sławojki. Nie zamierzał tego robić. Odlął się obok niej i sprawdził, czy ma nóż. W tym momencie został zaatakowany od tyłu czymś ostrym jak brzytwa. Narzędzie napastnika wniknęło w plecy Alfreda idealnie na wysokości serca, zostało obrócone w ciele tak, aby rana była szeroka i szarpana, wyjęte, wsunięte ponownie i jeszcze raz obrócone. Ober miał nigdy nie otrzymać zapłaty za kiełbasę i trzy stopki monopolki. Pogoda się zepsuła i zaczął padać lodowaty, późnojesienny deszcz. Aniela Gołowąs błędziła w deszczowej mgle, szukając nieistniejącego hotelu na godziny. Obok śmierdzącego kibla zbitego z desek mókł w ciemności bezkształtny, mokry czarny toból, a na nim nasiąkała krwią jakaś kartka...

Posterunkowy Walenty Kostański przystanął raptownie.

– Hasło na dziś?

Jego nieodłączny cień, Adam Pierożek, westchnął ciężko.

– Walek, no przecież wiesz, że to ja... Daj już spokój...

Słowa kolegi wzbudziły jednak poważne podejrzenia Kostańskiego.

– Ustalaliśmy rano hasło! Wróg nie śpi! Hasło!

– Wróg nie śpi?

– To nie jest hasło!

Adam Pierożek czknął i zrobił zboląłą minę.

– Daj mi spokój. Mam cię dość. Odbija mi się kwasem żołądkowym albo rzygami, Walek. Tylko zjem coś tłustego. Albo kwaśnego. Zaraz. Czy ty to sobie wyobrażasz?

– Nie chcę sobie tego wyobrażać, Adam. Przypomnij sobie hasło, do cholery!

– Cały ty! Ja tu umieram, a ty mi zawracasz głowę jakimś głupim hasłem. I wyobraź sobie, że ten niemiecki pigularz z apteki Pod Trzema Murzynami, ten Karl, kazał mi na to robić sobie lewatywę, czy ty to sobie wyobrażasz?

– Nie chcę sobie tego wyobrażać, Adam... Hasło zaczynało się na literę...

– Gruntownie oczyszczam sobie kiszki i wysrywa się taka brązowa woda, jak kakao. Trzy razy, cztery razy i wciąż brudna. Ale coraz jaśniejsza. I to jest piękne.

– Tja...

– Aż na końcu jest tak czysta, że mógłbym ją wypić. Tak krystalicznie czysta, że można by ją sprzedawać w butelkach jak wodę z Truskawca. Dupa to wspaniały filtr... Wypiłbyś taką wodę?

– Tja... Co? Nie!

– Nie chcę nic mówić, ale uważam, że tobie, Walek, też by się przydało. Masz ostatnio brzydkie wory pod oczami, a enema jest dobra na wszystko. Czujesz się potem lżej, w ogóle nie odbija ci się rzygami...

– Tja...

– Jest w nas ze sto kilometrów jelit, jakby je tak rozprostować. Sam widziałeś na sekcji. Wiesz, co to znaczy? Można by po nich dojść aż do Lwowa, a nawet trochę dalej. Ile kilometrów jest od nas do Lwowa? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Wyobraź sobie, że idziesz po moich jelitach do Lwowa. Przez Drohobycz.

– Do Tworek chyba. Nie chcę sobie tego wyobrażać... A jak mi nie powiesz hasła...

– W zakamarkach naszych jelit jest tyle śmiecia. Ja na przykład, jak byłem małym berbeciem, to połknąłem koralik. I wyobraź sobie, że znalazłem ten koralik teraz w tej wodzie z dupy! I to jest piękne. Dupa to prawdziwa ostoja przeszłości, jak mawiał poeta. Arka przymierza między nowymi a dawnymi laty. Oto on! Zachowałem sobie jako amulet, chcesz obejrzeć? Łap!

– Błagam cię, nie dawaj mi do ręki niczego, co wygrzebałeś sobie z tyłka...

– Nie to nie. – Pterożek chuchnął w koralik i schował go sobie do kieszeni. Chwilę szli w milczeniu. – Ale to już na pewno będziesz chciał zobaczyć: medalik z Matką Boską. Musiałem też kiedyś połknąć, choć nie mam pojęcia kiedy. Może to cud?

– Nie sądzę. Wchodzimy w tę bramę?

– A daj sobie spokój, będziesz się włóczył po bramach. Jeszcze tam coś znajdziemy. A teraz zobacz to. Prawdziwy ewenement.

– Co... co to jest?

– No właśnie, co to jest? Myślałem, że mi powiesz... Wygląda jak kasztan... Skąd to się mogło wziąć w moich jeli... aua!

– Sklep sobie załóż z tymi śmieciami znalezionymi w swojej dupie, na pewno lepiej zarobisz niż w policji! Aż srać mi się zachciało od tego twojego gadania! A tam jest wychodek należący do tej podłej speluny...

– Powiedz mi, Adi, kiedy wreszcie przestaniemy się pieprzyć z tym całym klubem, kiedy ich w końcu oddamy wszystkich na tortury przodownik Woźniak? Boimy się nawet przesłuchać hrabiego Druckiego-Lubeckiego, a on już dawno powinien siedzieć u nas w piwnicy i śpiewać jak słowik. Może czas przestać się z nimi wszystkimi cackać?

– Tak. Najwyższa pora przestać się pieprzyć. Jedziemy do Korzan!

– Ale jeżeli mamy się nie pieprzyć, to koniecznie z przodownik Woźniak! – Mazanek uśmiechnął się złośliwie.

– O tak! To jest zadanie akurat dla niej!

Kiedy wyszli przed budynek policji, okazało się, że nagle się oziębiło i zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg. Jechali odświeżonymi od bieli ulicami w uroczystym milczeniu. W policyjnym CWS-ie było duszno. Mazanek z żalem musiał zrezygnować z wyprawy, ponieważ przodownik Woźniak zabrała ze sobą swoich dwóch drabów z obyczajówki, poza tym jechała ona i Piątek, dla niego więc nie starczyło już miejsca.

– Żeby on tylko nie złożył na nas skargi, jest taki ustosunkowany... – mruknął Piątek. Przodownik Woźniak tylko roześmiała się perliście.

– Ojoj... Jak będziemy się z nim ceregielić, to na pewno złoży, ale jak będzie się cieszył, że wyszedł z tego żywy, to raczej nie...

Na brudnych i nędznych robotniczych przedmieściach fabrycznych biel śniegu natychmiast poszarzała, za to kiedy wyjechali poza miasto, nagle wybuchła kolącą w oczy, nieskazitelną, odblaskową jasnością. Na polach widać było tropy dzikich zwierząt i Piątek od razu ciepło pomyślał o fernalu Michałko, oberze Czerwińskim

z Gastronomii i polowaniach. Stąd brały się ich przysmaki! Szkoda, że Mazanek nie pojechał z nimi. Minęli kulig pełen roześmianych ludzi w futrzanych czapach, zadźwięczały dzwoneczki.

Skręcili w leśną drogę. Puszysty śnieg zalegający czapami na gałązkach drzew tworzył uroczysty i dostojny nastrój.

– Plan jest taki, że wchodzimy bardzo uprzejmie i możemy kłamać mu, co tylko chcemy, byle dał się namówić i wsiadł do naszego samochodu. Wtedy już jest w naszej mocy. Nie wspominały o przesłuchaniu, bo zaraz pojawi się adwokat. To, co wydarzy się od momentu, kiedy wsiądzie do samochodu, to już moja broszka – powiedziała przodownik Woźniak. – Wy musicie aresztować głównego służącego, lokaja, nie wiem, jak to się tam teraz nazywa u tych pieprzonych arystokratów. Taki zwykle wie najwięcej. I też do samochodu. Będziecie musieli wziąć auto z Korzan albo chociaż linijkę, aby wrócić do miasta, nie pomieścimy się w jednym samochodzie. Od razu jedźcie do Ziemkiewicza na Kaczę.

– A co z żoną? Jego żoną jest hrabina Alika z Szeremietiewów.

– Na Kaczę! – zawyrokowała po namyśle przodownik Woźniak. – Inaczej narobi rabanu. Ale wieźcie ich w innych samochodach... wozach – mruknęła, bo już wyczerpały jej się samochody.

– O! Te lasy już należą do Korzan! Drucy mają też udziały w spółce naftowej.

– Co w ogóle o nich wiemy? – zapytał Piątek.

– Drucki urodził się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym, czyli ma czterdzieści dwa lata. Ród pochodzi od Rurykowiczów. Za zaborów rodzina utrzymywała doskonale stosunki z dworem carskim. Tak że świnie od zawsze. Ciągłe jeździli na herbatkę do Petersburga. Podlizywali się Mikołajowi Drugiemu, Rasputinowi, carycy Aleksandrze Fiodorownie. Rasputina nawet zapraszali do Korzan na seans spirytystyczny, bo oni się tym interesują, ale nie raczył przybyć. Nie dziwię się, trochę daleko. Hrabia Aleksander Drucki-Lubecki z hrabiną Aliką Drucką-Lubecką z domu Szeremietiew. Pieprzona ruska arystokracja. Dzieci nie mają. Sprowadzali magnetyzerów, ale oczywiście gównem to dało. Więc pewnie już

mieć nie będą, w związku z czym on jest ostatni z rodu. I oczywiście, jak to bywa, najpaskudniejszy degenerat z tego całego klubu. Naprawdę nie zdziwiłabym się, gdyby to on okazał się Kucharzem, Tancerzem lub jednym i drugim. Jest mistrzem charakteryzacji. Wtapia się w tłum, idzie w lud, ale nie żeby nieść kaganek oświaty, tylko jako Czarna Mańka, czarna dziwka. W warszawskich pismach dla kobiet, w rubrykach towarzyskich był przez jakiś czas kojarzony z Sarą Berg, która teraz ma kontrakt z To i Owo i czasowo przebywa w naszym mieście. To też do wyjaśnienia.

– O mamó! To ta, co śpi w lodzie! – ożywił się nagle jeden z przybocznych drabów przodownik Woźniak.

– Posępny Olle widział go, jak siedział jako żebrak przed tą budą. Nie zdziwiłabym się, gdyby ten jego pałac miał lochy i gdybyśmy znaleźli w nich brakujące nam ciało naszej Karoli „Torpedy” Martyniuk. Co jeszcze? Władimir jest u niego na stałej pensji. Na zewnątrz szanowany obywatel ziemski. Działa w tych wszystkich arystokratycznych organizacjach dobroczynnych, które nie przydały się jeszcze żadnemu biedakowi, za to służą bogaczom do bycia „szacownymi, nobliwymi obywatelami” i do organizowania balów, na których mogą pokazać nowe stroje i nazreć się ostryg w imieniu biednych dzieci. Jego żona nawet własnoręcznie wydziergała kilka koślawych ciuszków dla tych nieszczęsnych dzieciaków i chorągiew z napisem „Bóg – Honor – Ojczyzna” do kościoła, z czym obnosiła się potem w kręgach ziemskich i w Warszawie jak święta. On działa w Towarzystwie Strzeleckim, jest przewodniczącym Towarzystwa Łowieckiego, politycznie bardzo na prawo jak ci wszyscy dewianci...

– Stacha... – westchnął Piątek.

– No co: Stacha? Co: Stacha? Mazanek by tu był, toby potwierdził!

– Stacha, ale czy musimy koniecznie stosować twoje metody w jego przypadku? – zapytał Piątek, który trochę obawiał się Druckiego. – No a poza tym dzisiaj niedziela... Czy to wypada? Tak nachodzić ludzi...

– Właśnie w jego przypadku jak najbardziej. Głupia kurwa ci nie narobi kłopotów, a taki ważniak, jak będziesz z nim gadać po dobroci, to zaraz uruchomi wszystkie swoje znajomości i zaczną się telefony z Warszawy, dlaczego molestujemy nobliwego obywatela. Obstawi się adwokatami, a oni na każde pytanie będą za niego mówić „odmawiam odpowiedzi”.

– Stacha... – mruknął jeszcze Piątek, ale bez przekonania.

– Tak więc najpierw elegancko robimy tam Wersal, żeby dał się porwać, a potem za mordę!

– Za mordę! – mruknął z zachwytem jeden z drabów, który nigdy jeszcze nie przebywał w tym samym pokoju z osobą tak majątną i nobliwą jak hrabia Drucki, w ogóle nie przebywał w żadnym pokoju z jakimkolwiek hrabią, nawet wicehrabią, i myśl o tym, że będzie tam też hrabina, a na dodatek że on będzie ich brał „za mordę”, sprawiała, że – jak to piszą w powieściach – „jego ciało przeniknął słodki dreszcz rozkoszy”. „Czy dałoby się tak dobrać tortury, aby hrabina była przy tym rozebrana, albo chociaż żeby jej puściło oczko w... ech... Na pewno coś się da! Ciekawe, jak delikatne ciało musi mieć tam, na dole, taka wyelegantowana arystokratka, której nigdy nie musnął nawet promyk słońca” – Drab wzniósł się na wyżyny poezji pod wpływem słodkiego wyobrażenia idealnie białych i pozbawionych jakiegokolwiek owłosienia ud wyłaniających się z czarnych koronkowych pończoch, w których nie wiedzieć czemu puściło oczko.

Wreszcie stanęli przed okazałą bramą, która po kilku minutach dyskusji Piątka ze strażnikiem siedzącym w budce strażniczej została przed nimi otwarta, i wjechali wysadzaną platanami aleją na placyk przed pałacem. Na jego środku, na wzgórku porośniętym trawą, tryskała piękna fontanna z tańczącymi dookoła amorkami i nimfami. Przed wejściem stały samochody i powozy – u hrabiostwa gościli właśnie sąsiedzi, państwo Komorowscy z pobliskiego majątku Michałówka.

Lokaj w białych rękawiczkach otworzył im drzwi. Weszli do holu. Po chwili wyszedł do nich hrabia Drucki ubrany w brązowy garnitur ze spodniami typu pumpy i wysokimi kremowymi getrami. Był przystojny. Jego twarz, ułożoną

w starannie ocukrzony znak zapytania, zdobyły starannie wypielegnowane wąsiki i bokobrody, ale w urodzie tej uderzało coś sztucznego.

„Jak lalka” – pomyślał jeden z drabów.

Piątek zmieszał się. Jak ma niby wyciągnąć hrabiego z domu, kiedy ten podejmuje gości? Z jakiej racji miałyby gdzieś jechać?

– No tak, skoro pan ma gości, to może my poczekamy...

Gdyby wzrok mógł zabijać, jadowite spojrzenie przodownik Woźniak powaliłoby go jak piorun. Mówiło: „Zamknij się z łaski swojej, łaskawco, i nie odzywaj już do końca świata!”. Co ona wymyśliła?

– Niestety, panie hrabio, nastąpił nagły wypadek i potrzebujemy pana natychmiast.

Uprzejmość znikła z gładkiej twarzy Druckiego.

– Nie sądzę, aby to było aż tak pilne. Mamy gości.

– Niestety, jest pilniejsze, niż się wydaje. Pana obecność jest niezbędna przy identyfikacji zwłok.

– A któż to jest taki ważny, kogo tylko ja mogę zidentyfikować? Nie mamy dzieci! – cedził przez zęby Drucki, ale było widać, że pod cienką powłoką lodowatych słów zaczyna się coraz bardziej denerwować.

– Przykro mi. – Przodownik Woźniak spuściła wzrok. – Podejrzewamy, że jest to pańska matka, hrabina Katarzyna Drucka. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego ubolewania. Obawiamy się bowiem, że identyfikacja w tym wypadku to czysta formalność.

– Stacha! – nie wytrzymał Piątek. – Jak możesz?!

– No cóż, Adolfie, ktoś musi wziąć na siebie ten przykry obowiązek poinformowania rodziny, jakkolwiek byłby on trudny. Szczerze współczuję.

Hrabia zamarł na kilka sekund. Widać było, że stara się uświadomić sobie wszystkie konsekwencje tej śmierci, zapewne także spadkowe. Przyoblekł twarz w urzędowy, smutny wyraz. Szybko się jednak opanował i zaczął szeptać z lokajem. Po chwili ten z sali, z której dochodziły wesołe rozmowy, przyprowadził

panią domu. Hrabina Aliką w najmniejszym stopniu nie spełniła nadziei draba. Była chuda i wysoka, wysportowana, opalona, ubrana w strój do prowadzenia samochodu i obcięta na chłopczycę. Uwielbiała jeździć kabrioletem w specjalnych goglach, grała w tenisa na znajdujących się z tyłu pałacu kortach. Za nią przydreptał nieodłączny czarny pudełek Lulu.

– Jakiś phhhoblem, Alik? Phhhoszę, może państwo wejda, napiją się kawy...

Ze wzroku Druckiego od razu można było wyczytać, co sądzi o mieszanju policji z towarzystwem ich gości i czym zaprawiona by była taka kawa.

– Niestety, kochanie, muszę was opuścić, wytłumacz mnie Komorowskim, nagle interesa.

Mazanek siedział smętnie na komendzie i plotkował z panną Wandą, która cerowała sobie pończochę na szklance. Tylko on nie może obserwować przedstawienia! Tylko on nigdy nie mieści się w samochodzie! Dlaczego? No właśnie – oto jest pytanie! Nie jest przecież wcale gruby. Jak trzeba wysłać kogoś do pedałów Pod Ptaszyla, to wtedy jest dobry, szczupły i przystojny. Na szczęście zaraz pojedzie na Kaczę do Zakładu Medycyny Sądowej i będzie mógł wziąć udział w przesłuchaniu stulecia. Oto hrabia Drucki: związany, poniżony, obszczany i obrzygany, kto to zresztą wie, co ta Stacha wymyśli, bez choćby cienia adwokata! Tak zaszczuty, żeby nawet później, po uwolnieniu i powrocie do pałacu, nie miał siły się bronić ani wierzgać. Z na zawsze, by tak rzec, wyrwanymi jajami! Wspaniałe widowisko. Trafiony, zatopiony wrak człowieka. Adwokaci pytają go, czy kogoś oskarża o złe traktowanie, a on tylko wzdycha, nie, nie, skądże, bardzo kulturalnie ze mną rozmawiano, i idzie chwiejnym krokiem do swojej sypialni. Tam dostaje migreny i umiera, zażywszy sto dwadzieścia tabletek z kogutkiem i jeszcze raz tyle Nerwomigrenu...

Mazanek wstał, włożył płaszcz i melonik, który go bardzo postarzał, gdy nagle na komendzie pojawił się znany mu z restauracji Gastronomia i poniekąd zwerbowany przez Piątka do współpracy smyk. Jak on się nazywał, ten piegowaty i płowy urwis z zadartym nosem? Felek. Diabli go teraz nadali. Ale urwis był zziajany, co zapowiadało pilną wiadomość. Nic, trzeba go przyjąć.

– No, co tam, Felek, słyhać na mieście?

Okazało się, że na rogu ulicy Kranowej i Kurkowej, gdzie gówniarz zwykle się kręci, podszedł do niego facet z opisu bardzo przypominający tego alfonsa Alfreda i zaproponował niejasne zlecenie w cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld,

zadatkowane aż ośmioma złotymi. Miał zgłosić się tam do atlasa Klausa Ordona. To pachniało brzydko na sto kilometrów...

Co robić? Trzeba jak najszybciej znaleźć Alfreda, upewnić się, że nie przerobią chłopaka na żarcie dla małp i tygrysów! Cholera, nawet nie ma się kogo poradzić. Nic, trzeba zabrać smyka na Kaczę, gdzie zaraz będą wszyscy.

– Widziałeś kiedyś trupa, młody?

– Nie...

– A chciałbyś zobaczyć?

– No pewno! – Uśmiech białych jeszcze i niezepsutych zębów rozciągnął nakrapianą piegami twarzyczkę.

Pół godziny później szli śmierdzącym korytarzem do dyżurki doktora Ziemkiewicza, kiedy nagle wyprzedził ich Stefan Janicki ciągnący wózek ze zwłokami. Tu, w Zakładzie Medycyny Sądowej, nie bawiono się w białe prześcieradła. Mazanek poprosił pchającego wózek młodego i znenawidzonego przez siebie asystenta, aby się zatrzymał.

– No to masz trupa, przyjrzyj się.

Felek wybałuszył wyłupiaste oczy.

– Co? Robi wrażenie po raz pierwszy, nie?

– No przecież to jest facet, który mnie zgodził do tej roboty!

Mazanek przyjrzał się zakrwawionym zwłokom. Nóż w piersi. A między rękojęścią a ciałem kartka. Całość dokładnie przez kogoś zarzygana.

Znaleźli Alfreda szybciej, niż się spodziewali.

Tymczasem z drugiej strony korytarza nadeszli Piątek i przodownik Woźniak.

– Kto go znalazł?! – zapytał Piątek Mazanka. – Dlaczego nie wezwano zespołu na miejsce zbrodni?

– Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć, kto go znalazł, a zespołu nie wezwano, bo byliście wtedy w Korzanach u Druckiego.

– I w ogóle nikogo od nas nie wezwano?

– Ależ wezwano... – Mazanek wzruszył ramionami. – Niestety, wezwano...

– Mów po ludzku, Kaziu! – zniecierpliwił się Piątek.

– Znaleźli go dwaj twoi ulubieńcy.

– Ci dwaj debile? Adam Pierożek i Walenty Kostański?! – krzyknął Piątek. – Jeśli ich do niego wysłali...

– No, nie mnie! – nastroszył się Mazanek. – A poza tym nikt ich nie wysłał, tylko sami go znaleźli, przecież wiesz, Adolf, że oni zawsze znajdują... Bo ten Pierożek ciągle chodzi gdzieś sikać po bramach, ma coś z pęcherzem. I zdeptują miejsce zdarzenia...

– Poza tym na komendzie dostępny był jeszcze ktoś... Pamiętasz chyba, że dokooptowano nam do zespołu tego tępaka Staszka Kawczaka?

– No to o zabezpieczeniu jakichkolwiek śladów na miejscu zdarzenia możemy zapomnieć.

– Kaziu, idź, znajdź ich, tych trzech debili, dowiedz się, zrób coś! A ty, Felek, skąd się tu wzięłeś?

– Byłem umówiony z tym tu. – Palcem zakończonym paznokciem noszącym ciężką żalobę wskazał na trupa, który wciąż miał na czole swoje przeciwsłoneczne

okulary i złoty łańcuch na szyi.

– A wiedziałeś o tym, że się tu spotkacie, bo...

– To może ja opowiem od początku. Ale nie pójdę szukać Kostańskiego i Pierozka. Skoro ominęło mnie zatrzymanie Druckiego, jego przesłuchania już nie dam sobie odebrać! – Mazanek potrafił postawić na swoim.

– Przyjrzyj mu się dobrze – powiedziała przodownik Woźniak do Felka. – Sam widzisz, że to nie są żarty. Jesteś pewien, że chcesz iść do cyrku, do tego Klausa, atlasa? Musisz być bardzo ostrożny.

Felek przyglądał się pilnie i coraz mniej mu się to podobało. Jako ulicznik miał wyrobiony nawyk wazenia zysków i strat. Tu nie widział żadnych zysków poza „przygodą”, a możliwych strat całe mnóstwo! Jednak ta przygoda pociągała go bardzo. Poza tym zyski mogły się objawić w miarę rozwijania się przygody. No i w końcu na razie dostał tylko osiem złotych...

– Idę.

– Pamiętaj. Podszedł do ciebie ten – Woźniak pokazała na wózek – i kazał się zgłosić do Klausa Ordon. Nic więcej nie wiesz. Nie wiesz, że Alfred nie żyje. Nic nie wiesz. Masz dostać dziesięć złotych na miejscu jako drugą część zaliczki.

– I jeszcze dwa złote – dodał szybko Felek.

– I niech ci powie, co będziesz musiał robić. Jakby chciał cię gdzieś zamknąć, kop, gryź, dźgaj nożem i uciekaj!

– A nóż dostanę?

– Nie dostaniesz. Idź teraz z przodownikiem Piątkiem, on ci wszystko dokładnie wyjaśni.

– Ale pani to jest fajna babka – wyznał Felek z podziwem, ukazując w uśmiechu oddalone od siebie o pół metra jedyne, na co przodownik Woźniak potargała go po czuprynie.

I tak Felek wylądował przed cyrkiem Riviera wdowy von Rumpfeld na placu Kozłowskiego. Całą noc nie mógł spać, a teraz obserwował, jak cyrk budzi się do życia. Śnieg, który spadł wieczorem, topił się już w obrzydliwe kałuże i ulice naszego miasta N***, częściowo tylko wyłożone kocimi łbami lub drewnianymi klockami, zamieniły się w rzeki błota. Zwierzęta wydawały odgłosy, dopraszając się o śniadanie. Stara karlica w turbanie i z papierosem przyklejonym na stałe do ust wylewała pomyje z wiadra wprost na uklepaną ziemię. Z cienkich kominów cyrkowych wozów smętnie wydobywał się siwy dym, słodkawy jak wata cukrowa. Zwaliści mężczyźni, ciskając przekleństwami, wyladowywali bańki z mlekiem, kartony z jajami, mięso, jarzyny – wszystko w olbrzymich ilościach. Z wozu z napisem „Katolicka piekarnia. Pieczywo i Komunikanty” ubrani na biało chłopcy wynosili w skrzynkach bochny chleba. Olbrzymie psy, rozochoczone zapachami jedzenia, szarpały się jak wściekłe na łańcuchach. Rżały konie. Oblepione jaskrawymi, pełnymi gwiazdek i wykrzykników plakatami kasy i budy ze słodyczami, z pańską skórką i z tysiącem drobnych atrakcji były jeszcze zamknięte na głucho. Maszyna do kręcenia waty z cukru – zamknięta. Pocztówki z atletami i babą z brodą – zamknięte.

Kobieta o egzotycznej urodzie, jakby z Indii, przemknęła bezgłośnie niczym cień i znikła w baraku. Felek nie wiedział, dokąd ma się udać. Stał na środku placu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W końcu podszedł do karlicy i zapytał o Klausea Orдона. Nie wyciągając papierosa z ust, mała kobieta spojrzała na niego uważnie. Na nosie miała okulary.

– Maestro śpi o tej porze, hę?

– No to kiedy mam przyjść, hę? – zapytał Felek.

– A gdzieś tak na jedenastą, he?

Było za wcześnie. Za wcześnie na wizyty, za wcześnie na rozmowy, świat był zamknięty.

Piątek z Mazankiem stali obok siebie przy pisuarach i sikali.

– Czy nie sądzisz, Adolfie, że groźny Bóg ze Starego Testamentu i łagodny Jezus z Nowego przypominają nasze policyjne praktyki? No wiesz... zły i dobry policjant...

– Masz na myśli przodownik Woźniak? O tak, ona na pewno jest ze Starego Testamentu...

Tymczasem w Zakładzie Medycyny Sądowej na Kaczej groźne bóstwo ze Starego Testamentu przesłuchiwało hrabiego Druckiego-Lubeckiego. Pomijamy tu litościwie wcześniejszy proces „łamania” pana na Korzanach, w chwili obecnej bowiem, około godziny trzeciej nad ranem, jest już złamany, już rozumie zasadę postępowania policji, ponieważ przodownik wszystko mu wyjaśniła.

– Musimy zrobić z ciebie takie ścierwo, takie gówno, żebyś nie tylko wszystko nam wyśpiewał, ale jak stąd wyjdiesz, nigdy już tak do końca się nie podniósł. Inaczej zaczniesz się mścić, uruchamiać swoje znajomości, wytaczać nam procesy, w ruch pójda prawnicy, ale jak wyjdiesz stąd jako wrak człowieka, ty dziwko męska, to będziesz się cieszył, że uszedłeś z życiem. Czy to jasne? Czy kurwa męska zwana Czarną Mańką to zrozumiała?

W języku hrabiego też już zaszły duże zmiany. Na początku wyrażał się elegancko i traktował przesłuchujących z góry, wplatał francuskie wyrażenia, a nawet całe zdania, mówił do przodownik Woźniak per „kobietu” (na początku „dobra kobietu”, szybko jednak zrezygnował z tego przymiotnika), teraz zaś rozmowa zeszła już do poziomu słownego rynsztoka.

Hrabia dość chętnie opowiedział o klubie, jego działalności, wymienił, kto do niego należał, ale kiedy padały pytania o zabójstwa, utrzymywał, że nic nie wie.

– Macie sprawę Kucharza i macie sprawę Tancerza, ale Tancerz zabijał między innymi członków naszego klubu, na przykład Cieślaka! Zapytajcie Malinowskiego, dyrektora operetki, to nasz klub załatwił Cieślakowi główną rolę Boniego w *Księżniczce czardasza*! Tancerz zabił nam prawnika klubu, mecenasa Witalisa Karwowskiego, któremu też załatwialiśmy najlepsze sprawy! Klub chyba nie zabijałby swoich ludzi! To był klub ludzi, którzy sobie wzajemnie pomagają, ale przecież jak ktoś przebiera się za kobietę i idzie w noc, to nie ma takiego paragrafu w prawie, który by tego zabraniał! Owszem, czasem zadawaliśmy się z prawdziwymi drabami, kryminalistami, takimi jak ci bandyci z cyrku, no ale wy sami też zadajecie się z bandytami i od tego nie stajecie się nimi, choć dziś to już nie wiem... – Spojrzał znacząco na „starotestamentowego Boga”, przodownik Woźniak. – To, że ktoś narysował czerwoną kreskę, to jeszcze nie znaczy, że stał się czerwony, oczywiście bez podtekstów... Czy na przykład ten Legutko, przecież to my załatwiliśmy mu stanowisko w Ministerstwie Poczt i Telegrafów w Warszawie, przeprowadził się tam... Tu wrócił tylko w delegację, wziął udział w zebraniu klubu i poszedł z kolegami do To i Owo.

– I akurat na ten wasz klub tak się wziął ów zabójca, tak? Że akurat waszego człowieka zabił i akurat w To i Owo, gdzie śpiewa Sara Berg...

– Kręcicie się w kółko i czepiacie się każdego, bo nie macie żadnego prawdziwego podejrzanego. Ustalenie, dlaczego morderca zabijał także członków naszego klubu, nie leży w mojej kompetencji. Wcale wam nie zazdroszczę, że za tak niewielkie pieniądze musicie się babrać w tym gównie. Tym bardziej że – patrząc na was – widzę, że nigdy nie rozwiążecie tej sprawy. A co do Sary Berg... Przesłuchaliście ją chociaż? Po waszych minach wnoszę, że nie.

– Morderca jest gdzieś blisko, bardzo blisko waszego klubu. Może nie wiecie, kto to, ale na pewno znacie go, na pewno z nim rozmawialiście, widzieliście go.

– Cóż, jeśli tak, to ma już pani jakiś trop... – zakpił Drucki.

Podczas przerwy w przesłuchaniu doktor Ziemkiewicz określił czas śmierci Alfreda na mniej więcej dziesiątą, jedenastą w nocy. Przodownik Woźniak była wściekła. Sama musiała dać alibi hrabiemu Druckiemu. Przyjmował wtedy gości u siebie w Korzanach. Znaleźli się w punkcie wyjścia.

Nie mieli wielu godzin na sen. Z Druckim skończyli o czwartej nad ranem, a już o siódmej siedzieli na odprawie. Piątek powiedział, że nie będzie tolerował żadnych nieobecności. Jak zawsze głodni, jak zawsze niewyspani, jak zawsze pijący niedobrą policyjną kawę na czczo, palący papierosy i cygara, które o tej porze przyprawiały ich o mdłości. Stożące na blaszanych prętach popielniczki były przepełnione. Jeszcze trwał poranny szmer, jeszcze odprawa się nie zaczęła. Mazanek opowiadał Ziemkiewiczowi:

– Wyobraź sobie, Zbyszku, spalinowy napęd, kształty jak jakiś wehikuł z powieści przyszłościowej! Jedziesz z Krakowa do Zakopanego dwie godziny i dwadzieścia minut! I to już za rok, dwa lata. Będę się bał, ale pojedę. Jak nie lubię Zakopanego, tak pojedę! Sto na godzinę leci! Zażyję weronal i pojedę, jak mi Bóg miły! – Mazanek pokazał Ziemkiewiczowi zdjęcie pociągu o aerodynamicznych kształtach zamieszczone w tygodniku „Na Szerokim Świecie”.

– Od weronalu to ty, Kaziu, lepiej się trzymaj z daleka. Uzależnia i dziwne rzeczy się po nim robi. A ten pociąg to rzeczywiście niezwykły... – Ziemkiewicz nałożył okulary i przyjrzał się nowemu modelowi w tygodniku.

– A w aptece Pod Trzema Murzynami to słyszałem same superlatywy!

– Nie słuchaj nigdy, co mówi ten Karl spod Murzynów. To dobre dla tego hipochondryka Pierożka.

– A! Posterunkowy Pierożek! Biedny Piątek, to znowu on i jego koleżka znaleźli zwłoki tamtego alfonsa! Przyjrzałeś się mu?

– Nic ciekawego. Dostał brzytwą w plecy, kiedy szedł się wysikać. Fachowa robota. Brzytwę wbito dokładnie w serce od tyłu i przekręcono, aby powstała rana szarpana. Jak chcesz zabić, to zawsze musisz przekręcić.

– Pokażcie, chłopcy, to cudo. – Przodownik Woźniak przejęła od Ziemkiewicza „Na Szerokim Świecie”. No, no... Ale jakiś taki szeroki ten pociąg.

– Dzięki temu niewywrotny.

– I jak się to cudo nazywa? – zapytał doktor Ziemkiewicz.

– Lux Torpeda.

– A... To już nasza Karola sobie zdążyła wykorzystać na ksywę. Szybka jest! Szybka jak ten pociąg.

Wreszcie rozpoczęła się najdłuższa nasiadówka w historii zespołu komendy na Sztabowej. Zaczął ją Piątek od tradycyjnego wypisania na tablicy listy ofiar, do której dodał Alfreda. Ponieważ do jego ciała była przybita nożem kartka z tekstem tanga, hrabia Drucki zyskał doskonałe alibi. Po drugiej stronie tablicy Piątek wyszczególnił w słupku inne osoby zamieszane w sprawę, oczywiście te, które jeszcze żyły. Ich krąg niestety kurczył się coraz bardziej. Pomiędzy dwoma słupkami umieścił Karolę Martyniuk, jako osobę o nieokreślonym statusie – żywą lub martwą.

– Morderca pędzi jak ta wasza Lux Torpeda i za chwilę nie zostanie nam już nikt podejrzany. Młody pewnie właśnie się wybiera do Klausu Orдона. Czy ktoś chce coś powiedzieć?

Sala milczała. Janicki roztaczał wokół siebie silny zapach perfum, mający zakamuflować inny... Zbigniew Ziemkiewicz siedział zasepiony i gryzł końcówkę zausznika okularów. W końcu odezwał się cicho:

– W tych zabójstwach jest pewna logika, ale i jej nie ma. Krążą wokół To i Owo i cyrku Riviera, na pewno żadna ofiara nie jest wzorowym mieszczuchem ani wzorową mieszczką, taką, co to *Kinder, Küche und Kirche*... To są albo członkowie klubu, a więc dewianci, albo girlsy, jeden alfons naganiacz, jedna dziwka męska i morfinista... Zobaczcie. Gdybyście jutro znaleźli wzorową matkę Polkę, która oddaje się wychowaniu dzieci, nie maluje się, nie pali, szoruje podłogi i myje okna, a w niedzielę chodzi do kościoła – toby nie pasowała. Albo uczciwego kierowcę dorożki samochodowej. Jedyne, co łączy tych ludzi, to zepsucie moralne.

Mamy kogoś, kto uderza w jego odczuciu – w dewiantów. A zostało ich jeszcze paru. Władymyr, ten drab z cyrku, Smutny Mundek, Posępny Olle...

– Czyli co? Maniak? To ważne, co powiedziałaś, Mieciu, ale wszyscy nasi podejrzani to jeszcze więksi dewianci. Mamy szukać w skautingu albo w Armii Zbawienia?

– Pomyślałam sobie niedawno... – zaczęła przodownik Woźniak, ale wszedł jej w słowo Ziemkiewicz.

– Jeśli to maniak, Adolfie, może być dewiantem albo księdzem, wszystko jedno, on żyje w swoim świecie i może postrzegać siebie zupełnie subiektywnie. Zobacz, co on robi: przypina do trupów kartki z tekstami tang. Do tej pory analizowaliśmy każde słowo, każdą literę tekstu, a może należałoby po prostu zapytać, co dla niego symbolizuje tango? – Ziemkiewicz powiódł wzrokiem po sali. Wszyscy unikali jego spojrzenia, tylko Piątek patrzył mu prosto w oczy. Czuł, że dochodzą do czegoś ważnego.

– Tango, czyli coś związanego z nocą, z dancinikiem, czerwone światła, czarowność, alkohol, taniec, miłość... Muzyka... Odwrotność trzeźwego, pracowitego poranka... Czas, kiedy człowiek się upija, zapomina... Zmysły... Myślę, że tekst tanga jest nieważny i nie odnosi się do ofiary, liczy się tylko sam fakt, że to jest tango.

– No ale zobacz, co „przybił” do Alfreda. *Ostatnia niedziela*.

– O, skubany, a to była niedziela! – nie wytrzymał Janicki.

– Co pan powiesz... Mamy nowego detektywa! – przygadał mu natychmiast Mazanek.

– Była niedziela czy nie, reszta tekstu i tak się nie zgadza – powiedziała przodownik Woźniak. – Zbyszkule – zwróciła się do Ziemkiewicza – masz tą kartkę?

– Karol ją ma.

Maślanka podała przodownik Woźniak zakrwawioną, pomiętoszoną i przebitą nożem kartkę.

– Maszynopis. Maszyna krajowa Orzeł. Brak odcisków palców poza... – spojrzał groźnie po sali – poza odciskami palców Stanisława Kawczaka.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Kawczak był pośmiewiskiem całej policji i przydzielenie go do zespołu w ramach „posiłków” (niestety, zamiast komisarza Przygody z Warszawy) traktowano jako wyjątkową złośliwość losu. Sam zainteresowany spokojnie siedział w kącie i dłużył w nosie.

– Są też odciski tych dwóch imbecyli, Kostańskiego i Pirożka. – Piątek nie potrafił odmówić sobie złośliwości. – Ale poza tym żadnych.

– Wygląda na to, że w naszym mieście wyłącznie policja zostawia odciski palców...

– Do rzeczy: nie tekst tanga jest ważny, tylko sam fakt, że to tango.

– Ale przecież... – nie wytrzymał Janicki. – No przecież było tango *Gdzie twoje serce?* I co? I nie było serca w Cieślaku! Nie było serca! Sam widziałem, że nie było!

– A może było, ale pan zapomniałeś okularów? – nie wytrzymał z kolei Mazanek. – To są podobieństwa bardzo powierzchowne. Dalej się nic nie zgadza. Zabójca wie, że tamten prawnik lubi palaczy, no to daje mu tango *Nikotylna*. Ale nic poza tym.

– Czyli szukamy dewianta moralisty, który zbawia świat, zabijając ludzi mających coś wspólnego z nocną rozrywką, płatną miłością, pijaństwem i wszystkim tym, co symbolizuje tango.

– I ta osoba zna wszystkie ofiary. Pojawia się w ich życiu. Jest bardzo blisko, wręcz na pierwszym planie. Jestem pewien, że już ją widzieliśmy, rozmawialiśmy z nią...

– I nawet co nieco o niej wiemy – powiedział doktor Ziemkiewicz. – To mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, przystojny, zadbany, blondyn o błękitnych oczach, a więc typ nordycki, z zabandażowaną ręką (obecnie może już wygojoną), który się jąka. To on dał synowi stróża, małemu Stefkowi Sarnie, list do Piątka i pięćdziesiąt groszy na bilet do cyrku na występ Władzia Zwirlicza. To jego

widziała przodownik Woźniak na sali w To i Owo tamtego wieczora, kiedy zabito Stanisława Legutkę. To on „nadmroił” Natalię Tarchałą (pseudonim „Lola”) z burdelu madame Visoansky. Widziała go też na pewno Helena Kierbedź, babcia klozetowa z To i Owo, a także najprawdopodobniej Karola Martyniuk (Torpeda), która jednak także znikła i ślad po niej zaginął. Proponuję, aby Stacha, przepraszam, pani przodownik Woźniak spotkała się z Lolą i naszym artystą plastykiem od portretów pamięciowych. Niech go opiszą jak najdokładniej. Część świadków nazwała tego mężczyznę „goguś”. Powiem więcej: on zabija brzytwą. Jakąś bardzo dobrą, ostrą brzytwą. Może więc być fryzjerem lub golarzem.

Nagle Piątkowi coś zaświtało. Ktoś ostatnio mówił mu coś o brzytwie... Nie, nie z ich zespołu... Że ze stali lotniczej, że oskrobać z trupa... Boże! Przecież golarz Wincenty z Dworca Petersburskiego! Ale on?

Na sali panowała cisza, tylko z ulicy dochodził odgłos budzącego się do życia miasta, postukiwania końskich kopyt, wiśta wio woźniców, a z pokoju obok dobiegała jakaś awantura przytłumiona przez ściany. Wszyscy zdali sobie sprawę, że cały czas mieli mordercę tuż pod nosem. Nagle Piątek wstał i oznajmił:

– I ja chyba też widziałem tego faceta! Prędko, do cyrku!

– Chwilunia! – przerwał mu doktor Ziemkiewicz. – Jaki ty, Adolfie, jesteś w gorącej wodzie kąpany! Nie ucieknie nam. Może ustalmy najpierw, kto to jest, i – zgodnie z dobrymi zwyczajami carskiej policji – na początek poddajmy go obserwacji? Dobrze by chyba było przyłapać go na gorącym uczynku, inaczej może się okazać, że niczego mu nie udowodnimy.

Wtedy Piątek wstał i uroczyście powiedział im, kto to jest.

Sara Berg otworzyła oczy i przez chwilę próbowała uświadomić sobie, w którym łóżku się znajduje. Jak zwykle w grę wchodziły dwa: jej własne oraz aktualnego kochanka, którym od dłuższego już czasu był pan Adam Nowicki (nafta). Ponieważ w pomieszczeniu było jak na jej gust stanowczo za ciepło, zrozumiała, że nie leży we własnym łóżku.

Podczas gdy inni naftowi baronowie z naszego miasta po nagłym wzbogaceniu się dawali wyraz swojej euforii, budując pretensjonalne pałacyki jakby żywcem wyjęte ze snu szalonego cukiernika, pan Nowicki nabył i odremontował w leżącym opodal naszego miasta N*** Giczynie stary dworek w stylu polskim. Przepiękny, z kolumnami na ganku, z białymi, przeszklonymi głównymi drzwiami i ze świetlikiem nad nimi, z balkonami po każdej stronie, z dwoma małymi kominami i z gazonami oraz krzewami przystrzyżonymi w kształt kul przed podjazdem. Nad wejściem widniał napis: BY WOLNYCH I SZCZĘŚLIWYCH BYŁ ZAWSZE MIESZKANIEM, ANNO DOMINI 1805. Dworek ten należał wcześniej do zubożałej rodziny szlacheckiej. Był świeżo po remoncie, miał wszystkie wygody – elektryczność, ciepłą wodę, wannę, ale i mnóstwo pokoi z kominkami, nad którymi czerniły się ciężkie, dostojne portrety antenatów zupełnie niepodobnych do pana Adama. Wspaniała sala jadalna jaśniała śnieżną bielą, a specjalnie urządzona dla Sary Berg sypialnia przemalowana została na kolor czarny, choć pierwotnie miał być różowy, ale to by nie przeszło z Sarą. Z głównych drzwi wchodziło się do westybulu, a dalej wznosiły się olbrzymie, pokryte czerwonym dywanem, uroczo skrzypiące drewniane schody. Po obu ich stronach stały marmurowe posągi – z lewej Diany, z prawej – Plutona, i tak również nazywały się dwa charty pana Adama, z którymi jeździł na polowania. W środku cudownie pachniało drewnem.

W wielu salach czerniły się otwarte fortepiany, na których nikt nie grywał, gdyby jednak grywał, to tylko Szopena. Stajnie również zostały odnowione i mieściły park samochodowy pana Adama. Dworek znajdował się w centrum starego parku pełnego wierzb płaczących, starych grabów, dębów i kasztanowców, wśród których stały kamienne ławeczki. W parku tym była także uroczo ukryta wśród drzew świątynia dumania, ale Sara Berg w niej nie dumiała, ponieważ to nie leżało w jej charakterze. Dumiał za to czasem pan Adam – o giełdzie i akcjach. Bogactwo zwykle wydobywa z nas to, co i tak już w nas siedzi i tylko czeka na ujawnienie. Dlatego dzięki nagłej fortunie możemy się wiele o sobie dowiedzieć. Okazało się, że w panu Adamie od dawna tkwił typowy polski szlachcic.

– Adam, otwórz okno, bo się uduszę! Kto tak napalił w piecu?!

Pięćdziesięcioletni zadbany mężczyzna w krótkim grafitowym szlafroku i z bindą na wąsach przysunął do łóżka srebrne wiaderko, w którym tkwiła butelka szampana. Srebrnymi szczypczykami chwycił jedną kostkę lodu i wrzucił Sarze pomiędzy piersi. Ta jednak nawet nie pisnęła ani nie zrobiła nic, aby wydobyć ją z dekoltu. Jak gdyby nigdy nic z tacy obok łóżka wzięła blin z kawiozem, ugryzła kęs i naląła sobie szampana. Mężczyzna podał jej papierosa w długiej czarnej lufce, ale ona wyjęła go z niej i zniecierpliwiona zapaliła.

– Zaraz będą jajka. Na miękko czy na półtwarde? „Człowiek nowoczesny nigdy się nie spóźnia, ponieważ gotuje elektrycznością!”

– Kupiłeś sobie spirale elektryczne?

– Aha!

– No to zrób półtwarde. A przede wszystkim otwórz okno!

Adam skwapliwie wykonał jej polecenie i udał się do kuchni, która była ogromna i przewidziana na przygotowywanie uczt dla trzydziestu biesiadników. Sara włączyła radio Telefunken, stojące na stoliku przy łóżku. Chwilę kręciła gałką, aż spośród szumów wyłowiła muzykę poważną. Wyjęła jeszcze dwie kostki lodu ze srebrnego wiaderka i zaczęła wodzić nimi po twarzy. Czuła, jak świeżo wypity szampan uderza jej do głowy. O jedenastej musi być na próbie w To i Owo. Ćwiczą

nowy program, jeden z dwóch, na które podpisała kontrakt z Goldbaumem. A potem – do Warszawy! Dostyc tej prowincji. Szkoda tylko Adama, tak bardzo ją rozpieszcza. W Paryżu Północy takich nie ma. Co lepsze? Kariera czy bogactwo? Ach, jakże chciałyby już raz wsiąść w zeppeliną bez żadnej polisy ubezpieczeniowej, bez gwarancji, że uda się wrócić na ziemię, chciałyby wsiąść w zeppeliną i odlecieć, daleko, daleko, na Północ, aż nad morze Barentsa, gdzie nie ma już nic, nic nie rośnie, wszystko jest sterylne białe, puste i raz na zawsze zamrożone. Tam mogłyby poznać bogatego Eskimosa, który dorobił się na handlu śniegiem. Ten cały klub, Drucki, ci bandyci z cyrku Riviera, to wszystko zapowiadało rychłe problemy... Ona sama też nie miała czystego sumienia. Teraz na przykład zamówiła sobie ulicznika i niech Bóg ma Alfreda w swojej opiece, jeśli nie będzie odpowiednio młody, obdarty i wyszczerzony od ucha do ucha. I cwany! Niech Bóg ma Alfreda w opiece, jeśli ów obwieś nie będzie największym cwaniakiem, jakiego znały tutejsze ulice... I żeby nie gotował na elektryczności. Żeby nie podawał jej do łóżka szampana, o nie! Ona chce pić z nim w podłej bramie wódkę wprost z butelki. I żeby dla niej konie, konie kradł. Niech Bóg ma w opiece Alfreda, jeśli ten hultaj nie będzie dla niej kradł koni! I jeszcze żeby za żadne skarby świata nie spał w bindzie chroniącej wąsy. Ma mieć rozczochraną czuprynę! „Słowem – pomyślała – zamówiłam sobie antidotum na pana A”.

W tym czasie niczego nieświadomy rozczochrany, cwany, skłonny kraść konie i wszystko, co się da, wyszczerzony od ucha do ucha, młody i obdarty oraz umorusany jak nieboskie stworzenie Feluś zbliżał się po raz drugi do cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld. Gryząc jabłko zwędzone na bazarze, nieumyte. Była jedenasta i wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w ciemnościach wczesnego poranka. Śnieg znikł całkowicie i pozostała po nim brązowawa breja. Z kominów wozów snuł się smętnie siwy dym. Gruby i łysy dyrektor cyrku, przekręcając na palcu złoty sygnet, nerwowo czekał wraz z innymi na weterynarza, który został wezwany do chorego lwa. Zwierzę było niespokojne i puszczało obficie gazy, co doprowadzało wszystkich do szaleństwa. Niższy od Felka o głowę karzeł rąbał drewno na pieńku. Ktoś siedział przy ognisku i śpiewał coś smętnego po francusku, przygrywając sobie na akordeonie.

W wielkich garach gotowało się najpodlejszej jakości mięso dla menażerii. Ktoś zmywał talerze, zonglując nimi raz po raz. Dwóch wytatuowanych atletów siłowało się na rękę.

Felek podszedł do nich i chwilę podziwiał walkę, która jednak nie miała końca, bo atleci byli najwyraźniej bliźniakami. Gra szła tylko o to, kto kogo przetrzyma psychicznie. Problem w tym, że obaj i psychikę mieli bliźniaczą. Felek pierwszy raz w życiu nie wiedział, komu kibicować, bo po prostu wyglądało to tak, jakby jeden atleta siłował się z własnym odbiciem w lustrze. Obaj byli tak samo uczesani z przedziałkiem na środku, mieli tak samo podwinięte wąsy i nawet tatuaże mieli identyczne. Pokrywały one także ich szyje. Felek pomyślał, że dysponując tak idealnie podobnymi osobami, nietrudno zrobić ten znany cyrkowy numer polegający na tym, że facet znika w jednym miejscu, a pojawia się w drugim.

O, cyrk skrywa doprawdy wiele tajemnic... Lecz oto pierwszy atleta natężył się srodze i na skroni z lewej strony wyskoczyła mu wielka żyła. Cóż z tego, skoro i drugiemu taka sama w tej samej chwili wyskoczyła na skroni prawej! Obaj wiedzieli, że walka nie ma szans się skończyć. Lecz decyzja o jej zakończeniu musiała, w myśl symetrii, zapaść jednocześnie po obu stronach...

Oto nadchodzi gruba kobieta z wielkimi, ciężkimi piersiami, które dźwiga przed sobą z trudem, jakby taszczyła dwa wory kartofli. Jej ciało pokrywa szczecina, a w bujnych włosach tkwi sztuczny kwiat, który wygląda, jakby go ukradła z cmentarnego śmietnika. Siada na beczce, wyjmując kościany grzebyk ze szczerbami powyłamanych zębów i czesze brodę, której nie daje się rozczesać, jest bowiem najwyraźniej zrobiona z gęsto poskręcanych włosów łonowych. Oto garbus ostrzy brzytwę na skórzanym pasie. Oto starszy mężczyzna wypuszcza białe gołębie i krzyczy do nich „hulaj!”. Białe kule wzbijają się w powietrze w eleganckim szyku, zmieniają kolor na srebrny, znikają w stalowoszarym niebie. Niespokojnie ryczą zwierzęta zbyt ciężkie, aby tak po prostu odlecieć. Karzeł gra na grzebieniu owiniętym w chusteczkę. Akrobatka z bransoletką na nodze niesie gdzieś jedzenie zamknięte między dwoma głębokimi talerzami.

– Ja do pana Klausea Ordone, od Alfreda...

Bliźniacy zastygli jak posągi. Potem jednocześnie zrobili gest głową w kierunku pobliskiego baraku pomalowanego na kremowy kolor z bordowymi trójkątami i napisami w języku Felkowi nieznanym, ale wydawało mu się, że to mogło być po francusku. Po czym obaj zarzeli i znów zaczęli się siłować.

Felek zapukał do wskazanego baraku. Otworzyło mu monstrum, którego występ dwaj poprzedni atleci mogliby co najwyżej zapowiadać. Był starszy od nich, może pięćdziesięcioletni, zniszczony, łysy i jeszcze bardziej wytatuowany. Łysy, ale z brodą solidną jak szufla. W nosie potwora tkwił na dole gruby kolczyk w kształcie podwójnego rogu. Jego przekrwione świńskie oczka patrzyły na Felusia chytrze. Po jednym uchu została tylko dawno zablizniona rana. Na sobie potwór miał jednoczęściowy pasiasty trykotowy kombinezon z krótkim rękawem i nogawkami do kolan. Brakowało mu tylko przyklepionej do nogi wielkiej czarnej

kuli na łańcuchu. Ręce monstrum były białe od talku, widocznie właśnie ćwiczył. Z baraku ostro zajeżdżało niemal zwierzęcym potem i jakimiś indyjskimi olejkami. Ciało. To było głównie ciało i ciałem swoim to ciało się zajmowało. Je przekłuwało, je tatuowało, je ćwiczyło i namaszczało olejami. Ciało zajęte ciałem.

– Ja od Alfreda zgodzony jestem do interesu.

– No to, *maładiec, prachadi!* – Głos miał zadziwiająco wysoki, jakby w tym wielkim jak stodoła cielsku mieszkał karzełek, albo wręcz karlica.

Feluś rzadko kiedy był onieśmielony, ale tym razem nie czuł się zbyt pewnie, wchodząc do tego pachnąco-śmierdzącego baraku. Było w nim gorąco, bo palił się ogień na kozie. Na środku stała ławeczka ze sztangą i hantlami, po bokach: łóżko, stolik, lustro. Ściany szczelnie zakrywały krzykliwe plakaty cyrkowe w najdziwniejszych językach, także pisane „ruskimi”, a nawet „kitajskimi” znakami. Na wieszakach wisały różne rodzaje tego samego trykotu, jaki potwór miał na sobie – złote, srebrno-niebieskie, czarne w białe pasy...

Tymczasem Klaus Ordon chwycił jajko, zrobił drutem dziurkę w skorupce i wypił zawartość. Jego przekrwione oczka dokładnie badały każdy szczegół Felusia. Usiadł na łóżku, chwycił walający się w okolicy poduszki kawałek kiełbasy i przeżuwając ją, wciąż patrzył. W końcu zapytał wysokim głosem:

– Podobno lubisz się ruchać, *maładiec?*

Feluś zdębiał. Zmroziło go. Mimo to nie stracił języka w gębie. Tak naprawdę jego doświadczenia w tej kwestii wciąż były nader ubogie. „Kto panu to powiedział?” – chciał zapytać, ale szybko się zorientował, że to już nieistotne, mleko już się rozlało, w tej chwili trzeba się skupić na pilniejszych rzeczach.

– A to już zależy się z kim... – odparł, postanawiając, że nie da się wziąć żywcem.

– Nazywa się Dron. Józef Dron. Tak mam zapisane w notatkach.

W sali odpraw Piątek chodził nerwowo wzdłuż ściany z tablicą.

Wszyscy w zespole czuli, że po raz pierwszy zbliżyli się do Tancerza. Zmęczenie znikło jak ręką odjął.

– Przesłuchiwałem tego potwora Klausa Orдона, a on akurat siedział u niego. Ale nie mieszka w cyrku. Potraktowałem go wtedy jak zwykłego gościa przesłuchiwanego świadka. Czyli wyprosiłem go na zewnątrz, tylko wcześniej zanotowałem imię i nazwisko, rutynowo, zgodnie z procedurą. Goguś z zabandażowaną ręką, jękający się. Bardzo zadbany, elegancki, czarny garnitur, biały szal. Słuchajcie, nie możemy go spłoszyć! Łatwo kogoś złapać, jak się już wie, kto to jest, ale udowodnić? Żeby nam się nie wymknął. Przede wszystkim musimy zdobyć jego zdjęcie i pokazać wszystkim świadkom. Po drugie, musimy zarządzić całodobową obserwację. Im dłużej, tym lepiej. Tylko chcę prawdziwych mistrzów śledzenia, nie żadnych patałachów! Staszka Kawczaka trzymajcie z daleka! Musimy przetrząsnąć mieszkanie podejrzanego, kiedy wyjdzie. Choroba! Najlepiej by było przyłapać go na gorącym uczynku. Kaziu, ustal jego adres.

– Wanda ustali najszybciej, wiesz, że ona jest najskuteczniejsza.

– Właśnie, zawołaj tu pannę Wandzię!

Wanda przyszła i usiadła z nimi, pilnie notując swoim kaligraficznym pismem rzeczy do sprawdzenia.

– Pani Wandziu: adres Józefa Drona, zawód, wiek, gdzie urodzony, czy ma rodziców, żonę, dzieci i wszystko, czego może się pani o nim dowiedzieć. Mazanek, Maślanka i Jędrzek Klimuszko: gdy tylko panna Wanda ustali adres,

śledzicie go po kolei. Najpierw jeden, potem przejmuje go drugi i kolejno trzeci. Musicie jakoś zrobić mu zdjęcie, żeby tego nie zauważył, albo weźcie ze sobą tą kurwę ze Zlewu, Natalię Tarchałą, żeby go jej pokazać. Tylko, na Boga, dyskretnie!

– Ja mogę go śledzić – zaoferował się ofiarnie Staszek Kawczak. Wszyscy naraz krzyknęli „nie!”.

– Tobie już, Stasiu, dziękujemy za udział w śledztwie. Bardzo nam pomogłeś.

– A może by go tak od razu do mnie, co? – zapytała przodownik Woźniak. – Trochę go popieścić u Zbyszka, hm?

– Ani mi się waź!

– To co mam robić? – zapytał Staszek Kawczak.

– Nic na razie nie rób. Siedź tu i odbieraj telefony za pannę Wandzię.

– Jeszcze czego! Już ja sobie sama ze wszystkim poradzę! – warknęła na to panna Wanda. Mimo zmęczenia wszyscy wybuchli śmiechem.

Na placu Zwycięstwa znajduje się w naszym mieście N*** cukierenka Apollo. Mały Felek, uwolniwszy się od swojego kłopotliwego nowego znajomego, bandyty i atlasa cyrkowego, a także wycyганиwszy od niego okazałą zaliczkę za przyszłe usługi seksualne, na szczęście nie dla niego, tylko dla „jednej bogatej damy”, stał teraz z zadartym nosem przed witryną i zastanawiał się, co by też sobie kupić. A było z czego wybierać! Literalnie całą wystawę oblepiały reklamy rozmaitych słodkich produktów. Woda gazowa i syfonowa, limoniada cytrynowa i pomarańczowa, kolorowe kulki w słojach, bajgle, lody, pączki ze skórką pomarańczową, torty, czekoladowe „pocałunki Murzyna”, drożdżówki całe w słodkich krostach i lukrze, cukierki toffi Wedla, czekoladki Sucharda...

Już przed cukiernią pachniało świeżo pieczonym ciastem i kawą tak mocno, że nie dało się nie wejść, mając przy sobie niezłą sumkę. W końcu będzie się od niego wymagało witalności i energii, więc chyba warto wzmocnić siły! Kto wie, jaka to bogata raszpla mu przypadnie. Felek nie musiał liczyć kalorii, na co dzień często chodził głodny, a wszystko, co jadł, zaraz wybiegał, bo miał charakter w nogach i dlatego wszyscy go ciągle z czymś wysyłali lub po coś posyłali. Zanieś, mały, te kwiaty takiej pani na Rzeczną piętnaście mieszkania siedem, a jak cię wyrzuci i pobije, to trudno, tu masz dwadzieścia groszy. Ta pani na pewno będzie cię próbowała zabić, ale to nic, postaw kosz pod drzwiami, zadzwoń, a jak otworzy, uciekaj. W końcu masz charakter w nogach. Zanieś, mały, tę paczuszkę z kawałkiem trupa panom policjantom na Sztabową, a jak będą cię chcieli zamknąć, to w nogi. W końcu masz charakterek w tych girach. Pójdiesz o trzeciej w nocy na Węglową, wleziesz przez okno, ty taki chudy, smytki, weźmiesz

szkatułkę, co leży na stole, a jak cię w ogrodzie psy będą chciały rozszarpać, to co tam, kto ma umieć uciekać, jak nie taki charakterny w nogach jak ty?

Felek wszedł do cukierni, usiadł przy czarnym okrągłym stolczku i zamówił kawę oraz wyjątkowo pyszny sernik. Właścicielką była pani Emilia Wolska, zwana w mieście Ciocią Kawką. Stała za ladą w czarnej sukni z białym fartuszkim i kawałkiem koronki wpiętym w wysoki kok, nabijając każdy zakup na przepiękną, ozdobną, cudnie zdobioną srebrem kasę na korbkę. Pani Wolska przyglądała się łaskawie młodemu gościowi. Nasypała ziaren kawy do młynka i zaczęła je mleć ręcznie. Felek przełknął ślinę. Ostatnio często miewał forszę i dogadzał sobie, ile wlezie, mimo to wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do takich luksusów. Wyciągnął kupione w trafice sztywne pudełko egipskich przednich, wysupłał jednego papierosa, ścisnął brudnymi palcami i tak już lekko spłaszczoną końcówkę i zapalił, zaciągając się głęboko. Pani Emilia usłużnie podała mu popielniczkę. Feluś czuł się jak hrabia!

Potem było dużo, dużo cukru, ciasta, bitej śmietany, lodów, kawy i koniaku.

Najedzony i zregenerowany, zegnany miło przez panią Emilię, opuścił w końcu gościnną cukiernię Apollo – z kieszeniami pełnymi krówek. Przeszedł kawałek i zatrzymał się przy gablocie z fotosami filmowymi i kabaretowymi. To był jego stały przystanek. Przycisnął nos do szyby, za którą rozpościerał się inny świat! Jego kumpel, Wacek, syn tragarza z Dworca Petersburskiego, żartował, że to od ciągłego wpatrywania się w witrynę Felek ma tak zadarty nos. W tym innym świecie nie było błota, deszczu, Żydów, kataru ani grypy, rosły w nim za to tekturowe palmy, a na nich – tekturowe ananasy, mieszkali umazani pastą do butów Dobrolin dzicy Murzyni, którzy wachlowali liśćmi bananowca piękne, choć nieco ciężkawe nimfy siedzące na styropianowych, pomalowanych na zielono liściach lilii wodnych pływających po styropianowej wodzie. Skąpe stroje nabijane były „prawie prawdziwymi” brylantami. Felusiowi odbiło się eklerem i kawą, co było wcale przyjemne. Patrzył na Sarę Berg. Ona patrzyła prosto na niego. Nie była nimfą, nie siedziała na nenufarze, żadni fałszywi Murzyni z dzikich wysp Dobrolin nie

wachlowali jej liśćmi bananowca. Stała na zaciemnionej scenie w białym kole punkowego światła. Chuda. Prawie brzydka. Ubrana w męski garnitur i cylinder, białą koszulę i krawat. Ręce nonszalancko trzymała w kieszeniach. Była blada. Miała nieskazitelną cerę, narysowane cieniutkimi kreskami brwi i usta oraz rzęsy długie na dwa kilometry...W kąciку ust o konturze wyznaczonym z maniacką dokładnością zawadiacko tkwił krótki, męski papieros bez filtra, po prostu robotniczy pet. Wpatrywała się w Felusia z powagą, z jakąś ostentacyjną determinacją, jak patrzy się w lufę pistoletu.

– Strzelaj! No, na co czekasz? Jestem gotowa, zabij mnie! – szeptała z fotografii.

Felek oglądał to zdjęcie nie po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, oglądał je codziennie. Ale nie wiedział, że po raz pierwszy miał za chwilę udać się do obiektu swych westchnień. Wyciągnął kawałek kościanego grzebyka i spróbował przeczesać swoją gęstą rudą czuprynę, przeglądając się w szybie. Nie dał rady.

W tym samym czasie Sara Berg siedziała po skończonym występie w garderobie i wpatrywała się w zdjęcie Felusia, które przezornie zrobił Alfred i dał Klausowi Ordonowi do wglądu klientce. Czuła rozkoszny dreszcz. Patrzyła na rudą czuprynę, tak gęstą, że złamałby się na niej każdy grzebień. Palila papierosa bez filtra.

– Strzelaj! No? Na co czekasz? – wyszeptała do fotografii. Potem zakręciła korbką telefonu i zadzwoniła po auto. Do domu! Jak najszybciej! Nie będzie zmywać scenicznego makijażu. Obrysowane z maniacką dokładnością usta i długie rzęsy na pewno jeszcze się dziś przydadzą. Ulicznik ma przyjść o dwunastej w nocy...

Do północy zostały jeszcze dwie godziny. Było zimno. Feluś włóczył się po wąskich i brudnych uliczkach tej smutnej i szarej dziury. Nienawidził jej! Wszystko zewsząd krzychało: prowincja! Siedział na Dworcu Petersburskim i swoim zwyczajem gapił się na pociągi odjeżdżające do dalekich miast. Lwów. Wilno. Stanisławów. Terespol. Brody. Drohobycz, Borysław, Truskawiec, Grodno... Oto

przed dworcem plują na nierówne kocie łby opryskliwi woźnice. Nie mają imion, tylko każdy z nich nosi na plecach numer w kółku. Ich konie zanurzają głowy w workach z obrokiem tak głęboko, że wystają im jedynie uszy. Oto zawiany żołnierz z papierosem przyklepionym w kąciку ust, zupełnie jak u Sary, włóczy się wokół dworca w poszukiwaniu własnego przeznaczenia. Oto niemłoda, melancholijna dziewczka w kapeluszu jak garnek nasuniętym na same oczy, że pewnie nic spod niego nie widać, która może właśnie tym przeznaczeniem się okaże. Lepiej nie widzieć dokładnie, jaki to towar jest do wyrwania. Oto oparty na murku lowelas grający na mandolinie. Oto dwóch znanych Felusiowi wyrostków krąży cały boży dzień w jaskrawo pomalowanych pudłach z napisem „DOBROLIN – bez trudu daje piękny połysk obuwiu!” w charakterze żywych reklam – co Feluś zawsze uważał za robotę poniżej swojej godności i kwalifikacji. Oto chuda szkapą ciągnie po bruku beczkę na dwóch kołach. Na przodzie z maniakalną symetrią ustawiono sikawkowych, a przed nimi, równie symetrycznie, leży dwóch na samym przodzie. Inne zrobione są na tle wozu drabiniastego. Oto węglarz ciągnie wózek z węglem. Przez okno miga Felusiowi impreza z okazji bar micwy. Jego spojrzenie na chwilę krzyżuje się ze spojrzeniem przejętego młodego Żyda. Oto gimnazjum Świętego Wojciecha, do którego chodzą chłopcy z dobrych domów. Oto kino Kometa, hurtownia marzeń. Migające żarówki zabarwiają na czerwono kałuże. W repertuarze *Pan Tadeusz*, niestety, on już go widział ze sto razy. Idzie dalej. Osmalone kominy, niskie zabudowania, przybudówki, ulice wytyczone przez różnej wysokości budynki: polski kloc, potem nagle ze spadowym dachem krytym strzechą. Błoto. Dźwięki dzwonów. Zgrzytliwe szurania szufli zwalających węgiel do piwnic. Oto zakonnice w okularach i czepkach ze śmiesznymi, falującymi z każdym krokiem białymi skrzydłami, które jak nieszczęścia i jak policjanci zawsze chodzą parami – trzeba chwycić się za guzik. Oto nosiwoda z wiadrami wiszącymi po obu stronach koromysła opartego o kark. Remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Przed nią znowu oszklona gablota z ciekawymi zbiorowymi fotosami wąsiastych strażaków w dziwnych hełmach. Na jednym sikawkowi są ustawieni z maniakalną symetrią, a przed nimi, z przodu, dwóch leży. Inne zrobione są na tle

wozu drabiniastego. Feluś odbija swój nos jak stempel na szybie i idzie dalej. Zasmarkane dziecko biegnie ulicą, gnając przed sobą na kijku kogucika na kółkach. Feluś mija biedny cheder. Przy kasynie oficerskim i koszarach stoją dziwki. Bezmyślne, zapatrzone w pustkę, te śpiące panny ledwo co widzą spod swoich kapeluszy jak hełmy. Potem rynek, na nim studnia z pompą i baby w chustach plotkujące przy niej godzinami. Wokół pompy jak zwykle kręcą się bezpańskie psy. Bezprizorne, jak on. Dwie Żydówki z drogimi kolczykami przywiązanyymi sznurkami do uszu, żeby ich nikt im nie wyrwał. Oto kilku gazeciarzy, których Feluś dobrze zna, ale ma ich zajęcie w pogardzie, bo to kiepski interes. Siedzą na murku i liczą swój niewielki urobek, jaki zarobili na światowych kataklizmach.

Słup ogłoszeniowy cały w reklamach i plakatach: akcja „Kropla mleka” (z bobasem, którego Piątkowi bardzo często przypomina Mazanek), znowu ten Dobrolin, reklama nowej rewii w To i Owo pod tytułem *Cóż bez miłości wart jest świat?* „Pod jego przewodem” – plakat z Piłsudskim trzymającym model nowego domu. Przejeżdża kominiarz na rowerze – znowu guzik idzie w ruch. Wielki plakat operetki, *Księżniczka czardasza*, w reżyserii Juliusza Sawickiego, w roli Sylvii Varescu – Nina Melcer, w roli Boniego – Stanisław Miłoszycki, w roli Anhildy – Bogusława Majecka Szmuc. Nekrolog: Józef Dron... Śmieszne nazwisko...

W tym czasie panna Wanda ustaliła, a następnie wystukała na maszynie Orzeł, co następuje:

*Osobnik, który przebywał w baraku podczas przesłuchania Klausa Ordona, atlasa z cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld, podał fałszywe nazwisko. Jedyne Józef Dron w mieście N*** zmarł był bowiem na tydzień przed owym przesłuchaniem pod adresem Krawiecka 10 mieszkania 1 w suterenie. Przyczyna śmierci: zadławienie wywołane zbyt łakomym jedzeniem spożywaniem obiadu (gęś z kapustą na gęsto). Ponieważ adres Krawiecka 10 pokrywa się z adresem świadka Dorothe Hensel, prawdopodobnie osobnik podający się za Józefa Drona tam bywał, na przykład odwiedzając świadków świadkinie Martyniuk Karolę (pseudonim „Lux Torpeda”, zaginiona) oraz Stukonis Ninę (pseudonim „Ninel”, trup zwłoki ofiara), które wynajmowały u rzeczony Hensel Dorothe ampie na poddaszu. Ta Hensel mieszka Krawiecka 10 mieszkania 35. Dodać należy, iż rzeczony Dron Józef był zameldowany pod wskazanym adresem (Krawiecka 10 mieszkania 1) u swojej konkubiny, niejkiej Pauliny Przybysz-Łucarz (pseudonim „Arabella”) i to na nią zapisane jest wyżej wzmiankowane mieszkanie wraz z pomieszczeniem piwnicznym. Owa Przybysz-Łucarz trudni się wróżbiarstwem, stawia tarota i ~~Bóg wie co jeszcze~~. Jest to osoba wysoce podejrzana, a jej proceder – nielegalny. Jak udało się ustalić, ~~obydwie świad~~ zarówno Martyniuk Karola, jak i Stukonis Nina wielokrotnie korzystały z usług swojej sąsiadki, Łucarz Pauliny, płacąc jej za usługi, które miały na celu w sposób magiczny i nielegalny poprawić ich finansowy los, ponieważ uskarżały się one na zbyt niskie i nieregularnie wypłacane pensje w kabarecie To i Owo. Wnioski: osobnika podającego się za Drona Józefa należy szukać w kręgu osób bywających na Krawieckiej 10, czy to u Dorothe Hensel, czy to u Pauliny Przybysz-Łucarz.*

Z poważaniem: Wanda Zarembianka, młodszy referent

– Czyli co? Sąsiad? – zapytał Mazanek. Stał przed lustrem w toalecie i poprawiał grzebieniem swoją wypomadowaną fryzurę, czekając, aż Piątek skończy sikać do pozólkłego pisuaru. Była już ósma, a oni wciąż tkwili na komendzie.

– Niekoniecznie. Gdyby był sąsiadem, raczej nie podawałby imienia i nazwiska faceta, które zaprowadzą nas do jego bramy. Ale że tam bywał, u Martyniuk i Stukonis lub u tej Przybysz-Łucarz, to pewne. I to, zauważ, już po tym, jak panie przestały pojawiać się w swojej speluncie na strychu. Musimy ustalić, od kiedy wisi ten nekrolog. Moim zdaniem przykleili go już po zniknięciu Stukonis. Czyli morderca bywał tam albo u dziewczyn, albo nie tylko u nich, albo w ogóle nie u nich.

– To co? Idziemy do wróżki?

– A nie chciałbyś wcześniej zjeść czegoś porządnego? Od rana nic nie miałem w ustach...

– Powiedz mi, Kaziu, co zostałyby z całej tej traumy mordercy po dokonaniu zabójstwa, gdyby to nie było karalne? Czy wymiotowalibyśmy? Dostawali zwidów? Widzieli krew na rękach jak lady Makbet? Spali w malignie z okrwawioną skarpetką w objęciach, jak Raskolnikow?

Siedzieli w Gastronomii na Kamiennej i zachłannie pożerali tatara, „który to tatarak – jak twierdził ober, pan Czerwiński – jeszcze wczoraj skakał wesoło po łące”, fernal Michaś Jędrzejko nie dalej jak rano go przywiózł. Pili piwo marcowe i uważali, że tak właśnie powinien wyglądać świat i taki właśnie pozostanie. Zawsze będą ober, piwo marcowe, fernal Michaś Jędrzejko, cygara. Cieszyło ich to, bo rozumieli, że osiągnęli coś na kształt nirwany. Świat jest taki, jaki powinien być, przynajmniej tu, w Gastronomii, i zawsze taki będzie. Kojące.

– Po prostu wszyscy by się pozabijali. Śmierć jest często tak przydatna... Otwiera puste miejsca w rzeczywistości, które można zająć. Oczyszcza. Nie ma człowieka – nie ma problemu. A nieraz i całych zespołów problemów. Ktoś, kto raz nauczył się rozwiązywać sprawy zabijaniem, nie może się nadziwić i nacieszyć, jak bardzo skuteczny jest to sposób. A gdyby jeszcze nikt go za to nie poszukiwał? Dajmy na to, że twoja żona, a moja ulubienica Stefcia poszła do fryzjera, gdzie dała sobie prażyć włosy w hełmie elektrycznym. I coś jej tam przypalili, więc ona, niewiele myśląc, wyjmując z torebki swój pistolecik i zabija fryzjera.

– Który ty jesteś rocznik, Kaziu?

– Tysiąc dziewięćset trzy.

– To gdy zaczęła się wielka wojna, miałeś jedenaście lat, a kiedy się kończyła, byłeś piętnastoletnim gówniarzem. A ja jestem rocznik tysiąc osiemset

osiemdziesiąt jeden... W tysiąc dziewięćset czternastym miałem trzydzieści trzy lata. A po czterech latach miałem już sto. Byłem wrakiem. Powinienem już wtedy umrzeć ze starości i wypalenia. Okazałem się idealnym poborowym, choć mam platfusa, zapadniętą klatkę piersiową, niedowidzę i żaden ze mnie osiłek. Ale brali wszystkich. Oni nawet zwłok zabitych żołnierzy nie zwolniliby ze służby, tylko posklejali i wysłali z powrotem na front! Byłem w armii austro-węgierskiej i biłem Polaków walczących w armii rosyjskiej. Wiesz, że potem zostałem ranny i wylądowałem w lazarecie, ale wcześniej ilu ruskich zabiłem, nie jestem w stanie policzyć. Zupełnie niewinnych chłopców, którzy nigdy nic mi nie zrobili. Może więcej niż nasz Tancerz i Kucharz? A jednak tylko order dostałem. Miałem wyrzuty sumienia przy pierwszym, przy trzecim minimalne, a przy kolejnych już w ogóle. Pięć minut po zabiciu jadłem spokojnie chleb ze smalcem. Jak wszyscy oddawałem się w nocy madame Anieli Gołowas, która wraz z innymi ładacznicami stacjonowała w namiocie przy naszym pułku i salutowała po każdym numerku. Jak wszyscy zarażałem się od niej syfilisem i wszami. Nieraz ręce miałem całe we krwi, czasem nawet po umyciu ich w misce za paznokciami zostawała krew, ale nie przerażało mnie to jak lady Makbet. Takie to wszystko względne. Siostry w lazarecie pochylały się nad moimi ranami w nabożnym skupieniu, byłem ich najświętszym bohaterem. A robiłem przecież tylko to co dziś Tancerz. Byłem takim samym bydlakiem jak mąż, który po pijaku pchnie żonę na zlew i rozbije jej głowę, a żeby sprawa nie wyszła na jaw, zakopie ciało w lesie. Pomyśl: każdy, kto zabija na wojnie wroga, popełnia pospolite zabójstwo. Zmuszają cię do popełniania zabójstw i jeśli nie możesz się od tego uchylić, na dobrą sprawę powinieneś strzelić sobie w łeb. I teraz zamiast gnić w ziemi, bo przecież powinni mnie skazać na śmierć, piję sobie z tobą to przednie piwko marcowe i zajadam tatarą, „który jeszcze wczoraj skakał wesoło na łące” – jak mówi nasz nieoceniony pan Czerwiński. – Piątek zamyślił się i łyknął piwa. – I, do diabła, dalej nie mam żadnych wyrzutów sumienia, że zamordowałem tych Rosjan!

– A nasz Tancerz? Jakie problemy ze światem załatwia? Bo że już odkrył lekkość i łatwość zabijania, to pewne. Teraz już zabija każdego, kto stanie mu na

drodze.

– Nie stanie na drodze, tylko choćby przejdzie obok. On już nie odróżnia zabijania od rozmowy, od oddychania. Zauważ, że on jeszcze ani jednego zabójstwa nie popełnił w dzień. Popatrz na to, wypisałem sobie. – Mazanek wyciągnął swój notes.

1. Cieślak (nie wiadomo) – brzytwa
2. Ninel (w nocy; po zabiciu ukryta w parku tak, aby jeszcze tej samej nocy została znaleziona)
3. Mecenas Karwowski (w nocy; rano nie odebrał gazety) – brzytwa
4. „Telegraf” Legutko (w nocy, w kiblu To i Owo) – uduszony
5. Babiński (w nocy, u robotnika)
6. Piotr Gazcarz, młody robotnik, którego niby to zabił Babiński (jak wyżej)
7. Karola „Torpeda” Martyniuk (zaginiona tej nocy, której zginął Legutko)
8. prostytutka Mercedes ze Zlewu Centralnego – znikła, nie wiadomo o której, ale kurwy zawsze znikają w nocy
9. Lola, kurwa ze Zlewu Centralnego – nadcięta „na steka” w nocy (brzytwa), ocalała
10. Alfred (zaszlachtowany w nocy przy wychodku w podwórku podłej knajpy) – brzytwa

– Ta... on jest jak ćma, co ożywa nocą. Nienawidzi nocy, ale nie potrafi usiedzieć wtedy w domu. Myślę jednak, że łatwiej zbliżymy się do niego od strony tego nekrologu. Musiał go widywać, i to często. Powinniśmy wziąć pod lupę klientów wróżki Arabelli.

– A co z fryzjerami? Ta brzytwa...

– W dzień moich urodzin byłem na dworcu u fryzjera, no wiesz, u pana Wincentego...

– Znam go. – Mazanek, jako elegant i miłośnik pomady, znał wszystkich fryzjerów w mieście.

– Tak mi zachwalał jakieś superbrzytwy do kupienia na zamówienie wyłącznie u niego... Ponoć nie ze stali damasceńskiej tylko z lotniczej. Pomyślałem wtedy, jak bardzo fryzjerzy są związani emocjonalnie ze swoją brzytwą... Może byś tak przeszedł się po fryzjerach? A zacznij od pana Wincentego, popytaj, kto u niego zamawiał taką brzytwę ze stali lotniczej...

– Ale oto i nasze flaczki wołowe na piwie, specjalność zakładu pana Czerwińskiego!

– To nie są flaczki, panowie, ostrzegam, to jest poezja, to jest deser! – Ober uśmiechał się pod wąsem od ucha do ucha. – Wszystko ściśle podług przepisu madame Ćwierczakiewiczowej! Smacznego, panowie!

– Mówiąc szczerze, Adolfie, nie wiem, czy po tych twoich opowieściach z wojny teraz owe flaczki przełknę...

– Jedz, jedz, pod wódkę. Musimy się naradzić, jak rozegrać sprawę z wróżką. Jak jej tam? Arabella. To może być niezła swołocz. A może on do niej przychodził jako klient? Może wierzy w takie bzdury?

Mazanek zaczął jednak wcinać flaki, aż mu się uszy trzęsły. Piątek musiał chwilę czekać na odpowiedź.

– Klientów to ty z niej nie wyciągniesz. To jest tajemnica. Ona gwarantuje dyskrecję. O, proszę! Znalazłem jej ogłoszenie w „Gazecie Polskiej”. – Mazanek rozprostował pomiętą gazetę i otworzył ją na przedostatniej stronie. Ogłoszenie było ozdobione okiem, od którego na wszystkie strony odchodziły promienie. Pod nim stało:

Słynna chiromantka Arabella!

Niezastąpiona w odnajdywaniu osób zaginionych.

Świetnie określa charakter, zdolności i przyszłość.

Daje wskazówki i rady we wszystkich zawikłaniach życiowych.

Posiada przyrodzoną intuicję i dar jasnowidzenia.

Odczytuje linie rąk i rysy twarzy.

Przepowiada z kart systemem Lenormand i De Thébes.

Przyjmuje cały dzień.

Dyskrecja gwarantowana.

Krawiecka 10 mieszkanie 1 (w suterenie).

– No to jak nam nie wyjdzie, napuści się na nią Stachę... Już ona da sobie radę z jej dyskrecją.

Panowie roześmiali się i przepili do siebie. Wąsaty pan Czerwiński wniósł słoje ogórków małosolnych, a jego mały piegowaty pomocnik, około dwunastoletni chłopiec kredensowy Ignac z jednym odstającym uchem, jakby go za nie wiecznie ciągnięto, przydźwigał dzban kompotu gruszkowego. Potem usunął się z powrotem do kredensu. Poza nimi w Gastronomii obsługiwała też starsza gruba kobieta, niezbyt uprzejma i w niezbyt świeżym fartuchu. Zajmowała się podawaniem ciast, bab, mazurków, racuchów, maślanych bułeczek cesarza Franciszka i wszystkiego, co słodkie i smażone.

– Zaraz wjedzie karkóweczka pieczona z kminem i knedle, pyszności! – poinformował ober i znikł zaaferowany w kuchni.

GWIAZDY MÓWIĄ! (w suterenie)

Wyblakły szyld ozdobiony okiem z promieniami przywitał ich w bramie na Krawieckiej jeden.

Piątek i Mazanek byli już solidnie wstawieni, gdy około jedenastej w nocy załomotali (o wiele za mocno) do mieszkania Pauliny Przybysz-Łucarz vel wróżki Arabelli. Mazanek nawet kopnął w drzwi, nad którymi po bożemu wypisano kredą K + M + B. Po chwili uchyliły się one na szerokość łańcucha i ze szczeliny wyjrzała przerażona kobieta w turbanie. Mazanek podsunął jej pod nos odznakę tak gwałtownie, że mało jej go nie złamał.

– Spokojnie, Kaziu... Spokojnie i kulturalnie... – zwrócił mu uwagę Piątek. – Pani wybaczy, że nachodzimy o tak późnej porze, ale prowadzimy śledztwo w sprawie wielu morderstw popełnionych przez tę samą osobę i sprawa jest najwyższej wagi.

Kobieta patrzyła na nich przez chwilę bezradnie, wreszcie zdjęła łańcuch i wpuściła do środka. Była już starsza, ale mocno umalowana i ubrana z najwyższą starannością, jakby w każdej chwili, przez całą dobę, gotowa na gości.

Mieszkanie wyglądało na czyste, ale urządzone było pretensjonalnie. Widać było, że nie tylko pani domu, ale i cały przybytek musi być zawsze gotowy na przyjęcie klientów. Dlatego miało ono coś z hotelu czy burdelu. Gospodyni wprowadziła ich do dużego salonu, gdzie wszystko zdawało się po to, by stwarzać nastrój mających zaraz nastąpić magicznych wydarzeń. Od razu natknęli się na dziwne urządzenie, przypominające centralę telefoniczną z tarczami, na których klient musiał wykręcić swój rok urodzenia. Osiągnięty w ten sposób efekt był

odwrotny od zamierzonego – tandetny i fałszywy. Ściany pomalowano na granatowo w złote gwiazdy. Przy kanapie dla gości stały na stoliku duża szklana kula oraz taca z cukierkami. Choć salon tchnął czystością i panował w nim wielki porządek, miał jednak w sobie coś z pokoju na godziny. Nastawienie na gościa. Cukiereczki dla gościa. Wystrój dla gościa. Wschodni turban na głowie wróżki i jej strój podobny do indyjskiego sari. Wszystko przymilało się gościowi, aby tym głębiej zapuścić żurawia w jego kieszeń. Ckliwa słodycz cukierków była niczym ręczniki złożone na łóżku w pokoju hotelowym. Przymilnie fałszywy, jak szczeka emerytowanej gwiazdy, nastrój magii. To nie było mieszkanie prywatne. Nawet wielka klatka z przepiękną niebiesko-pomarańczowo-czarno-czerwona papuga arą wydawała się na pokaz. Ten salon to poczekalnia wróżki, a ona sama nie biegała po domu w papilotach. Przyjmowała o każdej porze i zapewne spała w makijażu.

Panowie usiedli na kanapie, wzgardzili cukierkami i zapalili. Pani domu podała im popielniczkę w kształcie – a jakże – podkowy, usiadła w fotelu i zapatrzyła się w kulę. Piątek poczuł, że popełnili poważny błąd, przychodząc tu zmęczeni, nażarci i właściwie pijani.

– Słucham panów, w czym mogę pomóc? – przerwała ciszę kobieta.

– Widzi pani, kilka tygodni temu zmarł pani konkubent.

Ku zdziwieniu policjantów to niewinne stwierdzenie powszechnie znanego faktu przeraziło Paulinę Przybysz-Łucarz. Spłoszona odruchowo zasłoniła usta ręką.

– Ja... Nie! To nie żaden konkubent. To zwykły mój znajomy. Nie posiadał aktualnie mieszkania, bo... miał problemy z pracą, przecież wiecie panowie, jaka teraz jest trudna sytuacja. A mnie nawet wtedy nie było w domu! Zawsze był żarłokiem, zawsze! Tysiąc razy mu powtarzałam: „Nie rzucaj się tak na jedzenie, nikt ci tego nie zabiera!”. Ale on nie, on się właśnie rzucał. I takie kłopoty na mnie sprowadził! Za miętkie miałam serce, trzeba było powiedzieć twardo: „Józek, trudno, ja nie jestem noclegownią, musisz sobie radzić sam!”.

Panowie nie mieli najmniejszych wątpliwości, że gdyby Przybysz-Łucarz mogła tak postąpić, ani chwili by się nie zawahała. Czyli musiała być jakoś od tego Józka zależna...

– Niby taki daleki znajomy, jednak nekrolog pani powiesiła.

– Owszem, powiesiłam i pogrzebałam tego drania na własny koszt, ponieważ wiedziałam, że jego dusza mogłaby mi bardzo przeszkodzić. Widzi pan, w mojej pracy aura miejsca, czystość owej aury jest bardzo istotna. Ważne, aby nie dochodziło do żadnych zakłóceń.

– Mniej więcej tak jak z anteną radiową? – spytał Mazanek niewinnie.

– Powiedzmy. – Uśmiechnęła się.

– Gdzie pani powiesiła nekrolog?

– Jak to: gdzie powiesiłam? W bramie. Na drzwiach bramy przylepiłam. Ale ja nie rozumiem...

– To nie jest konieczne, wystarczy, że my rozumiemy. Tylko jeden nekrolog pani powiesiła? Ten na bramie? Proszę się skupić, to jest bardzo ważne: czy powiesiła pani jeszcze jakiś drugi egzemplarz, a jeżeli tak, to gdzie?

– Powiesiłam. Zamówiłam piętnaście sztuk, ale rozkleiłam tylko dwa. Uznałam, że jego dusza...

– Tak, rozumiemy. Uznała pani, że jego dusza zadowolony się samym kupieniem nekrologów i nie będzie się czepiać. A teraz bardzo ważne: gdzie powiesiła pani drugi nekrolog?

– Byłe gdzie, chodziło mi jedynie o to, żeby się ode mnie odczepił.

– Ale gdzie?!

– Na słupie ogłoszeniowym. Przed remizą straży pożarnej stoi taki słup.

Mazanek z Piątkiem spojrzeli na siebie. Wiedzieli, o który słup chodzi.

– Zostaną pani okazane zdjęcia. Chcielibyśmy, aby wskazała pani na nich osoby, które pani kiedykolwiek widziała.

Piątek podał Paulinie Przybysz-Łucarz plik fotografii ze wszystkimi ofiarami Tancerza pomieszanymi z fotografiami swoich krewnych i znajomych. Kobieta

wzięła je wszystkie w wypielegnowane dłonie zakończone polakierowanymi na czerwono paznokciami. Pierwsze zdjęcie nie przedstawiało żadnej z ofiar, tylko złośliwego i niekochanego w rodzinie brata jego żony. Przy drugim zbladła.

– To Nina Stukonis. Wynajmowała u tej przeklętej Hensel, tu, u nas... Tą drugą, Karolę, też zamordował?

Paulinie Przybysz trzęsły się ręce.

– Tego na razie nie wiemy. Znikła. Proszę pani, te dwie dziewczyny przychodziły do pani, aby im pani wróżyła. Czy może nam pani powiedzieć coś więcej o ich życiu? – zapytał Piątek, zaciskając ukradkiem kciuk, aby „dyskrecja gwarantowana” okazała się tylko sloganem w ogłoszeniu.

– Wszystko wam powiem, żebyście tylko znaleźli tego bydlaka. – Paulina Przybysz-Łucarz odsłoniła następne zdjęcie przedstawiające jednego z równie niekochanych przez Piątka dalekich krewnych.

– Ten do mnie przychodził.

Piątek uśmiechnął się pod wąsem i szturchnął Mazanka.

– Proszę opowiedzieć o dziewczynach.

Paulina Przybysz westchnęła ciężko.

– No, co tu dużo gadać, straszne było to ich życie! Klepały straszną biedę. Musiały się oddawać klientom w To i Owo za pieniądze, bo inaczej by nie wyżyły. Pracowały więc od rana na próbach girls, tańczyły jako fordanserki i jeszcze wykonywały ten najgorszy zawód, a wszystko to i tak nie chroniło ich przed najczarniejszą nędzą. Mówiły mi, że czasem za cały obiad miały bułkę z wątrobianką... Próbowałam im pomóc, ale karma była bardzo zła wokół nich. Wciąż chciało im się palić i jeść. Były pozarazane, każda co najmniej raz psuła sobie dziecko. Taka jest ta nasza słynna młodość wiośniana lat trzydziestych. Karty pokazywały przy nich różne osoby, ale przy takim przerobie facetów któż to może wiedzieć, o którego konkretnie bruneta czy blondyna chodzi. Upijały tych gachów dla korków. Tyle zjadły i zapaliły, co oni im postawili. Kradły im tam czasami, ale co taka mogła ukraść, tego papierosa, jak się odwrócił... Natomiast wydaje mi się,

że Ninel miała jakiś romans, o którym nikomu nie mówiła, taki poważniejszy. Karty wciąż pokazywały przy niej blondyna, i to w kontekście śmierci. Pytałam ją o to wiele razy, nie chciała powiedzieć. Przestrzegałam ją przed niebezpieczeństwem, ale je interesował właściwie tylko aspekt finansowy. Za papierosa wsiadłyby do każdego samochodu.

– Właśnie tak było. Ninel... To znaczy... Trup miał w zaciśniętej dłoni niezapalonego papierosa. Na to ją złowił i pewnie wsiadła do jakiegoś samochodu...

Nad miastem N*** ostatecznie zapanowały dwa zimowe żywioły: mróz i ciemności. W ciemnościach, które zaczynały się już po trzeciej i trwały niemal do dziewiątej rano, działy się dziwne i magiczne rzeczy. Zmieniły się odgłosy. Nie wiadomo skąd w mieście wzięło się tyle psów i kościołów, ale gdy tylko się ściemniało, wszędzie biły dzwony, a szczekanie niewidocznych zwierząt wypełniało mroźną przestrzeń. Musiały to być groźne duże psy. Trzecim dźwiękiem było skrzypienie butów przechodniów idących po śniegu, czwartym – szuranie szufli spychających węgiel do piwniczek. Piątym – krakanie wron.

Lodowate powietrze nasyciło się wonią koksu, węgla, czadu i przedziwnych wyziewów z kominów domów, w których palono nie wiadomo czym. Sprzedawcy lemoniady poznikali z ulic, za to wylegli węglarze. Zduni i kominiarze mieli pełne ręce roboty w walce z czadem, a mieszkańcy aż pourywali guziki w paltach od ciągłego łapania się za nie. „Strzeż się czadu!” – takie hasło pojawiło się na słupach ogłoszeniowych i w gazetach. Wszędzie na poboczach zalegały przyzmy śniegu przyprószonego węglowym pyłem. Opryskliwi nawet w innych porach roku woźnice nie raczyli już w ogóle odpowiadać, tylko burczeli pod nosem, a z chrap ich zabiedzonych szkap buchały kłęby pary. Wszyscy pociągali z ukrytych w kozuchach butelek i piersiówek. Nikt nie był domyty, bo w takie zimno mycie się w misce to istna tortura. Wszyscy mieli katar, którego nie dawało się wyleczyć ani kodeiną, ani w ogóle niczym i który przechodził w długie i powikłane jak akcja dziewiętnastowiecznych powieści grypy. Karl z apteki Pod Trzema Murzynami robił kokosy.

W mieszkaniu Piątka było nieźle nagrzane, ale ich sąsiad od rana do nocy grał na okarynie serenadę Szuberta. Można było od tego zwariować.

W To i Owo niedożywione girlsy w brzydkich majtasach aż nad pępek marzły na próbach, chodząc po sali gimnastycznej z woreczkami grochu na głowach, i trzęsły się z zimna w przebieralni, bo Goldbaum w dzień oszczędzał na opale. Wynędzniali mieszkańcy ubogich dzielnic żywili się niemal wyłącznie kartoflami, kiszoną kapustą i chlebem ze smalcem. Idący chodnikiem, bardziej przypominającym ślizgawkę, woziwoda pośliznął się i wylał cały towar, który natychmiast zamarzł, aby mógł się na nim pośliznąć kolejny woziwoda. Blade twarze pozbawionych witamin mieszczan w niebieskim świetle gazowych latarni robiły upiorne wrażenie. Wszyscy wyglądali tak, jakby od lat mieszkali w piwnicy. Wszyscy byli rozdrażnieni. O kłótnię nie było trudno, szczególnie na targu, gdzie brakowało jakiegokolwiek ogrzewania. Ludzie popadali w otępienie, śnili długie, skomplikowane, surrealistyczne sny, z których po przebudzeniu prawie nic nie pamiętali. Budzili się zdezorientowani z nitką śliny przy ustach i koronkowym odciskiem poduszki na policzku. Portier z hotelu Angletterre przy ulicy Długiej zasnął z głową opartą na ladzie. Posępny Olle zwinął swoje stanowisko pucybuta sprzed kabaretu To i Owo. Posterunkowy Adam Pierożek zamęczał swojego towarzysza Walentego Kostańskiego najbardziej wymyślnymi chorobami i łykał całe garści tabletek z kogutkiem, a Kostański zamęczał Pierożka opowieściami o chorobach swojej żony i jej puszczaniu wiatrów („Dobry Boże, jak ona pierdzi! Wejść do niej pod kołdrę to prawdziwe wyzwanie! Trzeba by maski gazowej!”). Ten pierwszy zamęczał też niemieckiego aptekarza z apteki Pod Trzema Murzynami, Karła, magistra farmacji, który na zapleczu swojego renomowanego zakładu prowadził eksperymenty nad autorskimi kropelkami na ogólnie złą aurę, które reklamował potem dziko i wciskał każdemu, kto tylko poskarżył się na swoje zdrowie. Szły jak woda. Działały i na sadzę, i na szczekanie psów, i na krakanie wron, i na czad, i na mróz. Nic dziwnego. Zawierały mnóstwo cukru, alkoholu i wyciągów roślinnych natychmiast poprawiających humor. Były w nich ekstrakty z dziurawca, znamienia szafranu, głogu, kłącza perzu, ziela kocimiętki, kłącza tataraku, korzenia lukrecji plus jeden sekretny składnik. Pierożek od tych kropelek chodził wciąż nieco wstawiony, ale wesoły. Sekretny składnik poważnie i bardzo

szybko uzależniał. Była to mieszanina morfiny, efedryny, metamfetaminy i parakodeiny. Pyszności!

Bezdomna mme Aniela Gołowąs, najstarsza działająca kurwa w mieście, zamarzyła na śmierć z okrzykiem *Alles ist hin!* na ustach. Znalazła ją rano dziewczucha, która szła po drewno na opał do szopy w podwórku. Gołowąs wylądowała na stole w Zakładzie Medycyny Sądowej na Kaczej, co wywołało w mieście krótkotrwałą sensację, po czym wszyscy znowu popadli w otępienie. Poza lekarzem sądowym Zbigniewem Ziemkiewiczem, który pokroił Anielę na małe kawałeczki i każdy dokładnie obejrzał, licząc wszystkie choroby, jakie w życiu miała, i obserwując ich stadia. Nikogo to nie interesowało, nikt nie żądał od niego raportu. W jej jelitach znalazł guzik wojskowy z wielkiej wojny, monetę z Franciszkiem Józefem, nabój do pistoletu i wiele innych ciekawych rzeczy opowiadających historię jej długiego życia. Najwidoczniej nie wzorowała się na posterunkowym Pierożku i nie robiła sobie lewatywy.

Na Żabiej, u Myszki Katz, żydowscy grabarze pili okowitę, wściekli z powodu zamarzniętej ziemi, którą trzeba było przed kopaniem grobu polewać wiadrami wrzółki lub benzyną i rozpalać na niej ogniska. Gruźlicze prostytutki zacierały ręce na mrozie. Wszystkie miały przeziębione pęcherze i ciągle kucały w bramach i parkach. Rozeźleni na nie stróże kamienic zapadali w sen tak ciężki, że nie sposób się było dobić do bramy, gdy ktoś wracał po dwudziestej trzeciej. Nawet perspektywa dwudziestu groszy szpery nie powstrzymywała ich przed zaśnięciem.

W Zlewie Centralnym epidemia syfilisu rozszalała się do tego stopnia, że madame Visoansky z bólem serca i głowy zdecydowała się czasowo zamknąć przybytek. Dziewczyny bynajmniej nie poszły do szpitala, tylko wprost na ulicę, zarażać innych klientów. A tych nie brakowało. Pili wszyscy. Ojcowie rodzin wracali zawiani do domów, wcale się nie spiesząc i nie paląc do awantur, które niechybnie urządzią im żony. W bramach apasze pili wódkę wprost z butelki, a potem tłukli ją w „tulipanka”, a tam, gdzie są broń i wódka, zawsze znajdzie się i gorąca krew. U Myszki Katz i w pięćdziesięciu innych najpodlejszych lokalach śmierdziało skwaśniałym piwem, zastałym smrodem papierosów, co nie

przeszkadzało klientom doznawać najwznioślejszych uniesień i po pięciu piwach podlanych wódką oraz zagryzionych zimnym kotлетem czuć się jak w najpiękniejszych pałacach. Kataryniarze zwinęli swoje katarynki i znikli nie wiadomo gdzie, podobnie jak ich papugi, które może odleciały do ciepłych krajów.

Tysiące wron i kruków krakało nieustannie. Wanda Zarembianka pochylona nad stołem oświetlonym dwiema lampami kończyła tegoroczne tableau. Wzięła do ręki ostatnie zdjęcie, Mazanka, pocałowała je, bo stanowił jej potajemną miłość, i przycisnęła do tekturowego arcydzieła, posmarowawszy je wcześniej gumą arabską.

Stefania Piątek już po raz nie wiadomo który tego wieczoru strzepnęła niewidzialny pyłek z wykrochmalonego białego gorsu męża. Kolejny raz poprawiła sobie w lustrze fryzurę po świeżej ondulacji w hełmie elektrycznym u mistrza Wincentego na Dworcu Petersburskim. Mimo że swoje ważyła, prezentowała się całkiem nieźle w czarnej sukni do ziemi i perłach po matce, „skromnych, ale prawdziwych, dzikich, nie jakichś tam hodowlanych”. Dorożka samochodowa miała po nich przyjechać za pięć minut. Eleganckie zaproszenia na czarnym kartonie otrzymali od samego dyrektora operetki, Zenona Malinowskiego. Dziś odbędzie się wreszcie owa jakże opóźniona premiera *Księżniczki czardasza*, w której rolę Boniego pierwotnie miał śpiewać Cieślak. Sam Malinowski z wielką ulgą przyjął wiadomość o śmierci nowej, niezamawianej gwiazdy i natychmiast z radością zastąpił go swoim kochankiem – młodym, pięknym, zgrabnym aktorem o bardzo pociągającej twarzy i przeciętnym barytonie, panem Stanisławem Miłoszyckim. Bardzo możliwe, że podły Krzywoszewski tak czy inaczej będzie się wyzłośliwiał, ale na pewno nie aż tak, jak gdyby Boniego śpiewała ta stara ciota Cieślak. W końcu operetki się nie tylko słucha, lecz także się ją ogląda. W operze to zupełnie co innego, ale tu ludzie chcą lekkiej rozrywki, a nie ma nic lżejszego od jędrnego tyłka, umięśnionych ud i pięknej twarzyczki, zwłaszcza jeśli to wszystko opakowane jest w biały fraczek z czerwoną różą w butonierce. Niech kobieca część widowni też ma coś dla siebie!

Przed budynkiem operetki utworzył się korek samochodów wiozących wszystkie znakomitości naszego sławetnego miasta N***. Jechał ratusz, magistrat, baronowie naftowi ze swoimi brzydkimi żonami i (osobno) przybywały też ich piękne kochanki. Jechał wąsaty naczelnik Ochotniczej Straży Ogniowej. W pewnym

momencie z auta wysiadła Sara Berg w krwistoczerwonej sukni do ziemi z trenem ciągnącym się za nią na metr. Wszyscy zamarli. Włosy miała przylizane przy samej czaszce i drogocenne rubiny w uszach, poza tym nic – żadnej biżuterii, tylko maleńka czerwona torebka i także rękawiczki sięgające aż za łokcie. Bogate i grube żony baronów naftowych teraz dopiero wpadały na pomysł, jak mogłyby się ubrać, gdyby pomyślały dłużej niż dwie minuty. Przywdziały jednak swoje stałe wyjściowe sukienki, w których chodziły zawsze na imieniny do koleżanek.

Sara wyglądała kwitnąco również dzięki terapii przeprowadzanej już od paru dni przez młodego kochanka z odstającymi uszami. Szła, nie patrząc na boki, a kolejka przed drzwiami rozstała się przed nią niczym Morze Czerwone – pod kolor kreacji. „Bez kapelusza... Skandal...” – szeptały kapelusznice.

„A właśnie, moja pani, że to ona ma rację, bo w teatrze kapelusze zasłaniają widok i jest to jedyne miejsce, w którym dama powinna pojawić się z gołą głową. Pani też swój będzie musiała ściągnąć, jak zacznie się przedstawienie...”

„Nigdy w życiu! Nawet na szafot nie poszłabym z gołą głową!”

„Znajomość savoir-vivre’u polega również na znajomości odstępstw od reguł”.

Wtaczał się gruby i wyfraczony dyrektor cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld. Wchodził bliźniaczo do niego podobny właściciel To i Owo, Samuel Goldbaum, dumnie zerkając na Sarę Berg i ostentacyjnie całując ją w rękę w świetle fleszy. Panowie mieli na głowach niezwykle wysokie, błyszczące cylindry, ale za chwilę pozostawią je w szatni. Fotoreporterzy ożywili się i zaczęli błyskać magnezją, gdy z zajeżdżającego mercedesa wyszedł lokaj, otworzył tylne drzwi, a z nich zaczęła się gramolić hrabina Alika z Szeremietiewów Drucka-Lubecka wraz z mężem. Potem pojawiła się przodownik Woźniak (chyba znowu grająca rolę co najmniej baronowej) z Karolem Maślaną pod pachę. Miała złotą sukienkę kończącą się tuż za kolanami i wachlarz ze strusich piór oraz krótkie futerko z mały. Czarną peruczkę „na chłopczycę” opinała złota przepaska z wielkim kwiatem po lewej stronie. Na jej widok wystrojona Lodzia Magnum wyraźnie się spięła i spuściwszy sztuczne rzęsy, wtuliła się w miękkie srebrne futro swojego bogatego opiekuna.

Wciśnięty w pulchne i pachnące walerianą ramię swojej żony Grety szedł też Carl – aptekarz Spod Trzech Murzynów. Jego żona całą noc miała nieprzespaną z powodu niewygodnych papilotów, a teraz, patrząc na gładko przylizane włosy Sary Berg, żałowała tych niepotrzebnych tortur. Mało kto wiedział, że aptekarz należy do najbogatszych mieszkańców naszego miasta. Wchodziła madame Visoansky – jak zwykle ubrana w męski garnitur, ćmiąca cygaro. Wszyscy musieli uznać, że mimo szalejącej w Zlewie Centralnym epidemii nie straciła swojej słynnej klasy. Cóż, burdel to tak samo ważna instytucja w miasteczku jak straż ogniowa, ratusz, resursa kupiecka i kasyno oficerskie.

Jednak żadna z tych osobistości nie zrobiła na naszych policjantach takiego wrażenia jak pewna skromna para, która skradła całe show. Oto nagle na scenie pojawił się przebrany za mężczyznę, dawno niewidziany Władymyr. I to nie sam, lecz z wystrojoną jak księżniczka zaginioną Karolą Martyniuk! Torpeda dojrzała Piątka, a on, dotąd wypatrujący jąkającego się gogusia, którego widział raz podczas przesłuchania Klausea Ordone, stanął jak wryty, aż wpadła na niego wchodząca właśnie z wielkim przytupem hrabina Komorowska z majątku Michałówka.

Szybko podszedł do Mazanka, który właśnie mierzył się wzrokiem z młodym pomocnikiem doktora Zawadzkiego, Stefanem Janickim. Panowie sprawdzali, który ma dokładniej i bardziej wypomadowane włosy.

– Kazik, ta idiotka Martyniuk żyje i jest tu z Władymyrem!

– Co robimy? – zapytał Mazanek z niepokojem, bo nie chciał rezygnować z premiery, a poza tym zaraz po niej mieli iść do Gastronomii...

Weszli do rozświetlonego kryształowymi żyrandolami foyer. Skinęli na Maślankę i przodownik Woźniak. Szybko wspólnie omówili sytuację. Nikt nie miał ochoty rezygnować z premiery, aby teraz odprowadzać Martyniuk na przesłuchanie. Piątek poszedł zatelefonować po posiłki, które wkrótce niestety okazały się jego ulubionym duetem. Adam Pierożek i Walenty Kostański wkroczyli w mundurach i ich wejście wcale nie było – wbrew telefonicznym zaleceniom Piątka – dyskretne.

– Ci dwaj debile wparadowali tu z odbezpieczoną bronią!

– Nie denerwuj się, kochanie... – starała się uspokoić go żona, wachlując męża programem. – Nie denerwuj się, bo jeszcze ci żyłka pęknie i co my bez ciebie zrobimy.

Skoro Stefania Piątek odwoływała się do argumentu „pękniętej żyłki”, sprawa musiała być poważna. W rodzinie widziano, że taka pęknięta żyłka może zamienić całkiem rzutkiego i dobrze zarabiającego przodownika policji w sparaliżowaną i robiącą pod siebie roślinkę.

– Kaziu, powiedz im, że mają odprowadzić tę idiotkę Torpedę do aresztu i nie wolno pozwolić jej uciec! Stacha, zajmiesz się nią po przedstawieniu?

– Nie, ponieważ zamierzam pić szampana całą noc. Niech skruszeje w areszcie, jutro z nią pogadam. Nie mówię, że rano...

– Co z Władymyrem?

– Zostawcie go. Ją. Wszystko jedno. Już ja sobie z nim jutro pogawędzę. A na razie – bawmy się!

Piątek jednak wcale się nie bawił. Cały czas wodził wzrokiem po foyer pełnym kobiet, ale nie zwracał na nie uwagi. Widział tylko mężczyzn: tych samych nobliwych, wąsatych wojskowych, którzy w Zlewie Centralnym darli się pijacko „O mój rozmarynie, rozwijaj się”, a teraz paradowali w brązowych mundurach i pod orderami. Ale tych pomijał. Interesowali go wyłącznie młodzi przystojni mężczyźni. „Jakbym był pedałem” – pomyślał. „Zresztą może to byłoby najrozsądniejsze, baby są tak głupie...” Złapał się na tym, że przygląda się Władymyrowi, ale natychmiast się roześmiał i przeniósł spojrzenie na młodego człowieka w idealnie skrojonym fraku czy surducie (Piątek nigdy nie nauczył się ich rozróżniać), który wziął akurat dwa kieliszki szampana roznoszonego na srebrnej tacy przez kelnera i jeden z nich podał swojemu rozmówcy, a nim okazał się Malinowski. „Z tobą też jeszcze nie skończyliśmy, bratku, jutro trzeba będzie pogadać...” – odnotował w myślach. Niestety, młody nie był gogusiem. To znaczy: był, rzecz jasna, gogusiem, ale nie tym!

– Patrzy pan komisarz na młodego Żorża? Bahhhhdzo przystojny mężczyzna... – Obok Piątka stała hrabina Komorowska z majątku Michałówka i intensywnie przyglądała się młodzieńcowi przez lorgnon. – Niestety, spłukany i ghhha...

Piątek wiedział, że hrabina ma córkę na wydaniu, chyba Jadwinę, dlatego każdego mężczyznę szacowała pod względem wartości na matrymonialnym rynku. Teraz jednak starszy przodownik musiał jak najszybciej wyswobodzić się z jej towarzystwa, postanowił więc przekazać korpulentną hrabinę swojej żonie Stefci, a sam uklonił się i przeprosił.

– Mój mąż, widzisz, pani hrabina, po prostu pasjami kocha pięknych mężczyzn, dokładnie tak jak ja! – Stefcia postanowiła zemścić się na Piątku za tę niedźwiedzią przysługę. Brwi pani Komorowskiej powędrowały w górę.

Tymczasem Pierożek i Kostański zamiast „dyskretnie” wyprowadzić Karolę Martyniuk z foyer, skuli ją przy wszystkich w kajdanki i wymierzając w nią odbezpieczoną broń, prowadzili do wyjścia wśród dzikich okrzyków wyprowadzanej.

– Co jest grane? – Do Piątka i Mazanka podszedł zaniepokojony dyrektor Malinowski.

– Przepraszamy pana, rozkaz był: dyskretnie wyprowadzić, a ci dwaj debile, ech...

– Ależ, panowie, psujecie mi premierę, nie potrzebujemy skandalu... A w ogóle polecam wam gorąco pana Stanisława Miłoszyckiego, zastąpił Cieślaka w roli Boniego i prawdę mówiąc, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą... To niezwykle utalentowany młody człowiek.

– A Cieślaka pan pchałeś tylko dlatego, że był z waszego klubu, tak? – zaatakował go Mazanek.

Malinowski zasłonił twarz rękami, jakby ktoś go chciał znokautować, ale wtedy natarł na niego Piątek.

– Cieślak nie nadawał się ani trochę do tej roli, prawda? Za stary, za gruby, na krótkich, tłustych nóżkach... Trzeciorzędny aktor prowincjonalny... A na dodatek tenor, a to jest rola na baryton...

Na szczęście dla Malinowskiego podeszła do nich obwieszona brylantami żona któregoś z baronów naftowych.

– Porywam pana dyrektora! Pan dyrektor musi natychmiast poznać moją córkę. Śpiewa i ma wielki talent. Z taką osobą ten teatr zyskałby światową sławę. Halinko, pozwól...

Malinowski z ulgą oddalił się z damą w brylantach.

– Tak łatwo się nie wywiniesz... – szepnął za nim Piątek.

Doktor Ziemkiewicz pił szampana i patrzył na tę socjetę bogatego, a jednak wciąż prowincjonalnego miasta. Skrzywienie zawodowe. Zamiast wyelegantowanych kobiet i wyfraczonych mężczyzn, zamiast złotych spinek u mankietów, wypomadowanych fryzur, brylantów, pereł, wyszczotkowanych do połysku butów, widział ich nagich. Jakby leżeli na stole sekcyjnym. W każdym pod materiałem i skórą widział płuca, żołądki kończące zaciekłą pracę nad obiadem brutalnie traktowanym już od paru godzin kwasem solnym. Widział parujące zwoje jelit, kał, treść żołądkową. Oto dwa mózgi stoją naprzeciw siebie i silą się na rozmowę o niczym, elektryczność w nich produkuje puste bon moty. Oto dwa obleczone czarnym aksamitem wory z gorącymi, pełnymi kału jelitami śledzą spod rzęs inny wór obleczony frakiem. Oto biją pobudzone kawą i towarzyskim wydarzeniem serca, wyglądające jak surowe ochłapy mięsa na kotlety. Oto zaciskają się zwieracze. Oto w spodniach od garniturów dochodzi do krótkotrwałych wzwodów, jedna kropelka moczu ląduje w bieliźnie. Wszyscy idą do toalety, ponieważ za chwilę zabrzmie dzwonek. Tam te sprawy są już bardziej oczywiste, kiedy się zamknie w kabinie i spuści spodnie. We wszystkich kabinach obu toalet płynie mocz, wylewa się z socjety wypity szampan, małomiasteczkowa socjeta oddaje kawę, oddaje wszystko, co płynne, na ciała stałe nie ma już czasu, trzeba było myśleć o tym w domu! Zmieszany z wodą szampan płynie podziemnymi rurami hen, do rzeki, i dalej do pięknego Bałtyku. Niestety, nie ma

osobnej złotej rury, specjalnie dla socjety, i po drodze ich uryna może pomieszać się z innymi, powstałymi z mniej szlachtetnych trunków, proletariackimi sikami z Zarzecza. Nad jaką rzeką leży nasze miasto N***? Może nad Donem, może nad Dniestrem? Tak naprawdę nie ma u nas żadnej rzeki, ale przecież ścieki muszą się gdzieś podziać.

Trzeba jeszcze wyjść z ubikacji, umyć ręce, przejrzeć się w lustrze, zrobić uduchowioną minę i z tą miną do cna wypróżnionej Osoby Gotowej Na Przeżycia Artystyczne, osoby, której cielesność osłonięta jest wytwornym materiałem, udać się do sali głównej, gdzie już wpuszczają! Rząd dziesiąty, miejsce sto pięćdziesiąt siedem.

„Przecież to są zwierzęta! – olśniło Ziemkiewicza. – Poprzebierane w stroje wieczorowe, obwieszzone biżuterią i uperfumowane zwierzęta! Każdy z nich ma kość ogonową, pazury, zęby... Nie zagryzają się, bo kultura im nie pozwala, ale to zawieszenie broni jest tylko chwilowe i bardzo kruche, w każdej chwili gotowi są rzucić się na siebie, ruchać się, gryźć, wachać sobie odbyty, jak pieski, które spotkały się na spacerze”. Zwierzęcość przebija choćby podczas walki o dojście do właściwego rzędu. Rzędy są tortem, do którego każdy chce się jak najszybciej dorwać. Każdy uważa, że jego miejsce, wyznaczone mu odgórnie na zaproszeniu, nie oddaje w wystarczającym stopniu jego statusu społecznego. Każdy jest nieco pokrzywdzony i na innych patrzy jak na tych, co go wygryźli. Tylko Sara Berg może się czuć w pełni uhonorowana: siedzi w dyrektorskiej łoży na pierwszym balkonie. Znudzona bawi się porcelanową lornetką ze złotymi obramowaniami. Obok niej stoi oszronione srebrne wiaderko pełne kostek lodu. Jest to zimne gniazdko dla butelki szampana. Sara i lód to niemal to samo. Kilka innych wiaderek, już bez butelek w środku, dyrektor Malinowski kazał poustawiać w różnych zakamarkach i kątach łoży, aby obniżyć temperaturę. Bo przecież Sara w cieple zaczęłaby się rozkładać jak zwłoki. Musi być przechowywana w lodówce.

Obok niej kuli się z zimna i ćmi cygaro Goldbaum. To on ją kupił dla tego nędznego miasta, ona jest jego. Płaci jej zawrotną sumę trzech tysięcy złotych

miesięcznie – za taką gazę mogłaby co miesiąc kupić sobie auto. A nazywała się kiedyś Dora Brylant. Daleko zaszła!

Piątek z żoną dostali kiepskie miejsca pośrodku piętnastego rzędu, do których musieli przeciskać się obok siedzących już widzów, depcząc im po butach i ocierając się nieprzystojnie. Na sali było duszno, Stefcia wachlowała się zaproszeniem. Orkiestra stroiła instrumenty. Pachniało potem, perfumami i czymś jeszcze, co występuje tylko w teatrze, a jest mieszaniną najróżniejszych emocji, nerwów, hormonów, nadziei, erotyzmu i tysiąca innych doznań, także pierdnięć, jest to zapach zgromadzonych w dusznym pomieszczeniu sześciuset ludzi pocących się w swoich strojach, wycierających nosy, jest to zapach pomadek do ust i szaf, z których wyjęto kreacje. Na scenie – zgodnie z nową modą – nie było kurtyny, toteż przez ciemności przebijała dekoracja w postaci obowiązkowego w pierwszym akcie budapesztańskiego variétés Orfeum, co nie zmieniłoby się nawet, gdyby przez świat przeszło tysiąc wojen.

„Libretta operetek to jedyna stała rzecz na świecie” – pomyślał Piątek i ułożył się wygodniej, mając zamiar podsypiać podczas spektaklu. Ponieważ jednak dla przyzwoitości powinien choć przez chwilę pooglądać przedstawienie, zaczął przypominać sobie lekką niczym wata cukrowa akcję operetki. Oto gwiazda variétés Orfeum, tańcząca tam co noc czardasza Sylvia Varescu, wyjeżdża na tournée po Ameryce, żegnana przez cały zespół oraz przez swoich adoratorów, takich jak hrabia Boni (ciekawe, jak wygląda ten, który zastąpił Cieślaka, w każdym razie na pewno lepiej od denata, he, he) i hrabia Feri. Właściwie Sylvia ucieka do Ameryki przed namiętną miłością księcia Edwina von Lipperta-Weylersheima. Tak... stary dobry świat sprzed wielkiej wojny i jego słodkie problemy... Sylvia jest pewna, że rodzice księcia nigdy nie zaakceptują jego małżeństwa z szansonistką. Dobry Boże... jak miło uciec od problemów nowoczesnego społeczeństwa w te bzdurki!

W ciemności na scenie majaczyły figury utworzone z powyginanych kobiet w czerwonych sukniach na krynolinach z wachlarzami ze strusich piór. Publiczność niecierpliwie czekała na wejście dyrygenta. Wkroczył nareszcie w czarnym fraku,

witany burzą braw, które natychmiast uciszył z fałszywą skromnością, podał rękę najważniejszym muzykom i odwrócił się tyłem do publiczności, a przodem do orkiestry, chwycił batutę i zastygł z nią. Sala wstrzymała oddech. Podniósł pałeczkę i wyczarował pierwsze bombastyczne tony uwertury nieśmiertelnej ramotki Imrego Kálmána. „Czaaaaaardasz... Czaaaaaardasz...” – smętne zawodzenie. Kiedy te przebrzmiały, reflektory, powoli nasilając światło, wydobyły z mroku wielkie schody, na których szczycie stała Sylvia Varescu w bordowej brokatowej sukni do czardasza. Przywitały ją brawa. U dołu schodów po lewej palił cygaro hrabia Feri von Kerekes, po prawej zaś – ironicznie uśmiechnięty – hrabia Boni Kancsianu. Był piękny, młody, miał w sobie wciąż coś z bezczelnego urwisa. Piątek z ciekawością wlepił w niego wzrok, ale siedział zbyt daleko, aby dojrzeć twarz. Coś go jednak zaniepokoiło. Mimo protestów Stefci zerwał się ze swojego miejsca i wśród posykiwań i łajañ mijanej publiczności zaczął przeciskać się z samego środka rzędu piętnastego. To było wielkie faux pas – wychodzić na samym początku spektaklu, kiedy nawet najbardziej sceptycznie nastawieni widzowie są jeszcze wciąż zaaferowani feerią barw, cekinów, brylantów, dymów i innych efektów. Wyswobodził się wreszcie z objęć nóg i kolan (nikt nie wstawał, aby go przepuścić, musiał więc ocierać się mocno o wrogie mu ciała, nie raz nadeptując komuś na stopę) i podbiegł do samej sceny. Przeklinał swój słaby wzrok. Znalazł wreszcie i nałożył okulary, po czym spojrzał na aktora grającego Boniego z odległości dwóch metrów.

Odtwarzająca rolę Sylvii Varescu Nina Melcer zachowywała się na scenie jak automat. To się działo gdzieś poza nią. Jej głos odzywał się i milkł we właściwych momentach, nawet myliła się zawsze w tym samym miejscu, na szczęście publiczność nigdy by tego nie zauważyła. Wchodząc na scenę, przechodziła na ów tryb automatyczny i dzięki temu, grając, mogła myśleć o swoich sprawach. Spod ciężkich sztucznych rzęs obserwowała salę, która oczywiście była nabita. W mieście N*** taka od dwóch lat zapowiadana premiera nie ma najmniejszej konkurencji. Zjechali do nas dziś bogacze z Drohobycza i Borysławia, a nawet z Warszawy, Lwowa i Krakowa. Drucki z żoną, Sara Berg... Wszak żony bogaczy nudzą się w tych swoich willach i nie mają gdzie pokazać sukien i biżuterii... Podobno madame Visoansky, mimo szalejącej epidemii syfilisu, postanowiła na ten jeden wieczór otworzyć Zlew. Panowie będą płacić za zarażenie się w wielkich różowych łóżach... Pierwsze kosze kwiatów od wielbicieli trafią do garderoby w przerwie i wtedy się wyjaśni, co z uczuciami pana W... Dałby Bóg, dałby Bóg, bo to nafta, a bez naftowego patrona nawet taka śpiewaczka jak ona nie wyżyje w dzisiejszych czasach... „Miłoszyckiemu świetnie idzie, jest cudowny w roli Boniego, młodszy o dziesięć lat niż na próbach. Jak dobrze, że nie muszę grać z tą ciotą Cieślakiem! Ach, Boże, żeby tak udało mi się przenieść do Warszawy albo chociaż do Lwowa! Tam jest kariera. Czy Malinowski mi podwyższy, jak dobrze wypadnę? Na pewno nie widać, że – wbrew wszelkim zakazom – strzeliłam sobie dwa koniaki przed spektaklem. Jakże tak bez koniaku? Teraz uwaga – za chwilę schodzę, a schody są strome i łatwo się pośliznąć na wysokich obcasach! Po zejściu na lewo i bokiem. Zaraz recitativy z Miłoszyckim. Im bliżej rampy, tym wyraźniej widać publiczność z pierwszych rzędów. Ale co się dzieje? Ktoś biegnie ku rampie!

Jakiś wymoczek. Staje przy samej scenie. Szuka binokli, znajduje, nakłada, gapi się na mnie. Nie – na Miłoszyckiego! Boże, jak on wygląda! Jakby zobaczył diabła!”

Piątek zamarł.

To on! Co robić? Zatrzymać cały spektakl? Zniszczyć Malinowskiemu premierę? Na scenie śpiewał człowiek, który najprawdopodobniej zabił dziesiątki osób, jeśli był też Kucharzem. Ale nie – Kucharzem być nie mógł. Prześliczny blondynek miał może dwadzieścia dziewięć lat. Czyli dziesięć lat temu, w roku dwudziestym, miał... dziewiętnaście. Od biedy mógł! Piątek wybiegł z sali do opustoszałego foyer. Wiedział, że robi wielki skandal, ale nic go to nie obchodziło. Na scenie śpiewał wielokrotny morderca! Trzeba było coś zrobić! Osunął się na posadzkę i oparł o lodowato zimną kolumnę. Za moment drzwi znowu się otworzyły i wybiegli do niego przodownik Woźniak, Maślanka i Mazanek. Przez chwilę Piątek nie był w stanie powiedzieć nic. Pokazywał tylko w stronę sali ręką i coś bełkotał.

– Tam... Tam...

Cała ta scena była tak operetkowa, że Mazankowi wydawało się, iż na wpół leżący Piątek zaraz zacznie śpiewać jakąś długą arię o tym, co jest „tam”, a jego zespół dochodzeniowy będzie powtarzał z nim refren jako chór... Z ust ich przełożonego wypłyną sopranowe recitativy: „Co tam widzę?! Kim jest ta kobieta, której kapelusz przypomina całą flotę morską Anglii? Czyżby przyszła pomścić swego nieszczęśliwego brata? O tak! Na pewno...”.

W końcu jednak Piątkowi udało się opanować i wyjaśnić swojemu zespołowi, że oto na scenie śpiewa rolę Boniego prawdziwy Goguś, osoba poszukiwana, podejrzana o zabójstwo Cieślaka (którego rolę przejął), Ninel, mecenasa Karwowskiego, „Telegrafa” Legutki, Babińskiego, robotnika, kurwieszona Mercedes ze Zlewu Centralnego, Alfreda i kto wie czy nie jeszcze jednej, zaginionej kurwy od madame Visoansky. Czyli ośmiu lub więcej osób!

Wszyscy spojrzeli na przodownik Woźniak.

– Niech on sobie na razie śpiewa, a my szybko dzwoniemy po posiłki! To znaczy ja dzwonię po moich osiłeków i zaraz po ukłonach czekamy na niego w garderobie!

– Ktoś musi zawiadomić Malinowskiego – bąknął Piątek, chcąc dołożyć swoje pięć groszy do całej sprawy.

– Ani mi się waż, Adolf! Z daleka widać, że są kochankami. Pójdzie w przerwie i go uprzedzi. Wy wracajcie mi szybko na widownię, bo to już wygląda podejrzenie, że wyszliśmy tak wszyscy naraz!

– Ale ja nie wytrzymam, szlag mnie trafi, żeby słuchać tego bydlaka teraz przez trzy godziny! – krzyknął Mazanek.

Kiedy wreszcie Piątek znalazł się na miejscu koło wachlującej się zaproszeniem Stefci, kiedy już ucichły gniewne narzekania, że „panie cacany, tu nie cyrk, a pan się ciągle kręci!”, wówczas policjant wlepił swój kiepski wzrok nieco wzmocniony okularami w scenę. Boni właśnie śpiewał swoją arię „Dosyć! Basta! Nigdy więcej...”. Oblegany przez kolorowy rój kabaretowych kurwisonów w czerwonych kabaretkach, cały w czerwonych odciskach ust, strzelający te swoje zblazowane minki hrabiego, którego problemy mają konsystencję pianki, bąbelków szampana. Za chwilę będziesz miał większe.

Piątek siedział skupiony, ale nic nie widział i niczego nie słyszał. Usiłował dopasować to, czego się właśnie dowiedział, do znanych już faktów. A więc nazywa się Stanisław Miłoszycki i jest na sto procent kochankiem Malinowskiego. Malinowski nie chciał Cieślaka jako Boniego, bo też po prawdzie ta stara ciota nie nadawała się kompletnie do roli młodego panicza. Ale Cieślak i jego klub musieli mieć jakiegoś haka na Malinowskiego. Może brał on udział w ich orgiach? Może sam należał do klubu? Czy wtedy klub by go nie chronił? A może to Cieślak podpadł klubowi i postanowiono go uciszyć, przy okazji promując na główną rolę kochanka jednego z nich, idealnie pasującego na Boniego?

Wielokrotny morderca, który zabija przypadkowe osoby związane w jakiś sposób z życiem nocnym miasta, ze strefą zepsucia. Ale jedna z tych osób nie jest przypadkowa. Przy okazji jednej upiekł na tym ogniu własną pieczeń. Nie

wytrzymał. Morderca gwiazda. Morderca narcyz. Najpierw zabija, aby stać się gwiazdą na scenie, a potem – aby stać się jeszcze większą gwiazdą w gazetach, mordercą, który przejdzie do historii kryminalistyki.

Tango... Jak to było po łacinie? To była jakaś nieregularna odmiana, z tych złośliwych, podchwytliwych łacińskich kruczków uwielbianych przez srogie łacinniczki. Piątek starał się przypomnieć sobie dawno z rozkoszą wyrzucone wiadomości wbijane mu młotkiem do głowy przez niejaką Rudą Mendę (od *Rudimenta latinitatis*). *Tango – tangere – tetigi – tactum...* Co to znaczyło? Nie, nie tańczyć. Zaraz, zaraz... To było w jakimś znanym cytacie... Co to było? A! *Noli me tangere!* Nie dotykaj mnie! Kto to powiedział? Chrystus. Boże! Jak mogłem tego nie zauważyć! Przecież to są słowa, które Jezus wypowiedział do Marii Magdaleny po zmartwychwstaniu! Dlaczego nie mogła go dotykać? Bo jako zmartwychwstały był, co? Duchem? Ale niewiernemu Tomaszowi to kazał wkładać ręce w swoje rany. Miał ciało, skoro miał dziurę w boku. Ale po zmartwychwstaniu znalazł się już w innym wymiarze. Dotyk może być między człowiekiem a człowiekiem. A on był już bardziej Bogiem? Żeby tylko nie zaplątać się w mętne wywody. Tango to dotyk. Nie dotykaj mnie! *Noli me tangere!* Nie dotykaj mnie, zasyfiona dziwko, nie zarażaj mnie swoim brudem!

Wśród tych lingwistycznych rozmyślań szybko minął Piątkowi pierwszy akt i ani się obejrzał, jak nastąpiły burza braw i przerwa. Wszyscy zaczęli przepychać się do foyer. Adolf lawirował jak mógł, aby uniknąć spotkania z Malinowskim. Zauważył też, że przodownik Woźniak otoczona jest już swoimi drabami, których zapite ryje i niechlujne ubrania bardzo kontrastowały z zapitymi ryjami miejskiej socjety i ich wieczorowymi kreacjami. Socjeta zapamiętała paliła papierosy, piła szampana, gestykulowała i dyskutowała. Piątek dołączył do jakiejś grupki. Wszyscy uważali dzisiejszy spektakl za wielkie wydarzenie artystyczne. Panie były zachwycone nową, wczesną tego wieczoru gwiazdą operetki, Stanisławem Miłoszyckim, panowie – Niną Melcer, odtwórczynią roli Sylvii Varescu. Wszyscy planowali polecić spektakl znajomym, aby przyszli go zobaczyć w najbliższych dniach.

„Ale to już z innym Bonim” – pomyślał Piątek.

Ich policyjny zespół w końcu spotkał się w kącie wielkiej sali z bufetem. Szeptali jak spiskowcy.

– Czy ja muszę wysłuchiwać jeszcze przez dwie godziny tych wszystkich bzdur o miłości i zatwardzeniu hrabiego, kiedy jak na dłoni mamy mordercę poszukiwanego od tak dawna? Wchodzimy teraz i ściągamy go! Co nas obchodzi Malinowski i jego zrujnowana premiera? – Przodownik Woźniak najwyraźniej nie była w stanie spokojnie delektować się lekkim jak szampan librettem.

Piątek chciał zaprotestować, ale pomyślał, że sam też nie wytrzyma już dłużej.

– To będzie skandal stulecia.

– No to będzie, trudno. To nie są pączki na imieninach u cioci. Pączki na imieninach u cioci to były, ale już się skończyły, a teraz jest obława. A czy skandalem nie było zarzycanie tych wszystkich ludzi? Idziemy!

Podszedł do nich Malinowski, zaniepokojony obecnością drabów przodownik Woźniak. Było widać, że przeżywa chwile tryumfu, wodził dookoła pełnym szczęścia wzrokiem. Piątek czuł wręcz fizyczny ból zębów na samą myśl, że musi mu powiedzieć o zatrzymaniu.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem Stanisławem Miłoszyckim. Teraz.

– Naturalnie, odpoczywa w swojej garderobie. – Malinowski ucieszył się, że zachwyceni grą jego protegowanego policjanci nie mogą wytrzymać z gratulacjami do końca spektaklu. – Wspaniały, prawda?

– Dość tego. Idziemy! – zakomenderowała lodowato przodownik Woźniak.

Malinowskiego zaniepokoił jej ton i brak kurtuazyjnego potwierdzenia, że „wspaniały”. W milczeniu poprowadził ich specjalnymi drzwiami za kulisy.

Na scenie robotnicy zmieniali dekoracje, jeden coś przybijał młotkiem, inny, stojąc na drabinie, majstrował przy spuszczonej do połowy wysokości wielkim kryształowym żyrandolu. Według nieśmiertelnego libretta *Księżniczki czardasza* po podniesieniu się kurtyny widzowie mieli przenieść się na bal w pałacu starego księcia Lipperta-Weylersheima, gdzie zostaną ogłoszone oficjalne zaręczyny

młodego potomka rodu Edwina z hrabianką Stasi (duet: „Tak jak gołąbeczki dwa, żyć ma z żonką męż...”). Na scenę wtaczano więc na kółkach białe schody okryte czerwonym dywanem, białe kolumny, białe posągi greckich bogów, a na taśmach zjeżdżał właśnie z góry gigantyczny obraz w złotej ramie wielkości całej powierzchni mieszkania Piątka, przedstawiający jakąś pompatyczną scenę bitewną. Z bliska było widać, jak tandetnie i niechlujnie oddano na obrazie niewidoczne z widowni detale, takie jak oczy czy uszy. Z daleka zapewne wyglądało to jak romantyczna plątanina ciał, z bliska jednak bardziej przypominało abstrakcyjną sałatkę. Po bokach spoceni, półnaczy robotnicy w straszliwym pośpiechu upychali sztuczne krzewy przystrzyżone w kule. Inni spuszczaali drugi żyrandol. Dyrygował nimi facet w samych spodniach i rozpiętej koszuli.

– Niżej, niżej, niżej, niżej, stop! Za nisko! Odrobinę w górę! Już. Schody dalej! Panowie! Dziesięć minut do końca przerwy! Dalej te schody, pacanie jeden! Kuuuurrrwa! Dalej! Mówię „dalej” czy nie?! No nie nauczy. Nie nauczy, że dalej znaczy: dalej!

Mimo że Piątek wysilał mózgownicę, nie mógł wpaść na żaden pomysł, dla którego Boni miałyby być zaproszone na ten bal w drugim akcie. Należał do otoczenia Sylvii Varescu w kabarecie, a posiadłość księcia Von Coś Tam jest na wsi, chociaż... Boni to w końcu hrabia, mógł się znać z tymi wszystkimi bufonami... Na szczęście nie występuje w tej części. No ale potem występuje i się nie pojawi. Chciał powiedzieć robotnikom, że nie mają się co spieszyć, w ogóle mogą iść do domu, bo prawdopodobnie kurtyna w ogóle się nie podniesie.

Minęli scenę i znaleźli się w labiryncie wąskich, zakurzonych i śmierdzących korytarzy z rzędami drzwi do małych pokoików – garderób.

Malinowski wskazał im jedno z nich, Piątek chciał zapukać, ale przodownik Woźniak nagle wyjęła pistolet i otworzyła je mocnym kopnięciem. Weszli.

Miłoszycki stał całkiem goły przed lustrem w wyraźnie narcystycznej pozie. Widocznie akurat się przebierał, ale postanowił poświęcić chwilę na czysty podziw. Jedną rękę oparł na biodrze, drugą trzymał nad głową. Odwrócił się do nich

przerażony. Przed sobą miał aż dwa wymierzone pistolety, jeden w ręku Woźniak, drugi – Mazanka. Z tyłu, za grupą policjantów, stał skamieniały Malinowski.

Policjanci w składzie Woźniak, Piątek, Mazanek, Maślanka i Klimuszko oraz dwóch drabów pani przodownik wpadli do garderoby i otoczyli nagiego śpiewaka. Teraz każdy mierzył w niego z siedmiostrzałowego rewolweru Nagant 7,62 mm lub Walther kaliber 7,65. Oba modele wyglądały groźnie i takie też były. Wszyscy naraz krzyczeli: „Nie ruszać się! Jest pan aresztowany! Ręce do góry”, i inne równie mądre przestrogi, które doprowadziły Malinowskiego niemal do zawału.

Przodownik Woźniak zakuła gołego śpiewaka w kajdanki i schyliła się, aby drugie założyć również na nogi, ale nagle dotarło do niej, że po tym zabiegu wciągnięcie majtek stanie się niemożliwe, więc warknęła:

– Nałożyć gacie!

A Piątek, oprzytomniawszy, dodał już spokojniej:

– Może by pan w ogóle się ubrał. – A widząc, że solista sięga po strój Boniego, dodał: – W swoje prywatne ubranie.

– Ale mam ręce skute.

Malinowski poczerwieniał.

Miłoszycki spojrzał bezradnie na dyrektora. Ten zaś osunął się na leżankę, rozwiązał muszkę i rozpiął koszulę szczelnie zapiętą na perłowe guziki. Nagle się zbuntował:

– Przecież! Panowie! Przecież on za minutę, przecież zaraz dzwonek... Co tu się dzieje? Co on wam takiego zrobił?! Przecież jest premiera!

– Co on takiego zrobił, to się pan zapyta jego albo dowie jutro z gazet. Masz pan jakiegoś dublera na Boniego, to wołaj go, niech się przebiera w te jego fraki. – Przodownik Woźniak zaczęła porządnie skuwać Miłoszyckiego.

– No już, gdzie tu jest jakieś tylne wyjście? Przecież nie chcesz pan chyba, żebyśmy go wyprowadzali przez foyer!

– Matko Boska! Matko Boska! – Widać było, że obecnie Malinowski nie wysłałby Piątkowi ani innym policjantom eleganckich zaproszeń na sztywnych

czarnych kartonikach ze złotymi literami.

– No, już, już! Proszę udać się do tylnego wyjścia z przodownikiem Piątkiem! Adolf, idź do samochodu i pokaż im, gdzie mają podjechać. Pod samo tylne wyjście.

Piątek wyszedł z Malinowskim. W garderobie zapadła cisza. Przerwał ją Miłoszycki:

– Ale... Ale o co chodzi?

Nikt nie raczył odpowiedzieć na to pytanie. Draby oglądały szminki w słoiku i podśmiewywały się z nich, a przodownik Woźniak wachała róże w wielkim koszu. Mazanek swoim zwyczajem węszył i grzebał po szufladach. Nie znalazł jednak niczego ciekawego.

– Jeśli ten ślepy Piątek się pomylił... – wyszeptał w końcu – ...to chryja. Chryja, panie!

– Nie, to on – odparła Woźniak. – Poznaję go. Był na sali w To i Owo, kiedy zginął ten cały Telegraf. Stał taki goguś wypomadowany. Gapił się na Karolę Martyniuk. Kiedy Kierbedź wyszła na świeże powietrze zapalić, to wtedy on poszedł do toalety i zabił Legutkę. Trzeba jak najszybciej zorganizować okazanie wszystkim świadkom, a w pierwszym rzędzie tej kurwie ze Zlewu, jak jej tam...

– Natalia Tarchała, pseudo „Lola” – odpowiedział Mazanek.

Stefania Piątek westchnęła tak głęboko, że jej oddech musiał połechtać wystający z białego kołnierzyka czerwony kark siedzącego w rzędzie przed nią jegomościa. „Nigdy nie da się z nim normalnie zabawić” – myślała z goryczą o swoim mężu, wachlując się sztywnym zaproszeniem. „Zawsze coś. Taka piękna premiera, taki sukces, taki przystojny Boni, a jego gdzieś nosi! Pewnie już siedzą z tym Mazankiem w Gastronomii i żrą. A przecież po premierze mieliśmy iść tam razem na uroczystą kolację! W domu Mańka nic nie naszykowała. I co? Sama teraz mam jeść?”

Na dodatek w ogóle cała ich policyjna grupka znikła z widowni. Wstyd! Najpierw się kręcił, jakby siedział na rozżarzonych węglach, potem od razu zaczął przeciskać się tuż po uwerturze, kiedy wszyscy skupiają się najbardziej, nie dość tego – podszedł do sceny, po czym w ogóle uciekł do foyer. Wstyd! Zaraz też jęli się przepychać ci jego koleisie, te wszystkie Mazanki i Maślanki. I ta Woźniak! Kto to widział, żeby baba była przodownikiem policji? Nikt. W przerwie inne żony stały sobie beztrąsko w swoich futrzanych etolach, a mężowie przynosili im szampana w wysokich kieliszkach, podpalali zapalniczkami papierosy w długich czarnych lufkach, przedstawiali miejskie znakomitości, podsuwali bliny z kawiozem. A ona zaś sterczała sama jak kurwa pod latarnią. Sama sobie musiała podawać ognia, sama musiała prosić o szampana wyfraczonego kelnera. Znakomicie. Jej mąż tymczasem mignął jej wraz z całym zespołem na chwilę – rozmawiał z dyrektorem Malinowskim. Pokazał Stefci jakąś niezrozumiałą pantomimę na odległość. „Czekaj, dam ja ci pantomimę. Nic”. Trzeba się skupić na doznaniach artystycznych, jakoś poradzi sobie bez męża. Według libretta teraz będzie się działo w pałacu u tego całego księcia, co kocha tą tancerkę z kabaretu, tą

całą Sylvię Varescu. Ale jego ojciec – najprawdziwszy książe – oczywiście nigdy się nie zgodzi na małżeństwo z jakimś kurwiszonkiem wywijającym czardasza w kabarecie. On ma od dawna dla niego przygotowaną partię. Księżniczkę. Na pewno bardzo brzydką i bardzo bogatą. No i teraz ten książe, co kocha się w tancerce, na chwilę się zmusi do posłuszeństwa i rozsądku, przez chwilę będzie udawał przed sobą i rodzicami, że się zgadza na to małżeństwo. Ale potem miłość znów podniesie swój wstrętny łeb i wszystko pójdzie w diabły. Jakżeby inaczej.

No dobra, ale czy oni nie powinni już zaczynać? Ile ma trwać ta przerwa? A kurtyna wciąż się nie podnosi. No, nareszcie! Muzycy zajmują swoje miejsca w orkiestronie i próbują instrumenty. Wchodzi dyrygent obsypany nagłą burzą braw, podaje rękę najważniejszemu muzykowi. Zastyga z pałeczką, skupia się. Bucha muzyka, temat z arii Boniego! W końcu kurtyna idzie w górę. Powoli, majestatycznie. Scena przedstawia pałac tego całego księcia. Ni to ogród z białymi schodami, ni to wnętrze, bo wisi wielki obraz. Wszędzie pełno zieleni, białych schodów, białych kolumnienek, białych posągów Apolla i białych latarni. Książe tańczy, oczywiście w białym mundurze ze złotymi epoletami i guzikami. Wszyscy tańczą. I najpiękniejsze ze wszystkiego: prawdziwa biała fontanna, z prawdziwą wodą na scenie! W świetle reflektorów woda perli się „czarownie” to na czerwono, to na błękitno. Stefcia uwielbia wszystko, co „czarowne”. Fontanna była absolutnie czarowna. Akcja idzie zgodnie z planem. Młody książe Lippert-Weylersheim już zupełnie pogodzony z losem (zobaczmy, na jak długo) śpiewa w duecie ze swoją przyszłą żoną. Ładna to ona nie jest, ale na pewno ma forszę. Zaraz, zgodnie z librettem na balu pojawi się Boni. Przyjdzie „z żoną”, którą będzie przebrana Sylvia Varescu (kurwiszonek z kabaretu).

Ale coś jest nie tak... Czy ten Boni nie powinien się już pojawić? Na scenie panuje jakaś konsternacja. Stary książe Lippert-Weylersheim mówi do swojej żony, Anhildy granej przez słynną śpiewaczkę z Warszawy, Bogusławę Majecką-Szmuc:

– To mi się nie podoba.

Jego żona Anhilda:

– Mnie też, Leopoldzie Mario... Obawiam się najgorszego!

Książę:

– Czyżby już?

Anhilda:

– Możliwe, że będzie miał... Nie unosi się, Leopoldzie Mario...

Książę:

– Dziecko!

Anhilda:

– Oddamy je!

Książę:

– Nigdy! Nie zapominaj, że to bądź co bądź Lippert-Weylersheim!

Anhilda:

– Ale z kabaretową domieszką...

I tu, zgodnie z odwiecznym librettem, miał się za kulisami rozleć dialog Boniego i Sylvii Varescu, a potem stary książę miał powiedzieć: „To naprawdę ty, Boni? Jakże się cieszę!”. Małżeństwo Lippert-Weylersheim stało u stóp wielkich schodów i czekało na ów dialog. Nie nastąpił. Wszyscy zamarli. Całkiem już skonsternowana Anhilda krzyknęła na cały głos jeszcze raz:

– Ale z kabaretową domieszką! – aby czający się u szczytu schodów Sylvia Varescu i Boni mogli ją usłyszeć i wypowiedzieć swoje kwestie. Cisza. Wskutek tego zdesperowany stary książę powiedział niepewnym głosem:

– To naprawdę ty, Boni? Jakże się cieszę!

Nic.

Grób.

Mogła.

Trudno cieszyć się długo gościem, którego nie ma, toteż stary książę zupełnie oklapł.

Wskutek zaistniałych wypadków Anhilda – wbrew temu, co było w odwiecznym scenariuszu, który oto po raz pierwszy od lat został pogwałcony – również desperacko krzyknęła, raczej już histerycznie niż powitalnie:

– To naprawdę ty, Boni? Z kabaretową domieszką?

Kobieta najwyraźniej straciła głowę. To się nie mogło dzieć naprawdę! Przecież nikt, nikt na świecie nie ma prawa zmienić akcji odwiecznej operetki! Mogą ginąć narody, zniknąć gwiazdozbiory, mogą wybuchać wulkany, może dzieć się wszystko, ale Boni z Sylwią Varescu musi pojawić się po słowach „z kabaretową domieszką”! Aktorzy nie potrafili przyjąć do wiadomości, że oto oni stoją u stóp schodów i pada owo magiczne „domieszką”, a nikt nie idzie! Dlatego więc, zamiast dać spokój, zaklinali owe schody dalej. Stary książę powiedział:

– Czyżby to był Boni?

Nic to nie dało.

– To chyba Boni z kabaretową... z domieszką... – powtórzyła grobowym głosem w absolutnej ciszy aktorka grająca Anhildę. Było oczywiste, że jeżeli Boni natychmiast nie zejdzie ze schodów, ona zaraz się rozpłacze.

– Och, to na pewno on... – rzekł stary książę, ale już bez uprzedniego przekonania.

W ostatnim desperackim zrywie powiedział z wyrzutem, nie wiadomo: do siebie, do schodów czy do żony:

– Słyszałem, że na balu ma pojawić się Boni.

Ona zaś, jak automat, dodała bezczelnie:

– Z kabaretową... domieszką... I gdzież ta nasza domieszka się podziewa? – wycedziła.

„To już koniec” – pomyślała Stefania Piątek ze zgrozą.

Widownia milczała jak zaklęta. Nikt nie kaszłał, nikt nie wycierał nosa, nikt nie oddychał. Wszyscy siedzieli wciśnięci w fotele i patrzyli na aktorów jak świnie patrzą na rzeźnika. Aktorzy na scenie też czekali. I nic. W końcu sytuacja stała się przewlekła. Wykonawcy popadli w rodzaj otępienia. Stali jak kołki, wyrwani z wyreżyserowanych i uświęconych librettem, automatycznie wykonywanych ruchów i kwestii. Anhilda raz po raz wachlowała się wielkim wachlarzem.

Nagle, w tej grobowej ciszy, zza kulis dobiegł przejmujący kobiecy jęk. Wszyscy drgnęli jak popieszczeni prądem. Zrobiło się zamieszanie. Na scenę wpadli ludzie w byle jakich współczesnych ubraniach, zgoła nie czarownych, wcale nie białych i bez złotych epoletów, którzy mieli prawo pojawić się chyba jedynie, gdyby wybuchł pożar.

Na widowni zamieszanie! Kolejny straszny okrzyk. Opadła kurtyna i od razu się podniosła, ale tylko do połowy i jakoś krzywo. Malinowski nie wychodził, nie wyjaśniał, co się stało. Nikt, w ogóle nikt nie wychodził. Anhilda pierwsza krzyknęła i wzięła nogi za pas. Dała tym hasło do ogólnej panicznej ucieczki.

„Pożar, to na pewno pożar!” – pomyślała Stefcia i zaczęła w panice przepychać się z innymi do wyjścia. Utknęła jednak w korku. Nikt nic nie wiedział, wszyscy obstawiali pożar. I teraz nagle z tych kulturalnych ludzi wyszły zwierzęta. Kiszki, serca i wątroby zbite w jedną masę, oddzielone od siebie tylko cienką skórą i warstwą ubrań. Nagle odsłoniły się ukryte zęby i pazury. W ruch poszły łokcie i kopniaki. Już nie puszczało się dam przodem. Już nie ustępowało się im w drzwiach. Stefcia dobiła już prawie do wyjścia, chciała jak najszybciej wydostać się z klaustrofobicznej nagle widowni, gdy poczuła, że ktoś ją kopnął, ktoś inny nastąpił jej na lekko już opuchniętą stopę tkwiącą w tym niewygodnym eleganckim bucie na obcasie. Zaraz się udusi. Wreszcie wypadła, wyciśnięta przez innych do foyer, gdzie tłum oblegał szatnie, wrywał swoje i cudze futra. Patrząc na to wszystko, Stefcia zwątpiła w obecną ważność swojego numerka. Gdzie się podział ten Adolf?! Czekaj, już ty mnie popamiętasz!

Ale oto i zajeżdża na sygnale wóz policyjny. Wypadają z niego postacie znane Stefcie doskonale: Maślanka i Mazanek, koleżka jej męża od kotleta i kieliszka, oraz pan doktor Ziemkiewicz, jedyny porządny w tym gronie.

– Co tu się dzieje? Gdzie jest Adolf? – Stefania Piątek pociągnęła jednego z nich za rękaw. Oni też wyglądali, jakby uciekli właśnie z domu wariatów. Nie zaprotestowali, gdy pobiegła za nimi za kulisy, na ile pozwalały jej te przekłete buty. Zastała tam istne pandemonium. Stefania Piątek podeszła do jednego

z facetów w cywilnym ubraniu, może to sufler, może pracownik techniczny, i powiedziała twardo:

– Policja. Co tu się dzieje, do cholery?

Facet spojrział na nią błędnym wzrokiem i pokazał na szczyt schodów. To stamtąd miał nadejść Boni. Właśnie tam biegli Mazanek i Maślanka. Wysoko u szczytu rozpościerała się dalsza część ogrodu i nikła w głębi sceny. Jak wszędzie, były tam różne fontanny, drzewa, cuda-wianki. Trzeba przyznać, że naprawdę się postarali, nie zasłużyli na taką katastrofę. Nagle Stefcia zbaraniała: na jednym z drzew wisiał dyrektor operetki, Zenon Malinowski, z jakąś kartką przypiętą do fraka. Pani Piątek zaczęła się zastanawiać, czy w domu znajdzie się cokolwiek na szybką kolację.

Potem Piątek próbował przypomnieć sobie i uporządkować serię zdarzeń, które tej niezwyklej nocy następowały lawinowo. Dojechali właśnie do Zakładu Medycyny Sądowej – ponieważ to przodownik Woźniak miała przesłuchiwać Miłoszyckiego, potrzebowała więc „swojego” aresztu. Ledwo jednak wysiedli na Kaczej, już rozdzwoniły się telefony z przedziwną informacją o śmierci Malinowskiego, stawiając winę świeżo aresztowanego pod wielkim znakiem zapytania. Zostawiono więc młodego aktora z oprychami i przodownik Woźniak, reszta zespołu zaś, z doktorem Ziemkiewiczem na czele, pobiegła znowu do samochodu i z zawrotną szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, niczym Lux Torpeda, pomknęła z powrotem do operetki, gdzie zastała zbiorową histerię, a co gorsza, tekst tanga przyszpilony do wiszącego Malinowskiego. Ponieważ żył on jeszcze, choć ledwo, gdy policjanci opuszczali teatr z Miłoszyckim, znak zapytania co do winy solisty właściwie zamienił się w pewność. Piątkowi zrobiło się go bardzo źal, ponieważ przodownik Woźniak nic nie wiedziała o tangu, i do ich powrotu mogła zamęczyć go na śmierć. Postanowił zatem zadzwonić na Kaczą.

– Stacha, miej nad nim litość, to nie on!

Na linii panowały jednak zakłócenia, słyhać było też inną rozmowę telefoniczną, jakaś afektowana dama klarowała swojemu kochankowi, sepleniąc, że „baba-jaga wyjechała... Bzidki... A ja jestem taka mała... Taka słaba... Bzitka baba-jaga wyjechała na miotle, a ci bzidał mnie psigalnie?”.

– Jaka baba-jaga? – darła się po drugiej stronie przodownik Woźniak. – Jaka baba-jaga na miotle wyjechała? Ja baba-jaga?

Piątek:

– To jakaś kretynka włączyła się na linię. Nie słuchaj tego! Jakaś idiotka!

Kobieta sepleniąca:

– Coś ty powiedział? Ja idiotka?

Mężczyzna, którego „baba-jaga wyjechała”:

– To nie ja mówiłem, to jakiś pacan na linii... Posłuchaj, kochanie, nie mogę przyjechać, bo mam zebranie...

Słowem, nie dało się rozmawiać i w końcu w sekretariacie teatru Piątek odwiesił słuchawkę na widełki. Zapłakana kobieta, chyba sekretarka Malinowskiego, wciąż jeszcze ubrana w paradną suknię na premierę, zrobiła mu kawę. Cały zespół (poza doktorem Ziemkiewiczem, który wciąż badał zwłoki, i Karolem Maślanką robiącym zdjęcia na miejscu) zebrał się przy tej kawie w gabinecie Malinowskiego.

– No to teraz już wpadnie. Nie tak łatwo było wejść niezauważonym za kulisy w przerwie, powiesić kawał faceta, przyszpilić mu kartkę i wyjść. Tam pełno było robotników zmieniających dekoracje.

– Chyba że zrobił to już po rozpoczęciu drugiego aktu. Drzewo u szczytu schodów jest za fontanną, nie byłoby go widać z widowni. Dużo ryzykował, ale się udało.

– Ależ gdyby Malinowski żył do końca przerwy, to na pewno nie pozwoliłby zacząć drugiego aktu, tylko najpierw wyszedłby do publiczności z przemową, że, niestety, ich wspaniały Boni poczuł się źle, zasłabł i zastąpi go zmiennik. Poza tym poinformowałby zmiennika, że ma stać u szczytu schodów w pełnej gotowości i zejść na dany znak. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, a zmiennik, niejaki Maciej Szumny, nie potrafił przeboleć, że nikt go nie zawiadomił, i przez pół godziny wyjaśniał im, że on lepiej śpiewa arię Boniego niż to beztalencie Miłoszycki, że on jest ładniejszy, ale – cóż – nie oddaje się dyrektorom operetek, dlatego jest tylko zmiennikiem!

– Zdjęliście już odciski palców z tego tanga? Bo pewnie to kolejne tango. *Noli me tangere...* Ale o tym później. Coś mi przyszło do głowy w czasie spektaklu.

- Nie było odcisków. – Mazanek położył na stole tekst napisany na maszynie.
- O, jak dobrze! Na maszynie! Będzie można zidentyfikować maszynę! Czytaj! Mazanek zaczął śpiewać, ponieważ doskonale znał melodię do tych słów:
- Już rok upłynął i drugi mknie...
- *Stachu!* – krzyknęli wszyscy chórem.
- Dobrze, daj spokój, wszyscy znamy te słowa. „Stachu, wróć, daruję ci winy, porzuć inne dziewczyny...”

– To jest pieśń miłosna do Stacha, a przecież jego kochanek ma na imię Stanisław! – wykrzyknął Mazanek.

– Nie podniecaj się, Kaziu. Nadal uważam, że ważny jest sam fakt, że to tango, a nie słowa, które mają odwracać naszą uwagę i wplątać nas w różne poboczne dywagacje. Po prostu: ktoś przyszpilił do zwłok Malinowskiego tango *Stachu*. To odkładamy teraz na bok. Musimy się skupić na przesłuchaniach świadków. Ktoś go musiał widzieć!

W drzwiach ukazał się posterunkowy Piorożek, a zaraz za nim jego druga połowa – Kostański.

– A ci tu czego?! – wrzasnął Piątek.

– Chcieliśmy zapytać, kiedy będzie można puszczać widzów do domu, bo już bardzo się buntują.

– Spisani?

– Tak.

– Możecie ich puścić z pouczeniem, że mogą być wzywani na przesłuchanie. Ale tylko parter. Widzów z łoży na pierwszym i drugim piętrze jeszcze przytrzymać. Stamtąd mogli coś widzieć.

– A z jaskółki?

– Boże, co za debil! Z jaskółki tym bardziej nie puszczać! Oglądać każdego bilet. Tylko parter. A z obsługi teatru też nikogo nie puszczać. Odmeldować się.

Kiedy za Kostańskim i Piorożkiem zamknęły się drzwi, Piątek obrzucił wszystkich zmęczonym spojrzeniem. Była już jedenasta w nocy. Nie jadł dziś

obiadu, bo mieli iść z żoną i Mazankiem do Gastronomii. Na samą myśl o tej uczcie zaburczało mu w brzuchu. Wysłał jednego z policjantów do pobliskiej knajpy po cokolwiek do jedzenia. Znając ją, nie spodziewał się niczego poza niestrawnymi zagrychami pod wódkę typu sznycel na zimno i kiszzone ogórki. Sznycel pewnie cały dzień spędził w ciepłku za szybą oszklonej gablotki, a ogórki pływały w wielkim słoju na ladzie. Powiódł wzrokiem po kolegach: zniechęcone twarze, porozpinane kołnierzyki wieczorowych koszul, bo wszyscy byli na premierze, porozwiązywane muszki, wymięte gorsy, podkrążone oczy. Normalnie teraz po spektaklu regenerowałyby siły.

– Trzeba zadzwonić po Wandę, bo Mazanek nie umie pisać. – Piątek spojrzał na czarny lśniący aparat z dużą tarczą.

– Ależ ona nie ma telefonu!

– To niech który po nią pojedzie! Nie widzicie, że jest sytuacja nagła?

Ktoś wyszedł posłusznie.

– Kto najlepiej orientuje się w sprawach, jakie dzieją się w przerwie na scenie? – zapytał Piątek sekretarkę Malinowskiego.

– Reżyser i szef scenografii. A jeśli chodzi panu o osoby, które mogły być wtedy na scenie, to całe mnóstwo: robotnicy zmieniający scenografię, dyrygujący nimi właśnie szef scenografii, maszyniści, pracownicy techniczni ustawiający światła, obsługujący fontanny i dymiarki, elektrycy, sprzątaczkę zamykającą kwiaty, które rozrzucał Boni podczas arii, suflerzy... Mnóstwo ludzi.

Okazało się, że reżyser nie pojawił się w przerwie na scenie. Był to rozedrgany, zdenerwowany mężczyzna lat około pięćdziesięciu, pan Juliusz Sawicki. Załamany niewypałem premierowego przedstawienia, w którym pokładał wiele nadziei co do swojej kariery.

– Poszedłem do garderoby Niny... To znaczy Niny Melcer, aktorki, która gra Sylwię Varescu, aby ją za coś opieprzyć i udzielić paru wskazówek. Byłem na nią wściekły, ponieważ tłumaczyłem jej wiele razy pewną rzecz, a ona na każdej próbie się myliła w tym samym miejscu i na premierze znowu się pomyliła. Jeśli ktoś nie

potrafi zapamiętać prostej rzeczy, to niestety... Ten zawód wymaga choćby odrobiny inteligencji. Wiedziałem, że w drugim akcie Nina znowu się pomyli, dlatego poszedłem ją ostrzec. Widzicie panowie, to nie jest osoba zbyt lotna. Umie śpiewać, ale stojąc w miejscu, a jak ma jednocześnie schodzić stromymi schodami w butach na wysokim obcasie, to już się boi.

– No więc poszedł pan do niej i...

– Zapukałem. Otworzyła mi cała w skowronkach. Pewnie myślała, że chciałem jej pogratulować, cała ona! Kazałem jej chuchnąć, bo miała surowo zabronione popijać sobie w przerwie. Odmówiła. Ale i tak zajeżdżało od niej jak z gorzelnii. Zacząłem na nią krzyczeć, a ona pokładała się na swoim szezlongu i po prostu zanosila się histerycznym śmiechem. Dałem jej w twarz, a ta idiotka śmieje się jeszcze bardziej dziko. Już prawie nie mogła oddychać. Dusila się od śmiechu. Po umalowanej, nieszczerzej twarzy leciały jej łzy, rozmazywały sceniczny makijaż.

– Dobrze, dobrze. Ile pan u niej siedział?

– Zostawiłem ją po jakichś pięciu minutach, bo było oczywiste, że nie da się z nią dogadać. Zapowiedziałem jej tylko, że jeśli pomyli się w drugim akcie w wiadomym miejscu, to jutro zastąpi ją dublerka. Nic mnie nie obchodzi. Zawsze są obsadzone po dwie osoby w jednej roli. Ona na to wyciągnęła butelkę likieru i bezczelnie pociągnęła wprost z gwinta. Wyrwałem jej ją i zabrałem ze sobą. Wszedłem ścigany jej histerycznym śmiechem. Potem zajrzałem do Stasia Miłoszyckiego...

– O! – Wszyscy policjanci w gabinecie ożywili się, a Mazanek aż gwizdnął.

– Wszedłem do niego. Był w zupełnie innym nastroju niż Nina. Siedział smutny przed toaletką i gapił się w lustro. Jakby w depresji. Nie był jeszcze przemalowany. Bo widzicie, panowie, w pierwszym akcie on ma tą swoją słynną arię Boniego i podczas niej dziewczyny pokrywają jego twarz odciskami pocałunków... Ponieważ potem ma się pojawić na balu, już zupełnie innego dnia, powinien je zmyć i na powrót normalnie się pomalować, tak żeby rysy twarzy były widoczne z najdalszych rzędów. Ale wciąż jeszcze tego nie zrobił. Zapytałem go,

na co czeka. Nie odpowiedział. Pocieszyłem go, że dobrze mu idzie, że ma sukces i dobrą klakę z paradyżu. Uśmiechnął się, ale tak, no wiecie, panowie, jak człowiek skazany, którego się pociesza. Powiedziałem mu, że byłem u Niny i znowu chłała, więc musi na nią bardzo uważać. Powiedział, że trzeba z nią wreszcie zrobić koniec. Że trzeba ją wymienić na dublerkę. Przyznałem mu rację i postanowiliśmy wspólnie, że to będzie jej ostatni występ. No więc wyszedłem od niego i na korytarzu spotkałem pana dyrektora Malinowskiego. Ojej... To znaczy świętej pamięci pana dyrektora. Był bardzo podenerwowany. Powiedział, że policja, to znaczy... panowie coś złego knujecie. Najpierw kogoś podobno wyprowadziliście przed spektaklem w kajdankach – nie wiem, aktorzy od dawna byli za kulisami, ja zaś poszedłem z głównym maszynistą do dymiarki, która coś się zacięła... A teraz – mówił – znowu się nerwowo naradzacie. To o Miłoszyckiego wam chodziło? Bo tu chodzą słuchy „na balecie”, że to on jest tym Tancerzem, którego poszukujecie... Tak?

– Co pan robił, kiedy skończył pan rozmawiać z dyrektorem Malinowskim? W jakim kierunku on się oddalił? – Piątek zignorował pytanie Sawickiego.

– No powiedziałem mu jeszcze, że Nina pije w swojej garderobie likier z butelki, więc poszedł do niej, a ja poszedłem na scenę zobaczyć, jak radzą sobie z elektryką. Okazało się, że są problemy z tym wielkim żyrandolem, który spuszczone był aż na deski sceny, i nie wszystkie żarówki chciały działać, co się już nie pierwszy raz zdarzało, bo na próbach tak samo były z tym kłopoty. To jest jak z lampkami choinkowymi – wystarczy, że jedna jest niedokręcona, i gaśnie wszystko. Tak że elektrycy mieli ręce pełne roboty. A ja ich poganiałem, bo przecież przerwa nie może trwać w nieskończoność. Wtedy też zobaczyliśmy, jak Malinowski prowadzi panów przez scenę do garderób aktorów, i to już w ogóle mnie przestraszyło, zostawiłem więc ten żyrandol elektrykom i poszedłem za wami aż do garderoby Miłoszyckiego. Wstyd powiedzieć, ale podsłuchiwałem pod drzwiami... Nerwowo obgryzałem paznokcie, bo zacząłem rozumieć, że być może będzie trzeba wziąć do drugiego aktu zmiennika Boniego, a jak by to wyglądało? Inny Boni w drugim akcie?

– A czy idąc od tej lampy do garderoby Miłoszyckiego, nie spotkał pan kogoś spoza stałej obsługi teatru?

– N... Nie... – zawahał się reżyser, ale tak nieprzekonująco, że od razu było widać, że nie potrafi kłamać.

– Kogo? Panie Juliuszu, to nie jest teraz czas na tani teatrzyk. Kogo pan spotkał?!

– Och, zawsze kręcą się różni ludzie z widowni, którzy chcą dać kwiaty aktorom albo zdobyć autograf... Jakieś siksy, jakieś uczennice...

– Panie Juliuszu, ale pan widział nie uczennicę! Pan widział kogoś konkretnego!

Juliusz Sawicki milczał i patrzył na swoje paznokcie, jakby chciał ocenić jakość wykonanego manicure'u.

– Proszę spojrzeć mi w oczy! – krzyknął Mazanek. – Czy to była kobieta czy mężczyzna?

Milczenie.

– Nie damy panu spokoju, panie Juliuszu. Nie wypuścimy pana stąd, a jak wypuścimy, to tylko w stalowe objęcia pani przodownik Woźniak, a wtedy powie pan wszystko, ale będzie pan żałował, że nie powiedział teraz. Kogo pan ochrania?

Milczenie.

– Czy to była pani Sara Berg? – wypalił nagle Piątek.

Juliusz Sawicki nie musiał odpowiadać na to pytanie. Być może był dobrym reżyserem, ale beznadziejnym aktorem. Wszystko stało się jasne...

– No tak, trudno było jej nie zauważyć w tej czerwonej sukni ciągnącej się za nią na kilometr. Wyglądała jak chodzący pożar. Kiedy mnie zobaczyła, zmieszała się, ale zaraz się opanowała i zaczęła mi gratulować, mówiła, że wszystko idzie wspaniale i będzie sukces. Nie wiem, dokąd potem poszła, bo wróciłem na scenę. Robotnicy naprawili żyrandol i właśnie windowali go na właściwą wysokość. Powiedzieli, że możemy kończyć przerwę. Ale ja wiedziałem, że nie. Że w tej chwili nic nie wiadomo. Pobiegłem znów pod garderobę Miłoszyckiego, ale

właśnie go wyprowadzaliście. Więc wpadłem w panikę. Podszedłem do Malinowskiego i zapytałem, co robimy i co się w ogóle dzieje. Powiedział mi, żebym szedł na widownię, on będzie musiał ogłosić, że pan Miłoszycki źle się poczuł i w drugim akcie wystąpi jego zmiennik. Ale akt drugi zaczął się bez tej jego zapowiedzi. A w odpowiednim momencie nie wyszedł żaden Boni. Zmiennik nie został poinformowany. Myślałem, że umrę ze zgrozy na widowni, kiedy aktorzy powtarzali w kółko o tej „kabaretowej domieszce”. Czyli pan Malinowski musiał się powiesić zaraz po moim wyjściu na widownię.

– Jest pan wolny, ale proszę nie opuszczać teatru. Kaziu – Piątek zwrócił się do Mazanka – idź, z łaski swojej, sprawdź, czy jest tu jeszcze Sara Berg. Jeśli tak, to bierzemy ją do Woźniak na Kaczę. Czas kończyć tę sprawę. Chyba wszyscy mamy jej dość!

Dzień wcześniej Felek, młody kochanek Sary Berg, siedział ze swoim kumplem Wackiem, synem tragarza z Dworca Petersburskiego, na murku jednego ze skomplikowanych jak labirynt podwórek na tyłach ulicy Kurkowej. Felek, jako teraz ten „bogaty”, zafundował obu po tutce prażonego słonecznika kupionego u grubej baby na ulicy. Baba brała szklanke, odmierzała porcję ziaren i wsypywała je do stożka zrobionego z gazety. W gazecie tej pisano, że policja za wcześnie ogłosiła zwycięstwo i znowu jest bezsilna wobec wielokrotnego mordercy – Tancerza, który być może jest również Kucharzem. Nie wpływało to jednak na smak prażonego słonecznika, którego łupinami chłopcy pluli dookoła bez opamiętania. Kiedy ta uczta się skończyła, kupili sobie słodkie makagigi i chrupali je teraz w poczuciu pełni szczęścia. Z jednego z okien dochodziły rzewne tony mandoliny i tęskne zawodzenia jakiegoś lowelasa. Chłopcy chrupali zapamiętałe, a w przerwie palili papierosy Nil, które też kupił Felek w pobliskiej trafice U Nickiego. Kolega nie chciał mu uwierzyć, że powodem nagłego przyływu gotówki u kolegi jest romans z samą Sarą Berg.

– Taa, Sarę to ty może widziałeś, ale na plakacie... – Wacek wstał z murka i przysiadł na trzepaku. – Przyznaj się, że zrobiłeś jakieś mieszkanie. Beze mnie?! Człowieku!

Felek bez słowa wyciągnął z kieszeni portek wiszących na jednej założonej na ukos szelce pogięte zdjęcie z napisem na odwrocie: „Mojemu słodkiemu ulicznikowi, jego Sara”. Wacek rozdziawił gębę.

– Człowieku, z czym do ludzi? Bez ciebie bym miał robić mieszkanie? Właśnie dlatego ci o tym mówię, że chcę zrobić, ale z tobą. Właśnie jej mieszkanie, a właściwie dom. Ty wiesz, jaka ona jest bogata? Ile tam jest fantów! Zostawiłem

otwarte okno w łazience, tylko lekko przymknięte. Ona dziś idzie na premierę do teatru. Już jak od niej wychodziłem, leżała w kąpielni, w pianie. Miała wyjść o siódmej. Do dwunastej mieszkanie jest nasze. Służąca dostała dziś wychodne!

– Sami? – Wacek, kiedy szło o włam, stawał się zawsze bardzo skupiony i konkretny.

– A po co nam trzeci do podziału?

– No pewnie, nie trzeba! A pieniądze to ona ma?

– Ma w sejfie, ale podpatrzyłem kod, jak wyciągała rubinowe kolczyki, żeby się wystroić do tego teatru. A ile brylantów tam jest! Wacek... Bierzemy wszystko i pryskamy do Zakopanego!

– Albo nad morze... – rozmarzył się jego kolega. – Nigdy jeszcze nie widziałem morza... Kiedy?

– Dziś o wpół do ósmej pod jej domem. Hawira jest pusta, z dużym ogrodem, od sąsiadów nic nie widać.

– W takim morzu to muszą brać ryby, i to jakie, u nas nawet rzeki nie ma... Ryby piły, ryby elektryczne, świecące, opalizujące, potwory morskie, ośmiornice... Masz latarki?

– Się wie...

– Meduzy...

– A co to jest meduza? – spytał podejrzliwie Felek, dłubiąc palcem w nosie i oglądając uważnie wyniki swoich eksploracji.

– Nie wiem dokładnie, ale to coś bardzo, bardzo dziwnego... Taki stwór. Sama głowa, a żyje. W jednej bramie, gdzie często jestem za interesem u córki stróża, takiej jednej Feli, jest na posadzce mozaika z głową meduzy ułożona z kolorowych szkiełek... Ludzka twarz otoczona jakimiś mackami. – Wacek bywał u Feli nawet częściej, niż wymagałby tego interes, specjalnie aby popatrzeć na mozaikową meduzę.

– Sama twarz?

– Samiutka, jak słonecznik. I jak się tego dziwołaga dotknie, to parzy! I taka ludzka twarz pływa w wodzie, faluje, bo ona jest z takiej jakby galarety... Pływa, faluje jak naleśnik z otwartymi ustami.

– Jak salceson?

– A bo ja wiem? Może i jak salceson. A te macki to falują jej dookoła jak włosy topielicy, jak wodorosty. I mówił mi jeden facet, że jak się spojrzy w taką twarz meduzy, to się skamienieje.

Przez chwilę chłopcy przetrawiali w milczeniu tę straszną informację i wynikające z niej ewentualne konsekwencje w kontekście ich wyjazdu nad morze. W ciszy słychać było tylko chrupanie makagigi i odgłosy plucia. W głowie Wacka meduzy, brylanty i ryby piły połączyły się w surrealistyczną całość. Felek zaś pokonywał resztki skrupułów, bo jednak Sara Berg była dla niego bardzo dobra, a on teraz chce ją tak wystawić. Ale znał już życie i wiedział, że znudzi się jej lada chwila. Wtedy diwa zażąda nowego ulicznika, a może torreadora, w każdym razie Felek pójdzie w odstawkę.

Nagle na podwórko wszedł jakiś facet i śpiewnie zawołał, dziwnie akcentując wyrazy:

– BLAcharz LUtuje REperuje GARNki MIseczki DRUtuje!

To nie miała być ich pierwsza robota. „Zrobili” razem już dwa mieszkania i za każdym razem błoga adrenalina, że mogą zostać złapani, uzależniała ich coraz bardziej. Ale na razie wszystko szło jak po maśle! Tylko nigdy jeszcze nie trafili na mieszkanie naprawdę bogate – ich wywiad trochę szwankował. Potem musieli użerać się z Fajgą Gutnajer, aby przyjęła od nich przypalony czajnik czy stare poduszki, w najlepszym razie żelazko.

O wpół do ósmej spotkali się nieopodal domu sprezentowanego Sarze Berg przez jednego z najbogatszych baronów naftowych, Adama Nowickiego. Była to przepiękna modernistyczna willa w stylu Bauhaus, ale chłopcy o tym nie wiedzieli. Wacek czuł się nawet poważnie zawiedziony brakiem kolumnienek, rzeźb i ogólną geometryczną prostotą budynku. W bardzo dużym ogrodzie rosły stare dorodne

drzewa o rozłożystych konarach, tak że nikt z sąsiednich domów nie mógł dojrzeć młodych złodziei. Z powodu mrozu ulica zupełnie się wyludniła, ale na wszelki wypadek postanowili nie wchodzić głównym wejściem, tylko wśliznąć się przez małą furtkę dla służby i dostawców na tyłach budynku. Mimo że dom i wielki ogród, w którym stał, otaczał bardzo wysoki mur, furtkę z tyłu zamykano tylko na skobel. Gdzieś daleko czekał pies. Intensywnie pachniało mrozem i węglem. Willa była ciemna, a na jej tyły nie docierało wątłe światło z gazowych latarni oświetlających ulicę. Weszli do ogrodu. Chwilę stali, aby przyzwyczaić wzrok do panującego mroku, ponieważ Felek uważał, że latarki są dla frajerów i należy ich używać jedynie w ostateczności. Po jakimś czasie spędzonym w ciemności wszystko przecież doskonale widać. Skradali się przez wiekowy ogród jak dwa czarne koty. Był dość zapuszczony, ale Sarze się podobał, mówiła, że jest „romantyczny” i „angielski”.

Okno w łazience nadal było tylko uchylone, więc po chwili wylądowali w środku. Znając opowieści o dziwactwach Sary, Wacek nie zdziwił się, że willa nie jest przesadnie dogrzana, chociaż temperatura w łazience i tak była znacząco wyższa niż na zewnątrz. Wciąż unosiła się w niej przesycona perfumami i kosmetykami ciepła wilgoć. Na umywalce leżały sztuczne rzęsy i zalotka. Wacek poczuł silne podniecenie tą kobiecą atmosferą, szczególnie rzęsy podziały na niego jak afrodyzjak. Nagle chwycił porzucone w kącie czarne koronkowe majteczki i przyłożył sobie do nosa. Otrzeźwił go dopiero silny kuksaniec kolegi. Aby zobaczyć meduzę i może nawet skamienieć, należało zacząć działać!

Przy wielkim lustrze stały kremy i perfumy, na pewno drogie, ale ciężko byłoby je spieniężyć u Fajgi Gutnajer, której nic nie mówiły nazwy Elizabeth Arden, Helena Rubinstein, Guerlain Shalimar ani Chanel no 5. W końcu z ociąganiem wyszli z łazienki na korytarz.

Tu temperatura była znacznie niższa i chłopców przebiegły dreszcze. Nagle natknęli się na kota. Na jego widok Wacek zastygł ze zgrozy. Zwierzę było zupełnie łyse i miało strasznie spiczaste uszy, jak u diabła. Jego trójkątny pyszczek

przypominał czaszkę. Szara skóra marszczyła się, było jej za dużo. Kot wyglądał, jakby uciekł z pożaru.

– Boże, co to? Oskubała go ta wiedźma czy chory?

– Paskudztwo, no nie? To taka rasa, sfinks. One się już rodzą takie ohydne – wyjaśnił Felek tonem właściciela.

– Obrzydlistwo! – Wacek popukał się w czoło. – Tfu! Paszła poczwara! – Tupnął na kota, ale ten ani drgnął, tylko gapił się na niego, jakby chciał go zahipnotyzować.

– No, a jakie to drogie!

– Co jest drogie? Kot? – Nie mógł uwierzyć Wacek, który dotąd znał tylko czarne podwórkowce, całkowicie darmowe. – Kto by dał dwa grosze za taką kalekę? – Szybko jednak dopowiedział sobie, że na pewno nie Fajga Gutnajer, i zaraz przestał się interesować dziwnym zwierzakiem.

Wacek chciał zwiedzić całą willę, Felek jednak pociągnął go do gabinetu, gdzie znajdował się sejf wmurowany w ścianę, niedbale ukryty za obrazem przedstawiającym – o zgrozo – jakąś wielką szarą kropkę na białym tle.

– Co to ma być? – zapytał zdziwiony Wacek, bo dla niego obrazy miały tym większą wartość, im więcej się na nich znajdowało – najlepiej realistycznie oddane sceny lub choćby gołe, pulchne niemieckie panienki trzymające w rękach gołąbki czy papużki. Powinny być rumiane i znudzone.

– To ty nie wiesz, że teraz taka moda malowania? Dwie kreski, jedna kropka, jakby mucha nasrała, a wiesz, jakie to drogie?!

– No, Fajga na pewno nie wie...

Łyse, sine koty i obrazy, jakby mucha nasrała. Bogacze są chorzy.

– A zobacz to! – Felek zaprowadził kolegę do sypialni, gdzie w kącie stała wielka rzeźba przedstawiająca fallusa.

– Dobry Boże... – Wacek przeżegnał się, po czym obaj jak na komendę wybuchli dzikim śmiechem.

– To się huśta na jajach! – Felek rozhuśtał rzeźbę.

Chłopcy pochichotali chwilę, robiąc mało wyrafinowane uwagi na temat potrzeb erotycznych właścicielki willi i wielkości narzędzi, których zmuszona jest używać do ich zaspokojenia. Na łóżku siedział kolejny łyse kot i obserwował ich z dezaprobatą.

– Dziwne te koty... Chyba chore...

– Bo rasowe. Mają nawet rodowody. Jak arystokraci. Całkiem łyse. Taki szyk.

Wacek rozdziawił gębę.

– A jest jeszcze trzeci. Nie wiem, gdzie się schował. Jeden nazywa się Bodo. Drugi – Dymsha. A trzeci – Brodzisz... I piją tylko wodę z lodowców. Z Dolomitów. Jakby wypily normalną, toby od razu zdechły. Takie delikatne.

W sypialni wszystko było śnieżnobiałe. Śnieżnobiałe ściany, śnieżnobiała pościel i śnieżnobiały włochaty dywan. Biała szafka nocna, biała lampka i biały wielki fallus z porcelany. A na ścianie białe obrazy przedstawiające różne białe kule.

Wacek już przemyślał, żeby oprócz innych rzeczy ukraść jednego takiego łysego kota, żeby postraszyć nim dziewczyny na podwórku, a potem puścić go na śmietniki, niech się pobawi z normalnymi, ale kiedy usłyszał o tej wodzie z Dolomitów, postanowił dać sobie spokój.

Gdy wrócili do gabinetu, Felek stanął przed obrazem przedstawiającym ni to zachód słońca nad morzem, ni to jakąś smakowitą sałatkę.

– Emil Nolde – powiedział z nabożnym podziwem, ponieważ mieszkanka willi już zdążyła go wyedukować. – Bardzo drogi.

– E... A gdzie te brylanty? – zapytał Wacek.

Felek ostrożnie zdjął obraz z szarą kropką i położył na biurku. W małym wgłębieniu w ścianie widniały stalowe drzwiczki sejfu. Mimo że znał kod, czuł się jak prawdziwy kasiarz, kiedy w rękawiczkach przekręcał specjalne pokrętła i słuchał ich tykania. Lewe – pięć razy, prawe – raz, potem jeszcze trzy razy i lekki odgłos, jakby coś odskoczyło.

– Pykło! Ale jestem Szpicbródka!

Wywalił język i przewrócił oczami. Drzwiczki sejfu stały otworem.

Zaczęli gorączkowo wyciągać granatowe pudełka z biżuterią ułożoną w środku na również granatowych lub szkarłatnych aksamitnych poduszeczkach. Otworzyli pierwsze dwa, a potem już bez sprawdzania wrzucali pozostałe jak leci do worka. Tylko po ich wielkości i kształtach można się było domyślić, czy w środku jest kolia, pierścioneł, kolczyki czy bransoleta. Ale co mogłoby się znajdować w ostatnim etui – chłopcy nie mieli pojęcia. Było za duże na jakąkolwiek biżuterię.

– Co tam jest? – zapytał Wacek.

Felek otworzył pudełko i zawiedziony odstawił je na stół.

– Listy. Albo jakieś kartki. Wyglądają na teksty piosenek.

– Pieprzyć to, wyrzuc.

– O, i jakiś paszport... „Dora Brylant”... Jakiejś Dory Brylant. Ej, a na zdjęciu ona!

Trzeci łysy kot ze spiczastymi uszami obserwował ich bezgłośnie z szafy na książki.

– To co? Spadamy? – spytał Felek.

Ale wzrok Wacka padł na cudownie zaopatrzone stolik na kółkach. Były na nim wszelkiego rodzaju alkohole, „prosto z Ameryki”, koniaki, whisky, białe wódki, likiery, a także cygara, cygaretki, papierosy i bomboniery.

– Trzeba to opić. Mamy jeszcze mnóstwo czasu... A resztę – do wora!

Felkowi jednak nie dawały spokoju te kartki z tekstami. Podeszedł do biurka i wyciągnął pierwszą z brzegu. Przeczytał na głos: „Już rok upłynął, i drugi mknie, jak dnia pewnego rzuciłeś mnie...”.

– Ej, to jej piosenki sceniczne, co ona śpiewa w kabarecie... – powiedział Wacek. Ale Felek nie był o tym przekonany. W zamyśleniu pił koniak i palił waniliową cygaretkę.

Baron naftowy, pan Adam Nowicki, prowadził w milczeniu swojego forda. Z powodu zimna chciał naciągnąć czarną budę, ale jego kochanka zaprotestowała. „Tak będzie chłodniej”. To były ostatnie słowa, wypowiedziane jeszcze przed teatrem, od tamtej pory oboje milczeli. Policja puściła ich do domu w pierwszej kolejności, po zapewnieniu z ich strony, że „nie zauważyli niczego szczególnego”. Sara siedziała nachmurzona obok kierującego autem Nowickiego i w złotym lusterku poprawiała sobie szminkę usta.

Potem wstąpili do restauracji Gastronomia, gdzie mieli od dawna zaplanowaną kolację po premierze, Sara jednak nie odzywała się wcale, nic nie jadła, piła tylko wino i paliła papierosy, skrócili więc wizytę i jechali teraz do domu. Nie ukrywała, że nie zamierza zaprosić do siebie kochankę, bo bolała ją głowa i chciała być sama. Obydwoje dobrze znali dyrektora Malinowskiego, a także Stanisława Miłoszyckiego. Adam bardzo żałował, ponieważ blada jak ściana, kopcząca jak komin i pijąca wino Sara w złym humorze wyglądała dokładnie tak, jak lubił najbardziej, tak jak na zdjęciach: niełaskawa i niekokietująca widzów. Poza tym z powodu zakończenia sztuki już na początku pierwszego aktu mieli wrócić do domu o wiele wcześniej, niż planowali. Co robić dalej z tym nieudanym wieczorem? Postanowił, że wróci do swojego dworku i pójdzie z chartami – Dianą i Plutonem – na długi spacer.

Kiedy już dojeżdżali do eleganckiej dzielnicy willowej, gdzie mieszkała Sara, nagle szepnęła:

– Zawróć i wjedź do parku.

– Ale... – Adamowi przebiegło przez głowę wiele tych „ale”: jest ciemno, jest zimno, nie wolno wjeżdżać autem do parku... Mimo to skręcił posłusznie w aleję

kiepsko oświetloną paroma zdychającymi latarniami.

Sara wyszła z samochodu. W czerwonej długiej sukni z trenem, w czerwonych butach na bardzo wysokich obcasach, w rękawiczkach po pachy, z przylizanymi, jakby przyklejonymi do czaszki włosami, z długimi rubinowymi kolczykami w uszach wyglądała w świetle reflektorów surrealistycznie.

„Ona nawet z parkowej alei zrobi sobie scenę! – pomyślał Nowicki. – Wystarczą jej ciemność i reflektory”. Włączył wszystkie światła. Patrzył, jak Sara zaczyna tańczyć w nocnym parku. Jemu było zimno w otwartym samochodzie, ona najwyraźniej działała w optymalnej dla siebie temperaturze. Odchyliła się do tyłu, jakby tańczyła tango z wyimaginowanym partnerem. Obejmowała powietrze. Jej wirujące ciało rzucało na parkową alejkę ostry cień. Śpiewała po niemiecku:

*Ich hab an dich gedacht,
als der Tango Notturmo
zwischen Abend und Morgen
aus der Ferne erklang.*

*Meinz Herz ist aufgewacht,
weil der Tango Notturmo
eine zärtliche Kunde
Deiner Liebe mir sang.*

*Dass du mein Schicksal bist,
hab voll Glück ich empfunden,
als in einsamen Stunden
ich vor Freude geweint.*

Adam siedział za kierownicą, ćmił cygaro i myślał, ile dziwnych rzeczy w jego życiu zaczęło się dziać z powodu nafty. Gdyby nie ten brunatny płyn, zadawałby się z normalnymi dziewczynami. Takimi, co to wystarczy im postawić kotleta i piwo. Którym jest zimno na mrozie. Które nie palą papierosów w metrowej długości lakowych lufkach. On sam też się zmienił. Siedział za kierownicą forda.

Czarny frak. Biały szal. Zapach cygar i perfum. Nagle z całej siły nacisnął klakson. To otrzeźwiło Sarę. Powiodła dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Wsiadła do auta.

– Do domu. Jedziemy do domu.

To nie była łatwa noc dla przodownika Adolfa Piątka i jego zespołu. Doktor Ziemkiewicz uparcie twierdził, że wążka kobieta, jaką jest Sara Berg, nie byłaby w stanie powiesić rosnącego, nieubezwłasnowolnionego mężczyzny, jakim był dyrektor Malinowski. Nawet by go nie uniosła. Nie mówiąc o tym, że wszędzie kręcili się ludzie, musiałyby więc zrobić to już po rozpoczęciu drugiego aktu. A temu znowu przeczył fakt, że nie uczyniono nic w kwestii zastępstwa za Boniego. Gdyby Malinowski żył jeszcze w chwili rozpoczęcia drugiego aktu, wyszedłby na scenę, przeprosił, wyjaśnił, że aktor grający Boniego źle się poczuł i zastąpi go zmiennik. Tymczasem zmiennik o niczym nie wiedział, nikt nie wyszedł, tak jakby Malinowski zginął przed podjęciem tych wszystkich kroków. Poza tym szamotanina, okrzyki broniącego się przed powieszeniem dyrektora – to wszystko zakłóciłoby spektakl! No i jeszcze: kto się ubiera na czerwono jak płomień, w suknię z ciągnącym się na kilometr trenem, jeśli knuje zabójstwo?

Zespół policjantów był skrajnie wyczerpany i każdy miał mętlik w głowie. Wszyscy częstowali się tabletkami z kogutkiem. Przodownik Woźniak piłowała Miłoszyckiego. Piątek skończył przesłuchiwać ludzi w teatrze (oczywiście nikt nic nie widział) i dołączył do niej. Mazanek zdobył adres Sary Berg i jechał teraz do jej willi. Sprowadzono też Władymyra, a do przesłuchania była również świeżo zmartwychwstała Karola Martyniuk. Tymczasem wydajność pracy malała z każdą chwilą. Szare, przemęczone twarze, pomiętoszone, poplamione, porozpinane wieczorowe koszule, przepalenie dziesiątkami papierosów, głód, senność – policjanci wyglądali jak zombie.

Dzięki cudownym właściwościom stolika na kółkach Felek z Wackiem nieco stracili poczucie czasu, ale nie na tyle, żeby nie rozumieć, że jeszcze nie muszą się obawiać powrotu Sary Berg. Oczekiwali jej dopiero około pierwszej w nocy. Upili się likierem pomarańczowym i innymi alkoholowymi specjałami. W przypiływie dobrego humoru Wacek wziął nawet na kolana jednego z tych straszliwych łysych kotów i z litością głaskał go po gołej, szorstkiej, pofałdowanej skórze.

Tymczasem ktoś zaczął dobijać się do drzwi!

– To ta twoja lala? Wiejemy, bo... sakrament!

– Ona by się nie dobijała, przecież ma klucze. Szybko, do łazienki!

Czym prędzej chwycili więc wór pełen wszelkiego dobra, dorzucili do niego butelkę pomarańczówki i czmychnęli po ciemku, tak jak przyszli – przez okno w łazience. Chyłkiem przemknęli na tyłach willi do furtki dla dostawców. Potem biegli bardzo długo, a gdy wreszcie przystanęli, Felek, mimo charakteru w nogach, dość długo dyszał.

– To wszystko mi się nie podoba. O tej porze tak dobijać się do Sary mogła tylko policja. A te teksty... To były chyba tanga... Mogiła! Dobrze, że zostawiłem je w otwartym sejfie. Niech znajdą...

Wacek gwizdnął przez zęby. Byli już na Dworcu Petersburskim i – rozejrzawszy się gorączkowo, aby nie wpaść na ojca Wacka, tragarza – wsiedli w pierwszy lepszy pociąg jadący na północ. Dopiero w przedziale odetchnęli i wtedy Wacek wyciągnął zza pazuchy czarne majtki Sary Berg zwędzone z łazienki. W mętym, wątłym świetle przedziału wyglądały jak przedmiot z kosmosu.

Zziajany Mazanek wrócił na komendę wraz z roztrzęsioną z powodu włamania do jej domu Sarą Berg i z informacją o tekstach tang znalezionych w jej sejfie. Bez makijażu i sztucznych rzęs wyglądała na dwadzieścia lat. Tylko sprowadzona do protokołowania zeznań panna Wanda była świeża, ale artystyczne sploty jej zwykle skomplikowanej fryzury zastąpił prosty warkocz. Siedziała skromnie w kącie i szybko uderzała długimi palcami w klawisze maszyny do pisania Orzeł. Jedno pocieszało Piątka – tej nocy, nim nastanie ranek, wszystko musi się wyjaśnić. Od jutra będą zajmować się już tylko kosmetyką. Do wyjaśnienia jednak było jeszcze bardzo daleko. Wciąż nie mieli pojęcia, ani kto był Kucharzem i Tancerzem, ani kto zabił Malinowskiego.

Wacek i Felek już od kilku godzin jechali prosto w ramiona czyhającej na nich na lodowatym gdyńskim brzegu meduzy. Aby jednak mogli spojrzeć w jej oczy i skamienieć, czekało ich jeszcze wiele przesiadek, byli jednak sami w przedziale, szczęśliwi i wolni, nawet czasem – zaciągnąwszy szczelnie zasłonki – wyjmowali klejnoty i sobie oglądali. Potem zasnęli. Wackowi śniły się meduza, pożar i uciekające z niego opalone od ognia straszne łyse koty... Ratował je i puszczał na swoim podwórku, koło wychodka, a one bały się normalnych dachowców, które, nie wiadomo czemu, warczały na nie jak psy. W końcu jednak wymieszały się z nimi i splodziły plemię jeszcze straszliwsze, łyse i poparzone, z czaszkami zamiast głów. Wacek obudził się z krzykiem. Było ciemno. Pociąg stał na jakiejś zapyziałej stacyjce. Chłopiec spojrział na śpiącego kolegę, na wór z biżuterią, pieniędzmi i poczuł taką ulgę, że aż od niej pociąg łagodnie ruszył dalej. Na północ. Do meduzy. Żeby spojrzeć i skamienieć. W ruch poszła zapobiegliwie zabrana butelka pomarańczówki. Pili ją z gwinta, smakowała obłądnie. Na jakiejś stacji Felek kupił u wiejskiej baby gorące pierogi sprzedawane z termosu. Były ze smalcem i skwarkami. Smakowały im jak nigdy. Jedli więc pierogi i popijali pomarańczówką. Za oknami przewijał się wolno ponury i ciemny krajobraz. Moknące pola, chałupy, prowincjonalne stacyjki kolejowe tonące w mroku, oświetlone żarówką dającą światło żółte jak mocz woźnicy. Lasy. Gdzieniedzie krowa. Lokomotywa wyła przeciągle i obsypywała wyglądającego oknem Wacka sadzą. Tak właśnie wyglądało absolutne szczęście.

Mazanek zapamiętał tę noc jako koszmar, morze kawy, wieczny stuk maszyny do pisania i niekończące się wielogodzinne nasiadówki, które nie ustały nawet rano i trwały do południa. Po otwarciu pobliskiej piekarni Paula Hoppego na stole pojawiły się przynajmniej ciepłe pączki z nadzieniem różanym, rogalce i bajgle. Po każdej serii przesłuchań zamykali podejrzanych z powrotem w osobnych celach i przetrawiali kolejne informacje. Z początku nikt niczego nie wiedział. Sara Berg miała w sejfie tanga, bo lubi je śpiewać i zawsze stara się wyszukać nowe do swojego repertuaru. Władimir pałał świętym oburzeniem na upadek moralności w naszym mieście. Miłoszycki płakał, że „teraz zastąpi go to beztalencie i spije piankę z jego sukcesu”. Karola Martyniuk narzekała na „uprowadzenie przez Władymyra”. Ściągnięty siłą z premiery hrabia Drucki-Lubecki milczał jak zakłęty, podobnie jak odnaleziony nareszcie na jakichś działkach, pijany zresztą jak bela Klaus Ordon. Podejrzani nie otrzymali ani kawy, ani wody, ani tym bardziej ciepłych pączków z nadzieniem różanym. Po przerwie i oddaniu ich w troskliwe ręce przodownik Woźniak i jej drabów już można było co nieco powiedzieć.

Piątek podszedł do tablicy, starł z niej jakieś łacińskie zapiski doktora Ziemkiewicza i napisał na samej górze dwa słowa: „Mieczysław Cieślak”.

– Panowie. Staraliśmy się rozpatrywać tę sprawę, jakbyśmy mieli do czynienia z jednym zabójcą. A teraz będziemy przypatrywać się każdemu przypadkowi z osobna. Zaczynamy od casusu pierwszego. Co już wiemy? Cieślak należał do klubu. Cieślak wiedział lub przynajmniej miał poważne podejrzenia na temat tego, kto jest Kucharzem. Prowadził w tej sprawie własne śledztwo. Miał adresy i nazwiska ofiar ukryte w głowie lalki. Szantażował Malinowskiego wyjawieniem publicznie jego sprawek w klubie, aby dostać niepasującą do niego i przekraczającą

jego artystyczne możliwości rolę Boniego. Tym naraził się zarówno dyrektorowi operetki, jak i – tym bardziej – jego młodemu kochankowi, panu Stanisławowi Miłoszyckiemu, którego Malinowski chętnie by widział jako Boniego. On sam oczywiście też chętnie by się w niej widział.

– Ale Cieślak szantażował nie tylko Malinowskiego. Szantażował też Druckiego (dla pieniędzy) i przede wszystkim Sarę. Ona miała tu najwięcej do stracenia. Klub postanowił więc pozbyć się Cieślaka, a katem tej organizacji był ich naczelny rzeźnik, Klaus Ordon. Ale on to tylko wykonawca. Decyzja o usunięciu Cieślaka została podjęta wspólnie na tajnym zebraniu klubu. Należało wyeliminować czarną owcę... – Przodownik Woźniak zgasła trzydziestego z kolei papierosa.

– Ponieważ jednak klub wiedział, że raz po raz będzie musiał kogoś usunąć, postanowił podłożyć przy trupie tekst tanga po to, aby wszystko wyglądało na robotę wielokrotnego mordercy szaleńca. Przy każdym trupie miał się znaleźć tekst innego tanga. Abyśmy myśleli, że chodzi o jednego zabójcę. A poza tym mieściło się to idealnie w estetyce klubu, było jakby jego wizytówką.

– Ale równie dobrze mógł go zabić Miłoszycki dla roli, wyciąć mu serce, wsadzić do kieszeni stosowne tango (*Gdzie twoje serce?*), a klubowi tak to się spodobało, że potem, usuwając niewygodne osoby, postanowili dopisywać mordercy do rachunku i swoje egzekucje... – Doktor Ziemkiewicz patrzył na Piątka ironicznie. – Mogło tak być?

– Niestety, mogło... W każdym razie nie zmienia to faktu, że widzę tu dwóch morderców: Miłoszyckiego, który zabija z sobie znanych powodów, kierując się logiką maniaka, i klub, który raz po raz dopisuje mu to i owo do rachunku, usuwając niewygodne osoby.

Piątek podszedł do tablicy i napisał pod nazwiskiem Cieślaka: Nina „Ninel” Stukonis. Westchnął.

– Ale nagle w parku zostaje znaleziona przez tych dwóch patałachów, Kostańskiego i Piorozka, girlsa z To i Owo. Ona nie należała do klubu ani w ogóle

mu nie zagrażała... Miała jednak przy sobie, a raczej na sobie, wizytówkę: płytę z tangiem. I tu istnieją dwie możliwości: jednak klub lub ktoś, kto dobrze znał jego wizytówkę i chciał mu dopisać jednego więcej trupa do rachunku...

– Znowu niekoniecznie ta kolejność, Adolfie – wtrącił Ziemkiewicz. – Powtarzam i będę powtarzał, że moim zdaniem Cieślaka nie zabił klub, tylko Miłoszycki. Dla roli. Ponieważ klub nie miał żadnego interesu w zabójstwie tej biednej dziewczyny, więc i ją musiał zabić „maniak”. Dopiero potem mógł wkroczyć do akcji klub, choć wcale niekoniecznie.

– Maniak – kontynuował Piątek z uporem. – Ktoś, kto, jak już stwierdziliśmy, przejął się morderstwem z tangiem, uznał je za dobrą metaforę wszystkiego, co związane z nocą, alkoholem, zepsuciem... Morderca karzący. Musiał wiedzieć o klubie i jednocześnie dobrze znać Ninę Stukonis, która – poza tym, że była girlsą, była też prostytutką, jak one wszystkie zresztą w tej zasranej budzie... Ten ktoś musiał też być stałym bywalcem lub wchodzić w skład personelu To i Owo. Właściwie wszyscy nasi podejrzani spełniają ten warunek.

Piątek podszedł do tablicy i przy nazwisku Ninel napisał „maniak?”. Pod spodem wykaligrafował: „Witalis Karwowski, mecenas”.

– Mecenas Karwowski to najbardziej tajemnicza z naszych ofiar. Najmniej udało się nam o nim dowiedzieć. Wydaje się człowiekiem kryształowym, choć, jak dobrze wie każdy w naszej firmie, nie ma takich na świecie. – Piątek zrobił przerwę na śmiech, który jednak nie nastąpił. Wszyscy byli zbyt zmęczeni. Nieporuszeni patrzyli na niego przekrwionymi oczami. – W przypadku Karwowskiego klub albo nasz maniak, tego nie wiemy, bardzo się postarał, aby scena, jaką zobaczymy, była możliwie spektakularna. Tango było reklamą tutek Morwitan, a w ciało zakipowano mnóstwo papierosów. Trudno jednak wyobrazić sobie, aby domniemane grzechy mecenasa, dotąd nam nieznane, miały związek z nikotyną. Jakkolwiek bowiem palenie jest niezdrowe... – Tu jednak po sali przebiegł niewyraźny szmerek śmiechu, bo wszyscy, włącznie z Piątkiem, trzymali w ręku papierosa. – ...nie jest ono jednak na razie nielegalne... W tym śledztwie zaniedbaliśmy wiele rzeczy, bo ze względu na znaczną liczbę ofiar nie grzebaliśmy

w ich przeszłości tak dokładnie, jak powinniśmy. Coś mi jednak mówi, że w przypadku mecenasa Karwowskiego idzie raczej o klub.

– Chyba zapomniałeś o teczce Karwowskiego, którą dostaliśmy od nieocenionej madame Visoansky. I o zeznaniach Alfreda, że poszukiwał dla niego i załatwił palacza kolejowego... Alfred już nam niczego nie opowie, ale proszę, oto ta teczka, prosto z archiwum Zlewu Centralnego! – Mazanek otworzył schludną teczkę w kolorze butelkowej zieleni. – Specjalnie pojechałem po nią na komendę. – Wyjął na stół jej zawartość. Były tam zdjęcia i zapisane na maszynie kartki, niektóre już lekko pożółkłe.

Mazanek uwielbiał teczki i uważał je za jeden z najważniejszych wynalazków ludzkości. Ubolewał, że policja nie prowadzi ich całemu społeczeństwu i w ogóle nie wykazuje żadnej sportowej żyłki, która mogłaby się przejawiać na przykład współzawodnictwem z kartoteką madame Visoansky. Według niego w zamkniętej długo tekturowej teczce, zabezpieczonej na gumkę lub zawiązanej tasiemką, wytwarza się samoistnie jedyny w swoim rodzaju mikroklimat, zapach i jeszcze coś nieuchwytnego. Papiery „leżakujące” w takiej solidnej teczce w kolorze butelkowej zieleni, zamykanej na porządną gumkę zaczepianą o dwa metalowe bolce – otóż takie papiery starzały się wyjątkowo pięknie, żółkły elegancko. Słowem, Mazanek – wobec teczkowej nieczułości świata – zaczął sam prowadzić własne archiwum i każdemu, o kim cokolwiek wiedział, zakładał zaraz teczkę. Najczęściej uzupełniana była ta należąca do jego szefa, oznaczona umieszczonym w specjalnym prostokącie zawijaśnym napisem: „Piątek Adolf, ur. 29 listopada w mieście N*** 1881, starszy przodownik policji, miejsce zamieszkania: ~~Wodna 15~~ Stawowa 32”.

– No to zobaczmy, jak wygląda to niewiniątko, o którym tak nic nie wiemy... – Mazanek wziął do ręki pierwsze zdjęcie i cicho świsnął przez zęby. – Czarny jak diabeł...

– Kto czarny? Pokaż! – nie wytrzymała przodownik Woźniak.

Ale Mazanek, który jej nie lubił, dalej przyglądał się fotografii przedstawiającej kocioł, siedzącego w nim jak w piekle mecenasa Karwowskiego i umorusanego jak diabeł palacza kolejowego, wciskającego mu łopatą łeb do środka. Następne zdjęcie, pod względem technicznym o wiele lepsze, musiało zostać zrobione w Zlewie. Szanowny obywatel naszego miasta N*** leżał nagi na brzuchu i zlizywał coś z podłogi. Całe jego plecy były czerwone i polane białym roztopionym woskiem, kolejna kropla skapywała ze świecy dzierżonej przez jakąś postać w kapturze kata na głowie. Z tyłka pana mecenasa wystawała gumowa pałka. Kiedy zdjęcia obiegły salę, nikt nie miał wątpliwości, że taki „diabeł”, jak go nazwała madame Woźniak, należał do klubu.

– Piekło i grzesznik wciskany do kotła przed diabła... Oczywiście piekło na miarę naszego prowincjonalnego miasta – podsumował scenę Piątek. – Ale uwaga: jest to osoba, która mogła narazić się klubowi, lecz jednocześnie stanowiła idealny kąsek dla naszego Tancerza, naprawiacza świata. Stacha – zwrócił się do przodownik Woźniak – bądź tak dobra i przyciśnij jeszcze raz kogoś z klubu, abyśmy się dowiedzieli, czy Karwowski do niego należał.

Przodownik Woźniak z miną mówiącą: „jeśli ja czegoś nie zrobię, to już nic beze mnie nie umieją”, westchnęła, wstała i wyszła. Nikt z obecnych w sali nie zazdrościł jej przyszłemu rozmówcy.

Piątek napisał zatem przy nazwisku Karwowskiego w nawiasie „klub” ze znakiem zapytania. Potem ogłosił przerwę na wietrzenie sali. Wszyscy byli tak wyczerpani, że nawet nie ruszyli się z miejsc. Wtedy zrozumiał, że trzeba puścić ludzi do domu. Nie mają siły pracować dalej. Była dwunasta w południe.

– Dajcie podejrzanym dużo wódki, bardzo słonych śledzi i papierosów. Ale mnóstwo. Jak kogoś suszy, to za wodę powie wszystko! Wody ani innego jedzenia nie dawajcie. Klausu Ordonu to też dotyczy. Po paru godzinach zabierzcie im resztę wódki, aby wytrzeźwieli do wieczora. Papierosów ani śledzi nie zabierajcie. Inaczej zaśpiewają...

– Widzę, że uczysz się już od naszej starotestamentowej koleżanki... – Mazanek uśmiechnął się blado.

– Kaziu, musimy z nich wieczorem i w nocy wycisnąć w końcu całą prawdę. Mamy już koncepcję, ale nie wiemy, kim jest maniak ani kto dokładnie w klubie podejmował decyzje o egzekucjach. Musimy to z nich wycisnąć. Chyba chcesz pojutrze spotkać się na spokojnie w Gastronomii i już mieć spokój od tej sprawy?

Po Mazanku było widać, że bardzo chce.

Na korytarzu podszedł do nich doktor Ziemkiewicz.

– Ale czemu Malinowski popełnił samobójstwo? Tak się przejął klapą swojej premiery? – zapytał. – Przecież mógł przeprosić publiczność, zawiadomić zmiennika i dojechać do końca. Nie byłoby to może już takie spektakularne, ale nie oznaczałoby koniecznie katastrofy. I czym klub go mógł szantażować? Pamiętasz tamto zdjęcie znalezione w mieszkaniu Cieślaka? Co ta sądka znalazła w jakiejś książce? Malinowski w sytuacji bardzo przypominającej sceny ze zdjęć Karwowskiego.

– Nie wiem, Zbyszku, nie wiem. Mam mętlik w głowie...

– Bo widzisz, Adolfie, pozostaje jeszcze sprawa Kucharza. Miłoszycki jest trochę za młody na to, aby działał w latach dwudziestych, choć jakby się uprzeć, to jako młodzieniec mógłby to robić.

– No i? – zapytał Mazanek.

– A co, jeśli to Malinowski był Kucharzem?

Mazanek i Piątek zbaranieli. O tym nie pomyśleli.

– Zobaczcie: gdyby Malinowski był Kucharzem, a Miłoszycki – Tancerzem... I gdyby Miłoszycki wiedział o tym... I Cieślak też... To Cieślak miałby wtedy naprawdę czym szantażować Malinowskiego, a znowu Malinowski miałby poważny powód, aby tak się przestraszyć zatrzymania Miłoszyckiego. Bał się, że Stacha wycisnie z niego wszystko i przy okazji prawdę o nim. Należałoby...

– Tak! – krzyknęli jednocześnie Piątek z Mazankiem. – Tak! Zdecydowanie należałoby to uwzględnić! Malinowski odpowiada wiekiem. Musiał bardzo się bać, skoro dał rolę Boniego starej grubej ciotce na kaczych nóżkach i z tenorem.

Malinowski się powiesił. Cóż, jest trochę przesłanek. Ale pewności nie ma! Trzeba wtajemniczyć Stachę, aby uwzględniła tę wersję przy przesłuchaniach.

Przodownik Woźniak przyszła do nich w gumowym fartuchu doktora Ziemkiewicza i z rękami po łokcie uwalanymi krwią. Wyglądała jak rzeźnik.

– Jezu, Stacha...

– To nie jest krew podejrzanych. To krew z martwego źródła.

Opowiedzieli jej o nowej koncepcji. Przodownik wysłuchała ich i aż gwizdnęła.

Po czym wszyscy poza nią rozeszli się do domów.

Piątek błogosławił spokój swojej żony Stefci, która znała meandry policyjnego życia i nie robiła mu wymówek, mimo że w teatrze miała taki zamiar. Zaciągnęła firany i zasłony, posłane łóżko już na niego czekało. Przyniosła mu z komórki zimnego zsiadłego mleka w kamiennym dzbanku i oto starszy przodownik Adolf Piątek zasnął jak niewinne dziecko. Nie należał do policjantów, którzy miewają koszmary z powodu nierozwiązanych spraw. Właściwie po przekroczeniu progu domu w ogóle o nich nie myślał...

Nie wyobrażał sobie więc także mąk, jakie już teraz przechodził w swojej celi atleta Klaus Ordon. Został przyprowadzony pijany w trupa i właśnie przeżywał najgorszy w życiu katzenjammer. W swojej cyrkowej budzie zawsze miał w pogotowiu obok łóżka wódkę, piwo i wodę. Nawet w najgorszych ciągach alkoholowych potrafił zaoszczędzić po trochu tych życiodajnych płynów na czarną godzinę kaca. Teraz obudził się w strasznym stanie i sięgnął ręką w znajome miejsce. Nic tam nie stało. Nic. Pomacał podłogę, myśląc, że może butelka się przewróciła. Nic.

Po bolesnym odklejeniu jednej powieki, co kosztowało go sporo rzes, okazało się, że leży na twardej pryczy w jakiejś wstrętnej celi, w jakimś cholernym średniowiecznym lochu! Nie miał pojęcia, jak się w nim znalazł. Przed oczami przemykały mu kadry z wczorajszego, a może dzisiejszego, w każdym razie zdecydowanie urwanego filmu. Nie wyglądało to dobrze. Zaczął pić wczesnym popołudniem z połykaczem ognia, zaklinaczem węży i karlicą Zytą Liebisch na działkach ciągnących się po obu stronach nasypu kolejowego i stanowiących stały przedmiot obserwacji podróżnych. Nie było zbyt ciepło, więc w drewnianej altanie napalili w kozie. Szybko zrobiło się wesoło. Karlica zaczęła tańczyć prysiudy,

połykacz ognia z zaklinaczem węży siłowali się na ręce, a on siedział na skrzynce i łaskawie patrzył na to wszystko rozanielonym wzrokiem, niczym Bóg ze swej chmurki. Jak każdy alkoholik, Klaus Ordon upijał się już po pierwszym kieliszku. Potem we wspomnieniach następowały zakłócenia. Były to raczej tylko stop-klatki. Połykacz ognia z zaklinaczem węży tańczą i śpiewają tango, a on z karlicą zaśmiewają się do łez z ich min. Potem nastąpiły dłuższe zakłócenia, jakby ktoś manipulował pokrętkiem, szukając nowej stacji w radiodbiorniku, bo kolejna stop-klatka była już zupełnie inna: karlica posuwana od przodu i od tyłu przez połykacza ognia i zaklinacza węży. Na brudnym starym materacu, z którego wyłaziły sprężyny, przywleczonym na działki ze śmietnika. Na ten widok zdesperowany Klaus wychylił z butelki resztę monopolki i wskutek tego znowu w jego wspomnieniach nastąpiły zakłócenia. Kolejna stop-klatka to musiało być już co najmniej radio Moskwa: przedstawiała jego samego w objęciach połykacza ognia i wymiotującą karlicę. Zaklinacz węży leżał jak nieżywy obok kopcącej kozy. Zaczynał się straszny ból głowy, prawdopodobnie z piecyka wydobywał się czad. Ledwo zdążył postawić tę diagnozę, już na powrót stracił przytomność. Tym razem nieobecność Klausu Ordonu na tym świecie musiała być dłuższa, za to przebudzenie było najkoszmarniejsze w całym jego popapranym życiu. Ból głowy tak straszny, jakby wsadził ją do rozpalonego piekarnika, wymioty jakąś czarną mazią przypominającą – jak pomyślał – czad w płynie, suszenie koszarne, kac jak wielokrotny morderca zabijający go po kawałku, wypalający w nim dziury i niezostawiający na pocieszenie nawet głupiego tanga, zło, zło, zło! Psychika jak po pożarze. Nie było wody, nie było wódki, nie było tabletek z kogutkiem. Należało natychmiast umrzeć lub na powrót stracić przytomność. Tak też się stało.

Teraz jednak już nie potrafił ani zasnąć, ani zemdleć. Leżał na twardym kojo i cicho wył. Nagle zabrzączały klucze, drzwi się otworzyły i jakiś ponury jegomość postawił przed nim pełną butelkę wódki, talerz ze śledziami i położył paczkę tanich papierosów oraz zapalki. Ordon nie wierzył własnym przekrwionym oczom. Czy ja śnię? Ale to nie był sen. Ordon, w samych kalesonach i podkoszulku na cienkich ramiączkach, łapczywie chwycił w swoje wielkie łapy butelkę, która wyglądała

w nich jak butelecarka. Ostry jak brzytwa płyn przeszył spieczoną krtani i zapiekł, ale to było błogie pieczenie. Pożarł śledzie, beknał, pierdnał i zapalił papierosa. Położył się na kocio i pomyślał, że tak właśnie mogłoby wyglądać życie. Na jego dziobatej od ospy i nieleczonych chorób twarzy pojawił się błogi wyraz. Klaus Ordon zagłębił się we wspomnienia.

Dzieciństwo spędził przy ulicy Ciepłej, wśród gruźliczych murów odrapanych kamienic, osmalonych jak po pożarze, przy ciągłym akompaniamencie akordeonu, mandoliny, krzyku dzieci grających w szmacianą piłkę, zawodzenia sprzedawców tandety, pośród chodzących po ulicy i sterczących w bramach chorobliwie chudych i kaszlących prostytutek, z których jedną była jego matka, przyjmująca klientów w ich jednopokojowym mieszkaniu.

Świat kipiał wtedy życiem i nikt nie znał ciszy. Wszędzie roili się, wylegali, wystawali, kłócili, kopulowali i śpiewali ludzie. Zdaniem Klause większości z nich mogłoby w ogóle nie być. „Teraz wszystko od dawna zdechło” – pomyślał. Ulice puste. Knajpy puste. Wszystko skończyło się mniej więcej z epidemią hiszpanki w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Potem świat się uspokoił – wielka wojna i epidemia upuściły mu krwi.

Kiedy mały Klaus wychodził za wcześnie spod stołu, musiał słuchać dziwnych sapań i oglądać od dołu dwie pary splątanych niedomytych nóg. Matka kaszłała z każdym rokiem coraz bardziej, nieraz po pół godziny. Mały Klaus nie mógł zrozumieć, że nawet „taka wywłoka” jak ona może podobać się mężczyznom. Potem doszedł do wniosku, że wcale im się nie podoba – po prostu nie stać ich na nic lepszego. Na jej bladej trójkątnej twarzy pojawiały się coraz mocniejsze ceglaste wypieki. Żartowała, że może zaoszczędzić na różu. Ojca nigdy nie było i matka go nie znała, ale przed „gośćmi” (ciotka Fela) zawsze mówiła, że to był carski oficer.

– Carski oficer, khy-khy-khy – ścierwo, khy-khy-khy... Wsadzić każdy chłop umie, khy-khy-khy. Każdy. Khy... Każde ruskie ścierwo... khy-khy-khy... Każde... khy... Każde cholerne... khy... ście... khy...

I zaczynał się atak kaszlu.

– Dlatego nazywałam cię Klaus, żebyś był zagraniczny. Żebyś był Niemcem, no, od biedy Austriakiem. Żebyś nie miał z tymi ruskimi ścierwami nic wspólnego. Słuchaj! Khy-khy-khy... Słuchaj uważnie: ty musisz być inny, zagraniczny, tobie musi się... khy-khy – tobie, Klaus, musi się udać... Tylko nie zadawaj się z tą hołotą... Ale jak masz się... jak masz... khy-khy-khy – jak masz się nie zadawać z hołotą, jak tu wszędzie dookoła sama hołota, no jak, ja się pytam, Klaus...

Nagle przypatrywała się uważnie jego twarzy i zrezygnowana opadała na łóżko, na mokre od potu poduszki.

– Nie, tobie się nie uda, nie uda! Nie z tym zakazanym ryjem. Z taką gębą... khy-khy – z takim ryjem nic... Jesteś taki sam półgłówek jak to ruskie ścierwo twój ojciec... Wyjdź, khy-khy... Weź dwa wiadra, idź do pompy... Weź dwa grosze na wodę. Zaraz tu przyjdzie kolejny, muszę się podmyć. Khy-khy-khy... Co się tak krzywisz, bękarcie? Że jestem kurwą? Ale żreć to chcesz? Khy-khy. – Rozkaszliwała się na dobre, aż w jej oczach stawały łzy. – Żreć, ścierwo, chcesz! – I zaczynała go bić rurką do karbowania włosów, jakby chcąc ukarać zawczasu za jego wszystkie mające nadejść życiowe niepowodzenia. – O tak! Khy-khy-khy – żreć to byś żarł! Gdzie leziesz?! Już się to ruskie ścierwo, już się tatusiek odezwał! Złodziej i bandyta, khy-khy!

Pompa znajdowała się trzy kamienice dalej i zawsze ustawiały się do niej kolejki, dlatego mały Klaus mógł trzymać rękę na pulsie wydarzeń w dzielnicy. Informacje przy studni pompował jak wodę. Dwa blaszane wiadra – o wiele za ciężkie dla siedmiolatka – obijały mu się o nogi i woda wychlapywała się niemal do połowy, kiedy wnosił je do domu. Jego dziurawe buty były całe mokre, kurz uliczny zamieniał się na nich w błoto. Mały Klaus stawiał wiadra w przedpokoju i leciał bić się z chłopakami. Nigdy nie puszczał latawców, ptaków z papieru, jedyne, co go bawiło, to zdobywanie forsy i bicie się. Należał do tych, co zawsze wygrywają na rękę. Żeby nabrać mięśni, podnosił cegły, robił pompki, ale nadal był za chudy, za mały i za słaby. Podciągał się na trzepaku, dopóki kolejna sługa chustkowa nie przysłała z dywanem i nie przegoniła go, okładając trzepaczką po

tyłku. Ale czekał, aż skończy, i dalej się podciągał. Problem polegał jednak na tym, że nie miał z czego budować mięśni. Był niedożywiony, a mięso widywał tylko w jatkach i na wystawach u rzeźników. Każdy z trudem zdobyty kawałek szedł dla chorej na gruźlicę matki, bo lekarz, jak już raz przyszedł, to powiedział: „Dieta mięsna i mleczna”. A matka i tak chudła w oczach. Zresztą mięsa też nie jadła, tylko piła kefir i maślankę. Mały Klaus musiał więc nauczyć się zdobywać pieniądze na mięso dla siebie. W ten sposób w wieku dwunastu lat wkroczył na drogę kryminalną, która od razu mu się spodobała, więc postanowił nigdy z niej już nie schodzić. Ponieważ jednak trudno kraść samemu, dobrał się z kilkoma innymi łobuzami z ulicy Ciepłej oraz z okolicznych chłodnych, wronich, kaczych, błotnych i gównianych – ulic pełnych nędzy, kiły i rzewnej muzyki akordeonu, mandoliny i skrzypiec. Ulic ze sklepikami sprzedającymi wyłącznie zakurzone lizaki albo sól. Ulic ze sklepami żelaznymi, ulic pełnych Żydów. Ulic, których rynsztokami płynęły nieczystości. Zawsze panował tu hałas, zawsze ktoś darł się do kogoś z okna, siedząc w nim na pierzynach. Zawsze ktoś grał na tej przeklętej okarynie. Młody Klaus wyobrażał sobie bogactwo jako chłód, samotność, wielkie puste przestrzenie i absolutną ciszę.

Na początek włamali się do mięsnego i nabrali mnóstwo amerykańskiego smalcu z darów, zwanego przez lud „smalcem z małpy”, polskiej słoniny i niemieckich bratwurstów. Jedli to łakomie w bramie brudnymi jak święta ziemia paluchami. Gdy już zjedli, poczuli się pewniej na świecie. Szybko porzucili prymitywne metody wybijania okien cegłami na rzecz specjalnych wytrychów. Uczyli się u starych złodziei, których nie brakowało w tej dzielnicy. Najpierw kradli tylko to, co chcieli skosztować: mięso, smalec, kiełbasę, napadali na trafiki, aby zapewnić sobie papierosy, i na sklepy z alkoholem, skąd wynosili wódkę Baczewskiego. Chodzili najedzeni, napaleni i pijani. Bezwzględnie egzekwowane ćwiczenia fizyczne nareszcie zaczęły skutkować przyrostem mięśni. Im mały Klaus bardziej rósł, tym jego matka bardziej nikła w oczach. W końcu umarła, z czego Klaus w sumie się ucieszył. „Męczyła się tylko kobita na tym świecie” – wyjaśniał kolegom. „Dawałem jej mięso, ale to choroba je pożerała, nie

ona”. Klaus już wtedy wyglądał tak, że często gdy w nocy podchodził do zawianego przechodnia z nożem, ten bez słowa wręczał mu od razu portfel. W bójkę stracił ucho – odcięły mu je chłopaki z innej bandy. „Masz” – rzucili mu krwawy ochłap. „Zobacz, jak kawałek ciebie gnije. Ten kawałek już jest trupem. Jak będziesz się stawiał, to dołączy do niego reszta ciebie!”

To zdanie wygłosił szef konkurencyjnej bandy, niejaki Wdowiec. Klaus zabił go kilka dni później. Wyciął mu ucho i wsadził do gęby wraz ze swoim, starannie zawiniętym w gazetę i mocno już pozieleniałym od lipcowego upału. Wielką zaletą zaboru rosyjskiego było to, że carska policja nie czuła się w obowiązku prowadzić na poważnie dochodzeń o pospolite rozboje i morderstwa. Co ich obchodziła sprawiedliwość w jakimś tam Priwislinskim Kraju? Stójkowym było się po to, aby się nachapać, brać łapówki i pilnować, żeby hołota nie obrażała cara, carycy i najjaśniejszej rodziny. A tak to mogą się pozabijać. Poza tym trwała w najlepsze wielka wojna i były inne problemy. Świat był wtedy niedoskonały, nie taki sterylny jak teraz, u progu lat trzydziestych. Ot, choćby smrody. W podwórku fetor wychodka zwanego Panamą, wiecznie zajętego, z wieczną kolejką, z wiecznym narzekaniem: „Długo tam jeszcze? Potonęła cholera?”. Z wiecznym dobijaniem się do zamkniętych od wewnątrz na skobel drzwi.

– Baba siedzi.

– Baba? Oj, jak baba, to będzie długo.

– Co ona tam robi tyle czasu, rodzi czy się potopiła?

– Ciotę ma! – mówili głośno, aby baba w środku słyszała.

– Przecież to ta Karolkowa spod szóstki tam siedzi.

W końcu wychodziła gruba jejmość, bynajmniej nie speszona, do głębi wypróżniona, obrzucała wszystkich w kolejce wyniosłym spojrzeniem, spluwała i szła do magła. W środku nad dziurą bzycało rojowisko fioletowo opalizujących much. Magiel terkotał i pachniał mączką krochmalną. Z pralni waliło mydlinami, które płynęły po kocich łbach podwórka i wpływały do – bynajmniej nie bezwonego – rynsztoka. Z przylegającej do magła farbiarni dochodziły chemiczne

miazmaty. Z jatek czuć było metaliczny zapach krwi i tataru, od którego Klaus robił się tak bardzo głodny. Wchodził do bramy i od razu ogarniał go lodowaty piwniczny chłód pleśni, szczyn, kotów i czegoś słodkawego, jakby starej baby. Każde mieszkanie miało swój osobny zapach, składający się z tysięcy składników, takich jak kulka gałki muszkatołowej w kuchni, miękki ołów wędkarski w popielniczce, szare mydło, trutka na mole, kalafonia, cerata w kuchni, szmatka wisząca na gwoździu, utłuczona kawa, umierająca matka, myszy, pranie suszące się na sznurku przewieszonym przez całą kuchnię, pościel wietrząca się w oknie, mleko zsiadające się w kamiennym garnku, grzyb na ścianie i suficie. Dlaczego to był grzyb, choć nie miał ani nóżki, ani blaszek, ani kapelusza, tego Klaus nigdy nie rozgryzł.

Mówił matce:

– Idę na korytarz.

I szedł. Tam zawsze kogoś spotykał i albo razem siedzieli na korytarzu, albo wychodzili do bramy. W bramie już nie sposób było nie spotkać nikogo przez dłużej niż kilka minut. I tak lepiała się coraz większa grupa. Od jednego na korytarzu, potem trzech doszlusowywało w bramie, potem wszyscy szli na ulicę i stawali na rogu, a na rogu to już w ogóle zaraz robiło się wesoło. Można było całe życie spędzić na rogu. Główny temat: nowe źródła zarobków. Legalnych, jak roznoszenie gazet, ale tu też działała mafia i w pewnym momencie dochodziło do krwawych bójek o teren oraz bardziej spektakularnych, czyli kryminalnych. Klaus uważał, że nie warto kraść fantów, żeby je wymieniać po paserskich cenach u Fajgi Gutnajer na pieniądze i za nie dopiero kupować sobie, co się chce, na przykład mięso. Lepiej od razu kraść to, co się chce na koniec kupić. Mianowicie: mięso, mleko, jaja do picia na surowo, złote sygnety do noszenia na palcach, wódkę, papierosy, cygara i... i coś erotycznego, ale mały Klaus w tym punkcie miał mętlik w głowie: co by to mogło być i jak, skąd by to można ukraść? Kiedy czuwał przy umarłej matce, nie oparł się pokusie i zadarł jej do góry nocną koszulę, aby wreszcie sprawdzić, co kobiety tam mają. Czuł trochę niesmak, ale potem z jednym

kolegą chodzili do prosektorium na Kaczej podglądać sekcje, na których można było zobaczyć nagość.

Klaus stawał się coraz bardziej rozrośnięty, krępy i silny. Bił się po okolicznych podwórkach już nie tylko dla zabawy czy w napadach, ale też dla pieniędzy. Ludzie kupowali bilety na walkę i ten, co wygrywał, zgarniał całość. Okoliczne chłopaki nie zawsze płaciły pieniędzmi, w ich brudnych łapach pojawiały się pomiętoszone papierosy, pornograficzne pocztówki, niewiadomego pochodzenia i nieznaney daty ważności mięso, wódka, koniak z włamu, tombakowe sygnety z włamu, a parę razy trafił się nawet złoty ząb.

Wszyscy się go bali, bo nie przestrzegał żadnych reguł i podczas kiedy inni bili się, aby wygrać, on bił, aby zabić. Walił głową przeciwnika o bruk, dusił, gryzł, wciskał palcami oczy w głąb czaszki. W końcu nikt nie chciał z nim walczyć, więc zaciągnął się do cyrku Riviera wdowy von Rumpfeld, a na jego coraz większym cielsku zaczęły pojawiać się coraz bardziej wymyślne tatuaże. Wszystkie przedstawiały dzikie, agresywne, jadowite zwierzęta. Nie było tam ani pieska, ani myszki, tylko same skorpiony, węże z otwartym pyskiem i podwójnym językiem, krokodyle i nawet jedna hiena. Poprzez marszczenie skóry na brzuchu mógł sprawić, że zwierzęta te ożywały, skakały przez linę jak w cyrku. Co prawda Klaus nigdy nie widział innych zwierząt poza bezpiecznymi psami, kotami i szczurami, a z bardziej wymyślnych znał tylko cyrkowe słonie i lwy. Ćwiczył coraz bardziej zażarcie, aby zwiększyć masę mięśni, bo potrzebował więcej miejsca na nowe rysunki. W końcu zrozumiał, że jego ciało doszło już do kresu możliwości.

Kiedy poznał wdowę von Rumpfeld, zrozumiał, że potrzebuje przedłużenia własnego ciała pod postacią ciała cudzego, jeszcze niewytatuowanego.

Mimo wielkiego zmęczenia Piątek obudził się i nie mógł już zasnąć. Leżał na wznak, gapił się w zaciek na suficie i usiłował nie myśleć, ale rozjuszony mózg nie potrafił się zatrzymać. „Niby wiem tak dużo, a najważniejsze wciąż mi umyka. Już byłem pewien, że zabójcą maniakiem jest Stanisław Miłoszycki, ale potem to zabójstwo Malinowskiego już po jego zabranii... Nie mogła go też powiesić Sara Berg, jest na to o wiele za słaba, choć na pewno wszystkim, a szczególnie gazeciarkom, spodobałaby się taka wersja. Słynna i piękna *femme fatale* wielokrotną morderczynią! Tak, to by się nadawało na nagłówki wykrzykiwane zachrypłymi głosami po całym mieście. Ale właściwie kto, kto w ogóle mógłby powiesić Malinowskiego w trakcie spektaklu, na scenie, co prawda w głębi i w miejscu niewidocznym z widowni, ale przecież facet by się szarpał, wierzgał. No co? Nie wierzgałbyś? – Piątek miał zwyczaj podczas myślenia zadawać sobie samemu pytania. – Narobiłby hałasu, który słyszeliby i sufler, i obsługa sceny. Tymczasem oni nic nie widzieli, nic nie słyszeli. O wiele bardziej prawdopodobne byłoby, gdyby Malinowski powiesił się sam. A Sara Berg wzięła jeden z tekstów ze swojej kolekcji tekstów (miała je w sejfie, to mogła mieć parę i przy sobie) i po prostu przypięła do wiszącego trupa. Nie było jej na widowni po rozpoczęciu drugiego aktu. Po co by to zrobiła? Bo myślała, że zabił Miłoszycki, i chciała go chronić? Bo wiedziała, że zabił kto inny? Przypinając to tango, właściwie wystawiła wszystkim alibi. Bo nikt nie mógł zabić Malinowskiego w głębi sceny w czasie trwania drugiego aktu, nie wywołując hałasu. A może mógł?”

Piątek gwałtownie usiadł na łóżku. Przecież to niemożliwe, żeby dyrektor nie zginął przed rozpoczęciem drugiego aktu! Gdyby wtedy jeszcze żył, nie dopuściłby do rozpoczęcia sztuki bez wyjścia do publiczności, przeproszenia, że teraz Boniego

będzie grał zmiennik, a przede wszystkim powiadomienia samego zmiennika. Tymczasem zmiennik, pan Maciej Szumny, o niczym nie wiedział, pytali go.

Piątek zerwał się z łóżka. Ubrał się, wypił szybko kawę i pojechał dorożką do operetki. Zastał tam obraz nędzy i rozpaczy. Na szumnych plakatach w gablotach po obu stronach głównego wejścia reklamujących *Księżniczkę czardasza* naklejone były czarne taśmy z napisem „Odwołane”, kojarzące się z żałobnymi wstążkami na zdjęciach świeżo zmarłych. Przy drzwiach stali fotografowie z gazet, dziennikarze i... oczywiście niezapomniany duet: Adam Pierożek and Walenty Kostański.

„Ta dwójeczka... – pomyślał Piątek. – Ta dwójeczka mnie kiedyś wykończy... Oni mnie zniszczą... Zniszczą, a następnie przyjdą na mój pogrzeb i będą stać. Jeden chory, drugi zdrowy, gadający szeptem do chorego o swojej żonie”.

Na widok przełożonego posterunkowi spłoszyli się i szybko otworzyli mu drzwi. Przechodząc, starszy przodownik posłał im jeszcze zabójcze spojrzenie i mruknął:

– No!

Bileterka, pani Hania, popłakiwała w swoim okienku zasłoniętym stojaczkiem z informacją „Odwołuje się wszystkie spektakle”. Piątek wparadował do opustoszałego foyer, nieposprzątanego po wczorajszej przerwanej premierze, z baterią brudnych kieliszków po szampanie na parapetach okien. Nagle przystanął niepewnie. Po co właściwie tu przylażłem? Zaraz jednak otrząsnął się z otępienia spowodowanego bezsennością i zaczął wspinać się schodami na samą górę, do najtańszych łóż, zwanych jaskółką lub paradyzem, na które to miejsca studenci i klakierzy kupowali najtańsze bilety. Przepisnął się przez niewygodne, ciasne rzędy siedzeń, uświnionych rozmaitymi pozostałościami jedzenia i picia, z powypalanymi dziurami od papierosów. Że ten teatr jeszcze się nie spalił, skoro te świnię gaszą papierosy o krzesła! W końcu dotarł do balustrady. Kurtyna była opuszczona. Krzyknął na kogoś, żeby ją podniesiono. Otyły jegomość w meloniku i z mocno podkreconymi wąsiskami, który akurat przechodził na dole, poszedł spełnić jego życzenie. Kurtyna rozsunała się na dwie strony – nierówno i niezgrabnie. Na scenie wciąż królowała dekoracja z drugiego aktu – pałac starego

księcia Lipperta-Weylersheima. Pośrodku białe schody z czerwonym dywanem niknące gdzieś w dali wśród sztucznych drzew w złotych donicach, fontann, obrazów wielkości całego mieszkania Piątka przedstawiających bitwy i mitologiczne sceny, łabędzi, nimf, greckich bogów i całego tego gipsowego szajsu. Ciemno. Policjant znowu krzyknął na grubasa w meloniku, aby wyłączył takie oświetlenie, jakie było w czasie spektaklu. Potem wysłał go, żeby stanął dokładnie pod drzewem, na którym wisiał Malinowski. Schody przechodziły w platformę idącą w głąb sceny. Stamtąd miał nadejść Boni z „żoną”, czyli z Sylwią Varescu. Melonik stanął pod drzewem. Był doskonale widoczny. Publika z jaskółki musiałaby go zauważyć. Nie byłoby jednak dokładnie widać, czy ktoś wisi, czy stoi. Wniosek: Malinowski musiał się powiesić albo zostać powieszony pod sam koniec przerwy. Dopiero przygotowujący się do zejścia ze schodów Boni i Sylvia natknęliby się na niego, ale Miłoszycki był już w tym czasie w ich rękach. Nikt nie uprzedził publiczności, nikt nie obsadził jego roli dublerem. Kiedy Boni z „żoną” nie schodzili, zaniepokojeni pracownicy teatru poszli sprawdzić, czy stoją gotowi do zejścia koło drzewa, i natknęli się na wiszącego Malinowskiego. Czas, który należało zbadać najdokładniej, to ostatnie minuty przerwy. Nina Melcer, grająca rolę Sylvii Varescu, zeznała im w nocy:

– Kiedy Julek... To znaczy reżyser, Juliusz Sawicki, wszedł do mnie w przerwie, jak zwykle bez żadnego pukania, co jest moim zdaniem oznaką najwyższego chamstwa... Więc kiedy wszedł (a przecież mogłam się przebierać!), przyłapał mnie na picciu likieru i... oczywiście zrobił mi awanturę o to, że się pomyliłam w takim jednym miejscu, w którym zawsze się mylę. Ale ludzie tego wcale nie zauważają, więc nie ma się o co pieklić. Kompletnie wytrącił mnie tym swoim ujadaniem z równowagi, wskutek czego pomyślałam, że w drugim akcie, w takim jeszcze gorszym miejscu, pewnie też się zatnę, i znowu napiłam się dla kurażu. Nawet z tego wszystkiego zapaliłam, choć wiem, że to szkodzi na głos. Kiedy wreszcie poszedł, przebrałam się w piękną suknię, w której pojawiaam się w połowie drugiego aktu na balu, jako niby to „żona” Staszka, znaczy Boniego. Jest z nią zawsze mnóstwo problemów, bo to jest suknia balowa na olbrzymiej

krynolinie i z gorsetem, którego nie sposób samej zacisnąć. Dlatego zadzwoniłam po Kasię, naszą dziewczynę do pomocy. Kasia wpadła cała czerwona i mówi, że jest jakaś afera z policją w teatrze i że chłopcy z baletu mówią, że to dotyczy pana Stanisława i że idąc do mnie, minęła samą Sarę Berg. Powiedziałam: zamknij się i pomóż mi z tym gorsetem. Dobrze jest przedtem nieco ją rozzłościć, bo wtedy bardziej się wyżywa na ciągnięciu za sznurki. Ścisnęła mnie więc wyjątkowo mocno, zawiązała, zapięła wszystkie żabki i obciągnęła te kilometry materiału na krynolinie. Powiedziałam jej, żeby przyniosła mi perukę i zapięła te „niby-brylanty” na szyi. Przykleiłam sobie pieprzyk na piersi, nałożyłam kolczyki i właściwie byłam gotowa, a tu przerwa trwa i trwa. Myślę sobie: może nie słyszałam dzwonka? W końcu jednak dzwonek zabrzmiał. Spodziewałam się Malinowskiego, że jak zawsze przyjdzie powiedzieć o tych wszystkich rzeczach, o których i tak wiem: żeby się nie potknąć na schodach, bo są strome i śliskie, i żeby się nie pomylić w wiadomym miejscu. Ale nie przyszedł. Oczekałam więc dziesięć minut i poszłam po Boniego. I wtedy dopiero przeraziłam się na dobre. Jego garderoba była zamknięta na klucz i nikt nie otwierał. Waliłam w drzwi pięściami, aż pojawił się taki jeden pan Adaś i mnie uciszył. Powiedział, że Staszek na pewno już czeka „na górze”. Poszłam za kulisy zobaczyć, w jakim stadium jest akcja, okazało się, że zostało jeszcze parę minut do naszego wejścia. Zza kulis oczywiście nie widać, czy ktoś stoi na tej platformie u szczytu schodów, jeszcze w głębi, żeby był niewidoczny z sali. Weszłam więc tam od tyłu specjalnymi schodami i odetchnęłam z ulgą, bo już z daleka zobaczyłam Boniego. Potem jednak pomyślałam, że ten ktoś jest we współczesnym stroju. A potem... Potem go rozpoznałam. Dyrektor Malinowski wisiał na drzewie... Zemdląłem, naturalnie.

„Otóż to: zemdląca – pomyślał Piątek – ale nikt się nie zbiegł, przedstawienie trwało dalej, a na scenie aktor grający starego księcia Lipperta-Weylersheima i aktorka grająca jego żonę Anhildę improwizowali bez końca, plotąc bzdury o mającym się tu zaraz pojawić młodym Bonim ze swoją «kabaretową domieszką». Dopiero po jakimś czasie zaniepokojony inspicjent wszczął alarm i wtedy odkryto Malinowskiego wiszącego na drzewie i leżącą zemdloną Ninę Melcer. Jej suknia

wybrzuszyła się ponoć jak wielka góra. Czyli dyrektor właściwie nie zdążył nikomu nic powiedzieć o czekających ich kłopotach!”

Piątek zszedł na dół i bocznymi schodkami udał się na scenę. Tutaj także panował bałagan. Na deskach poniewierało się porozrzucone confetti, wszędzie walały się rekwizyty, a nawet części strojów, jakby aktorzy rozebrali się i udali na jakąś orgię za kulisami. Na najniższym schodku stał kieliszek – pusty, ale pomalowany powyżej połowy na kolor szampana, leżała też peruka z doczepionym kapeluszem.

Policjant wszedł schodami na górę, aż do drzewa, na którym wisiał Malinowski. Rozejrzał się. Miejsce było dobrze wybrane. Przypatrzył się podłódze. Oczywiście wczoraj ich ekipa już ją badała, ale panowało takie zamieszanie, że coś mogło im umknąć. Postanowił przyjrzeć się bliżej okolicom bardziej oddalonym od drzewa. Na czworakach posuwał się coraz dalej. Wiedział, czego szuka, ale tego nie znalazł. Potem poszedł zadzwonić na Kaczą do doktora Ziemkiewicza.

– Zbyszku, zaraz będę u ciebie. Robisz już Malinowskiego?

– Tak, jest tu ze mną, uśmiecha się cały czas, kazał cię pozdrowić. Ma dla ciebie zaproszenie na nową premierę, którą już reżyseruje na tamtym świecie, ale powiedziałem, że na razie jeszcze się nie wybierasz. W życiu nie widziałem takich hemoroidów!

Ten przynajmniej nie jest nigdy śpiący, byle tylko dostał swoje mięso na stół.

– Zaraz będę. Zaparz dla mnie kawy, proszę, nie zmrużyłem oka ani na minutę. Tylko umyj najpierw ręce tym swoim cudownym szarym mydłem Jeleń Schicht.

– Zapraszamy!

Po półgodzinie Piątek szedł śmierzącym korytarzem oświetlonym gołymi żarówkami prosto do sali sekcyjnej. Tu zawsze panowała noc, jak w melinie Smutnego Mundka. Jak zwykle zapomniał, że Ziemkiewicz nie ma u prawej ręki dwóch palców, i nie udało mu się ukryć nagłego zdziwienia. Ale naprawdę osłupiał, kiedy zobaczył to coś, co jeszcze wczoraj było dyrektorem operetki, osobą pełną godności, ubraną we frak, szanowaną. Przede wszystkim okazało się, że

Malinowski nosił perukę, która leżała teraz smętnie, porzucona na stoliku pod oknem. Głowa była łysa, przez co twarz nie miała właściwie końca i ciągnęła się aż do potylicy. Na tej twarzy – czarnej, opuchniętej i z wybałuszonymi oczami – rysował się tragiczny i złośliwy uśmiech śmierci, zakłócony nieco wywaloną kulą języka, jakby głowa wypluwała właśnie fioletowosiną piłeczkę pingpongową. Reszta ciała była już tylko otwartym worem z krwawą miazgą i flakami. W pomieszczeniu unosił się ostry zapach befsztyka tatarskiego. W kącie siedział obrażony na cały świat młody asystent Zawadzkiego, Stefan Janicki, i przy lusterku wyrwał sobie pęsetką włosy z nosa.

Piątek opowiedział o swoich poszukiwaniach w teatrze. Miał nadzieję znaleźć jakiś wacik czy inną szmatkę nasączoną chloroformem. Wydawało mu się, że tylko przy jego pomocy dałoby się powiesić Malinowskiego bezgłośnie, tuż przed podniesieniem kurtyny.

– W związku z tym powiedz mi, Zbyszku, czy on mógł być nieprzytomny w czasie, gdy ktoś go wieszał?

Ziemkiewicz uwielbiał takie pytania.

– Powiem tak: pewne funkcje nerwowe nie zareagowałyby wówczas na ból i szok, jakim jest przerwanie rdzenia kręgowego, czyli mówiąc po prostu: skręcenie karku. Wszystkie miny, które stroi obecnie, są już tylko deformacjami pośmiertnymi. Ręce miałyby niezaciśnięte. Jeśli wiesz, że za chwilę poczujesz ból, a nawet poniesiesz śmierć, zaciskasz pięści. Nie spada się w samolocie w czasie wypadku z rozłożonymi dłońmi. A on ręce zacisnął. I inne mięśnie były napięte. Zesrał się, dostał wzvodu, wszystko to są mecha...

– No, dobra, dobra... Nie musisz...

– On zawsze tak! – odezwał się sprzed swojego lusterka Janicki. – On to uwielbia. Ja już nie mam siły. – Młody asystent uważnie obejrzał wyrwany pęsetką z nosa blond włos.

– W każdym razie był przytomny i powiem ci więcej: on zrobił to sam.

– Jak sam? A gdzie stołek?

– Musiał go kopnąć, tak aby móc zawisnąć, więc jeśli to było na przykład wiaderko, to się gdzieś poturlało. Pętla i blizna wisielcza są przepiękne, przepiękne, podręcznikowy przykład, ciężko by było podrobić takie cudo. Sam zobacz! – Ziemkiewicz z dumą i zachwytem pokazał Piątkowi krwawe i sine pierścienie na szyi Malinowskiego.

Patrząc na starszego przodownika, który i bez przemęczenia wyglądał zwykle jak zdychający wymoczek, trzeba było dużo dobrej woli, aby określić go mianem człowieka zadowolonego.

– Pomyślmy chwilę, bardzo cię proszę – zwrócił się Piątek do Ziemkiewicza. – Pojadę teraz do teatru poszukać twojego wiaderka. Módl się, żeby się znalazło. Założmy, że faktycznie sam się powiesił, bo tak się wystraszył tego, co mógł nam o nim opowiedzieć na przesłuchaniu Miłoszycki. I założmy, że sam sobie przypiął przed śmiercią to tango, żeby zapewnić alibi swojemu kochankowi. Że niby tamten był już u nas, a Tancerz działał dalej. No bo kto to mógł przyszpilić? Ktoś musiałby się natknąć na niego tuż przed rozpoczęciem spektaklu, ba, musiałby mieć ze sobą gotowe tango, co więcej, tango przeznaczone akurat dla niego, czyli *Stachu*. W końcu Miłoszycki, jego miłość, ma na imię Stanisław. Za dużo wymagałoby to zbiegów okoliczności. Na przykład Sara Berg. Na wpół naga Sara przychodzi na premierę z torebką wielkości paczki papierosów, w czerwonej sukni ciągnącej się za nią na dwa kilometry, rzucającej się w oczy z daleka... Nawet gdyby miała przy sobie ten tekst tanga, który znaleźliśmy przypięty do zwłok, musiałby być pognieciony lub chociaż złożony w kostkę...

Ziemkiewicz długo mył ręce, po czym zaczął je wycierać. Westchnął, zapalił i powiedział:

– Chodźmy na kawę.

Młody Janicki podniósł się natychmiast.

– A ty dokąd? Pozszywaj go!

Asystent odłożył lusterko i pęsetę.

– Nie dam rady sam, będzie się rozłaziło, jak przy tamtej... Pamięta pan doktor.

– To wrywaj sobie dalej włosy z nosa. Chodź, Adolfie.

Przeszli do pomieszczenia zwanego przez doktora „pakamerą”. Po chwili stały przed nimi dwie szklanki w koszyczkach pełne gorącej kawy. Na górze unosił się gęsty kożuch z fusów. Piątek przebił go łyżeczką i zamieszał.

Nagle doktor Ziemkiewicz położył się na podłodze w pozycji embrionalnej.

– Coś ty, Mieciu, co ci jest? – rzucił Piątek zdezorientowany.

– Podnieś mnie i spróbuj powiesić. Będę się zachowywał jak osoba obezwładniona chloroformem: ani nie pomagał, ani nie przeszkadzał. Ważę o wiele mniej od Malinowskiego.

Piątek patrzył na leżącą na podłodze postać starego kolegi w białym brudnym kitlu i z góry znał wynik eksperymentu. Gdy objął Ziemkiewicza w pasie, ten zaczął mu się przelewać przez ręce jak galareta. Nie zdołał go unieść. Co gorsza, doszedł do wniosku, że gdyby nawet ten wyczyn mu się udał, powieszenie tak bezwładnej osoby byłoby raczej niemożliwe.

– Tak, Adolfie. To tyle w sprawie Sary Berg i w ogóle powieszenia Malinowskiego przez kogokolwiek innego niż on sam. No pomyśl: jeśli założymy, że dyrektor został powieszony w następstwie zaistniałych na premierze wypadków z Miłoszyckim, to morderca nie mógł przed wyjściem z domu na premierę wiedzieć, że będzie wieszał Malinowskiego. Nie mógł więc mieć sznura, chloroformu, tanga *Stachu* i tak dalej. Bo niepokój wokół jego kochanka...

– Tak, sznur musiały być z teatru. I tanga też nie przyniosła Sara. Po prostu nie miałyby gdzie go wsadzić. Gdyby trzymała je w torebce, byłoby pocięte. A nie jest. Kartka jest trzy razy większa od jej torebki.

W tym momencie drzwi pakamery się otworzyły i stanął w nich Janicki.

– Nie byłeś zaproszony, młodzieńcze... – zażartował Ziemkiewicz, ale Piątek uciszył go gestem. Było oczywiste, że coś się stało.

– Znalazłem coś... – wyszeptał Janicki.

– To ładnie, a co? Pomadę do wąsów? Perfumę? Jakiś wyjątkowo piękny włos z nosa? To zatrzymaj sobie na pamiątkę... – drwił dalej Ziemkiewicz.

– Gdzie znalazłeś? – zapytał Piątek, jakby to było najważniejsze.

Okazało się jednak, że jego pytanie nie było takie głupie.

– W nim. To znaczy w tym dyrektorze... On... On coś połknął...

– Co, do diabła, mów! – warknął na asystenta Ziemkiewicz. – No mów, fagasio!

Jednak w życiu Stefana Janickiego chwile, kiedy mógł się poczuć bardzo ważny, były rzadkie, a jednocześnie niezwykle pożądane.

– Chciałem go pozszywać, więc nachyliłem się nad nim i miałem przed sobą żołądek...

– Wór żołądkowy! – poprawił go Ziemkiewicz.

– Żołądek – powtórzył Janicki tonem osoby, która wie, że trzyma wszystkie karty w ręku. – Rozcięty. A w żołądku co jest? Rzygi oczywiście.

– Treść żołądkowa! – wściekał się Ziemkiewicz.

– Rzy-gi – wycedził Janicki ze spokojem osoby, której nie grozi wyrzucenie z pomieszczenia. – A w rzygach co pływa? Niestrawione i na wpół strawione elementy żarcia.

– Treść... – zaczął Ziemkiewicz, ale Piątek dał mu potężnego kuksańca.

– Żarcie pływa. Pogryzione żarcie nadtrawione kwasem solnym. I wśród tego żarcia pływał sobie... – Janicki wiedział, że każda sekunda przybliża go do puenty, a co za tym idzie, do końca tego wyjątkowego momentu, w którym cały świat, reprezentowany przez osoby znajdujące się w pomieszczeniu, spija słowa z jego ust. – Pływał sobie przedmiot zgoła niejadalny...

– Chcesz iść do kostnicy na mycie trupów? Załatwię ci to! Będiesz do końca życia mył szlauchem nadgniłe trupy w kostnicy, jeśli zaraz nie skończysz z tą zabawą, szczeniaku.

– Nie sądzę... – Uśmiechnął się szeroko Janicki, ukazując zęby szorowane codziennie proszkiem „radioaktywnym”.

Piątek lepiej znał się na psychologii jednostek narcystycznych.

– Doceniamy pana wielkie odkrycie, panie Janicki, ale ponieważ obecnie posiada pan być może najważniejszą informację dla śledztwa, prosimy uniżenie

o jej wyjawienie... Zasługi pana dla sprawy zostaną wyraźnie zaznaczone w końcowym raporcie, a może nawet podane do prasy...

– Kluczyk pływa mały! Ten oto mały kluczyk do małej szkatułki czy nie wiem czego. Mam nadzieję, że kwas solny jeszcze go nie nadźarł!

Janicki wyjął tryumfalnie rękę z kieszeni fartucha i położył na stoliku mały klucz.

– Umyłem go.

Mazanek był w swoim żywiole. Węszył. Kompletnie wyczerpany Piątek drzemał w fotelu. Mieszkanie Malinowskiego ich zdziwiło. Wszędzie wisały portrety marszałka. Piłsudski na Kasztance, Piłsudski na czerwonym tle, ze ściągniętymi krzaczastymi brwiami zadumany nad losem narodu, Piłsudski z chorągwią, z marsem na czole na tle czerwonej draperii... Piątek strzepnął popiół do popielniczki w kształcie końskiej podkowy.

– Kaziu, za którymś z tych portretów marszałka musi być sejf.

Po chwili na podłodze leżał cały stos Piłsudskich. Sejf znajdował się za obrazem Kossaka przedstawiającym ułanów i wiejską kobietę w chustce i z kobiałką. Niestety sam klucz nie wystarczał, aby go otworzyć. Przydawał się dopiero po wykręceniu kodu. Piątek zadzwonił więc po kogoś, kto przyjechałby z palnikiem i poradził sobie z sejfem. Teraz czekali w napięciu.

– Jeśli znajdziemy tam jakąś lalkę z adresami w głowie, to ja się poddam – mruknął.

– Ta sprawa nigdy się nie skończy, a my nigdy już nie pójdziemy do Gastronomii na naszą ucztę... – marudził Mazanek.

Trzech mężczyzn i jeden palnik acetylenowo-tlenowy. Smród pożaru. Ze wszystkich kątów obserwował ich Piłsudski z marsowym czołem i surową miną. Nareszcie sejf został otwarty. Były w nim pieniądze, kosztowności, zdjęcia oraz czarny zeszyt zamykany na gumkę. Otworzyli go. Zapisany został zielonym atramentem, pochyłym, drobnym pismem, gdzieś tam tekst urozmaicono na marginesach rysunkami. Spomiędzy kartek wypadło kilka zasuszonych jak zioła w zielniku dużych ciem.

– Ómy... MówiliÓmy coÓ o Ómach... Źe on nienawidzi nocnych ciem...

Spojrzeli na zdjęcia. Z brązowych sepiowych tekturek patrzyły na nich ofiary Kucharza... Tak jak je znajdowali, tylko jeszcze Ówieże. Fotografie z lat dwudziestych. Dziesięć lat to cała epoka. Inne stroje, inne wnętrza. Nigdzie żadnych reklam zakładów fotograficznych – wszystko wywołane w domu, w zaciemnionej łazience. Na zdjęciach zbliżenia martwych twarzy zabiedzonych, bldych prostytutek na otomanach. Niektóre nieletnie, jeszcze bez piersi. Kucharz przyozdabiał ich wychudzone twarze sztucznymi winogronami, które najwyraźniej potem zabierał, bo ich nie znaleźli. Czarne pończochy, czarne podwiązki, włosy łonowe, poduszki obszyte frędzlami, w tle miednice na stojakach, parawany...

– „Ostroć brzytwy to sprawa honoru...” – zaczął czytać Mazanek.

Fragmenty rękopisu znalezione w sejfie

Wolę pisać niż mówić, ponieważ się jąkam. Od najmłodszych lat ta wada wymowy ważyła na moim życiu. Ponieważ moi rodzice byli solidnymi mieszczanami rasy nordyckiej, byłem pięknym dzieckiem i wyrosłem na pięknego młodzieńca, ale kiedy otwierałem usta, cały czar pryskał. Jąkała. Ktoś sprawiający wrażenie debila. Nikogo nie przegada, nikogo nie przekona. Zanim ja wypowiem pierwsze słowo, mój rozmówca zdąży wypowiedzieć trzy zdania. W jakimś sensie kaleka. Nie jąkałem się tylko, kiedy śpiewałem. Nikt jeszcze chyba nie odkrył, jak to działa, ale jąkanie wtedy zanika. Jakże wielu znanych śpiewaków operowych się jąka! Brałem więc lekcje śpiewu u starego Rosjanina, monsieur Kirila Tagajewa. Płaciłem wódką i kawiozem. Wiedziałem, że jeśli stanę kiedyś na prawdziwej scenie, wysoki blondyn o błękitnych oczach i pięknej twarzy, jeśli zacznę śpiewać, wszyscy ci, którzy się ze mnie śmiali, umilkną zawstydzeni. I tak się rzeczywiście stało. Śpiewając, wznosiłem się jak ptak nad całą tą zdegenerowaną hołotę. Ale gdy brałem prostytutki z ciemnych i brudnych zaułków naszego miasta, jąkałem się, a one nie potrafiły ukryć pogardy. W wyższych sferach i w teatrze doskonale sobie z tym radzili. Jeśli na ulicy stały we dwie, a ja zagadywałem, międląc wciąż pierwszy wyraz, patrzyły na siebie i wybuchały chichotem. Jak idiotki.

Kiedy miałem osiemnaście lat, zainteresowałem się nową, prężnie rozwijającą się w Niemczech i Ameryce nauką, jaką jest eugenika. Według eugeniki rozrodu nie wolno pozostawić czemuś tak nieuregulowanemu i nieobliczalnemu jak pożądanie. Często bowiem jednostki rasowo szlachetne, takie jak ja, czują nieszczęsny pociąg do wstrętnych Cygarek i Cyganów, do zaropiałych starych kurew, zużytych grubych bab, Żydówek, rzezimieszków i całej tej swołoczy. I zamiast z tym pociągiem walczyć, oni mu ulegają, produkując diabelskie pomioty. A piękny i kulturalny

mężczyzna, który zdrowo się odżywia, uprawia sport, nie pije ani nie pali, ma blond włosy i niebieskie oczy, powinien znaleźć sobie podobną kobietę. Powinni poddać się badaniom w kierunku występowania w rodzinie chorób dziedzicznych i jeśli wszystko jest w porządku, w eleganckiej, czystej pościeli, z obowiązku, a nie z niskiej chuci, na trzeźwo powinni spłodzić podobnego sobie potomka. A nie że idziesz pijany ulicą, coś ci mignie, jakiś ognek papierosa w bramie i już parzysz się z niewiadomego pochodzenia genami obarczonymi wielopokoleniową kiłą, rakiem, gruźlicą, tyfusem i przede wszystkim – głupotą. Bo te nocne ćmy są przede wszystkim głupie! Z dobrych protestanckich rodziców przychodzi na świat dobre dziecko, wychowywane w sterylnych warunkach, uprawiające sport, pięknie ubrane, pracowite, i to dziecko musi znaleźć sobie podobnego partnera czy partnerkę. Musi zwalczyć w sobie pociąg seksualny do zepsutego genu podludzkiego. Jednak tak się nie dzieje. Dlatego nocne ćmy trzeba zabijać.

Ale czego oczekiwać od innych, skoro nawet ja – świadom tego wszystkiego – upadałem, ulegałem po pijanemu najniższym instynktom. Zwykle wyglądało to tak, że po upadku, zawsze związanym z alkoholem, mówiłem sobie, że to już się nigdy więcej nie powtórzy. Przez tydzień był spokój, chodziłem grzecznie na próby, nie zadawałem się z żadnymi podludźmi. Po mniej więcej dziesięciu dniach zaczynało mnie nosić. Po jedenastu nie byłem już taki pewny, czy to się nigdy nie powtórzy. To znaczy – głową wiedziałem, że nie, ale nie byłem pewien, czy nie włączy się zachowanie automatyczne. To znaczy, że głową wiem, że nie mogę się upić i iść w noc, ale wiedząc o tym, i tak idę. Jakaś siła przejmując samorzutnie kontrolę nade mną. Po prostu zaczynałem się golić moją ostrą brzytwą. Kiedy ją ostrzyłem na pasie, a potem się goliłem, ta logiczna część mnie mówiła: „Poderżnij sobie nią gardło, ale nie idź! Nie wychodź z domu!”. Tymczasem już sypałem talk pod pachy, już szorowałem proszkiem zęby, jak ćma, sam byłem niczym owa ćma, co leci do ognia... Potem budziłem się nad ranem w jakimś parku, zarzygany, z zakrwawionymi rękami, i już wiedziałem: znów się stało. Znów to zrobiłem, tango tak na mnie działa. Jego rzewne, pełne zawijasów, melancholijne tony, szczególnie jesienią, w te podłe, plugawe wieczory, kiedy pije się wódkę w To i Owo,

w Niespodziance i w Wykwintnej u Myszki Katz... Kiedy powietrze stoi nad miastem gęste od fermentujących zapachów: suchych liści palonych w parkach, koksu, węgla, pierwszego mrozu i tego czegoś jedyne, nieokreślonego, co powoduje jesienią zwiększone stężenie duchowości... Jeśli na tak podatny grunt padnie tango, rozklejam się i zapominam o wszystkich postanowieniach. Wtedy element eugenicznie podejrzany i mój do niego seksualny pociąg znowu podnoszą swój wstrętny łeb...

Taka właśnie była ta jesień, kiedy mózg walczył z chęcią wyjścia w noc i przegrał z kretesem. Zacisnąłem w ręku brzytwę, co było ostatnią próbą zapanowania intelektu nad instynktem... Wiadomo jednak, które z nich wygra. Po raz pierwszy nie byłem pijany, zamieniłem alkohol na kokainę i miałem nadzieję, że nie obudzę się nigdzie zakrwawiony. „Czarowny” – tak się nazywa w tangach ten nastrój. Oszukiwałem się, że idę tam, do tych nocnych spelunek, jako zimny obserwator, naukowiec, niczego nie będę dotykał i nikomu nie pozwolę się dotknąć. Noli me tangere! I do nikogo nie będę się odzywał, aby nie zdradzić się z moim kalectwem (uważam jąkanie za kalectwo). Poczekałem, aż zapadnie zmrok. Słuchałem tanga „Gdzie twoje serce?”. Otóż nie ma. Nie ma serca. Już wiedziałem, że włączyło się działanie automatyczne. Mózg wołał: rozbierz się i zostań w domu. Inaczej sam staniesz się żalostną popłuczyną nocy! Inaczej sam się schlejesz, zarazisz... Ale wyszedłem, poszedłem do To i Owo, wciągałem kokainę w toalecie, tańczyłem tango z tymi znudzonymi wywłokami – fordanserkami, było czarownie, było rzewnie... W uszach brzmiały mi słowa tego tanga, to pytanie: „Gdzie twoje serce?”, i ach, w każdej z tych wywłok biło, biło jakieś zardzewiałe, zakilone serce, ach, wyrwać je i wyrzucić, odrzucić precz!

Pracowałem wtedy w operetce, ale główną rolę Boniego dostało to gównu Cieślak. Wszyscy wiedzieli, że się do niej nie nadaje. Był tenorem, zresztą bardzo słabym, a to rola na baryton, że ho, ho. Był niską, starzejącą się ciotką z brzuszkiem, a to rola dla młodego bon vivanta. To była rola dla mnie. Ale nawet sam Malinowski, zakochany we mnie po uszy, nie potrafił nic zdziałać. Cieślak jakimś cudem wpadł na jego trop i go szantażował. Malinowski robił tylko to co ja, tyle że

dekadę wcześniej. Należało pozbyć się Cieślaka, bo raz, że dopóki żył, nigdy nie dostałbym tej roli, a dwa – był tykającą bombą zegarową. Moja kariera mogła się rozwijać tylko pod warunkiem, że Malinowski pozostanie dyrektorem operetki, a Cieślak zniknie. Cieślaka kariera zresztą też wymagała Malinowskiego na stanowisku dyrektora, nie mógł więc go dobić. Wiedziałem, że marzeniem tej starej cioty jestem ja. Udałem, że się zgadzam, i przyjąłem zaproszenie do niego. On dostał szalę, śpiewał, tańczył, kupił ciastka, kwiaty, otworzył mi nagie, w samym czerwonym szlafrocisku z czarną japońską literą na plecach! Powiedział, że ta litera to cały wyraz i brzmi „weź mnie”. Umierałem z obrzydzenia. W pewnym momencie Cieślak nastawił na gramofonie „Gdzie twoje serce?” i zaczął tańczyć, wyginając się do tyłu jak to w tangu. Wtedy już nie wytrzymałem. Zacząłem z nim tańczyć i poderżnąłem mu gardło. Kiedy upadł, poczułem rozkosz, jak zawsze gdy zabijam. Przewlokłem go do wanny i chciałem się pastwić nad nim, chciałem tam zrobić rzeź, ale powstrzymałem się. Pytasz, gdzie twoje serce? No to wytniemy ci je przez plecy. Jak na wojnie, kiedy wrogom robiono nacięcia na plecach i wyciągano przez nie płuca, a tortura ta (bo wciąż jeszcze żyli) nazywała się „skrzydełka”. Kiedy jego wstrętne przerośnięte serce miałem już przed oczami, trzymałem je w ociekającej krwi i śluzem ręce, przypomniał mi się Kucharz. Wiedziałem, kim jest. I wiedziałem, że nie może pójść siedzieć. I wiedziałem, że Cieślak wiedział. Owego wieczoru dał mi wyraźnie do zrozumienia, że możemy dostawać coraz lepsze role, a Malinowski będzie się musiał na nie zgadzać. Byłem pewien, że ta ciota ma w swoim mieszkaniu jakieś dowody, inaczej nie byłaby taka pewna siebie. Musiałem je znaleźć i zniszczyć. Na mojego dobrodzieja nie mógł paść najmniejszy cień. Tymczasem stwierdziłem, że to zabójstwo warto dopisać Kucharzowi do rachunku. Wycięcie serca. Nie wiem, kto by je zjadł, ale postanowiłem dać je Malinowskiemu. Może mu posmakuje. Po wycięciu serca poczekałem, aż trup się wykrwawi, po czym umyłem go zimną wodą w wannie, ubrałem w szlafrok i ułożyłem na podłodze w pozie sugerującej figurę tanga. Ale mogli tego nie wychwycić. Na gramofonie wciąż obracała się płyta z tangiem „Gdzie twoje serce?”. Wziąłem kawałek kartki i napisałem ten tytuł, po czym włożyłem ją do

kieszeni szlafroka, w który ubrany był trup, tak aby te patałachy nie mogły tego nie zauważyć. Wytarłem szmatką wszystko, czego dotykałem w mieszkaniu, zapakowałem serce w jakiś worek znaleziony w kuchni i pojechałem prosto do Malinowskiego... W pierwszej chwili spanikował, ale potem, kiedy dotarło do niego, że wiem, kim jest, i nie zamierzam go rzucić, śpiewając sobie pod nosem tango „Gdzie twoje serce?”, upiekł tę część ciała Cieślaka na patelni i zjadł ze smakiem, zaśmiewając się na myśl o minie Krzywoszewskiego... Zapytałem go, czy mogę mu zaśpiewać arię Boniego. On jadł serce starej cioty, a ja śpiewałem o „dziewczątkach”, że „dosyć, basta, nigdy więcej, finisz, kropka, szlus! Proszę wszelką damską płęć wziąć ode mnie precz!”. Był zachwycony. Piliśmy stare wino. Po raz pierwszy nauczyłem się wykorzystywać zabójstwo do osiągnięcia własnych celów...

„Kurier Czerwony Dobry Wieczór!”

Piękna fordanserka więziona przez straszliwą lesbijkę!

(Korespondencja z miasta N***)

Straszna lesbijka o męskim pseudonimie „Władymyr” podstępnie uwięziła w swojej piwnicy przepiękną młodą fordanserkę z kabaretu To i Owo w mieście N***, przykładając jej uprzednio do ust szmatkę nasączoną mieszaniną eteru i chloroformu! Wstrętne lesbija całymi miesiącami wielokrotnie zmuszała uwięzioną w piwnicy biedną dziewczynę do czynów lubieżnych, których nie chcemy sobie nawet wyobrazić! Niech ta historia będzie przestrożą dla naszych Czytelniczek, aby nigdy nie wsiadały do automobili ani powozów, w których przebywają nieznane im osoby!

Kończył się nareszcie ten przeklęty rok tysiąc dziewięćset trzydziesty. Jak zwykle ostatniego dnia zespół zgromadził się o siedemnastej w sali zebrań, gdzie miano wychylić symboliczny kieliszek szampana oraz uroczyście odsłonić nowe tableau panny Wandy. Sekretarka w najwymyślniejszej fryzurze wyrzeźbionej z włosów własnych i – prawdopodobnie – cudzych rozdawała czekoladki od Wedla, nalewała kawy i robiła tajemnicze miny. Tableau stało na tablicy oparte o rynienkę na kredę, ale wciąż było zasłonięte. Pijąc i jedząc, wszyscy wspominali niedawny finał sprawy Tancerza.

– A Miłoszycki już na Świętym Krzyżu...

– I nie wyjdzie. Dostał dożywocie. Nie dziwię się. – Mazanek pochłonął kolejną czekoladkę.

– Panno Wandziu, kiedyż to nareszcie nastąpi odsłonięcie pani wielkiego dzieła? – zapytał doktor Ziemkiewicz. Panna Wanda skromnie spuściła oczy.

– No, jeżeli panowie jesteście gotowi, to może być już.

Wszyscy naraz przytaknęli, że są jak najbardziej gotowi. Panna Wanda podeszła do tablicy i delikatnie usunęła płachtę materiału zasłaniającą jej dzieło.

Wszyscy aż wstrzymali oddech. To było niesamowite! W centralnej części tableau, na samej górze, tańczyły ze sobą tango dwa szkielety – jeden wygięty do tyłu, drugi pochylony nad nim. Niżej zaś, czego tam nie było: i namiot cyrkowy z dzikimi zwierzętami, z karlicami i z atlasami, i Sara Berg zapatrzona jak zwykle w pustkę niczym w lufę pistoletu, i gmach operetki... W to wszystko wkomponowane były zdjęcia. Panna Wanda, zaraz po zamknięciu sprawy Tancerza, zmusiła wszystkich członków zespołu do zrobienia sobie świeżych

fotografii w jednakowym niewielkim formacie legitymacyjnym. Tylko Janicki i Mazanek spełnili jej prośbę szybko i po dobroci, a w mieście ubyło nieco brylantyny. Resztę zespołu trzeba było szantażować tym, że tableau nie będzie gotowe na czas, ustawicznie przypominać... Teraz jednak wszystkie zdjęcia zostały już wklejone i otoczone ozdobnymi ramkami. Przebrana co najmniej za hrabinę przodownik Woźniak z dobrotliwym i łagodnym uśmiechem na twarzy. Łysy i poważny doktor Ziemkiewicz. Rozbawiony i podobny do rumianego blond bobasa Jędrzek Klimuszko. Jak zwykle z głupią miną na zdjęciu Karol Maślanka. Piękny i sympatyczny Kazio Mazanek. Wymoczkowaty i blady jak trup Adolf Piątek. Głupawo uśmiechnięty Staszek Kawczak. Nawet wybrylantynowany Janicki załapał się na zdjęcie. W rogu, skromnie, panna Wandzia umieściła własną podobiznę. Na samym dole widniała panorama naszego miasta, sam zarys, jakby na tle zachodzącego słońca. Wszyscy bili brawo, a sekretarka uśmiechała się skromnie, chociaż widać było, że jest szczęśliwa. Nowe tableau oficjalnie powieszono na korytarzu obok zeszłorocznego. Mazanek mrugnął na Piątka. Czas było udać się do Gastronomii na sylwestrową ucztę!

Przeszłość to nie dziś, tylko cokolwiek dalej...

Pisarzy, podobnie jak wszystkich innych ludzi, można podzielić na wiele sposobów. Między innymi ze względu na stosunek do czasu. Jedni żyją po uszy w teraźniejszości, inni wybiegają w przyszłość, jeszcze inni, niepoprawni nostalgicy, żyją przeszłością, uciekają w nią przed banalną teraźniejszością i bardziej niż niepewną, zwykle przerażającą ich przyszłością. Należę do tych ostatnich. Jeszcze nigdy przyszłość nie rysowała się tak paskudnie, a teraźniejszość tak beznadziejnie banalnie, nic dziwnego więc, że często traktuję literaturę uciezkowo, chcę się skryć w jej kniejach, a dystans czasowy od chwili obecnej musi wynosić co najmniej trzydzieści lat. Dlatego też zawsze marzyłem o stworzeniu czegoś retro. Przed rozpoczęciem pracy nad powieścią *Tango* czyniłem nieśmiało i nieco lękliwe przymiarki do umieszczenia akcji w przeszłości. Najpoważniejszą taką próbę stanowiło opowiadanie *Amnestia* umieszczone w powieści *Wymazane* i traktujące o wyprawie babci w dzień amnestii na *Trędowną* i spotkaniu chiromanty, który zresztą również miał na nazwisko Piątek. Robiłem małe podchody, bo bałem się rzucić od razu na całą powieść, chciałem sprawdzić, czy umiem stworzyć przeszłość ze słów na początek w laboratoryjnych warunkach i aptecznych dawkach mieszczących się w probówkach. Główna trudność polega na tym, że z daleką przeszłością obcujemy wyłącznie za pośrednictwem tekstów kultury, a przede wszystkim powieści, filmów, pamiętników i zdjęć. To zaś niesie ze sobą niebezpieczeństwo powstawania „makulatury z makulatury” czy „literatury z literatury”, tworzącej wizję nie rzeczywistości przeżytej, tylko jej konwencjonalnych ujęć zaczerpniętych z tych powieści i filmów. Nie mówię tu, rzecz jasna, o przeszłości przeżytej, co w moim przypadku oznacza lata, do których mogę sięgnąć pamięcią, od połowy ósmej

dekady dwudziestego wieku. W przypadku akcji umieszczonej w latach przeżytych zapis zniekształcają tylko mechanizmy działania pamięci, dochodzi do mitologizacji i literaturze wychodzi to zwykle na dobre. Jednak w latach trzydziestych ubiegłego wieku nie przeżyłem przecież ani jednej sekundy. Muszę wierzyć, że taki świat istniał, bo upewniają mnie o tym wspomniane dokumenty kultury, ale sam go nigdy nie dotknąłem. Czytałem na przykład wszystkie tomy *Dzienników* Zofii Nałkowskiej i jest mi ona dzięki temu bliższa niż niejedna otaczająca mnie istota, a przecież zmarła dwadzieścia jeden lat przed moim urodzeniem! Nośnikami przeszłości w tekście są oczywiście wyłącznie wyrazy: uliczne prostytutki i gazowe latarnie, trotuary, kocie łby, dorożki i tak dalej. Jednak wszystkie te malownicze słowa spisaliśmy z innych książek, to wszystko wyłącznie znaki. Męczący był ów brak jakiegokolwiek zakotwiczenia w prawdziwej, własnej biografii przeżytej rzeczywistości. Być może, aby sobie zrobić na złość i uczynić rzecz jeszcze bardziej konwencjonalną, wbrew swoim zwyczajom sięgnąłem po konkretny gatunek, i to gatunek niezwykle wprost skonwencjonalizowany – czarny kryminał retro. Dla pisarza, który nie zajmuje się z reguły literaturą gatunkową, jest to wielkie ułatwienie. To tak, jakby malarzowi abstrakcyjniście kazano namalować głowę konia. Wszystko dostaje się w pakiecie: model świata i model głównego bohatera, i wizję przeszłości „mrocznej”... Z drugiej strony – właśnie te „okowy gatunku”, konieczność zastosowania w miarę przejrzystego języka bez żadnych wodotrysków i rac, konieczność prowadzenia realistycznej narracji utrzymanej w „mieszcząńskiej” trzeciej osobie czasu przeszłego, niemożność w związku z tym umieszczenia w tekście „Michaśki” ani pokazywania świata jej oczami – wszystko to w miarę pisania ciążyło mi coraz bardziej. Na pewno jestem po tym doświadczeniu „stęskniony za wolnością” literatury negatunkowej.

W miarę jak pisałem tę powieść, cała ta dekoracja przeszłości ujawniała coraz bardziej swoją umowność, papierowość, tektura odpadała, ukazując rusztowania, coraz mniej ważny dla mnie był „autentyzm”, można powiedzieć, że w miarę pisania traciłem swoją wiarę w możliwość zrekonstruowania przeszłości, mój wehikuł czasu co i rusz psuł się, grożąc planetarną katastrofą. Nic więc dziwnego,

że jestem szczęśliwy, ale śmiertelnie zmęczony, dyszę ciężko, rozbitek z wehikułu czasu.

Chciałem bardzo podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie i wspierają na Patronite, bo tylko dzięki nim w ogóle mogę pisać. Chciałem też podziękować Pawłowi Rzewuskiemu, autorowi świetnej książki *Grzechy Paryża Północy*, który spotkał się ze mną i nauczył korzystać z archiwów oraz odbył ze mną wielogodzinną rozmowę. Kilka słów należałoby się również Kamilowi Janickiemu, autorowi książki *Będzie wam u mnie jak w raju. Seryjni mordercy II RP*. Dziękuję Marcinowi Wrońskiemu, który na każde zawołanie służył mi radą i wsparciem. Dziękuję Gabrieli Jatkowskiej, autorce książki *Echa dawnej Warszawy. Kryminalne opowieści*, która również spotkała się ze mną. Wszyscy ci ludzie doskonale czują i kochają przeszłość jako wielką i ważną przestrzeń wyobraźni oraz obyczajowe i kulturowe dziedzictwo. Bo Przeszłość, do której mamy dostęp, to po prostu słowa, znaki, zdjęcia.

„Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej”? Żaden prawdziwy nostalgik się z tym nie zgodzi. Nostalgik nie chce „dziś”, nawet oddalonego w czasie. Nostalgik chce widzieć przeszłość jako zupełnie inną, zatopioną w czasie krainę. Powieści pisane w roku 1930 nigdy tak pięknie nie „pachną” i nie są tak klimatyczne jak dzisiejsze stylizacje. Przeczytałem gigantyczne ilości literatury dwudziestolecia i ono widziane od wewnątrz jest zupełnie bez wyrazu. Dopiero z pozycji nostalgii, podane jako stylizacja kogoś, kto chce uciec przed banałem współczesności, zaczynają nabierać swoich diabolicznych cech... Nawłóczyłem się więc po tych odrapanych podwórkach, gruźliczych bramach, naczytałem się tych wszystkich lepszych i gorszych autorów (z całą produkcją Dołęgi-Mostowicza włącznie), nawygrzebywałem zapomnianych słów, zwyczajów, potraw i oczywiście, cóż... Jestem wykończony. To była dłuższa, dalsza i bardziej niebezpieczna podróż, niż mi się początkowo wydawało, do świata odleglejszego i dziwniejszego, niż myślałem, zabrałem na nią o wiele za mało wałówek i lekarstw, czuję się, jakbym wyleciał z wehikułu czasu Wellsa, leżę przed jego drzwiami i dyszę jak rozbitek, który uchwycił się kawałka lądu. Ale było warto. Spotkałem

tam zapomniane lub w ogóle nieznane mi dotąd zapachy i smrody, zapomniane odgłosy i nieistniejące już po wojnie kolory (ponoć zmienił się skład chemiczny powietrza). W prywatnej rozmowie Marek Krajewski powiedział mi kiedyś, że gdybym ja, z moim okiem do szczegółu i znajomością realiów, napisał kiedyś kryminał retro, którego akcja działałaby się przed wojną w środowisku homoseksualistów, to mogłoby być coś. No cóż, Marku, w Twoje ręce. Jeśli to nie jest to coś, to zapewne innego już nie będzie!

Spis treści:

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53

Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81

Fragmenty rękopisu znalezione w sejfie
„Kurier Czerwony Dobry Wieczór!”

Rozdział 82

Przeszłość to nie dziś, tylko cokolwiek dalej...

Karta redakcyjna

Copyright © by Michał Witkowski

Projekt okładki
Aleksandra Matyas

Redakcja
Marianna Sokołowska

Opieka redakcyjna
Katarzyna Krawczyk
Anna Steć

Korekta
Małgorzata Kuśnierz
Malwina Błażejczak

W powieści wykorzystano fragmenty utworów:

William Szekspir, *Dzieła. Tragedia Makbeta*, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 1980,
365 obiadów Lucyny Ćwierczakiewiczowej, Warszawa 1989 [przedruk techniką offsetową z oryginału z 1858
roku],

Stanisław Szenic, *Pitaval warszawski*, t. I–II, Warszawa 1955.

ISBN 978-83-240-9233-8



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek